

Anna Rice

Królowa Potepionych

* * *

Królowa Akasha budzi się z trwającego sześć tysięcy lat snu, uwalniając potęgę nocy z pokrytych lodem szczytów Nepalu. Zło przypuszcza atak na zatłoczone, prazone słońcem ulice Florydy. Akasha miała całą wieczność na uknucie przebiegłego planu, który ma „uratować” ludzkosc i zniszczyć Lestata.

* * *

Ta książka jest dedykowana z miłością

Stanowi Rice'owi, Christopherowi Rice'owi

i Johnowi Prestonowi,

a także pamięci moich ukochanych redaktorów:

Johna Doddsa i Williama Whiteheada

Królik tragiczny

Oto rysunek, królik tragiczny.

Uszy w blocie jak młode zielone kukurydze.

Czarnego czoła lusterko odbija gwiazdy.

Rysunek na mojej scianie, samotny,

jak to z zającami bywa

lub nie. Tłuste czerwone policzki -

sztuka pełnym pyszczkiem - nos drzy

nawykiem nie do przewyciezenia.

I ty królikiem mozesz byc; zielony i czerwony

twój grzbiet, niebieska ludzka watla piers.

Lecz jesli kiedys zneci cie królicza postac,

Prawdziwego Ciała strzez sie, ono

straci cie z tragicznego konia,

przeniknie tragiczne szeregi niczym zjawa

marmur; twoje rany zasklepia sie

tak szybko, ze

woda zbieleje z zazdrosci.

Króliki namalowane na białym papierze

przemoga wszelkie czary, na nic króliczy chów,

i uszy - kukurydze rogowa zalsnia silnia.

Wiec strzez sie smaku tragicznego zycia –

bo w tej króliczej pasci

kazda barwa blyszczy niczym slonca miecz,

a Najwyzszy wcielil sie w nozyczki, czy tego chcesz czy nie.

Stan Rice „Owieczka nie byle jaka” (1975)

Jestem Lestat. Wampir. Pamietacie mnie? Tego wampira, - który stal sie idolem rocka i splodzil autobiografie? Tego o blond wlosach, szarych oczach i nienasyconym glodzie slawy? Pamietacie, chcialem byc symbolem zla w swietlistym stuleciu, w którym nie ma miejsca na takie wcielone zlo jak ja. Nawet doszedlem do wniosku, ze moze zrobic cos dobrego w tej skórze - grajac czarta na deskach estrady.

Wlasnie zaczelo mi sie powodzic, kiedy rozmawialismy po raz ostatni. Bylem po debiucie w Nowym Jorku - pierwszym koncercie na zywo moim i mojej grupy smiertelników. Nasz album odniósł wielki sukces. Moja autobiografia byla rozchwytywana, zarówno przez umarłych, jak i przez nieumarłych.

Wtem nastapilo cos calkowicie nieoczekiwanego. Hm, przynajmniej dla mnie. Kiedy sie rozstawalismy, wisialem na przyslowiowej krawedzi przepasci.

No cóż, jest po wszystkim - mam na mysli dalsze wypadki. Oczywiscie przezyłem. W przeciwnym razie nie rozmawialbym z wami. A kosmiczny pyl w koncu osiadl i male rozdarcie w tkaninie racjonalnej wiary zostalo zaszyte; a przynajmniej zasloniete.

Teraz, gdy mam to juz za soba, jestem troche bardziej smutny, troche bardziej wredny, a takze troche bardziej czujny. Jestem również nieskonczenie bardziej potezny, chociaz czlowiek, który we mnie zyje, jest blizej swiata niz kiedykolwiek przedtem - ta niespokojna, glodna istota, darzaca jednoczesnie miloscia i nienawiscia niepokonana niesmiertelna muszle, w której mnie zamknieto.

A glód krwi? Nienasycony; chociaz sama krew nigdy nie byla mi bardziej niepotrzebna. Mozliwe, ze teraz potrafilbym juz bez niej funkcjonowac. Ale zadza, która budzi we mnie wszystko, co zyje, powiada mi, iz nigdy nie wystawie sie na próbe owego postu.

Zreszta rzecz nie sprowadza sie do potrzeby krwi, chociaz krew to cos najbardziej zmyslowego, czego zywa istota moglaby pozadac; chodzi o niepojeta intymnosc tego momentu - chwili, w której pijesz, zabijasz - chodzi o ten wielki taniec dwóch serc, kiedy ofiara slabnie, a ja czuje, ze rosne, lykajac smierc, przez ulamek sekundy jasniejaca, ogromna jak zycie.

Jednak to zwodnicze wrazenie. Zadna smierc nie dorównuje zyciu... i pewnie dlatego wciaz o nim mówie, no nie? Jestem teraz tak daleko od zbawienia jak nigdy. A fakt, ze o tym wiem, przysparza mi tylko wiecej bólu.

Oczywiscie nadal moze uchodzic za czlowieka; wszyscy z naszych to potrafia, tak lub inaczej, bez wzgledu na to, jak ciezki bagaz lat dzwigamy. Podniesiony kolnierz, kapelusze nasuniety na czolo, ciemne

rekawiczki, rece w kieszeniach - ot, i cała sztuczka. Teraz lubie wskakiwac w dopasowane skórzane kurtki i waskie dzinsy - to wygodny kostium. A zwykle traktory z czarnej skóry znakomicie nadaja sie do chodzenia po kazdej nawierzchni. Jednak od czasu do czasu nosze cos bardziej wyszukanego, na przyklad jedwabie lubiane przez ludzi w tym kraju o cieplym, poludniowym klimacie, gdzie teraz zamieszkuje.

Gdy juz ktos zaczyna mi sie przygladac zbyt natarczywie, wtedy wystarczy mily telepatyczny komunikacik: „Jestem calkowicie normalny, nie ma zadnej sprawy”. Usmiecham sie promiennie w swoim najlepszym stylu, ladnie chowajac kly, i smiertelny oddala sie swoja droga.

Od czasu do czasu odrzucam wszelkie kostiumy; wychodze na miasto dokladnie taki, jaki jestem. Dlugie wlosy, aksamitna kurtka, której pieszczotliwy dotyk przywodzi mi na mysl dobre stare czasy, i kilka szmaragdowych piersieni na palcach prawej dloni. Ide szybko przez centrum tego cudownego, zepsutego poludniowego miasta lub włóczę sie plazami, stapajac po piaskach, które lsnia biela jak ksiezyc, i wdychajac ciepla poludniowa bryze.

Muskaja mnie tylko przelotne spojrzenia. Wokół dzieje sie zbyt wiele niewytłumaczalnych spraw; pochlaniaja nas koszmary, grozby, tajemnice, a potem w niewytłumaczalny sposob rozczarowuja. Wracamy znowu do zgiełku przewidywalnego. Królewicz nie przybedzie i wszyscy o tym wiedza, a Spiaca Królowna chyba juz umarla.

Podobnie jest z innymi, którzy przezyli wraz ze mna i dzieła sie tym upalnym zakatkiem rozpasanej zielonosci na krawedzi swiata - poludniowo-wschodnim wypustkiem Ameryki Północnej, polyskliwa metropolia Miami, rozkosznym terenem lowieckim zlaknionych krwi niesmiertelnych, jesli kiedykolwiek bylo takie miejsce.

Dobrze jest miec obok siebie tych innych; prawde mówiac, to zasadnicza sprawa i jak mi sie zawsze wydawalo, niezbedna; zacny sabat wybitnej, wytrzymałej starszyny i zuchwalej mlodziezy.

Lecz cóż, meka anonimowosci posród smiertelnych nigdy nie byla gorsza dla tego chciwego potwora, którym jestem. Lagodny szmer niesmiertelnych głosów nigdy nie zdola mnie wytracic ze splinu. Smak slawy posród smiertelnych jest zbyt uwodzicielski - albumy plytowe w witrynach, wielbiciele skaczacy i klaszczacy przed scena. Niewazne, ze wcale nie wierzyli w to, iz naprawde nie jestem wampirem; w tamtej chwili bylismy razem. Skandowali moje imie!

Teraz albumy plytowe zniknely i nigdy juz nie uslysze tamtych piosenek. Ksiazka pozostanie - obok „Wywiadu z wampirem” - pod bezpieczna maska beletrystyki i moze tak własnie byc powinno. Dosc klopotów sprawilem swoja osoba. Jeszcze sie o tym przekonacie.

Kleska - oto, do czego udalo mi sie doprowadzic moimi gierkami! Ja, wampir, który wreszcie dostal te wymarzona szanse, aby w najbardziej odpowiedniej chwili stac sie bohaterem i meczennikiem...

Pewnie myslicie, ze wynioslem z tego jakas nauke? A zebyscie wiedzieli. Wynioslem. Naprawde wynioslem.

Jednak musiec odpelznac w cieniu to piekielnie boli - Lestat znów jest tylko smuklym, bezimiennym, morderczym monstrem czyhajacym na smiertelnych, wykorzystujacym ich nieswiadomosc naszego istnienia. Cierpie, znów skazany na role wyrzutka; zawsze poza nawiasem, borykajacy sie z dobrem i zlem we własnym wiekowym piekle ciała i duszy.

W obecnym odosobnieniu marze o tym, ze natrafiam w skapanej blaskiem ksiezycy komnatce na jakas

milutka istotke - jedna z tych słodkich małych, jak je obecnie nazywają - która przeczytała moja książkę i słuchała moich piosenek; jedna z tych idealistycznych rozkoszniczek piszących do mnie w tamtym krótkim okresie nieszczęsnej glorii pełnej uwielbienia listy na perfumowanym papierze, mówiącej o poezji i sile iluzji oraz wyrażającej żal, że nie jestem naprawdę tym, za kogo się podaje; marze o wślizgnięciu się do jej ciemnego pokoiku, gdzie na nocnym stoliku być może leży moja książka z aksamitną zakładką w środku; marze o tym, iż dotykam jej ramienia i uśmiecham się, kiedy spoglądamy sobie w oczy.

- Lestat!... Zawsze wierzyłam, że żyjesz. Wiedziałam, że się zjawisz!

Pochyliłam się, gotów złożyć usta na jej ustach, i ujmuję jej twarz w dłoń.

- Tak, kochanie - odpowiadam - i nie wiesz, jak cię potrzebuję, jak bardzo cię kocham, i od jak dawna.

Być może okaże się, że z powodu tego, co mi się przytrafiło, owych nieoczekiwanych koszmarów, których byłem świadkiem, i nieuniknionych mak, które wycierpiałem, będę w jej oczach bardziej urzekający niż wtedy, gdy owe nieszczęścia były jeszcze przede mną. To straszliwa prawda, iż cierpienie dodaje głębi naszym myślom i nieodpartego uroku rysom, że nasycą tembr głosu. Pod warunkiem jednak, że wcześniej nie wypali optymizmu, ducha i wyobraźni, a także szacunku wobec prostych, jednakże nieodzownych przejawów życia.

Proszę, wybaczyć, jeśli w tych słowach przebrzmiewa gorzkość.

Nie mam do niej żadnego prawa. Ja zacząłem to wszystko i jak to mówią: nie spadł mi włos z głowy, podczas gdy tak wielu osobników naszego gatunku spotkał kres, nie mówiąc o tym, ilu śmiertelnych dotknęły cierpienia, co jest już nie do wybaczenia. Niewątpliwie to mnie będzie wystawiony rachunek.

Jednak musicie wiedzieć, że nie do końca pojmuję, co naprawdę się wydarzyło. Nie wiem, czy miałem do czynienia z tragedią czy też nie lub czy była to jedynie blahostka. Nie mam też pojęcia, czy moje pomyłki mogły być początkiem czegoś, co w końcu jednak wyniosłoby mnie z tego koszmarnej obszaru, w którym nic nie ma istotnego znaczenia, do krainy rozjaśnionej błogosławionym blaskiem zbawienia.

Tego również nigdy się nie dowiem. Rzecz sprowadza się do jednego - jest już po wszystkim. Nasz świat - nasze małe księstwo - jest mniejsze, mroczniejsze i bezpieczniejsze niż kiedykolwiek i już nigdy nie będzie takie jak kiedyś.

To cud, że nie przewidziałem tamtego kataklizmu, ale cóż, jako żywo nie potrafię przewidzieć, jak skończy się to, co zaczynam. Fascynuje mnie ryzyko, chwila, w której liczba możliwości ociera się o nieskończoność. Kiedy wszelkie inne wabiki zawodzą, ten jeden potrafi znieść mnie z drugiego krańca wieczności.

W gruncie rzeczy jestem taki jak wtedy, dwadzieścia lat temu, wciąż jak żywa istota niecierpliwa, niespokojny, zawsze chętny do miłości i wesolej burdy. Gdy w latach osiemdziesiątych siedemnastego wieku wyruszyłem do Paryża, aby zostać aktorem, nie sięgałem wyobraźnią poza te magiczne chwile, w których kurtyna idzie w górę.

Może starsi mają rację. Mam na myśli prawdziwych niesmiertelnych, tysiącletnich krwiopijców, którzy mówią, że tak naprawdę nikt z nas nie zmienia się z czasem, lecz jedynie dociera bliżej istoty swej natury.

Innymi słowy, kiedy żyjesz setki lat, stajesz się mądrzejszy; ale może się również okazać, że twoi wrogowie mieli rację, twierdząc, że przewredna z ciebie kreatura.

Jestem więc tym samym czartem co zawsze, tym młodzieńcem, który nieodmiennie pojawia się na środku sceny, w blasku reflektorów, tam gdzie jest najlepiej widoczny, w tym właśnie miejscu, ku któremu wrywają się wszystkie serca. Samotność to nic dobrego. Na niczym nie zależy mi tak bardzo jak na tym, aby was zabawić, oczarować, zatrzec w waszej pamięci wszystkie swoje występki... Lecz obawiam się, że rzadkie chwile tajnego zbliżenia i rozpoznania nigdy nie wystarczyłyby, aby to osiągnąć.

Jednak uprzedzam fakty, czyż nie?

Jeśli czytaliście moją autobiografię, zapewne pragnelibyście wiedzieć, o czym mówię, jaka to katastrofa mam na myśli.

No cóż, dokonajmy przeglądu tego, co się zdarzyło, zgoda? Jak już wspomniałem, napisałem książkę i nagrałem płytę, gdyż chciałem być zauważony, pragnąłem, by widziano mnie takim, jaki jestem, choćby nawet publiczność uznała moją postać za symboliczną maskę.

A myśl, że śmiertelni mogliby mnie przejrzeć, zdać sobie sprawę, iż moje słowa nie klamą, dostarczała mi tylko dodatkowej podnieci. Moim najsłodszy pragnieniem było ściąganie na nas rozszalałej sfery, zniszczenia. Nie zasługujemy na życie; powinniśmy zostać starci z powierzchni ziemi. Myśl o przyszłych bataliach wprowadzała mnie w uniesienie! Ach, walczyć z tymi, którzy znają moje prawdziwe oblicze. Jednak tak naprawdę nigdy nie spodziewałem się takiej konfrontacji, a maska rockowego idola okazała się aż nazbyt znakomita przykrywką dla czarta mojej klasy.

To pobratymcy uznali mnie za tego, za kogo się podawałem, to oni zdecydowali się ukarać mnie za to, co uczynił. I w ten sposób, rzecz jasna, zatanczyli, jak im zagrałem.

Przecież w swojej autobiografii opowiedziałem naszą historię, nasze najtajniejsze sekrety, rzeczy, których poprzysiągłem nigdy nie wyjawiać. Paradowałem przed rozjarzonymi reflektorami i obiektywami kamer. A co by się stało, gdyby jakiś naukowiec przejrział mnie na wskrosz lub, co bardziej prawdopodobne, jakiś nadgorliwy funkcjonariusz policji zatrzymał mnie za jakies drobne wykroczenie pięć minut przed wschodem słońca, po czym dziwnym trafem osadzono by mnie w areszcie, sprawdzono, zidentyfikowano i uznano za supertajną zdobycz - a wszystko to za dnia, kiedy jestem bezwolny - ku satysfakcji najgorszych śmiertelnych sceptyków na kuli ziemskiej?

Zgoda, wydawało się to niezbyt prawdopodobne! I nadal się takie wydaje. (Chociaż przysporzyłoby mi niewiarygodnej uciechy, zupełnie niewiarygodnej!)

Niemniej jednak było nieuniknione, że moi pobratymcy wpadną w szal z powodu ryzyka, które podejmowałem, że będą chcieli spalić mnie żywcem czy też posiekac na drobne niesmiertelne kawaleczki. Większość młodzieży była zbyt głupia, aby zdać sobie sprawę, jak bardzo jesteśmy bezpieczni.

W miarę jak zbliżał się termin koncertu, coraz częściej przylapywałem się na tym, że marzę również o tych bataliach. Cóż to byłoby za rozkosz zniszczyć tych, którzy dzwigali bagaż zła równy mojemu, siac spustoszenie wśród winnych, raz za razem powalac odbicia mojej własnej osoby.

Jednakże tak naprawdę wszystko sprowadzało się do jednego - do bycia tam, tworzenia muzyki, widowiska, magii! Chciałem w końcu żyć życiem śmiertelnym. Chciałem być po prostu człowiekiem. Tamten śmiertelnik, aktor, który udał się do Paryża dwa wieki temu i napotkał śmierć na bulwarze, nareszcie będzie miał swoje pięć minut.

Lecz wróćmy do przeglądu wydarzeń; koncert był wielkim sukcesem. Przeżyłem chwile triumfu przed piętnastoma tysiącami wrzeszczących śmiertelnych fanów; a ponadto były tam ze mną moje dwie największe niesmiertelne miłości - Gabriela i Louis - moje piskleta, moi kochankowie, od których byłem oddzielony przez nazbyt wiele mrocznych lat.

Noc nie dobiegła jeszcze końca, gdy ssaliśmy uprzykrzone wampiry, które usiłowały ukarać mnie za moje czyny. Jednak podczas tych drobnych utarczek mieliśmy niewidzialnego sojusznika; naszych wrogów pochłonęły płomienie, zanim zdolali wyrządzić nam krzywdę.

A gdy zbliżał się brzask, euforia po niezwyklej nocy nie pozwoliła mi potraktować niebezpieczeństwa na serio. Ignorowałem namietne ostrzeżenia Gabrieli; byłem zbyt rozanielony, mając ją wreszcie w objęciach. Odrzucałem też mroczne podejrzenia Louisa, nie inaczej niż zawsze.

Az wtem wszystko się sklebiło i zawisłem na krawędzi przepaści...

Właśnie w chwili, gdy słońce wstawalo nad Carmel Valley i układałem się do snu, jak kaze natura wampirów, zdałem sobie sprawę, że nie jestem sam w swym podziemnym leżu. Moja muzyka dotarła nie tylko do młodych wampirów, lecz wytraciła z sennego otepienia najstarszych na świecie z naszego gatunku.

Przeżyłem wówczas jeden z tych zapierających dech w piersiach momentów, gdy wielkość ryzyka spleta się z wielością szans. Co mnie czekało? Natychmiastowa śmierć czy też powtórne narodziny?

* * *

Aby opowiedzieć wszystko, co się potem wydarzyło, muszę sięgnąć pamięcią wstecz, do dni poprzedzających fatalny koncert, i odsłonić wam serca i umysły innych istot, których reakcje na moją muzykę i książkę wówczas jeszcze nie znałem.

Innymi słowy, działo się wiele rzeczy, które wymagały rekonstrukcji. I te właśnie rekonstrukcje zamierzam wam przedstawić.

Tak więc porzucimy ciasne, liryczne ograniczenia pierwszej osoby liczby pojedynczej; śladem tysięcy innych pisarzy zajrzemy do dusz i umysłów wielu postaci. Z rozmachem wkroczymy w świat trzeciej osoby liczby pojedynczej i przyjmijemy mnogość punktów widzenia.

Przy okazji, kiedy ci inni myślą lub mówią, że jestem piękny lub zniewalający, nie sádzcie, iż wyrażam w ten sposób swoje opinie. Skądże! Tak właśnie o mnie mówiono, to właśnie wyczytałem w ich myślach swoją niezawodną telepatyczną mocą; nie kłamałbym zresztą w żadnej sprawie. Nic na to nie poradzę, że zabójczo przystojny ze mnie czar. Po prostu wyciągnąłem taką kartę. Ten dranski potwór, który uczynił mnie tym, kim jestem, wybrał właśnie mnie z racji mojego powabu, oto cała prawda na ten temat. Każdy może zostać sliweczką w takim diabelskim kompiecie.

W gruncie rzeczy żyjemy w świecie przypadku, w którym możemy być pewni jedynie stałości zasad estetycznych. Słusznie czy nie, walczymy z wiecznością, usiłując stworzyć i utrzymać równowagę etyczną; ale rzucające na kolana piękno letniego deszczu migoczącego w świetle ulicznych latarni lub potężnych błysków artylerii na tle nocnego nieba jest bezsporne.

Jednego możecie być pewni; chociaż was opuszczam, powrócę w ośniewającym stylu, kiedy będzie

trzeba. Zdradze wam prawde: nie cierpie nie byc narratorem od poczatku do konca! Parafrazujac Dawida Copperfielda - nie wiem, czy jestem bohaterem czy ofiara w tej opowiesci. Tak czy inaczej jednak, dlaczego mialbym w niej dominowac? W gruncie rzeczy tak naprawde to ja ja opowiadam.

Niestety, istota sprawy nie sprowadza sie do tego, ze jestem Jamesem Bondem wsród wampirów, i nie chodzi o to, by zaspokoic moja próznosc. Chce, byscie wiedzieli, co sie naprawde wydarzylo, nawet gdybyscie nigdy nie mieli w to uwierzyc. Musze nadac tej historii odrobine sensu, odrobine spójnosc, jesli nie gdzie indziej, to w swiecie beletrystyki, inaczej oszaleje.

A wiec jeszcze sie spotkamy; mysle o was stale, kocham was, chcialbym miec was tu... w swoich ramionach.

Wstep

Oswiadczenie w postaci graffiti

(napisane czarnym flamastrem na czerwonej scianie tylnej sali baru U Córy Drakuli w San Francisco)

Dzieci Ciemnosc,

wezcie pod rozwage, co nastepuje:

KSIEGA PIERWSZA: „Wywiad z wampirem”, opublikowany w 1976 roku, byl opisem autentycznych wydarzen. Kazdy z nas mógłby o tym opowiedziec - o dochodzeniu do naszej kondycji, naszej nedzy i rozpacz, a takze o poszukiwaniach. Tymczasem Louis, liczacy sobie dwiescie lat niesmiertelny, domaga sie moralnego współczucia. Lestat, zloczynca, który przekazal mu Mroczny Dar, dolaczyl do tego jeszcze cenny drobiazdek w postaci wyjasnien czy tez pocieszenia. Czy to sie wam aby z czymś nie kojarzy? Jak do tej pory, Louis nie zrezygnowal z poszukiwania wybawienia, chociaz nawet Armand, najstarszy niesmiertelny, którego udalo mu sie znalezc, nie zdolal mu pomóc ani tez wytлумaczyc, za czyja przyczyna jestemy na tym swiecie. Ale nie ma w tym nic bardzo zaskakujacego, nieprawdaz, wampiry, chlopcy i dziewczeta? W gruncie rzeczy wampiry nigdy nie mialy czegos takiego jak owa wykladnia wiary, Katechizm Baltimorski.

To znaczy, nie mialy, dopóki nie opublikowano w tym tygodniu:

KSIEGI DRUGIEJ: „Wampira Lestata”; podtytul: „Pierwsze nauki i przygody”. Nie wierzycie?

Sprawdźcie u najbliższego śmiertelnego księgarza. Potem udajcie się do najbliższego sklepu muzycznego i zapytajcie o płytę, która właśnie się ukazała - również zatytułowana „Wampir Lestat”, z całą dającą się przewidzieć skromnością. A gdy wszelkie wasze usiłowania zawiodą, włóżcie kablówkę, jeśli nie traktujecie tego rodzaju urządzeń z obrzydzeniem, i poczekajcie na któryś z licznych wideoklipów, nadawanych z koszmarną częstotliwością dopiero od wczoraj. Natychmiast przekonacie się, ile Lestat jest wart. I może nie będziecie wcale tacy zaskoczeni na wieść, że bynajmniej nie zamierza on poprzestac na tych niespotykanych występach, ale planuje debiutancki koncert na żywo, nie gdzie indziej, a właśnie w tym mieście. Tak, w Halloween, zgadliście.

Niemniej jednak puszmy na chwilę w niepamięć chorobliwie wyzywający błysk jego niesamowitych oczu, bijący z witryn wszystkich sklepów muzycznych, lub jego potężny głos, wypiewujący tajne imiona i biografie najbardziej wiekowych spośród nas. Dlaczego on robi to wszystko? Co nam mówią jego piosenki? Wyznał to bez ogródek w swojej książce. Dał nam nie tylko katechizm, ale i biblię.

Musimy sięgnąć aż do czasów biblijnych, by spojrzeć w twarz naszym pierwszym rodzicom: Enkilowi i Akaszy, władającym w dolinie Nilu, zanim ktokolwiek nazwał ją Egiptem. Laskawie pominiemy cały belkot o tym, jak zostali pierwszymi krwiopiczami chodzącymi po Ziemi - mający w gruncie rzeczy niewiele więcej sensu niż opowieść o powstaniu życia na tej planecie - lub o tym, jak plód rozwija się z mikroskopijnych komórek w łonie śmiertelnej matki. Prawda wygląda tak, że pochodzimy od tej czcigodnej pary, i czy się nam to podoba czy nie, są istotne powody, aby wierzyć, iż pierwotny sprawczy zarodek wszystkich naszych cudownych i niezastąpionych mocy spoczywa w jednym z tych prawniczych ciał, a może w nich obu. Co to oznacza? Mówiąc bez ogródek, gdyby Akasza i Enkil weszli razem do pieca, wszyscy splonelibyśmy wraz z nimi. Gdyby zostali zmiażdżeni na migotliwy pył, rozpadlibyśmy się w nicosc.

Jest jednak nadzieja. Ta para nie drgnęła od ponad pięćdziesięciu wieków! Tak, dobrze przeczytaliście. Oczywiście, jeśli nie potraktujemy poważnie wersji Lestata, który utrzymuje, że wrzucił ich, grając na skrzypcach u stóp sanktuarium. Pominiemy jednak jego ekstrawagancką opowieść o tym, jak to Akasza wzięła go w ramiona i podzieliła się z nim swoją pradawną krwią, a będziemy mieli do czynienia z bardziej prawdopodobnym stanem rzeczy, potwierdzonym przez dawne relacje: tamtych dwoje nie mrugnęło powieką od czasów poprzedzających upadek cesarstwa rzymskiego. Przez cały ten czas byli trzymani w zacisznej prywatnej krypcie przez Mariusza, wiekowego wampira z czasów starożytnego Rzymu, który dobrze wie, co jest dla nas najlepsze. To właśnie on nakazał wampirowi Lestatowi, by nigdy nie wyjawiał tego sekretu.

Niezbyt godny zaufania powiernik z tego Lestata. Jakież to motywy kryją się za tą książką, za płytą, za wideoklipami czy koncertem? Zamysł ówego czarta nie sposób przejrzeć, ale jednego możemy być pewni: wszystko, co uknuje, przeprowadzi co do joty. Czyż nie stworzył dziecka-wampira? I czyż nie uczynił wampirzycą własnej matki, Gabrieli, która lata całe była mu kochającą towarzyszką życia? Ten diabeł, powodowany tylko głodem ekscytacji, gotów zaprzagnąć papieskiej tiary!

Oto istota sprawy: Louis, filozof-włóczykij, którego nikt z nas nie potrafi odnaleźć, przekazał nasze najgłębsze etyczne tajemnice niezliczonym rzeszom obcych. A Lestat miał czelność odkryć światu sekret naszej historii, ujawniając swoje nadprzyrodzone zdolności śmiertelnemu ogólowi, wszem wobec.

Powstaje pytanie: czemu ci dwaj wciąż cieszą się życiem? Czemu ich jeszcze nie zniszczyliśmy? Och, nie ulega wątpliwości, że zagraża nam niebezpieczeństwo ze strony tłuszczy śmiertelników, chociaż jak do tej pory, wiesniacy z zagwiami w łapach nie załomotali do wrót zamczyska. Poglądy śmiertelnych to dziwka, a ten potwór wie, jak się do niej umizgać, żeby zawrócić jej w głowie. I chociaż jesteśmy zbyt

inteligentni, by wzbogacic ludzka wiedze, potwierdzajac jego glupie wymysly, sa one tak nieslychane, ze nie moga sie rownac z niczym, co wydarzylo sie do tej pory. To nie moze ujsc mu na sucho.

Przemyslenia dalsze: jesli opowiesc wampira Lestata jest prawdziwa - a wielu przysiegloby, ze tak, chociaz nikt nie potrafi wytлумaczyc, na czym opiera to przekonanie - czemu liczac sobie dwa tysiace lat Mariusz nie zjawi sie i nie ukarze nieposluszenstwa swojego powiernika? A król i królowa, jesli maja uszy do sluchania, obudza sie na dzwiek swoich imion niesionych na falach radiowych wokól naszej planety? Co sie z nami wtedy stanie? Czy uda sie nam pomyslnie trwac pod nowym panowaniem, czy tez nastawia zapalnik na powszechne unicestwienie? I czy w obu przypadkach szybkie zniszczenie wampira Lestata nie odwróciłoby biegu wydarzen?

Plan: zniszczyc wampira Lestata i wszystkich jego popieczników, kiedy tylko osmiela sie pokazac. Zniszczyc wszystkich, którzy okaza mu lojalnosc.

Ostrzezenie: nie da sie zaprzeczyc, ze sa na swiecie inni bardzo starzy krwiopijcy. Wszyscy od czasu do czasu przelotnie ich widujemy badz czujemy ich obecność. Sprawy ujawnione przez Lestata sa nie tyle wstrzasem, ile ostroga dla naszej uspionej czastki swiadomosci. Obdarzona wielkimi mocami starszyzna na pewno slyszala muzyke Lestata. Jakie wiekowe i straszliwe istoty, pobudzone przeszloscia, własnym interesem lub chocby znajomoscia sprawy, ciagna z wolna i niepowstrzymanie w odpowiedzi na jego wezwania?

* * *

Kopie tego oswiadczenia rozeslano do kazdego miejsca spotkan Wampirzego Zjednoczenia i kazdego domu sabatowego na calym swiecie. Jednak niezaleznie od tego musicie wziac sobie do serca te sprawe i rozeslac wici: wampir Lestat ma byc zniszczony, a z nim jego matka, Gabriela, jego popiecznicy, Louis i Armand, a takze kazdy smiertelny lojalny wzgledem niego.

Szczesliwego Halloween, chlopcy i dziewczeta wampiry. Postarajmy sie byc na koncercie. Postarajmy sie, zeby wampir Lestat nigdy z niego nie wyszedl.

* * *

Blond osobnik w czerwonej welwetowej kurtce kolejny raz czytala oswiadczenie. Zajmowal wygodny punkt obserwacyjny gleboko w kacie. Jego oczy byly prawie niewidoczne, przyslониete mocno przyciemnionymi szklami i rondem popielatego kapelusza. Na dloniach mial popielate zamszowe rekawiczki; siedzial oparty o wysoka czarna boazerie, ramiona skrzyzowal na piersi, a obcas zahaczyl o krzeslo.

- Lestacie, niedoscigniony dran z ciebie! - szepnal pod nosem. - Jesteś księciem wśród lobuzów. - Rozesmial sie cicho. Potem uwaznie przesunal wzrokiem po duzej zacienionej sali.

Z przyjemnoscia ocenial freski na bialej gipsowej scianie - rysunek czarnym atramentem, misterny jak pajeczka siec. Byl urzeczony zrujnowanym zamkiem, cementarzem, uschnietym drzewem siegajacym tarczy księzyca rozcapierzonymi konarami. Calym sercem pochwalal wybór artysty i banalny temat wydawal mu sie swiezy, jakby nie ograny. Znakomita byla tez sztukateria sufitu, fryz ze swawolacymi diabłami i wiedzmami na miotłach. No i kadzidlo, slodka stara hinduska mieszanka, która wieki temu sam zapalil w

sanktuarium Tych Których Należy Miec w Opiece.

Tak, to było jedno z piękniejszych tajnych miejsc schadzek.

Mniej przyjemni byli ci, którzy je wypełniali, zbieranina wychudłych białych postaci, przesiadujących nad świeczkami przy hebanowych stoliczkach. Zbyt wielu ich, jak na to cywilizowane nowoczesne miasto. Sami zresztą dobrze o tym wiedzieli. Żeby zapolować dziś w nocy, beda musieli rozproszyć się szeroko i daleko; młodziki zawsze muszą polować, muszą zabijać - ich głód jest zbyt wielki, aby można było zaspokoić go inaczej.

Teraz jednak myśleli wyłącznie o nim - kim jest, skąd przybywa? Czy jest bardzo stary, bardzo silny i co uczyni, zanim opuści to miejsce? Zawsze te same pytania, chociaż wślizgując się do barów wampirów, starał się przybierać wygląd przeciętnego krwiopijcy-obieżyswiata; nie patrzył nikomu w oczy, nie dopuszczał nikogo do swoich myśli.

Czas zostawić ich ze swoimi pytaniami. Zdobył to, co chciał, zapoznał się z ich intencjami. I miał w kieszeni kurtki małą kasetę magnetofonową z nagraniami Lestata. Zanim powróci do siebie, zdobędzie jeszcze taśmę z wideoklipami.

Skierował się do wyjścia. Wraz z nim podniósł się również jeden z młodzików. Zapadła głucha cisza, zarówno w myślach, jak i na sali, kiedy obaj zbliżali się do drzwi. Poruszały się tylko płomyki świec, a falowanie ich odbić w czarnych płytkach podłogi sprawiło, że zadrzała jak lustro wody.

- Skąd jesteś, nieznajomy? - zapytał uprzejmie młodzik. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, kiedy umarł, a i to nie mogło być dawniej niż dziesięć lat temu. Malował sobie powieki, powlekał woskiem wargi, kładł na włosy krzyżącą farbę, jakby nie wystarczały mu nadnaturalne zdolności. Wyglądał ekstrawagancko, jakże inaczej od niego samego, rzadkiego i potężnego ducha, który przy pewnym szczęściu przetrwa tysiąclecia.

Co takiego mu proponowali w swoim współczesnym żargonie? Że powinien poznać Bardo, Astralną Równinę, eteryczne światy, muzykę sfer, dźwięk jednej klaszczącej dłoni?

- Jakie jest twoje stanowisko wobec wampira Lestata i w sprawie Oświadczenia? - odezwał się znowu tubylec.

- Zechciej mi wybaczyć. Wychodzę.

- Ale przecież wiesz, co zrobił Lestat - naciskał młodzik, wsunawszy się między niego i drzwi.

To już było sprzeczne z dobrymi manierami. Uważnie przyjrzał się młodemu zuchwalcowi. Czy powinien zrobić coś, co ich poruszy, co sprawi, że beda mieli o czym mówić przez wieki? Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Lepiej jednak nie. Już niebawem będzie aż nadto podniecających wydarzeń dzięki jego ukochanemu Lestatowi.

- Pozwól, że w odpowiedzi dam ci drobna radę - rzekł spokojnie młodemu inkwizytorowi. - Nie możecie zniszczyć Lestata, nikt nie może tego dokonać. A dlaczego tak jest, tego nie potrafię wam powiedzieć, możecie mi wierzyć.

To zaskoczyło młodzika i trochę go uraziło.

- Pozwól jednak, że teraz ja zadam ci pytanie - kontynuował jego rozmówca. - Czemu ta obsesja na

punkcie wampira Lestata? Co z jego rewelacjami? Czy wy, pisklaki, nie pragniecie szukać Mariusza, strażnika Tych Których Należy Mieć w Opiece? Nie pragniecie ujrzeć na własne oczy Matki i Ojca?

Młodziak zmieszal się, po czym stopniowo zaczęły w nim rosnąć opór i zaciętrzewienie. Nie potrafił sformułować jasnej odpowiedzi, ale replika wyraźnie zarysowała się w jego sercu - Ci Których Należy Mieć w Opiece może istnieć, a może nie; Mariusz może również nie istnieć. A wampir Lestat jest prawdziwy, tak prawdziwy, jak tylko ten zuchwały niesmiertelny mógł sobie wyobrazić, i jest chciwym czartem, który za cenę pokłasku i uwielbienia śmiertelnych ryzykował utratę prosperity wszystkich swoich pobratymców.

M mało brakowało, a rozesmiałby się młodzikowi w twarz. Cóż za bezsensowna potyczka. Trzeba przyznać Lestatowi, że przepięknie rozumiał te wyzbyta wiary epoki. Tak, zdradził sekrety, przed których wyjawieniem go ostrzegano, ale czyniąc to, nie zdradził niczego i nikogo.

- Uwiedzajcie na wampira Lestata - powiedział z uśmiechem na zakończenie. - Bardzo niewielu prawdziwych niesmiertelnych chodzi po tej ziemi. Może być jednym z nich. - Po czym uniósł młodzika z podłogi, usuwając go sobie z drogi, minal próg i wszedł do głównej sali tawerny.

Frontowe pomieszczenie, przestronne i bogato obwieszane czarnymi aksamitnymi portierami i kinkietami z lakierowanego brązu, szczelnie zapelniali hałasliwi śmiertelni. Filmowe wampiry roziskrzonym wzrokiem spoglądały z pozłacanych ram wiszących na zasłoniętych satyną ścianach. Rozbrzmiewające wokół dźwięki organowej toccaty i fugi Bacha dyszały namietnością, rozmywane gwarem rozmów i gwałtownych wybuchów pijackiego śmiechu. Uwielbiał widok tak intensywne objawów życia, uwielbiał nawet zadomowiony tu od dobrych stu lat zapach dobrej whisky, wina i papierosów. A gdy przedzierał się do drzwi, z równym uwielbieniem witał napór miękkih, pachnących ludzkich ciał. Uwielbiał to, że żywi nie poświęcali mu krzty uwagi.

Nareszcie wilgotne powietrze, chodniki Castro Street kipiące tłumami wczesnego popołudnia. Niebo nadal słało polysk polerowanego srebra. Ludzie biegali chyżo we wszystkich kierunkach, uciekając przed lekko zacinającym deszczem, ale na próżno; wielkie, wylupiające światła zatrzymywały ich na rogach ulic, by dopiero po dłuższej chwili mrugnięciem zezwolic na przejście.

Głos Lestata dudnił z głośników ustawionych przed sklepami muzycznymi, pokonując warkot przejeżdżających autobusów i syk opon na mokrym asfalcie:

W moich snach jest moja tak,

Anioł, kochanka, matka.

I w moich snach znam smak jej warg,

Kochanki, muzy, córki.

Dała mi życie,

A ja jej śmierć,

Mojej pięknej markizie.

Diablim Szlakiem szliśmy wtedy,

Sieroty, ale razem.

Czy w noc dzisiejsza słyży mój śpiew
o królach, królowej, prawdach prawnecznych?

Złamanych przysięgach, smutku?

Czy też podaża daleka ścieżka,
gdzie nie dociera rym ani śpiew?

Wróć do mnie, piękna Gabrielo,
Moja piękna markizo.

Ruiny zamku straszą na wzgórzu,
Wioska tonie pod śniegiem,
Lecz ty jesteś moja na zawsze.

Czy ona, jego matka, już tam jest?

Słowa ucichły w łagodnym poszumie elektrycznych instrumentów, po czym pochłonęły je przypadkowe hałasy ulicy. Szedł dalej spacerowym krokiem, oprószony mokrą bryzą, kierując się do rogu. Sprzedawca kwiatów nadal oferował swój towar pod markizą. Rzeźnik miał zalew klientów, którzy dopiero co skończyli pracę. Za witrynami knajpek śmiertelnie jedli późny obiad albo po prostu ociągali się z powrotem do domów, czytając gazete. Spore gromadki czekały na autobus jadący w dół wzgórza, a przed starym kinem naprzeciwko ustawiała się kolejka.

Ona, Gabriela, była tam. Miał coś do tego nieuchwytnie, niemniej jednak niezawodne przeczucie.

Kiedy dotarł do rogu, zatrzymał się i oparł o słup żelaznej latarni; wdychał sypływający od gór świeży wiatr. Miał przed sobą piękną panoramę śródmieścia wzdłuż szerokiej prostej Market Street. Zupełnie

jak widok paryskiego bulwaru. A wszędzie dokola łagodne stoki miasta osłonięte wesoło rozjasnionymi oknami.

Tak, ale gdzie ona teraz jest?

- Gabrielo... - szepnął.

Zamknął oczy. Słuchał. Napłynął ku niemu nieogarniony zgiełk tysięcy głosów, wielość nakładających się na siebie obrazów. Groziło mu, że cały świat otworzy się i pochłonie go swoją nieustająca skarga.

- Gabrielo!...

Ogluszająca wrzawa cichła niespiesznie. Zauważył przeblask bólu u przechodzącego śmiertelnika, a w wieżowcu na wzgórzu umierająca kobieta wspominała dzieciństwo, siedząc apatycznie w oknie. Wtem napłynęła cisza, nieruchoma i ciężka jak gesta mgła. I zobaczył to, co chciał zobaczyć - Gabriele. Zatrzymała się jak wryta. Usłyszała go. Wiedziała, że jest obserwowana. Wysoka blondynka z warkoczem opadającym na plecy stoi nieopodal na jednej z czystych, wyludnionych ulic śródmieścia. Ma na sobie kurtkę khaki, spodnie od kompletu i znoszony brązowy sweter. Kapelusz, bliźniaczo podobny do jego nakrycia głowy, zakrywa jej oczy, widac tylko skrawek twarzy nad podniesionym kołnierzem. Zamknęła swój umysł, skutecznie okrywając się niewidzialną tarczą. Obraz znikł.

Tak, jest tutaj, czeka na swojego synka, Lestata. Czemu się o nią lekał - on, pełen chłodu, który nie leka się o nikogo poza Lestatem? Nie ma powodu do obaw. Był zadowolony. Lestat też będzie.

Lecz co z innymi? Co z Louisem, łagodnym Louisem o czarnych włosach i zielonych oczach, który chadzał beztrosko, nie zważając na to, że każdy może usłyszeć jego głosne kroki, a nawet pogwizdywał na mrocznych ulicach, tak że śmiertelnicy słyszeli jego nadejście.

Prawie natychmiast ujrzał Louisa wchodzącego do pustego salonu. Dopiero co wyszedł z ukrytej w murze piwnicznej krypty, gdzie przespał cały dzień. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy, że jest obserwowany. Lekkim krokiem przeciął zakurzony pokój i przystanął, spoglądając przez zabrudzone okno na gęsty strumień pojazdów w dole. To był ten sam stary dom przy Divisadero Street. A ten elegancki i zmysłowy osobnik, który przysporzył pokaznego zamieszania swoją opowieścią w „Wywiadzie z wampirem”, wcale się tak bardzo nie zmienił. Poza tym, że teraz czekał na Lestata. Tej nocy miał niespokojne sny; bał się o przyjaciela, gnębiły go stare i nowe tęsknoty.

Niechętnie rozstał się z tym wizerunkiem. Darzył Louisa wielkim uczuciem. Niezbyt to madre z jego strony, ponieważ wyedukowany Louis miał wrażliwą duszę i ani krztę oszalamiającej potęgi Gabrieli i jej potomka z piekła rodem. Niemniej jednak z pewnością mógł przetrwać równie długo jak oni. Jakże przedziwna to odwaga, która pozwala znieść razy cierpienia. Może jej źródłem jest pokora ducha. Ale w takim razie jak zrozumieć Lestata - pokonanego, poranionego, a jednak dzwigającego się z kolan? Lestata bez cienia pokory?

Gabriela i Louis jeszcze nie odnaleźli się nawzajem. Nie szkodzi. Co miał zrobić? Połączyć ich? Co za myśl... Poza tym Lestat niebawem go w tym wyreczy. Więc tylko się uśmiechał.

- Lestacie, niedościgniony dran z ciebie! Tak, jesteś księciem wśród łobuzów.

Niespiesznie przywołał w pamięci każdy szczegół oblicza i postaci Lestata. Lodowato błękitne oczy, ciemniejące w chwilach rozbawienia; szczodry uśmiech; brwi zbiegające się w wyrazie chłopięcego zachmurzenia; nagle wybuchy dobrego nastroju i bluźnierczego humoru. Potrafił nawet wyobrazić sobie

kocia gracje jego ruchów, jakże niespotykana u mężczyzny atletycznej budowy. I co z niego za silacz, silacz nad silacze, pełen nieokiełznanego optymizmu.

Prawde mówiac, nie miał wyważonego sadu na temat całego przedsięwzięcia, był jedynie rozbawiony i zafascynowany. Oczywiście nie było mowy o tym, by mścić się za opowieści o jego sekretach. Tamten niewatpliwie na to liczył, ale nie mógł być tego pewny. A może miał to serdecznie w nosie? On sam wiedział o tym nie więcej niż tamci durnie w tylnej sali.

Co istotne, to fakt, że po raz pierwszy od wielu lat niespodziewanie dla samego siebie myślał w kategoriach przeszłości i przyszłości; precyzyjnie zdawał sobie sprawę z natury tej epoki. Nawet dzieci Tych Których Należy Miec w Opiece traktowały ich jak bajeczki! Dawno minęły czasy, w których zapalczywe krwiopijcze hultajstwo szukało sanktuarium Matki i Ojca i ich potężnej krwi. Nikt już w nich nie wierzył i nikt o nich nie dbał!

Taki był w istocie ten wiek; współczesni śmiertelni mieli niesłychanie praktyczne nastawienie, odrzucające każdy przejaw cudowności. Z bezprecedensową odwagą oparli swoje etyczne osiągnięcia bezpośrednio na fundamencie realizmu.

Dwście lat temu na pewnej wyspie na Morzu Śródziemnym on i Lestat dokładnie przedyskutowali te sprawy, owo marzenie o moralnym świecie bez boga, świecie, w którym jedynym dogmatem byłaby miłość bliźniego. Świecie, do którego nie należymy - pomyślał. A teraz taki właśnie świat był bliski urzeczywistnienia. Wampir Lestat przeszedł do pop-kultury, dokąd wszystkie stare czarty powinny się wynieść i zabrać ze sobą całe to przeklezione plemię, również Tych Których Należy Miec w Opiece, chociaż ci może nigdy się o tym nie dowiedzą.

Na myśl o symetrii tego wszystkiego nie mógł się nie usmiechnąć. Przylapał się na tym, że nie tylko podziwiał czyny Lestata, ale jest pod ich przemożnym urokiem. Rozumiał potęgę syreniego głosu sławy.

Ależ tak, on też przeżył chwile bezwstydnego zachwytu, widząc swoje imię nabazgrane na murze baru. Śmiał się wtedy; ale był to śmiech radosny.

Wystarczyło dać Lestatowi pole do popisu, by stworzył tak inspirującą sytuację, i proszę!... Stało się. Lestat, niesforny bulwarowy aktorzyzna ancien regime'u, wyniesiony na piedestał gwiazdy w pięknej i niewinnej epoce.

Ale czy miał rację, wygłaszając piskłakom w barze swoje kazanie i twierdząc, że nikt nie potrafi zniszczyć lobuzerskiego księcia? To była czysta fikcja. Dobra reklama. Prawde powiedziawszy, każdy z nas może być zniszczony... - pomyślał. - Jak nie tak, to inaczej. Nawet Ci Których Należy Miec w Opiece.

Oczywiście były słabe, te nieopierzone Dzieci Ciemności, jak same siebie nazywały; a przez swoją mnogość wcale nie zyskiwały na sile. Lecz co ze starszyzną? Gdyby tylko Lestat nie wywoływał imion Maela i Pandory. Ale czy są krwiopijcy jeszcze starsi niż tamci, tacy, o których on sam nie wie? Pomyślał o ostrzeżeniu na ścianie: „Straszliwe istoty... podążają z wolna, nieustepliwie, w odpowiedzi na jego wezwanie”.

Zaskoczyło go drzenie, chłód, a przez chwilę wydawało mu się, że widzi dzungle - zielone, cuchnące miejsce przytłoczone chorobliwym parzącym upałem. Wizja przepadła, nie wyjaśniona, jak wiele innych naprzykrzających się objawień i znaków. Dawno temu nauczył się stawiać tamte nieskonczonej strudze głosów i obrazów, napierającej nian z racji jego umysłowych zdolności; a jednak czasem przebijało się coś gwałtownego i nieoczekiwanego - jak nagły krzyk.

Mniejsza z tym, dosyc sie tu nasiedzial. Przestal sie kontrolowac i byl gotów interweniowac w kazdej sytuacji! Ta uleglosc wobec cieplej fali uczucia wzbudziła w nim zlosc na samego siebie. Nalezalo juz wrócić do domu. Nazbyt dlugo bawil w oddaleni u od Tych Których Należy Miec w Opiece.

Jakze uwielbial widok kipiacego energia ludzkiego tlumu i niezbornej, polyskliwej parady ulicznego ruchu. Nie przeszkadzaly mu nawet trujace wyziwy wielkiego miasta. Nic nie moglo przebic fetoru starozytnego Rzymu, Antiochii lub Aten - metropolii, gdzie widziane co krok zwaly odpadków byly pokarmem dla much, a powietrze przesycal nieodlaczny smród choroby i niedostatku. Tak, tak, lubil pastelowe miasta Kalifornii. Mógłby pozostac na zawsze wsród tutejszych trzewo myslacych i wiedzacych czego chca mieszkanców.

Jednak musial wracac do domu. Koncert bedzie juz niebawem i wtedy, jesli zechce, spotka sie z Lestatem... Cóz za rozkosz nie wiedziec dokladnie, co zdecyduje sie zrobic, zupełnie jak inni, inni, którzy nawet nie wierza w jego istnienie!

Przecial Castro Street i szybko wszedl na szeroki kraweznik Market. Wiatr przycichl; powietrze bylo niemal cieple. Podadal rzeskim krokiem; nawet pogwizdywal do siebie, tak jak to czesto robil Louis. Czul sie dobrze. Czul sie czlowiekiem. Nagle przystanal przed sklepem ze sprzetem radiowym i telewizyjnym. Na kazdym, ale to kazdym ekranie widac bylo spiewajacego Lestata.

Rozesmial sie pod nosem, widzac ten wielki show gestu i ruchu. Dzwiek byl wylaczony, ukryty pod jarzacy mi si e pokretlami odbiorników. Musialby go dopiero szukac. Ale czyz ogladanie wystepów jasnowlosego ksiecia-lobuziaka w bezlitosnej ciszy nie mialo w sobie pewnego uroku?

Kamera odjechala, ukazujac postac Lestata grajacego na skrzypcach jakby w pustce. Od czasu do czasu zamykal si e wokól niego rozgwiezdzony mrok. Wtem, zupełnie nagle, otworzily si e dwuskrzydlowe drzwi - wypisz, wymaluj stare sanktuarium Tych Których Należy Miec w Opiece! A w nim Akasza i Enkil, czy tez raczej aktorzy ucharakteryzowani na bialoskórych Egipcjan, o dlugich czarnych wlosach, cienkich jak jedwabna nic, przybrani w migotliwa bizuterie.

Oczywiscie. Jak mógł nie przewidziec, ze Lestat doprowadzi do tego wulgarnego i prowokacyjnego ekstremum? Pochylony, wsluchiwal si e w przekaz dzwieku. Glos Lestata górowal nad skrzypcami:

Akaszo! Enkilu!

Tajemnic strzezcie,

Milczenia strzezcie.

To lepszy dar niz prawda.

Gdy skrzypek przymkнал oczy, skupiony na swojej grze, Akasza powoli uniosla si e z tronu. Na ten widok skrzypce wypadly z rak Lestata; objela go niczym tancerka, przyciagnela do siebie, pochylila si e, przyciskajac jego zeby do swojej szyi, aby zaczerpnal jej krwi.

Bylo to znacznie lepsze, niz mógł sobie wyobrazic - tak sprytnie zostalo spreparowane. Teraz Enkil

oknał się ze snu, powstał i ruszył ciężkim krokiem niczym wielka mechaniczna lalka, by odzyskać swoją królową. Lestat wylądował na podłodze świątyni jak smieć. Koniec filmiku. Akcja ratunkowa Mariusza pominięto.

- Och, więc nie sadzone mi zostać gwiazdą telewizji - szepnął z lekkim uśmiechem. Podszedł do wejścia prawie ciemnego sklepu.

Oczekująca młoda kobieta wpuściła go do środka. W dłoni miała czarną kasety wideo.

- Jest tego dwanaście - powiedziała. Piękna ciemna cera, wielkie senne oczy. Światło zaskrzyło się na srebrnej bransoletce. Było w tym coś nieczystego. Wzięła pieniądze z wdzięcznością, nie licząc. - Pokazywano je na wielu kanałach. Udało mi się nagrać wszystkie. Skończyłam wczoraj wieczorem.

- Dobrze mi się przysłużyłaś - odparł. - Dziękuję ci. - Wyjął kolejny gruby plik.

- Nie ma sprawy - powiedziała. Nie chciała dodatkowej zapłaty.

Bierz - nakazał jej w myślach.

Odebrała je ze wzruszeniem ramion i włożyła do kieszeni.

Nie ma sprawy. Uwielbiał te zgrabne współczesne powiedzonka. Uwielbiał nagle kolysanie soczystych piersi, gdy wzruszyła ramionami, i obrót gibkich bioder pod szorstkim dzinsem, dzięki któremu jej skóra wydawała się tym gładziej, a cała postać - delikatniejsza. Jak technicy światłem kwiat. Kiedy znów otworzyła mu drzwi, musiał gładko koronę kasztanowych włosów. To wcale nie do pomysłenia nakarmić się kims, kto ci się przysłużył, kims tak niewinnym. Nie powinien być tego robić! A jednak urekawiczone dłonie przemknęły po włosach, łagodnie unieruchomiły głowę.

- Pocałunek motyla, mój skarbie.

Zamknęła oczy; kły natychmiast przeszły arterie, siorbał krew. Przekaska, nie więcej. Drobnie smagniecie zaraz, w jednej chwili wygasającego w sercu. Cofnął zęby, pieszcząc jeszcze wargami delikatną szyję. Czuł puls. Łaknienie było prawie nie do zniesienia. Grzech i pokuta. Puscil ją. Patrzył w zamglone oczy, wygładził miękkie, sprężyste kędziory.

Nie pamiętaj - nakazał.

- To do widzenia - powiedziała, uśmiechając się.

* * *

Stał bez ruchu na wyludnionym chodniku. Głód, zignorowany i nadany, stopniowo wygasł. Mariusz spojrzął na kartonową okładkę kasety wideo.

„Jest tego dwanaście - powiedziała. - Udało mi się nagrać wszystkie”. Jeśli tak, to jego podopieczni już z pewnością widzieli Lestata na wielkich ekranach umieszczonych przed nimi w świątyni. Dawno temu zainstalował na stoku talerz odbiornika telewizji satelitarnej, odbierający transmisje z całego świata. Niewielki zaprogramowany konwerter zmieniał kanał co godzina. Przez lata wpatrywali się obojętnie w barwne obrazy zmieniające się przed ich martwymi oczami. Czy drgnęły w najmniejszym chociaż stopniu,

kiedy używano nazwiska Lestata lub pojawiała się jego postać? Lub gdy ich imiona padały w niby-hymnach?

No cóż, niebawem się dowie. Odtworzy im te kasete. Przyjrzy się uważnie zastygłym, lśniącym twarzom, szukając czegoś - czegośkolwiek - poza samym odbiciem światła.

- Ach, Mariuszu, ty nigdy nie poddajesz się rozpacz, prawda? Z tymi twoimi głupimi marzeniami jesteś nie lepszy niż Lestat.

* * *

Zanim dotarł do siebie, była północ.

Zamykając stalowe drzwi, zostawił za sobą zacinający śnieg i przez chwilę stał bez ruchu, wchłaniając otulinę rozgrzanego powietrza. Zadymka, przez którą się przebijał, posiekała mu twarz i uszy, a nawet ochronione rekawiczkami dłonie. Jak dobrze było zakosztować ciepła.

Przez chwilę wsłuchiwał się w milczeniu w znajome dźwięki monstrualnych generatorów i odległe pulsowanie odbiorników telewizyjnych w świątyni, setki metrów poniżej. Czy to Lestat? Tak. Niewątpliwie ostatnie zalobne pienia jakiegos przeboju.

Powoli zsunął rekawiczki z dłoni, zdjął kapelusz i przeczesał dłońmi włosy. Uważnie rozejrzał się po wielkim holu i przyległym salonie, szukając najbliższego śladu czyjejs bytności.

Oczywiście było to w zasadzie niepotrzebne. Znajdował się wiele kilometrów od ostatniej osady na tym wielkim, pokrytym lodem i śniegiem pustkowiu. Ale siła przyzwyczajenia dokładnie przyjrzał się wszystkiemu, jak zawsze. Byli tacy, którzy potrafiliby wdrzeć się do tej fortecy, gdyby tylko wiedzieli, gdzie jest.

Wszystko w porządku. Stał przed wielkim akwariem, ogromnym, sięgającym sufitu zbiornikiem zapełnianym południową ścianą. Z jaką ostrożnością zbudował je z najtwardszego szkła i zaopatrzył w najlepsze urządzenia. Obserwował lawicę wielobarwnych ryb przemykających jak w tancu i zawracających nagle w sztuczny mrok. Pod wpływem łagodnego ciśnienia wytworzonego przez aparat do nasycania powietrzem gigantyczny wodorost zakolysał się jak las spętany hipnotycznym rytmem. To zawsze pochłaniało Mariusza, niespodziewanie zniewalało go widowiskowa monotonia. Okrągłe czarne oko ryby wzbudzało w nim drzenie, łagodne, szczuple odrosła podwodnej roślinności wzniewały niezrozumiałe zachwyty; jądrem zachwyty był jednak ruch, bezustanny ruch.

Wreszcie odwrócił się, tylko raz spoglądając za siebie na czysty, nieswiadomy świat, którego piękno rodziło się z przypadku.

Tak, tutaj wszystko w porządku.

Dobrze było znaleźć się w tych ciepłych wnętrzach. Nie brakowało żadnego z miękkich skórzanych mebli rozstawionych na puszystym dywanie koloru winorośli. Kominiek wypełniony drewnem. Regaly z książkami wzdłuż ścian. A oto ogromna wieża sprzętu elektronicznego, czekająca na kasetę Lestata. To właśnie miał zamiar zrobić; zasiasc przy kominku i obejrzeć wszystkie wideoklipy, sekwencja po sekwencji. Technika produkcji intrygowała go w równym stopniu jak same piosenki, fascynujące było owo współbrzmienie starego i nowego - takie wykorzystanie uludnego zwierciadła mass mediów, ze

znakomicie przybrany w kostium smiertelne go rockmana Lestat śmiało mógł się kreować na boga.

Zdjął z ramion szarą oponczkę i rzucił ją na krzesło. Skąd to niespodziewane uczucie przyjemności, które wywoływała w nim ta cała afera? Czy wszyscy tęsknimy za bluznierstwem, za tym, żeby wymachiwać piściami przed obliczem bogów? Być może. Wieki temu, w „starożytnym Rzymie”, Mariusz, dobrze wychowany chłopiec, zawsze zasmiewał się do łez z kpin rozwydrzonej dzieciarni.

Naturalnie pierwsze, co powinien zrobić, to udać się do świątyni. Tylko na chwilę, by upewnić się, że wszystko jest, jak być powinno. Sprawdzić telewizję, ogrzewanie, cały skomplikowany układ elektryczny. Położyć świeże węgielki i wonności w kadzielnicy. Tak łatwo było stworzyć im raj; jarzeniowe światło zastępowało słońce, karmiac drzewa i kwiaty, które nigdy nie widziały nieba. Ale pachnidła... To musiało być zrobione ręcznie, jak zawsze. I nigdy się nie zdarzyło, by sypiąc je na węgielki, nie wspomniał tamtego pierwszego razu.

Czas również wziąć kawalek delikatnej materii i starannie, z szacunkiem zetrzeć z Rodziców kurz - z ich twardych ciał, nawet z warg i z oczu, zimnych nieruchomych oczu. Pomysleć, że minął już cały miesiąc. Wstyd.

Tęskniliscie za mną, moi kochani, Akaszo, Enkilu? - Któryż to raz zadawał im w myślach to pytanie.

Rozum podpowiadał mu jak zawsze, że nie wie o jego obecności lub też, że jest im ona zupełnie obojętna. Ale duma niezmiennie igrała z inną możliwością. Czy niebezpieczny szalenię zamknięty w pojedynczej celi nie czuje nic wobec niewolnika przynoszącego mu wodę? Może nie było to zgrabne porównanie. A z pewnością niezbyt mile.

Tak, to prawda, kiedyś wyszli ze stanu zniechęcenia dla Lestata, łobuzerskiego księcia - Akasza, by ofiarować mu swoją krew zapewniającą potęgę, a Enkil, by się zemścić. Lestat mógł nagrywać o tym wideoklipy przez całą wieczność. Lecz czy nie dowodziło to jedynie, że w żadnym z nich nie było już cienia żywej myśli? Z pewnością zapłonęła w nich przez chwilę jedynie iskra atawistycznego żaru; narzucenie im z powrotem milczenia i hieratycznej pozy było aż nazbyt proste.

Niemniej jednak tamto zdarzenie przysporzyło mu goryczy. Przecież nigdy nie pragnął wzbic się ponad uczucia człowieka myślącego, raczej zależało mu na ich wysubtelnieniu, odczytaniu na nowo, cieszeniu się nimi w duchu nieskonczenie doskonałego zrozumienia. A w tej właśnie chwili kusilo go, aby skierować się przeciwko Lestatowi z aż nazbyt ludzką furją.

Młoda istota - myślał - czemu nie zabierzesz Tych Których Należy Mieć w Opiece, skoro potraktowali cię z taką niezwykłą przychylnością? Chciałbym się już ich pozbyć. Dzwigam ten ciężar od brzasku chrześcijaństwa.

W głębi serca jednak tak nie czuł. Ani kiedyś, ani teraz. To tylko chwila słabości. Kochał Lestata jak zawsze. Każde królestwo potrzebuje królewicza rozrabiaki. A milczenie króla i królowej było może w równej mierze błogosławieństwem i przekleństwem. W tym względzie słowa piosenki Lestata mówiły prawdę. Komu i kiedy jednak uda się rozwiązać ten problem?

Zejdźcie później na dół z kaseta i oczywiście obejrzyj ją sam. Gdybyz wzbudziła najmniejsze drżenie, najmniejsza zmiana ich wielowiekowego spojrzenia. Ech, znowu zaczyna się to samo... Lestat sprawia, że stajesz się młody i głupi, gotowy karmić się niewinnością i śnić o kataklizmach.

Ile to razy przez wieki budziły się takie marzenia, pozostawiając jedynie uczucie zranienia, a nawet ból pękniętego serca. Przed laty przyniósł Rodzicom kolorowe filmy z panoramą wschodzącego słońca,

blekitnego nieba, piramid Egiptu. Ach, to był cud! Mieli przed oczami skapane w słońcu, plynące wody Nilu. On sam płakał wobec perfekcji iluzji. Lekal się nawet, że filmowe słońce może go zniszczyć, chociaż oczywiście wiedział, że to niemożliwe. Ale taki był kaliber tego wynalazku, że mógł stać, przyglądając się wschodowi słońca, jakby nie widział go od czasów, gdy był człowiekiem śmiertelnym.

Ci Których Należy Miec w Opiece patrzyli z niezmacona obojętnością, a może ze zdumieniem - wielkim, niezmaconym zdumieniem, iż cząsteczki kurzu w powietrzu mogą być źródłem nie kończącej się fascynacji.

Kto to wie? Oni przeżyli cztery tysiące lat, zanim się urodził. Może ich telepatyczny słuch był tak ostry, że głosy świata huczały im w głowach; może oslepili ich miliardy ruchomych obrazów. Przecież te rzeczy doprowadzały go prawie do szalenstwa, zanim nauczył się je kontrolować.

Przyszło mu nawet do głowy, żeby wykorzystać narzędzia nowoczesnej medycyny i założyć im na głowy elektrody, które sprawdzają funkcjonowanie mózgow! Jednak pomysł użycia takich topornych i wstretnych instrumentów był za bardzo niesmaczny. Przecież to jego król i jego królowa, Rodzic i Macierz całego gatunku. Od dwóch tysięcy lat panowali pod jego dachem i nikt nie śmiał rzucić im wyzwania.

Musiał przyznać się do jednego błędu. Od dawna przemawiał do nich kwasnym tonem. Kiedy wchodził do sanktuarium, nie zachowywał się już jak arcykapłan. Nie. W jego tonie było coś dwuznacznego i sarkastycznego, nad co powinien się wznieść. Może odzywał się w nim ten, jak go teraz nazywano, „uszczypliwy ton”. Jakże jednak funkcjonować w świecie lotów na Ksieżyce bez nieznoszącej samoswiadomości czającej się w każdej trywialnej sylabie? A on nigdy nie był obojętny na współczesny styl.

Bez względu na wszystko musi teraz iść do świątyni i oczyścić swoje myśli jak należy. Nie wniesie ze sobą urazy ani rozpacz. Później, gdy już sam obejrzy taśmy, pokaże je królowi i królowej, pozostając obok, by ich obserwować. Na razie brakowało mu do tego wytrwałości.

Wszedł do stalowej windy i nacisnął guzik. Potężny jęk elektroniki i nagle utrata grawitacji dostarczały mu lekkiej zmysłowej przyjemności. Świat tej ery był pełen dźwięków, których nigdy wcześniej nie słyszał. To było wielce odświeżające. A dodatkowo towarzyszyła mu cudowna świadomość opadania przez setki metrów zwartego lodu do oświetlonego elektrycznością sanktuarium.

Otworzył drzwi i wszedł do korytarza. W świątyni znów słychać było Lestata śpiewającego szybko, radośniejszą piosenkę; jego głos pokonywał huk bebnów i przetworzone, zawodzące jęki instrumentów elektronicznych.

Cos jednak było nie w porządku. Wystarczyło się rozejrzeć. Dźwięk brzmiał zbyt głośno, zbyt czysto. Przedpokoje świątyni stały otworem!

Natychmiast podszedł do wejścia. Elektryczny zamek otwarty, a drzwi szeroko uchylone! Jak mogło do tego dojść? Tylko on znał szyfr, który należało wystukać na miniklawiaturze. Druga para drzwi również była szeroko otwarta, podobnie trzecia. Prawde powiedziawszy, mógłby zajrzeć do samego sanktuarium, gdyby nie biała marmurowa ściana malej alkowy. Czerwone i niebieskie błyski telewizyjnego ekranu w głębi przypominały światło staromodnego gazowego kominka.

Głos Lestata odbijał się potężnym echem od marmurowych ścian i beczkowanych sklepień.

Zabija nas, moi bracia i siostry,

Wojna wybuchła.

Zrozumcie, co widzicie,

Kiedy widzicie mnie.

Wztał długi, swobodny oddech. Poza muzyka, która gasła, zastępowana przez bezosobowa paplaninę śmiertelników, nie było nic słychać. Żadnego obcego. Żadnego, wiedziałby o nim. Nikogo w jego leżu. Instynkt mówił mu to bez żadnych wątpliwości.

W piersiach zakłulo go. Poczłł nawet ciepło na twarzy. To doprawdy niezwykle.

Minał marmurowe przedpokoje i przystanął przed drzwiami alkowy. Czyżby się modlił? Czyżby snił? Wiedział, co zaraz zobaczy: Tych Których Należy Miec w Opiece, takich samych jak zawsze. A potem będzie rozczarowanie, okaże się, że to tylko zwarcie w obwodzie elektrycznym, wybity bezpiecznik.

Nie człł strachu, lecz palące wyczekiwanie młodego mistyka na krawędzi wizji, który zaraz ujrzy żywego Pana lub też krwawe stygmaty na własnych nadgarstkach.

Spokojnie wszedł do sanktuarium.

Przez chwilę zmiana nie przenikała do jego świadomości. Ujrzał to, czego oczekiwał - długie pomieszczenie wypełnione drzewami i kwiatami, kamienna ława zastępująca tron, a za nią wielki telewizyjny ekran: oczy i usta pulsujące banalnym śmiechem. Wtem uzmysłowił sobie, że na tronie siedzi tylko jedna postać, i co więcej, że jest ona niemal przezroczysta! Widział poprzez nią żywe barwy odległego ekranu!

Nie, to przecież niemożliwe! Mariuszu, spójrz uważnie - rozkazał sam sobie. - Nawet twoje zmysły nie są niezawodne. - Niczym poruszony śmiertelnik złapał się za głowę, jakby chciał wziąć się w karby.

Wpatrywał się w plecy Enkila, który, chociaż wciąż czarnowłosy, stał się rzeźbą z mlecznego szkła, przez którą przenikały, zmieniając się, kolory i światła. Nagły wybuch blasku sprawił, że postać rozjarzyła się, stała źródłem promieniowania. Pokreślił głową z niedowierzaniem, po czym wstrząsnął się całym.

- W porządku, Mariuszu - szepnął. - Rób swoje krok po kroku.

Kolowrót metnych podejrzeń zawirował mu w głowie. Ktoś przyszedł, ktoś starszy i potężniejszy od niego, ktoś, kto odkrył Tych Których Należy Miec w Opiece i zrobił coś niewyobrażalnego! Wszystko to sprawka Lestata! Lestata, który wydał światu jego sekret.

Kolana ugięły się pod nim. Coś podobnego! Nie zaznał podobnych ludzkich słabości od tak dawna, że całkiem o nich zapomniał. Powoli wyjął z kieszeni lniana chusteczka do nosa. Otarł nią krwawy pot, który wystąpił mu na czoło. Potem ruszył w stronę tronu i okrzyknął go, by dotrzeć wprost przed oblicze Ojca.

Enkil był taki sam jak od dwóch tysięcy lat: czarne włosy w długich cienkich warkoczykach sięgające do ramion, szeroki złoty naszyjnik na gładkiej bezwłosej piersi, plisowany fartuszek bez zarzutu, pierścienie na nieruchomych palcach.

Jego ciało było szklane! Kompletnie puste! Nawet wielkie łśniące gałki oczne były przezroczyste; tylko tęczówki wyznaczały niewyraźne kregi. Nie, zaczekaj. Przyjrzyj się wszystkiemu. Tam widać kości z dokładnie tej samej substancji co ciało, proszę, oto są, a także delikatne serpentyny żył i arterii, i w środku coś przypominającego płuca, ale to wszystko jest teraz przezroczyste, wszystko o tej samej fakturze. Co też mu uczyniono!

To coś wciąż się zmieniało. Na oczach Mariusza traciło mleczny walor. Schło, stawało się coraz bardziej przezroczyste. Dotknął ostrożnie. To bynajmniej nie szkło. Lupina.

Jego dłoń zachwiała tym czymś. Ciało zakolysało się i upadło na marmurową płytę, znieruchomiałe oczy były nadal otwarte, zeszywniałe członki zachowały poprzednią pozycję. Rozległ się szelest, z jakim owad składa skrzydła.

Poruszyły się tylko włosy. Miękkie i czarne, ale również zmienione. Rozpadały się na fragmenty, na drobne łśniące preciki. Chłodny powiew klimatyzacji rozpraszał je jak słomę. A gdy zsunęły się z gardła, ujrzał tam dwie czarne punktowe rany. Rany, które się nie zaleczyły, pobrano bowiem z nich całą uzdrowicielską krew.

- Kto to uczynił? - szepnął głośno, zaciskając w piasek dłoń, jakby to powstrzymywało go od krzyku. Kto zabrał tamto życie do ostatniej kropli?

To coś nie żyło. Nie było co do tego najmniejszej wątpliwości. Cóż takiego jednak ujawnił ten koszmarny spektakl? Nasz król, nasz Ojciec został unicestwiony, podczas gdy ja wciąż żyję, oddycham. A to może tylko oznaczać, że to ona ma pierwotną moc. Ona była pierwsza i moc zawsze w niej była. I ktoś ją zabrał!

Przeszukać piwnice. Przeszukać dom. Ale były to tylko rozgorączkowane, bezsensowne myśli. Nikt się tu nie dostał i sam dobrze o tym wiedział. Tylko jedna istota mogła dokonać tego czynu! Tylko jedna istota wiedziała, że coś takiego jednak jest w końcu możliwe.

Nie poruszył się. Wpatrywał się w postać leżącą na podłodze, patrzył, jak stopniowo traci przejrzystość. Gdyby mógł, oplakiwałby Ojca, ponieważ ktoś z pewnością winien podnieść lament. Enkil odszedł, a z nim wszystko, co wiedział, wszystko, czego był świadkiem. Enkil spotkał swój kres. To było ponad siły Mariusza. Tak mu się przynajmniej wydawało.

Jednak nie był sam. Ktoś albo coś właśnie wyszło z alkowy; czuł, że jest obserwowany.

Przez jedną bez reszty wypełnioną szalenstwem chwilę zawiesił wzrok na leżącym królu. Na tyle spokojnie, na ile był do tego zdolny, zadał sobie trud zrozumienia wszystkiego, co się wokół niego działo. Co zbliżało się bezszelestnie w jego kierunku; obeszło tron, zatrzymało się obok i stało zwiernym cieniem, widzianym kącikiem oka.

Wiedział, kto to jest, kto to musi być, i że naturalne jest, iż zbliżyło się z wdziękiem żywej istoty. Niemniej jednak w żadnej mierze nie był przygotowany na to, co zobaczył, kiedy podniósł wzrok.

Zaledwie dziesięć centymetrów za nim stała Akasza. Jej skóra była biała, twarda i nieprzezroczysta jak

zawsze. Kiedy się usmiechnęła, jej policzki lśniły jak perły, a ciemne oczy były wilgotne i pełne życia. Dosłownie tryskała energia.

Przyglądał się jej jak skamieniały. Patrzył na upierscienione palce dotykające jego ramienia. Zamknął oczy, otworzył. Przez tysiące lat przemawiał tyłoma językami, kierując do niej modlitwy, prośby, zarzuty, spowiedzi, a teraz nie odezwał się słowem. Wpatrywał się w pulsujące życiem usta, w polyskliwe białe kły i zimne oczy, które zalsniły na znak rozpoznania, w miękką bruzdę między piersiami oddychającymi pod złotym naszyjnikiem.

- Dobrze mi się przysłużyłaś - rzekła. - Dziękuję ci. - Głos miała niski, gardłowy, piękny. Ale ta intonacja; te słowa; to właśnie powiedział dziewczynie w mrocznym sklepie w wielkim mieście!

Jej palce zacisnęły się na jego ramieniu.

- Ach, Mariuszu - powiedziała, znów idealnie naśladowując jego ton - ty nigdy nie poddajesz się rozpacz, prawda? Z tymi twoimi glupimi marzeniami jesteś nie lepszy od Lestata.

Znowu jego własne słowa, które wyrzekł do siebie na ulicy w San Francisco. Naigrywała się z niego!

Czy to była groza? Czy też nienawisc - nienawisc, przyczajona w nim od wieków, zmieszana z uraza, znuzeniem i tęsknotą za człowieczym sercem, nienawisc, która teraz rozgorzała do żaru, jakiego nigdy sobie nie wyobrażał. Nie osmielił się poruszyć, nie osmielił się odezwać. Nienawisc była świeża, zaskakująca i wzięła go całego w posiadanie, tak że żadnym sposobem nie mógł jej opanować ani zrozumieć. Utracił wszelką zdolność oceny.

Ale ona wiedziała. Oczywiście. Wiedziała wszystko, znała każdą myśl, słowo, uczynek; to właśnie mu mówiła. Zawsze wiedziała o najbardziej i najmniej ważnych sprawach, jeśli tylko zapragnęła się dowiedzieć! Zdawała sobie sprawę, że ta wypruta z myśli istota obok nie może nawet marzyć o obronie. I to, co powinno być chwilą triumfu, w jakiś sposób stało się chwilą grozy!

Rozesmiała się, nie odrywając od niego wzroku. Nie potrafił znieść tego śmiechu. Chciał ją zranic. Chciał ją zniszczyć, niech cały jej monstrualny pomiot będzie potępiony! Obysmy wszyscy zgineli wraz z nią! Gdyby mógł, unicestwiłby ją!

Chyba skinęła głową, dając mu znak, że go rozumie. To dopiero był szczyt obrazy. No cóż, on sam nie rozumiał siebie. Zbierało mu się na płacz. Popelniono jakiś upiorny błąd, jakas straszliwa celowa omyłka.

- Mój drogi sługo - rzekła, rozciągając wargi w gorzkim śmiechu. - Nigdy nie byłeś władny mnie powstrzymać.

- Czego chcesz?! Co rozkazujesz mi zrobić?!

- Musisz mi wybaczyć - rzekła, och, jakże uprzejmie, dokładnie tak jak on do młodzika na tyłach baru.
- Wychodzę.

Zanim podłoga się zakolysała, usłyszał ten dźwięk - piskliwe rzezenie dartego metalu. Runął w dół; ekran telewizyjny eksplodował, odłamki szkła przeszły jego ciało jak chmara drobnych sztyletów. Krzyknął przeraźliwie, jak człowiek śmiertelny, i tym razem to był lek. Łód pekał i zamykał się nad nim z rykiem.

- Akaszo!

Spadał w gigantyczna rozpadline, zanurzał się w parzacy lód.

- Akaszo! - krzyknął powtórnie.

Jednak jej już nie było, a on nadal spadał. Wiry lodowych odłamków uwieziły go, otoczyły, pogrzebały, miażdżąc kości ramion, nóg, twarzy. Czuł, jak krew chlusta na piekacy lód, a potem zamarza. Nie mógł się ruszyć. Nie mógł oddychać. Ból był tak intensywny, że nie mógł go znieść. Znow, nie wiedząc czemu, ujrzał na moment dzunglę, jak poprzednio. Goraca cuchnaca dzunglę i coś przedzierającego się przez nią. Obraz zniknął. Mariusz wydobyl z siebie kolejny krzyk, wzywając Lestata:

- Niebezpieczeństwo! Lestacie, strzeż się. Wszyscy jesteśmy w niebezpieczeństwie.

Potem było tylko zimno i ból; tracił świadomość. Napłynął sen, uroczy sen o ciepłym słońcu, o promieniach padających na trawiasta polane. Tak, błogosławione słońce. I kobiety o jakże słicznych rudych włosach. Ale cóż to jest, owo stworzenie leżące tam, pod zwiedłymi liśćmi, na ołtarzu?

CZESC I

Droga do wampira Lestata

Kusi umieścić na spójnym kolazu

pszczole, kozice górską,

cien

mojej podkowy...

Kusi przyłączyć się do nich, splecionych

szeroka, lśniaca, molekularna

myśla-nicia

przez całą Materie...

...

Kusi

powiedzieć: widzę, w całości widzę
miejsce, w którym igła
zaczęła gobelin - lecz, och,
to wszystko wygląda na całość oraz część -
chwala oku i czystemu sercu.

Stan Rice „Cztery dni w innym mieście” z tomu „Owieczka nie była jaka” (1975)

Rozdział pierwszy

Legenda o bliźniaczkach

Powiedz to

Z rytmiczną ciągłością.

Zywe stworzenia,

szczegół po szczególe.

Powiedz to,

jak konieczność, w rytmie

o solidnym kształcie.

Kobieta. Ramiona uniesione. Zjadaczka cienia.

Stan Rice „Elegia” z tomu „Irlandzki rebeliant” (1976)

- Zadzwoń do niej w moim imieniu - powiedział. - Powiedz jej, że miałem niesamowite sny, o

blizniaczkach. Musisz do niej zadzwonic!

Córka nie spełniła prośby ojca. Obserwowała, jak niezdarnie obchodzi się z książką. Często powtarzał, że ręce stały się teraz jego wrogami. Mając dziewięćdziesiąt jeden lat, ledwo potrafił utrzymać ołówek czy przewrócić stronę.

- Tatusiu - powiedziała - ta kobieta zapewne nie żyje.

Wszyscy, których znał, już nie żyli. Przeżył swoich kolegów, przeżył swoje rodzeństwo i nawet dwójkę dzieci. Tragicznym zbiegiem okoliczności przeżył również bliźniaczki, ponieważ nikt teraz nie czytał jego książki. „Legenda o bliźniaczkach” nikogo już nie obchodziła.

- Zadzwoń do niej - błagał. - Musisz do niej zadzwonić. Snilem o bliźniaczkach. Widziałem je we śnie.

- Czemu miałoby ją to interesować, tatusiu?

Wyjęła mały notatnik z adresami i powoli zaczęła go kartkować. Wszyscy ci ludzie nie żyją, od dawna nie żyją. Współpracownicy ojca towarzyszący mu podczas tak wielu ekspedycji, redaktorzy i fotografowie, którzy śleczeli z nim nad jego książką. Nawet jego wrogowie, którzy powiadali, że zmarnował życie, a jego prace badawcze nie na wiele się zdały; nawet ci najbardziej grubiańscy, którzy oskarżali go o sporządzanie fotomontaży i podawanie nieprawdziwych informacji o jaskiniach, do czego ojciec nigdy się nie posunął.

Czemu ona miałaby nadal żyć, ta kobieta, która dawno temu finansowała jego ekspedycje, ta bogata kobieta, która przysyłała tak wiele pieniędzy przez tak wiele lat.

- Musisz ją poprosić, żeby przyjechała! Powiedz jej, że to bardzo ważne. Muszę jej opowiedzieć, co widziałem.

Przyjechać? Az z Rio de Janeiro tylko dlatego, że jakiś starzec miał dziwne sny? Córka znalazła w notatniku właściwą stronę; tak, było tam nazwisko i numer. A obok data, sprzed zaledwie dwóch lat.

- Ona mieszka w Bangkoku, tatusiu. - Która godzina jest teraz w Bangkoku? Nie miała pojęcia.

- Przyjedzie do mnie. Wiem, że przyjedzie.

Zamknął oczy i opadł na poduszkę. Był taki mały, jakby skurczony; jednak kiedy otworzył oczy, nie miała wątpliwości, że spogląda na nią jej ojciec, wciąż ten sam mimo łysiny, mimo naciągniętej, poślizniętej skóry i wotrobionych plam na pomarszczonych dłoniach.

Wydawało się, że słucha muzyki, łagodnego śpiewu wampira Lestata, dobiegającego z jej pokoju. Przyciszy radio, jeśli nie pozwala mu spać. Nie przepadała za amerykańskimi piosenkarzami rockowymi, ale tego lubiła.

- Powiedz jej, że muszę z nią porozmawiać! - rzekł nagle, jakby dochodząc do siebie.

- W porządku, tatusiu, jeśli chcesz, żeby to zrobiła. - Zgasła nocną lampkę. - Teraz już śpij.

- Nie poddawaj się, dopóki jej nie znajdziesz. Powiedz jej... o bliźniaczkach! Widziałem bliźniaczki.

Kiedy wychodziła, przywołał ją jeszcze raz, wydając jeden z tych nagłych jęków, które zawsze ją

przerazaly. W swietle padajacym z holu widziala, ze wskazuje na ksiazki w glebi pokoju.

- Podaj mi ja - powiedzial. Znów unosil sie z wysilkiem.

- Ksiazke, tatusiu?

- Blizniaczki, rysunki...

Zdjela z półki stary tom, przyniosla mu i polozyła na podolku. Uložyla wyzej poduszki i znów wlaczyła lampke.

Podnoszac go, z bólem zauwazyla, jaki jest lekki; z bólem patrzyła, jak sie trudzi, gdy zaklada okulary w srebrnych oprawkach. Wzial do reki ołówek, by jak zawsze w razie potrzeby robic notatki na marginesach, ale wypuscil go z palców. Zlapala go i odložyla z powrotem na stoliczek.

- Zadzwon do niej zaraz! - zawolal.

Skinela glowa, ale zostala przy nim, na wypadek gdyby jej potrzebował. Dobiegajaca z jej gabinetu muzyka byla teraz glosniejsza; tak, to jeden z hardrockowych, bardziej halasliwych utworów. Ojciec jednak zdawal sie tego nie zauwazac. Z wielka lagodnoscia otworzyła ksiazke i wyszukala pierwsza pare kolorowych ilustracji, zapelniajaca obie strony.

Jak dobrze je znala, jak doskonale pamietala te wyprawe; jako mala dziewczynka odbyła wóczas z ojcem dluga wspinaczke na góre Karmel, gdzie w zakurzonej ciemnej jamie, unoszac latarke, pokazal jej sienne malunki.

- Popatrz na te dwie postaci; widzisz je, te rude kobiety? Poczatkowo prymitywne figurki byly ledwo dostrzegalne w slabym blasku latarki. O ilez latwiej badalo sie pózniej fotograficzna dokumentacje. Nigdy nie zapomniala tamtego pierwszego dnia, kiedy ojciec pokazal jej cala serie malych rysunków: blizniaczki tanczace w deszczu - drobnych kreseczkach sypiacych sie z nabazgranej chmurki; blizniaczki kleczace po obu stronach oltarza, na którym lezal ktos spiacy albo martwy; blizniaczki w niewoli, sadzone przez gniewny tłum; blizniaczki uciekajace. A potem zniszczone rysunki, z których niczego nie dalo sie uratowac; i wreszcie jedna blizniaczka lkajaca, lzy padaja drobnymi kreseczkami, jak deszcz, z oczu, które tez sa malymi czarnymi kreseczkami.

Wyrzezbiono to w skale i pokryto pigmentem; oranżowym - wlosy, bialym - ubiór, zielonym - roslinnosc wkolo i nawet blekitnym - niebo nad glowami ludzików. Minelo szesc tysiecy lat, od kiedy stworzono to wszystko w glebokiej ciemnosci pieczary. Nie mniej stare byly prawie identyczne reliefy w plytkiej skalnej komorze na stoku Huayna Picchu, po drugiej stronie swiata.

Rok pózniej odbyła z ojcem również te podróz przez rzeke Urubamba, w góre peruwianskiej dzungli. Na własne oczy ujrzala wizerunki tych samych dwu kobiet, wykonane w uderzajaco zbliżonym, chociaz nie identycznym stylu. Na gladkiej scianie odnalazla również te same sceny - padajacy deszcz, radosny taniec; a potem surowa scena oltarzowa wyrysowana z pieczolowita dokladnoscia. Na oltarzu lezy cialo kobiety, a blizniaczki trzymaja w dloniach dwie niewielkie, starannie namalowane miski. Zolnierze z nagimi mieczami brutalnie przerywaja ceremonie i uprowadzaja w niewole lkajace blizniaczki. Potem odbywa sie srogi sad i znana juz ucieczka. Na kolejnym reliefie, niewyraznym, chociaz nadal czytelnym, blizniaczki trzymaja niemowle - male zawiniatko z kreseczkami w miejscu oczu i kepka rudych wlosów; potem powierzaja innym swój skarb wraz z kolejnym przybyciem groznych zolnierzy. Wreszcie jedna z blizniaczek posrodku gestej dzungli wyciaga ramiona, jakby usilowala dosiegnac siostry; czerwony pigment jej wlosów przyklejono do sciany zeschlą krwia.

Doskonale zapamiętała swoją ekscytację. Dzielila radosne uniesienie ojca, który znalazł bliźniaczki na starożytnych reliefach, tak bardzo oddalone jedno od drugich, ukryte w górskich jaskiniach Palestyny i Peru.

Wyglądało to na wielkie historyczne odkrycie, nieporównywalne z żadnym innym. Rok później w berlińskim muzeum znaleziono wazę, na której były namalowane takie same figurki, klęczące z miskami w dłoniach przed kamiennymi marami. Dziełu nie towarzyszyła żadna dokumentacja. Jakże to jednak miało znaczenie? Za pomocą najbardziej wiarygodnych metod ustalono, że powstało w 4000 r. p.n.e., i bezbłędnie odczytano na nim słowa w nowo rozszyfrowanym języku starożytnego Sumeru, słowa, które znaczyły tak wiele dla nich wszystkich:

„Legenda o bliźniaczkach”

Wszystko to wydawało się niesłychanie znaczące i ojciec zamierzał oprzeć na tych znaleziskach dzieło życia. Tak było, dopóki nie zaprezentował swoich badań.

Wysmiano go. Albo zignorowano. Nie do uwierzenia, taki związek między starym i nowym światem. Szesc tysięcy lat, proszę, proszę! Zaliczono go do nieszkodliwych wariatów, razem z tymi, którzy mówili o starożytnych astronautach, Atlantydzie i zaginionym królestwie Mu.

Przedstawiał argumenty, urządzał wykłady, błagał, żeby mu uwierzono, by pojechano z nim do jaskin i przekonano się na własne oczy! Przedstawił próbki pigmentów, dowody prób laboratoryjnych, szczegółowe badania roślin przedstawionych na reliefach i nawet białych szat bliźniaczek.

Na jego miejscu każdy by się poddał. Wszystkie uniwersytety i fundacje pokazały mu drzwi. Zabrakło mu pieniędzy nawet na wychowanie i wyżywienie dzieci. Podjął się nauczania, by mieć za co żyć, a wieczorami pisywał listy do muzeów na całym świecie. A w muzeum w Manchesterze i potem w Londynie znaleziono gliniane tabliczki, niewatpliwie opisujące bliźniaczki! Za pożyczone pieniądze udał się w podróż i sfotografował te artefakty. Kontynuował poszukiwania.

Wtedy pojawiła się ona, cicha, ekscentryczna kobieta, która go wysłuchala, obejrzała materiały i nawet dała mu starożytny papirus znaleziony na początku stulecia w Górnym Egipcie. Były na nim te same wizerunki i słowa: „Legenda o bliźniaczkach”.

- Prezent dla ciebie - powiedziała. A potem kupiła mu wazę z muzeum w Berlinie. Pozyskała również tabliczki z Anglii.

Najbardziej jednak zafascynowało ją odkrycie w Peru. Dała mu nieograniczone fundusze na kolejną podróż do Ameryki Południowej i kontynuację pracy.

Przez lata przeszukiwał jaskinie za jaskinią, szukając następnych dowodów, rozmawiał z wiesniakami o ich starych mitach i podaniach, przeczesał ruiny dawnych miast i nawet chrześcijańskich świątyn, rozglądając się za kamieniami zabranymi z pogańskich miejsc kultu.

Mijały jednak dziesięciolecia i niczego nie znalazł.

To go wreszcie zrujnowalo. Nawet ona, jego mecenaska, poradzila mu, zeby sie poddal. Nie mogla patrzec, jak poswieca zycie tej sprawie. Niech zostawi to mlodszym. Ale on nie chcial sluchac. To bylo jego odkrycie! Legenda o bliźniaczkach! Tak wiec dalej wypisywala mu czeki, a on dalej szukal, dopóki nie stal sie za stary, by wdrapywac sie na góry i wyrabywac szlaki przez dzungle.

Przez ostatnie lata sporadycznie wygloszal wykłady. Nie potrafil rozbudzić w studentach zainteresowania swoja tajemnica, nawet gdy pokazywal im papirusy, wazy, tabliczki. Przeciez te przedmioty tak naprawde do niczego nie pasowaly, nie pochodzily z zadnej okreslonej epoki. A co do jaskini, to czy ktos teraz trafilby na ich slady?

Ale ona, jego patronka, byla lojalna. Kupila mu dom, tam, w Rio, zalozyła fundusz powierniczy, który po smierci ojca stane sie własnoscia córki. Zapewnila jej edukacje i wiele innych rzeczy. To dziwne, ze zyja w takim komforcie; calkiem jakby mimo wszystko odniósł sukces.

- Zadzwon do niej - powtórzyl kolejny raz. Wpadl w podniecenie, puste dlonie drapaly zdjecia. Przeciez córka nie zajela sie jego prosba. Stala u jego boku, patrzac na zdjecia przedstawiajace figurki bliźniaczek.

- W porzadku, ojciec. - Zostawila go z ksiazka.

Po poludniu następnego dnia, kiedy przyszła go pocelowac, pielęgniarka doniosła jej, ze plakal jak dziecko. Córka uscisnela dlon ojca, a on otworzył oczy.

- Wiem, co im zrobili - oznajmil. - Widzialem! To bylo swietokradztwo.

Próbowała go uspokoic. Powiedziala, ze wezwala tamta kobiete. Jest w drodze.

- Nie bylo jej w Bangkoku, tatusiu. Przeniosla sie do Birmy, do Rangun, ale odnalazlam ja. Ucieszyla sie z wiesci od ciebie. Powiedziala, ze wyjedzie za kilka godzin. Chce dowiedziec sie wszystkiego o twoich snach.

Byl taki szczesliwy. Ona przyjezdza! Zamknal oczy i obrócił glowe na poduszce.

- Po zmroku sny znowu powróca - szepnal. - Cala tragedia zacznie sie na nowo.

- Tatusiu, odpocznij - powiedziala. - Ona niebawem przyjedzie.

* * *

Umarl w nocy, nie wiadomo, o której godzinie. Kiedy przyszła córka, jego cialo bylo juz zimne, a półprzymknie oczy metne i nieobecne. Ołówek lezal na koldrze, a pod prawa dlonia spoczywal zmiety kawalek papieru - zakladka jego cennej ksiazki.

Córka nie plakala. Przez chwile stala w bezruchu, wspominajac jaskinie w Palestynie, latarke, slowa: „Widzisz? Te dwie kobiety?”

Lagodnie zamknela mu oczy i pocelowala go w czolo. Na skrawku papieru bylo cos napisane. Uniosla jego zimne, zeszywniale palce, wyjela z nich kartke i przeczytala kilka słów, które nagryzmolil swoim nierównym, pajeczym pismem: „Przez dzungle - idzie”.

Co to miało znaczyć?

Było już zbyt późno, aby porozumieć się z tą kobietą. Zapewne przybędzie wieczorem. Taki szmat drogi...

No cóż, da jej ten kawaleczek papieru - może to coś ważnego - i powtórzy to, co ojciec powiedział o bliźniaczkach.

Rozdział drugi

Krótki, szczęśliwy żywot malej Jenks i upiornej bandy

Tu zupa z trupa

serwują na piec.

Nie trzeba czekać

przed bramą niebios

po przasną śmierć.

W tym właśnie rogu

na amen skńczysz z każdym z nalogów.

Menu słizności, lecz przede wszystkim z gości różności.

Jedna zasada - od stołu wara,

Póki coś z ciebie nie chlapnie do gara.

- Jeździe będziesz tu jadł.

- Jakbys zgadł.

Stan Rice „Teksaska suita” z tomu „Owieczka nie była jaka” (1975)

Mala Jenks wyciskala ze swojego harleya sto dziesiec na godzine, wiatr mrozil na kosc nagie biale dlonie. Miala czternascie lat zeszlego roku, kiedy jej to zrobili, ukatrupili ja, i teraz zywa czy umarla wazyła czterdziestci dwa kilo maks. Od kiedy tamto sie stalo, nie czesala sie - nie musiala - i wiatr odrzucal do tyłu dwa jasne warkoczyki ponad kolnierzem czarnej skórzanej kurtki. Pochylona do przodu, nachmurzona, wydymajaca male usteczka, byla zla i zdradliwie milutka. Wielkie niebieskie oczy byly puste.

Rockowa muzyka Wampira Lestata tak dawala czadu w sluchawkach, ze Mala nie czula niczego poza wibracja wielkiego motocykla pod soba i szalona samotnoscia, która nie opuszczala jej przez piec dni, od kiedy wyruszyła z Gun Barrel City. A poza tym dokuczal jej sen, sen nawiedzajacy ja kazdej nocy na chwile przed otwarciem oczu.

We snie widziala rude blizniaczki, te dwie piekne panie, a potem zawsze te same okropnosc. Nie, nie podobaly sie jej ani troche i czula sie tak samotna, ze malo nie dostala od tego swira.

Upiorna Banda nie spotkala sie z nia na poludnie od Dallas, jak bylo umówione. Mala Jenks wymiekala przy cmentarzu dwie noce, az zrozumiala, ze stalo sie cos bardzo, bardzo zlego. Nigdy nie pojechaliby bez niej do Kalifornii. Planowali obejrzec występ Wampira Lestata, ale mieli mase czasu. Tak, stalo sie cos zlego. Na bank.

Nawet kiedy byla zywa, Mala Jenks czula takie sprawy. A teraz, jako umarlak, czula to dziesiec razy mocniej. Wiedziala, ze Upiorna Banda jest w kłopotach po szyje. Ogier i Dawid nigdy by jej nie olali. Ogier powiedzial, ze ja kocha. Czemu mialby ja ukatrupiac, gdyby jej nie kochal? Umarlaby w Detroit, gdyby nie Ogier.

Wykrwawiala sie na smierc; lekarz juz zrobil wszystko git, rozkawalkowal dziecko i tak dalej, ale poharatal ja gdzies w srodku tak, ze juz miala umrzec; wczesniej tak sie nafaszerowala hera, ze zwisalo jej to dokumentnie. Wtedy stalo sie cos smiesznego. Uniosla sie pod sufit i patrzyla na swoje cialo! I to wcale nie za sprawa narkotyków. Miala czuja, ze zaraz wydarzy sie cala masa innych rzeczy.

Bo tam, na dole, wszedl do pokoju Ogier i z tego miejsca, w którym byla, pod sufitem, widziala, ze to umarlak. Jasne, ze wtedy nie wiedziala, jak na siebie mowil. Wiedziala tylko, ze on nie zyje. Wygladal zupełnie zwyczajnie. Czarne dzinsy, czarne wlosy, gleboko osadzone czarne oczy; z tyłu na skórzanej kurtce napis: „Upiorna Banda”. Usiadl na łózku przy jej cieie i pochytil sie nad nim.

- Ale z ciebie slicznotka! - powiedzial. Cholera, to samo powiedzial alfons, kiedy kazal jej zaplesc wlosy w warkoczyki i zalozyc te plastikowe cudenka, zanim wyszla na ulice.

A potem, WIUUUM! Znów byla w swoim cieie na amen, pelna czegos cieplejszego i fajowszego niz hera, i uslyszala jego slowa:

- Juz nie umrzesz, Mala Jenks, juz nigdy!

Wbila mu zeby w kark, cholera, i o rany, bylo jej jak w niebie! Ale ze nigdy nie umrze? No, bez jaj.

Zanim zmyla sie z Dallas, na dobre machnawszy reka na Upiorna Bande, widziala dom sabatowy na Swiss Avenue spalony na wegiel. Wszystkie szyby wylecialy z okien. To samo w Oklahomie. Co, do diabla, stalo sie z wszystkimi umarlakami z tamtych domów? To byli krwiopijcy z wielkiego miasta, szykowni goscie, którzy nazywali siebie wampirami.

Alez sie smiala, kiedy Ogier i Davis powiedzieli jej, ze tamte umarlaki paradowaly w garniturach z kamizelkami, sluchaly muzyki klasycznej i nazywaly siebie wampirami. Mala Jenks malo nie skonala ze smiechu. Davis tez myslal, ze to przejaja, ale Ogier wciaz ich przed nimi ostrzegal. Trzymajcie sie od nich z daleka, mowil.

Ogier, Davis, Tim i Russ zabrali ja w okolice domu sabatowego na Swiss Avenue, tuz przedtem, zanim ich zostawila, wyjezdzajac do Gun Barrel City.

- Zawsze musisz widziec, gdzie to funkcjonuje - poradzil jej Davis. - A potem trzymaj sie od nich z daleka.

W kazdym wielkim miescie, do którego wpadali, pokazywali jej domy sabatowe. Ale kiedy pokazali jej pierwszy, w St. Louis, powiedzieli jej cala prawde.

Byla naprawde szczesliwa z Upiorna Banda, od kiedy wyjechali z Detroit, karmiac sie ludzmi, których wywabiali z przydroznych mordowni. Tim i Russ to goscie okay, ale Ogier i Davis byli jej najlepszymi przyjaciólmi, a poza tym szefami Upiornej Bandy.

Od czasu do czasu jechali do jakiejś wiochy, znajdowali jakas porzucona rudere, w której gniezdziło sie paru meneli, facetów zupełnie jak jej tato, z baseballówkami na glowach i spracowanymi łapami w bliznach. I robili tam sobie uczte z tych facetów. Zawsze mozesz sobie podjesc na koszt takich typów, powiedzial jej Ogier, bo wszystkim zwisa, co sie z takim stanie. Uderzali szybko, raz-dwa! - pili krew w try miga, oprózniali tamtych do ostatniego uderzenia serca. To nie zabawa, tak torturowac ludzi, powiadal Ogier. Trzeba bylo miec dla nich współczucie. Robilo sie swoje, potem palilo rudere albo wyciagalo ich na dwór, kopalo dziure po byku i wrzucalo zewlok. A jak maskowanie odpadalo, szlo sie na taki numer: nacinalo sie palec, spuszczalo swoja trupia krew na ranki, przez które wczesniej wyszalo sie ich do sucha, no i prosze! ranki znikaly, jakby ich nigdy nie bylo. SWISKU-BLYSKU! Nikt nigdy nie dalby rady tego wyczaic; wygladalo to na udar albo zawal.

Mala Jenks miala ubaw na okraglo. Radzila sobie z prowadzeniem pelno wymiarowego harleya, taszczac przy tym pod pacha martwe cialo, potrafila przeskoczyc nad maska samochodu, fantastyczna sprawa. I wtedy nie miewala tego cholernego snu, snu, który zaczal ja nawiedzac od Gun Barrel City - o tych rudych blizniaczkach i tej kobiecie na oltarzu. O co w tym chodzi?! - tluklo sie po glowie Malej Jenks.

Co robi, jesli nie da rady znalezc Upiornej Bandy? Tam, w Kalifornii, Wampir Lestat wyjdzie na podium za dwie noce. I wszystkie umarlaki z calego swiata tam beda, tak przynajmniej kombinowala sobie Mala Jenks i tak kombinowala sobie Upiorna Banda, i wszyscy mieli sie tam spotkac. Dlaczego w takim razie odbila od Upiornej Bandy i walila do zadupia pokroju St. Louis?

Niech to szlag, zalezalo jej tylko na jednym, zeby wszystko bylo jak przedtem. Och, krew byla pyszna, mniam, byla taka pyszna, nawet teraz, kiedy Mala Jenks byla sama i musiala dodawac sobie otuchy tak jak tego wieczoru; zajechala na stacje benzynowa i zwabila tamtego starego goscia za budynek. Och, taaa, laps, zlapala go za szyje i krew trysnela, to bylo po prostu swietne, to byly hamburgery, frytki i koktajl truskawkowy, to bylo piwo i lody czekoladowe z bita smietana. To byla hera, koka i hasz. To bylo lepsze niz walenie! To byl raj.

Ale wszystko smakowalo lepiej, kiedy Upiorna Banda byla z nia. Oni ja zrozumieli, kiedy zmeczyla sie zuzytymi staruchami i powiedziala, ze chce posmakowac czegos mlodego i delikatnego. Nie ma sprawy. Hej, trzeba jej fajnego malolata, który nawial z domciu, powiedzial Ogier. Tylko zamknij oczy i zapragnij. Bezblednie, ot tak, znalezli go lapiacego stop na drodze, zaledwie siedem kilometrów za

jakims miasteczkiem w północnym Missouri; było mu Parker. Całkiem ładny chłopczyk, z kudłata czarna grzywa, dopiero szczawik, ale naprawdę wysoki, jak na swój wiek, z zarostem na podbródku; wmawiał im, że ma już szesnaste. Wsiadł na jej motor i zabrali go do lasu. Potem Mala Jenks położyła się z nim, jak dobrej chętniej panience przystało, i CHLIP! To było na tyle z Parkerem.

Był smaczniutki do ostatniej kropelki, soczysty, można powiedzieć. Ale tak serio, jak już dobrze się nad tym zastanowić, nie wiedziała, czy był chociaż trochę lepszy niż wstretni starzy faceci. I z nimi zabawa była bardziej wyrównana. Kochane, stare chłopiska, mówił na nich Davis.

Davis był czarnym umarlakiem, cholernie przystojnym Murzyniorem umarlakiem, tak to widziała Mala Jenks. Jego skóra miała złoty połysk, trupi połysk, który u białych umarlaków sprawiał wrażenie fluorescencyjnej poswiaty. Davis miał poza tym piękne rzesy, cholera, niewiarygodnie długie i grube, i nakładał na siebie całe złoto, które wpadło mu w ręce. Kradł ofiarom złote pierścienie, zegarki, lancuszki i inne różności.

Davis uwielbiał tańczyć. Wszyscy to uwielbiali, ale Davis przebijal w tańczeniu całą resztę. Chodziło się tańczyć na cmentarzu, koło trzeciej w nocy, gdy już wszyscy się nakarmili, zakopali ciała i w ogóle. Stawiało się kaseciak na grobowcu i dawano na ful Wampira Lestata. „Wielki dom sabatowy” to był dobry kawalek do tańczenia. O rany, ale to było super, krecić się, obracać i wyskakiwać wysoko w powietrze albo chociaż patrzeć, jak Davis się rusza i Ogier, i Russ, jak kreca się w kółko do upadłego. To dopiero był prawdziwy taniec umarlaków.

A jak ci wielkomejscy krwiopijcy nie wiedzieli, co to za frajda, to musieli być porabani.

O rany, ależ by chciała teraz opowiedzieć Davisowi o swoim śnie, który meczył ją od czasu Gun Barrel City. Jak ją naszedł pierwszy raz w przyczepie matki, TRZASK! kiedy siedziała, czekając. Był taki wyraźny, jakby nie sen, tamte dwie kobiety z rudymi włosami i ciała na ołtarzu, całe szerniałe i popekane. Co, do diabła, leżało na tych talerzach? No, serce na jednym, a mózg na drugim. Chryste. I ci wszyscy ludzie, kłęczący wokół. Ciarki chodziły po plecach. Od tamtej pory ten obraz nawiedzał ją raz za razem. Widziała go za każdym francowatym zamknięciem powiek i potem znowu, zanim wygrzebała się z kryjówki, w której unikała światła dnia. Ogier i Davis by go zrozumieli. Wiedzieliby, czy coś znaczy. Zależało im na tym, żeby nauczyć ją wszystkiego.

Kiedy po raz pierwszy zahaczyli o St. Louis w drodze na południe, Upiorna Banda przejechała z bulwaru na jedną z tych wielkich ciemnych ulic z żelaznymi bramami; to było tutejsze miejsce nie dla wszystkich, jak je nazywali. Oficjalnie Central West End. Malej Jenks podobały się rosnące tam wielkie drzewa. W południowym Teksasie człowiek zbyt nie napatrzył. Nie było ich tam ani na lekarstwo. A tu rosły tak wysoko, że wielkie konary tworzyły ci dach nad głową. Ulice były pełne hałasliwie szeleszczących liści, domy - wielkie, ze spiczastymi dachami i światłami ukrytymi głęboko w środku. Dom sabatowy, zbudowany z cegły, miał, jak mówił Ogier, mauretanskie luki.

- Nie podchodźcie ani kroku bliżej - ostrzegł Davis. Ogier tylko się śmiał. Ogier nie bał się wielkomejskich umarlaków. Został ukatrupiony szesćdziesiąt lat temu; był stary i wiedział wszystko.

- Ale oni będą próbować zrobić ci krzywdę, Mala Jenks - powiedział, prowadząc ulicą swojego harleya. Miał pociągła twarz, złoty kolczyk w uchu i małe, matre oczy. - Widzisz, to stary dom sabatowy, jest w St. Louis od przełomu wieków.

- Ale czemu oni mieliby nas krzywdzić? - spytała Mala Jenks. Tamten dom naprawdę ją zaniepokoił. Kim były umarlaki, które w nim faktycznie mieszkają? Na miłość boską, kto płacił rachunki za gaz i prąd?

Przez firanki w jednym z frontowych okien widac bylo cos jakby zyrandol. Wielki, wymyslony zyrandol. Ludzie! To bylo zycie.

- Och, oni maja tam wszystko - powiedzial Davis, czytając w jej myslach. - Nie sadzisz chyba, ze sasiedzi uwazaja ich za prawdziwych ludzi? Popatrz na wózek na tym podjezdzie, wiesz, co to jest? To bugatti, mala. I obok mercedes-benz.

A co zlego, do diabla, w różowym cadillaku? Marzylo sie jej wlasnie cos takiego, wielkie kabrio zlopiace benzyne bez opamietania, które moglaby rozbujac na prostej do dwóch setek. I to wlasnie sprowadzilo na nia klopoty, to sciagnelo ja do Detroit - tamten dupek z cadillakiem kabrio. Ale przeciez jak sie jest umarlakiem, to jeszcze nie znaczy, ze musisz jezdzic harleyem i spac w syfie kazdego dnia, no nie?

- My jestesmy wolni, kochanie - powiedzial Davis, znowu czytając w jej myslach. - Nie rozumiesz tego? Jak prowadzisz takie wielkemiejskie zycie, bierzesz sobie na kark kupe bagazu. Powiedz jej, Ogier. I nie wpakujesz mnie do takiego domu, zebym spal w skrzyni pod podloga.

Zarzal. Ogier zarzal. Ona tez zarzala. Ale jak tam bylo w srodku, do diabla? Wlaczaja nocny program i ogladaja filmy o wampirach? Davis wprost tarzal sie po ziemi ze smiechu.

- Prawde mówiac, Mala Jenks - oswiecil ja Ogier - oni traktuja nas jak holote i chca miec nad wszystkim wladze. Uwazaja na przyklad, ze nie mamy prawa byc umarlakami. Kiedy nadaja komus tytul wampira, jak to nazywaja, robia wtedy wielka ceremonie.

- Cos jak na przyklad wesele, o to wam chodzi?

Tamci dwaj smieli sie jeszcze bardziej.

- Nie calkiem, raczej jak pogrzeb!

Robili za duzo halasu. Te domowe umarlaki gotowe jeszcze ich uslyszec. Ale skoro Ogier sie nie bal, Mala Jenks tez sie nie bala. Gdzie sa Russ i Tim, pojechali na polowanie?

- Główna rzecz w tym, Mala Jenks - powiedzial Ogier - ze oni maja te wszystkie zasady i mówie ci, glosza na prawo i lewo, ze dorwa sie do Wampira Lestata w noc koncertu, ale wiesz co, oni czytaja jego ksiazke, jakby to byla Biblia. Uzywaja tego calego jego jezyka, Mroczny Dar, Mroczne Zaklecie. Chca spalic faceta na stosie, a potem traktowac jego ksiazke, jakby to byla Emily Post albo panna Manners. Mówie ci, to dopiero najglupsza rzecz, jaka w ogóle slyszalem...

- Oni nigdy nie dopadna Lestata - powiedzial ze wzgarda Davis. - Nie ma mowy, czlowieku. Nie da rady zabic Wampira Lestata, to po prostu niemozliwe. Widzisz, juz tego próbowano i na prózno. Tak sie sklada, ze to ten jeden jedyny ptaszek, który jest od czubka glowy do piet niesmiertelny.

- Do diabla, oni sie tam wybieraja tak samo jak my - powiedzial Ogier - zeby dolaczyc do tego ptaszka, jesli nas chce.

Mala Jenks nic z tego nie rozumiala. Nie wiedziala, kim sa Emily Post czy panna Manners. I czy oni wszyscy nie mieli byc niesmiertelni? I czemu Wampir Lestat mialby chciec uganiac sie z Upiorna Banda? Przecie jest gwiazda rocka, na milosc boska. Pewnie ma wlasna limuzyne. I nie ma bardziej cudnego faceta, ani wśród umarlaków, ani wśród zywych! Blond wlosy, za które oddalabys zycie, usmiech taki, ze masz ochote przewrócić sie na brzuch i nadstawic mu szyje, niech gryzie, jak chce, cholera!

Próbowała czytać książkę Wampira Lestata - cała historie umarłaków od czasów starożytnych i w ogóle - tyle że było w niej za dużo wzniosłych słów i BEC, zasnęła.

Ogier i Davis powiedzieli, że jeszcze się przekona, że da radę czytać naprawdę szybko, jeśli będzie się z nimi trzymać. Nosili ze sobą wszędzie książkę Lestata, pierwszą, z tym tytułem, którego nigdy nie mogą dobrze zapamiętać, coś w rodzaju: „rozmówki z wampirem” albo „rozmawianie z wampirem”, albo „spotkanie z wampirem”, czy coś w tym guście. Davis czasem czytał ją na głos, ale Mala Jenks nie potrafiła przy tym wydolic, CHRAP! Tamten umarłak, Louis, czy jak mu tam było, został przerobiony na umarłaka w Nowym Orleanie i w książce było w kółko o lisciach bananowca, żelaznych balustradach i opłatwach.

- Mala Jenks, oni wiedzą wszystko, te stare europejskie umarłaki - powiedział wtedy Davis. - Wiedza, jak się to zaczęło, wiedza, że możemy tak ciągnąć dalej, pod warunkiem że będziemy trzymać się tego, co do tej pory, i dojdziemy tysiąca lat, aż zamienimy się w biały marmur.

- Rany, to dopiero super, Davis - powiedziała Mala Jenks. - Już jest dość fatalnie, że nie można wejść do spożywczego w tych światłach, żeby ludzie się na ciebie nie gapili. Komu zależy na tym, żeby wyglądać jak biały kamień?

- Mala Jenks, ty już nie potrzebujesz nic ze spożywczego - powiedział zupełnie spokojnie Davis. I miał świetną rację.

Mniejsza o książkę. Mala Jenks naprawdę uwielbiała muzykę Wampira Lestata i bez końca słuchała jego piosenek, zwłaszcza tej o Tych Których Należy Mieć w Opiece - o egipskim królu i królowej - chociaż, szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, co to, do diabła, znaczy, dopóki Ogier jej nie wyjaśnił.

- To Rodzice wszystkich wampirów, Mala Jenks, Matka i Ojciec. Widzisz, tworzymy nieprzerwaną linię, biegnącą od króla i królowej w starożytnym Egipcie; to oni są Tymi Których Należy Mieć w Opiece. A trzeba mieć ich w Opiece z następującej przyczyny: jeśli się ich zniszczy, zniszczy się tak samo nas wszystkich.

Dla Malej Jenks to była jakas kupa pierdół.

- Lestat widział Ojca i Matkę - klarował jej Davis. - Znalazł ich ukrytych na greckiej wyspie, więc wie, że to prawda. O tym właśnie mówi wszystkim w tych piosenkach.

- A Matka i Ojciec nie poruszają się, nie mówią i nie piją krwi, Mala Jenks - dodał Ogier. Był naprawdę zamysłony, prawie smutny. - Siedzą tam tylko i patrzą przed siebie już od tysiąca lat. Nikt nie ma pojęcia, co wie tych dwoje.

- Pewnie nic - powiedziała ze smutkiem Mala Jenks. - I wiecie, też mi coś, taka niesmiertelność! O co wam chodzi z tym, że wielkomięskie umarłaki mogą nas zabić? Jakim cudem?

- Ogniem i słońcem zawsze można - przypominał jej Ogier, trochę zniecierpliwiony. - Mówiłem ci. Teraz słuchaj, proszę. Zawsze możesz się postawić umarłakom z wielkiego miasta. Jesteś twarda. Tak naprawdę to umarłaki z wielkiego miasta tak samo boją się ciebie jak ty ich. Możesz tego być pewna, kiedy po raz pierwszy widzisz jakiegos umarłaka. Tej zasady trzymają się wszyscy, którzy są martwi.

Kiedy odjechali sprzed domu sabatowego, Ogier miał dla niej jeszcze jedną wielką niespodziankę: opowiedział jej o barach dla wampirów. Wielkich przefajnych lokalach w Nowym Jorku, San Francisco

i Nowym Orleanie, w których umarlaki spotykają się na zapleczu, podczas kiedy ci cholerni durni ludzie pija i tańczą na froncie. Tam żaden inny umarlak nie może cię zabić, ani miejski gogus, ani Europejczyk, ani taka holota jak ona sama.

- Zmiataj do takiego lokalu - powiedział jej - gdyby któryś z wielkomiejskich umarlaków się do ciebie przyczepił.

- Jestem niepełnoletnia. Nie mogę wejść do baru.

To ich kompletnie zalaćwilo. Ogier i Davis zasmiewali się do rozpuku. Spadali z motorów.

- Jak znajdziesz bar dla wampirów, Mala Jenks - powiedział Ogier - po prostu popatrz na nich krzywym okiem i powiedz: „Wpuszczac mnie i już”.

Taaa już patrzyła krzywym okiem na ludzi i musieli robić, co chciała; to działało bez pudła. A tak naprawdę to nigdy nie byli w żadnym barze dla wampirów. Tylko o nich słyszeli. Nie wiedzieli gdzie one są. Miała masę pytań, kiedy wreszcie wyjeżdżali z St. Louis.

Ale kiedy pojechała na północ, w kierunku tego miasta, zależało jej jedynie na tym, żeby dostać się do tamtego cholernego domu sabatowego. Wielkomiejskie umarlaki, najeżdżam. Dostanie zwyczajnego swira, jeśli będzie musiała dalej ciągnąć w pojedynkę.

Muzyka w słuchawkach zamarła. Tasma przewinęła się do końca. Mala Jenks nie mogła znieść ciszy, jaka była podszyty wyjący wiatr. Sen powrócił; znowu zobaczyła bliźniaczki i nadchodzących żołnierzy. Jak tego czymś nie zagłuszy, cały cholerny sen będzie leciał jej przed oczami, jakby na wideo.

Przytrzymując kierownicę jedną ręką, sięgnęła do kieszeni kurtki, otworzyła małego walkmana i przerzuciła taśmę na drugą stronę.

- Śpiewaj facet! - zawołała. Nie wiedziała, czy słyszy swój głos, chrapliwy i podniesiony, przekrzykujący wiatr, czy się jej tylko tak wydaje.

O Tych Których Należy Mieć w Opiece

Co możemy wiedzieć, co?

Czy coś nas jeszcze uratuje?

Tak jest, to było to, co lubiła najbardziej. Tego właśnie słuchała, zapadając w sen, kiedy czekała, aż matka wróci do domu z pracy w Gun Barrel City. Nie słowa najbardziej ją rajcowały, ale sposób śpiewania, pod Bruce'a Springstina, taki że aż się człowiekowi serce krajało.

To było niby coś takiego jak hymn. Świetnie brzmiało, Lestat śpiewał tak, jakby był do tego stworzony, a całość podkreślał równy rytm perkusji, który przenikał ją do kości.

- Dobra facet, dobra, jesteś jedynym cholernym umarlakiem, jaki mi teraz został, Lestat śpiewaj!

Na piec minut przed St. Louis znów napadły ja myśli o matce, o tym, jakie to wszystko było dziwne, jak bardzo złe.

Mala Jenks musiała to zrobić, musiała dopaść swoich rodziców, zanim Upiorna Banda ruszyła na zachód. I nawet tego nie załowała. Poza tamtym dziwnym momentem, kiedy matka odwalala kite tam, na podłodze.

Bo Mala Jenks zawsze nienawidziła matki. Matka była najzwyczajniej w świecie głupia, przez wszystkie dni swojego życia robiła krzyże z małych różowych muszelek i odłamków szkła, a potem zabierała je na tandete do miasteczka i sprzedawała za dziesięć dolarów sztuka. Do tego były brzydkie, prawdziwa taniocha, z małym powykrecanym Jezusikiem w środku, zrobionym z czerwonych i niebieskich paciorków i diabeł wie z czego jeszcze.

Ale to nie wszystko; dowcip w tym, że Malej Jenks flaki wywracały się od wszystkiego, co matka robiła. Już samo jej ganień do kościoła mogło zepsuć człowiekowi humor, a do tego jeszcze ten jej sposób gadania z ludźmi, ten jej słodziutki ton i to, że zносиła picie starego, i zawsze miała dla każdego dobre słowo.

Mala Jenks nigdy tego nie kupowała. Zwykle leżała na swojej pryczy w przyczepie i myślała:

Co naprawdę napędza te babe? Kiedy wreszcie wybuchnie jak łaska dynamitu? A może jest za głupia?

Matka przestała patrzeć Malej Jenks w oczy całe lata temu. Kiedy Mala Jenks miała dwanaście lat, przysłała do domu i powiedziała:

- Wiesz, że to zrobiłam? Mam nadzieję, że nie bierzesz mnie już za żadną dziewczycę?

I matka po prostu odpadła, a jak, po prostu uciekła wzrokiem w bok, odwróciła te szeroko otwarte, puste, głupie gąły i wróciła do swojego zajęcia, nucąc bez słów, jak zawsze przy robieniu tych muszelkowych krzyży.

Jednego razu jakiś szycza z miasteczka skomplementował matkę, że tworzy prawdziwą sztukę ludową.

- Robią z Ciebie głupia - powiedziała jej Mala Jenks. - Nie łapiesz tego? Nie kupują tych ohydnych rzeczy, no nie? Wiesz, z czym mi się to kojarzy? Powiem ci - z wielkimi klipsami ze sklepu, w którym wszystko jest za dziesięć centów!

- Masz ochotę na kolację, kochanie? - Żadnych sprzeciwów. Tylko nadstawienie drugiego policzka.

To była beznadziejna sprawa, doszła do wniosku Mala Jenks. Więc wcześniej wyjechała z Dallas, by w niecałą godzinę dojechać do Cedar Creek Lake i znajomego drogowskazu, który zapowiadał jej ukochane rodzinne miasteczko:

WITAJCIE W GUN BARREL CITY. TU KAŻDY DOSTAJE TAKIEGO STRZALA, NA JAKIEGO ZASLUZYL.

Postawiła harleya za przyczepą, żeby nie rzucał się w oczy. W domu nie było nikogo, więc postanowiła się zdrzemnąć, a obok miała przygotowane żelazko. Kiedy matka wejdzie, wtedy LUUP! Zalotwi się szanowna pania.

Wtedy przytrafił się sen. Gdzie tam, nawet nie spała, kiedy się zaczął. To było tak, jakby Lestat ucichł, a

sen otworzył paszcze i TRZASK!:

Była na zalanej słońcem polanie na stoku góry. I były tam też te dwie bliźniaczki, piękne kobiety o długich, wijących się rudych włosach. Kleczały jak anieli w kościele, ze złożonymi rękami. Wokół masa ludzi w długich szatach, wyglądających jak postaci z Biblii. Rozlegała się muzyka, łomot, od którego ciarki chodziły po plecach, a także zawrośnięcie rogu, jak na jakimś pogrzebie. A najgorsze było to, że na kamiennym ołtarzu leżało martwe ciało, spalony trup kobiety. Rany, to wyglądało tak, jakby ją smazono! A na talerzach leżały obrosłe tłuszczem świecące serce i mózg. Yhm, jasna sprawa, to było serce i mózg.

Mala Jenks obudziła się wystraszona. Do diabła z tym. Matka stała w drzwiach. Mala Jenks zerwała się i tak długo walała ją żelazkiem, aż matka przestała się ruszać. I powinna być martwa, ale wciąż nie była i wtedy wydarzył się tamten zwariowany moment.

Matka leżała na podłodze, na pół martwa, tak samo jak później tato. A Mala Jenks siedziała na fotelu z nogą przerzuconą przez jego poręcz, oparta na łokciu i kreciła sobie obwarzanki z warkoczyka; trochę myślała o bliźniaczkach ze snu, o nieboszczce i o flakach na talerzach - co to miało być? Ale przede wszystkim czekała. Umieraj, ty durna suko, umieraj, już, więcej ci nie przyłożę!

Nawet teraz Mala Jenks nie była pewna, co się dalej stało. Jakby myśli matki urosły, stały się szersze, większe. Może matka uniosła się pod sufit, jakos tak jak przytrafiło się Malej Jenks, kiedy mało nie umarła, zanim Ogier ją uratował. Ale jakkolwiek by była przyczyna tego wszystkiego, te myśli były, no... niesamowite. Po prostu niesamowite. Jakby matka wiedziała o wszystkim. O tym, co to jest dobro i zło, i o tym, jak ważne jest kochać, naprawdę kochać, i o tym, że to jest o wiele ważniejsze niż wszystkie zasady o niepaleniu, niepicciu i modleniu się do Jezusa. To nie było księżę gładzenie. To było po prostu odlotowe.

Matka, leżąc tam, myślała o tym, że brak miłości u jej córki, Malej Jenks, jest tak okropny jak jakiś zły gen, przez który Mala Jenks stała się ślepa i kaleka. Ale to się wcale nie liczyło. Wszystko jeszcze się zmieni. Mala Jenks wyrosnie z tego i wtedy wszystko będzie lepiej pojmować. Co to, do diabła, miało znaczyć? Że niby wszystko wokół nas jest częścią jednej wielkiej całości - nitki w wykładzinie, liście za oknem, woda kapiąca w zlewie, chmury nad jeziorem, nagie drzewa, i to naprawdę nie jest tak brzydkie, jak Mala Jenks sobie myśli. Nie, to nagle zrobiło się takie piękne, że prawie nie dało się tego opisać. I matka zawsze o tym wiedziała! Widziała to w ten desen! Matka przebaczyła jej wszystko. Biedna Mala Jenks. Ona nie wiedziała. Nie wiedziała o zielonej trawie. Ani o muszelkach świecących w blasku lampy.

Potem matka umarła. Dzięki Bogu! A Mala Jenks się poryczala. Następnie wyniosła ciało z przyczepy i zakopła z tyłu, naprawdę głęboko, rozkoszując się tym, jak to dobrze być jednym z umarłaków i mieć tyle siły, żeby przerzucić całe łopaty ziemi.

A potem przyszedł ojciec. To był dopiero bal! Zakopła go, kiedy jeszcze żył. Nigdy nie zapomni wyrazu jego gęby, kiedy pojawił się w drzwiach i zobaczył ją z toporem strażackim.

- No niech mnie, jak to nie Lizzie Borden.

Kim, do diabła, była Lizzie Borden?

A potem zadarł podbródek i zaczął wymachiwać piściami w jej kierunku; taki był pewien siebie!

- Ty sierko!

Rozłupała mu ten cholerny łeb na pół. Taaa, to było fantastyczne, poczuć, jak mu czacha mięknie...

- Do piachu, skurwielu!

...i tak samo fantastycznie było ciskac mu w oczy lopaty ziemi, kiedy wciaz na nia patrzyl. Sparalizowany, niezdolny do ruchu, przekonany, ze znowu jest dzieckiem gdzies na gospodarstwie w Nowym Meksyku.

Ty skurwielu - myslala Mala Jenks - zawsze wiedzialam, ze masz nasrane we lbie. A teraz to czuje!

Ale czemu, u diabla, w ogóle tam pojechala? Czemu opuscila Upiorna Bande? Gdyby ich nie zostawila, bylaby teraz z nimi w San Francisco, z Ogierem i Davisem; razem czekali, az Lestat pojawi sie na scenie. Mogliby nawet wyczaic bar dla wampirów albo cos innego. Pod warunkiem, ze dojechaliby na miejsce. Ze nie staloby sie cos naprawde zlego.

Co wiec, do diabla, robi teraz, dlaczego wraca? Moze jednak powinna jechac na zachód? Zostaly wszystkiego dwie noce.

Niech to, moze w wieczór koncertu wynajmie pokój w motelu, zeby obejrzec występ w telewizji. Ale wczesniej musi znalezc w St. Louis jakichs umarlaków. Nie wydoli dalej sama.

Jak znalezc ten Central West End? Gdzie on jest?

Bulwar wygladal znajomo. Jechala niespiesznie, modlac sie, zeby jakis upierdliwy gliniarz nie zaczal jej deptac po pietach. Nie dalaby mu szans, zawsze byla szybsza, chociaz marzyla o tym, zeby chociaz raz dorwac któregoś ze skurwieli na pustej drodze. Ale prawde mówiac, nie chciala byc zmuszona do uciezki z St. Louis.

Tutaj wreszcie wygladalo znajomo. Taaa, to byl Central West End czy jak mu tam; skrecila na prawo w stara ulice, miedzy te wielkie lisciaste drzewa rzucające chłód. To wszystko przywiodlo na mysl matke, zielona trawe, chmury. W jej gardle uwiązł cichy szloch.

Gdyby tylko nie byla tak cholernie samotna! Ale wtedy zobaczyla bramy, taaa, to byla tamta ulica. Ogier mówil jej, ze umarlaki nigdy o niczym nie zapominaja. Ze jej glowa bedzie jak maly komputer. Moze to prawda. To byly wrota cala geba, wielkie zelazne wrota, otwarte szeroko i obrosniete ciemnozielonym bluszczem. Pewnie nigdy nie zamykali tego „miejsca nie dla wszystkich”.

Przykrecila gaz, az silnik zwolnil obroty do leniwego lomotu, a potem go wylaczyla. Robil zbyt duzo halasu w tej mrocznej dolinie rezydencji i ktos mógłby wezwac gliny. Musiala zejsc z motoru, zeby prowadzic maszynie. Nie przeszkadzalo jej to. Super sie brnelo przez ten gruby kozuch zwiedlych lisci. Calą tą cichą ulicą byla super.

O kurcze, gdybym byla wielkomięjskim wampirem, tez bym tu mieszkalą - rozmarzyla sie, a po chwili, w glebi ulicy ujrzala dom sabatowy, rozpozнала sciany z cegly i białe mauretanskie luki. Serce zaczęło walić jej jak szalone!

Był spalony!

Początkowo nie chciala w to uwierzyc! A potem przekonala sie, ze to naprawde fakt - wielkie jezory czerni na ceglach, okna wybite, nigdzie ani jednej szyby. Jezu Chryste! Malo nie zwariowala. Podprowadzila motor bliżej, zagryzając wargę tak mocno, ze czula smak krwi. Ale widok. Do diabla, czyja to robota?! Okruszki szkła na całym trawniku i nawet na drzewach; cala posesja migotala tak, ze

na jej widok ludziom pewnie zaczęłyby się mienić w oczach. Wyglądało to jak gwiazdkowa dekoracja, tyle że cuchnęło zwęglonym drewnem. Trudno było tego nie poczuć.

Już miała się rozryczeć! Już miała się rozwrzeszczyć! Jednak coś usłyszała. Nie prawdziwy dźwięk, ale odgłos, na który wyczulił ją Ogier. Tam był umarłak!

Nie mogła uwierzyć w swój fart i miała gdzieś, co może się wydarzyć. Musiała tam wejść. Yhm - czuła, że ktoś tam jest. Cichusi jak myszka. Podeszła trochę bliżej, liście piekielnie głośno zaszeleszczyły jej pod stopami. Było ciemno, ale ktoś się tam ruszał, nadchodził. Gdy tak stała z łomocącym sercem, wylekniona i oszalała z pragnienia, by znaleźć się w środku, ten ktoś wyszedł na werandę; umarłak patrzył prosto na nią.

- Chwała niech będzie Panu - szepnęła. Nie był to wcale jakiś palant w garniturku. Nie, to był młody chłopak; kiedy go ukatrupili, był starszy nie więcej niż dwa lata od niej. Wyglądał naprawdę super. No bo po pierwsze miał srebrne włosy, autentyczne króciutkie siwe włosy, a to zawsze jest super u młodego gościa. I poza tym był szczupły, wysoki, swobodnie ponad metr osiemdziesiąt, i miał naprawdę elegancki akcent, tak się jej przynajmniej wydawało. Jego skóra była tak biała, że wydawała się jak z lodu; miał na sobie ciemnobrazowy cienki golf, przebojowo skrojona kurtka z brązowej skóry i skórzane spodnie, zupełnie nie w motocyklowym stylu. To był prawdziwy gość, bardziej ładniejszy niż wszystkie umarłaki w Upiornej Bandzie razem wzięte.

- Do środka! - zasyczał. - Szybko!

Wbiegła po stopniach, jakby miała skrzydła u ramion. W powietrzu nadal unosiły się płatki popiołu, gryzło ją w gardle, piekło w oczach. Przez w połowie zwałona werandę ostrożnie przeszła do holu. Niektóre stopnie się zachowały, ale dach był całkiem rozpruty, a żyrandol zniszczony i pokryty sadzą. Było tam naprawdę tak strasznie jak w nawiedzonym domu.

Umarłak chodził w salonie, a właściwie jego resztkach, kopał i grzebał w spalonych szczątkach i meblach, wściekły jak nic.

- Mała Jenks, zgadza się? - spytał, posyłając jej dziki, nieszczerzy uśmiech odsłaniający perłowe zęby i małe kły. Szare oczy zamigotały. - I zgubiłaś się, prawda?

No dobra, następny gość czytający w myślach jak Davis. I do tego mówiący z obcym akcentem.

- No i co z tego? - powiedziała. Ku swojemu prawdziwemu zdumieniu wychwyciła jego imię, jakby to była piłka rzucona w jej kierunku: Laurent. To ci dopiero było imię z klasą, jakby francuskie.

- Nie ruszaj się, Mała Jenks - rozkazał. Ten akcent pewnie też był francuski. - W tym domu było nas trzech i dwóch się spaliło. Policja nie zdoła odszukać szczątków, ale ty je rozpoznasz, jak na nie nastąpisz, i nie będziesz tym zachwycona.

O rany! Mówił prawdę, bo jeden z tamtych był właśnie niedaleko, żadnego zalewania, w glebi holu; wydawało się, że tam leży tylko na wpył spalony garnitur tworzący niewyraźny zarys sylwetki. Jasna sprawa, czuła wechem, że w ciuchach, z których zostały tylko rekawy i nogawki, paradował kiedyś umarłak. W środku tego tam wszystkiego była szarawa, skotlowana bryja, raczej gęsty tłuszcz i prochy niż popioły. Śmieszna sprawa, mankiet koszuli wciąż sterczał z rekawy marynarki. Tamten gość miał chyba garnitur z kamizelką.

Zbierało się jej na wymioty. Czy jak jesteś umarła, to możesz się porzygać? Chciała się stamtąd

wydostac. Co bedzie, jesli ktos, kto to zrobil, wróci? Ladna mi niesmiertelnosc!

- Nie ruszaj sie - powiedzial umarlak. - Wyjdziemy stad, najszybciej jak sie da.

- Wolalabym juz! - krzyknela. Niech to cholera wezmie, dostala dreszczy. To pewnie byly te, jak to mówili... zimne poty!

Tamten znalazl blaszane pudelko i wyjmowal z niego cala nie spalona forse.

- Hej, facet, zmywam sie - powiedziala. Czula cos w tym miejscu i nie mialo to zadnego zwiazku z tlustym sladem na podlodze. Myslala o spalonych domach sabatowych w Dallas i Oklahomie i o okolicznosciach, w jakich Upiorna Banda znikla jej z oczu. Tamten zajarzyl to wszystko, byla pewna. Twarz mu zlagodniala, znów zrobil sie ladniutki. Odrzucil pudelko i podszedl do niej tak szybko, ze wystraszyła sie jeszcze bardziej.

- Tak, *machemie* - rzekl wrecz milym tonem - wszystkie tamte domy sabatowe, zgadza sie. East Coast splonal jak od jednego gigantycznego spiecia. Nikt nie potrafi wytlumaczyc zniszczenia domów sabatowych w Paryżu czy w Londynie.

Ruszyli do drzwi. Wzial ja pod ramie.

- Kto to, do diabla, robi? - spytala.

- Kto to, do diabla, wie, *chemie* ? To niszczy domy, bary wampirów, kazde hultajstwo, na jakie trafi. Musimy sie stad wynosic. Zapuszczaj silnik.

Jednak Mala Jenks zatrzymala sie jak wryta. Cos tam jest! - pomyslala, zatrzymujac sie na skraju werandy. Cos. Bala sie zrobic krok dalej i bala sie wrócić.

- O co chodzi? - spytal szeptem.

Jak ciemno bylo pod tymi wielkimi drzewami, przy tych wszystkich domach, które wygladaly na nawiedzone; cos slyszala, cos naprawde cichego... jakby cos oddychajacego. Cos w tym rodzaju.

- Mala Jenks! Zapalaj!

- Ale dokad mamy jechac? - spytala. Slyszala to cos, cokolwiek to bylo.

- Do jedynego miejsca, które nam pozostalo. Tam, gdzie jest on, kochanie, Wampir Lestat. On jest gdzieś w San Francisco, czeka, caly i zdrowy!

- Taaa? - powiedziala, wpatrujac sie w ciemna ulice przed soba. - Taaa, zgadza sie, do Wampira Lestata. - Motocykl byl dziesiec kroków od niej. Wez go, Mala Jenks. Ten umarlak jest gotów odjechac bez ciebie. - Nie waz sie, ty sukinsynu, nie dotykaj mojego harleya!

Teraz jednak naprawde liczyl sie tamten dzwiek, no nie? Mala Jenks w zyciu nie slyszala czegos podobnego - ani gdy byla zywa, ani jako umarla. A kiedy jestes umarla, slyszysz mase rzeczy. Slyszysz pociagi jadace wiele kilometrów dalej i samoloty wysoko na niebie.

Umarlak uslyszal. Nie, uslyszal, ze ona slyszy!

- Co to jest? - szepnal. O rany, bal sie. I teraz on również to slyszal.

Pociagnal ja za soba po schodach. Potknela sie i prawie upadla, ale poderwal ja na nogi i posadzil na harleyu.

Halas rósł. Naplywal falami jak muzyka. Byl juz tak glosny, ze nie slyszala nawet, co mówi do niej ten umarlak. Obróciła kluczyk, dodala gazu, a umarlak wskoczyl na siodelko, ale przez ten halas nie mogla myslec. Nie slyszala nawet silnika swojego motocykla!

Spojrzala w dól, zeby zobaczyc, co jest, do diabla, grane, pracuje czy nie, nawet go nie czula. A kiedy podniosla glowe, patrzyla w kierunku tego czegos, co wysylalo ten halas. Bylo tam w ciemnosciach, za drzewami.

Umarlak zeskoczyl z harleya i bil w powietrze piesciami, jakby widzial to cos. Ale nie, on tylko rozgladal sie wokol i paplal do siebie jak jakis szaleniec. Nie docieralo do niej zadne slowo. Wiedziala tylko, ze to cos jest tam, patrzy na nich, a ten oszalaly facet strzepi jezyk na prózno!

Zsiadla z harleya. Maszyna przewróciła sie na bok. Halas umilkł. Zaczelo jej dzwonic w uszach.

- ...co tylko chcesz! - mówił umarlak. - Tylko powiedz, a to zrobimy. Jesteśmy twoimi slugami!... - A potem przebiegl obok Malej Jenks, malo jej nie przewracajac, i porwal motor.

- Hej! - rozdarla sie, ale ledwo zrobila krok w jego kierunku, caly stanal w ogniu! Wrzasnal.

Wtedy Mala Jenks tez wrzasnela. Wrzeszczala i wrzeszczala. Palacy sie umarlak obracal sie w kólko na trawniku, wirowal w miejscu jak przygwozdzony. Dom sabatowy eksplodowal, a niebo zrobilo sie jasne jak w samo poludnie.

O slodki Jezu, spraw, zebym zyla, spraw, zebym zyla! - powtarzala w myslach.

Przez ulamek sekundy sadzila, ze serce jej peklo. Bala sie spojrzec w dól, w obawie, ze jej klatka piersiowa jest otwarta, a serce pluje krwia jak wulkan lawa, ale w tej samej chwili zar spoteznial jej w glowie i WIUUUM!... przepadla.

Unosila sie coraz wyzej i wyzej ciemnym tunelem, az zakolysala sie wysoko, patrzac w dól na cala scene.

O, taaa, wlasnie tak, jak juz raz bylo. I prosze, to cos, co ich zabilo, stalo tam, biala postac ukryta w kepie drzew. Ciuchy umarlaka dymily na chodniku, a jej wlasne ciało palilo sie najzwyczajniej w swiecie.

W plomieniach dostrzegla nieskazitelnie czarny zarys wlasnej czaszki i kosci, lecz ten widok nie budzil w niej ani leku, ani nawet zainteresowania.

To biala postac napawala ja zdumieniem i zachwytem. Wygladala dokladnie jak swiety posag, jak przenajswietsza Matka Boska w kosciele katolików. Mala Jenks nie mogla oderwac wzroku od blyszczacych srebrnych nitek, wysnuwajacych sie z postaci we wszystkich kierunkach, utkanych z jakiegos tanczacego blasku. A kiedy uniosla sie wyzej, zobaczyla, ze te srebrne nitki siegaja dalej i splatuja sie z innymi, tworzac gigantyczna siec obejmujaca caly swiat i pelna umarlaków, zlapanych jak bezradne muchy w pajeczynie. To byly drobne pulsujace iskierki swiatla, zlaczona z biala postacia i stanowiac widok niemal piekny, a zarazem tak smutny. Och, biedne dusze wszystkich umarlaków zlapanych w niezniszczalna materii, nie mogace sie zestarzec ani umrzec.

Ona jednak była wolna. Sieć znajdowała się bardzo daleko. Mala Jenks widziała na przykład wiele tysięcy innych umarłych ludzi, kołyszących się w górze w wielkim mgławicowym obłoku szarości. Niektórzy byli zagubieni, inni walczyli ze sobą, a jeszcze inni oglądali się wstecz, w dół, gdzie zmarli tak marnie, jakby nie wiedzieli albo nie wierzyli, że to się stało. Paru nawet próbowało bezskutecznie zwrócić na siebie uwagę żywych.

Mala Jenks wiedziała, że nie żyje. To się stało już dawno. Przesuwała się przez ten mroczny gąszcz smutnych, bezwładnie wiszących w powietrzu ludzi. Była w drodze! Marność jej życia na ziemi napawała ją smutkiem, ale nie to było dla niej ważne.

Znów świeciło światło, wspaniałe światło, którego przeblask zauważyła, kiedy miała umrzeć po raz pierwszy. Podążała ku niemu, a zarazem w nim. I to było naprawdę piękne. Nigdy nie widziała takich kolorów, takiej światłości, nigdy nie słyszała takiej czystej muzyki. Nie było słów, żeby to opisać; nie znalazłaby właściwych słów w żadnym języku, jaki kiedykolwiek poznała. Tym razem nikt nie zmusi jej do powrotu!

Bo ten ktoś zbliżający się do niej, kto przygarnie ją i pomoże - to była matka! A matka jej nie porzuci.

Miłość, jaka czuła do matki, była nieporównywalna z niczym; ale to nic dziwnego, bo miłość otaczała ją ze wszystkich stron; światło, kolory, miłość - to wszystko stopiło się w jedno.

Ach, biedna Mala Jenks myślała, że po raz ostatni patrzy na Ziemię. Jednak nie była już Mala Jenks. Nie, wcale.

Rozdział trzeci

Bogini Pandora

Kiedys mieliśmy słowa.

Wół i sokół. Plug.

Panowała zrozumiałość.

Dzikosć? To rogi

zakrzywione.

Mieszkaliśmy w kamiennych komnatach.

Zwieszaliśmy włosy za okno i po nich wspinali się mężczyźni.

Brud za uszami, kedziory.

Na kazdym wzgórkę król

tego wzgórkę. Noca nitki byly wciagane

Z gobelinów. Rozstrzepiani ludzie darli sie wnieboglosy.

Ksiezyc pokazywal wszystkie kwadry. Mielismy slowa.

...

Stan Rice „Kiedys mielismy slowa” z tomu „Irlandzki rebeliant” (1976)

Byla wysoka, odziana w czern, cala oslonieta z wyjatkiem oczu; szla dlugim krokiem, z predkoscia nieosiagalna dla ludzi, w góre zdradzieckiej sciezki pokrytej sniegiem.

Byla prawie bezchmurna noc, w rozrzedzonym powietrzu Himalajów blyszczaly roje drobin gwiezdnych, a w oddali - tak daleko, ze nie mogla ocenic odleglosci - górowal masywny, pofaldowany stok Everestu, cudowny widok nad gestym bialym wieniec klebiastej chmury. Za kazdym razem, gdy na niego spogladala, zapieralo jej dech, nie tylko z powodu jego piekna, ale takze dlatego, ze wydawal sie pelen znaczenia, chociaz tak naprawde nie kryl zadnego znaczenia.

Czcic góre? Tak, to mozna bylo czynic bezkarnie, jako ze góra nigdy nie udzielala odpowiedzi. Zawodzacy wiatr, który przenikal idaca, byl glosem niczego i nikogo. A przypadkowy i obojetny majestat przyrody przywodził ja do placzu, podobnie jak widok pielgrzymów ponizej, cienkie pasmo mrówek, wijace sie w góre niewiarygodnie waskiej drozyny. Niewyslowienie smutne ich zludzenie. Niemniej jednak ona tez podazala w kierunku tej samej ukrytej swiatyni, w kierunku tego samego godnego pogardy, oszukanczego boga.

Cierpiala zimno. Szron pokryl jej oblicze i powieki, przyglgnal krysztalkami do rzes. Kazdy krok w przeszywajacym wietrze byl wyczerpujacy nawet dla niej. Tak naprawde jednak nie to stanowilo źródło bólu i cierpienia; byla na to za stara. Cierpienie mialo swoje podloze w jej umysle. Wyrastalo takze ze straszliwego oporu sil natury, z koniecznosci dlugiego ogladania wylacznie przerazliwie bialego, oslepiajacego sniegu.

To nie mialo znaczenia. Kilka nocy wczesniej na zatloczonych, cuchnacych ulicach starego Delhi przeszlo ja glebokie alarmujace drzenie i od tej pory powtarzalo sie co kilka godzin, jakby ziemia wzdrygala sie az do trzewi.

Chwilami byla pewna, ze Matka i Ojciec budza sie ze snu. Gdzies daleko, w krypcie, w której umiescil ich jej ukochany Mariusz, poruszyli sie wreszcie Ci Których Należy Miec w Opiece. Nic mniejszej miary niz owo zmartwychwstanie nie moglo przekazac tak poteznego, chociaz niejednoznacznego sygnalu - po szesciu tysiacach lat, przerazajacego znieruchomienia Akasza i Enkil powstaja z podwójnego tronu.

Ale to byla igraszka umyslu, nieprawdaz? Równie dobrze mozna by blagac góre, aby przemówila. Gdyz

dla niej nie była to jedynie legenda o starożytnych przodkach wszystkich krwio pijców. Inaczej niż wielu jej pobratymców, widziała ich na własne oczy. U drzwi ich sanktuarium zyskała niesmiertelność; przepelzła na kolanach i dotknęła Matki; przebiła gładką, świetlistą powłokę, niegdys będącą ludzką skórą, i podstawiła usta pod tryskający strumień Jej krwi. Cóż to był za cud: żywa krew lejąca się z ciała pozbawionego życia, a potem cudowne zasklepienie się ran.

Ale w tamtych prawiękach potężnej wiary dzieliła przekonanie Mariusza, że Matka i Ojciec jedynie zapadli w senne odretwienie, że przyjdzie taki czas, gdy się ockną i po raz kolejny przemówią do swych dzieci.

Razem z Mariuszem śpiewali im hymny w blasku świec; paliła im kadzidła i kładła przed nimi kwiaty; przysięgła nigdy nie ujawnić lokalizacji sanktuarium, aby inni krwio pijcy nie zniszczyli Mariusza, nie wykradli jego podopiecznych i nie posilili się zarłocznie pierwotną, najpotężniejszą krwią.

Było to jednak dawno temu, kiedy świat był podzielony między plemiona i cesarstwa, a herosi i imperatorzy w ciągu jednego dnia stawali się bogami. W owym czasie polubiła eleganckie filozoficzne idee.

Teraz wiedziała, co to znaczy żyć wiecznie. Tyle że nikt żywy nie zdołałby tego zrozumieć.

Niebezpieczeństwo! Znów przez chwilę poczuła w sobie ten zraczy prad. Potem na mgnienie oka otworzył się przed nią widok zielonego, dyszącego wilgocią miejsca, miękkiej gleby i tłumionego rozrostu. Znikł prawie natychmiast.

Zamarła, oslepiona odbitym od śniegu księżycowym blaskiem, i podniosła oczy ku gwiazdom mrugającym zza cienkiego welonu lotnej chmury. Nasłuchiwała innych niesmiertelnych głosów, ale nie usłyszała żadnego czytelnego i znaczącego przekazu - jedynie niewyraźne pulsowanie ze świątyni, do której zmierzała, i daleko z tyłu unosząca się z mrocznych, zatłoczonych nor brudnego miasta muzykę tego umarłego, szalonego krwio pijcy, gwiazdy rockowej, Wampira Lestata.

Niech będzie przeklęty ten niecierpliwy współczesny pisklak, który powążył się spleść w jedną materię modny belkot i strzępy starych prawd. Już widziała nie kończące się zastępy młodzików, którzy wspinali się na szczyt i lecieli w przepaść.

Niemniej ta zuchwałość intrygowała ją, a nawet szokowała. Czy to możliwe, że alarm, który usłyszała, był w jakiś sposób związany z jego błagalnymi, ochryplymi zawođeniami?

Akasz, Enkilu

Sluchajcie swoich dzieci

Jak śmiało wymówić starożytnie imiona w tym realnym, śmiertelnym świecie? To niemożliwe, to obelga dla rozumu, że takie stworzenie nie zostało natychmiast starte z powierzchni ziemi. Jednakże ten plawiący się w nieprawdopodobnym rozgłosie potwór odsłonił tajemnice, o których mógł się dowiedzieć tylko od samego Mariusza. Gdzie jest Mariusz, który przez dwa tysiące lat przenosił Tych Których Należy Mieć w Opiece z jednego tajnego sanktuarium do drugiego? Serce jej pęknie, jeśli pozwoli sobie na myśli o Mariuszu, o klótniach, które rozdzieliły ich dawno temu.

Głos Lestata ucichł, pochłonięty przez inne słabe głosy niesione na falach elektryczności, przez wibracje unoszące się z miast i wiosek oraz niezliczone głosy śmiertelnych dusz. I jak to się często zdarzało, jej niebywały słuch nie potrafił wyodrębnić żadnego wyraźnego komunikatu. Zalew dźwięków był tak koszmarne bezkształtny, że zamknęła się przed nim. Znowu słyszała tylko wiatr. Ach, czymże muszą być kolektywne głosy ziemi dla Matki i Ojca, których moce rosły w nieunikniony sposób od brasku historii? Czy mieli podobną jak ona zdolność do stawiania tamy owej powodzi, czy od czasu do czasu wybierali głosy, które mogli słyszeć? Niewykluczone, że pod tym względem byli równie pasywni jak pod każdym innym, i że to właśnie ten niepowstrzymany zgiełk był przyczyną tego odretwienia, owego bezwładu umysłu w obliczu nie kończących się krzyków, śmiertelnych bądź niesmiertelnych z całego świata.

Spojrzała na wielki poszarpany wierzchołek przed sobą. Dalej, dalej! Szczelnie okryła twarz i ruszyła w drogę.

Gdy szlak zaprowadził ją na mały wzgórek, ujrzała wreszcie cel swojej wędrowki. Po drugiej stronie ogromnego lodowca, na wysokim skalnym filarze wznosiła się świątynia, kamienna budowla tak biała, że prawie niedostrzegalna, z dzwonnica nienacka w wirującym śniegu, który właśnie zaczął padać.

Ile czasu potrzebuje, by tam dotrzeć, nawet jeśli podąży najszybciej jak potrafi? Widziała, co musi zrobić, jednak lek paraliżował jej duszę. Musi unieść ramiona, sprzeciwić się prawom natury oraz swojemu rozumowi i wzniesić nad kotline oddzielającą ją od świątyni, by łagodnie opasć na ziemię dopiero po drugiej stronie zamrożonego wąwozu. Spośród wielu mocy, które posiadała, żadna nie napawała ją takim poczuciem własnej małości, nie była tak sprzeczna z dawno utraconą kondycją pospolitej śmiertelniczki.

Tak bardzo pragnęła dotrzeć do tej świątyni. Musiała się tam dostać, więc powoli, z wyuczona gracją uniosła ramiona. Zamknęła na chwilę oczy, nakazując sobie unieść się w górę, i poczuła, jak wznosi się natychmiast, jakby jej ciało było nieważkie, poddane działaniu siły nie skrepowanej przez materię, dosiadające wiatru moca samego pragnienia.

Przez długi czas pozwalała wiatrowi, by ją omiatał, obracał, unosił bezwładna. Szybowała coraz wyżej i wyżej, całkowicie oddalając się od ziemi, wzniosła się nad chmury, spojrzała w oblicze gwiazd. Jakże ciężkie wydawało się jej odzienie; czy nie była gotowa na niewidzialność? Czy to nie następny krok? Pylek w oku Boga - pomyślała. Scisnęło ją w sercu. Groza tej sytuacji, całkowitego oderwania się od wszystkiego... Lzy wezbrały jej w oczach.

Jak zawsze w tych momentach, gdy wszystkie praktyczne przekonania odchodziły w niebyt, wydało się jej, że niejasny zarys własnej ludzkiej przeszłości, którego trzymała się tak kurczowo, to tylko wysniony mit. Czy ja kiedyś żyłam, kochałam, czy moje ciało było pełne żaru? - pytała siebie w myślach. Ujrzała Mariusza, swojego stwórcę, lecz takiego jak niegdyś, młodego, niesmiertelnego, płonącego nadprzyrodzona tajemnica.

- Pandoro, najdroższa moja...

- Daj mi to, błagam.

- Pandoro, pójdz ze mna prosić Matkę i Ojca o błogosławieństwo. Pójdz do świątyni.

Unoszonej bezwładnie, zrozpaczonej, groziło zapomnienie o miejscu przeznaczenia. Zdana na przypadek mogłaby wzniesić się ku wstającemu słońcu. Ale znów rozległ się alarm, cichy, pulsujący sygnał: „Niebezpieczeństwo”, który przypominał jej o celu wyprawy. Rozłożyła ramiona, nakazała sobie znów

odwrócić się twarzą ku ziemi i zobaczyła w dole dziedziniec świątyni, buchający dymami i ogniem.

Tak, tam - skierowała w myślach swój lot.

Szybkość opadania była oszalamiająca, zamiewała ją. Ocknęła się na dziedzińcu, przez niezwykle krótką chwilę spowita bólem; potem wróciło zimno i odretwienie.

Swist wiatru był daleko. Przez ściany świątyni przebijała się muzyka, opętanczy puls przesycony dźwiękiem tamburynów i bebnów, linie melodyczne stopione w makabryczny, natretny lomot. A tu plęły ogniem stosy pogrzebowe, trzeszczały czerniejące trupy cisniete na gorejące polana. Smród był ohydny. Mimo to długo przyglądała się, jak płomienie z wolna pozerają syczące ludzkie mięso, szernieją kikuty, włosy nagle strzelają kometami siwego dymu. Wonie odbierały dech; oczyszczające górskie powietrze nie miało tu dostępu.

Przeniosła wzrok na odległe drewniane wieże do najświętszego ze świętych miejsc. Pełna gorczy znów musiała wystawić na próbie swoją moc. Tam - rozkazała w myślach. Drzwi się rozwarły i poczuła, jak unosi się przez próg; oszłomotała ją światła wielkiej izby, zaduch i ogłuszający, rytmiczny śpiew.

- Azim! Azim! Azim! - Bez wytchnienia zawodzili wierni, cisnąć się do środka rozjaśnionej świecami sali; unosili ręce, krecąc nadgarstkami i kołysząc głowami w jednakowym rytmie. - Azim! Azim! Azim-Azim-Azim! Aaaaaziiiiim! - Dym buchał z kadzielnicy; wirował rój nieprzeliczonych postaci tupiących bosymi stopami. W ciemnych gładkich twarzach poruszały się tylko wargi, powtarzające uwielbiane imię; ich zamknięte oczy nie widziały, nie patrzyły.

Znalazła się w ludzkim gąszczu; mężczyźni i kobiety, jedni w lachmanach, inni we wspaniałych kolorowych jedwabkach i pobrzekujący złotą biżuterią, wszyscy powtarzali inwokacje z przerazającą monotonią. Wciągnęła w nozdrza wonie gorączki, głodu, trupów zdeptanych w ścisku, nie dostrzeżonych w szalenstwie i gorączce. Przyłgnęła do marmurowej kolumny, jakby spragniona zakotwiczenia w wirze ruchu i hałasu.

Wtedy pośrodku tego tłumu dostrzegła Azima. Jego ciemna skóra w odcieniu brązu była wilgotna i połyskiwała w świetle knotów, głowę miał owinięta czarnym jedwabnym turbanem, długie haftowane szaty mieniły się plamami krwi śmiertelnych i niesmiertelnych, a czarne, wielkie oczy otaczały obwódki z antymonowego proszku. Tęczył rozkołysany do wtóru bebnów, wyciągając i cofając pięści, jakby bił w niewidzialny mur. Stopy w pantoflach wybijały na marmurze szalency rytm. Z kącików ust saczała się krew. Jego twarz miała wyraz bezmyślnego zapamiętania.

A jednak wiedział, że przybyła. Pochłonięty tańcem spojrzał prosto na nią i umajone krwią wargi wygięły się w uśmiechu.

Pandoro, moja piękna, niesmiertelna Pandoro... - Słyszała, jak pozdrawiają w myślach.

Rozpasany, bez reszty pogrążony w ucieczkę, która wyprawiał, tłusty i zgrzany, znacznie odbiegał od wizerunku znanych niesmiertelnych. Odrzucił w tył głowę, odwrócił się i wydał przeraźliwy krzyk. Jego akolici zbliżyli się, nacnęli go po wyciągniętych nadgarstkach ofiarnymi nożami.

Wierni rzucili się tłumnie, chwytając w wyciągnięte usta świętą krew bluzgającą z zębów. Śpiew się wzmógł, głuźąc zdławione wrzaski najbliższych Azimowi. Nagle czciciele uniesli na ramionach jego sztywno wyprostowane ciało; noski złotych pantofli zadarły się ku wysokiemu mozaikowemu sklepieniu, noże nacięły łydki i powtórnie nadgarstki, na których zamknęły się już rany.

Oszalały tłum zdawał się peczniec, ogarnięty rosnącą gorączką, cuchnące ciała uderzały o stojącą pod filarem, obojętne na zimno i twardość wiekowych członków pod bezkształtną welnianą oponczką. Ani drgnęła, dając się otoczyć, wchłonąć. Złożony na posadzce Azim krwawił i jęczał, lecz rany już się zasklepiły. Przywołał ją gestem. Odmówiła milczaco.

Na jej oczach porwał pierwszą z brzegu ofiarę, młodą kobietę o wymalowanych oczach, przystrojona w długie złote nausznicę; rozorał jej szczupłą szyję.

Z szeroko wytrzeszczonymi oczami, jakby własną moc napawała go groza, wysał krew jednym wielkim haustem, po czym odrzucił bezwładną plataninę konczyn na kamienną posadzke, a wierni zbili się wokół, wyciągając proszaco ręce do swego chwiejącego się na nogach boga.

Odwróciła się plecami do tego widowiska; wyszła na dziedziniec, wdychała chłodne powietrze, omijając z daleka zarosty. Cuchnęło moczem i padliną. Stała pod ścianą i zadarłszy głowę, myślała o górze, obojętna na akolitów Azima, wlokących świeże trupy i ciskających je w płomień.

Myślała też o pielgrzymach zmierzających do świątyni, o długim, ospałym lancuchu wlokącym się dniem i nocą przez niezamieszkałe góry do tej bezimiennej miejscowości. Ilu zmarło, nie dotarłszy do urwiska? Ilu zmarło pod bramą, czekając na wpuszczenie do środka?

Wszystko to napawało ją wstretem, a zarazem było pozbawione znaczenia. Ten koszmar trwał wiele wieków. Czekala. Wreszcie Azim ją zawołał.

Odwróciła się i ponownie przekroczyła próg, potem następny i znalazła się w niewielkiej, wybornie wymalowanej komnacie, gdzie czekał na nią w milczeniu na czerwonym kobiercu, w rubinowej opasce, otoczony skarbami, darami ze złota i srebra, leżącymi bezładnie i składnie; muzyka w głównej sali cichła, jakby ocieślała i zalekniona.

- Najdroższa - rzekł. Wziął w dłoń jej głowę i ucałował. Strumień ogrzanej krwi przepłynął z jego ust i przez krótką, pełną radosnego uniesienia chwilę jej zmysły wypełniły pieśni i tańce wiernych, rozpalone krzyki, zalew ciepłej adoracji śmiertelnych, poddania. Miłości.

Tak, miłości. Na mgnienie oka ujrzała Mariusza. Uniosła powieki. Przez chwilę widziała ściany z wymalowanymi pawiami, lilie, stopy migotliwego złota. Później pole jej widzenia bez reszty wypełnił Azim.

Był niezmienny jak jego poddani, niezmienny jak wioski, z których przybywali, brnąć przez śniegi i pustkowia, by napotkać ten straszliwy, bezsensowny koniec. Już niemal tysiąc lat temu rozpoczął rządę w tej świątyni, z której żaden wierny nie uszedł z życiem. Jego sprezysta złota skóra, odżywiana nie kończąca się rzeka krwi ofiarnej, tylko nieznacznie zbladła na przestrzeni wieków, podczas gdy jej ciało już dawno utraciło ludzki rumieniec. Tylko oczy i być może kasztanowe włosy świadczyły o tym, że nie rozstała się z życiem. Zachowała urodę, o tak, była tego świadoma, lecz on dysponował przemożnym wigorem. Zło. Nieodparte dla swoich wielbicieli, spowite w legendę, rządziło nie krepowane przeszłością ani przyszłością, wymykając się jej rozumieniu tak teraz, jak i zawsze.

Było jej spieszo odejść. To miejsce budziło w niej tak wielkie obrzydzenie, że wołała to przed nim ukryć. Opowiedziała mu bez słów o celu swojego przybycia, o alarmie, który usłyszała. Coś było nie w porządku, coś się zmieniło, coś stało, co nigdy do tej pory się nie zdarzyło! Opowiedziała mu też o młodym krwiopijcy, który nagrywał w Ameryce piosenki pełne prawd o Matce i Ojcu, których imiona były mu znane. Jej wypowiedź, pozbawiona wielkich słów, miała charakter osobistego zwierzenia.

Obserwowała Azima, świadoma jego wielkiej mocy, zdolności wydobywania od niej każdej myśli bądź idei i zarazem ukrywania sekretów własnego umysłu.

- Blogosławiona Pandoro - rzekł przekornie. - Cóż mnie obchodzi Matka i Ojciec? Cóż mnie obchodzi twój bezcenny Mariusz? Bezustannie wzywa pomocy? A jakież to ma dla mnie znaczenie!

Stała oszolomiona. Przecież Mariusz wzywa pomocy. Azim się rozesmiał.

- Wyjaśnij swoje słowa - powiedziała.

Znow się zasmiał, po czym odwrócił się do niej plecami. Mogła tylko czekać. Mariusz był jej stwórcą. Cały świat mógł słyszeć jego głos, ale nie ona. Czy to echo do niej docierało, zniekształcone odbicie potężnego wołania, które słyszeli inni? Powiedz mi, Azim - zwróciła się do niego w myślach. - Czemu miałbyś czynić ze mnie swego wroga?

Kiedy wreszcie się odwrócił, był zamysłony, okrągła, pulchna twarz stała się ludzka, a na tłustych dłoniach pokazały się doleczki, kiedy złożył je razem tuż poniżej wilgotnej dolnej wargi. Czegoś od niej chciał. Przekora i złośliwość ustąpiły.

- To ostrzeżenie - powiedział. - Jest przekazywane nieustannie przez łańcuch odbiorców z miejsca katastrofy w jakimś bardzo odległym miejscu. Niebezpieczeństwo zagraża nam wszystkim. Ostrzeżeniu towarzyszy słabsze od niego wołanie o pomoc. Pomóżcie mu, a może zdoła odwrócić zagrożenie. Ten sygnał jest jednak pozbawiony zarliwości. Temu, kto woła, zależy przede wszystkim na ostrzeżeniu.

- Jak to dokładnie brzmi?

- Nie słucham. Nie dbam o słowa. - Wzruszył ramionami.

- Ach! - Teraz ona odwróciła się plecami. Usłyszała zbliżające się kroki. Poczula jego dłonie na swoich ramionach.

- Teraz ty musisz odpowiedzieć na moje pytania. - Odwrócił ją ku sobie. - Mnie trapi sen o bliźniaczkach. Co on oznacza?

Sen o bliźniaczkach. Nie miała odpowiedzi na to pytanie. Nie widziała w nim sensu.

Przyglądał się jej w milczeniu, jakby uważał, że kłamie. Wreszcie przemówił bardzo powoli, starannie oceniając jej odpowiedź.

- Dwie kobiety, rudowłose. Przytrafiły się im straszliwe rzeczy. Pojawiły się przede mną w niepokojących i niepozadanych wizjach, na chwilę przed otwarciem oczu. Widzę te kobiety zgwałcone przed sadem gapiów. Nie wiem jednak, kim są i gdzie doszło do tego przerażającego zdarzenia. Nie ja jeden zadaje sobie te pytania. Gdzieś tam, rozrzućeni po świecie, są inni mroczni bogowie, którzy mieli te same sny i mogą wiedzieć, czemu te obrazy nas nawiedziły.

Mroczni bogowie! Nie jesteśmy bogami - pomyślała z pogardą.

Uśmiechnął się do niej. Czyż nie stali właśnie w jego świątyni? Czyż nie słyszała jęku jego wiernych? Czyż nie czuła woni ich krwi?

- Nic nie wiem o tych kobietach - rzekła. Bliźniaczki, rudowłose? Nie. Poglądziła go po palcach

lagodnie, niemal uwodzicielsko. - Azimie, nie drecz mnie. Chce, zebys opowiedzial mi o Mariuszu. Skad on wola?

Jakze nienawidzila go w tej chwili za to, ze ukrywal przed nia te tajemnice.

- Skad? - zapytal przekornie. - Ach, w tym tkwi istota sprawy, nieprawdaz? Myslisz, ze odwazylby sie zaprowadzic nas do swiatyni Matki i Ojca? Gdybym ja tak myslal, odpowiedzialbym na jego wolanie, och, wierz mi. Opuscilbym moja swiatynie, by go odnalezc, oczywiscie. Ale on nie zdola nas zwiesc. Woli raczej sam zostac unicestwiony, niz ujawnic miejsce sanktuarium.

- Skad wzywaj - spytala cierpliwie.

- Te sny - rzekl. Twarz pociemnila mu z gniewu. - Te sny o blizniaczkach, chcialbym umiec je wyjasnic!

- Powiedzialabym ci, kim sa te blizniaczki i co to wszystko znaczy, gdybym tylko wiedziala. - Pomyslala o piosenkach Lestata, mowiacych o Tych Ktorych Nalezny Miec w Opiece i o kryptach pod europejskimi miastami, o poszukiwaniu i smutku. Nie bylo tam nic o rudych kobietach, nic...

Rozwscieczony kazal jej zamilknac.

- Wampir Lestat - rzekl z szyderstwem w glosie. - Nie mow przy mnie o tej ohydzie. Czemu jeszcze nie zostal zniszczony? Czy mroczni bogowie spia jak Matka i Ojciec? - Przygladal sie jej badawczo. - Doskonale. Wierze ci - powiedzial wreszcie. - Wyjawilas mi to, co wiesz.

- Tak.

- Zamykam uszy przed Mariuszem. Zlodziej Matki i Ojca niech wola o pomoc do kresu czasu. Ale ciebie, Pandoro, ciebie kocham jak zawsze, wiec zbrukam sie tymi aferami. Przebadz morze dzielace nas od Nowego Swiata. Spojrz na zamarznieta Pólnoc, poza najdalsze lasy w poblizu zachodniego morza. Tam moze znajdziesz Mariusza, uwiezionego w lodowej cytadeli. Krzyczy, ze nie moze sie poruszyc. Jego ostrzezenie jest rownie mgliste jak uparte. Grozi nam niebezpieczenstwo. Musimy pomoc Mariuszowi, zeby mogl je powstrzymac, zeby mogl udac sie do Wampira Lestata.

- Ach. Wiec to tylko sprawka tego mlodzika! - Przeszedl ja dreszcz, gwałtowny, bolesny. Oczyma duszy ujrzala pozbawione wyrazu, nieczule oblicza Matki i Ojca, niezniszczalnych potworów w ludzkiej postaci. Zbita z tropu spojrzala na Azima. Nie powiedzial jeszcze wszystkiego, czekala wiec na jego nastepne slowa.

- Nie - rzekl spokojniejszym tonem, lagodniejszym i wyzbytym gniewu - niebezpieczenstwo jest realne, Pandoro. Wielkie niebezpieczenstwo. Nie potrzeba Mariusza, aby o nim wiedziec. Ono ma zwiazek z rudymi blizniaczkami. - Jakze zaskakujaca byla jego szczerosc, jakze sie przed nia odslanial. - Wiem to, poniewaz bylem stary, zanim Mariusz zostal stworzony. Blizniaczki, Pandoro. Przeszan dreczyc sie Mariuszem; wsluchaj sie w swoje sny.

Odebralo jej mowe. Spogladal na nia dlugo, az oczy mu zmalaly, stwardnialy. Czula, ze wycofuje sie w glab siebie, daleko od niej i wszystkich rzeczy, o ktorých mówili. W koncu przestal ja dostrzegac.

Uslyszal natretne zawodzenia swoich wiernych; znów zapagnal hymnów i posoki. Odwrócił się, ruszył ku wyjściu, ale po kilku krokach spojrzal na nia.

- Chodź ze mną, Pandoro! Przyłącz się do mnie choćby na godzinę! - Głos miał pijacki, belkotliwy.

To zaproszenie ją zaskoczyło. Zastanowiła się. Lata minęły, odkąd szukała tej niewysłowionej rozkoszy, której źródłem była nie tylko sama krew, ale chwilowe złączenie z inną duszą. I proszę, oto nagle czekało to na nią wśród tych, którzy wspięli się na najwyższe górskie pasmo, aby szukać takiej śmierci. Myślała także o czekającym ją zadaniu, o znalezieniu Mariusza i o ofiarach, które ono za sobą pociągnie.

- Chodź, najdroższa.

Ujęła jego dłoń. Dążyła się wyprowadzić z komnatki na środek zatłoczonej sali. Jarzące się światło było dla niej zaskoczeniem; tak, znów posmakuje krwi. Wśród ludzkich istot napierała na nią, napawała męką.

Ryk wiernych był ogłuszający. Tupot nóg wstrząsał ścianami i migotliwym złotym sklepieniem. Zapach kadzidel drażnił oczy. Napłynęła słaba wizja sanktuarium sprzed eonów czasu oraz wspomnienie objęcia Mariusza. Azim stał obok, kiedy zdejmowała oponczkę, odsłaniając twarz, ramiona, prostą suknię z czarnej wełny i długie kasztanowe włosy. Ujrzała swoje odbicie w setkach par oczu śmiertelnych.

- Bogini Pandora! - wykrzyknął, odrzucając głowę do tyłu.

Wrzaski zagłuszały szybki łomot bebnów. Głaskały ją niezliczone ludzkie dłonie.

- Pandora! Pandora! Pandora! - Rytmiczne zawrodożenie mieszało się z okrzykami: - Azim! Azim!

Przed nią tańczył młody ciemnoskóry mężczyzna; jego biała jedwabna koszula przykleiła się do brązowego spoczonego torsu. W czarnych oczach jarzyło się wyzwanie: - Jestem twoją ofiarą! Bogini! - Nagle w migoczącym świetle i ogłuszającym hałasie przestała widzieć cokolwiek poza jego oczami, jego twarzą. Wzięła go w objęcia, miądząc w pośpiechu zębami i zatapiając zęby głęboko w jego szyi. Ożyła! Strumień napływającej krwi dosięgnął serca, wypełnił komory, a potem wlał się we wszystkie lodowate kończyny. Żadne wspomnienie nie mogło się równać z tym wspaniałym odczuciem i niewysłowioną żądzą, z nawrotem pożądania! Śmierć wstrząsnęła nią, pozbawiła ją tchu w piersiach, czuła, jak sięga jej mózgu. Oslepiona Pandora jęczała. Wtem sparaliżowała ją ostrych widzenia. Marmurowe kolumny żyły i oddychały. Wypuściła ciało i objęła innego młodego mężczyznę, prawie zglodzonego, półnagiętego, którego bezsilna doprowadziła ją niemal do szaleństwa.

Pijac, złamała mu wiotki kark; słyszała ogromnie serca, czuła, jak krew wypełnia nawet naskórek. Zanim przymknęła oczy, dostrzegła ozywający kolor dłoni, tak, ludzkich dłoni. Tym razem śmierć była wolniejsza, a życie bardziej odporne; uległo jednak wreszcie nagle gasnącego światła i ulewy dźwięków. Ożyła.

- Pandora! Pandora! Pandora!

Boże, czy nie ma sprawiedliwości, czy nie ma końca?

Chwiała się na nogach, tańczyły przed nią śmiertelnie blade ludzkie twarze. Krew wrzała, szukając każdej tkanki, każdej komórki. Z tłumu wyrzucono trzecią ofiarę, objęła ją szczuple młode członki, czuła tak miękkie włosy, puch na ramionach, kruche kości, jakże lekkie, jakby to ona była realną istotą, a przed sobą miała twórcę wyobraźni.

Zerwała głowę z karku, spojrzała na białe kości złamanego kregosłupa i polknęła natychmiast śmierć wraz z krwią tryskającą z rozdartej arterii. Zapagnęła jednak serca, bijące serca, chciała je zobaczyć, posmakować. Przerzuciła ciało przez ramię, a gdy rozległ się trzask kości, rozerwała klatkę piersiową,

wyszarpując serce z gorącego, krwawiącego zaglebienia.

Nie było jeszcze martwe, nie całkiem. Wziela je w dłonie, sliskie, błyszczące jak winogrona po deszczu. Wierni cisnели się do niej, gdy uniosła je ponad głowę, lekko sciskając, i żywy moszcz spłynął po palcach w otwarte usta. Tak, na wieki wieków, amen.

- Bogini! Bogini!

Azim przypatrywał się jej usmiechnięty. Nie odpowiedziała mu spojrzeniem. Wpatrywała się w skurczone serce, z którego saczyły się ostatnie krople krwi. Miazga. Rzuciła je na podłogę. Dłonie posmarowane krwią gorzały jak żywe. Czula w twarzy ciepłe mrowienie. Nasunęła się nieprzyjemna fala wspomnień, fala niepojętych wizji. Odepchnęła ją. Tym razem nie da się zniewolic.

Sięgnęła po czarna oponczę. Poczula, jak otula ją ciepły materiał, pomocne ludzkie dłonie nałożyły jej wełniane okrycie na włosy i dolną część twarzy. Ignorując podniecony tłum skandujący jej imię, odwróciła się i wyszła, odrzucając na boki wiernych, którzy przypadkowo znaleźli się na jej drodze.

Jak rozkoszny był chłód dziedzinca. Lekko odchyliła głowę, wdychając bezdomny wiatr, który wdarł się do zamkniętej przestrzeni, rozkładając wachlarze gorzkich dymów ze stosów pogrzebnych, zanim poniósł je w dal. Światło księżycy było czyste i kładło się pięknie na pokrytych śniegiem wierzchołkach.

Stała wsłuchana w krew w swym wnętrzu i zdumiewała się, szalona i zarazem zrozpaczona, że życiodajny płyn wciąż jeszcze potrafi ją odświeżyć i wzmacnić. Przybita, ogarnięta żalostí patrzyła na cudowne, nagie pustkowia otaczające świątynie, na pojedyncze, sklebane chmury. Ileż odwagi dodała jej krew, ile chwilowej wiary w prawdę wszechświata. Oto paradoksalne owoce upiornego, niewybaczalnego czynu.

Jeśli umysł nie potrafi odnaleźć sensu, zawierz zmysłom. Żyj z takim przeswiadczeniem, w zgodzie ze swoją naturą, koszmarna istoto.

Podeszła do najbliższego stosu, uważając, by nie zbrukać szat; wyciągnęła dłonie, aby ogień je oczyścił, wypalił krew i kawalki serca. Kiedy wreszcie poczuła pierwsze przelotne ukłucia bólu, przelotne oznaki zmiany, cofnęła się i spojrzęła na nieskazitelnie czyste dłonie.

Teraz musi już stąd odejść. Przepelnił ją gniew, nowa uraza. Mariusz jej potrzebował. Niebezpieczeństwo! - usłyszała w myślach. Alarm znów się rozdzwonił, głośniejszy niż kiedykolwiek przedtem, gdyż krew wyostrzyła jej zdolność odbioru. Wyglądało na to, że ten alarm nie pochodził od pojedynczej istoty. Zdecydowanie był to głos pospólny, zgłębliwy chór powszechnej wiedzy. Ogarnął ją lek.

Kiedy lzy odgrodziły ją od świata, oczyściła umysł z wszelkich myśli. Delikatnym ruchem uniosła dłonie, same dłonie. Rozpoczęło się wznoszenie, bezdzweczne, szybkie, być może równie niewidoczne dla śmiertelnych oczu, jak sam wiatr.

Wysoko nad świątynią przebiła się przez cienką warstwę miękkiej, klebiącej się mgły. Zaskoczyło ją nateżenie światła. Wszędzie rozświetlona biel. A poniżej kamienne blanki górskich szczytów i oslepiający lodowiec opadający ku miękkiej czerni lasów i dolin. Tu i tam zbite roje światel, nieregularne skupiska tworzące wsie lub miasteczka. Mogłaby przyglądać się im przez wieczność, lecz rozbrykane podniebne baranki niebawem wszystko zasłoniły. Znalazła się sam na sam z gwiazdami.

Twarde, migotliwe, objęły ją jak swoją. Tak naprawdę jednak nie zgłaszały prawa własności do niczego

i nikogo. Ogarnęła ją groza, pogłębiający się smutek, który po pewnym czasie upodobił się do radości. Zegnajcie, wszelkie zmagania. Zegnajcie, wszelkie rozpacz.

Ogarniając wzrokiem wspaniałe ząpy konstelacji, zwolniła opadanie i wyciągnęła obie dłonie ku zachodowi.

Wyprzedzała wschód słońca o dziewięć godzin. Uchodząc przed nim, rozpoczęła podróż wespół z nocą ku drugiej stronie świata.

Rozdział czwarty

Opowieść o Danielu, ulubieńcu diabła lub też chłopaku z „Wywiadu z wampirem”

Kim są te cienie, na które czekamy, wierząc,

ze któregoś dnia zjada z nieba

w limuzynach?

Róża,

choć zna odpowiedź na to pytanie,

nie ma głosu

i nie może nic powiedzieć.

Moja śmiertelna polowa śmieje się.

Szyfr i sens nie są jednym i tym samym.

Czymże jest anioł,

jeśli nie tylko zjawia w bryczce?

Stan Rice „O niebiosach” z tomu „Tęcza dzieła” (1983)

Był wysokim szczupłym młodzieńcem, szatynem o fiołkowych oczach. Miał na sobie brudną bawelnianą

bluze i dzinsy, wiec marzl w lodowatym wietrze ciskajacym sie po Michigan Avenue o piatej po poludniu. Nazywal sie Daniel Molloy. Mial trzydziesci dwa lata, chociaz z racji mlodzienczego oblicza wygladal raczej na wiecznego studenta niz na mezczyzne. Idac, mruclal do siebie:

- Armandzie, potrzebuje cie. Armandzie, koncert jest jutro wieczorem. Stanie sie cos straszego, cos straszego...

Byl glodny. Od póltoorej doby nic nie mial w ustach. Lodówka w zapluty hoteliku zionela pustka, a poza tym tego ranka nie dostal nawet klucza od numeru, bo zalegal z oplata. Trudno pamietac równocześnie o wszystkim.

Nagle przypomniał sobie sen, który wciąż go nawiedzał, sen, który zjawiał się zawsze, gdy tylko zamykał powieki; opuściła go wszelka ochota do jedzenia.

We śnie zobaczył bliźniaczki. Widział upieczone ciało kobiety leżące przed nimi, jej doszczętnie spalone włosy, stwardniała i popekana skóra. Jej serce, lśniące jak przejrzwały owoc, leżało w misce obok. Mózg na drugiej misce wyglądał dokładnie jak ugotowany mózg.

Armand wiedział o tym na pewno. To nie był zwykły sen. Niewątpliwie miał jakiś związek z Lestatem, więc Armand musi zjawić się niebawem.

Boże, opada z sił, majaczy. Musi coś wziąć do ust, choćby haust alkoholu. Kieszenie miał puste, jeśli nie liczyć starego zmiętego czeku za tantiemy za „Wywiad z wampirem”, który „napisał” pod pseudonimem dwanaście lat temu.

To był inny świat, kiedy jako młody reporter włóczył się po wszelkich możliwych barach, usiłując wyłowić w śmieciach nocy jakąś prawdę. No cóż, pewnej nocy w San Francisco natrafił na brylant. Wtedy światło zwykłego dnia nagle zgasło.

Teraz stał się ruina człowieka; dziś, w ten październikowy wieczór, jest w Chicago; ostatniej niedzieli był Paryż, a w piątek Edynburg. Przed Edynburgiem Sztokholm, a co wcześniej?... Nie pamiętał. Czek za tantiemy przesłano do Wiednia, ale nie wiedział, jak dawno temu.

Wszędzie był postrachem przechodniów. Wampir Lestat dobrze określił taki wygląd w swojej autobiografii: „Jeden z tych meczących śmiertelnych, którzy ujrzeni duchy...” To ja! - mógłby powiedzieć o sobie.

Gdzie się podział tamten egzemplarz „Wywiadu z wampirem”? No tak, ktoś mu go ukradł tego popołudnia, kiedy spał na ławce w parku. Aaa, niech sobie go zatrzyma. Daniel sam go ukradł, a przeczytał już trzykrotnie.

Jednak gdyby teraz miał te książki, mógłby je sprzedać, i może wystarczyłoby akurat na rozgrzewający kieliszek brandy. A ile sam był na czysto wart w tej chwili: zziębnięty, głodny włóczęga, wlokący się przez Michigan Avenue, przeklinający wiatr, który kradł resztki ciepła zza znoszonych, brudnych łachów? Dziesięć milionów? Sto? Nie wiedział. Armand by wiedział.

„Chcesz pieniędzy, Danielu? Dostane je dla ciebie. To prostsze, niż myślisz”.

Tysiąc pięćset kilometrów dalej na południe Armand czekał na ich prywatnej wyspie, która tak naprawdę należała tylko do Daniela. Wystarczyłoby mu teraz ćwierć dolara, tylko ćwierć; mógłby go wrzucić do automatu i powiedziałby Armandowi, że chce wrócić do domu. Zjawiliby się po niego prosto

z chmur. Jak zawsze. Albo wielkim samolotem z wybita atlasami sypialnia, albo czymś mniejszym, z niższym sufitem i skórzanymi fotelami. Czy na tej ulicy znalazłby się ktoś, kto pożyczyłby ćwierć dolara w zamian za lot samolotem do Miami? Zapewne nie.

Armandzie, ocknij się - przywoływał go w myślach. - Chce być bezpieczny z tobą, kiedy Lestat wejdzie na podium dziś wieczorem.

Kto zrealizuje jego czek? Nikt. Była siódma i modne sklepy wzdłuż Michigan Avenue już zamknięto; nie miał przy sobie żadnego dowodu tożsamości, ponieważ portfel jakimś cudem wyparował mu przedwcześnie. Jakże przygnębiający jest ten raniący oczy popiół zimowego zmierzchu, jakże melancholijne niskie wały metalicznych chmur. Nawet sklepy wydawały się ponure; ich wystawne marmurowe i granitowe fasady przypominały archeologiczne wykopaliska pod muzealnym szkłem. Spragniony ciepła wbił ręce w kieszenie i pochylił głowę, gdy wiatr natarł z większą zawziętością, siekąc pierwszymi kroplami deszczu.

Tak naprawdę ani trochę nie dbał o czek. Nie mógł sobie wyobrazić, że naciska klawisze telefonu. Nic tutaj nie wydawało mu się realne, nawet chłód. Realny był tylko tamten sen, poczucie nadciągającej katastrofy i przekonanie, iż Wampir Lestat w jakiś sposób wprowadził w ruch coś, nad czym nawet on nie potrafił zapanować.

Jeśli musisz, jedź z puszki na smietniku, spij gdzieś, nawet w parku. Nic nie miało znaczenia. Ale jeśli znów usnie na dworze, zamarźnie, a poza tym sen powróci.

Teraz powracał za każdym razem, gdy zamknął oczy. I za każdym razem się wydłużał, obfity w szczegóły. Blizniaczki były tak wzruszająco piękne. Nie chciał słuchać ich krzyków.

Pierwszej nocy w hotelowym pokoju zignorował to jako rzecz bez znaczenia. Wrócił do autobiografii Lestata, od czasu do czasu zerkając na jego wideoklipy migające na ekranie małego czarno-białego telewizora, obok innych smieci w tym stylu.

Fascynowała go beczelność Lestata; jednakże przebranie się za gwiazdę rocka było zabiegiem niezwykle prostym. Przeszywające spojrzenie, silne, a jednocześnie smukłe ciało i złośliwy uśmiech zepsutego chłopca, tak. Jednak naprawdę nie umiał powiedzieć, czy to jest Lestat. Nigdy nie widział go na oczy.

Jednak Armand został oddany wiernie, nieprawdaz? Przebadal każdy szczegół jego młodego ciała i twarzy. Ach, co to była za szalencza rozkosz, czytać opis Armanda pióra Lestata, zastanawiając się przy tym, czy kasłowe zniewagi i wiernopoddancze analizy doprowadziły przedmiot tych uwag do wściekłości.

Daniel z milczącą fascynacją oglądał w MTV ten mały klip przedstawiający Armanda jako pana domu sabatowego pod paryskim cementarzem, przewodniczącego demonicznym rytuałom, dopóki Wampir Lestat, osiemnastowieczny obrazurca, nie zniszczył Starego Porządku.

Armanda musiała trawić nienawiść, kiedy widział swoje prywatne dzieje obnażone w migających obrazkach o ileż bardziej prostackich niż pogłębiona książkowa relacja Lestata. Musiał być tym wstrząsnęty, on, który stale przenikając wzrokiem żywe istoty wokół siebie, nie chciał nawet mówić o nieposłubionych śmierci. Niemożliwe jednak, by nie miał o tym pojęcia.

A wszystko to dla gawiedzi - niczym wydany w masowym nakładzie raport antropologa, niedysczłonka kolegium wtajemniczonych, sprzedającego tajemnice plemienia za miejsce na liście bestsellerów.

Pozwólmy jednak demonicznym bogom wojować ze sobą. Ten śmiertelny dotarł na wierzchołek góry, gdzie skrzyżowali miecze. I zszedł stamtąd. Został odprawiony.

Następnej nocy majaki wróciły z klarownością halucynacji. To nie mógł być twór umysłu Daniela. Nigdy nie widział takiego ludu, takich prostych ozdób z kości i drewna.

Powtórzyły się trzy noce później. Oglądał chyba po raz piętnasty wideoklip Lestata o starożytnych egipskich Rodzicach wszystkich wampirów, o Tych Których Należy Miec w Opiece.

Akasz i Enkilu,

Jesteśmy waszymi dziećmi,

ale co od was dostaliśmy?

Czy wasze milczenie

to lepszy dar niż prawda?

A potem Daniel snił. Bliźniaczki właśnie szykowały się, by rozpocząć ucztę. Na wypalanych glinianych naczyńkach czekały na nie ludzkie organy. Na jedną - mózg, na drugą - serce.

Obudził się z poczuciem dzikiego przerażenia i świadomością, że należy natychmiast coś zrobić. Szykowało się coś strasznego, coś strasznego dla nich wszystkich... I po raz pierwszy połączył to z Lestatem. Chciał sięgnąć po słuchawkę. W Miami była czwarta nad ranem. Czemu, do diabła, tego nie zrobił? Armand pewnie siedział na tarasie willi, przyglądając się flocie białych łodzi nieustannie kursujących między Nocną Wyspą a lądem. „Tak, Danielu? - usłyszałby ten zmysłowy, hipnotyzujący głos. - Uspokój się i powiedz mi, gdzie się podziewasz”.

Nie zadzwonił jednak. Minęło pół roku, odkąd opuścił Nocną Wyspę i było to odejście na dobre. Raz na zawsze pożegnał się ze światem dywanów, limuzyn i prywatnych samolotów, piwniczek zaopatrzonych w wina z wybornych roczników, garderób pełnych znakomicie skrojonych ubrań - był to świat dystygowanej, a zarazem przytłaczającej osobowości jego niesmiertelnego kochanka, który dał Danielowi każdy ziemski skarb, o jakim mógł zamarzyć.

Lecz teraz doskwierało mu zimno, nie miał dachu nad głową, był bez pieniędzy i bał się.

Wiesz, gdzie jestem, ty demonie - prowadził z nim urojona rozmowę. - Wiesz, co zrobił Lestat. I wiesz, że chce wrócić do domu.

Jak Armand mógłby odpowiedzieć?

„Ależ nie wiem, Danielu. Słucham. Staram się dowiedzieć. Nie jestem bogiem, Danielu”.

Mniejsza z tym. Tylko przybądź, Armandzie. Przybądź. W Chicago jest ciemno i chłodno. A jutro wieczór Wampir Lestat zaspiewa na scenie w San Francisco. Zapowiada się coś złego i ten śmiertelny o tym wie.

Nie zwalniając kroku, sięgnął pod kołnierz obwisłej bluzy i wymacał ciężki złoty medalion, który zawsze nosił - amulet, jak nazywał go Armand z tą swoją nieswiadoma, niemniej jednak niepowstrzymana skłonnością do dramatyzowania - a w którym była ampulka krwi Armanda.

Gdyby nie zanurzył warg w tamtym pucharze, czy nawiedzałby go ten sen, ta wizja, ta zapowiedź kleski?

Ludzie oglądali się za nim; czyżby znów mówił do siebie? Westchnął głośno, czując silny podmuch wiatru. Po raz pierwszy czuł przemożną chęć, by otworzyć medalion, stłuc ampulke i poczuć na języku te krew. Armandzie, przybadz - wołał w myślach.

Tego południa sen nawiedził go w najbardziej alarmującej postaci. Wcześniej siedział na ławce w małym parku opodal Water Tower Place. Obok leżała porzucona gazeta, a kiedy ją otworzył, zobaczył ogłoszenie: „Jutro wieczór. Wampir Lestat na żywo na scenie w San Francisco”. Kabłówka transmituje koncert o dziesiątej czasu chicagowskiego. Szczęśliwi ci, którzy mają dach nad głową, placą czynsz i korzystają z prądu. Chciałby zbyć śmiechem całe to wydarzenie, zachwycić się, upoić wizją powszechnego zaskoczenia. Jednak dreszcz, który poczuł, przeszedł w głęboki wstrząs.

A jeśli Armand o tym nie wie? Nie, to niemożliwe, przecież sklepy muzyczne na Nocnej Wyspie z pewnością eksponują na wystawach Wampira Lestata, a w eleganckich barach na pewno rozbrzmiewają te upiornie hipnotyczne piosenki.

W tamtej chwili przyszło mu nawet do głowy, by jechać do Kalifornii na własną rękę. Przecież stać go na jakis cud. Odzyska portfel, pójdzie z nim do banku, przedstawi się. Jest bogaty, tak, bardzo bogaty; biedny, śmiertelny chłopak...

Jakże mógł rozważać coś równie roztropnego? Słońce ogrzewało mu twarz i barki, gdy kładł się na ławce. Złożonej gazety użył jako poduszki.

I oto pojawił się sen, na który czekał przez cały czas...

Południe w świecie bliźniaczek: słońce oświetla polane; w ciszy słychać tylko śpiew ptaków.

Bliźniaczki kłęczą razem, zupełnie nieruchome. Są niezwykle blade, oczy mają zielone, włosy długie, falujące, w odcieniu płynnej miedzi. Mają na sobie piękne stroje, białe płócienne sukienki, przywiezione z dalekiej Niniwy, kupione przez wiesniaków z zamiarem uhonorowania potężnych czarownic, którym duchy są posłuszne.

Stypa gotowa. Piec z cegieł zburzono i usunięto; trup spoczywa na kamiennej płycie, dymi zarem, złoty tłuszcz spływa z pęknięć zwęglonej skóry; czarna, naga pieczen okryta jedynie łusami, w których spoczywała w piecu. Daniel jest przerażony.

Nie przeraża to jednak nikogo z obecnych - ani bliźniaczek, ani wiesniaków, którzy przyklekli, aby obserwować stypę, która jest prawem i obowiązkiem bliźniaczek.

Daniel wie, że szerniały trup na kamiennej płycie to ich matka. I że to, co ludzkie, musi pozostać z ludzmi. Stypa może trwać dzień i noc, ale wszyscy będą trzymać warte, dopóki nie spożyją wszystkiego. Prąd podniecenia obiega tłum na polanie. Jedna z bliźniaczek unosi miske, na której spoczywa mózg i galki oczne, druga kiwa głową i sięga po serce. Podział dokonany. Wzmaga się bicie bębnow, chociaż Daniel nie widzi palkarzy. Dudnienie jest powolne, rytmiczne, brutalne.

- Uczujcie.

Nagle rozlega się upiorny krzyk, tak jak Daniel się spodziewał. Zatrzymać żołnierzy - myśli. Ale jak? Jego samego nie ma wśród obecnych. Wszystko to wydarzyło się naprawdę, jest już tego pewien. To nie sen, lecz wizja. Żołnierze uderzają na polane, wiesniacy pierzchają, bliźniaczki odkładają miski i rzucają się na dymiącego trupa, osłaniając go własnymi ciałami. Jednak to daremne szalenstwo.

Żołnierze odrywają je bez wysiłku, trup zsuwa się na ziemię z uniesionej płyty i rozpada na kawałki, a serce i mózg mieszają się z kurzem. Bliźniaczki krzyczą bezustannie. Uciekający wiesniacy również krzyczą, mordowani przez żołnierzy. Trupy i ranni ścielą się na górskiej drodze. Oczy matki spadają na ziemię i tam, wraz z sercem i mózgiem, są rozgniatane na miazgę. Jedna z bliźniaczek, z rękami związanymi na plecach, wzywa duchy, aby pomścili napastę. I duchy przybywają, a jakże. Uderza trąba powietrzna; ale to za mało.

Niechże to się skończy! Daniel nie może się obudzić.

Bezruch. W powietrzu pełno dymu. Wiekowa osada zrównana z ziemią. Cegły z mularstwa - rozwalone, gliniane naczynia - potłuczone, wszystko, co mogło splonąć - spalone. Nagie niemowlęta z poderzniętymi gardłami leżą na ziemi, wydane na pastwę gestniejących rojów much. Nikt nie upiecze trupów, nikt nie spożyje ciała. Znikną z ludzkiej historii wraz ze swoimi mocami i tajemnicami. Szakale już nadciągają. Żołnierze odeszli. Gdzie są bliźniaczki?! Daniel słyszy ich szloch, ale nie może ich znaleźć. Wielka burza huczy nad wąską drogą, która wiję się w dół ku pustyni. Duchy sprowadzają pioruny. Duchy sprowadzają deszcz.

Otworzył oczy spocony i rozdygotany. Chicago, Michigan Avenue w południe. Majaki znikły. W pobliżu grało radio; Lestat śpiewał tym nawiedzonym, zalobnym głosem o Tych Których Należy Mieć w Opiece:

Matko i Ojczy,

Wy milczcie,

Wy nie zdradzajcie nic.

Ale ci z was, którzy mówić mogą,

śpiewajcie moja piosenkę.

Synowie i córki,

Dzieci ciemności

Głosnij, głosnij,

Chórem, chórem,

Niech niebiosy nas usłyszą.

Razem, razem,

Bracia i siostry,

Chodźcie ku mnie.

Wstał i ruszył przed siebie; może do Water Tower Place, jest tak podobne do Nocnej Wyspy - ogromne pomieszczenia sklepowe, nie koncząca się muzyka, światła, lśniące szkło.

Dochodziła ósma, a on ciągle szedł, uciekając przed zasnieciem i wizją. Oddalił się od wszelkiej muzyki i światła. Ile przesni następnym razem? Dowie się, czy są żywe czy martwe? Moje slicznotki, moje biedne slicznotki...

Zatrzymał się, by na chwilę stanąć tyłem do wiatru, wsłuchiwał się w bijący nie wiedząc gdzie gong zegarowy, potem zauważył brudną tarczę nad podłajką; tak, Lestat pokazał się na Zachodnim Wybrzeżu. Kto jest z nim? Louis? Koncert zaczyna się za niecałe dwadzieścia cztery godziny. Katastrofa!

Armandzie, proszę - błagał w myślach.

Uderzenie wiatru wypchnęło go na jezdnię i sprowadziło fale gwałtownych dreszczy. Rece miał zlodowaciałe. Czy kiedykolwiek zmarł tak strasznie? Skulony przeszedł Michigan Avenue po pasach, wraz z tłumem, i zatrzymał się przy ogromnej księgarnianej witrynie, w której leżał „Wywiad z wampirem”.

Armand oczywiście przeczytał te książki, pozerając każde słowo w niesamowity, okropny sposób; przewracał strony bez chwili pauzy, jego oczy przemykały błyskawicznie nad słowami, dopóki nie dotarł do ostatniej karty. Jak można promieniować takim pięknem, a równocześnie budzić takie... co? Obrzydzenie? Nie, Daniel musiał przyznać, że Armand nigdy nie wzbudził w nim obrzydzenia. Zawsze czuł wobec niego nienasycone, beznadziejne pozadanie.

Młoda dziewczyna w ciepłej księgarni sięgnęła po egzemplarz książki Lestata, a potem, podnosząc oczy, zauważyła Daniela i zatrzymała na nim wzrok. Jego oddech położył się mgłą na szybie.

Nie przejmuj się, kochana - mówił do niej w myślach - jestem bogaczem. Mógłbym kupić ci w prezencie całą tę księgarnię. Jestem panem i władcą mojej własnej wyspy, jestem ulubieńcem diabła, który spełni każdą moją zachciankę. Chcesz podejść i wziąć mnie pod ramię?

Na wybrzeżu Florydy ciemności nastąpiły kilka godzin temu. Nocna Wyspa kipiała już ludźmi. Sklepy, restauracje i bary o zachodzie słońca szeroko otworzyły podwoje, wielkie szklane tafle na pięciu poziomach wyłożonego puszystą wykładziną korytarza. Srebrne windy zaczęły wydawać niski syk i szum. Daniel zamknął oczy i wyobraził sobie ściany ze szkła wznoszące się nad tarasami portu. Niemal słyszał szmer taniecących fontann, widział długie grzedy kaczeńców i tulipanów, wiecznie kwitnących w najdziwniejszych porach roku, w uszach dzwiała mu hipnotyczna muzyka, życiodajne pulsujące serce całosci.

Armand prawdopodobnie przechadzał się po skapanych w przygaszonym świetle pomieszczeniach willi,

zaledwie o krok od tlumu gosci, a zarazem calkowicie od nich odseparowany za stalowymi drzwiami i bialymi scianami - w rozleglym palacu, ktorego okna zajmowaly przestrzen od naroznika do naroznika, a szerokie loggie rozposcieraly sie nad lawicami bialego piasku. Samotny, a jednak bliski nie konczacego sie ruchu i zgiełku. Okna rozleglych salonów odsłaniały widok ozywionego rojami swiatel wybrzeza Miami.

A moze przeszedl na galerie dla odwiedzajacych przez któres z wielu tajnych drzwi. „Trzeba zyc i oddychac wsród smiertelnych” - tak mówil o tym bezpiecznym i samowystarczalnym wszechswiecie stworzonym przez siebie i Daniela. Jakze uwielbial cieple westchnienia zatoki, nie konczaca sie wiosne Nocnej Wyspy. Do brzasku nie zgasnie tam ani jedno swiatlo.

- Armandzie, przyslij po mnie kogos, jestes mi potrzebny! Sam wiesz, ze pragniesz mojego powrotu.

Oczywiscie, taka byla zawsze kolej rzeczy. Niepotrzebne byly dziwne sny ani zjawiajacy sie raz za razem Lestat, ryczacy jak Lucyfer z tasmu audio lub wideo.

Wszystko bylo w zupelnym porzadku, gdy Daniel obsesyjnie przemieszczal sie z miasta do miasta, wydeptywal chodniki Nowego Jorku, Chicago lub Nowego Orleanu. Potem nastepowal nagly rozpad osobowosci. Uswiadamial sobie, ze juz piata godzine tkwi w fotelu, albo budzil sie nagle w zatechlej, brudnej poscieli, wystraszony, nie wiedzac, w jakim jest miescie ani gdzie byl przez ostatnie dni. Wówczas zjawial sie samochód, a nastepnie samolot zabieral go do domu.

Czy to nie Armand byl sprawca tego ciagu zdarzen! Czy nie on jakim sposobem sprowadzal nan napady obledu? Czy dzieki jakiejś czarnej magii nie wysuszał kazdego źródła rozkoszy, kazdego zdroju pelnego zycia, wskutek czego Daniel z radoscia wital znajomego szofera przybywajacego, aby zabrac go na lotnisko, nigdy nie zdziwionego jego zachowaniem, nie ogolonym obliczem, zbrukana odzieza? Kiedy Daniel wreszcie docieral na Nocna Wyspe, Armand zaprzeczal takim domyslom.

- Wróciłes, bo tego chciales, Danielu - powiadal zawsze bez emocji; jego twarz byla spokojna i promienna, oczy pelne milosci. - Danielu, jestem dla ciebie jedynym sensem istnienia. Wiesz o tym. Tam, na zewnatrz, czeka szalenstwo.

- Ta sama stara spiewka - neodmiennie odpowiadal Daniel. Otaczal go nieodparty luksus, muzyka, kieliszek z winem w zasięgu reki, pokoje zawsze pelne kwiatów, na srebrnych tacach potrawy, za którymi przepadal i za którymi tesknil.

Armand lezal wyciągniety w wielkim uszaku wybitym czarnym aksamitem, wpatrzony w telewizor; Ganimed w bialych luznych spodniach i jedwabnej koszuli. Ogladal wiadomosci, filmy, nagrane na kasetach własne interpretacje poezji, idiotyczne seriale komediowe, spektakle, music-halle, nieme filmy.

- Chodz, Danielu, usiadz. Zupelnie sie nie spodziewalem, ze wrócisz tak szybko.

- Ty sukinsynu - mówil Daniel. - Chciales, zebym tu byl, wezwales mnie. Nie moglem jesc ani spac, nic, tylko włóczyłem sie i myslalem o tobie. To twoja sprawka.

Armand sie usmiechal, czasem nawet wybuchal glosnym smiechem. Smial sie pelna piersia, przepieknie, zawsze wyrazajac tylez wdziecznosci co rozbawienia. Kiedy sie smial, jego postawa i glos byly ludzkie.

- Uspokój sie, Danielu. Serce ci kolacze. To napawa mnie lekiem. - Mala zmarszczka wyrasta na gladkim czole, tembr glosu opada chwilowa nuta współczucia. - Powiedz mi, czego chcesz, a zdobede to dla ciebie. Czemu wciaz uciekasz?

- Klamiesz, draniu. Powiedz, że nie mogłeś wytrzymać beze mnie. Będiesz mnie zadreżać po wieczność, czy nie tak? Az kiedyś z zainteresowaniem obejrzyś moją śmierć. To prawda, co powiedział Louis. Przyglądasz się śmierci swoich doczesnych niewolników, bo nic dla ciebie nie znaczy. Będziesz się także przyglądać, jak śmierć zmienia kolory mojej twarzy.

- To język Louisa - rzekł cierpliwie Armand. - Proszę, nie cytuj mi jego książki. Przedzaj umrę, niż pozwolę, żebyś ty umarł, Danielu.

- Wier daj mi to! Do diabła! Niesmiertelność jest tak bliska, tak bliska jak twoje ramiona.

- Nie, Danielu, bo również przedzaj umrę, niż to uczynię.

Ale jeśli nawet Armand nie był sprawcą szalenstwa, które sprowadzało go do domu, to z pewnością wiedział, gdzie uciekinier się podziewa. Potrafił usłyszeć jego wołanie. Połączyła ich krew - to było nieuniknione - cenne łyżki cudownej płonącej posoki. Zawsze tyle, by obudzić w Danielu sny i pragnienie wieczności, by kwiaty na tapecie rozspiewane ruszyły w tany. Tak czy inaczej, Armand niewatpliwie zawsze potrafił go znaleźć.

* * *

W pierwszych latach, jeszcze przed wymianą krwi, Armand scigał Daniela z przebiegłością harpii. Nie było takiego miejsca na ziemi, gdzie Daniel mógłby się skryć.

Przerazające, niemniej niecałe były początki ich znajomości w Nowym Orleanie, dwanaście lat temu, kiedy Daniel wkroczył do zrujnowanego starego domu w Garden District i od razu wiedział, że to leże wampira Lestata.

Dziesięć dni wcześniej opuścił San Francisco po zakończonym wywiadzie z wampirem Louisem; jego własne cierpienie potwierdziło przerazającą opowieść. Louis nagłym uściskiem zademonstrował Danielowi swoje nadnaturalne moce; wysssał go prawie na śmierć. Rany znikły, ale samo wspomnienie doprowadzało Daniela do szalenstwa. Dreczony przez gorączkę i majaki, przebywał ledwie kilkaset kilometrów dziennie. W tanich motelach, gdzie zmuszał się do przelknięcia kilku kęsów jedzenia, sporządzał duplikaty taśm z wywiadem i posyłał je do nowojorskiego wydawcy, tak że książka była w opracowaniu, jeszcze zanim stanął przed bramą Lestata.

Publikacja była jednak sprawą drugorzędna, wydarzeniem związanym z wartościami gasnącego, odległego świata.

Musiał znaleźć wampira Lestata. Musiał wydobyć z podziemi niesmiertelnego stwórcę Louisa, który jakos przeżył w wilgotnym, dekadentycznym i pięknym starym mieście, czekając być może na to, by Daniel go obudził i wprowadził w to stulecie - w przerazającą epokę, przed którą zaszył się w podziemiu.

Tego niewatpliwie pragnął Louis. Jak inaczej bowiem wytłumaczyć przekazanie śmiertelnemu emisariuszowi tylu wskazówek co do miejsca pobytu Lestata? To prawda, że część z nich okazała się myląca. Ale gdyby nawet był to dowód ambiwalencji Louisa, w ostatecznym rozrachunku nie miał on istotnego znaczenia. Daniel znalazł w archiwach miejskich tytuł własności oraz numer posesji opatrzone imieniem i nazwiskiem, których nie dało się pomylić z żadnymi innymi: Lestat de Lioncourt.

Zelazne wrota nie byly nawet zamkniete, a kiedy tylko przedarl sie przez zarosniety ogród, z latwoscia pokonal zardzewiala zasuwe w drzwiach frontowych.

Po wejsciu mógł posluzyc sie jedynie mala latarka, lecz swiatlo ksiezycy przeswitywalo bialym blaskiem poprzez konary debu i Daniel wyraźnie widzial nieskonczone, siegajace sufitów rzedy ksiazek we wszystkich pokojach. Zaden czlowiek nie mógł doprowadzic do takiego metodycznego obledu. W sypialni na pietrze uklakl w gestym kurzu zascielajacym gnijacy dywan i znalazl zloty zegarek kieszonkowy, na którym wygrawerowano jedno slowo - Lestat.

Ach, ta przenikajaca dreszczem chwila, w której wahadlo wspielo sie do crescenda szalenstwa i poczelo ruch ku nowej namietnosci - Daniel poprzysiagl sobie sledzic do kranców ziemi te blade zabójcze stwory, których istnienia objawil mu sie jedynie rabek.

Czego pragnal w tamtych pierwszych tygodniach? Czy mial nadzieje, ze posiadzie cudowne tajemnice istoty zycia? Niewatpliwie wiedza ta nie wskazalaby mu zadnych celów egzystencji przepelnionej juz wczesniej poczuciem zawodu. Nie, pragnal oderwania od wszystkiego, co do tej pory kochal. Tesknil za gwałtownym i zmyslowym swiatem Louisa.

Za zlem - dopowiedzial sobie w myslach. Dawne obawy prysly.

Byc moze przypominal badacza zagubionego w dzungli, który wycinajac sobie droge, nagle widzi mury bajecznej swiatyni, plaskorzezby obwieszane pajeczynami i pnaczami; zapomina on o tym, ze jesli straci zycie, nie zdola opowiedziec swojej historii; oto bowiem ujrzal na wlasne oczy prawde.

Gdyby tylko mógł uchylic te drzwi nieco szerzej, zobaczyc pelne oblicze wspanialosci. Gdyby tylko wpuszczono go do srodka! Niewykluczone, ze po prostu chcial zyc wiecznie. Czy ktos mógł go z tego powodu obwiniac?

Czul sie dobrze i bezpiecznie, samotny w starym zrujnowanym domu Lestata, gdzie dzikie róże wpelzaly przez wybite okno, a na szkielecie lózka z kolumnami gnilo poslanie.

Jestem blisko nich, blisko ich ukochanej ciemnosci, ulubionego zarloznego mroku - kolatalo mu w glowie. Jakze uwielbial beznadziejnosc tego wszystkiego, profilowane krzesla z kawalkami snycerki i strzepami aksamitu, przemykajace chylkiem gryzonie skubiace resztki dywanu.

Ten relik, ach, ten relik byl wszystkim: polyskujacy zloty zegarek z wygrawerowanym nazwiskiem niesmiertelnego!

Po chwili otworzyl wielka szafe; czarne anglezy rozsypywaly sie na strzepy pod jego palcami. Na cedrowych pólkach staly zniszczone, pomarszczone buty.

Lestacie - zwrócił sie do niego w myslach - ty tu jestes. - Wyjal magnetofon kasetowy, postawil go na podlodze, zalozyl pierwsza tasmę i glos Louisa zabrzmial miekko w ciemnym pokoju. Tasmę przewijaly sie godzina za godzina.

Wtem, tuz przed switem, ujrzal w korytarzu sylwetke i wiedzial, ze to nie przypadkowa zjawia. Swiatlo ksiezycy polozyló sie na chlopiecej twarzy i kasztanowych wlosach. Ziemia sie zakolysala, opadla ciemnosc. Ostatnim jego slowem bylo: - Armand.

Powinien byl wtedy umrzec. Czy o jego zyciu zadecydowal kaprys?

Ocknal sie w mrocznej, wilgotnej piwnicy. Woda sciekala po scianach. Macajac w ciemnosciach, odkryl zamurowane okno i zamkniete na klucz drzwi obite stalowa plyta.

Jego pocieszeniem bylo to, ze znalazl jeszcze jednego boga tajnego panteonu - Armanda, najstarszego z niesmiertelnych opisanych przez Louisa, Armanda, mistrza domu sabatowego dziewietnastowiecznego Teatru Wampirów w Paryżu, który wyznal Louisowi straszliwa tajemnice: pochodzenie niesmiertelnej rasy jest jedna wielka niewiadoma.

Trzy dni i trzy noce Daniel gnil w tym wieszaniu. Moze dluzej, moze krócej. Trudno to ustalic z cala pewnoscia. Niewatpliwie byl bliski smierci, od smrodu wlasnego moczu zbieralo mu sie na wymioty, a robactwo doprowadzalo go do szalenstwa. Niemniej jednak plonal w nim religijny zapal. Jak nigdy dotarl do mrocznej, pulsujacej prawdy, która odslonil Louis. Odzyskujac i tracac swiadomosc, snil o Louisie. Louis rozmawiajacy z nim w tamtym brudnym pokoiku w San Francisco; „zawsze byly istoty naszego pokroju, zawsze”; Louis bioracy go w ramiona; ciemniejace nagle zielone oczy, odsloniete sie kly.

Czwartej nocy obudzil sie z uczuciem, ze ktos lub cos jest w pomieszczeniu. Drzwi staly otworem. Slyszal szum wartko plynacej wody. Powoli przyzwyczail wzrok do brudnego zielonkawego swiatla padajacego od drzwi, az wreszcie ujrzal trupio blada postac stojaca pod sciana.

Jakze nieskazitelne byly czarny garnitur i wykrochmalona biala koszula - wygladal niczym imitacja czlowieka z dwudziestego wieku. Krótko przyciete kasztanowe wlosy, paznokcie nawet w półmroku lsniace przygaszonym blaskiem. Jak trup skladany do trumny - tak sterylny, tak nienagannie przygotowany.

Glos mial lagodny, z lekkim, nieeuropejskim akcentem; przebrzmiewala w nim ostrzejsza, a jednoczesnie mieksza nuta. Arabski, moze grecki, ten rodzaj intonacji. Słowa padaly powoli i bez sladu gniewu.

- Wychodz. Zabierz tasmy. Sa obok ciebie. Znam twoja ksiazke. Nikt jej nie uwierzy. Pójdiesz i zabierzesz swoje rzeczy.

W takim razie nie zabijesz mnie - przekazal mu w myslach. - Ale i nie uczynisz jednym z was. - Rozpaczliwe, glupie mysli, lecz nie potrafil ich powstrzymac. Widzial te moc! Bez zadnych klamstw, bez oszustwa. I poczul, ze placze, tak bardzo oslabily go strach i glód, spychajac do poziomu dziecka.

- Uczynic cie jednym z nas? - Obcy akcent poglebil sie, przydajac slowom rytmicznego zaspiewu. - Czemu mialbym to zrobic? - Zwezenie brwi. - Nie uczynilbym tego tym, których uznaje za godnych pogardy, których w swoim czasie chetnie widzialbym plonacych w piekle. Czemu mialbym to zrobic takiemu niewinnemu durniowi... jak ty?

Chce tego - blagal w myslach. - Chce zyc wiecznie. - Usiadl, powoli dzwignal sie na nogi, wytezajac wzrok, by ujrzec Armanda wyrazniej. Gdzies dalej w korytarzu plonela slaba zarówka. - Chce byc z Louisem i z toba - zebrał.

Smiech cichy, lagodny, a zarazem pogardliwy.

- Rozumiem, czemu wybral cie na powiernika. Jestes naiwny i piekny. Ale, wiesz, sama uroda moze byc wystarczajacym powodem. - Milczenie. - Masz oczy niezwyklej barwy, prawie fioletowe. I jestes jednoczesnie dziwnie buntowniczy i blagajacy.

Uczyn mnie niesmiertelnym! - To byl krzyk duszy. - Daj mi to.

Znów dal sie slyszec smiech, gorzki smiech; a potem cisza i szmer plynacej wody. Mrok panujacy w ohydnej piwnicznej norze rozrzedzil sie, a postac stala sie bardziej smiertelna. Gładka skóra miala nawet lekka różowa barwe.

- To wszystko prawda, to, co ci opowiedzial. Ale nikt nigdy ci nie uwierzy. Z czasem zwariujesz od tej wiedzy. To zawsze tak sie konczy. Na razie jednak nie jestes szalony.

Nie - potwierdzil, prowadzac ze swojej strony bezslowny dialog. - To wszystko jest realne, to sie dzieje naprawde. Ty jestes Armand i rozmawiasz ze mna. A ja nie jestem szalony.

- Tak. Uważam to za interesujace... interesujace, ze znasz moje imie i zyjesz. Nikt, kto je poznal, nie zyje. - Zawahal sie. - Nie chce cie zabijac. Nie w tej chwili.

Daniel poczul pierwsze musniecie leku. Przyjrzaawszy sie z bliska tym stworom, wiedzialo sie, jakie sa naprawde. To samo bylo z Louistem. Tak, one nie zyly, lecz upiornie imitowaly zycie. A ten byl polyskliwym manekinem mlodego chlopca!

- Zamierzam pozwolic ci stad odejsc - rzekl Armand lagodnie i z ogromna uprzejmoscia. - Chce podazyc za toba, zobaczyc, dokad sie udasz. Nie zabije cie, dopóki bedziesz mnie interesowal. Oczywiscie moze sie zdarzyc, ze przestaniesz mnie ciekawic, a ja wcale nie bede zaprzatal sobie glowy zabijaniem. To niewykluczone i w tym twoja nadzieja. A jesli szczescie ci dopisze, moze zgubie twój trop. Oczywiscie, petaja mnie ograniczenia. Ty masz caly swiat do włóczęgi i mozesz przemieszczac sie za dnia. Teraz ruszaj. Biegiem. Chce zobaczyc, co zrobisz, chce wiedziec, jaki jestes.

Teraz ruszaj. Biegiem!

Gdy znalazl sie w porannym samolocie do Lizbony, wciaz sciskal w dloni zloty zegarek Lestata. Dwa wieczory później w Madrycie, odwróciwszy sie, dostrzegl, ze Armand siedzi tuz obok niego w autobusie. Tydzien później w Wiedniu wyjrzał przez okno kawiarni i ujrzał Armanda obserwujacego go z chodnika. W Berlinie Armand wslizgnal sie do tej samej taksówki i siedzial, nie odrywajac od niego wzroku, az Daniel wreszcie wyskoczyl w gestwinye pojazdy i uciekl.

Jednakze po kilku miesiacach te wstrzasajace spotkania bez słów ustapily miejsca bardziej energicznym natarciom.

Gdy pewnego dnia obudzil sie w swym pokoju hotelowym w Paryżu, ujrzał nad soba Armanda, oszalalego, gwałtownego.

- Rozmawiaj ze mna. Zadam tego. Obudz sie. Masz pójsc ze mna i pokazac mi atrakcje tego miasta. Czemu wlasnie tu przyjechales?

Jadac pociagiem przez Szwajcarie, podniósł nagle wzrok i zobaczyl Armanda siedzacego naprzeciwko i przygladajacego mu sie znad podniesionego kolnierza podbitego futrem palta. Armand wyrwal mu z reki ksiazke, domagajac sie wyjasnien - co to jest za powiesc, czemu ja czyta, co znaczy zdjecie na okladce.

W Paryżu Armand deptal mu po pietach, chodzac za nim nocami po bulwarach i bocznych uliczkach, wpytujac czasem o lokale, które odwiedzal, i o to, co robil. W Wenecji wyjrzał przez okno swojego pokoju u Danielego i w oknie po drugiej stronie uliczki napotkal wlepiony w siebie wzrok Armanda.

Dwa tygodnie minely bez zadnych spotkan. Daniel miotal sie miedzy groza a dziwnym wyczekiwaniem,

znów niepewny swoich władz umysłowych. Ale oto Armand znów czekał na niego na nowojorskim lotnisku. A następnego wieczoru w Bostonie był w sali restauracyjnej u Copleya, kiedy Daniel tam wszedł. Kolacja była już zamówiona. Proszę, usiadz. Czy wiesz, że „Wywiad z wampirem” jest już w księgarniach?

- Muszę przyznać, że ta mała dawka dwuznacznego rozgłosu lechce moja próżność - rzekł Armand z wyborna uprzejmością i złośliwym uśmiechem. - Jednak zadziwia mnie, że tobie na nim nie zależy! Nie ujawniłeś się jako „autor”, co oznacza, że jesteś albo bardzo skromny, albo tchórzliwy. Zarówno jedno, jak i drugie to straszne nudziarstwo.

- Nie jestem głodny, wynosmy się stąd - rzekł bez przekonania Daniel. Gdy nagle na stole zaczęło się pojawiać danie po daniu, wszyscy dookoła wytrzeszczali oczy.

- Nie wiedziałem, na co będziesz miał ochotę - wyznał Armand. Jego uśmiech stał się wręcz olniewający. - Więc zamówiłem wszystko, co mieli w karcie.

- Myślisz, że doprowadzisz mnie do szalenstwa, no nie? - warknął Daniel. - Nic z tego. Powiem ci coś. Za każdym razem, kiedy cie widzę, zdaje sobie sprawę, że nie wymyśliłem cię i że jestem przy zdrowych zmysłach! - I zabrał się do jedzenia, żarłocznie, łapczywie; trochę ryby, trochę poledwicy, trochę cieleciny, trochę nerkówki, trochę sera, po trochu wszystkiego, wszystko razem, jak leci, niech tam; Armand był zachwycony, śmiał się i śmiał jak mały chłopiec, przypatrując mu się z ramionami skrzyżowanymi na piersiach. Wtedy Daniel po raz pierwszy usłyszał ten lagodny, jedwabisty, nieodparcie uwodzicielski śmiech. Upił się najszybciej, jak się dało.

Spotkania przeciągały się coraz bardziej. Rozmowy, próbne wymiany ciosów i bezpardonowe walki stały się regułą. Pewnego razu, w Nowym Orleanie Armand wyciągnął Daniela z łóżka i wrzasnął:

- Do telefonu, dzwoni do Paryża, chce się przekonać na własne oczy, że naprawdę możesz rozmawiać z Paryżem!

- Niech cię diabli porwą, sam sobie dzwoni! - ryknął Daniel. - Masz pięćset lat i nie umiesz posługiwać się telefonem? Przeczytaj instrukcję obsługi. Co z ciebie za istota, niesmiertelny kretyń? Ani mi się śni cię słuchać. - Po czym, widząc zaskoczenie Armanda, dodał: - Niech będzie, zadzwonię za ciebie do tego Paryża. Tyle że ty płacisz rachunek.

- Ależ oczywiście - powiedział niewinnie Armand. Wyjął z kieszeni płaszczka plik studolarówek i rozsywał je na łóżku Daniela.

Podczas tych spotkań coraz częściej rozprawiali o filozofii. Wyciągając Daniela z kina w Rzymie, Armand zapytał, czy jego zdaniem śmierć naprawdę istnieje? Żyjacy znają się na takich rzeczach! Czy Daniel wie, że Armand naprawdę się boi?

Minęła już północ; Daniel pijany i wyczerpany, usnął w kinie, zanim Armand go znalazł, więc wszystko było mu obojętne.

- Powiem ci, czego się boję - rzekł Armand z przejęciem młodego studenta. - Ze po śmierci następuje chaos, że to sen, z którego nie ma przebudzenia. Wyobraź sobie, że tułasz się między polowiczną świadomością i nieswiadomością, na próżno usiłując przypomnieć sobie, kim jesteś, co robisz. Wyobraź sobie, że po wieczność starasz się odzyskać utraconą jasność myśli...

Daniel wystraszył się. Było w tym nieco prawdy. Czy nie słyszano się o mediach rozmawiających z

niezrozumiałymi, niemniej jednak potężnymi istotami? Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. Skąd, do diabła, miał je znać? A może po prostu wraz ze śmiercią wszystko się kończy? To przerażało Armanda i nie zadawał sobie żadnego trudu, by ukryć rozpacz i bezradność.

- Myślisz, że mnie to nie przeraża? - spytał Daniel, wpatrując się w jego białą twarz. - Ile lat mi zostało? Możesz to zgadnąć, patrzac na mnie? Powiedz.

Kiedy Armand obudził go w Port-au-Prince, chciał rozmawiać o wojnie. Co ludzie w tym stuleciu sądzą o wojnie? Czy Daniel ma pojęcie, że Armand był chłopcem, kiedy to się dla niego zaczęło? Miał siedemnaście lat, a w tamtych czasach siedemnastoletni ludzie byli młodzi, bardzo młodzi. Siedemnastoletni chłopcy w dwudziestym wieku to prawdziwe potwory; mają brody, zarost na piersiach, a jednocześnie wciąż są dziećmi. Wtedy było inaczej, jednak dzieci pracowały jak dorośli.

Ale nie zbaczajmy z tematu. Rzecz w tym, że Armand nie znał ludzkich uczuć. Zawsze stanowiły one dla niego zamkniętą księgę. Oczywiście, znał rozkosze cielesne, to było oczywiste. Nikt za jego czasów nie uważał, że dzieci są nieswiadome rozkoszy zmysłowych. Niewiele jednak wiedział o prawdziwej agresji. Zabijał, bo taka była jego natura, natura wampira; a pragnienie krwi było czymś nieodpartym. Dlaczego jednak ludzie nie potrafią się oprzeć żądzy walki? Na czym polega to pragnienie zbrojnego sprzeciwu wobec woli drugiego? Czy wynika to z fizycznej potrzeby niszczenia?

Daniel wychodził ze skóry, by udzielić mu odpowiedzi: niektórzy mają potrzebę potwierdzenia własnego istnienia przez kompletne unicestwienie drugiej istoty; te odczucia z pewnością nie są obce Armandowi.

- Nie są obce? Nie są obce? Jak to ma znaczenie, jeśli nie rozumiesz, jeśli nie potrafisz przejść od jednego punktu widzenia do drugiego? - pytał Armand. Podniecenie sprawiało, że nasilał się jego nietypowy akcent. - Nie rozumiesz, że to właśnie jest poza moim zasięgiem?

Kiedy znalazł Daniela we Frankfurcie, zaprzętała go natura historii napisania jakiegokolwiek spójnego, a przy tym prawdziwego wyjaśnienia wydarzeń. Posługiwanie się ogólnikami wykluczało możliwość skłecenia jakiegokolwiek prawdy, a bez ogólników nie ma mowy o jakimkolwiek procesie nabywania wiedzy.

Czasem te spotkania nie były wyłącznie egoistycznej natury. W wiejskim zajezdzie w Anglii Daniel obudził się na dźwięk głosu Armanda nakazującego mu natychmiastowe opuszczenie budynku. Nie minęła godzina, a pożar zniszczył zajazd.

Innym razem, gdy siedział w nowojorskim areszcie, zatrzymany za pijanstwo w miejscu publicznym i włóczęgostwo, Armand zjawił się, by wpłacić kaucję, aż nazbyt ludzki, jak zawsze gdy się nakarmił; młody prawnik w tweedowej marynarce i flanelowych spodniach zaprowadził Daniela do Carlyle'a i zostawił spiącego w numerze z walizką pełną nowych ubrań i pekatym portfelem wsuniętym do kieszeni.

Gdy minęło półtora roku tego szalenstwa, Daniel zaczął również zadawać Armandowi pytania. Jak naprawdę było wtedy, w Wenecji? Popatrz na ten film, którego akcje osadzono w osiemnastym wieku, powiedz, co się nie zgadza.

Armand był znacząco mało mówny.

- Nie mogę opowiedzieć ci o tych rzeczach, bo nie znam ich z osobistego doświadczenia. Widzisz, moja zdolność syntetyzowania wiedzy jest szczątkowa; wchłanianie rzeczywistości intensywnie, ale naskórkowo. Jaki był Paryż? Zapytaj mnie, czy w sobotę piątego czerwca tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku padało. Być może potrafiłbym ci odpowiedzieć.

Czasem jednak stawał się niespodziewanie wylewny, mówiąc o tym, co go otacza, o upiornej czystości tej epoki, o straszliwym przyspieszeniu zmian.

- Zwróć uwagę na przełomowe wynalazki, jak parowce czy kolej żelazna, które stają się bezużyteczne lub przestarzałe w tym samym stuleciu; a równocześnie zastanów się, czym było to wszystko po sześciu tysiącach lat dosiadanania konia wierzchowego i używania galer napędzanych siłą mięśni niewolników? Tancerki z kabaretów kupują teraz środki chemiczne do zabijania nasienia swoich kochanków i dożywają siedemdziesiątego piątego roku życia w pokojach zaopatrzonych w urządzenia schładzające powietrze i pozerające kurz. Mimo zalewu filmów kostiumowych i powieści historycznych w tanich wydaniach dostępnych w każdym kiosku, szeroki ogół o niczym nie ma pojęcia; każdy problem społeczny jest roztrząsany w odniesieniu do norm, które naprawdę nie istnieją, ludzie uskarżają się na brak luksusów, spokoju i bezpieczeństwa, niedostępnych wszelkim dużym grupom.

- Ale opowiedz mi, jaka była Wenecja za twoich czasów...

- Co? Że była brudna? Że była piękna? Że ludzie chodzili w lachmanach, że cuchnęło im z ust i z gnijącymi zębami śmieli się głośno na publicznych egzekucjach? Chcesz znać zasadniczą różnicę? Teraz panuje przerażająca samotność. Posłuchaj, wtedy, kiedy jeszcze wciąż byłem między żywymi, mieszkaliśmy po sześć, siedem osób w pokoju, a ulice wypełniały morza ludzi. Teraz w tych wysokich budynkach niezbyt rozgarnięte duszyczki unoszą się w luksusowej samotności, oglądając w telewizji jak w oknach odległy świat pocałunków i uścisków. Samotność powinna stworzyć jakiś wielki pokład powszechnej wiedzy, jakiś nowy poziom ludzkiej świadomości, ciekawość i sceptycyzm.

Daniel dostrzegał, że jest zafascynowany Armandem, i czasem próbował zapisać jego przemyślenia. Mimo to jednak wciąż czuł przed nim lek i wciąż przenosił się z miejsca na miejsce.

* * *

Nie był całkiem pewien, jak długo trwało, zanim zaprzestał ucieczki, chociaż tej nocy, gdy to nastąpiło, nie sposób było zapomnieć.

Minęły może cztery lata od rozpoczęcia tej gry. Daniel spędził długie spokojne lato w południowych Włoszech i ani razu nie natknął się na swojego demona.

Mieszkał w tanim hotelu, parę domów od ruin starożytnych Pompei, czytając, pisząc, usiłując zrozumieć, co dał mu przeblask nadnaturalnego; na nowo uczył się pragnąć, snuć wizje, marzyć. Nieśmiertelność na tej planecie jest jednak możliwa. Wiedział o tym bez żadnych wątpliwości, ale jakie to miało znaczenie, jeśli była dla niego niedostępna?

Przechadzał się samotnie ulicami starożytnego rzymskiego miasta, zarówno w dzień, jak i nocą, gdy księżyc był w pełni. Wydawało się, że odzyskał równowagę umysłu i że razem z nią mogło powrócić życie. Zielone liście pachniały świeżo, gdy rozcierał je w palcach. Podnosił wzrok ku gwiazdom i czuł nie tyle urazę, ile smutek.

Bywało jednak, iż płonął, tęskniąc za Armandem jak za eliksirem, bez którego nie potrafił już żyć. Brakowało mu mrocznej energii, która spalała go przez cztery lata. Śnił, że Armand jest blisko; budził się, łkając bezradny jak dziecko. Z nadejściem poranka był smutny, ale spokojny.

Wtedy Armand powrócił.

Było późno, może dziesiąta wieczór, i niebo, jak to często bywa w południowej Italii, stało się czysto granatowe. Daniel przechadzał się samotnie długą drogą prowadzącą z właściwych Pompei do Willi Tajemnic, w nadziei, że nie napotka strażników, którzy odprawiliby go z powrotem.

Kiedy dotarł do wiekowego domu, zastał kompletny bezruch. Ani jednego strażnika. Ani żywej duszy. Nagle przed wejściem wyrosła sylwetka Armanda. Znowu on.

Wylonil się bezszelestnie z cieni w światło księżyca, młody chłopak w brudnych dzinsach i znoszonej dzinsowej kurtce. Objął Daniela ramieniem i łagodnie ucałował. Jakże ciepła była jego skóra, pełna świeżej krwi ofiary. Daniel roił sobie, że czuje jej zapach, won żywej istoty nadal ciągnąca się za Armandem.

- Chcesz wejść do tego domu? - szepnął. Żaden zamek nie mógłby go powstrzymać. Daniel drżał, na krawędzi placu. Dlaczego? Był tak rozradowany jego widokiem, dotknięciem, ach, do diabła!

Weszli do ciemnych, niskich pomieszczeń; napór ramienia Armanda był Danielowi dziwnie miły. Ach tak, witaj, intymności, bo to przecież ty, czyż nie? Ty, mój sekretny...

Sekretny kochanku - nazwał w myślach Armanda.

Tak.

A gdy zatrzymali się w zrujnowanej jadalni ze sławnymi, ledwie widocznymi w pomroce malowidłami ściennymi przedstawiającymi rytualne biczowanie, Daniel nagle zdał sobie sprawę: - On mnie jednak nie zabije. Nie zrobi tego. Oczywiście, nie uczyni mnie tym, kim sam jest, ale nie zabije mnie. Nie takim pas zakończy się ten taniec.

- Jakże mogłeś tego nie wiedzieć - rzekł Armand, czytając w jego myślach. - Kocham cie. Gdybym cię nie pokochał, zabiłbym cię już wcześniej, to oczywiście.

Blask księżyca saczał się przez drewniane koronki. Bujne postaci z malowideł ożyły na czerwonym tle koloru zaschłej krwi.

Daniel przesywał wzrokiem istotę, która miał przed sobą, wyglądającą jak człowiek i mówiącą jak człowiek, ale nie będącą nim. W jego postrzeganiu zaszła koszmarna zmiana: widział bowiem wielkiego owada, monstrualnego drapieżnika, który pozarił miliony ludzi. A przecież jednak kochał to coś. Kochał gładką białą skórę i wielkie ciemnopiwnie oczy. Kochał nie dlatego, że wyglądało jak łagodny myśliciel młodziwiec, ale dlatego, że było upiorne, straszne i obmierzłe, a równocześnie piękne. Kochał tak, jak ludzie kochają zło, wstrząsające nimi do glebi duszy. Wyobraził sobie ten rodzaj zabijania - po prostu odbieranie życia za każdym razem, kiedy się tylko zapragnie, zwyczajne mordowanie, zatapiając w kims klów i zabieranie wszystkiego, co tylko ten ktoś może dać.

Spójrz, co on ma na sobie. Niebieska koszula z bawełny, dzinsowa kurtka z miedzianymi guzikami. Skąd to wziął? Zdjął z ofiary, tak; wyjął nóż i odarł ją ze skóry, gdy była jeszcze żywa? Nic dziwnego, że oni cuchną solą i posoką, chociaż niczego nie widac. A włosy ma tak przystrzyżone, jakby nie miały sięgnąć do ramion w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. To jest zło. To jest iluzja. Tym właśnie chce być - usłyszał w swojej głowie - i właśnie dlatego nie może znieść jego widoku.

Usta Armanda poruszyły się w łagodnym, lekko ukrywanym uśmiechu. A potem jego oczy zamglily się i

znikły za powiekami. Pochylił się nad Danielem i wcisnął ustami w jego szyję.

Kolejny raz, jak wtedy, w pokoiku na Divisadero Street w San Francisco, Daniel poczuł ostre zeby przeszywające skórę, nagły ból i tetniące ciepło.

- Czy wreszcie mnie zabijasz? - Ogarnęły go sennosc, ogień, miłość. - Tak, zrób to.

Jednak Armand wysaczył tylko kilka kropli, po czym uwolnił Daniela z objęć i łagodnie naciskając na jego ramiona, zmusił go, by ukleknął. Kiedy Daniel uniósł wzrok, zobaczył krew płynącą z nadgarstków Armanda. Jej smak wywołał w nim przeszywające, potężne uderzenia prądu. Przez jedno mgnienie oka Pompeje wydały się pełnym szepcącym i płaczącym nieokreślonym, pulsującym śladem dawnych cierpień i śmierci. Tysiące ludzi ginących w dymie i popiołach, tysiące umierających razem. Razem! - rozdzwoniło się Danielowi w głowie. Przyłgął do Armanda, ale krew znikła. Pozostał tylko smak... nic więcej.

- Jesteś mój, piękny chłopcze - rzekł Armand.

Kiedy Daniel przebudził się następnego ranka w łóżku rzymskiego Excelsiora, zdał sobie sprawę, że już nigdy więcej nie ucieknie od Armanda. Ten przybył niecałą godzinę przed zachodem słońca. Udadza się teraz do Londynu, samochód czeka, by zabrać ich na lotnisko. Jest jednak jeszcze trochę czasu na jeszcze jeden uścisk, na jeszcze jedną niewielką wymianę krwi.

- Masz, z mojej szyi - wyszeptał Armand, obejmując głowę Daniela. Cudowne, ciche pulsowanie. Światło lamp rozblysło, zalało pokój.

Kochankowie - tyle tylko pomyślał Daniel. Tak oto rozpoczął się ekstatyczny i pochłaniający romans.

- Jesteś moim nauczycielem - rzekł Armand. - Nauczysz mnie wszystkiego o tym stuleciu. Już teraz uczę się tajemnic, które umykały mi od początku. Po wschodzie słońca będziesz spał, jeśli zechcesz, ale nocą sa moje.

* * *

Zanurkowali w sam środek życia. Armand miał chłonność i błyskotliwość geniusza; kiedy wieczorem był już po wczesnym połowaniu, bez trudu uchodził za człowieka wszędzie, gdzie się udawali. O tej porze jego skóra była rozpalona, twarz - pełna dziwnej ciekawości, uściski - gorączkowe i szybkie.

Tylko inny niesmiertelny dotrzymałby mu kroku. Daniel zapadał w drzemkę w filharmoniach i operach oraz podczas setek seansów filmowych, na które ciągnął go Armand. Podczas nieskonczonych przyjęć i tłocznych hałaśliwych zebranych towarzyskich od Chelsea do Mayfair, Armand debatował o polityce i filozofii ze studentami lub światowymi kobietami, z każdym, kto dał mu choćby najmniejszą szansę. Oczywiście zachodziły mu łzami z podniecenia, głos tracił łagodny niesamowity rezonans i nabierał twardego ludzkiego akcentu.

Fascynowały go modne stroje, nie dla ich urody, lecz dla przesłania, którego, jego zdaniem, były wyrazem. Ubierał się w dzinsy i bawełniane bluzy, jak Daniel, lub przywdziewał włóczkowe swetry i robociarskie buciory z niewyprawnej skóry, skórzane kurtki i odbłaskowe okulary zepchnięte na czubek głowy. Nosił też garnitury szyte na miarę i smokingi, a kiedy miał taki kaprys - frak; włosy czasem obcinał krótko, upodabniając się do studenta Cambridge, a czasem zostawiał długie i falujące jak grzywa anioła.

Wydawało się, że bez końca wdrapują się co dzień po innych ciemnych schodach, by dotrzeć do jakiegoś malarza, rzeźbiarza lub fotografa albo żeby obejrzeć jakiś wyjątkowy, nigdy nie dopuszczony do rozpowszechniania, niemniej jednak rewolucyjny film. Spędzali wiele godzin w pozbawionych ciepłej wody mieszkaniach, gdzie rozbrzmiewała muzyka rockowa, a ciemnonokie kobiety parzyły ziołową herbatę, której Armand nigdy nie pił.

Oczywiście i mężczyźni, i kobiety zakochiwali się w Armandzie, „jakże niewinnym, jakże namietnym, jakże inteligentnym”. Też mi odkrycie. Prawdę powiedziawszy, moc uwodzenia Armanda była prawie poza jego kontrolą. To właśnie Daniel musiał klaskać z tymi nieszczęśnikami, jeśli Armandowi udało się to zaaranżować, podczas kiedy sam przyglądał się wszystkiemu z pobliskiego fotela, piwnooki kupidyn o ciepłym akceptującym uśmiechu. Doświadczając obserwowanych namietności, gorących, porażających nerwy, Daniel drażył obce ciało w rosnącej pustce, pobudzony podwójną celowością każdego intymnego gestu. A potem leżał wpatrzony w Armandę, pełen urazy i chłodu.

W Nowym Jorku bez opamiętania chodzili na wernisáže, do kawiarni i barów; adoptowali młodego tancerza, opłacając czesne za całą jego naukę. Siadywali na werandach w Soho i Greenwich Village, próżnując z każdym, kto się zatrzymywał i dołączał do nich. Chodzili na wieczorne wykłady z literatury, filozofii, historii sztuki i polityki. Studiowali biologię, kupili mikroskopy, zbierali okazy przyrodnicze. Zglebiali książki z astronomii i budowali gigantyczne teleskopy na dachach domów, w których zatrzymywali się na kilka dni, a najwyżej na miesiąc. Chodzili na mecze bokserskie, koncerty rockowe, broadwayowskie musicale.

Technologiczne wynalazki zaczęły być obsesją Armanda. Najpierw miksery kuchenne, w których sporządzał przerazające mikstury, zestawiając składniki na podstawie doboru kolorów; potem kuchenki mikrofalowe, w których smażył karaluchy i szczury. Był oczarowany zsypanymi na śmieci; karmił je papierowymi ręcznikami i całymi kartonami papierosów. Następnie przyszła kolej na telefony. Wydzwaniał do miejsc leżących po drugiej stronie planety, godzinami rozmawiając ze śmiertelnymi w Australii lub w Indiach. Wreszcie pochłonęła go telewizja, tak doszczętnie, że ich mieszkanie zapelniono się ryczącymi głośnikami i migającymi ekranami.

Każda scena z błękitnym niebem wprawiała go w zachwyt. Potem musiał obejrzeć wiadomości, seriale, dokumenty, a wreszcie każdy nakrecony film, niezależnie od tego, ile był wart.

Przypadł mu do gustu pewien szczególny obraz. Oglądał raz za razem „Łowcy androidów” Ridleya Scotta, zafascynowany Rutgerem Hauerem, potężnie zbudowanym aktorem, który jako przywódca zbuntowanych androidów objawia się swojemu ludzkiemu stwórcy, całuje go, a potem miażdży czaszkę. Trzask kości i wyraz lodowato niebieskich oczu Hauera wywołały spokojny i niemal psotny śmiech Armanda.

- Oto twój przyjaciel, Lestat - szepnął raz do Daniela. - Lestat miałby... jak wy na to mówicie?... jaja?... żeby to zrobić!

Po „Łowcy androidów” byli idiotyczni i zabawni „Bandyci czasu”, angielska komedia, w której pięciu karzełek kradnie „Mapę stworzenia świata”, dzięki której mogą podróżować przez dziury w czasie. Koziołkując, wpadają to w jeden wiek, to w drugi, kradną i rozrabiają, razem z chłopcem, swoim towarzyszem, aż wreszcie wszyscy ładują w jaskini diabła.

Z czasem Armand upodobał sobie jedną scenę: karzełki na walącym się podium w Castelleone,

spiewajacy piosenke „Ja i mój cien”, Napoleon doprowadzal Armanda niemal do hysterii. Calkowicie trafil nadprzyrodzone opanowanie i stal sie zupełnie ludzki, zasmiewajac do lez.

Daniel musial przyznac, ze w tej scenie byl jakis okropny wdziek: karly byly sie i szamotaly, po czym psuly caly występ i wprawialy w oszolomienie osiemnastowiecznych muzyków w kanale orkiestrowym, nie wiedzacych, co poczac z dwudziestowieczna piosenka. Napoleon byl poczatkowo zdeorientowany, a później zachwycony! Cala scena byla dzielem komicznego geniuszu, ale ile razy mógł ja ogladac smiertelny. Armand wracal do niej bez konca.

A jednak po pół roku rzucil kino dla kamery wideo i zaczela sie obsesja filmowania. Wlókł za soba Daniela przez caly Nowy Jork, nakrecajac nocne wywiady. Nagral na tasmach własne recytacje poezji po wlosku lub lacinie, mial tez taka, na której uwiecznil siebie siedzacego z noga zalozona na noge i wpatzonego w obiektyw; migotliwa biala postac rozmywala sie i znów pojawiala w wiecznie slabym brazowym swietle.

Innym razem nakrecil dlugi film ukazujacy jego samego lezacego w trumnie podczas dziennego snu majacego symbolizowac smierc. Jednakze Daniel nie mial dosc sily, by na to patrzec. Armand godzinami odtwarzal ten film w zwolnionym tempie, przygladajac sie, jak obciete o zachodzie slonca wlosy powoli rosna na aksamicie, a on sam lezy bez ruchu z zamkniętymi oczami.

Nastepne byly komputery. Dyskietka po dyskietce zapelniala sie jego tajnymi zapiskami. Wynajal dodatkowe mieszkanie na Manhattanie, gdzie umiescil swoje pecety i maszynie do gier wideo.

Wreszcie skierowal sie ku samolotom.

Daniel zawsze byl obsesyjnym podróżnikiem; uciekal przed Armandem po calym swiecie i razem latali samolotami. Latanie nie bylo czymś nowym, ale teraz nastapila jego koncentracja w czasie. Musieli spedzic cala noc w powietrzu. Lot przez Boston do Waszyngtonu, Chicago i z powrotem do Nowego Jorku nie byl niczym niezwyklym. Armand obserwowal; pasazerów i stewardesy; rozmawial z pilotami; lezal odprezony w fotelu pierwszej klasy, wsluchujac sie w ryk silników. Szczególny czar mialy dla niego dwupokladowe odrzutowce. Musial spróbowac dluzszych, bardziej zuchwalych przelotów; az do Port-au-Prince albo do San Francisco, Rzymu, Madrytu czy Lizbony; to nie mialo znaczenia, byle bezpiecznie wyladowac o swicie.

Wtedy znikal. Daniel nigdy sie nie dowiedzial, gdzie spi, ale o brzasku sam padal z nóg. Od pieciu lat nie widzial poludnia.

Armand czesto zjawial sie w pokoju, zanim Daniel ocknal sie. Kawa bulgotala, grala muzyka - Vivaldi albo pianino pod kotleta, jako ze Armand jednakowo uwielbial jedno i drugie.

- Chodz, kochany, dzis wieczorem idziemy na balet. Chce zobaczyc Barysznikowa. A potem do Village. Pamietasz zespól jazzowy, który tak spodobal mi sie zeszlego lata? Wlasnie wrócili. Chodz, ukochany, jestem glodny. Musimy isc.

Gdy Daniel wciaz padal z nóg, Armand wpychal go pod prysznic, namydlal, oplukiwal, wycieral od stóp do głów, a potem golil troskliwie jak fryzjer starej daty i wreszcie ubieral, wpierw dokonawszy starannego wyboru spsród Danielowych brudnych i zaniedbanych strojów.

Daniel uwielbial dotkniecie twardych, lsniaacych biela dloni przesuwajacych sie po jego nagim cielem, zupełnie jakby to byly satynowe rekawiczki. I te piwne oczy, które sprawialy, ze trafil wszelkie zahamowania; ach, ta cudowna dezorientacja, pewnosc, iz zostal sprowadzony do swojej czysto

fizycznej istoty, i wreszcie dłonie zamykały się łagodnie na jego gardle, żeby przebijały skórę.

Zamykał oczy, ciało plonęło powolnym ogniem, spalającym jedynie wtedy, kiedy krew Armanda dotykała jego ust. Znów słyszał odległe westchnienia, krzyki; czy to było wołanie dusz potępionych? Odczuwał obecność wielkiego rozjarzonego kontinuum, jakby wszystkie sny połączyły się nagle i nabrały podstawowej wagi, a mimo to wszystko mu umykało...

Kiedys wyciągnął dłonie, uchwycił Armanda z całej siły i spróbował przegryźć mu gardło. Jakże cierpliwy był Armand, roniąc dla niego łzę i pozwalając zamknąć na niej usta przez niewyobrażalnie długi czas - tak, tak było - a potem łagodnie odsuwając go od siebie.

Daniel postradał zdolność podejmowania decyzji. Żył w dwóch krancowo odmiennych stanach połączonych miłością, w rozpaczach i ekstazach. Nigdy nie wiedział, kiedy dostawał krew, i jak świat wygląda z tego właśnie powodu - goździki wpatrują się w niego z flakonu, drapacze chmur koszmarnieją jak rośliny, które w przeciągu jednej nocy strzeliły w górę ze stalowych ziaren - czy też on sam traci zmysły.

Wreszcie przyszedł wieczór, kiedy Armand powiedział, że jest gotów wkroczyć na serio w ten wiek, że teraz wie o nim wystarczająco dużo. Chciał nieoszacowanych bogactw. Chciał wielkiego mieszkania pełnego wszystkich tych rzeczy, które zaczął z czasem cenić, oraz jachtów, samolotów, samochodów - milionów dolarów. Chciał kupić Danielowi wszystko, czego by ten zapragnął.

- Co to ma znaczyć: miliony! - zrugął go wtedy Daniel. - Wyrzucasz ubranie po jednym włożeniu, wynajmujesz mieszkania i zapominasz, gdzie są. Masz pojęcie, co to jest kod pocztowy albo próg podatkowy? To ja kupuję te cholerne bilety lotnicze. Miliony. Jak dostaniemy te miliony! Ukradnij jeszcze jedno maserati i daj sobie z tym spokój, na litosę boską!

- Danielu, jesteś dla mnie darem od Louisa - rzekł czule Armand. - Co ja bym bez ciebie zrobił? Wszystko rozumiesz opacznie. - Oczy miał wielkie jak dziecko. - Chce być w samym środku ważnych spraw, tak jak byłem przed laty w Paryżu w Teatrze Wampirów. Z pewnością pamiętasz. Chce być rakowata narosła w zrenicy świata.

* * *

Szybkość zmian oszłomiła Daniela.

Zaczęło się od znalezienia skarbów w przybrzeżnych wodach Jamajki. Armand wynajął łódź, by pokazać Danielowi, gdzie należy zacząć operacje wydobywania wraku. Nie minęło kilka dni, a odkryto hiszpański galeon wypełniony złotymi monetami i klejnotami. Następnie było archeologiczne odkrycie bezcennych figurek Olmeków. Szybko namierzono dwa kolejne wraki, jeden po drugim. Tanio nabyta ziemia w Ameryce Południowej kryła dawno zapomnianą kopalnię szmaragdów.

Zakupili rezydencje na Florydzie, jachty, motorówki oceaniczne, niewielkie, ale wybornie wyposażone odrzutowice.

Musieli się wyekwipować na wszelkie okazje jak księżka. Armand dopilnował, by wzięto miare na koszule, garnitury, buty Daniela. Wybierał materiały na niekonczące się zestawy marynarek sportowych, spodni, szlafroków, jedwabnych fularów. Oczywiście Daniel musiał mieć podbijane norkami płaszcze nieprzemakalne przydatne w chłodniejszym klimacie i smokingi na Monte Carlo, wysadzone cennymi

kamieniami spinki i nawet długa zamszowa peleryna, w której niezle się prezentował.

Kiedy przebudził się o zmroku, ubrania już czekały gotowe. Pod żadnym pozorem nie wolno mu było zmienić ani jednego szczegółu, od lnianej chusteczki do nosa do czarnych jedwabnych skarpetek. Kolacja czekała w ogromnej jadalni z oknami wychodzącymi na basen. Armand był już przy biurku w sasiadującym gabinecie. Czekala go praca: mapy do przejżenia, kolejne bogactwa do zdobycia.

- Jak ty to robisz? - natrączywie wypytywał go Daniel, przyglądając się, jak sporządza notatki i planuje następne zdobycze.

- Jeśli potrafisz czytać w umysłach ludzi, możesz posiadać wszystko, czego zapragniesz - rzekł cierpliwie Armand. Ach, ten łagodny, przekonujący ton, ta otwarta i niemal ufna chłopieca twarz, kasztanowe włosy, zawsze trochę niedbale opadające na oczy, poza jakże sugestywnie świadczącą o pogodnym usposobieniu, fizycznej swobodzie.

- Daj mi to, czego chce - zazał Daniel.

- Daje ci wszystko, czego mógłbyś kiedykolwiek zazać.

- Tak, ale nie to, o co proszę, czego chce!

- Bądź żywy, Danielu. - Cichy szept jak pocałunek. - Pozwól, że powiem ci z serca, że życie jest lepsze od śmierci.

- Nie chce być żywy, Armandzie, chce wiecznego życia i wtedy ci powiem, czy życie jest lepsze od śmierci.

Po prawdzie, bogactwa doprowadzały do szalenstwa, dając odczucie śmiertelności ostrzej niż kiedykolwiek. Płynąc Golfströmem pod czystym nocnym niebem spryskanym niezliczonymi gwiazdami, rozpaczliwie pragnął mieć to wszystko na wieczność. Z nienawiścią i miłością obserwował Armanda bez wysiłku sterującego łodzią. Czy naprawdę pozwoli mu umrzeć?

Zabawa w zdobywanie majątku trwała.

Picasso, Degas, van Gogh to zaledwie kilka z ukradzionych obrazów, które Armand zdobył w nie wyjaśniony sposób i przekazał Danielowi, by je sprzedał lub zwrócił za ustaloną nagrodę. Oczywiście właściciele nie osmielili się wystąpić z żadnymi roszczeniami, jeśli w ogóle przeżyli ciche nocne odwiedziny Armanda w sanktuariach, w których prezentowano te skarby. Niektóre dzieła nie miały jednoznacznego tytułu własności. Na aukcjach przynosiły miliony. Ale to jeszcze nie dość.

Perły, rubiny, szmaragdy, brylantowe kolie, oto, co przynosił Danielowi.

- Nie przejmuj się, zostały skradzione, nikt się o nie nie upomni.

A brutalnych handlarzy narkotyków z Miami Armand ograbiał z wszystkiego, co się dało - z broni, walizek pełnych pieniędzy, nawet łodzi.

Daniel nie mógł oderwać oczu od stosów zielonych banknotów, liczonych i owijanych banderolami przed wysłaniem na tajne europejskie konta.

Często obserwował Armanda udającego się samotnie na polowania na tych ciepłych południowych

wodach; patrzył, jak młodzieniec w czarnej jedwabnej koszuli i czarnych spodniach, o długich włosach targanych wiatrem, prowadzi łsniacego slizgacza bez świateł. Jakiz to zabójczy przeciwnik. Gdzies tam, daleko, gdzie z ładu wzrok nie siega, znajduje swoich szmuglerów i uderza - samotny pirat, śmierć. Jak to jest, gdy jego ofiary spadają w glebie, ich włosy falują oświetlone światłem księżycy, gdy po raz ostatni spozierają na tego, który sprowadził na nich zniszczenie? Na tego chłopca! A myśleli, że to oni reprezentują zło w tej rozgrywce...

- Pozwolisz mi płynąć z tobą? Pozwolisz mi zobaczyć, kiedy to robisz?

- Nie.

Wreszcie zgromadzono wystarczająco dużo kapitału; Armand był gotów na całego przystąpić do działania.

Nie zasiegając porad i bez wahania rozkazał Danielowi zakupić flotyllę statków wycieczkowych oraz sieć restauracji i hoteli. Dysponowali czterema prywatnymi samolotami. Armand miał osiem linii telefonicznych.

Az wreszcie nastąpił wysniony finał: Nocna Wyspa, dzieło Armanda, pięć oszalamiających przeszklonych kondygnacji kin, restauracji i sklepów. Narysował szkice wybranym przez siebie architektom. Wrezył im nie kończąca się listę materiałów, płócien, rzeźb do fontann, nawet kwiatów i drzew w donicach.

I oto Nocna Wyspa. Turysci oblegali ją od zachodu słońca do świtu, gdy łódź za łodzią przywoziły ich z portów Miami. W barach i na dancjach nieustannie grała muzyka. Przeszklone windy bez wytchnienia sunęły do niebios; sadzawki, strumienie, wodospady migotały wśród klombów sperlonych delikatnych kwiatów.

Na Nocnej Wyspie mogłeś kupić wszystko - brylanty, coca-cole, książki, fortepiany, papugi, ubrania prosto od kreatorów mody, porcelanowe laleczki. Czekala na ciebie najlepsza kuchnia ze wszystkich zakątków świata. W kinach wyświetlano równolegle pięć różnych tytułów. Były tam angielskie tweedy i hiszpańska skóra, hinduskie jedwabie, chińskie dywany, kute srebra, lody w rozkach lub wata cukrowa, cienka porcelana i włoskie obuwie.

Mogłeś też żyć obok tego wszystkiego w ukrytym luksusie, wślizgując się w wir i wymykając z niego wedle woli.

- Wszystko to, Danielu, jest twoje - powiedział Armand, idąc z wolna przez rozległe, wysokie pomieszczenia ich własnej Willi Tajemnic, która oprócz trzech kondygnacji miała też piwnice, będące dla Daniela terenem zakazanym. Okna wychodziły na rozległy nocny pejzaz rozjarzonego Miami, na kotłujące się wysoko niewyraźne chmury.

Była to olniewająco zrecona mieszanka starego i nowego. Drzwi wind odsłaniały szerokie prostokątne pokoje pełne średniowiecznych gobelinów i antycznych świeczników, wyposażone w gigantyczne odbiorniki telewizyjne. Ściany gabinetu Daniela zdobiły renesansowe malowidła, a parkiety zascielaly perskie dywany. Najlepsze dzieła szkoły weneckiej otaczały Armanda w jego gabinecie z białą wykładziną na podłodze i mnóstwem świecących komputerów, interkomów i monitorów. Z całego świata dostarczano książki, czasopisma i gazety.

- To jest twój dom, Danielu.

Tak rzeczywiście było i Daniel uwielbiał to miejsce, musiał to przyznać, a jeszcze bardziej uwielbiał wolność, moc i luksus, które towarzyszyły mu wszędzie, gdzie się udawał.

Razem z Armandem udawali się nocą na przykład głęboko w dżunglę Ameryki Środkowej, aby obejrzeć ruiny Majów; innym razem weszli na filar Annapurny, by zobaczyć odległy szczyt w świetle księżyca. Waleśali się zatłoczonymi ulicami Tokio, Bangkoku, Kairu i Damaszku, przemierzali Lime, Rio i Katmandu. Daniel za dnia plawił się w luksusie najlepszych hotelowych łóżek, a nocą przechadzał się bez trwogi u boku Armanda.

Od czasu do czasu złudzenie cywilizowanego świata pekało. Bywało, że w jakimś odległym miejscu Armand wyczuwał obecność innych niesmiertelnych. Wyjaśniał, że osłania Daniela swoją tarczą, niemniej jednak okazywał niepokój. Daniel musiał trzymać się jego boku.

- Uczyn mnie tym, czym sam jesteś, i przestan się niepokoić.

- Nie wiesz, o czym mówisz - odpowiadał na to Armand. - Teraz jesteś jedna z miliarda anonimowych ludzkich istot. Jeśli staniesz się jednym z nas, będziesz świecą płonąca w mroku.

Daniel nie mógł się z tym pogodzić.

- Spostrzegam cię nieuchronnie - kontynuował Armand. Wstępował w niego gniew, chociaż nie była to złość na Daniela. Chodziło o to, że nie lubił najmniejszej wzmianki o żywych umarłych. - Nie wiesz, że starsi bez wahania likwidują młodziaków? - zapytał. - Czy twój ukochany Louis nie wyjaśnił ci tego? To właśnie robie wszędzie, gdzie zostajemy na dłużej - likwiduje ich, młodziaków, robactwo. Ale nie jestem niezwykły. - Przerwał, jakby zastanawiał się, czy powinien kontynuować czy też nie. Po chwili rzekł: - Jestem jak każda polująca bestia. Mam wrogów starszych i silniejszych, którzy spróbują mnie zniszczyć, jeśli przyjdzie im na to ochota. To pewne.

- Starsi od ciebie? Myślałem, że ty jesteś najstarszy - powiedział Daniel. Minęły lata, od kiedy ostatni raz rozmawiali o „Wywiadzie z wampirem”. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie dyskutowali szczegółowo o tej książce.

- Nie, oczywiście, że nie jestem najstarszy - odparł Armand. Wydawał się trochę niespokojny. - Jedynie najstarszy, którego twojemu przyjacielowi Louisowi udało się spotkać. Są inni. Nie znam ich imion, rzadko widuje ich oblicza, lecz czasem ich czuje. Można by rzec, że wyczuwamy się nawzajem. Wysyłamy nasze ciche, niemniej jednak potężne sygnały. „Trzymaj się ode mnie z daleka”.

Następnej nocy wreczył Danielowi medalion, amulet, jak sam go nazwał, i nakazał nosić przy sobie. Wpierw pocałował go i potarł, jakby chciał ogrzać w dłoniach. Daniel czuł się dziwnie, uczestnicząc w tym rytuale. Jeszcze dziwniejszy był widok litery A wrytej na kopercie oraz ukrytej w środku ampulki z krwią Armanda.

- Proszę, otwórz zapińkę, jeśli zbliża się do ciebie, i natychmiast rozbij ampulkę. Wtedy poczują moc, która cię strzeże. Nie osmiela się...

- Ach, pozwolisz im mnie zabić. Wiesz, że pozwolisz - rzekł wtedy chłodno Daniel, po czym wybuchnął: - Daj mi moc, żebym mógł walczyć sam za siebie.

Jednak od tamtej pory nosił medalion. W mocnym świetle lampy uważnie obejrzał monogram i zawile rzeźbienia na całej kopercie, wśród których rozpoznał powykręcane ludziki, niektóre okaleczone, inne wijące się w agonii, jeszcze inne martwe. Iscie koszmarnie cacko. Wiszacy na lancuszkach niewidoczny

pod koszula medalion chłodził mu piers.

Nigdy nie ujrzał żadnej nadprzyrodzonej postaci ani nie wyczuł jej obecności. Wspomnienie Louisa było jak halucynacja, jak coś widzianego w gorączce. Jedyna wyrocznia stał się dla niego Armand, bezlitosny i kochający niepodzielna miłością demoniczny bóg.

Narastała w nim gorycz. Życie z Armandem rozplomieniało go, doprowadzało do szalenstwa. Lata całe nawet nie pomyślał o rodzinie czy dawnych przyjaciół. Jego bliscy dostawali czekać, o to się postarali, ale byli już tylko nazwiskami na liście.

- Ty nigdy nie umrzesz, ale za to będziesz patrzył, noc po nocy będziesz się przyglądał, jak umieram.

Wstretne, koszmarnie awantury, Armand zalamany, z oczami szklistymi z gniewu, a potem płaczący bezsilnie, jakby odżyło w nim jakieś utracone uczucie mogące rozedrzeć go na strzępy.

- Nie zrobię tego, nie mogę. Proszę, żebyś mnie zabił, to już łatwiejsze. Nie wiesz, czego się domagasz, nie rozumiesz? To byłby przeklęty błąd! Czy nie zdajesz sobie sprawy, że każdy z nas oddałby całą tę niesmiertelność w zamian za jedno zwykłe ludzkie życie?

- Zrezygnować z niesmiertelności, żeby przeżyć jedno życie? Nie wierzę ci. To pierwsze wierutne kłamstwo z twoich ust.

- Jak śmiesz!

- Nie bij mnie. Mogłbyś mnie zabić. Jesteś taki silny.

. - Oddałbym niesmiertelność, gdybym tak naprawdę nie był tchórzem, gdybym po pięćdziesięciu latach zachłanności w tym tajfunie nie bał się do szpiku kości.

- Nie, nie oddałbyś. Strach nie ma tu nic do rzeczy. Wyobraź sobie okres równy jednemu ludzkiemu życiu po twoim narodzeniu. Chciałbyś utracić wszystko potem? Całe potem! Przyszłość, moc i luksusy, o których nigdy nie sniło się Dżyngis-CHANOWI? Mniejsza już o techniczne cuda. Czy przystałbyś na niewiedzę co do przyszłości świata? Nie mów mi, że tak.

Nigdy nie doszło do słownego porozumienia. Kończyło się na objęciach, pocałunku, kasającej krwi, płachcie snu otulającej jak wielka sieć, na głodzie! Kocham cię! Daj mi więcej! Więcej tak. Ale nigdy dość.

To było na nic.

Cóż dawały jego ciału i duszy te transfuzje? Czy dokładniej widział spadający liść? Armand nigdy nie zamierzał ofiarować mu tej ostrości wizji!

Był raczej gotowy pogodzić się z ciągłymi odejściami Daniela, z jego zablakaniem w grozie codziennego świata; wolał takie ryzyko niż ryzykowny dar, którego domagał się ten śmiertelny. I żaden czyn, żadne oddanie się Daniela nie potrafiły tego zmienić.

Zaczęły się włóczęgi, ucieczki, a Armand zadowalał się jedynie biernym czekaniem. Każdorazowo czekał, aż Daniel zacznie zbierać o pomoc. A jeśli Daniel był zbyt daleko, aby mógł go usłyszeć, czekał, aż znajdzie się na granicy śmierci. Wtedy i tylko wtedy sprowadzał go z powrotem.

* * *

Deszcz zmoczył szerokie nawierzchnie Michigan Avenue. Księgarnia była pusta, światła zgasły. Zegar wybił gdzieś dziewiątą. Stał przed witryną, obserwując strumień pojazdów. Nie miał dokąd pójść. Wypij kropelkę krwi z medalionu. Czemu nie?

Lestat w Kalifornii już jest na łąkach, może właśnie teraz podać za ofiarę. Trwają przygotowania do koncertu, czyż nie? Śmiertelnicy ustawiają reflektory, mikrofony, stoiska z napojami i słodyczami, nieswiadomi wysyłanych szyfrów, groźnej publiczności, która skryje się w wielkim i na pewno rozhisteryzowanym ludzkim tłumie. Ach, a może popełnił straszliwą pomyłkę? Może Armand jest właśnie tam!

Najpierw wydawało się to niemożliwe, potem pewne. Czemu wcześniej o tym nie pomyślał?

Armand na pewno ruszył do Frisco! Jeśli w tym, co napisał Lestat, było choć trochę prawdy, Armand udał się na zwiad, na rozpoznanie, być może na poszukiwanie tych, których stracił na przestrzeni wieków, teraz przyciąganych do Lestata tym samym wołaniem.

Cóż znaczyłoby dla niego wówczas śmiertelny kochanek, człowiek-zabawka na niecałą dekadę? Tak, Armand wyruszył bez niego. Tym razem nie będzie ratunku.

Czuł się zmarznięty i mały; czuł się żalosnie samotny. Przeczucia nie miały znaczenia, chociażby ten sen o bliźniaczkach, który nachodził go i przepelniał lekiem. Te stany były niczym wielkie czarne skrzydła, które omijały go i pozostawiały samemu sobie. Był obojętny wiatrowi, który wzbudzały. Armand udał się bez niego ku przeznaczeniu, którego on nigdy w pełni nie pojmował.

To napelniło go groza. Klamka zapadła. Niepokój wywołany snem zmieszał się z tępym, dławiącym strachem. Znalazł się pod ścianą. Co mu pozostało? Ze znużeniem wyobraził sobie Nocną Wyspę, teraz dla niego zamkniętą. Ujrzał wysoko nad placem nieosiągalną willę z białymi murami. Wyobraził sobie przeszłość utraconą wraz z przyszłością. Bezpośrednia terażniejszość przybrała oblicze śmierci; wreszcie nie było nic więcej.

Przeszedł kilka kroków. Dłonie mu zdrewniały, deszcz przemoczył bluzę. Chciał położyć się ot tu, na chodniku i otworzyć bliźniaczkom wrota snu. Przemknęły mu przez myśl wyrazonka Lestata. Powtórne narodziny były „Czarcia Sztuczka”, „Ogród Bestii” to świat takich niesłychanych potworów, o tak.

Pozwól mi być twoim kochankiem w Ogródku Bestii, pozwól, by światło, które odeszło z życia, powróciło wielkim przeblaskiem chwały. Ze śmiertelnego ciała przejdę do wieczności. Będę jednym z was.

Zamroczyło go. Czyżby upadł? Ktoś do niego mówi, ktoś pyta, czy dobrze się czuje. Nie, oczywiście, że nie. Czemu miałby się dobrze czuć?

Jego ramienia dotyka czyjaś ręka.

Danielu - słyszy w myślach.

Podnosi wzrok.

Armand stoi przy krawężniku.

Początkowo nie wierzył, że spełnią się jego najgorętsze pragnienia, ale w końcu musiał zawierzyć własnym zmysłom. Przed nim stał Armand. Spoglądał bez słowa ze sfery nieziemskiego znieciercierzenia wywołanego samym jego przybyciem; twarz miał zarumieniona pod cieniutką warstewką nienaturalnej białości. Jak normalnie wyglądał, jeśli piękno może być normalne; a zarazem jak przedziwnie był oddzielony od rzeczy materialnych, od pomietego białego płaszcza i spodni, które miał na sobie. Za nim, niczym wizja drugiej kategorii, wielka szara masa czekającego rollsa ze srebrzystym dachem pokrytym kroplami.

Chodź, Danielu - zaprosił go bez słów. - Tym razem zadales mi wiele bólu, trudno temu zaprzeczyc, bardzo wiele.

Skąd to nagłace przykazanie, czemu ciągnąca go dłoń jest tak silna? To taka rzadkość widzieć Armanda szczerze zagniewanego. Ach, jakże uwielbiał jego gniew! Kolana ugięły się pod nim. Poczul, że jest unoszony. A potem rozścielil się pod nim miękki aksamit tylnej kanapy. Osunął się w ramiona Armanda. Zamknął oczy.

Armand wyprostował go łagodnie, podtrzymał. Samochód ruszył, kołysząc się lekko. Jak miło zasnac wreszcie w ramionach Armanda. Tyle jednak musiał mu opowiedzieć o śnie, o książce.

- Myślisz, że nie wiem? - szepnął Armand. Co ma znaczyć to jakies dziwne światło w jego oczach? Wyglądał tak bezbronię, zniknęło całe opanowanie. Wziął zwykłą szklanke pełna koniaku i włożył ją w reke Daniela.

- A ty uciekasz przede mna - rzekł - ze Sztokholmu, Edynburga i Paryza. Za kogo mnie bierzesz, jeśli sadzisz, że mogę podać za toba z taką szybkością tyłoma szlakami? I przy takim niebezpieczeństwie...

Nagle jego usta przy twarzy Daniela, ach, to jest lepsze, przepadam za pocałunkami; i za tuleniem się do umarłych, tak, obejmij mnie. Wtulił twarz w szyję Armanda. Chce twojej krwi - zdradził mu w myślach pragnienie.

- Nie teraz, ukochany. - Armand wyprostował go sila, kładąc przy tym palce na ustach. - Słuchaj, co mówię. Nasza rasa jest unicestwiana na całym świecie.

Unicestwiana... rozległo się echem w głowie Daniela. Przeszył go nagły prad paniki, szedł cały mimo wyczerpania. Próbowal skupić się na Armandzie, ale znów ujrzał rudowłose bliźniaczki, żołnierzy, szerniałego trupa walającego się w popiołach. Ale jaki to ma sens, jaki związek... O co chodzi?

- Nie mogę ci powiedzieć - rzekł Armand. Mówił o śnie. bo też go miał. Podniósł koniak do ust Daniela.

Och, jaki gorący. Stoczyłby się w nieswiadomość, gdyby nie walczył ze sobą. Mknęli cicho autostrada z Chicago, zamknięci w cieplej, wyłożonej aksamitem niewielkiej przestrzeni. Deszcz zalewał okna, ach, co za cudowny srebrny deszcz. Armand odwrócił się, zatopiony w myślach; wydawało się, że słucha jakiejś odległej muzyki z ustami rozchylonymi, jakby zamarłymi w chwili, gdy miał coś powiedzieć.

Jestem z toba bezpieczny - podziękował mu w myślach Daniel.

- Nie, Danielu, nie jesteś bezpieczny - odpowiedział. - Może nawet nie do końca tej nocy, ani nawet tej godziny.

Daniel usiłował sformułować w myślach pytanie, ale był zbyt słaby, zbyt senny. Samochód kołysał tak kojąco. Blizniaczki... Piękne rudowłose blizniaczki... Zamknął oczy na ułamek sekundy i osunął się na ramię Armanda, poczuł jego rękę na plecach.

- Co ja mam z tobą poczwać, mój ukochany? - usłyszał głos Armanda. - Zwłaszcza teraz, kiedy sam tak się boję.

Znowu ciemność. Czuł w ustach ostry smak koniaku, dłoń Armanda wciąż na swoim ramieniu, ale już snił.

Blizniaczki szły przez pustynię; słońce było wysoko, paliło białe ramiona i twarze. Nabrzmięte wargi popekały z pragnienia, krew zboczyła suknie.

- Przywołajcie deszcz - wyszeptał Daniel - potraficie to zrobić.

Jedna z sióstr upadła na kolana, druga uklekła obok i objęła kłęczącą. Rude włosy przy rudych włosach.

Z oddali znowu słyszał Armanda. Mówił, że są zbyt daleko na pustyni. Nawet ich duchy nie mogą sprowadzić deszczu w takie miejsce.

Dlaczego? Czy duchy nie są wszechwładne?

Znowu poczuł łagodny pocałunek Armanda.

Blizniaczki pokonywały niską górską przełęcz. Nie ma tam cienia, słońce bowiem jest dokładnie nad nimi, a skalne pochyłości są zbyt zdradzieckie, aby się po nich wspinąć. Idą bez końca. Czy nikt im nie pomoże? Potykają się i przewracają co kilka kroków. Skala jest tak gorąca, że parzy. Wreszcie jedna z sióstr pada twarzą na piasek, a druga kładzie się na niej, zasłaniając włosami.

Och, gdyby tylko nastał wieczór z chłodną bryzą.

Nagle ta, która osłaniała siostrę, podnosi wzrok. Coś poruszyło się na skalach. Po chwili spada kamień, słychać echo kocich kroków. Wtem Daniel widzi ludzi pokonujących rozpadliny, mezoów pustyni, takich samych od tysiący lat, ciemnoskórych, w białych gestych zawojach.

Mezycyżni są już blisko i siostry podnoszą się na kolana. Tamci ofiarowują im wodę. Oblewają nią blizniaczki, które wybuchają śmiechem i papla rozhisteryzowane, tak wielką jest ich ulga, ale mezoowie pustyni ich nie rozumieją. Zatem jedna z nich wyraźnym i jednoznacznym gestem wskazuje na brzuch siostry, a potem składa ramiona jakby kołysała niemowlę. Ach tak. Mezycyżni unoszą brzemienne i wszyscy ruszają ku osadzie.

Blizniaczki zasypiają przy świetle ogniska, bezpieczne wśród Beduinów, mezoów pustyni. Czy to możliwe, że ich historia sięga wiele tysięcy lat wstecz? O świetle ta z blizniaczek, która nie jest brzemienne, wstaje. Obserwowana przez siostrę oddala się ku kopie oliwek i podnosi ręce; wydawałoby się, że wita słońce. Inni się obudzili; zbierają się, patrzą. Budzi się wiatr, łagodnie poruszający galeziami. Spada deszcz, lekki słodki deszcz.

Gdy Daniel otworzył oczy, był już w samolocie.

* * *

Natychmiast rozpoznał łagodne żółte światło malej sypialni i jej ściany wyłożone białymi plastikowymi panelami. Wszystko jest z syntetyków, twarde i polyskliwe jak wielkie zebra prehistorycznych stworzeń. Czy wydarzenia zatoczyły pełny krąg? Technologia odtworzyła komorę Jonasza w brzuchu wielkiej ryby.

Spoczywał na lożu, które nie miało zagłówka, podnóżka, nóg ani ramy. Ktos obmył mu dłonie i twarz. Był świeżo ogolony. Ach, jak wybornie się czuł. Ryk silników był w tym przestworze ciszy niczym oddech wielkiej ryby tnącej morze. Daniel widział rzeczy wokół siebie bardzo dokładnie, każda z osobna. Karafka. Bourbon. Miał na niego ochotę, ale był zbyt wyczerpany, aby się poruszyć. I coś było nie tak, coś... Podniósł rękę, by dotknąć szyi. Amulet przepadł! Ale to nie miało znaczenia. Armand był obok.

Siedział przy stoliczku obok okna przypominającego oko wielkiej ryby; plastikowa powieka była zupełnie opuszczona. Obciał włosy. Miał na sobie czarne welny, piękne i delikatne, i czarne lśniące buty jak trup przygotowany do pogrzebu. Ponure to wszystko. Ktos zaraz odczyta psalm dwudziesty trzeci. Przyniescie z powrotem białe stroje.

- Umierasz - rzekł miękko Armand.

- „Chociażbym chodził ciemną doliną” i tak dalej - szepnął Daniel. W gardle mu zaschło i bolała go głowa. To, o czym myślał, nie miało znaczenia. Wszystko powiedziano już dawno temu.

Armand znów odezwał się bez słów, laserowy promień dotknął mózgu Daniela:

- Czy będziemy przejmować się tym, co incydentalne? Wąszysz teraz niecałe szesćdziesiąt pięć kilogramów. Alkohol zjada cię od środka. Jesteś na wpół szalony. Nie zostało na świecie prawie nic, czym mógłbyś się rozkoszować.

- Poza tym, że od czasu do czasu mogę z tobą porozmawiać. Tak łatwo słuchać wszystkiego, co masz do powiedzenia.

Głos Armanda w głowie Daniela:

- Gdybyś się ze mną spotkał, to by tylko pogorszyło twój stan. Jeśli wszystko potoczy się tak jak dotychczas, umrzesz w ciągu pięciu dni.

To naprawdę nieprzyjemne. Ale jeśli tak, to dlaczego uciekałem?

Brak odpowiedzi.

Jakże wszystko było przejrzyste. Nie tylko ryk silników, ale przedziwny ruch samolotu, jego niekonczące się nieregularne falowanie, jakby posuwał się w powietrzu, podskakując, nurkując, zakrecając i od czasu do czasu wznosząc. Wieloryb mknący wielorybim szlakiem, jak mawiał to Beowulf.

Włosy Armanda były porządnie zaczesane na bok. Złoty zegarek na ręce, jedno z tych cacek zaawansowanej technologii, które tak uwielbiał. Pomysleć, że za dnia to urządzenie wyświetla cyferki w trumnie. Czarna, wręcz staromodna marynarka z wąskimi kłapami, kamizelka z czarnego jedwabiu. Jego twarz, tak... nakarmił się niewatpliwie. Nakarmił się do syta.

Głos w głowie Daniela:

- Czy pamiętasz cokolwiek z tego, co mówiłem ci wcześniej?

- Tak - odparł, chociaż, prawdę mówiąc, trudno mu było cokolwiek sobie przypomnieć. Pamięć wróciła nagle, zaciążyła mu. - Cos o powszechnym unicestwieniu. Ale ja umieram. Oni umierają, ja umieram. Oni zasmakowali niesmiertelności przed śmiercią; ja jestem tylko żywy. Widzisz? Pamiętam. Teraz chciałbym bourbona.

- Czy nie mogę zrobić nic, co by natchnęło cię ochotą do życia?

- Wciąż ta sama śpiewka. Jak znowu zaczniesz, wyskakuje.

- W takim razie czy mnie wysłuchasz? Naprawdę wysłuchasz?

- Co mam zrobić? Nie mogę uciec od twojego głosu; jest jak mały mikrofon w mojej głowie. Co to, lzy? Będziecie nad nami szlochac?

Przez krótką chwilę wyglądał niezwykle młodo. Cóż, za parodię prawdy.

- Niech cię diabli porwą, Danielu - powiedział głośno.

Przeszedł go dreszcz. Strasznie jest widzieć Armanda cierpiącego. Nie odpowiedział.

- Nie mieliśmy być tacy, jacy jesteśmy - powiedział Armand - wiesz o tym. Nie musiałyś czytać książki Lestata, żeby się o tym dowiedzieć. Każdy z nas mógłby ci powiedzieć, że to wynaturzenie, demoniczna synteza...

- W takim razie to, co napisał Lestat, jest prawdą. - Demon posiadał Matkę i Ojca, starożytnych Egipcjan. No, w każdym razie ducha. Wówczas nazywano go demonem.

- Prawda nie ma znaczenia. Początki nie są już ważne. Ważne, że koniec jest być może bliski.

Ogromne stęzenie paniki, powrót atmosfery snu, przeraźliwy krzyk bliźniaczek.

- Słuchaj - powiedział cierpliwie Armand, odwołując go od dwóch kobiet. - Lestat obudził coś lub kogoś...

- Akasze... Enkila.

- Może. Niewykluczone, że jest ich więcej niż jedno czy dwoje. Nikt nie jest tego pewien. Słychać niewyraźny, powracający krzyk, ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, ale chyba nikt nie wie, skąd pochodzi. Wiadomo tylko, że jesteśmy odnajdywani i unicestwiani, że domy sabatowe, miejsca, gdzie się spotykaliśmy, idą z dymem.

- Słyszałem to ostrzeżenie, ten krzyk - szepnął Daniel. - Czasem, w środku nocy, jest bardzo silny, kiedy indziej to jedynie echo. - Znowu ujrzał bliźniaczki. To musiało się z nimi wiązać. - Ale skąd wiesz to wszystko o domach sabatowych. o...

- Danielu, nie zadawaj pytań. Nie zostało wiele czasu. Wiem. Inni wiedzą. To jest jak prąd elektryczny, płynący przewodami wielkiej sieci.

- Tak. - Zawsze, kiedy Daniel próbował wampirzej krwi, na mgnienie oka widział ogromna migocaca pajeczyne wiedzy, polaczen, na wpol rozumianych wizji. Wiec to byla prawda. Siec zaczela sie wraz z Matka i z Ojcem...

- Dawno temu to wszystko nie mialoby dla mnie znaczenia - przerwal mu Armand.

- Co chcesz przez to powiedziec?

- Teraz nie chce konca. Nie chce dalszego ciagu wydarzen, chyba ze... - Wyraz jego twarzy ulegl lekkiej zmianie. Pojawil sie cien zaskoczenia. - Nie chce, zebys umarl.

Daniel milczal.

Przedziwny bezruch tej chwili, nawet mimo lagodnego kolysania samolotu w strugach powietrza. Armand siedzial pelen niezwyklej rezerwy, pozornie cierpliwym, jego slowa przeczyly jednak temu opanowaniu.

- Ja sie nie boje, bo ty tu jestes - odezwal sie nagle Daniel.

- W takim razie glupiec z ciebie. Powiem ci jeszcze jedna zdumiewajaca rzecz.

- Tak?

- Lestat nadal nie zostal zniszczony. Realizuje swoje zamysly. Ci, którzy zebrali sie wokol niego, rowniez pozostaja bez szwanku.

- Skad ta pewnosc?

Krótki, jedwabisty smiech.

- Znowu zaczynasz. Jesteś niepoohamowanie ludzki. Przeceniasz mnie albo nie doceniasz. Rzadko trafiasz w sedno.

- Dysponuje ograniczonym sprzetem. Komórki mojego ciala ulegaja zniszczeniu, procesowi zwanemu starzeniem i...

- Zebrali sie w San Francisco. Tlocza sie w tylnych salach tawerny nazywanej U Córy Drakuli. Byc moze wiem o tym, bo inni wiedza - jeden potezny umysl przejmujecie obrazy od innego i niechcacy lub celowo przesyła je dalej. Byc moze jeden swiadek przekazuje swa wiedze wielu nastepnym. Nie wiem. Mysli, uczucia, glosy po prostu nadchodza. Podrózuja siecia, przewodami. Niektóre sa wyrazne, inne zmacone. Od czasu do czasu ostrzezenie zaglusza wszystko. „Niebezpieczenstwo!” Wtedy nasz swiat jakby cichnie na chwile. Potem znów podnosza sie inne glosy.

- A Lestat? Gdzie jest Lestat?

- On jest widziany tylko w przeblaskach. Nie moga go wysledzic w jego lezu. Jest zbyt sprytny; ale drażni sie z nimi. Przemyka czarnym porsche ulicami San Francisco. Byc moze nie wie, co sie wydarzylo.

- Wytlumacz.

- Moc komunikowania się jest różna. Żeby słyszeć myśli innych, musisz często objawiać własne. Lestat ukrywa swoją obecność. Jego umysł jest całkowicie odcięty.

- A bliźniaczki? Te dwie kobiety ze snu, kim one są?

- Nie wiem. Nie wszyscy mieli te sny, ale wielu je zna i chyba wszyscy się ich boją, przekonani, że Lestat jest w jakiś sposób winny wszystkiemu, co się stało.

- Prawdziwy czart wśród czartów - zaśmiał się cicho Daniel.

Armand skinął nieznacznie głową, ze znużeniem przyjmując do wiadomości ten żarcik. Nawet się uśmiechnął. Zastępnice. Ryk silników.

- Czy rozumiesz, co mówię? Nasza rasa jest atakowana wszędzie z wyjątkiem tamtego miejsca.

- Miejsca, w którym przebywa Lestat.

- Właśnie. Jednak niszczyciel porusza się chaotycznie. Wygląda na to, że musi być blisko tego stworzenia, które niszczy. Może czeka na koncert, aby skończyć to, co zaczął.

- Nie może ci zaszkodzić. Już dawno by to zrobił...

Krótki, szyderczy, ledwo słyszalny śmiech. Śmiech słyszany telepatycznie?

- Twoja wiara wzrusza mnie jak zawsze, ale daruj sobie; nie musisz być moim akolita właśnie teraz. To coś nie jest wszechpotężne. Nie może poruszać się z nieskonczoną szybkością. Musisz zrozumieć wybór, jakiego dokonałem. Lecimy tam dlatego, że nie ma innego bezpiecznego miejsca, gdzie moglibyśmy się udać. To znalazło holote w najróżniejszych miejscach i spaliło ją na popiół...

- Lecimy tam także dlatego, że chcesz być z Lestatem.

Brak odpowiedzi.

- Jeśli Lestat to sprowadził, może potrafi to również zatrzymać.

Armand nadal nie odpowiadał. Sprawiał wrażenie zbitego z tropu.

- Jest prostsze wytłumaczenie - rzekł w końcu. - Muszę tam polecieć.

Samolot wydawał się zabawką wiszącą w powietrzu, obłoczkami dźwięku. Daniel spoglądał sennie na sufit, na poruszające się światło.

Nareszcie spotkanie z Lestatem - przemknęło mu przez głowę. Myślał o jego starym domu w Nowym Orleanie, o złotym zegarku znalezionym na zakurzonej podłodze. A teraz powrót do San Francisco, do początku, do Lestata. Boże, jaka miał ochotę na bourbona. Czemu Armand mu go nie dał? Był taki osłabiony. Pójdą na koncert, zobaczy Lestata...

Nagle powróciło przerażenie, coraz głębsze, przerażenie spowodowane snami.

- Nie pozwól, żebym więcej o nich snił - szepnął nagle.

Wydalo mu sie, ze Armand szepnal: „Dobrze”.

Nagle ujrzał go przy łózku. Jego cień padal na posłanie. Brzuch wielkiej ryby zmalal jakby do rozjasnionej przestrzeni otaczającej Armanda.

- Spójrz na mnie, ukochany - powiedział.

Ciemność. A potem rozwarta, wysoka żelazna brama, światło księżycy pieszczące ogród. Co to za miejsce? - zastanawiał się Daniel.

Och, Włochy, to musiały być Włochy, łagodnie ciepłe powietrze i księżyc w pełni świecący na rozległym polacie drzew i kwiatów, a dalej Willa Tajemnic na samym skraju starożytnych Pompei.

- Jak się tu dostaliśmy? - Odwrócił się do Armanda, który stał obok w dziwnym, staromodnym stroju z atlasu. Na krótką chwilę ten widok go zniewolił - Armand w czarnej aksamitnej tunice i obcisłych spodniach, z kasztanowymi puklami włosów opadającymi bujną kaskadą.

- Naprawdę jesteśmy gdzieś indziej - powiedział. - Wiesz o tym. - Odwrócił się i ruszył przez ogród do willi; ledwie było słychać jego kroki na wytartych szarych kamieniach.

Przecież to było realne! Wystarczyło spojrzeć na zniszczone mury ze starej cegły i kwiaty na długich rabatach, na ścieżkę z mokrymi odciskami butów Armanda! No i gwiazdy, gwiazdy w górze! Daniel odwrócił się i zerwał pachnący liść z drzewa cytrynowego.

Armand zawrócił i wziął go pod ramię. Z rabatek wionął zapach świeżo poruszonej ziemi. Ach, mógłbym tu umrzeć - przemknęło przez głowę Danielowi.

- Tak - powiedział Armand - mógłbys. I umrzesz. A czy wiesz, że nigdy dotąd tego nie zrobiłem? Mówiłem ci, ale mi nie wierzyłeś. Nawet Lestat powiedział to w swojej książce. Nigdy tego nie zrobiłem. Wierzysz mi?

- Oczywiście, że ci wierzyłem. Powiedziałeś wszystko o tej dziwnej przysiedze. Pozwól jednak, Armandzie, że zapytam, komu przysięgałeś?

Śmiech.

Ich głosy niosły się przez ogród. Co za róże i chryzantemy, jakie olbrzymy. I światło padające z otwartych drzwi Willi Tajemnic. Czy słychać muzykę? To ci dopiero, cała ta zrujnowana budowla była bajecznie oświetlona pod rozżarzoną błękitną niebem.

- Więc chciałbys, żebyś złamał przysięgę. Chciałbys dostać to, czego, jak ci się wydaje, pragniesz. A zatem przyjrzyj się dobrze temu ogrodowi, kiedy bowiem to uczynię, już nigdy więcej nie zobaczysz moich wizji ani nie odczytasz moich myśli. Opadnie woal ciszy.

- Ale staniemy się braćmi, czy ty tego nie pojmujesz? - spytał Daniel.

Armand stał tak blisko, że niemal się całowali. Napierały na nich wielkie senne dalie w odcieniach żółci i białe gladiole; urocza kwietna won przenikała wszystko. Zatrzymali się pod usychającym drzewem, na którym rozkwitła wistaria. Jej delikatne kłose drzały, ogromne widlaste konary lśniły kosciana bielą. A z dala, z Willi, dobiegały głosy. Czy to ludzki śpiew?

- Gdzie naprawdę jesteśmy? - zapytał Daniel. - Powiedz!

- Powiedziałem. To tylko sen. Ale jeśli chcesz znać nazwę tego miejsca, pozwól, by była to brama życia i śmierci. Przeprowadzę cię przez nią. Dlaczego? Bo jestem tchórzem. I za bardzo cię kocham, żeby pozwolić ci odejść.

Daniel czuł wielką radość, wielki, chłodny, upajający triumf. Wciąż jednak nadeszła wymarzona chwila i odnalazł się w strasliwym, niepowstrzymanym spadaniu czasu. Przestał być jednym spośród rojnych milionów, którym przeznaczony jest sen w tej mokrej, wonnej ziemi, pod białymi połamanymi kwiatami, bez imienia ni wiedzy, bez widoku świata.

- Niczego ci nie obiecuje. Jakżeby mógł? Powiedziałem, co cię czeka.

- Nieważne. Razem z tobą wyjdę naprzeciw naszej przyszłości.

Powieki na zmęczonych starych oczach Armanda były zaczerwienione i zwiotczałe. Delikatne przybranie, recznie szyte, pajeczne, jak przybranie ducha. Czy nie taki był efekt czarów umysłu tworzącego bez wysiłku idealny wizerunek samego siebie?

- Nie płacz! To nie fair - powiedział Daniel. - Oto moje zmartwychwstanie. Jak możesz płakać? Czy nie wiesz, co to oznacza? Czy to możliwe, że nigdy nie wiedziałeś? - Nagle rozejrzał się, by objąć wzrokiem cały rozległy basenowy pejzaz, odległa Wille, pagórki falujące w górę i w dół. A gdy zadarł głowę, niebiosa wprawiły go w zdumienie. Nigdy nie widział tak wielu gwiazd.

Wydawało się, że niebo oddało się nieustannie z takim bogactwem i jasnością gwiazd, że konstelacje pogubiły się bez reszty. Żadnego wzoru. Żadnego przesłania. Tylko cudowne zwycięstwo czystej energii i materii. Ujrzał Plejadę - ukochaną konstelację przesładowanych przez los rudowłosych sióstr ze snu - i uśmiechnął się. Zobaczył bliźniaczki na szczycie góry; były razem, szczęśliwe. To wzbudziło w nim radość.

- Powiedz słowo, miłości moja - rzekł Armand. - Zrobię to. I tak kiedyś trafimy razem do piekła.

- Czy nie pojmujesz? - powiedział Daniel - Tak zapadają wszystkie ludzkie decyzje! Czy myślisz, że matka wie, co stanie się kiedyś z dzieckiem, które jest jeszcze w jej łonie? Jesteśmy straceni, powiadam ci. Cóż to ma za znaczenie, jeśli ofiarujesz mi swój dar i okaże się, że popełniłeś błąd! Nie ma czegoś takiego jak błąd! Jest tylko desperacja i pragnienie! Pragnę żyć z tobą wiecznie.

Otworzył oczy. Sufit kabiny samolotu, łagodne żółte światło odbijające się w plastikowych panelach, a potem znów ogród, zapachy, kwiaty niemal wznoszące się z lodu.

Stali pod uschląym drzewem owiniętym mnóstwem purpurowych kwiatów wistarii. Kłosem woskowanych płatków gładziły go po twarzy. Coś sobie przypomniał, coś, o czym dowiedział się dawno temu - że starożytny lud nazywał jednym słowem kwiat i krew. Nagle ostre kły wbijały mu się w kark.

Jego serce znalazło się w potężnym uścisku. Napór był nie do zniesienia. Widział przez ramię Armanda, dokola osuwała się noc, a gwiazdy rozrastały się jak wilgotne pachnące kielichy kwiatów. Unosiły się do nieba!

Przez ułamek sekundy zobaczył Wampira Lestata nurkującego w swoim długim czarnym samochodzie. Przypominał lwa z grzywą rozwianą na wietrze; oczy miał pełne szalonego rozbawienia i szampańskiego humoru. Odwrócił się i popatrzył na Daniela, a z jego gardła dobył się głęboki, łagodny śmiech.

Louis też tam był. Stał w pokoju przy Divisadero Street, wyglądając przez okno, i czekał, aż wreszcie powiedział:

- Tak, chodź, Danielu, jeśli tak musi być.

Oni jednak nie wiedzieli o spalonych domach sabatowych! Nie wiedzieli o bliźniaczkach! O ostrzegawczym krzyku!

Teraz wszyscy byli w zatłoczonym pokoju w Willi; Louis, ubrany w surdut, opierał się o półkę kominka. Wszyscy tam byli! Nawet bliźniaczki!

- Jak to dobrze, że przyszliście - powiedział Daniel. Najpierw ucałował Louisa, a potem ceremonialnie pozostałych. - Spójrzcie, moja skóra jest tak biała jak wasza!

Krzyknął nagle, kiedy jego serce zostało wypuszczone z uścisku i powietrze napłynęło do płuc. Znów ogród. Trawa wszędzie wokół. Ogród wyrósł mu ponad głowę. Nie zostawiajcie mnie tu - zwrócił się do nich bezgłośnie. - Nie tu, w ziemi.

- Pij, Danielu. - Ksiądz wygłaszał formułkę po łacinie, nalewano mu do ust wino komunii świętej. Rude bliźniaczki wzięły święte miski: serce, mózg. - Oto mózg i serce matki mojej, które pochłone z całym szacunkiem dla ducha matki mojej...

- Boże, daj mi to! - Przewrócił kielich na marmurową posadzkę kościoła tak niezdarnie, ale na Boga! Krew!

Usiadł, miącząc Armanda w uścisku, wysysając ją z niego łyk po łyku. Przewrócili się razem na miękkie grządki kwiatów. Armand leżał obok, a on miał usta na jego szyi; krew płynęła niepowstrzymanym źródłem.

- Wejdz do Willi Tajemnic - rzekł Louis, dotykając jego ramienia. - Czekamy. - Bliźniaczki obejmowały się nawzajem i gładziły po długich lokach.

Dzieciaki wydierały się przed halą, bo skończyły się bilety. Zamierzały obozować na parkingu do następnego wieczoru.

- Mamy bilety? - zapytał Armanda. - Armandzie, bilety!

Niebezpieczeństwo! - dotarł do niego sygnał. Łód. Wołanie pochodziło od złapanego w lodową pulapkę!

Poczuł mocne uderzenie. Unosił się w powietrzu.

- Spij, ukochany.

- Chce wrócić do ogrodu, do Willi. - Próbował otworzyć oczy. Bolał go brzuch. Jaki przedziwny ból, jakby oddalony.

- Wiesz, że on jest pogrzebany pod lodem?

- Spij - rzekł Armand, przykrywając go kocem. - Kiedy się obudzisz, będziesz dokładnie taki jak ja.

Umarły.

* * *

San Francisco. Nie otworzył jeszcze oczu, a wiedział, że tam jest. Co za upiorny sen, jak dobrze, że się zakończył - brak powietrza, czern, gwałtowne i przerażające prądy morskie! Ale ten sen zbladł. Sen bez dźwięków, jedynie odgłosy wody, dotyk wody! Sen budzący niewymowny lek. Był w nim kobieta, bezradna, pozbawiona języka, którym mogłaby wyrazić wołanie o pomoc.

Niech sobie zniknie.

Było coś znajomego w powiewie całującym jego twarz, w białej świeżości, która prawie czuł. Oczywiście, San Francisco. Chłód przesunął się po nim jak opięty strój, a równocześnie w środku czuł cudowne ciepło.

Niesmiertelny. Na zawsze.

Otworzył oczy. Armand go tu umieścił. W kleistej czerni służył Armand nakazujący mu pozostać na miejscu. Armand powiedział, że tu będzie bezpieczny.

Tu.

Przeszklone drzwi otwarte na całej długości przeciwległej ściany. A sam pokój zasobny, obficie umeblowany, jedno z tych wspaniałych pomieszczeń, które wyszukiwał Armand i które tak uwielbiał.

A te powiewające firanki z czystej koronki; a te białe pióra zwijające się i płonące na kobiercu z Aubusson. Wstał i podszedł do drzwi.

Miedzy nim a lśniącym wilgocią niebem wisiała gesta sieć konarów. Sztywna zielen cyprysów Monterey. A dalej, za galeziami, na tle aksamitnej czerni zobaczył wielki gorejący luk Golden Gate Bridge. Mgła jak gęsty biały dym wylewała się spoza przegromnych wież, klebiła się, usiłując polknąć stalowe kolumny, a potem znikła, jakby most, mieniąc się strumieniami ruchu samochodowego, sam ją spalał.

Zbyt wspaniały jest ten widok - nasycone zarysy ciemnych wzgórz przesłoniętych oponczami ciepłych światel. Ach, uszczknąć tylko jeden drobny szczegół - mokre dachy uciekające w dół albo powykręcana galaz, bliska na wyciągnięcie ręki. Jak skóra słonia jest ta kora, ta żywa powłoka.

Niesmiertelny... na zawsze.

Przesunął dłoń po włosach i poczuł łagodne mrowienie. Podniósł palce; skóra pamiętała ich łagodny nacisk. Wiatr szczypał cudownie. Coś sobie przypomniał. Sprawdził swoje kły. Tak, były przepięknie długie i ostre.

Ktoś go dotknął. Odwrócił się tak szybko, że prawie stracił równowagę. Wszystko stało się tak niewiarygodnie inne! Opanował się, ale widok Armanda sprawił, że zebrało mu się na płacz. Nawet głęboki cień nie odebrał piwnym oczom Armanda pełni wibrującego blasku. Jakże pełna miłości była jego twarz. Daniel ostrożnie wyciągnął rękę i dotknął jego rzes. Chciał pogłodzić delikatne zmarszczki na wargach. Zadrzał, gdy Armand go pocałował. Chłodne jedwabiste wargi przekazywały mu elektryczną czystość myśli, jakby to był pocałunek umysłu!

- Wejdz do srodka, mój uczniu - rzekl Armand. - Zostala nam niecala godzina.

- Ale inni...

Armand mial odkryc cos waznego. Co to bylo? Dzialy sie straszne rzeczy, splonely domy sabatowe. A jednak w tej chwili bylo nic wazniejszego niz to cieplo, które czul w sobie, i mrowienie odzywajace sie, kiedy poruszał konczynami.

- Oni kwitna, spiskuja - powiedzial Armand. Czy mówil i glos? Alez na pewno. Brzmialo to tak wyraznie! - Lekaja sie ogólnego zniszczenia, ale San Francisco jest nietknięte. Ktos (powiedzial, ze sprawil to Lestat, by sciagnac wszystkich do siebie. Inni - ze to robota Mariusza albo nawet blizniaczek. Albo Tych Których Należy Mieć w Opiece, mogacych uderzyc z nieskonczona moca ze swojego sanktuarium.

Blizniaczki! Znowu poczul czern snu wokół siebie, kobiece cialo pozbawione jezyka, groze zatraskujaca sie ze wszystkich stron. Ach, teraz nic nie moglo go zranic. Ani sny, ani spiski. Byl dziecieciem Armanda.

- Te sprawy musza poczekac - rzekl lagodnie Armand. - Musisz pójsc i zrobic, co ci powiem. Musimy skonczyc to, co zaczelismy.

- Skonczyc? - Przeciez wszystko jest skonzone. Zmartwychwstal.

Armand wprowadzil go do domu; wiatr zostal na zewnatrz. W ciemnosci blyska miedziane loze, porcelanowa waze ozywiaja zlocone smoki. W dali wielki kwadratowy fortepian lśni wyszczerzonymi zebiskami klawiszy. Tak, dotknij go, poczuj kosc sloniowa; aksamitne fredzle zwisaja z abazuru...

Ta muzyka, skad ona plynie? Jazz, samotna, cicha, zalosnie zawodzaca trabka. Ta melancholijna melodia, nuty roztapiajace sie jedna w drugiej kazaly mu sie zatrzymac. Chcial przezyc te chwile w bezruchu. Chcial powiedziec, ze rozumie, co sie dzieje, ale zbyt szybko absorbowalo go wchlanianie kazdego urwanego dzwieku.

Juz mial podziekowac za muzyke, ale jego wlasny glos zabrzmial tak niespodziewanie dziwnie - ostrzej, a jednocześnie dzwieczniej. Nawet jezyk byl inny, a tam, na zewnatrz, mgla, spojrz na nia, wskazal, mgla klebi sie tuz ponizej tarasu, mgla zjada noc!

Armand byl cierpliw. Armand rozumial. Przeprowadzil go wolno przez ciemny pokój.

- Kocham cie - powiedzial Daniel.

- Jestes tego pewien? - odparl pytaniem Armand.

To wzbudilo w nim smiech.

Weszli do dlugiego wysokiego korytarza. Prowadzace w dól schody kryly sie w glebokim cieniu. Armand ponaglal go do dalszego marszu. Daniel chcial obejrzec wzór na dywanie, dlugi lancuch medalionów przeplecionych liliami, ale Armand zaprowadzil go do jasno oswietlonego pokoju.

Powódz swiatla, blask bladzacy po niskich sofach i fotelach zapieraly dech. Wszystko jednak zacmiewalo malowidlo na scianie!

Bezkształtne stworzenia, naprawdę będące wielkimi gestymi smugami jaskrawej żółci i czerwieni, były niczym żywe postaci. Niewykluczone, że wszystko, co wyglądało na żywe, było żywe. Bezrekie istoty, rozsmuzone w oslepiających barwach, musiały tak egzystować przez wieczność. Co widziały drobnymi, rozbieganymi oczami? Być może dostrzegały jedynie niebiosa i piekło swojego lśniącego królestwa zakotwiczonego do kolków w ścianie kawałkiem zwiniętego drutu?

Mógłby płakać na tę myśl, płakać gardłowym jękiem trabki - a przecież nie płakał. Zwiędził silną uwodzicielską won. Cóż to jest? - zapytał sam siebie, czując, że cały sztywnieje. Nagle ujrzał młodą dziewczynę.

Siedziała ze skrzyżowanymi w kostkach nogami na małym złożonym krzeselku i obserwowała go; jej gęste ciemnokasztanowe włosy układały się błyszczącym wiechciem wokół białej twarzy. Mała uciekinierka w podartych dzinsach i uswinionej koszuli. Chmara piegów na siodelku nosa i zabrudzony plecak leżący u jej stóp; co za idealny obrazek! A do tego kształt drobnych ramion, ułożenie nóg! I oczy, jej piwne oczy! Śmiało się cicho, ale był to śmiech nieszczerzy, wariacki. Miał w sobie groźną nutę, jakież to dziwne! Ujął twarz dziewczynki w dłonie, a ona wpatrywała się w niego, uśmiechnięta, z lekkim szkarłatnym rumieńcem na ciepłych policzkach.

To krew wydzielająca ten aromat! Palce mu płonęły. Dostrzegał nawet naczynia krwionośne pod skórą tego uroczego dziecka! Słyszał odgłos jej serca, słyszał. Uderzało coraz głośniejsze, tak... chlupotało, dudniąc. Cofnął się.

- Zabierz ją stąd! - wykrzyknął.

- Wez ją - szepnął Armand. - I to już.

Rozdział piąty

Khaymanie, mój Khaymanie

Nikt nie słucha.

Teraz możesz śpiewać piosenkę swojego „ja”,

jak robią to ptaki, nie dla terytorium

czy dominacji,

ale dla samopowiększenia.

Niech coś

powstanie z niczego.

...

Stan Rice „Teksaska suita” z tomu „Tresc dzieła” (1983)

Az do tej nocy, do tej potwornej nocy, miał na swój temat zarcik: nie wie, kim jest ani skąd się wziął, ale wie, co lubi.

A lubił wszystko wokół siebie - stoiska z kwiatami na rogach ulic, wielkie budynki ze stali i szkła wieczorami pełne mlecznego światła, drzewa, tak, oczywiście, i trawę pod stopami. Kupował rzeczy z lśniącego plastiku i metalu - zabawki, komputery, telefony - byle co. Lubił doszukiwać się ich przeznaczenia, opanowywać sztukę posługiwania się nimi, a potem miażdżył je na drobne, twarde wielokolorowe pileczki, którymi mógł zonglować lub ciskać w wielkie szklane tafle, gdy nikogo nie było w pobliżu.

Lubił muzykę fortepianową, filmy i wiersze, które znajdował w książkach.

Lubił też samochody, które spalały ziemny olej, tak jak lampy. I wielkie samoloty odrzutowe, lecące nad chmurami zgodnie z jakas naukową zasadą.

Zawsze przystawał, by słuchać ludzi śmiejących się i paplających tam w górze, kiedy któryś z samolotów przelatywał nad nim.

Prowadzenie pojazdu było wyjątkową rozkoszą. Pedził srebrnym mercedesem po gładkich pustych drogach z Rzymu do Florencji i Wenecji w jedną noc. Lubił także telewizję - ten cały elektryczny proces oparty na drobinach światła. Jakże łagodząco działało towarzystwo telewizji, intymna zżyłość z tyłoma starannie wymalowanymi twarzami przemawiającymi serdecznie z jasniejącego ekranu.

Rock and rolla też lubił. Lubiał muzykę. Lubiał Wampira Lestata śpiewającego „Requiem dla markizy”. Nie przykładal większej wagi do słów. Liczyła się melancholia i mroczny podkład bebnów i cymbałów. Nogi rwały mu się do tańca.

Lubił gigantyczne żółte maszyny, które późną nocą rozdrapywały ziemię w miastach, a także i ludzi w jednolitych ubiorach pelzających wokół nich; lubił londyńskie pietrowe autobusy i ludzi - sprytnych śmiertelnych ze wszystkich stron świata - ich też, oczywiście, lubił.

Lubił spacerować wieczorem po Damaszku i w nagłych przebłyskach niespójnych wspomnień oglądać na tamtych ulicach miasta starożytnych Rzymian, Greków, Persów, Egipcjan.

Lubił biblioteki, w których odkrywał dawne budowle w wielkich, gładkich, miło pachnących księgach. Fotografował nowe miasta wokół siebie i czasem potrafił nałożyć na zdjęcia obrazy, które rodziły mu się w myślach. Na przykład na jego fotografii z Rzymu byli Rzymianie w tunikach i sandałach, nałożeni na wersje współczesne w grubej, topornie skrojonej odzieży.

O tak, zawsze było wokół niego wiele do lubienia - skrzypcową muzyką Bartoka, małe dziewczynki w

sniegobiałych sukienkach, wychodzące o północy z kościoła, po chrześcijańskiej mszy.

Oczywiście, lubił też krew ofiar. To było nieuniknione i wcale nie zabawne. Śmierć go nie bawiła. Dopadał ich w milczeniu; nie chciał ich znać. Wystarczyło, że niedoszła ofiara odezwała się do niego, a natychmiast ją porzucał. Uważał, że nie przystoi rozmawiać z tymi słodkimi, łagodnie spozierającymi istotami, a potem pić ich krew, łamać kości, wysysać szpik i rozgniatać kończyny na kapiącą miazgę. A tak właśnie teraz ucztował, okrutnie i gwałtownie. Pozadanie obezwładniało go swoją zarloczną monotonią, nie mającą nic wspólnego z pragnieniem. Potrafił delektować się trzema czy czterema śmiertelnymi w jedną noc.

Mimo to miał pewność, absolutną pewność, że kiedyś był istotą ludzką. Tak, chodził wtedy w słońcu w upalne dni, chociaż obecnie było to jak najbardziej wykluczone. Widział siebie siedzącego przy prostym drewnianym stole i rozcinającego miedzianym kozikiem dojrzłą pomarańczę. Widział ten piękny owoc. Znal jego smak. Znal smak chleba i piwa. Widział blask słońca i matowy żółty piasek, który ciągnął się daleko wokół. - Połóż się i odpoczywaj, przeczekać zar dnia - powiedziano mu kiedyś. Czy był to ostatni dzień jego egzystencji jako żywej istoty? Tak, trzeba odpocząć, ponieważ król i królowa zawezwają cały dwór i coś strasznego, coś...

Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć.

A przecież kiedyś to wiedział, w tym rzecz, wiedział do tej nocy. Tej nocy...

Nie przypominał sobie nawet wtedy, kiedy słuchał Wampira Lestata. Ta postać go fascynowała - piosenkarz rockowy nazywający siebie krwiopijcą. Rzeczywiście wyglądał na osobę nie z tego świata, ale cóż, to była telewizja, no nie? Wielu śmiertelnych z oszalałego świata muzyki rockowej wyglądało na istoty nie z tego świata. A w głosie Wampira Lestata była taka ludzka namietność.

I nie tylko namietność; to była ludzka ambicja szczególnego rodzaju. Wampir Lestat zapragnął heroizmu. Kiedy śpiewał, ogłaszał: - Pozwólcie mi ukazać moją istotę! Jestem symbolem zła; a jeśli jestem symbolem prawdziwym, w takim razie czynię dobrze.

Fascynujące. Tylko człowiek potrafiłby wymyślić taki paradoks. O tym też wiedział, bo oczywiście kiedyś był człowiekiem.

Miał teraz nadprzyrodzoną zdolność rozumienia spraw. Tak. Ludzie nie potrafili jego sposobem, spojrzawszy na maszyny, przejrzeć zasady jej działania. A to, że wszystko było mu znajome, również miało związek z jego nadprzyrodzonymi mocami. I tego, tak naprawdę nic nie mogło go zaskoczyć. Ani fizyka kwantowa, ani teoria ewolucji, ani malarstwo Picassa czy działanie szczepionek sprawiających, że dzieci za sprawą bakterii uodporniały się na choroby. Było tak, jakby wiedział o wszystkim na długo przedtem, zanim się tu zjawił. Na długo przedtem, zanim i mógł rzec: - Myśle, więc jestem.

Ale pominałszy to wszystko, zachował ludzkie spojrzenie na świat. Nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Czuł ludzki ból z niesamowitą i przerażającą perfekcją. Wiedział, co to znaczy kochać i być samotnym, och tak, wiedział to lepiej niż wszystko inne, a czuł najdotkliwiej, kiedy słuchał piosenek Wampira Lestata. To dlatego nie przykładal wagi do słów.

I jeszcze jedno. Im więcej pił krwi, tym bardziej się stawał ludzki.

Kiedy objawił się po raz pierwszy w tym czasie - sobie samemu i innym - wcale nie wyglądał na człowieka. Był cuchnącym kociotrupem, szedł drogą publiczną w kierunku Aten, kości oplatane

napiętymi gumami zył ukrywał pod warstwa stwardniałej białej skóry. Budził przerażenie. Ludzie uciekali przed nim, wyciskając całą moc ze swoich autek. Czytał w ich myślach - widział siebie ich oczyma - i rozumiał, i było mu przykro, oczywiście.

W Atenach postarał się o rekawiczki i luzny welniany strój z plastikowymi guzikami, a także te śmieszne nowoczesne buty, które zakrywały całą stopę. Owinał twarz szmatami, zostawiając tylko dziury na oczy i usta. Brudne czarne włosy przykrył szarym filcowym kapeluszem.

Nadal wybaluszali na niego oczy, ale nie uciekali z krzykiem. O zmierzchu włóczył się wśród gestych tłumów na skwerze Omonia i nikt nie zwracał na niego uwagi. Jakże miły był współczesny zgiełk i gwar tego starego miasta, które dawno temu było równie żywotne, kiedy z całego świata zjeżdżali tu studenci, by uczyć się filozofii i sztuki. Kiedy spoglądał na Akropol, widział Partenon taki jak ongiś - cały, dom bogini. Nie dzisiejsza ruina.

Grecy byli jak zawsze wspaniałymi ludźmi, uprzejmymi i ufnymi, chociaż z racji tureckiej krwi nabrali ciemniejszej karnacji i barwy włosów. Nie przeszkadzało im jego dziwne przyodziewek. Rozmawiał z nimi miękko, pieszczotliwym głosem, wykazując idealne opanowanie języka - poza niewieloma, jak się wydawało, koszmarnymi pomyłkami - a oni go uwielbiali. Po pewnym czasie zauważył, że jego ciało z wolna się wypełnia. Wreszcie pewnej nocy, kiedy zdjął lachmany, ujrzał kontury ludzkiej twarzy. A więc tak właśnie wyglądał?

Wielkie czarne oczy z delikatnymi kurzymi łapkami i całkiem gładkimi powiekami. Usta miłe, uśmiechnięte. Nos zgrabny, wdzięczny; całkiem mu się spodobał. A najbardziej podobały mu się brwi, równe i nie krzaczaste, zarysowane na tyle wysoko nad oczami, że nadawały twarzy wyraz otwartości, ukrywanego radosnego i budzącego zaufanie podziwu. Tak, to była twarz przystojnego młodego mężczyzny.

Zaczął chodzić z odkrytą twarzą, nosząc współczesne spodnie i koszulę. Musiał jednak trzymać się cienia. Po prostu był zbyt gładki i biały.

Kiedy pytano go, jak się nazywa, mówił: - Khayman. - Ale nie wiedział, skąd wzięło się to imię. Wiedział natomiast, że kiedyś mówiono na niego Beniamin. Były też inne imiona. Ale kiedy?... Khayman. Tego pierwszego i tajnego nigdy nie zapomniał. Potrafił narysować dwa małe obrazki, które nazwał „Khayman”, ale nie miał pojęcia, skąd te symbole pochodzą.

Własna siła zdumiewała go tak samo jak wszystko inne. Potrafił przechodzić przez gipsowe ściany, mógł unieść samochód i cisnąć go na pobliskie pole. A zarazem był dziwnie kruchy i lekki. Przebijał dłonią na wylot długim cienkim nożem. Co za dziwne doznanie! I wszędzie krew. Potem rana się zasklepiła i musiał znowu ją otworzyć, żeby wyciągnąć ostrze.

Był niezwykle lekki, tak, potrafił się wspinać wszędzie, jakby prawo ciężkości nie miało nad nim władzy, kiedy tylko zdecydował się je zlekceważyć. Pewnej nocy wszedł na wysoki budynek w środku miasta, po czym sfrunął łagodnie na ulicę.

Cudowne. Wiedział, że jeśli tylko się odważy, będzie mógł pokonywać wielkie odległości. A może... jednak nie.

Miał też inne moce. Przylapał się na tym, że każdego wieczoru po przebudzeniu słucha głosów z całego świata. Leżał w mroku, skapany w dźwiękach i słyszał ludzi rozmawiających po grecku, angielsku, rumuńsku, w hindi. Słyszał śmiechy i krzyki bólu. A jeżeli leżał zupełnie nieruchomo, słyszał ludzkie myśli - bezładny denny prad, pełen dzikiej egzaltacji, napawający lekkiem. Nie wiedział, skąd się biorą te myśli

ani dlaczego jeden głos pochłania inny. To nie do wiary, czuł się jak Bóg słuchający modlitw.

Od czasu do czasu, wyraźnie oddzielone od ludzkich głosów, docierały don również głosy nieśmiertelnych. Czy byli gdzieś inni tacy jak on, czy myśleli, czuli, wysyłali ostrzeżenie? Ich odległe potężne i srebrzyste wołania były łatwe do oddzielenia od ludzkiego gwaru.

Owa receptywność przysparzała mu jednak bólu. Sprowadzała jakieś straszne wspomnienia, uczucie zamknięcia w ciemności, w której przez nie kończące się lata jego jedynym towarzyszem były głosy. Ogarniała go panika. Nie będzie sobie tego przypominał. Sa rzeczy, do których nie chce wracać. Na przykład plonienia i wzięcia, pamięci o wszystkim i płaczu, strasznego, rozdzierającego płaczu.

Tak, zaznał złego losu. Bywał już tu, na tej planecie, pod innymi imionami i w innych czasach; ale zawsze ten sam, o łagodnym i optymistycznym usposobieniu, tak bardzo kochający. Czy jego dusza wędrowała? Nie, zawsze miał to ciało. Właśnie dlatego był taki lekki i silny.

Wreszcie zamykał uszy na te głosy. Prawde powiedziawszy, pamiętał stare ostrzeżenie: „Jeśli nie nauczysz się zamykać uszu na głosy, doprowadza cię do szalenstwa”. To było proste. Uciszał je, zwyczajnie unosząc powieki, otwierając oczy. Wtedy słuchanie wymagało nateżenia uwagi. Głosy ciągnęły swoje, stając się jednym irytującym hałasem.

Pochłaniała go terazniejszość. Tak łatwo było poznać myśli śmiertelnych będących w bliskim zasięgu. Mógł na przykład śpiewać albo skupić się mocno na czymkolwiek w pobliżu. Ogarniała go wtedy błogosławiona cisza. W Rzymie łatwo było o rozrywkę. Jakże uwielbiał tamtejsze stare domy w kolorach ochry, spalonej sieni albo butelkowej zieleni. Jakże uwielbiał wąskie brukowane uliczki. Mógł bardzo szybko jechać samochodem szerokim bulwarem pełnym szczęśliwych śmiertelnych lub waleś się po Via Veneto, by znaleźć kobietę, w której zakochał się na jakiś czas.

Uwielbiał też sprytnych ludzi tej epoki. Byli ludźmi, ale wiedzieli tak wiele. Gdy w Indiach zamordowano premiera, w ciągu godziny cały świat był w żalobie. Wszystkie rodzaje katastrof, wynalazków i cudów medycyny nie przekraczały zdolności pojmowania przeciętnego człowieka. Ludzie igrali z faktami i fanaberiami. Kelnerki pisały powieści, które z dnia na dzień przysparzały im sławy. Na filmach wideo robotnicy zakochiwali się w nagich gwiazdach filmowych. Bogaci nosili papierową biżuterię, a biedni kupowali drobne brylanciki. Księżniczki pojawiały się na Champs Elysees w starannie dobranych lachmanach.

Och, jak bardzo chciałby być człowiekiem. A kim tak naprawdę był? Jacy byli inni - ci, przed których głosami zamykał uszy? Nie było to Pierwsze Plemię, co do tego miał pewność. Pierwsze Plemię nie potrafiło kontaktować się wyłącznie za pomocą umysłu. Tylko co to, do diabła, było to „Pierwsze Plemię”? Nie mógł sobie przypomnieć! Ogarnęła go panika. Nie chciał o tym myśleć. Zapisywał w notatniku wiersze - współczesne i proste, wiedząc, że są w najwcześniejszym znanym mu stylu.

Poruszał się nieustannie po Europie i Azji Mniejszej, czasem piechota, czasem unosząc się w powietrze i siłą woli kierując w szczególne miejsce. Rzucił czar na tych, którzy mogli mu stanąć na drodze, a za dnia spał kamiennym snem w mrocznych kryjówkach, niczym się nie przejmując. Słońce już go nie paliło, ale nie potrafił funkcjonować w jego blasku. Oczy mu się zamykały, kiedy tylko ujrzał światło jutrzeńki. Słyszał głos, wszystkie te głosy innych krwio pijców krzyczących w mekach - a potem następowała cisza. Budził się o zachodzie słońca, gotów czytać prawnicze gwiazdne wzory.

Wreszcie stał się brawurowym lotnikiem. Uniósł się w górę na przedmieściach Stambułu, wystrzelił wysoko nad dachy jak balon. Krecił się, koziolkował, śmiejąc do rozpuku, a potem skierował się do Wiednia, gdzie dotarł przed świtem. Nikt go nie zauważył. Poruszał się za szybko, by mogły go dostrzec

ludzkie oczy. A poza tym nie dokonywał tych eksperymentów w obecności wścibskich obserwatorów.

Miał też inną interesującą moc. Potrafił podróżować bez udziału ciała. Potrafił dosięgnąć wzrokiem rzeczy bardzo odległych. Na przykład, leżąc nieruchomo, myślał o dalekim miejscu, które pragnąłby zobaczyć, i nagle był tam. Niektórzy ze śmiertelnych również mieli tę zdolność, czy to w śnach, czy na jawie, będąc wynikiem wielkiej świadomej koncentracji. Bywało, że mijali ich śpiące ciała i dostrzegali, jak daleko podróżują ich dusze. Samych dusz jednak nie widział. Nie potrafił też ujrzeć upiórów ani duchów...

Lecz wiedział, że gdzieś są. Musiały gdzieś być.

Przypomnił sobie, że kiedyś jako śmiertelny człowiek wypił w świątyni silny czarodziejski napój wręczony przez kapłanów i podróżował dokładnie tak samo, poza ciałem, unosząc się wysoko w firmament. Kapłani przywoływali go z powrotem, lecz nie chciał wrócić. Był wtedy z tymi wśród zmarłych, których kochał. Wiedział, że musi wrócić; tego od niego oczekiwano.

Był wtedy istotą ludzką, jak najbardziej. Tak, nie ma wątpliwości. Pamiętał, jak pot występował mu na nagi tors, kiedy leżał w pełnej kurzu komorze i przyniesiono mu czarodziejski napój. Bał się. Ale cóż, oni wszyscy musieli przez to przejść.

Może lepiej było mieć obecną postać i moc latać, nie rozstając się z ciałem.

Niewiedza, niepamięć, nierozumienie tego, jak może robić takie rzeczy i czemu żyje z ludzkiej krwi - wszystko to sprawiało mu intensywny ból.

W Paryżu poszedł do „kina wampirów”, które zdumiewało go pozorami prawdy i fałszem. Wszystko było znajome, a zarazem dziecinnie głupie. Wampir Lestat zapożyczył swój przydomek z tych starych czarno-białych filmów. Większość „nocnych istot” nosiła ten sam kostium - czarna peleryna, biała koszula z gorssem, czarny zakiet do figury, czarne spodnie.

Oczywisty, lecz krzepiacy nonsens. Krwiopijcy przemawiali tak łagodnie, jakby recytowali poezję, a równocześnie bez wahania zabijali śmiertelnych.

Kupił komiksy o wampirach i wyciął z nich obrazki przedstawiające eleganckich krwiopijców w rodzaju Wampira Lestata. Może powinien przymierzyć taki słiczny kostium; dodałby mu otuchy, stworzyłby poczucie przynależności do czegoś, nawet jeśli to coś naprawdę nie istniało.

W Londynie udał się po północy do ciemnego sklepu, gdzie znalazł swój wampirzy strój. Zakiet i spodnie, lśniące lakierki; koszula wykrochmalona i sztywna jak nowy papirus, z białą muszką. Och, i jeszcze czarna aksamitna peleryna, wspaniała, z podszewką z białej satyny; sięgała do samej podłogi.

Obracał się z wdziękiem przed lustrami. Jakże zazdrościłby mu Wampir Lestat. Pomysleć, że on, Khayman, nie był człowiekiem udającym wampira; był prawdziwym wampirem. Po raz pierwszy uczesał swoje gesty czarne włosy. W szklanych szafkach znalazł perfumy i kremy, którymi namaszczył się, jak przystało na wielki wieczór. Dobral sobie złote pierścienie i spinki.

Teraz był tak piękny jak dawno temu w innym stroju. Ludzie na londyńskich ulicach z miejsca go pokochali! Postąpił jak najbardziej właściwie. Szli za nim, kiedy kroczył, uśmiechając się, kłaniając od czasu do czasu i puszczając do nich oko. Nawet kiedy zabijał, było lepiej. Ofiara wpatrywała się w niego, jakby miała wizję, jakby wszystko rozumiała. Pochylał się - tak jak to robił Wampir Lestat w

wideoklipach - i wpięrow pil lagodnie z gardla, zanim rozdarł ofiare na kawalki.

Oczywiście, wszystko to żart. Było w nim coś przerażająco pospolitego, nie mającego żadnego związku z kondycją krwiopijcy, ta mroczna tajemnica, żadnego związku z przeblaskami zdarzeń, które pamiętał tylko częściowo i które wyrzucił z pamięci. Niemniej jednak zabawnie było stać się na chwile kims.

Tak, chodziło o te chwile, bo była wspaniała. I była wszystkim, co miał. W gruncie rzeczy zapomni i ja, prawda? Te noce i ich wybrane szczegóły uleca mu z pamięci i znów zatraci się w jakiejś jeszcze bardziej złożonej i trudniejszej przyszłości, pamiętając tylko swoje imię.

Wreszcie udał się do domu, do Aten.

Noca włóczył się z ogarkiem świecy po muzeach, oglądał stare nagrobki z reliefami postaci, których widok doprowadzał go do płaczu. Siedząca kobieta - umarli zawsze siedzący - wyciąga dłonie do żywego dziecka pozostawionego w objęciach małżonki. Z przeszłości powracały do niego imiona szeptać mu do ucha jak nietoperze: - Udać się do Egiptu, przypomnisz sobie. - Nie udał się do Egiptu. Było zbyt wcześnie, by zebrać o szalenstwo i wybaczenie. Pozostał w Atenach, gdzie czuł się bezpieczny; odwiedzał stary cmentarz poniżej Akropolu, z którego rozkradziono wszystkie stalle. Nie przeszkadzał mu ryk samochodów. Ziemia była tam piękna; i wciąż należała do umarłych.

Sprawił sobie pełną szafę wampirzych strojów. Kupił nawet trumnę, ale używał jej niechętnie. Przede wszystkim nie oddawała ludzkiego kształtu, a na wieku nie wryto rysu twarzy ani napisu, który by poprowadził duszę zmarłego. Przypominała mu raczej pudro na kosztowności. Ale z drugiej strony, no cóż, jeśli był wampirem, to chyba powinien ją mieć, bo była z nią pyszną zabawą. Śmiertelni, którzy przychodzili do jego mieszkania, byli oczarowani jej widokiem. Częstował ich winem czerwonym jak krew, serwowanym w kryształowych kielichach. Recytował im „Rymy wiekowego marynarza”, śpiewał pieśni w dziwnych językach, które uwielbiali, a czasem czytał swoje wiersze. Śmiertelni byli tacy serdeczni. A trumna służyła za kanapę, bo w mieszkaniu nie było żadnych mebli.

Piosenki tego amerykańskiego piosenkarza rockowego, Wampira Lestata, zaczęły burzyć jego spokój. To już nie była pyszna zabawa, podobnie jak te głupie stare filmidła. Wampir Lestat jednak naprawdę go drażnił. Jaki krwiopijca marzyłby o czynach pełnych odwagi i czystości. Zbyt tragiczna nuta, jak na zwykłe piosenki.

Krwiopijca... Czasem, kiedy budził się sam na podłodze dusznego mieszkania, a ostatnie przebliski dziennego światła przenikały stopy, czuł oddalający się ciepliutki sen, w którym jakieś stworzenia wzdychały i jęczały z bólu. Czy podał przez upiorny nocny pejzaz za dwoma rudymi kobietami, które wycierpiał niewysłowione krzywdy, za tymi pięknymi bliźniaczkami, do których nieustannie wyciągał dłonie? Gdy jednej z rudowłosych kobiet wycięto język, porwała go i zjadła. Ten odważny czyn sprawił go w najwyższe zdumienie...

Ach, nie mógł patrzeć na takie rzeczy!

Twarz miał obolała, jakby płakał albo cierpiał z racji niepokój. Rozluźnił się z wolna. Ujrzał lampę. Żółte kwiaty. Nic. To po prostu Ateny: długie szeregi otynkowanych budynków jak spod sztancy i ruiny wielkiej świątyni na wzgórzu, panujące nad wszystkim mimo dymów wypełniających przestworza. Wieczór. Boski pospiech tysięcy ludzi w ponurych biurowych ubraniach, spływających windami do podziemnych pociągów. Plac Syntagma zasypany leniwymi pijusami, wielbicielami retsiny lub uzo, cierpiącymi w upale wczesnego popołudnia. Małe kioski z prasą z całego świata.

Nie słuchał już muzyki Wampira Lestata. Porzucił amerykańskie dyskoteki, w których nieustannie

rozbrzmiewała. Odsunął się od studentów, którzy nosili małe magnetofony przy paskach spodni.

Pewnej nocy w sercu Plaka wśród rozjarzonych świateł i hałaśliwych tawern ujrzał innych krwiopiczów spieszących przez tłum. Serce mu zamarło. Samotność i lek zawładnęły nim bez reszty. Nie mógł się poruszyć ani wykrztusić słowa. Sledził ich, podążając stromymi ulicami, wchodził za nimi do kolejnych nowoczesnych tanbud, w których wyla muzyka, wychodził. Oceniał ich wzrokiem, kiedy szybkim krokiem przeciskali się przez tłum turystów, nieświadomi jego obecności.

Dwóch mężczyzn i kobieta w skąpym przyodziewku z czarnego jedwabiu, ze stopami torturowanymi w butach na wysokich obcasach. Srebrne okulary zasłaniały im oczy; szeptali między sobą i wybuchiły piskliwym śmiechem; obwieszeni biżuterią, obficie spryskani perfumami, wystawiali na pokaz swoją nienaturalnie lśniącą skórę i włosy.

Ale pomimo tych drugorzędnych spraw, bardzo się od niego różnili. Daleko im było do jego twardości i białości, to po pierwsze. Prawde mówiąc, mieli na sobie tyle ludzkiej tkanki, że nadal pozostawali ożywionymi trupami; zwodniczo różowi i słabi, jakże potrzebowali krwi ofiar. Nawet w tej chwili cierpieli rozdzierające pragnienie. I z pewnością ich działania tego wieczoru były mu podporządkowane, krew bowiem musiała nieustannie zasilć wszystkie ludzkie miękkie tkanki. Nie tylko je ożywiała, ale stopniowo przemieniała w coś innego.

On natomiast był już cały z owego czegoś. Nie pozostało na nim nic człowieczego. Choć pozadał krwi, nie potrzebował jej do tej zamiany. Ona jedynie go odświeżała, zwiększała jego cudowną siłę, telepatyczne moce, zdolność latania czy podróżowania poza ciałem. Ach, to zrozumiałe! Obecnie był niemal idealnym naczyniem dla tej bezimiennej siły, która działała w nich wszystkich.

Tak, właśnie tak było. Oni byli młodsi, to wszystko. Dopiero rozpoczęli podróż ku prawdziwej wampirzej nieśmiertelności. Czyżby nie pamiętał?... No cóż, tak naprawdę to nie, ale wiedział, że to pisklaki, liczące sobie zaledwie jeden lub dwa wieki! To niebezpieczny czas; najpierw dostawało się od tego obledu albo inni cię dopadali, zamykali, spalali... Wielu nie przeżyło tych lat. Ileż wieków dzieliło go od nich; jego młodość to epoka Pierwszego Plemienia. Tej otchłani czasu rozum nie mógł pokonać! Zatrzymał się przed malowanym murem ogrodu, wsparł dłoń na pokrzywionej galezi, rozkoszując się dotykiem chłodnych, jakby welnianych listków na swojej twarzy. Nagle zanurzył się w smutku, smutku straszliwszym niż lek. Usłyszał czyjś płacz, nie z otoczenia, ale w swojej głowie. Kto to jest? Przestań!

Nie, nie skrzywdzi tych delikatnych dzieci! Chciał jedynie ich poznać, uscisnąć. Przecież jesteśmy z tej samej rodziny, jesteśmy krwiopiczami, wy i ja!

Jednak gdy się zbliżył, wysyłając milczące, niemniej jednak gorące przywitanie, oni odwrócili się i spojrzeli w jego kierunku z nieukrywaną grozą. Uciekli. Zbiegli po stoku platanina ciemnych ścieżek, byle dalej od świateł Plaka, a wszystkie jego słowa i gesty były daremne.

Stał sztywny i milczący, czując ostry ból, nie znany do tej pory. Potem nastąpiło coś przedziwnego i straszliwego. Podązał za nimi, aż znów namierzył ich spojrzeniem. Rozgniewał się, naprawdę się rozgniewał. Badacie przekleci - mówił im w myślach. - Kara na was za ból, który mi zadajecie! - I proszę! Nagle poczuł coś w głowie, na wysokości czoła, zimny spazm tuż za kością czaszki. Moc wyskoczyła z niego, jakby niewidzialny jezioro. Natychmiast przeniknęła kobiecie najbardziej odstająca od całej grupki i jej ciało zajęło się ogniem.

Przyglądał się temu w osłupieniu, zdając sobie jednak sprawę z tego, co się stało. Przeniknął ją jakaś nacielowana energia. Wzbudził ogień w łatwopalnej krwi, jednakowej u nich obojga. Pożar szalejący obwodami zył przedarł się do szpiku kostnego i rozsądził ciało. Jedna chwila i przestała istnieć.

Bogowie! On tego dokonał! Stał pełen smutku i grozy, wpatrzony w resztki ubrania, szerniałe i splamione tłuszczem. Tylko kosmyki włosów pozostały na kamieniach, a i one splonęły wreszcie w strzykach dymu.

Może się myli. Nie, to z pewnością jego dzieło. Czuli, co czyni. A ona była tak wystraszona!

Ogluszony szedł do domu, zbierając myśli. Z pewnością nigdy wcześniej nie użył tej mocy, nie był nawet jej świadomy. Czyżby zagroziła w nim dopiero teraz, po stuleciach działania krwi, wysuszającej tkanki na cienkie, białe przegródki jak komórki plastra os?

Samotny w swoim mieszkaniu, zapaliwszy świece i kadzidła dla dodania sobie otuchy, znów przeszedł się nozem i przyglądał buchającej krwi. Była gesta i gorąca, migotała w blasku lampy jak żywa. I była żywa!

Przyglądał się w lustrze mrocznemu blaskowi, jaki odzyskał po tygodniach zawziętego polowania i picia. Lekko żółtawe zabarwienie policzków, ślad różowości na wargach. Mniejsza z tym, był jak porzucona skóra weza - martwy, lekki i kruchy, jeśli nie liczyć stale pompowanej krwi. Tej złej krwi. A jego mózg, ach, jego mózg, jak on wygląda? Przezroczysty jak przedmiot z kryształu, zasilany krwią, która parla przez jego drobne komórki? Właśnie tam była ta moc i jej niewidzialny jezor?

Wypróbowywał potem te nowo odkryte energie na zwierzętach; na kotach budzących jego niepojętą nienawiść - były przecież złe - i na szczurach, znienawidzonych przez wszystkich ludzi. Jednak one umierały inaczej niż tamta kobieta. Zabijał owe stworzenia niewidzialnym jezorem energii, ale nie zajmowały się ogniem. Ich mózgi i serca doznawały raczej jakiegoś śmiertelnego udaru, lecz ich krew nie była łatwopalna.

Budziło to w nim lodowatą, dreczącą fascynację.

- Ależ ze mnie obiekt badawczy - szeptał; oczy zasnęły mu nagłymi, nieproszonymi łzami. Peleryny, białe muszki, filmy o wampirach, jakie to miało znaczenie! Kim, do diabła, jestem? - zapytywał sam siebie. Wiecznie podróżującym blaznem bogów, żyjącym od chwili do chwili? Kiedy zobaczył ogromny wabiący plakat Wampira Lestata naigrywający się z niego z witryny sklepu z filmami wideo, odwrócił się i smagnięciem energii rozbil szkło.

Ach, cudownie, cudownie. Dajcie mi lasy, gwiazdy. Tamtej nocy udał się do Delf, gdzie opadł bezszelestnie na ciemną ziemię. Przeszedł po mokrej trawie do miejsca, gdzie niedługo była wyrocznia, do tej ruiny domu boga.

Nie zamierzał opuszczać Aten. Musiał znaleźć tamtych dwóch krwiopijców i powiedzieć im, że załuje, że nigdy, przenigdy nie użyje przeciwko nim tej mocy. Muszą z nim porozmawiać! Muszą z nim być!... Tak.

Kiedy obudził się następnego nocy, szukał ich słuchem. Po godzinie usłyszał, jak wstają z grobów. Ich leżem był dom w Plaka, gdzie mieściła się jedna z tych hałasliwych zadymionych tawern z oknami wychodzącymi na ulicę. Zrozumiał, że za dnia spali w piwnicach, a wieczorami wychodzili przyglądać się śmiertelnym, śpiewającym i tańczącym w tawernie. Lamia, dawne greckie słowo oznaczające wampira, służyło za nazwę tego lokalu, w którym elektryczne gitary grały prymitywną grecką muzykę, młodzi śmiertelni mężczyźni tańczyli ze sobą, krepcac biodrami, uwodzicielscy zupełnie jak kobiety, a retsina lala się strumieniami. Na ścianach wisiały fotosy z filmów o wampirach - Bela Lugosi jako Drakula, biała Gloria Holden jako jego córka - i plakaty z jasnowłosym, niebieskookim Wampirem Lestatem.

Wiec i oni maja poczucie humoru - pomyslal lagodnie. Ale gdy zajrzal do srodka, dostrzegl ich ogluszonych zalem i smutkiem, wpatrzonych w otwarte drzwi. Jakze byli bezradni!

Nie poruszyli sie, gdy ujrzeni go stojacego w progu, na tle rozjarzonych ulicznych swiatel. Co pomysleli, zobaczywszy dluga peleryne? Ze ozyl potwór z plakatów i sprowadza na nich zniszczenie, którego poza nim tak niewielu na ziemi moglo dokonac?

Przybywam w pokoju - informowal ich w myslach. - Chcialbym tylko z wami porozmawiac. Nic nie zdola mnie rozniewac. Przybywam w... milosci.

Wydawali sie sparalizowani. Potem nagle jeden z nich wstal od stolika i obaj wydali spontaniczny i okropny krzyk. Ogień oslepil go, podobnie jak smiertelnych, którzy przepychali sie obok, gnajac jak szaleni na ulice. Krwiopijcy ploneli, umierali, spetani koszmarnym tancem wykrecajacym rece i nogi. Dom tez plonal, krokwie dymily, butelki wybuchaly, pomaranczowe iskry lecialy w niebo.

Czy to on tego dokonal?! Czy sprowadzal na innych smierc, bez wzgledu na to, czy chcial tego czy nie?

Krwawe lzy plynely mu po twarzy na wykrochmalony gors. Podniósł reke, oslaniajac twarz peleryna. Byl to wyraz szacunku dla tego koszmaru, który odbywal sie na jego oczach - dla smierci krwiopijców.

Nie, on nie mógł tego zrobic, nie mógł. Stal bezwolny, potracany przez smiertelnych, którzy spychali go z drogi. Syreny kluly go w uszy. Zamrugal, usilujac cos zobaczyc mimo blyskajacego swiatla.

W przerazliwym przeblysku swiadomosci pojal, ze to nie jego dzieło. Ujrzał te, która byla za to odpowiedzialna! Okryta szara welniana oponcza, prawie niewidoczna w ciemnej uliczce, stala tam, przygladajac mu sie w milczeniu.

Gdy ich spojrzenia sie skrzyzowaly, lagodnie wypowiedziala jego imie:

- Khaymanie, mój Khaymanie!

W glowie otworzyla mu sie pustka. Mial wrazenie, jakby splynelo na niego biale swiatlo wygladzajace wszelkie szczegóły. Przez jeden blogoslawiony moment nie czul nic. Nie slyszal odglosów szalejacego ognia, nie widzial tych, którzy nadal go potracali, wypadajac na ulice.

Stal wpatrzony sie w to cos, w te piekna i delikatna istote, jak zawsze pelna wyjatkowej urody i wdziaku. Ogarnietemu groza, ziemia usunela mu sie spod nóg. Pamietal wszystko - wszystko, co kiedykolwiek widzial, znal lub czym byl.

Wieki otworzily sie przed nim. Milenia cofaly sie i cofaly, do samego poczatku. Pierwsze Plemie - uslyszal w glowie. Wiedzial to wszystko, dygotal, krzyczal. Uslyszal swoje wolanie, pelne oskarzycielskiej pasji i urazy:

- To ty!

Nagle w jednym miazdzacym blasku poczul cala moc jej nagiej sily. Zar uderzyl go w piers. Zatoczyl sie do tylu.

Bogowie, mnie tez zabijesz! - krzyknal do niej w myslach. Ale ona nie mogla tego uslyszec! Zostal cisniety o sciane. Zracy ból zagniezdzil mu sie w glowie.

A mimo to nadal widział, czuł, myślał! Serce bilo mu tak samo równo jak przedtem. Nie plonał!

Wybrawszy odpowiednią chwilę, zebral siły i nagle sparował te niewidzialną energię gwałtownym uderzeniem własnej mocy.

- Ach, znowu wyrządzasz zło, moja władczyni! - wykrzyknął w starożytnym języku. Jakże ludzkie brzmienie miał jego głos!

Jednak to był koniec. Ona przepadła.

A raczej wleciała, uniosła się prosto w górę, dokładnie tak, jak on sam często czynił, i do tego tak szybko, że oko nie mogło tego wysledzić. Tak, czuł, jak się oddalała. Podniósł wzrok i bez wysiłku ją odnalazł - drobna kreska słońca ku zachodowi nad strzepami białych chmur.

Zszokowały go bliskie odgłosy - syreny, trzask zapadających się belek płonącego domu. Krótka wąska uliczka była zatłoczona; ogłuszająca muzyka wciąż dobiegała z innych tawern. Wycofał się, byle dalej od pogorzelniska, lkając, tylko raz obejrzawszy się na siedlisko martwych krwiopijców. Ach, nie potrafił zliczyć, od ilu lat trwała ta wojna.

* * *

Godzinami włóczył się po mrocznych zaułkach.

Ateny ucichły. Ludzie spali za ścianami z drewna. Nawierzchnie ulic lśniły we mgle, gestej jak deszcz. Jego przeszłość przypominała skorupę gigantycznego ślimaka, górującego nad nim niebywałymi zwojami, przyniatającego niewyobrażalnym ciężarem.

Wreszcie udał się na wzgórze, do chłodnej luksusowej tawerny w wielkim nowoczesnym hotelu ze szkła i stali. Ten lokal przypominał jego samego, był biało-czarny, na podłodze sali dancingowej wzór szachownicy, czarne stoliczki, czarne skórzane łozę.

Nie zauważony opadł na ławę w migotliwym mroku i dał upust łzom. Plakał jak głupiec, złożywszy czoło na ramieniu.

Nie doczekał się szalenstwa, nie doczekał się przebaczenia. Wedrował przez stulecia, odwiedzał znane miejsca z czułą, bezmyślną bezpośredniością. Plakał za tymi wszystkimi, których znał i kochał.

Ale największy ból sprawiała mu bezlitosna, dusząca świadomość, że początek, prawdziwy początek nastąpił na długo przed tym dniem, w którym w bezruchu południa spoczął w swoim domu przy Nilu, wiedząc, że tej nocy musi udać się do pałacu.

Było to na rok przed tą chwilą, gdy król rzekł do niego:

- Jedynie dla mej ukochanej królowej zaznam rozkoszy z tymi dwoma kobietami. Pokażę, że nie są czarownicami, których należałoby się bac. A ty uczynisz to w moim imieniu.

Tamta chwila była tak samo realna jak obecna; niespokojny dwór zebrali się i patrzyli; czarnoocy mężczyźni i kobiety w delikatnych płóciennych spódniczkach i kunsztownych czarnych perukach, niektórzy kryjący się za rzezbionymi kolumnami, inni dumnie stojący blisko tronu. Ma przed sobą

rudowłose bliźniaczki, jego piękne niewolnice, które z czasem pokochał. Nie może tego zrobić - mówił sobie w myślach. A jednak zrobił to. Kiedy dwoje czekał, jak czekali król i królowa, nałożył na siebie królewski naszyjnik ze złotym medalionem, by działać w imieniu króla. Zszedł z podwyższenia ku bliźniaczkom, które nie odrywały od niego wzroku, i zżabił jedną i drugą.

Przecież ten ból nie powinien trwać.

Gdyby miał dość siły, wpełzłby do wnętrza ziemi. Jakże pozadał błogosławionej niewiedzy. Idź do Delf, zanurz się w wysokiej, słodko pachnącej zielonej trawie. Zrywaj dzikie kwiatki. Ach, czy otworzą się przed nim, jak przed światłem słońca, jeśli potrzyma je pod lampą?

A z drugiej strony wcale nie pragnął zapomnieć. Coś się zmieniło, coś sprawiło, że ta chwila była inna niż wszystkie. Ona zbudziła się z długiego, kamiennego snu! Na własne oczy widział ją na ateńskiej ulicy! Przeszłość i przyszłość stały się jednym.

Kiedy lzy wyschły, usiadł wygodniej, słuchał, myślał.

Tanczący plasali przed nim na oświetlonym parkiecie. Kobiety posyłały mu uśmiechy. Czy w ich oczach był pięknym porcelanowym pierrotom o białym obliczu z plamami czerwieni na policzkach? Uniósł wzrok ku ekranowi wideo pulsującemu nad salą. Jego myśli nabrały większej mocy, podobnie jak siły fizyczne.

Powoli otarł twarz lnianą chusteczką. Obmył palce w kieliszku z winem, jakby dokonywał konsekracji. Znowu spojrzał na ekran wideo, na którym Wampir Lestat śpiewał swoją tragiczną piosenkę.

Niebieskooki demon z rozwichrzonymi jasnymi włosami, potężnymi ramionami i torsem młodego mężczyzny. Ruchy miał kanciaste, lecz wdzięczne, usta uwodzicielskie, głos pełen starannie modulowanego bólu.

Przez cały ten czas mówiłeś do mnie, prawda? - zapytał bezgłośnie. - Wolales mnie! Wolales jej imię!

Wizerunek na ekranie wpatrywał się w niego, odpowiadał mu śpiewem, choć oczywiście wcale go nie dostrzegał. Ci Których Należy Mieć w Opiece! - myślał. - Mój król i moja królowa. - Niemniej jednak słuchał z pełnym skupieniem każdej sylaby; brzmiały wyraźnie mimo wrzawy trab i warkotu bebnów.

Dopiero kiedy obraz i dźwięk się rozplynęły, wstał i wyszedł z tawerny, kierując się przez chłodne marmurowe korytarze hotelu w mrok na dworzec.

Głosy wołały go, głosy krwiopiczów z całego świata. Głosy zawsze obecne. Mówiły o zbezczeszczeniu, o zjednoczeniu sił, o tym, że trzeba zapobiec jakiegos strasliwej klesce. Matka idzie! - mówiły. Mówiły o snach o bliźniaczkach, snach, których nie rozumiały. A on był głuchy i ślepy na to wszystko!

- Jak wielu rzeczy nie rozumiesz, Lestat - szepnął.

Wreszcie wspiał się na mroczne wzgórze i spojrzał na odległe śródmieście pełne świątyń; ich popękane białe marmury błyszcząły w świetle omdlałych gwiazd.

- Bądź potępiona moja władczyni! - szepnął. - Bądź potępiona w piekle za to, co uczyniłaś nam wszystkim! - Pomysleć, że wciąż blakamy się w tym świecie stali i benzyny, huczących elektronicznych symfonii i milczących sieci komputerowych.

Przypomniał sobie jeszcze jedną klatkę, o wiele silniejszą niż jego własna. Padła w rok po strasznej

chwili, w której zgwałcił tamte dwie kobiety - wyrzeszczano ja na dziedzincu palacu, pod nocnym niebem tak dalekim i obojetnym jak to.

- Wzywam duchy na świadków; oto wiedza o czasach przyszłych, o tym, co będzie, i o tym, czym ja będę! Tyś królowa potępionych! Zło twoim jedynym przeznaczeniem. A w godzinie twojej największej chwały ja cie pokonam. Spójrz na mnie. To ja zetrę cie w proch.

Ile razy w ciągu pierwszych wieków wspominał te słowa? W ilu miejscach na pustyni, w górach i w żyznych dolinach rzek szukał dwóch rudowłosych sióstr? Wśród Beduinów, którzy niegdyś udzielili im schronienia, wśród łowców, którzy nadal odziewają się w skóry, i pomiędzy ludem Jerycha, najstarszego miasta świata. One były już legenda.

A potem nastąpiło błogosławione szalenstwo; utracił wszelką wiedzę, urazę, ból. Był Khaymanem, pełnym miłości do wszystkiego, co widział wokół siebie, istota, która rozumiała słowo „radość”.

Czy to możliwe, że ta godzina nadeszła? Że bliźniaczkom udało się przetrwać, podobnie jak jemu? I z tej wielkiej przyczyny została mu przywrócona pamięć?

Ach, jakże olsniewająca i przytłaczająca jest myśl, że Pierwsze Plemię się zjednoczy, że zagna wreszcie zwycięstwa.

Z gorzkim uśmiechem pomyślał o ludzkim głodzie heroizmu Wampira Lestata. Tak, „mój bracie - odezwał się do niego w wyobraźni - wybac mi moja drwina. Ja też pragnę dobra i chwały, ale wygląda na to, że nie ma przeznaczenia i nie ma odkupienia. To właśnie widzę, kiedy stoję nad tym zbrukanym, starożytnym pejzazem - oczekują nas wszystkich tylko narodziny, śmierć i koszmary.

Po raz ostatni spojrzał na spłazione miasto, pełne brzydoty i trosk nowoczesne skupisko ludzi, w którym był tak zadowolony i zaspokojony, wedrując bez końca od jednego starego grobu do drugiego.

Potem uniósł się w górę i błyskawicznie poszybował nad chmury. Czekala go największa próba tego świętego daru i z uwielbieniem witał nagle poczucie celowości, choćby nawet iluzoryczne. Ruszył w kierunku Wampira Lestata i głosów, które błagalnie domagały się wyjaśnienia snów o bliźniaczkach. Ruszył ku zachodowi, tak jak wcześniej ona.

Peleryna rozwinęła się jak gładkie skrzydła; wspaniale chłodne powietrze opływało go, wywołując nagle wybuch głośniego śmiechu, jakby na krótką chwilę znów był szczęśliwym prostaczkiem.

Rozdział szósty

Opowieść o Jesse, wielkiej rodzinie i Talamasce

a.

Zmarli nie dziela sie.

Chociaz wychylaja sie ku nam

Z grobów (przysiegam,

Ze sie wychylaja), nie podaja

nam swych serc.

Podaja swoje glowy,

te ich czesc, która patrzy uparcie.

Stan Rice „Ich udział” z tomu „Tresc dzieła” (1983)

b.

Okryj jej oblicze; me oczy olsnila; umarla mlodo.

John Webster

c.

TALAMASCA

Badacze nadprzyrodzonego

Trzymamy straz

I zawsze jestesmy obecni.

Londyn Amsterdam Rzym

Jesse jeczala we snie. Byla delikatna kobieta o kreconych rudych wlosach, liczaca sobie trzydziesti piec lat. Lezala zagrzebana gleboko w bezkszaltnym, gubiacy pierze materacu, umieszczonym na drewnianej ramie zwisajacej z sufitu na czterech zardzewialych lancuchach.

Gdzies w rozleglym domu bil zegar. Musi sie obudzic. Dwie godziny zostaly do wystepu Wampira Lestata. Ale w tej chwili nie mogla porzucic blizniaczek.

Zawrotne tempo tej czesci snu bylo niespodziewane i niezrozumiale (chociaz wszystkie sny o blizniaczkach byly tak niejasne, ze dostawalo sie szalu). Jednak na pewno znów znalazly sie w pustynnym królestwie. Otaczala je wroga tluszcz. Jak bardzo sie zmienily, jakze sa blade. Moze ich fosforyzujacy blask byl zludzeniem, lecz zdawalo sie, ze swiecily w zapadajacych ciemnosciach, a ich ruchy byly plynne, jakby spetane tancem. Jedna uciekala w objecia drugiej, ciskano w nie bowiem plonacymi zagwiami; ale oto stalo sie cos zlego, cos bardzo zlego. Jedna z nich byla slepa. Zaciskala mocno powieki, delikatna skórka byla pomarszczona i wpadnieta. Tak, wydlubali jej oczy. A czemu druga wydaje takie straszne dzwieki?

- Uspokój sie, przestan stawiac opór - powiedziala slepa w starozytnym jezyku, który w snach byl zawsze zrozumialy. A druga blizniaczka wydalala okropny gulgoczacy jek. Nie mogla mówic. Ucieta jej jezyk!

Nie chce tego dluzej ogladac, chce sie obudzic. Ale oto zolnierze przepychaja sie przez tłum, moze sie wydarzyc cos straszego; blizniaczki z nagla nieruchomieja. Zolnierze lapia je i prowadza w różne strony.

Nie róbcie tego! Nie wiecie, czym jest dla nich rozdzielenie? Zabierzcie zagwie. Nie palcie ich. Nie palcie ich rudych wlosów.

Slepa wyciagnela rece w kierunku siostry, krzyczy jej imie:

- Mekare!

A Mekare, niema siostra, która nie moze odpowiedziec, wydaje ryk rannej bestii.

Tlum sie rozdziela, robiac miejsce dla dwóch ogromnych kamiennych trumien dzwiganych na wielkich ciezkich marach. Nie wygladzone sarkofagi o wiekach imitujacych ksztalt ludzkich twarzy i cial. Czym blizniaczki sobie zasluzyly, by zamykac je w trumnach? Nie wytrzymam tego! Klada mary na ziemi, doprowadzaja blizniaczki, podnosza wieka. Nie róbcie tego! Slepa walczy, jakby widziala, co sie dzieje, ale ujarzmiaja ja, unosza i wkkladaja do skrzyni. Mekare przyglada sie temu z niema groza, chociaz i ja ciagna do mar. Nie opuszczajcie wieka albo bede krzyczec za Mekare! Za nie obie...

Jesse usiadla z otwartymi oczami. Tak, krzyczala przez sen.

Krzyczala przerazliwie, sama w tym domu, gdzie nie bylo nikogo, kto mógłby ja uslyszec, i gdzie nadal dzwieczalo echo tamtego krzyku. Miekko opadajaca cisza, lekkie skrzypienie lancuchów lózka, spiew ptaków w lesie, w glebokiej puszczy i dziwne przeswiadczenie, ze zegar wybil szóstą, oto bylo wszystko, co slyszala i czula.

Sen rozplywal sie szybko. Rozpaczliwie usilowala go uchwycic, zobaczyc wymykajace sie szczegóły - ubrania tego dziwnego nieznanego ludu, orez zolnierzy, twarze blizniaczek! Ale wszystko juz przepadlo. Pozostal jedynie nastrój chwili i gleboka swiadomosc tego, co sie wydarzylo - a takze pewnosc, ze

Wampir Lestat ma cos wspólnego z tymi snami.

Senna spojrzala na zegarek. Nie zostalo wiele czasu. Chciala byc wsród widzów, kiedy Wampir Lestat wejdzie na estrade; chciala byc w pierwszym rzedzie.

A jednak wahala sie, wpatrzona w biale róże na nocnym stolczku. Za oknem ujrzala niebo poludnia pelne slabego oranzowego swiatla. Siegnela po list lezacy obok kwiatów i przeczytala go kolejny raz.

Kochanie,

dopiero teraz otrzymalam Twój list, znajdowalam sie bowiem daleko od domu i dotarl do mnie z pewnym opóźnieniem. Rozumiem fascynacje, która ta postac, Lestat, w Tobie budzi. Jego muzyke slychac nawet w Rio. Przeczytalam juz ksiazki, które zalaczylas. I wiem o Twoich badaniach tej postaci dla Talamaski. Twoje sny o blizniaczkach musimy omówic osobiscie. Jest to sprawa najwyzszej wagi. Blagam Cie... nie, zabraniam Ci isc na ten koncert. Musisz pozostac na terenie Sonomy, dopóki tam nie przyjade. Wyjade z Brazylia najwczesniej, jak to bedzie mozliwe.

Czekaj na mnie. Kocham Cie

Twoja ciotka Maharet

- Maharet, przykro mi - szepnela. Mysl, ze moglaby nie pojechac, byla nie do przyjecia. Jesli ktos na swiecie to rozumial, to wlasnie Maharet.

Talamasca, dla której przepracowala dwanasie dlugich lat, nigdy nie wybaczylaby jej nieposluszenstwa. Ale Maharet znala powód; sama nim byla! Maharet wybaczy.

Szumialo jej w glowie. Nocne koszmary nie chcialy jej opuscic. Przedmioty stopniowo znikaly w cieniach, a zmierzch nagle zaplonal tak wyraznie, ze nawet zalesione wzgórze odbijaly swiatlo. Róże fosforyzowaly jak biale ciala blizniaczek.

Biale róże... usilowala przypomniec sobie cos, co slyszala o bialych różach. To kwiaty zalobne. Ale nie, Maharet nie moglo o to chodzic.

Jesse ujela jeden z paków i platki natychmiast sie posypaly. Co za slodycz. Przycisnela je do ust i przypomniala sobie niewyrazna scene: Maharet w domu, dawno temu, latem, w oswietlonym swieczkami pokoju lezy na poslaniu z platków róż, wielu, wielu bialych, zółtych i różowych platków, które zebrala i rozsypala na twarzy i szyi.

Czy naprawde to widziala? Tak wiele platków zaplatalo sie w dlugie rude wlosy Maharet. Rude jak wlosy Jesse, jak wlosy blizniaczek - grube, wijace sie, przeblyskujace zlotem.

Byl to jeden z setek kawaleczków wspomnienia, których nigdy nie potrafila zlozyc w calosc. To juz jednak nie mialo znaczenia, co pamietala z sennego zagubionego lata. Wampir Lestat czekal; oto bedzie koniec, jesli nie odpowiedz, zupełnie jak obietnica samej smierci.

Wstała. Ubrała znoszona obszarpana kurtkę, z która nie rozstawiała się w tych dniach, podobnie jak i z meską koszulą i dzinsami. Włożyła zniszczone kowbojki.

Musi opuścić ten pusty dom, który nie zaproszona odwiedziła tego ranka. Odjazd sprawiał jej ból. Ale jeszcze większy ból sprawił jej sam przyjazd.

* * *

O świcie pojawiła się na skraju polany, zdumiona, ale nie zaniepokojona tym, że wszystko jest takie jak przed piętnastu laty: nieregularna budowla wbita w podnóże góry, dach i werandy wsparte na kolumnkach w woalu pysznej, mieniacej się niebiesko winorośli. Wyżej, na wpół ukryte w trawiastym stoku okienka odbijały pierwsze błyski słońca.

Czuła się jak szpieg, gdy wchodziła po frontowych schodach ze starym kluczem w dłoni. Wyglądało na to, że nikt nie był tu od miesiąca. Gdziekolwiek by spojrzeć, kurz i liście.

Tymczasem w kryształowej wazie czekały róże, a do drzwi przybito zaadresowaną do niej kopertę z listem i nowym kluczem.

Godzinami myślała, zwiedzając stare kąt. Nie przeszkadzało jej zmęczenie po całej nocy jazdy samochodem. Musiała przejść przez rozległe, przegniatające ogromem pokoje i zacienione antresole. Nigdy wcześniej dom nie przypominał tak bardzo surowego zamku. Niezwykłych rozmiarów bele podtrzymywały stropy z surowych desek, a nad okrągłymi kamiennymi paleniskami wisiały omszałe, szerniałe od dymu okapy.

Nawet umeblowanie było masywne - blaty stolów z kamieni młynskich, fotele i kanapy z nie wygładzonego drewna zarzucono miękkimi poduszkami, półki na książki i nisze ściennie wylobiono w surowych ścianach z suszonej cegły.

W tym domu był pewien średniowieczny majestat. Szczatki sztuki Majów, etruskie misy i posadzki Hetytów pasowały tu jak ulal pomiędzy głębokimi kasetonami i kamiennymi posadzkami. Było tu jak w fortecy. Było bezpiecznie.

Tylko dzieła Maharet mieniły się rozjarzona tecza barw, jakby zaczerpnięta je z pobliskich drzew i nieba. Wspomnienia w najmniejszym stopniu nie wyolbrzymiły ich urody. Miękkie, grube kilimy na ścianach z wyszytymi swobodnie lesnymi kwiatami i wszedobylska trawa były jak sama ziemia. Niezliczone pikowane poduszki z ciekawymi prymitywnymi rysunkami ludzi i dziwnymi symbolami, a wreszcie gigantyczne makaty - nowoczesne gobeliny zasłaniające ściany dziecinnymi obrazkami wspaniałych chmur i nawet padającego deszczu, pól, strumieni, gór, lasów oraz nieba, na którym jednocześnie widniały słońce i księżyc. Tak przemyślnie zszyto te miriady kawałków materiału, że tworząc do najdrobniejszego szczegółu wodną kaskadę lub opadający liść, miały wibrującą moc prymitywnego malarstwa.

Jesse serce się krajało, kiedy znowu to oglądała.

W południe, głodna i z zawrotami głowy po długiej bezsennej nocy, zdobyła się na odwagę i podniosła

zasuwe tylnych drzwi, prowadzących do ślepych pomieszczeń w środku góry. Bez tchu szła kamiennym pasażem. Serce waliło jej w piersiach, kiedy okazało się, że drzwi do biblioteki nie są zamknięte na klucz; włączyła światło.

Ach, piętnaście lat temu przeżyła tu najszczęśliwsze lato w życiu. Wszystkie późniejsze cudowne przygody, nawet łowienie duchów dla Talamaski, to zero w porównaniu z tamtym czarodziejskim i niezapomnianym okresem.

Siedziała wraz z Maharet w bibliotece, w kominku płonął ogień. Patrzyła na niezliczone tomy, wprawiające ją w zdumienie i zachwyt. Widziała drzewo genealogiczne Wielkiej Rodziny. Maharet nazywała to: „nic, której trzymamy się w labiryncie życia”. Z jaką miłością Maharet zdejmowała książki, otwierała szkatyły ze starymi pergaminowymi zwojami.

Tamtego lata nie umiała przewidzieć skutków wszystkiego, co zobaczyła. Była w stanie łagodnego pomieszania, cudownego zawieszenia praw codziennej rzeczywistości, jakby papirusy, których nie potrafiła odczytać, należały raczej do snu. A przecież była wykształconym archeologiem. Szkoliła się podczas wykopalisk w Egipcie i Jerychu, lecz nie potrafiła odszyfrować tych dziwnych hieroglifów. Na Boga, ile to może mieć lat? - zadawała sobie pytanie.

Po latach usiłowała przypomnieć sobie inne widziane wówczas dokumenty.

Była pewna, że pewnego ranka weszła do biblioteki i znalazła otwarte pomieszczenie w glebi. Długim korytarzem przeszła do nie oświetlonych pokoi. Gdy wreszcie znalazła kontakt, ujrzała wielki magazyn z glinianymi tabliczkami pokrytymi małymi rysunkami! Bez wątplenia trzymała je w dłoniach.

Stało się coś jeszcze; coś, czego nigdy tak naprawdę nie chciała sobie przypomnieć. Czy był tam jeszcze jeden korytarz? Pamiętała z pewnością krecone żelazne schody, które zaprowadziły ją do niższych pokoi o zwykłych glinianych ścianach. Małe żarówki wkrecono w staromodne porcelanowe oprawki. Pociągnęła za lancuszki, włączyła światło.

Z pewnością to zrobiła. Z pewnością otworzyła ciężkie sekwojowe drzwi...

Po latach przypominała sobie drobne migawki - rozległa niska sala z debowymi krzesłami, stołem i ławami jakby z kamienia. I co jeszcze? Coś, co na pierwszy rzut oka wydawało się niesłychanie znajome. I wtedy...

Później, noca potrafiła sobie przypomnieć tylko schody. Nagle wybiła dziesiąta, właśnie się obudziła, a Maharet, stojąca w nogach łóżka, podeszła i pocałowała ją. Ten cudowny, gorący pocałunek wzbudził w niej łagodne pulsowanie. Maharet powiedziała, że znaleźli ją śpiącą na polanie przy górskim strumyku i o zachodzie słońca przynieśli do domu.

Przy strumyku? Miesiące potem „pamiętała”, że tam zasnęła. Prawde mówiąc, zachowała całkiem bogate „wspomnienia” znieruchomiałego lasu i wody szemrzacej na kamieniach. Ale to był fałszywy obraz, teraz wiedziała na pewno.

Jednak tego dnia, piętnaście lat później, nie miała żadnych dowodów na to, które z tamtych niejasnych wspomnień były prawdziwe. Zamknęła przed nią pokoje. Nawet gładkie tomy rodzinnej historii spoczyły pod kluczem w szklanych gablotach, których nie śmiała otworzyć.

Nigdy nie potrafiła do końca uwierzyć w to, co sobie przypominała. Tak, były gliniane tabliczki pokryte wyłącznie prymitywnymi rysunkami osób, drzew, zwierząt. Oglądała je, zdejmowała z półek i podnosiła

ku słabemu światłu. Tak, były schody, sala, która ją przstraszyła, nie, przeraziła, tak... były.

Lecz tamtego ciepłego lata był tu i raj, dni i noce przegadane, przetanczone wraz z Maelem i Maharet. Późniejszy ból, niepojęta decyzja Maharet, odesłanie do Nowego Jorku i absolutny zakaz powrotu odeszły w zapomnienie.

Moja kochana,

tak naprawdę to za bardzo Ciebie Kocham. Jeśli się nie rozdzielimy, moje życie pochłonie Twoje. Musisz mieć wolność, Jesse, żeby układać własne plany, mieć własne ambicje, marzenia...

Powróciła nie po to, by zatrzeć dawny ból, ale by znowu, przez krótką chwilę, przeżyć dawną radość.

* * *

Po południu zwalczyła znużenie, wreszcie opuściła dom i poszła długą ścieżką między debami. Jak łatwo znaleźć dawny szlak wśród sekwoi, polane w otoczeniu paproci, koniczyny na stromych brzegach płytkiego wartkiego strumyka.

Kiedys Maharet przyprowadziła ją tu po zmroku; dotarły kamienna ścieżka aż do brzegu. Dołączył do nich Mael. Maharet nalala Jesse wina i śpiewali razem piosenkę, której Jesse nigdy potem nie potrafił sobie przypomnieć, chociaż od czasu do czasu uświadamiała sobie, że z niewytłumaczalną dokładnością nuci tę niesamowitą melodię, a kiedy przerywa, zaskoczona tym, co robi, nie potrafi już znaleźć właściwych nut.

Mogłaby zasnąć nieopodal strumyka, w głębokim chaosie lesnych odgłosów, podobnie jak w tamtym „wspomnieniu” sprzed wielu lat.

Jakże oslepiająca była jasna zielen klonów, lowiaca rzadkie groty światła. I jak monstrualne wydają się sekwoje w tym niezmaconym spokoju. Mamucie, obojętne, sięgają na wiele dziesiątków metrów w górę, gdzie chłodne koronkowe igły kresła na niebie postrzępioną linię.

Wiedziała, ile będzie ją kosztować dzisiejszy koncert z wrzeszczącymi fanami Lestata. Ale lekła się, że sen o bliźniaczkach powróci.

* * *

Wreszcie powróciła do domu, by zabrać ze sobą róże i list. Odnalazła swój dawny pokój. Była trzecia. Kto nakrecał zegary w tym domu? Bała się snu o bliźniaczkach, czuła się zbyt zmęczona, aby dalej walczyć. Nie było tu żadnych upiórów, spotykanych przez nią tyle razy podczas pracy. Jedynie spokój. Położyła się w starym wiszącym łożu, na koldrze, która sama z taką starannością uszyła przy pomocy Maharet tamtego lata. A sen - i bliźniaczki - przyszli razem.

* * *

Miała dwie godziny na dojazd do San Francisco i znowu musiała opuścić ten dom, być może we łzach. Przejrzała kieszenie. Paszport, dokumenty, pieniądze, klucze.

Zarzuciła na ramię skórzana torbę i spieszenie ruszyła długim korytarzem ku schodom. Zmierzch zapadł szybko, a kiedy noc okryje las, widoczność zmaleje do zera.

Kiedy dotarła do głównego holu, było tam trochę światła. Kilka długich promieni słonecznych wpadało przez zachodnie okna i biegnąc w tunelach kurzu, oświetlało gigantyczną makatę na ścianie.

Jesse zapałło dech, kiedy na nią popatrzyła. Był to jej ulubiony gobelin ze względu na swoją złożoność i ogrom. Początkowo wydawało się, że to wielka masa przypadkowych skrawków drukowanego perkalu i lat - po czym stopniowo z mnóstwa kawalczków wylaniał się zalesiony pejzaz. W jednej chwili widziałas go, w następnej znikał. Tak właśnie było tamtego lata, kiedy pijana winem chodziła przed makatą tam i z powrotem, tracąc z oczu wzór, a potem go odnajdując; góra, las, wioseczka wtulona w zieloną dolinę poniżej.

- Wybacz mi, Maharet - szepnęła cicho. Musiała odejść. Jej podróż dobiegła końca.

Lecz właśnie kiedy odwracała wzrok, pewien szczegół na zszywanym wizerunku zwrócił jej uwagę. Znowu uważnie na niego spojrzała. Czy były tam figurki, których nie widziała wcześniej? Znowu miała przed sobą mrowie fragmentów. Potem z wolna wylonilo się zbocze góry, następnie drzewa oliwkowe, a wreszcie dachy wioski, żółte niepozorne chaty rozrzucone w gładkim zagłębieniu doliny. Figurki? Nie potrafiła ich odnaleźć. Do chwili, w której znowu odwróciła głowę. Przez ulamek sekundy dostrzegła je kątem oka. Dwie drobne figurki trzymające się za ręce, rudowłose kobiety!

Powoli, niemal ostrożnie, wróciła wzrokiem do makaty. Serce skakało jej w piersiach. Tak, są. Ale może to złudzenie?

Przeciela pokój, znalazła się bezpośrednio przed dziełem Maharet. Dotknęła go. Tak! Każda ze szmacianych laleczek miała parę zielonych guziczków imitujących oczy, starannie przyszyty nos i czerwone usta! A włosy, włosy były z czerwonej przedzi ułożonej w ostre fale i delikatnie naszytej nad białymi ramionami.

Wpatrywała się, nie dowierzając własnym oczom. Blizniaczki tam były! Gdy stała tak, sparalizowana, pokój pograżył się w mroku. Ostatki światła skryły się za linią horyzontu. Makata rozplywała się w nieczytelna plama.

Usłyszała zegar wybijający kwadrans. Zadzwon do Talamaski. Zadzwon do Dawida w Londynie. Opowiedz im cześć, jakakolwiek... Ale to było niemożliwe, wiedziała o tym. I ze złamanym sercem zdążyła sobie sprawę, że bez względu na to, co spotka ją dziś wieczór, Talamasca nigdy nie dowie się o wszystkim.

Zmusiła się do wyjścia, zamknęła drzwi na klucz i pokonawszy głęboką werandę, ruszyła długim szlakiem w dół.

Nie do końca rozumiała, co się z nią dzieje, dlaczego jest tak wstrząsnięta i czemu musi powstrzymać łzy. Potwierdziły się podejrzenia i wszystkie domniemania. Była wystraszona. Łzy płynęły wbrew jej woli.

Zaczekaj na Maharet - usłyszała w głowie ostrzegawczy głos.

Nie mogła czekać. Maharet omamila ją, zbliła z tropu, w imię miłości odwiadła od tajemnicy. Tak właśnie było tamtego lata, dawno temu. Wampir Lestat nie krył niczego. Wampir Lestat był najważniejszym elementem układanki. Zobaczyc go i dotknąć oznaczało potwierdzić wszystkie domysły.

Czerwony mercedes roadster zapalił natychmiast. Cofnęła się w bryzgach zwiru, zawróciła i ruszyła w kierunku wąskiej polnej drogi. Kabriolet był otwarty; zanim dojedzie do San Francisco, będzie skostniała z zimna, ale to nieważne. Uwielbiała czuć powiew zimnego powietrza na twarzy, szybka jazda.

Droga od razu pograżyła się w lesnym mroku, którego nie przenikał nawet wschodzący księżyc. Jechała szesdziesiątka, z łatwością pokonując ostre zakrety. Nagle smutek zaciążył jej jeszcze bardziej, ale obyło się bez łez. Wampir Lestat... był prawie tuż.

Dojechawszy wreszcie do drogi powiatowej, przekroczyła dozwoloną prędkość i śpiewała, prawie nie słysząc słów w gwizdzie wiatru. Kiedy przemknęła przez słiczne miasteczko Santa Rosa i wpadła w szybki prad drogi nr 101, zapanowała całkowita ciemność.

Napływała przybrzeżna mgła. Ciemne wzgórza na wschodzie i zachodzie wyglądały upiornie, potok światła pozycyjnych wyznaczał jednak rozjaśniony szlak. Rosło w niej podniecenie. Jeszcze godzina jazdy do Golden Gate. Smutek ustępował. Przez całe życie była pewnym siebie dzieckiem szczęścia, czasem niecierpliwym, gdy miała do czynienia z ludźmi wykazującymi nadmiar ostrożności. I mimo że tej nocy miała uczucie nieuchronności losu, wyraźnego niebezpieczeństwa, ku któremu się zbliżała, uznała, iż jej niezwykle szczęście zostanie z nią nadal. Nie bała się ani trochę.

* * *

Uważała, że szczęście towarzyszy jej od narodzin, kiedy to jej siedemnastoletnia ciężarna matka zginęła w wypadku, a ją znaleziono przy drodze - ofiarę spontanicznej aborcji, wrzeszczące wniebogłosy niemowlę oczyszczające małe płuca w chwili przyjazdu karetki pogotowia.

Przez dwa tygodnie leniuchowania w szpitalu nie miała imienia, skazana na sterylność i chłód maszyn; ale pielęgniarki uwielbiały ją, nazywając „jaskółeczka”, gładząc po główce i śpiewając, kiedy się tylko dało.

Lata później miały do niej napisać, dołączając zrobione wtedy zdjęcia i przekazując opowiadki, które w ogromnym stopniu wzmocniły w niej poczucie, że miłość otaczała ją dosłownie od przyjscia na świat.

To właśnie Maharet wreszcie zjawiała się, by ją zabrać. Przedstawiła się jako jedyny żyjący członek rodziny Reevesów z Karoliny Południowej i zabrała ze sobą do Nowego Jorku. Wychowywała się z kuzynami o innym nazwisku i pochodzeniu. Przyszło jej dorastać w wytwornym dwukondygnacyjnym mieszkaniu przy Lexington Avenue z Marią i Matthew Godwinami, którzy obdarzyli ją nie tylko miłością, ale wręcz wszystkim, czego mogła zapragnąć. Angielska bona spała w jej pokoju, dopóki Jesse nie ukończyła jedenastu lat.

Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy dowiedziała się o tym, że to ciotka Maharet zawdzięcza swobodę w wyborze college'u i kariery zawodowej. Matthew Godwin był lekarzem, Maria niegdyś tańczyła i nauczycielką; nie ukrywali swojego przywiązania i zaufania do Jesse. Uznali ją za córkę, której zawsze pragnęli, i były to bogate, a także szczęśliwe lata.

Listy od Maharet zaczęły przychodzić, gdy Jesse była jeszcze zbyt mała, aby je przeczytać. Były cudowne, często pełne kolorowych pocztówek i dziwnych monet z krajów, w których Maharet mieszkała. Jesse miała pełną szufladę rupii i lirów, zanim osiągnęła siedemnasty rok życia. A co ważniejsze, miała w Maharet przyjaciela, który odpowiadał na każdą napisaną linijkę z uczuciem i opiekunczością.

To właśnie Maharet podsuwała jej lektury, zachęcała do lekcji muzyki i malarstwa, zaaranżowała podróże po Europie i wreszcie namówiła do nauki w Columbia University, gdzie Jesse studiowała dawne języki i sztukę.

To Maharet zaaranżowała jej bożonarodzeniowe wizyty u europejskich kuzynów - Scartinów we Włoszech, potężnej bankierskiej rodziny zamieszkującej wille na obrzeżu Sieny, i skromniejszych Borchardtów w Paryżu, którzy przyjęli ją serdecznie w swoim zatłoczonym, ale radosnym domu.

Tego lata, gdy Jesse zaczęła siedemnasty rok, pojechała do Wiednia, by poznać rosyjską emigracyjną galaz rodziny, młodych natchnionych intelektualistów i muzyków, których ogromnie polubiła. A potem była podróż do Anglii i znajomość z Reevesami, bezpośrednio związanymi z tymi Reevesami z Karoliny Południowej, którzy przed wiekami wyjechali z Anglii.

Kiedy miała osiemnaste lat, złożyła wizytę kuzynom Petralona w ich willi na Santorini. Ci bogaci i egzotycznie wyglądający Grecy, żyjący w feudalnym przepychu i otoczeni wiesniaczą służbą, pod wpływem chwilowego impulsu zabrali Jesse w podróż jachtem do Stambułu, Aleksandrii i na Krete.

Jesse niemalże straciła głowę dla młodego Constantina Petralona. Maharet dała jej znać, że jeśli zapragną się pobrać, otrzymają błogosławieństwo wszystkich, ale decyzję musi podjąć sama. Jesse ucałowała przystojnego kochanka i odleciała z powrotem do Ameryki, studiować i przygotowywać się do pierwszej wyprawy archeologicznej do Iraku.

Nawet podczas nauki w college'u utrzymywała stałe więzi z rodziną. Wszyscy byli dla niej tak dobrzy; lecz trzeba też dodać, że wszyscy byli dobrzy dla wszystkich, ponieważ wierzyli w więzi rodzinne. Wzajemne wizyty były na porządku dziennym; częste małżeństwa w obrębie rodziny stwarzały niezliczone koligacje; w każdym domu były przygotowane pokoje dla krewnych, którzy mogli wpaść niezapowiedziani. Rodzinne drzewa genealogiczne wydawały się sięgać w bezkresną przeszłość; krazyły zabawne opowiadania o sławnych krewnych nie żyjących od trzystu lub czterystu lat. Jesse czuła ogromne przywiązanie do tych ludzi.

W Rzymie była czarowana przez kuzynów, którzy wozili ją na złamanie karku łsniacymi ferrari, puszczając na cały regulator radio i dostarczając nocą do uroczego starego *palazzo* bez kanalizacji, ale z dziurawym dachem. Żydowski kuzyn w południowej Kalifornii był oszalamiającą bandą muzyków, projektantów mody i producentów, od pięćdziesięciu lat związana na przeróżne sposoby z przemysłem filmowym i wielkimi studiami. Ich stary dom przy Hollywood Boulevard był przystankiem dla całego zastępu bezrobotnych aktorów. Jesse miała tam dla siebie przestronny strych; kolacje serwowano o szóstej bez względu na to, czy za stołem siadała jedna osoba czy cały tłum.

Ale kim była ta Maharet, ów odległy, niemniej jednak zawsze uważny mentor, prowadzący ją przez lata uniwersyteckie, przysyłający częste i madre listy, podsuwający osobiste rady, skrzetnie wykorzystywane przez Jesse i bardzo przez nią upragnione, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała?

Maharet była stale obecna w życiu wszystkich kuzynów., poznanych przez Jesse, chociaż wizyty „najdroższej ciotki” były równie rzadkie, co znaczące. Była strażnikiem archiwów Wielkiej Rodziny, to jest wszystkich krewnych, wielu różnych nazwisk rozsianych po całym świecie. To właśnie ona często

doprowadzala do rodzinnych zjazdów, nawet aranżowała małżeństwa, by jednoczyć różne galezie, i to ona nieodmiennie była pomocą w trudnych okresach, nieoceniona w sprawach życia i śmierci.

Przed Maharet była jej matka, teraz nazywana „stara Maharet”, a przed tamta był babcia Maharet i tak dalej i dalej, jak sięgała ludzka pamięć. „Zawsze będzie jakaś Maharet”, brzmiało rodzinne powiedzenie, powtarzane z równym przekonaniem po niemiecku, rosyjsku, a także w jidysz czy po grecku. Znaczyło to, że jeden potomek płci żeńskiej w każdym pokoleniu przyjmuje owo imię i obowiązki strażnika-archiwisty. Tak się przynajmniej wydawało, gdyż oprócz samej Maharet nikt nie znał szczegółów.

„Kiedy Cie zobaczę?” - pisała wielokrotnie Jesse w ciągu tamtych lat. Zbierała znaczki z Delhi, Rio, Mexico City, Bangkoku, Tokio, Limy, Sajgonu i Moskwy.

Cała rodzina była przywiązana do tej kobiety i zafascynowana nią, ale w przypadku Jesse wchodziła w grę pewna tajemnica oraz potężna wieź.

Od najwcześniejszych lat Jesse miała niezwykle doznania, nieporównywalne z przeżyciami pospolitych ludzi.

Na przykład rozpoznawała z grubszą ludzką myślą. „Wiedziała”, w kim budzi niechęć lub kto ją okłamuje. Miała zdolności językowe, często rozumiała sens wypowiedzi, nawet jeśli nie rozumiała znaczenia poszczególnych wyrazów.

A ponadto widziała zjawy ludzi i budynków.

Kiedy była bardzo mała, często dostrzegała ze swojego okna na Manhattanie niewyraźny szary zarys eleganckiej miejskiej rezydencji. Wiedziała, że budynek nie jest rzeczywisty, i początkowo zjawa budziła w niej śmiech - czasami przezroczyście, czasami solidna jak sama ulica, ze światłami padającymi zza koronkowych zasłon. Minęły lata, zanim dowiedziała się, że fantom był wizerunkiem domu architekta Stanforda White'a. Rezydencje zrównano z ziemią dziesiątki lat temu.

Zjawy ludzi miały bardziej zwiewne kształty, a pojawienie się tych migotliwych istot często było jakby wyrazem niewytłumaczalnego dyskomfortu odczuwanego przez nią w danym miejscu.

Jednakże w miarę jak dorastała, wizje stawały się lepiej widoczne i trwalsze. Pewnego deszczowego wieczoru przeswiecająca postać staruszki zbliżyła się do Jesse spokojnym krokiem, aby w końcu przejść przez nią na wylot. Rozhisteryzowana Jesse popędziła do najbliższego sklepu i sprzedawcy zadzwonili po Matthew i Marie. Jesse w kółko powtarzała, że widziała udrecona twarz kobiety i jej zalzawione oczy, które wydawały się nie dostrzegać prawdziwego świata.

Kiedy opisywała te zjawiska, przyjaciele często nie dawali jej wiary. Byli jednak zafascynowani i błagali ją o dalsze historyjki. To budziło nieprzyjemne uczucie bezradności, więc zaczęła unikać podobnych zwierzeń, chociaż nie przekroczyła jeszcze dwunastego roku życia, a napotykała te zagubione dusze coraz częściej.

Dostrzegała blade, niespokojne kreatury nawet w środku dnia, idąc tłumna Fifth Avenue. A potem, kiedy miała szesnaste lat, któregoś ranka zobaczyła w Central Parku wyraźną zjawę młodego człowieka siedzącego nieopodal na ławce. Park był pełen ludzi, ale tamta postać wydawała się oderwana od wszystkiego, nie należała do otoczenia. Dźwięki wokół Jesse zaczęły rzednąć, jakby wchłaniane przez coś. Modliła się, żeby sobie poszło. Ale zamiast wysłuchać jej błagan, odwróciło się, zatrzymało na niej swój wzrok i próbowało się do niej odezwąć.

Jesse rzuciła się do ucieczki i biegła bez wytchnienia aż do samego domu. Dala się ponieść panice.

- Od tej pory one będą mnie rozpoznawać - oświadczyła Matthew i Marii. Bala się wyjść z mieszkania. Wreszcie Matthew dał jej środek uspokajający i powiedział, że to pozwoli jej zasnąć. Zostawił drzwi otwarte, żeby się nie bala.

Kiedy leżała tak, zawieszona między snem a jawą, do pokoju weszła jakaś dziewczyna. Jesse zdała sobie sprawę, że ją zna; oczywiście, jako członek rodziny zawsze tu przebywała, tuż przy Jesse, wiele rozmawiali i nic w tym dziwnego, że okazała się taka słodka, kochana, tak znajoma. Była dopiero nastolatka, nie starsza niż Jesse.

Usiadła na łóżku Jesse i powiedziała jej, że nie powinna się denerwować, ponieważ duchy nigdy by jej nie skrzywdziły. Żaden duch nigdy nikomu nie zrobił krzywdy. Nie mają takiej mocy. To biedne, żalodne stworzenia.

- Napisz do ciotki Maharet - powiedziała, pocałowała Jesse i zgarnęła jej włosy z twarzy. Tymczasem środek uspokajający zaczął działać. Oczywiście Jesse same się zamykały. Chciała spytać o katastrofę samochodową, podczas której się urodziła, ale nie potrafiła zebrać myśli.

- Do widzenia, skarbie - powiedziała dziewczyna i Jesse zasnęła, zanim tamta wyszła z pokoju.

Kiedy się obudziła, była druga w nocy. W mieszkaniu nie świeciło się żadne światło. Natychmiast zaczęła list do Maharet, opisując wszystkie dziwne zdarzenia, które pamiętała.

Dopiero w porze kolacji pomyślała o dziewczynie i aż drgnęła. To niemożliwe, żeby ktoś taki tu mieszkał, wszystko wiedział i był zawsze obecny. Jak mogła uznać to za normalne? A przecież nawet w liście pisała: „Oczywiście, Miriam była tu i powiedziała...” Kim była Miriam? To imię widniało na świadectwie urodzenia Jesse. To mama.

Jesse nie opowiedziała nikomu, co się stało. Ogarnęło ją jednak przytulne ciepło. Czuliła Miriam przy sobie, była pewna jej obecności.

List Maharet przyszedł pięć dni później. Maharet uwierzyła jej. Te zjawy nie były niczym zaskakującym. Niewątpliwie takie stworzenia istniały i nie tylko Jesse je widywała.

* * *

W naszej rodzinie od pokoleń różne osoby widziały duchy. Jak wiesz, mówiono, że są to czarownice i czarownice. Często z wyglądu przypominali Ciebie: zielone oczy, blada skóra, rude włosy. Te geny chyba podróżują razem. Może pewnego dnia nauka nam to wyjaśni, lecz niezależnie od tego możesz być pewna, że Twoje moce są całkowicie naturalne.

Jednakże nie znaczy to, że zjawy działają pozytywnie. To, że są prawdziwe, nie ma większego znaczenia! Potrafią być mściwe i złośliwe. Z pewnością nie pomożesz bytom, które próbują się z Tobą skontaktować; czasami są to jedynie pozbawione energii życiowej zjawy - widzialne echa osobowości, których już nie ma.

Nie lekaj się ich, ale nie pozwól im marnotrawić swojego czasu, kiedy bowiem odkryją, że ktoś je

widzi, narzucają się bez opamiętania. Co do Miriam, to musisz mnie zawiadomić, jeśli znów ją spotkasz. Jednakże ponieważ spełniłaś jej wskazówkę i napisałaś do mnie, nie sądzę, żeby miała potrzebę wracać. Jest wielce prawdopodobne, że wyrasta ponad smutne zarty tych, których widzisz najczęściej. Pisz do mnie o tych istotach, kiedy tylko Cię wystrasza. Unikaj jednak opowieści o nich. Ci, którzy nie widzą, nigdy Ci nie uwierzą.

* * *

Ten list wyświadczył Jesse nieocenioną przysługę. Przez lata nosiła go wszędzie ze sobą, w torebce lub w kieszeni. Maharet nie tylko dała jej wiarę, ale znalazła sposób, jak zrozumieć te kłopotliwe siły i zachować wewnętrzny spokój. Wszystko, co napisała, miało sens.

Zdarzało się później, że duchy ją straszyły i prawdę powiedziawszy, zwierzała się z tego w sekrecie najbliższemu przyjacielom. Ale ogólnie biorąc, trzymała się zaleceń Maharet i owe siły przestały się jej narzucać, jakby przeszły w stan uspienia. Zapomniała o nich na długi czas.

Listy Maharet nadchodziły z coraz większą częstotliwością. Maharet była jej powierniczką i najlepszą przyjaciółką. Kiedy Jesse zaczęła naukę w college'u, musiała przyznać, że chociaż Maharet kontaktowała się z nią tylko listownie, to była bardziej obecna w jej życiu niż ktokolwiek inny. Ale już dawno temu pogodziła się z tym, że mogą się nigdy więcej nie spotkać.

Pewnego wieczoru, kiedy była na trzecim roku, po powrocie do swojego mieszkania zastała zapalone światła, ogień na kominku i wysoka, chuda, rudowłosa kobieta stojąca z pogrzebaczem w dłoni.

Co za piękność! Takie było pierwsze wrażenie Jesse. Umiejętnie przypudrowana i umalowana twarz wyglądała jak orientalna maska, gdyby nie nadzwyczajny blask zielonych oczu i gestych, rudych kędziorów opadających na ramiona.

- Kochanie - powiedziała. - Jestem Maharet.

Jesse rzuciła się jej w ramiona. Ale Maharet powstrzymała ją łagodnie, przyglądając się jej przez chwilę. A potem okryła ją pocałunkami, jakby nie śmiała jej dotknąć w inny sposób, urekawionymi dłońmi ledwo muskając ramiona Jesse. To była cudowna, przesycona czułością chwila. Jesse pogłaskała miękkie, grube włosy Maharet, tak rude jak jej własne.

- Jesteś moim dzieckiem - szepnęła Maharet. - Spełniłaś wszystkie marzenia, jakie z tobą wiązałam. Czy wiesz, jaka jestem szczęśliwa?

Tamtej nocy Maharet wydawała się lodem i ogniem. Niesłychanie silna, a jednocześnie nieodparcie ciepła. Szczupła, niemniej jednak posagowa istota o talii osy ubrana w faldzista suknie miała w sobie wyrafinowanie i tajemniczość gwiazdy, niesamowity czar kobiety, która stworzyła z siebie żywą rzeźbę; jej długa peleryna z brązowej wełny falowała z płynną gracją, kiedy obie wyszły na spacer. A mimo to porozumiewały się z niewyszukaną swobodą.

Spędziły długą noc w mieście; odwiedziły galerie, teatr, a potem poszły na późną kolację, chociaż Maharet nie chciała nic jeść. Chciała tylko słuchać wszystkiego, co Jesse miała jej do powiedzenia. I Jesse mówiła bez końca o wszystkim - o uczelni, o pracach archeologicznych, o wymarzonych wykopaliskach w Mezopotamii.

Jakże to było inne od intymności listów. Przespacerowały się nawet po Central Parku mimo absolutnej ciemności. Maharet mówiła Jesse, że nie ma najmniejszego powodu do obaw. I wtedy wydawało się to całkowicie normalne, prawda? I tak piękne, jakby szły ścieżkami jakiegos zaczarowanego lasu, nie lekając się niczego, podniecone, rozmawiając sciszonymi głosami. Jak bosko było czuć się bezpiecznie! Przed switem Maharet pożegnała Jesse w pobliżu jej mieszkania, obiecując zaprosić ją niebawem do siebie do Kalifornii. Miała dom w górach Sonoma.

Ale minęły dwa lata, nim zaproszenie nadeszło. Jesse właśnie skończyła magisterium. Miała zaplanowane na lipiec prace wykopaliskowe w Libanie.

„Musisz przyjechać na dwa tygodnie”, napisała Maharet. Dołączyła bilet lotniczy. Mael, „drogi przyjaciel”, zabierze ją z lotniska.

* * *

Chociaż Jesse nie nazywała wtedy rzeczy po imieniu, nawet w myślach, od początku działały się dziwne rzeczy.

Weźmy choćby Maela, mężczyźne wysokiego jak góra, o długich, kreconych blond włosach i głęboko osadzonych błękitnych oczach. W jego ruchach, brzmieniu głosu i precyzji, z jaką kierował samochodem, było coś wręcz niesamowitego. Nosił ubrania i buty z surowej skóry, odpowiednie raczej dla ranczera, a do tego szykowne czarne rekawiczki z miękkiej skóry i wielkie okulary z niebieskimi szklami w złotych oprawkach.

A równocześnie był taki wesóły, tak ucieszony jej obecnością, że natychmiast go polubiła. Nie dotarli jeszcze do Santa Rosa, a opowiedziała mu cały swój życiorys. Miał najbardziej uroczy śmiech na świecie. Jednak kiedy Jesse przyjrzała mu się raz czy dwa, ogarnęły ją autentyczne zawroty głowy. Dlaczego?

Sama posiadłość była niesamowita, jak warownia. Kto mógł zbudować taki dom? Zaczniemy od tego, że stał na końcu uroczej polnej drogi; pomieszczenia w glebi wydrążono w skale, prawdopodobnie potężnymi maszynami. No i te bele stropowe. Czy były z pierwotnych sekwoi? Musiały mieć po cztery metry w obwodzie. A ściany z glinianej cegły? Pewnie były wiekowe. Czy to możliwe, że Europejczycy znaleźli się w Kalifornii tak dawno temu, że... ale jakie to miało znaczenie? Dom był wspaniały. Uwielbiała okrągłe żelazne paleniska, zwierzece skóry na podłodze, wielką bibliotekę i prymitywne obserwatorium ze staroswieckim mosiężnym teleskopem.

Uwielbiała serdeczną służbę przychodzącą codziennie rano z Santa Rosa, by sprzątać, prac i przygotowywać obfite posiłki. Nie przeszkadzało jej nawet to, że tak często była sama. Uwielbiała spacerować po lesie. Chodziła do Santa Rosa po książki i gazety. Oglądała makaty wiszące na ścianach. Znajdowała antyczne artefakty, których nie potrafiła rozpoznać; przyglądała się temu wszystkiemu z zachwytem.

Warownia miała wszelkie wygody. Anteny z czubka góry transmitowały przekazy z całego świata. Było całe podziemne kino, wyposażone w projektor, ekran i nieprzebrany zbiór taśm. W ciepłe popołudnia pływała w stawie, a kiedy zapadał zmierzch, sprowadzający nieunikniony północnokaliifornijski chłód, w kominkach wysoko strzelały płomienie.

Oczywiście najwspanialszym odkryciem okazała się historia rodziny, niezliczone oprawy w skórze

tomiska opisujące wszystkie odgalezenia Wielkiej Rodziny na przestrzeni stuleci. Z entuzjazmem wynajdywała setki albumów ze zdjęciami i kufry pełne portretów, czasem owalnych miniatur, kiedy indziej wielkich płócien, teraz pokrytych kurzem.

Natychmiast pochłonęła historie Reevesów z Karoliny Południowej, jej najbliższych krewnych - bogatych przed wojną secesyjną i zrujnowanych potem. Prawie się popłakała, oglądając ich fotografie. Oto wreszcie byli przodkowie, do których naprawdę była podobna; widziała swoje odbicie w ich twarzach. Mieli jej bladą skórę, nawet jej mimikę! A dwoje z nich miało jej kędzierzawe rude włosy. Dla Jesse, adoptowanego dziecka, była to sprawa o nadzwyczajnym znaczeniu.

Dopiero pod koniec pobytu, kiedy odkryła zwoje ze starożytną łaciną, greką i wreszcie egipskimi hieroglifami, zaczęła zdawać sobie sprawę z wagi rodzinnego archiwum. Odkrycie glinianych tabliczek w piwnicy zostało zaprzepaszczone, lecz wspomnienie rozmów z Maharet nigdy się nie zatarło. Godzinami rozmawiały o kronikach rodzinnych.

Jesse błagała, by pozwolono jej zająć się w fachowy sposób historią rodziny. Zrezygnuje ze studiów dla tej biblioteki. Chciała przetłumaczyć stare zapiski i wprowadzić dane do komputera. Czemu nie opublikować opowieści o Wielkiej Rodzinie? Tak długa genealogia była z pewnością czymś niezwykłym, jeśli nie absolutnie wyjątkowym. Nawet koronowane głowy nie potrafiły wykazać się pochodzeniem sięgającym wczesnego średniowiecza.

Maharet ze spokojem traktowała entuzjazm Jesse, przypominając jej, że to czasochłonna i niewdzięczna praca. W gruncie rzeczy jest to tylko historia jednej rodziny; czasami zaledwie listy nazwisk i imion, krótkie opisy bezbarwnych żywotów, karteluski z datami urodzin i śmierci, informacje o zmianie miejsca zamieszkania.

Dobrze się wspominało te rozmowy i miękkie, łagodne światło biblioteki, cudowny zapach starej skóry i pergaminu, świec i płonącego drewna. Maharet przy kominku, urocza modelka zasłaniająca bladezielone oczy wielkimi, lekko barwionymi szklami, ostrzegała Jesse, że ta praca może ją pochłonąć, uniemożliwić coś lepszego. Liczyła się sama Wielka Rodzina, nie jej archiwum, liczyła się witalność każdego pokolenia, wiedza i miłość wobec bliskich. Archiwum to tylko środek do celu.

Jesse pragnęła tej pracy jak niczego do tej pory. Przecież Maharet na pewno pozwoli jej tu zostać! Była gotowa spędzić lata w tej bibliotece, by wreszcie odkryć pochodzenie rodziny!

Dopiero potem dostrzegła, że kryje się w tym wszystkim niejedna zdumiewająca tajemnica. Dopiero potem mnóstwo drobiazgów zaczęło dreczyć ją z całą mocą.

* * *

Na przykład, Maharet i Mael nigdy nie zjawiali się przed zmierzchem, a wyjaśnienie, że śpią cały dzień, nie było żadnym wyjaśnieniem. Gdzie śpią? - to następne pytanie. Ich pokoje przez cały dzień stały puste, szafy ściennie pekały od egzotycznych i niezwykłych ubrań. O zachodzie słońca wyrastali jak spod ziemi. Gdy Jesse podnosiła wzrok, Maharet stała przy palenisku, jej makijaż był staranny i bez skazy, ubiór przykuwający uwagę, klejnoty w uszach i na szyi migocące w złamanym świetle. Mael odziany jak zwykle w kurtkę z miękkiej jeleniej skóry stał milczący pod ścianą.

Ale gdy Jesse pytała o dziwne godziny nieobecności, odpowiedzi Maharet były całkowicie nieprzekonywujące! Są bladzi, nie cierpią słońca i byli na nogach do tak późnej pory! To prawda.

Przecież o czwartej nad ranem wciąż rozprawiali o polityce lub historii, ujmując je w tak przedziwny i odległy sposób; wymieniali starożytne imiona miast; czasami rozmawiali szybko w dziwnym języku, którego Jesse nie potrafiła sklasyfikować, a co dopiero zrozumieć. Dzięki swoim nadzmysłowym zdolnościom czasami rozumiała temat konwersacji, ale dziwne dźwięki powodowały zamęt w jej głowie.

Mael jakimś sposobem wywoływał cierpienia Maharet, to rzucało się w oczy. Czy był jej kochankiem? Chyba nie.

A to, jak Mael i Maharet rozmawiali ze sobą? Jakby czytali w myślach. Ni stąd, ni zowąd powiedział: „Ale mówilem ci. zebys sie nie przejmowała”, kiedy tak naprawdę ona nie odezwała się słowem. Czasem zachowywali się tak samo względem Jesse. Pewnego razu Maharet zawołała ją do głównej jadalni, chociaż Jesse przysięgłaby, że słyszała jej głos tylko w głowie.

Oczywiście, była medium. Ale czy Mael i Maharet też byli potężnymi mediami?

Inna sprawa: kolacje, na których pojawiały się ulubione dania Jesse. Nie musiała mówić, co lubi, a czego nie. To było wiadomo! Zastawała na stole slimaki, smazone ostrygi, *fettucini alla carbonara*, poledwice a la Wellington; same przysmaki. A wina... nigdy nie kosztowała tak znakomitych roczników. Tymczasem Maharet i Mael dziobali jak ptaszki, a przynajmniej tak to wyglądało. Czasami nie zdejmowali rękawiczek przez cały posiłek.

A dziwni goście, co z nimi? Na przykład Santino, czarnowłosy Włoch, który przybył pieszo pewnego wieczoru z młodym towarzyszem imieniem Eryk. Santino wpatrywał się w Jesse, jakby była egzotycznym zwierzęciem, a potem pocałował ją w rękę i dał przewspaniały pierścionek ze szmaragdem, który przepadł w nie wyjaśniony sposób kilka wieczorów później. Santino przez dwie godziny klócił się z Maharet w tym niezwykłym języku, a potem wyszedł ze zmieszonym Erykiem, szalejąc z wściekłości.

Były też dziwne nocne zabawy. Czy Jesse nie obudziła się dwukrotnie o trzeciej czy czwartej nad ranem, znajdując dom pełen ludzi? Goście śmiali się i rozmawiali w każdym pokoju. I wszyscy mieli wspólną cechę: niesłuchanie błada cere i niezwykle oczy, wielce podobne do oczu Maela i Maharet. Jesse była taka senna, że nie pamiętała nawet, jak wróciła do łóżka. W pewnym momencie otoczyło ją kilku bardzo pięknych młodych mężczyzn, nalali jej wino do kieliszka, a potem już był ranek, tyle pamiętała. Leżała w łóżku. Słońce świeciło za oknem. Dom stał pusty.

Słyszała dziwne rzeczy, na przykład ryk helikopterów i małych samolotów. Jednak nikt nie powiedział ani słówka na ten temat.

Mimo to była taka szczęśliwa! Tamte sprawy jakby nie miały znaczenia! Odpowiedzi Maharet w jednej chwili rozwiewały wszelkie wątpliwości. Niezwykle było jednak to, jak łatwo Jesse zmieniała zdanie. Była osoba bardzo pewna siebie i przeważnie od razu wiedziała, co myśleć na dany temat. By nie skłamać - była uparta jak osioł. A tymczasem okazywała dziwną ambiwalencję wobec spraw poruszanych przez Maharet. Z jednej strony uważała je za niedorzeczne, z drugiej - za jak najbardziej oczywiste.

Miała jednak zbyt pyszną zabawę, żeby się czymkolwiek przejmować. Kilka pierwszych wieczorów spędziła z Maharet i Maelem na rozmowach o archeologii. Maharet okazała się kopalnią wiadomości, chociaż miała bardzo dziwne poglądy.

Na przykład utrzymywała, iż rolnictwo rozwinęło się dlatego, że plemiona, którym wprowadzić powodziło się całkiem niezłe dzięki łowiectwu, chciały mieć stały dostęp do pewnych halucynogennych roślin uprawiających w religijny trans. I chciały też mieć piwo. Nieważne, że nie było na to

najmniejszego archeologicznego dowodu. Kop, Jesse, a sama sie przekonasz.

Mael pieknie czytal poezje; Maharet czasem grala na fortepianie, bardzo powoli, jakby medytacyjnie. Eryk wpadl jeszcze na kilka wieczorów, entuzjastycznie dolaczajac sie do spiewów.

Przywiózł ze soba filmy z Japonii i Wloch i przezyli wspianiale chwile podczas projekcji. Szczególnie interesujacy, chociaz przerazajacy, okazal sie „Kwaidan”. A wloski obraz, „Julietta i duchy” doprowadzil Jesse do lez.

Wszyscy ci ludzi nie pomineli okazji, aby z nia porozmawiac. A pytania Maela byly juz zupełnie niewiarygodne. Czy kiedyś w zyciu zapalila papierosa? Jak smakuje czekolada? Skad bierze te odwage, by wsiasc do samochodu z mlodym mezczyzna albo isc z nim do mieszkania? Czy zdaje sobie sprawe, ze moze ja zabic? Malo nie wybuchla smiechem. Nie, serio, to prawdopodobne, upieral sie, coraz bardziej zacietrzewiony. Spójrz na gazety. Kobiety we współczesnych miastach sa obiektem polowan, niczym lanie w lasach.

Najlepiej bylo odwiesc go od tematu i namówic do opowiadania o podróżach. Jego opisy byly cudowne. Przez lata mieszkal w dzungli amazonskiej. Ale nie wsiadlby do „aeroplanu”. To nazbyt niebezpieczne. A co, jesli maszyna wybuchnie? Nie lubil „plóciennego przyodziewku”, bo zbyt latwo mozna bylo go rozedrzec.

Jesse przezyła z Maelem bardzo szczególna chwile. Rozmawiali przy stole. Mówila o duchach, które czasem widywala, a on wspomnial o tych zlosliwych i tumanowatych umarłych czy zwariowanych umarłych, tak ze krztusila sie ze smiechu, chociaz wiedziala, ze nie bardzo wypada. Ale to byla prawda, duchy czasem zachowuja sie tak, jakby byly troche tumanowate, na tym polega cala groza. Czy przestajemy istniec z chwila smierci? Czy tez nadal trwamy w takim glupawym stanie, pojawiajac sie ludziom w dziwnych chwilach i wyglaszajac nonsensowne uwagi mediom? Kiedy to duch powiedzial cos interesujacego?

- Sa to oczywiscie wylaczenie przyziemne istoty - powiedzial Mael. - Kto wie, dokad sie udajemy, kiedy wreszcie porzucimy cialo i wszystkie jego zwodnicze rozkosze?

Jesse byla juz dobrze pijana i poczula, jak ogarniaja straszliwa groza - powrócily mysli o fantomie rezydencji Stanforda White'a i duchach wmieszanych w nowojorski tłum. Skupila sie na Maelu, który nareszcie nie mial na sobie rekawiczek ani barwionych szkiel, na przystojnym Maelu, o bardzo niebieskich oczach ze skrawkami czerni w srodeczkach zrenic.

- Poza tym - rzekl - zawsze byly inne duchy. Nigdy nie mialy ciala ani krwi, wiec dlatego sa takie wsciekle.

Co za zdumiewajaca mysl.

- Skad o tym wiesz? - zapytala Jesse, nie spuszczajac z niego wzroku. Byl piekny. O jego urodzie decydowala suma defektów - zakrzywiony nos, sterczaca szczeka, wychudla twarz okolona dziko nastroszonymi falami wlosów koloru slomy. Nawet oczy, wlasnie dlatego, ze byly zbyt gleboko osadzone, mialy pelniejszy wyraz. Tak, Mael byl piekny - az chcialo sie go objac, pocalowac, zaprosic do lozka... prawde mówiac, pociag, który zawsze do niego czula, nagle stal sie nieodparty.

Wtem uswiadomila sobie cos bardzo dziwnego. To nie czlowiek - powiedzial jakis glos w jej glowie. - To cos udajacego czlowieka. Nie ma zadnych watpliwosci.

Cóż za idiotyzm! Jeśli nie był człowiekiem, to kim, do diabła? Z pewnością nie upiorem ani duchem. To oczywiste.

- Wydaje mi się, że nie wiemy, co jest realne, a co nie - powiedziała ni w pięć, ni w dziesięć. - Wystarczy, że za długo wlepiasz w coś wzrok i nagle widzisz potwora. - Równocześnie odwróciła się i wbiła wzrok w wazę z kwiatami na środku stołu. Stare herbaciane róże trwonily płatki posród goździków, paproci i purpurowych cynii. Wyglądały absolutnie jak pozaziemskie istoty, jak owady, koszmarnie! Kim tak naprawdę były? Nagle waza pękła na kawałki i woda zalala cały stół. A Mael rzekł całkiem poważnie:

- Och, wybac. Nie chciałem.

Nie ulega wątpliwości, że tak było, chociaż nie spowodowało to najmniejszych konsekwencji. Mael wyslizgnął się na spacer do lasu, pocałowawszy ją wpięć w czoło; jego wyciągnięta dłoń zadrżała nagle, kiedy chciał pogłodzić Jesse po włosach, ale najwyraźniej się rozmyślił.

Oczywiście, piła wcześniej. Prawde mówiąc, piła przez cały pobyt, i to o wiele za dużo. Ale jakby nikt tego nie zauważał.

Od czasu do czasu wychodzili na dwór i tanczyli na polanie pod księżycem. To nie był wspólny taniec. Poruszali się w pojedynkę, w kółko, wpatrzeni w niebo. Mael nucił murmurando albo Maharet śpiewała piosenki w nieznanym języku.

Jak mogła zachowywać się tak godzinami? I czemu nigdy nie dociekała, nawet w myślach, dlaczego Mael tak dziwnie się ubiera, nosi rękawiczki w domu albo chodzi po ciemku w okularach przeciwsłonecznych?

Potem pewnej nocy tuż przed świtem Jesse poszła do łóżka pijana i miała koszmarny sen. Mael i Maharet awanturowali się ze sobą. Mael powtarzał w kółko:

- A co będzie, jeśli ona umrze? Co będzie, jeśli ktoś ją zabije albo przejedzie ją samochód? Co, jeśli, co, jeśli, co, jeśli... - Jego głos przeszedł w ogłuszające wycie.

A kilka nocy później zaczęła się okropna finałowa katastrofa. Mael wyszedł wcześniej na jakiś czas, ale wrócił. Jesse piła burgunda calutenki wieczór i stała na tarasie z Maelem, całowali się, a następnie straciła świadomość, zarazem wiedząc, co się dzieje. Obejmował ją, całował jej piersi, podczas gdy ona osuwała się w niezgłębioną ciemność. Wtedy znów pojawiła się tamta dziewczyna, nastolatka, która przyszła do niej w Nowym Jorku, kiedy była tak wystraszona. Tyle że Mael nie widział dziewczyny, a Jesse oczywiście wiedziała dokładnie, kim ona jest; to była jej matka. Miriam, i bała się. Mael nagle wypuścił Jesse.

- Gdzie ona jest! - krzyknął rozzłoszczony.

Jesse otworzyła oczy. Obok nich znalazła się Maharet. Uderzyła Maela tak silnie, że wypadł przez balustradę poza taras. Jesse wrzasnęła, przypadkowo odpychając nastolatkę, kiedy podbiegła do skrajnego tarasu zobaczyć, co się dzieje.

Mael stał daleko na polanie, cały i zdrowy. Niewiarygodne, a jednak prawdziwe. Stał pewnie na nogach, skłonił się Maharet głęboko, ceremonialnie i przesłał jej pocałunek. Padło na niego światło z okien parteru. Maharet wyglądała na zasmuconą, ale się uśmiechała. Powiedziała coś pod nosem i machnęła ręką, jakby chciała powiedzieć, że nie gniewa się na Maela.

Jesse była przerażona, że to na nią Maharet skieruje swój gniew, ale kiedy spojrzała w jej oczy, wiedziała, że nie ma powodów do niepokoju. Dostrzegła jednak, że jej sukienka jest rozdarta. Poczula ostry ból w miejscu, które całował Mael, a gdy odwróciła się do Maharet, straciła orientację i nie słyszała własnych słów.

Nie wiedziała, jak znalazła się na łóżku; siedziała oparta na poduszkach i miała na sobie długi flanelowy szlafrok. Opowiadała Maharet, że matka znów do niej przyszła, że widziała ją na tarasie. A oprócz tego przez kilka godzin rozprawiały z Maharet o całej sprawie. O jakiej sprawie? Maharet powiedziała jej, że zapomni.

O Boże, jak bardzo usiłowała potem sobie to odtworzyć. Fragmentaryczność wspomnień dreczyła ją przez lata. Maharet rozpuszcila włosy, bardzo długie i gęste, objęła ją i poszły przez ciemny dom jak upiory, Maharet od czasu do czasu przystawała, żeby ją pocałować, a ona odpowiada jej uściskiem. Ciało Maharet było jak kamień, który potrafi oddychać.

Były wysoko, w środku góry, w tajnej sali. Stały tam potężne komputery z wielkimi szpulami i czerwonymi światełkami, słychać było niski szum elektronicznych urządzeń. A na niezmiernym prostokątnym ekranie sięgającym dobre kilkanaście metrów w górę widniało kolosalne drzewo genealogiczne rodziny. To była Wielka Rodzina od tysiący lat. Och, tak, drzewo genealogiczne wyrastało z jednego korzenia! Układ był matriarchalny, jak zawsze u starożytnych ludów - jak u Egipcjan, tak, u których prawo do tronu przechodziło na księżniczki krwi królewskiej; i jak wciąż jeszcze było wśród plemion żydowskich.

W tamtej chwili wszystkie szczegóły były dla Jesse jasne - starożytne imiona, miejscowości, początek! Boże, czyżby poznała nawet początek - niesamowita prawda o setkach pokoleń nakreślona przed jej oczami? Widziała rozwój rodziny w starożytnych państwach Azji Mniejszej, Macedonii i Italii, aż wreszcie w Europie i potem Nowym Świecie! Mogło to być drzewo genealogiczne obejmujące wszystkie rodziny ludzkie!

Nigdy nie udało się jej przywołać z pamięci szczegółów tamtej elektronicznej mapy. Maharet powiedziała, że wszystko zapomni. Cud, że pamiętała cokolwiek.

Ale co jeszcze się zdarzyło? Co było prawdziwą siłą napędową ich długiej rozmowy?

Maharet płakała, to Jesse pamiętała. Lkała żalostnie, po kobiecemu, jak młoda dziewczyna. Nigdy nie była tak pociągająca; jej oblicze złagodniało, a równocześnie nabrało blasku, zmarszczek ubyło i stały się niezwykle delikatne. Było ciemno, więc Jesse niewiele widziała. Zapamiętała twarz płonącą w ciemnościach niczym bielejąca zagiew, bladezielone oczy, zamglone, lecz promienne, jasne rzęsy połyskujące, jakby drobne włoski pociągnięto złotem.

W pokoju paliły się świece. Za oknem ciemniał las. Jesse błagała, protestowała. Ale, na Boga, o co szło?

Zapomnisz - mówił w jej głowie głos Maharet. - Nie będziesz o niczym pamiętać.

Kiedy otworzyła powieki w blasku słońca, wiedziała, że jest po wszystkim, a oni odjechali. W ciągu pierwszej krótkiej chwili nie potrafiła sobie niczego przypomnieć, poza tym, że powiedziano coś nieodwracalnego.

Na stolyczku przy łóżku znalazła list:

Moja kochana,

nasza obecność przestała Ci służyć. Obawiam się, że wszyscy zbyt rozkochaliśmy się w Tobie i oderwiemy Cię od spraw, na które się zdecydowałaś.

Wybacz nam, że wyjeżdżamy bez uprzedzenia. Jestem przekonana, że tak jest dla Ciebie najlepiej. Zamówiłam samochód, który odwiezie Cię na lotnisko. Samolot odlatuje o czwartej. Twoi kuzyni, Maria i Matthew, będą czekać na Ciebie w Nowym Jorku.

Możesz być pewna, że kocham Cię bardziej, niż słowa mogą to wyrazić. Kiedy znajdziesz się w domu, będzie na Ciebie czekał mój list. Nadejdzie za wiele lat taki wieczór, kiedy znów porozmawiamy o historii rodziny. Jeśli nadal będziesz tego pragnęła, zostaniesz moją pomocnicą przy tych archiwach. Ale jak na razie, nie powinny Cię one pochłonąć. Nie powinny odciągnąć Cię od samego życia.

Twoja jak zawsze

kochająca Cię bezgranicznie

Maharet

Jesse nigdy więcej nie spotkała się z Maharet.

Jej listy przychodziły z dawną regularnością, pełne uczucia, troski, rad. Ale nigdy już nie pojawiła się osobiście. Nigdy więcej nie zaproszono Jesse do domu w lesie Sonoma.

W następnych miesiącach spłynął na Jesse deszcz prezentów - dostała piękny stary dom przy Washington Square w Greenwich Village, nowy samochód, znaczący wzrost uposażenia i jak zwykle bilety samolotowe pozwalające odwiedzać rodzinę na całym świecie. Maharet sfinansowała także znaczącą część prac archeologicznych Jesse w Jerychu. Z biegiem lat dała Jesse wszystko, o czym ta mogła zamarzyć.

Niemniej jednak tamto lato zostawiło w Jesse otwartą ranę. Kiedyś w Damaszku sniła o Maelu i obudziła się, płacząc.

* * *

Była w Londynie, w British Museum, kiedy tamte wspomnienia zaczęły wracać z całą mocą. Nigdy się nie dowiedziała, co je ożywiło. Może nakaz Maharet - „Zapomnij” - najwyczejniej przestał działać. Ale mogła być też inna przyczyna. Pewnego wieczoru na Trafalgar Square zobaczyła Maela lub innego przypominającego go do złudzenia mężczyznę. Stał wpatrzony w nią dobre kilkanaście metrów dalej. Jednak gdy pomachała mu dłonią, odwrócił się i odszedł, nie dając najmniejszego znaku, że ją rozpoznał. Pobiegnęła za nim, usiłując go dogonić, ale przepadł, jakby nigdy się nie pojawił.

To sprawiło jej ból i zawód. Jednak po trzech dniach otrzymała anonimowy prezent, bransoletkę z

kutego srebra. Szybko sie zorientowala, ze to dawna celtycka robota, prawdopodobnie o bezcennej wartosci. Czy Mael mógł przyslac jej ten rzadki i wspanialy przedmiot? Chciala w to wierzyc.

Sciskajac bransoletke w dloni, czula jego obecność. Pamietala tamta noc sprzed lat, kiedy rozmawiali o tumanowatych upiorach. Usmiechnela sie. Czula sie tak, jakby on tu byl, obejmowal ja, calowal. Opowiedziala listownie Maharet o prezencie, który od tamtej pory zawsze nosila przy sobie.

Jesse prowadzila pamietnik odzyskanych wspomnien. Zapisywala sny, strzepy ujrzane w przeblyskach pamieci. W listach do Maharet nie wspomniala jednak o tym ani slowem.

W Londynie miala romans. Zakonczyl sie zle i tym dotkliwiej odczuwala samotność. Wlasnie wtedy Talamasca nawiazala z nia kontakt, co na zawsze zmienilo bieg zycia Jesse.

* * *

Mieszkal w starym domu w Chelsea, niedaleko od miejsca, w którym niegdys zamieszkiwal Oskar Wilde. W poblizu bylo tez onegdaj lokum Jamesa McNeilla Whistlera, a takze Brama Stokera, autora „Drakuli”. Jesse uwielbiala te okolice. Ale nie wiedziala, ze wynajmowany przez nia dom byl przez wiele lat nawiedzany przez duchy. W ciagu pierwszych miesiecy kilkakrotnie ujrzala dziwne, niewyraźnie migotliwe zjawy, jakie czesto widuje sie w podobnych miejscach; echa ludzi, którzy mieszkali tam przed laty, jak mowila Maharet. Jesse ignorowala je.

Jednakze kiedy ktoregos popoludnia wpadl do niej pewien reporter, wyjasniajac, ze pisze artykul o nawiedzonym domu, calkiem rzeczowo opowiedziala mu o owych istotach. Byly to calkiem zwyczajne duchy, jak na Londyn - kobieta z dzbanem idaca ze spizarni, mezczyzna w surducie i cylindrze, przez sekunde widziany na schodach.

Powstal z tego wielce melodramatyczny artykul. Jesse okazala sie zbyt rozmowna. Zostala nazwana „naturalnym medium”; uznano, ze widuje te istoty caly czas. Krewny z rodziny Reevesów zadzwonil z Yorkshire i draznil sie z nia troche z powodu tego wszystkiego. Jesse tez uwazala to za zabawne, ale cala historia niewiele ja obeszla. Byla bardzo zajeta badaniami w British Museum. Tamto po prostu nie mialo zadnego znaczenia.

Wtedy ktos z Talamaski przeczytal gazete i organizacja nawiazala z nia kontakt.

Aaron Lightner, staromodny dzentelmen o siwych wlosach i nienagannyh manierach, zaprosil Jesse na lunch. Stary, ale swietnie utrzymany rolls-royce zawiozl ich do eleganckiego prywatnego klubu.

Niewatpliwie bylo to jedno z najdziwniejszych spotkan w zyciu Jesse. Obudzilo w niej wspomnienie owego dawnego lata, nie dlatego, ze dostarczylo podobnych wzruszen, ale dlatego, ze obydwie te przeczycia tak daleko odbiegaly od wszystkiego, czego kiedykolwiek zaznala.

Lightner okazal sie czarujacy; byl dlugowlosym, niezwykle zadbanym mezczyzna, mial na sobie nieskazitelny tweedowy garnitur na miare od Donegala. Byl tez jedynym ze znanych jej ludzi, który chodzil ze srebrna laska.

Szybko i w ujmujacy sposob wyjasnil Jesse, ze jest „detektywem zjawisk nadprzyrodzonych” i pracuje dla „tajnego zakonu zwanego Talamasca”, ktorego jedynym celem jest gromadzenie danych na temat zjawisk „paranormalnych” i wykorzystywanie ich do badan tychze fenomenów. Talamasca pomaga

ludziom o zdolnościach nadzmysłowych. A tym, którzy posiadają te talenty rozwinięte w stopniu nadzwyczajnym, oferuje od czasu do czasu swoje członkostwo, karierę w „śledzeniu nadprzyrodzonego”, co, prawdę powiedziawszy, jest powołaniem, jako że Talamasca zada pełnego poświęcenia, lojalności i posłuszeństwa swoim zasadom.

Jesse mało nie wybuchła śmiechem. Ale Lightner chyba przygotował się na jej sceptycyzm. Miał w zanadrzu kilka „sztuczek”, przydatnych podczas takich zapoznawczych spotkań. Ku najwyższemu zdumieniu Jesse udało mu się przesunąć kilka przedmiotów na stół, nie dotykając ich. Prosta moc, rzekł, działająca jako „wizytówka”.

Kiedy Jesse patrzyła na solniczkę podskakująca na zawołanie, zdumienie odebrało jej mowę. Jednak naprawdę osłupiała, gdy Lightner wyznał, że wie o niej wszystko. Wiedział, skąd pochodziła i gdzie studiuje. Wiedział, że kiedy była małą dziewczynką, widywała duchy. Organizacja przed laty uzyskiwała te informacje „rutynowymi kanałami” i wtedy założono Jesse teczkę. Nie powinna czuć się urażona.

Prosił, by zechciała łaskawie zrozumieć, że Talamasca zachowuje pełny szacunek wobec badanych osób. Do tezek trafiły jedynie doniesienia o tym, co sama Jesse przekazała sąsiadom, nauczycielom i szkolnym kolegom. Może przejrzeć ją w każdej chwili. Taka procedura zawsze obowiązywała w Talamasce. Zawsze wcześniej czy później dazono do nawiązania kontaktu z osobą śledzoną. Pozyskane informacje przedstawiano do wglądu w całości, chociaż miały charakter poufny.

Jesse zasypała Lightnera pytaniami. Szybko stało się jasne, że istotnie wie o niej mnóstwo, ale nie ma zielonego pojęcia o Maharet ani o Wielkiej Rodzinie.

Właśnie to połączenie wiedzy i ignorancji przekonało Jesse. Jedną wzmiankę o Maharet, a na zawsze odwróciła się plecami do Talamaski, gdyż była nieugięta lojalna wobec Wielkiej Rodziny. Talamasce zależało jednak tylko na zdolnościach Jesse, a Jesse, wbrew radzie Maharet, też zawsze na nich zależało.

Poza tym opowieść o Talamasce okazała się niezwykle ciekawa. Czy ten człowiek mówił prawdę? Tajne stowarzyszenie, które powstało w roku 758, organizacja posiadająca archiwalne zapiski na temat wiedz, czarowników, mediów i ludzi widzących duchy, której historia sięgała tak odległych czasów? Była tym tak oszłomiona jak niegdyś archiwami Wielkiej Rodziny.

Lightner łaskawie wytrzymał jeszcze jedną rundę pytań. Znal historię swojego stowarzyszenia i wszelkie szczegóły, to było jasne jak słońce. Płynnie i precyzyjnie mówił o prześladowaniach katarów, o zniszczeniu zakonu templariuszy, egzekucji Grandiera i wielu innych historycznych wydarzeniach. Prawdę mówiąc, Jesse nie udało się zapędzić go kozi róg. Przeciwnie, to on mówił o dawnych czarodziejach i czarownikach, o których ona nigdy nie słyszała.

Tamtego wieczoru, kiedy przyjechali do Macierzystego Domu Talamaski pod Londynem, dalsze losy Jesse zostały w znacznej mierze przypieczętowane. Nie opuszczała Macierzystego Domu przez tydzień, po czym uczyniła to tylko w tym celu, by zlikwidować swoje mieszkanie w Chelsea i wrócić do Talamaski.

Macierzysty Dom był ogromną kamienną budowlą wzniesioną w szesnastym wieku i nabyta przez Talamaskę „zaledwie” przed dwoma stuleciami. Chociaż biblioteki i salony z efektownymi boazeriami urządzono w osiemnastym wieku, nie zapominając o stosownych sztukateriach i fryzach, jadalnia i liczne sypialnie zachowały styl elżbietowski.

Jesse natychmiast polubiła tę atmosferę, stare meble, kamienne kominki i lśniące debowe parkiety. Przypadli jej do gustu także spokojni szeregowi członkowie zakonu; przywitali ją serdecznie, po czym

wrócili do swoich dyskusji lub lektury gazet w przestronnych, ciepło oświetlonych, dostępnych dla wszystkich salach. Bogactwo tego miejsca było zaskakujące. Potwierdzało autentyczność roszczeń Lightnera i emanowało aurą uczciwości, jednoznaczności. Ci ludzie byli tu tacy, za jakich się podawali.

Jednak dopiero biblioteki rzuciły ją na kolana, budząc wspomnienie tamtego tragicznego lata, kiedy to inna biblioteka i jej wiekowe skarby zostały przed nią zamknięte. Tutaj mogła oglądać niezliczone woluminy przechowujące pamięć polowań na czarownice, zawierające opisy badań złośliwych duchów, przypadków opętania, psychokinezy, reinkarnacji i tym podobnych. W podziemiach znajdowały się muzea, pomieszczenia wypełnione tajemniczymi przedmiotami mającymi związek ze zdarzeniami nadprzyrodzonymi. Były tam skarby, dostępne jedynie najwyższym członkom zakonu. Perspektywa zapoznania się z tymi tajemnicami była doprawdy cudowna.

- Zawsze jest tak wiele pracy do zrobienia - rzekł niedbale Aaron. - Alez tak, wszystkie te stare zapiski są po łacinie, sama widzisz; nie możemy oczekiwać od nowych członków, by czytali i pisali w martwym języku. W obecnej epoce to jest po prostu poza wszelką dyskusję. A w tych magazynach, widzisz, dokumentacji większości spraw nie zweryfikowano od czterech wieków...

Oczywiście Aaron wiedział, że Jesse potrafi czytać i pisać nie tylko po łacinie, ale i po grecku, w starożytnym egipskim i sumeryjskim. Nie wiedział natomiast, że Jesse znalazła coś, co zastąpiło jej utracone skarby tamtego lata. Znalazła inną Wielką Rodzinę.

Tego wieczoru wysłano samochód po ubrania Jesse i wszystkie rzeczy i mieszkania w Chelsea, które mogły się jej przydać. Jej nowy pokój mieścił się w południowo-zachodniej części Macierzystego Domu; było to przytulne pomieszczenie z kasetonami na suficie i kominkiem w stylu Tudorów.

Jesse chciała zostać w tym domu na zawsze i Aaron o tym wiedział. W piątek, zaledwie trzy dni po przybyciu, została przyjęta do zakonu jako nowicjuszka. Dostała znaczne kieszonkowe, prywatny salonik przylegający do sypialni, szofera zawsze gotowego do pracy i wygodny stary samochód. Prace w British Museum rzuciła najszybciej, jak się dało.

Zasady i obowiązki były jasne. Miała spędzić dwa lata na pełnowymiarowym szkoleniu, podróżując z innymi członkami zakonu, kiedy to było konieczne, jak świat długi i szeroki. Oczywiście mogła rozmawiać o zakonie z krewnymi i przyjaciółmi. Ale wszystkie tematy, akta i związane z nimi szczegóły miały pozostać tajne. Nie wolno jej było publikować niczego o Talamasce, a nawet przyczynić się do jakiegokolwiek „publicznej wzmianki” o zakonie. Wzmianki o konkretnych zadaniach nie mogły zawierać nazwisk ani nazw miejscowości.

Jej specjalnością miała być praca w archiwach, tłumaczenie i adaptacja starych kronik i zapisków. Przynajmniej raz w tygodniu miała pracować w muzeach, segregując różne artefakty i zabytki. Praca w terenie - śledztwa w nawiedzonych domach i tym podobne - miała jednak zawsze przeważać nad analizami.

Minał miesiąc, zanim doniosła Maharet o swojej decyzji. Otworzyła w liście całą duszę. Uwielbiała tych ludzi i ich pracę. Oczywiście, biblioteka przypominała jej o rodzinnym archiwum w górach Sonom i jakże szczęśliwym okresie życia. Czy Maharet to rozumie?

Odpowiedź była zdumiewająca. Maharet wiedziała, czym jest zakon. Prawdę mówiąc, wydawało się, że dokładnie zna całą jego historię. Wyraziła swój podziw dla ratowania niewinnych przed stosem i innych ogromnych wysiłkach Talamaski w czasach polowań na czarownice w piętnastym i szesnastym wieku.

Z pewnością opowiedzieli Ci o swojej „podziemnej kolei”, służącej do transportu wielu oskarżonych z więzień i śrół, gdzie groził im stos, do Amsterdamu, oświeconego miasta, w którym nie wierzą już w kłamstwa i przesady tamtej epoki.

Jesse nie wiedziała o tym, ale niebawem mogła potwierdzić każdy szczegół. Jednakże Maharet miała wobec Talamaski swoje zastrzeżenia:

Bez względu na to, jak bardzo podziwiam ich współczucie wobec prześladowanych, musisz wiedzieć, że nie uważam, aby ich śledztwa przynosiły jakies nadzwyczajne rezultaty. Gwoli jasności trzeba przyznać, że duchy, upiory, wampiry, wilkolaki, wiedźmy, istoty umykające opisowi być może istnieją i niewykluczone, iż Talamasca spędzi kolejne tysiąclecie na badaniu ich, ale jakież to ma znaczenie dla gatunku ludzkiego?

Niewątpliwie w odległej przeszłości różni osobnicy miewali wizje i rozmawiali z duchami. I być może podobnie jak czarownice czy szamani, ci ludzie dokonali czegoś dla swoich plemion czy narodów. Jednak na podstawie ich prostych i zwodniczych przeżyć zbudowano złożone i wymyślne religie, nadając mityczne nazwy niejasnym bytom i tworząc niesłychany wehikuł dla heterogenicznej zabobonnej wiary. Czy nie przyniosło to więcej zła niż dobra?

Wierz mi, że bez względu na to, jak interpretuje się historie, dawno minęły czasy, gdy kontakt z duchami przynosił jakakolwiek korzyść. Być może o sceptycyzmie przeciętnych jednostek wobec upiórów, mediów i całej tej zbieraniny decyduje prostactwo, ale nieublagana sprawiedliwość. Nadprzyrodzone, bez względu na swą postać nie powinno ingerować w ludzką historię.

Uważam, że wyjąwszy przypadki pocieszenia paru zagubionych dusz, Talamasca gromadzi zapisy spraw, które nie są ważne i nie powinny być ważne. To ciekawa organizacja, ale nie zdoła dokonać wielkich rzeczy.

Kocham Cię. Szanuję Twoją decyzję. Jednak przez wzgląd na Twoje dobro liczę, że znużysz się Talamaską i bardzo szybko powrócisz do normalnego życia.

Jesse zastanowiła się głęboko, zanim odpowiedziała. Było jej bardzo przykro, że Maharet nie zaaprobowала jej wyboru. Niemniej jednak zdawała sobie sprawę, że jej decyzja jest czymś na kształt rewanzu. Maharet odsunęła ją od tajemnic rodziny; Talamasca przygarnęła ją do swojego łona.

Zapewniała Maharet w liście, że członkowie zakonu nie mają złudzeń co do doniosłości swojej pracy. Uprowadzono Jesse, że jest to działalność tajna, nie przynosząca sławy, a nawet nie zawsze dająca prawdziwą satysfakcję. Zgodziliby się w pełni z Maharet co do jej oceny mediów, duchów, zjaw.

Ale czy miliony ludzi nie uważają odkryć archeologów za równie błahę? Jesse błagała Maharet, by uwierzyła, jak to wszystko jest dla niej ważne. Na zakończenie napisała, ku swojemu wielkiemu zdumieniu, następujące słowa:

Nigdy nie zdradze Talamasce ani słowa o Wielkiej Rodzinie. Nigdy nie powiem im o domu w górach Sonoma i dziwnych zdarzeniach, które mi się tam przytrafiły. Taka tajemnica wzbudziłaby w nich zbyt wielką ciekawość. Poczuję się do lojalności, wobec Ciebie. Ale błagam, pozwól mi pewnego dnia wrócić do domu w Kalifornii. Pozwól mi porozmawiać z Toba o tym, co widziałam. Wiele ostatnio zrozumiałam. Miałam zadziwiające sny. Ufam jednak Twojemu sądowi w tych sprawach. Byłaś wobec mnie ogromnie szczodra i nie wątpię, że mnie kochasz. Proszę, uwierz, że i ja bardzo Cię Kocham.

Odpowiedz Maharet była krótka.

Jesse, jestem ekscentryczna i uparta istota; bardzo wiele przeżyłam. Bywa, że nie doceniam wpływu, jaki wywieram na innych. Nigdy nie powinnam była zapraszać Ciebie do swego domu; to był egoistyczny wybryk, którego nie potrafię sobie wybaczyć. Liczę na to, że zdołasz uspokoić moje sumienie. Zapomnij o tej wizycie. Nie wmawiaj sobie, że to, co tam widziałas nie istnieje, ale nie zagłębiaj się w tamte wspomnienia. Żyj swoim życiem tak, jakby nigdy nie zostało tak brutalnie zakłócone. Któregoś dnia odpowiem na wszystkie Twoje pytania, ale nigdy więcej nie stanę na drodze Twojego przeznaczenia. Gratuluje Ci nowego powołania. Zawsze możesz liczyć na moją bezwarunkową miłość.

Niebawem dołączyła do tego eleganckie prezenty. Skórzany ekwipunek podróżny i cudowne palto podbijane norkami, żeby było jej ciepło w „tym obrzydliwym angielskim klimacie”. To kraj, który „tylko druid może pokochać”, napisała Maharet.

Jesse bardzo polubiła palto, jako że norki były tylko na podbiciu i nie rzuciły się w oczy, a torby podróżne służyły jej świetnie. Maharet nie przestawała pisać kilka razy do roku. Pozostała równie pomocna jak do tej pory.

Z biegiem lat to Jesse się oddaliła, jej listy były coraz krótsze i mniej regularne, jako że praca w Talamasce była tajna. Po prostu nie mogła opisywać swoich zajęć.

Nadal odwiedzała członków Wielkiej Rodziny na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Kiedy tylko kuzyni przyjeżdżali do Londynu, zwiedzała z nimi miasto lub jadła lunch. Wszystkie te kontakty były jednak sporadyczne i powierzchowne. Talamasca stała się niebawem całym życiem Jesse.

* * *

Kiedy zaczęła tłumaczenia z łaciny, ujrzała w archiwach Talamaski cały świat; zapisy rodzin mediów i pojedynczych osobników, przykłady „oczywistych” czarów, prawdziwych *maleficia* i wreszcie powtarzające się, niemniej jednak koszmarne fascynujące protokoły z autentycznych procesów czarownic, które niezmiennie dotyczyły niewinnych i bezbronnych. Pracowała dniami i nocami; wprowadzała owe dane do komputera, odzyskując bezcenny materiał historyczny z kruszących się pergaminowych kart.

W terenie otwierał się przed nią inny świat, jeszcze bardziej pociągający. W ciągu pierwszego roku pracy w Talamasce Jesse widziała przypadki nawiedzeń przez złośliwe duchy tak przerażające, że dorośli mężczyźni uciekali przed nimi na ulice. Widziała dziecko, które za pomocą telekinezy uniosło debowy stół i wyrzuciło go przez okno. W kompletnym milczeniu porozumiewała się z ludźmi czytającymi w myślach, którzy odbierali wszelkie przesłane im komunikaty. Widziała upiory tak wstrząsające, że wcześniej w ogóle nie uwierzyłaby w ich istnienie. Była świadkiem psychometrii, automatycznego pisania, lewitacji, transów mediumicznych - a potem, robiąc notatki, zawsze dziwiła się własnemu zaskoczeniu.

Czy nigdy się nie przyzwyczai? Nie uzna tego wszystkiego za normalne? Nawet starzy członkowie Talamaski zwierali się jej, że będąc świadkami takich zjawisk, za każdym razem przeżywają wstrząs.

Niewatpliwie mediumiczne zdolności Jesse były wyjątkowo bogate. Często wykorzystywane, rozwinęły się niebywale. Dwa lata po przyjeździe do Talamaski Jesse była wysyłana do każdego nawiedzanego domu w Europie i Stanach Zjednoczonych. Po jednym lub dwóch dniach spędzonych w ciszy i spokoju biblioteki następował tydzień w jakimś piekielnie przewiewnym korytarzu i obserwacja wizyt milczącej zjawy, która wcześniej przerażała innych.

Jesse rzadko potrafiła ustalić wzorce zachowań tych nieproszonych gości. Prawde mówiąc, potwierdziła tylko to, co wiedzieli wszyscy członkowie Talamaski: nie ma jednej okultystycznej teorii obejmującej całość dziwnych zjawisk, które widziała lub o których słyszała. Praca fascynowała ją, ale okazała się ogromnie frustrująca. Jesse nie była pewna, czy sama jest przy zdrowych zmysłach, kiedy zwraca się do tych „nie znających spokoju istot” czy też „tumanowatych duchów”, jak niegdyś całkiem trafnie określił je Mael. Mimo wszystko doradzała im przenieść się w „wyższe sfery”, by szukać tam spokoju dla siebie, a tym samym zostawić w spokoju również śmiertelnych.

Było to jakieś rozwiązanie, chociaż być może zmuszało duchy do pożegnania się z jedyną formą życia, jaką im pozostała. Niewykluczone przecież, że śmierć jest absolutnym kresem istnienia - zarówno ciała, jak i duszy - i uparte dusze nawiedzają żyjących jedynie wtedy, gdy nie chcą pogodzić się z nicością. Jak jednak zaakceptować straszny myśl, że świat duchów jest jedynie niejasnym i chaotycznym odbiciem dawnego, prawdziwego życia przed granicą wiecznej, całkowitej ciemności?

Bez względu na to, jak było naprawdę, Jesse uporała się z niezliczonymi nawiedzeniami. A myśl o uldze, jaką zapewniła żywym, stale podnosiła ją na duchu. Rozwinęło się w niej głębokie poczucie, że prowadzi wyjątkowe życie. Ekscytujące. Nie zamieniłaby go na nic w świecie.

No, prawie na nic. Bo gdyby Maharet pojawiła się w jej progu z prośbą o powrót do warowni w górach Sonoma i o zajęcie się archiwami Wielkiej Rodziny, mogłaby spakować walizki w jednej chwili. Chociaż niewykluczone, że nie kiwnęłaby nawet palcem w bucie.

Dokonała jednak w archiwach Talamaski pewnego odkrycia, które wywołało w niej głębokie rozdarcie. Dotyczyło ono Wielkiej Rodziny.

Podczas translacji i kopiowania dokumentów o czarownicach odkryła, że Talamasca od wieków monitoruje pewne „rodziny czarownic”, których fortuny wydawały się pomnożone za sprawą nadprzyrodzonych działań, będących jednak czymś weryfikowalnym i przewidywalnym. Współcześnie Talamasca obserwowała sporo takich rodzin! Zwykle w obrębie każdego pokolenia takiej rodziny była „czarownica”, która potrafiła tak przyciągać nadprzyrodzone moce i tak nimi manipulować, że zapewniała swoim bliskim stały przyrost bogactwa i powodzenie w doczesnych przedsięwzięciach. Świadczyły o tym zgromadzone zapiski. Ta moc była dziedziczna, związana z pewnymi fizycznymi predyspozycjami, ale nikt nie miał co do tego pewności. Niektóre z tych rodzin nie miały pojęcia o

swojej przeszłości; nie podejrzewano istnienia „czarownic” w dwudziestym wieku. Chociaż Talamasca regularnie usiłowała nawiązać kontakt z tymi ludźmi, często spotykała się z odmową lub też uznawała ich działania za zbyt niebezpieczne, aby przeprowadzać śledztwo. Owe czarownice były przecież zdolne do prawdziwych *maleficia*.

Przez kilka tygodni po tym odkryciu wstrząsnęta i nie dowierzająca Jesse nie podejmowała żadnych działań. Jednak nie potrafiła przestać o tym myśleć. Ten model zbyt przypominał Maharet i Wielką Rodzinę.

Następnie zrobiła jedną rzecz, która nie byłaby pogwałceniem zasad lojalności. Starannie przejrzała wszystkie akta rodzin czarownic znajdujące się w archiwach Talamaski. Sprawdziła raz i drugi. Cofnęła się do najstarszych zapisków i przestudiowała je słowo po słowie.

Zadnej wzmianki o jakiejś Maharet, zadnej wzmianki o kimkolwiek związanym z Wielką Rodziną, a o kim Jesse by słyszała. Zadnego najbliższego podejrzenia.

Odczuła ogromną ulgę, ale nie była zaskoczona. Instynkt podpowiadał jej, że jest na złym tropie. Maharet nie była czarownica. Nie w tym znaczeniu. W tym wszystkim chodzi o coś więcej - pomyślała.

Jednak tak naprawdę nigdy się nie postarała, by wyjaśnić to do końca. Odrzucała teorie tłumaczące wydarzenia w górach Sonoma, tak jak odrzucała wszelkie teorie. Nie raz przyszło jej na myśl, że wybrała Talamaskę, aby zgubić swą osobistą tajemnicę w chaosie tajemnic. Otoczona zjawami, złośliwymi duchami i opętanymi dziećmi coraz mniej myślała o Maharet i Wielkiej Rodzinie.

* * *

Zanim Jesse stała się pełnym członkiem zakonu, została ekspertem w dziedzinie zasad Talamaski, procedur gromadzenia protokołów śledztw, tego, kiedy i jak pomagać policji w sprawach kryminalnych oraz jak unikać wszelkich kontaktów z prasą. Szanowała Talamaskę za brak dogmatyzmu i za to, że zgromadzenie nie wymagało od swoich członków bezwzględnej wiary we wszystko, lecz jedynie uczciwości i uwagi wobec obserwowanych fenomenów.

Wzorce, podobieństwa, powtarzalność - oto, co fascynowało Talamaskę. Obfitość terminów, a zarazem elastyczność terminologii. Akta były jedynie siatka odsyłaczy spleciona na kilkanaście sposobów.

Niemniej jednak członkowie Talamaski studiowali teoretyków. Jesse czytała prace wszystkich wielkich detektywów zjawisk paranormalnych, mediów i jasnowidzów. Studiowała wszystko, co miało związek z okultyzmem.

Wiele razy myślała o radzie Maharet. To, co od niej usłyszała, było prawdą. Upiory, zjawy, media zdolne czytać myśli i telekinetycznie przesuwac przedmioty - wszystko to było fascynujące dla bezpośrednich świadków, lecz w dziejach ludzkości znaczyło bardzo niewiele. Ani współcześnie, ani w przyszłości nie zapowiadało się żadne wielkie okultystyczne odkrycie, które zmieniłoby bieg historii.

Jesse była wciąż niesyta pracy. Pochłonęła ją podniecająca atmosfera tajnego zgromadzenia. Była w samym łonie Talamaski i chociaż przyzwyczaiła się do eleganckiego otoczenia - antycznych koronek i łóż z kolumnkami, srebrnych sztucców, służby i samochodów prowadzonych przez szoferów - sama nabrała jeszcze większej prostoty i dystansu.

W wieku trzydziestu lat była delikatna jasnoskóra kobieta o kędzierzawych rudych włosach rozdzielonych na środku głowy i długich do ramion. Wciąż pozostawała samotna. Nie używała kosmetyków ani perfum i nie nosiła biżuterii z wyjątkiem celtyckiej bransoletki. Jej ulubiona garderoba był kaszmirowy blezer i wełniane spodnie lub dzinsy, jeśli przebywała w Ameryce. Mimo to była osobą atrakcyjną, przyciągająca nieco więcej uwagi mężczyzn, niż sama uważała za korzystne dla swoich spraw. Miewała romanse, ale zawsze przelotne.

Bardziej ceniła przyjaznie z innymi członkami zakonu; miała wielu braci i wiele sióstr. Dbali o nią tak jak ona o nich. Uwielbiała życie we wspólnocie. O każdej nocnej porze można było zejść na dół do oświetlonego salonu, zawsze pełnego ludzi - czytających, rozmawiających, a jeśli nawet kłócących się, to zawsze z umiarem. Można było zawedrować do kuchni, gdzie nocny kucharz był gotów przygotować wczesne śniadanie albo późną kolację, według życzenia.

Jesse mogłaby zostać z Talamaska na zawsze. Podobnie jak katolicki zakon, Talamasca opiekowała się swoimi starcami i chorymi. Umierający w zakonie mieli zapewniony wszelki luksus i wszechstronna opieka medyczna; ostatnie chwile spędzali według swojej woli: samotnie w łóżku albo w towarzystwie braci i sióstr, którzy dodawali choremu otuchy i sciskali jego dłoń. Można było też jechać do domu, do krewnych, ale większość chciała umrzeć w Macierzystym Domu. Ceremonie pogrzebowe były wystawne i pełne godności. Wielkie grupy ubranych na czarno mężczyzn i kobiet towarzyszyły każdemu pochówkowi.

Tak, ci ludzie stali się rodziną Jesse. To oczywiste, że chciała zostać z nimi na zawsze.

Ale kiedy dobiegał końca ósmy rok pobytu w zakonie, wydarzyło się coś, co miało to wszystko zmienić, coś, co w końcu doprowadziło do zerwania.

Miała już za sobą piękną kartę. Jednak w lecie 1981 roku nadal pracowała pod kierunkiem Aarona Lightnera i rzadko rozmawiała z zarządem Talamaski czy też grupą ludzi, którzy wszystkim kierowali.

Kiedy więc Dawid Talbot, przywódca zakonu, wezwał ją do swojego biura w Londynie, była zaskoczona. Dawid był mocno zbudowanym zwyczajnym panem w wieku szesćdziesięciu pięciu lat, o wiecznie radosnym sposobie bycia i włosach przyprószonej stalowej siwizna. Zaproponował Jesse kieliszek sherry i przez kwadrans rozmawiał z nią sympatycznie o niczym, zanim przeszedł do rzeczy.

Jesse zaproponowano bardzo nietypowe zadanie. Talbot wręczył jej powieść zatytułowaną „Wywiad z wampirem”.

- Chciałbym, żebyś to przeczytała - powiedział.

Jesse była zaskoczona.

- Prawde mówiąc, już to zrobiłam - powiedziała. - Kilka lat temu. Ale co tego rodzaju beletrystyka ma wspólnego z nami?

Jesse kupiła książkę na lotnisku i przeczytała podczas długiego transkontynentalnego rejsu. Treść, niby-opowieść wampira wysłuchana współcześnie przez młodego reportera w San Francisco, podziałała na Jesse jak zły sen. Książka niezbyt przypadła jej do gustu i wołała wyrzucić ją do kosza, niż zostawić na ławce na lotnisku, z obawy, że może po nią sięgnąć jakiś Bogu ducha winna duszyczka.

Główne postaci dzieła - zadający niesłychanego sztyku niesmiertelni - stworzyli przed wojną secesyjną w

Nowym Orleanie koszmarne rodzinke i polowali tam na ludzi przez z góra pięćdziesiąt lat. Byli to: Lestat, ich przywódca i czarny charakter powieści, Louis, jego targany wyrzutami sumienia podwładny, zarazem bohater i narrator, oraz Klaudia, niesamowita wampirza córka, iscie tragiczna postać o ciele wiecznej dziewczynki, której umysł dojrzewał z roku na rok. Oczywiście tematem książki było bezowocne poszukiwanie odkupienia przez Louisa, ale nienawisc Klaudii do dwóch wampirów płci męskiej, którzy stworzyli z niej monstrum, oraz późniejsze zniszczenie dziewczynki wywarło o wiele głębsze wrażenie na Jesse.

- To nie beletrystyka - wyjaśnił bez emfazy Dawid. - Niemniej cel jej stworzenia pozostaje niejasny, a fakt publikacji poważnie nas zaalarmował.

- Nie beletrystyka? - powtórzyła Jesse. - Nie rozumiem.

- Nazwisko autora to pseudonim - kontynuował Dawid - a taniemy pobiera młody człowiek, który nigdzie długo nie zagrzewa miejsca i unika wszelkiego kontaktu z nami. Jednakże był kiedyś reporterem, podobnie jak przeprowadzający wywiad bohater książki. Obecnie jest nieuchwytny. Twoim zadaniem będzie polecieć do Nowego Orleanu i zgromadzić dokumentację wydarzeń, które zaszły tam przed wojną secesyjną.

- Zaczekaj. Mówisz mi, że wampiry istnieją? Ze te postaci: Louis, Lestat i mała Klaudia są prawdziwe?!...

- Właśnie - potwierdził Dawid. - I nie zapomnij o Armandzie, mentorze z Teatru Wampirów w Paryżu. Na pewno pamiętasz Armanda.

Jesse bez trudu przypominała sobie Armanda oraz teatr. Armand, najstarszy niesmiertelny w powieści, miał oblicze i postać młodzieńca. Natomiast teatr był ponurą instytucją, w której podczas spektaklu zabijano ludzi na oczach nieswiadomych tego widzów.

Jesse przypominała sobie upiorną atmosferę książki, a zwłaszcza fragmenty dotyczące Klaudii, która zmarła właśnie w Teatrze Wampirów, zniszczona przez sabat pod przewodnictwem Armanda.

- Dawidzie, czy dobrze cię zrozumiałam? Twierdzisz, że te istoty żyją?

- Jak najbardziej - rzekł Dawid. - Obserwujemy je od czasu naszego powstania. W zasadzie można powiedzieć, że Talamasce stworzono w celu obserwowania tych kreatur, ale to już inna historia. Według wszelkiego prawdopodobieństwa w tej powiatce nie ma żadnej zmyślonej postaci; twoim zadaniem będzie udokumentować istnienie opisanego tu domu sabatowego w Nowym Orleanie oraz Klaudii, Louisa i Lestata.

Jesse wybuchła śmiechem. Nie mogła się powstrzymać. Powaga Dawida śmieszyła ją dodatkowo. Jednak Dawid nie był zaskoczony; nie bardziej niż Aaron Lightner osiem lat temu, kiedy spotkała go po raz pierwszy.

- Znakomita postawa - rzekł Dawid z lekkim psotnym uśmiechem. - Nie chcielibyśmy, żebyś okazała nadmiar wyobraźni ani zaufania. Ten zakres badań wymaga ogromnej ostrożności, Jesse, i ścisłego trzymania się zasad. Wierz mi, kryje on wyjątkowe niebezpieczeństwa. Oczywiście, możesz w tej chwili odrzucić zadanie.

- Zaraz znowu będę się śmiać - powiedziała Jesse. Rzadko można było usłyszeć w Talamasce słowo „niebezpieczeństwo”. Widziała je tylko w aktach rodzin czarownic. Jednak Jesse bez trudu mogła

uwierzyć w rodziny czarownic. Czarownice były ludźmi, a duchy mogły być podatne na manipulację. Ale wampiry?

- No cóż, podejźmy do tego inaczej - rzekł Dawid. - Zanim się zdecydujesz, zajrzyjmy do skarbca i zbadajmy pewne artefakty mające związek z tymi stworami.

Ten pomysł miał nieodparty urok. W piwnicach Macierzystego Domu znajdowało się wiele pomieszczeń, do których Jesse nie była nigdy dopuszczona. Nie zamierzała zaprzepścić takiej okazji.

Gdy razem z Dawidem zeszli po schodach, atmosfera domu w górach Sonoma powróciła nieoczekiwanie i bardzo plastycznie. Nawet długi korytarz z rzadko rozsianymi słabymi żarówkami przypominał piwnice Maharet. Jesse czuła rosnące podniecenie.

Szła w milczeniu za Dawidem, mijając kolejne zamknięte na klucz magazyny. Ujrzała książki, czaszki na półce, stare lachy rzucone na podłogę, meble, obrazy olejne, kufry i sejfy, kurz.

- Wszystkie te parafernalia - rzekł z pogardliwym gestem Dawid - są w taki czy inny sposób związane z naszymi niesmiertelnymi pijakami krew przyjaciółmi. W istocie ten gatunek przejawia wyraźną skłonność do materializmu i pozostawia po sobie wszelkie możliwe odpadki. Nie jest wyjątkiem, że kiedy znużają się konkretna okolica lub tożsamość, zostawiają całe domostwa z kompletnym umeblowaniem, ubraniami, nawet trumny... bardzo ozdobne i interesujące trumny. Ale jest kilka wyjątkowych rzeczy, które musisz ci pokazać. Śmiem sadzić, że będą miały rozstrzygające znaczenie.

Rozstrzygające? W tej pracy było coś rozstrzygającego? Niewątpliwie to popołudnie obfitowało w niespodzianki.

Dawid zaprowadził ją do ostatniego pomieszczenia, bardzo dużego, obwieszzonego ferrotypami pokoju, w którym natychmiast zapaliły się szeregi górnych światel.

Na ścianie w głębi ujrzała ogromne malowidło. Od razu uznała je za dzieło renesansu, prawdopodobnie weneckiego. Wykonano je półmatową farbą na desce. Miało cudowne lśnienie typowe dla tego rodzaju prac, polysk, którego nie mógłby stworzyć żaden syntetyczny środek. W prawym dolnym rogu widniał łaciński tytuł i nazwisko twórcy.

„Kuszenie Amadeo”

Mariusz

Cofnęła się, aby dokładnie zobaczyć całość.

Wspaniały chór czarnoskrzydłych aniołów unosił się wokół kłęczącej postaci - młodego chłopca o kasztanowych włosach. Kobaltowe niebo w tle, widziane przez serie luków, było oddane wspaniale, z masą złożonych chmur. Marmurowa posadzka na pierwszym planie namalowana z fotograficzną pieczołowitością. Czulo się bijący od niej chłód, widziało żyły w kamieniu.

Jednak to postaci były prawdziwą ozdobą dzieła. Wybornie wymodelowane twarze aniołów; ekstrawagancko szczegółowe linie pastelowych szat i czarnych pierzastych skrzydeł; a chłopiec...

chłopiec po prostu zył! Ciemnopiwnie oczy naprawdę błyszczaly i patrzyly przed siebie. Skóra wydawala sie wilgotna. Juz mial poruszyc sie lub przemowic.

W istocie wszystko to bylo zbyt realistyczne, jak na Odrodzenie. Postaci mialy charakter raczej indywidualny niz typowy. Na twarzach aniolow malowal sie wyraz lekkiego rozbawienia, z nutka goryczy. A material tuniki i obcislych spodni chłopca oddano zbyt dokladnie. Widziala nawet cery, lezke, kurz na rekawie. Byly tez inne detale - suche liscie rozrzucone na podlodze, dwa pedzle lezace z boku bez widocznej przyczyny.

- Kim jest ten Mariusz? - szepnela. To imie z niczym sie jej nie kojarzylo. Nigdy nie widziala wloskiego malowidla z tak wieloma niepokojacymi szczegolami. Czarnoskrzydly anioły...

Dawid nie odpowiedzial. Wskazal na chłopca.

- Chce, zebys mu sie przyjrzala. To nie jest prawdziwy przedmiot twojego sledztwa, jedynie bardzo wazne ogniwo.

Przedmiot? Ogniwo?... Byla zbyt zafrapowana obrazem.

- Spójrz na te kosci w kacie, ludzkie kosci pokryte kurzem; wyglada to tak, jakby ktos tylko sprzatnal je z glownego planu. Cóz to, na Boga, znaczy?

- Tak - mruknal Dawid. - Slowo „kuszenie” zwykle kojarzy sie z diablami otaczajacymi swietego.

- Wlasnie - powiedziala. - I umiejetnosci malarza sa wyjatkowe. - Im dluzej wpatrywala sie w obraz, tym bardziej byla niespokojna. - Skad to macie?

- Zakon wszedl w jego posiadanie wieki temu. Nasz emisariusz w Wenecji odzyskal to ze spalonej willi nad Canale Grande. Tak przy okazji, tym wampirom stale towarzyszy ogien. To jedyny orez, którego skutecznie uzywaja przeciwko sobie nawzajem. Jak pamietasz, w „Wywiadzie z wampirem” bylo kilka pozarów. Louis podlozyl ogien pod miejska rezydencje w Nowym Orleanie, kiedy usilowal zniszczyc swojego stwórcę i mentora, Lestata. A później spalil Teatr Wampirów po smierci Klaudii.

Smierc Klaudii. Na te slowa Jesse ku swojemu zaskoczeniu lekko zadrzala.

- Przyjrzyj sie jednak uwaznie temu chłopcu - powiedzial Dawid. - Bo to o nim teraz bedziemy mówic.

Amadeo. To znaczylo „ten, którego Bóg kocha”. Tak, byl piekny. Szesnasto-, moze siedemnastolatek o kwadratowej, bardzo regularnej twarzy i dziwnie blagalnym spojrzeniu.

Dawid wlozyl jej cos do reki. Z trudem oderwala wzrok od obrazu. Nie od razu zrozumiala, ze patrzy na ferrotypie, dziewietnastowieczna fotografie. Szepnela po chwili:

- To ten sam chłopiec!

- Tak. I rodzaj eksperymentu - rzekl Dawid. - Zrobiono je prawdopodobnie tuz po zachodzie slonca, w oswietleniu, które moglyby sie nie sprawdzic w przypadku innego obiektu. Zauwaz, ze wlasciwie nic nie widac poza jego twarza.

To byla prawda; Jesse dostrzegla tez, ze uczesanie mial stosowne do tamtej epoki.

- Spójrz jeszcze na to - dodał Dawid. Tym razem podał jej stary dziewiętnastowieczny dziennik z wąskimi kolumnami druku i atramentowymi ilustracjami. Ujrzała tego samego chłopca wysiadającego z powoziku - szkic zrobiono naprędce, ale widac było, że chłopiec się uśmiecha.

- Jest tu artykuł o nim i o Teatrze Wampirów. A to angielskie czasopismo z 1789 roku, czyli całe osiemdziesiąt lat wcześniejsze. Znajdziesz w nim kolejny bardzo dokładny opis tej instytucji i tego samego młodego człowieka.

- Teatr Wampirów... - Wpatrywała się w kłęczącego chłopca o kasztanowych włosach. - Ależ to Armand, postać z tej powieści!

- Właśnie. Wydaje się lubić to imię. Może we Włoszech był to Amadeo, ale stał się Armandem do osiemnastego wieku i później używał tego miana.

- Nie tak szybko, proszę - powiedziała Jesse. - Twierdzisz, że udokumentowano istnienie Teatru Wampirów? Że zrobili to nasi ludzie?

- Uczynili to starannie. Akta są ogromne i zawierają mnóstwo wspomnień na temat teatru. Mamy również dokumenty prawne posiadłości. Tu zaczyna się kolejne ogniwo naszych akt i tej powieści, „Wywiadu z wampirem”. Właściciel teatru, który nabył go w 1789, nazywał się Lestat de Lioncourt. Jest obecnie w Paryżu posiadłość, której właściciel nazywa się tak samo.

- Czy to sprawdzona wiadomość? - zapytała Jesse.

- Wszystko to jest w aktach - powiedział Dawid - odbitki zarówno starych, jak i nowych dokumentów. Jeśli zechcesz, możesz zbadać podpis Lestata. On robił wszystko z rozmachem - jego wspaniały podpis zajmuje połowę strony. Mamy odbitki kilku egzemplarzy. Chcemy, żebyś zabrała je ze sobą do Nowego Orleanu. W gazecie jest opis pożaru, który zniszczył teatr, identyczny z opisem Louisa. Data taka sama jak w powieści. A co do niej samej, to przeczytaj ją starannie jeszcze raz.

Pod koniec tygodnia Jesse była już w samolocie do Nowego Orleanu. Miała opatrzyć notatkami i udokumentować jak najdokładniej treść powieści, przeszukując dokumenty praw własności, przekazania tychże praw, stare gazety, dzienniki - wszystko, co wsparłoby teorię, że postaci i wydarzenia opisane w powieści są prawdziwe.

Nadal nie wierzyła w to wszystko. Niewątpliwie coś w tym było, ale jej zdaniem ten numer polegał jednak tylko na tym, że sprytny autor powieści historycznych trafił przypadkiem na interesujące realia i wplotł je w fikcyjną opowieść. Badzmy poważni, bilety teatralne, dokumenty prawne, programy i tym podobne szpargały jeszcze nie dowodzą istnienia krwio pijących niesmiertelnych.

Jeśli chodzi o zasady postępowania, które obowiązywały Jesse, to naprawdę można było oszaleć.

Wolno jej było przebywać w Nowym Orleanie wyłącznie od wschodu słońca do czwartej po południu. O czwartej miała udawać się na północ miasta, do Baton Rouge, i spędzać noc bezpiecznie na piętnastym piętrze nowoczesnego hotelu. Gdyby odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje albo śledzi, miała od razu szukać skupiska ludzi. Z dobrze oświetlonego, ludnego miejsca miała natychmiast zamówić rozmowę międzynarodową do Talamaski w Londynie.

Nigdy, w żadnych okolicznościach, nie wolno jej było próbować „aktu nadzmysłowego postrzegania”

wobec żadnego z wampirów. Zasięg ich mocy był Talamasce nieznany. Jedno było pewne: te istoty potrafią czytać w myślach. Poza tym potrafią wprowadzić ludzi w stan pomieszania umysłu. Istniały znaczące dowody ich niezwyklej potęgi. Na pewno mogły zabijać.

Niewatpliwie niektóre z nich wiedziały o Talamasce. Już kilku członków zakonu znikło podczas śledztw.

Jesse była zobowiązana do skrupulatnej lektury codziennej prasy. Talamasca miała powody, by zakładać, że Nowy Orlean był wolny od wampirów. W innym wypadku Jesse nie zostałaby tam wysłana. Jednak Lestat, Armand lub Louis mogli się pojawić tam w każdej chwili. Jeśli Jesse natrafi na artykuł o niewytłumaczalnej śmierci, ma wyjechać z miasta i nie wracać.

Jesse uznawała te wszystkie środki bezpieczeństwa za śmiechu warte. Nawet sterta wzmianek o tajemniczych zgonach nie zrobiła na niej wrażenia ani nie przestraszyła. Przecież ci wszyscy ludzie mogli być ofiarami kultu satanistycznego. I byli za dużo ludzi.

Ale Jesse zależało na tym zadaniu.

W drodze na lotnisko Dawid zapytał ją o to.

- Jeśli naprawdę trudno ci uwierzyć w moje słowa, to dlaczego zależy ci na śledztwie w sprawie tej książki?

Nie spieszyła się z odpowiedzią.

- W tej powieści jest coś nieprzyzwoitego. Sprawia, że życie tych istot wydaje się pociągające. Początkowo nie zdajesz sobie z tego sprawy; to nocny koszmar, z którego nie potrafisz się otrząsnąć. A potem nagle czujesz się w tym wygodnie. Chcesz w tym nadal tkwić. Nawet tragedia Klaudii nie może cię zmusić do odwrotu.

- I?...

- Chcę udowodnić, że to jest wymysł.

To zupełnie odpowiadało Talamasce, zwłaszcza że padło z ust wyszkolonego śledczego.

Podczas długiego lotu do Nowego Jorku Jesse zdawała sobie jednak sprawę, że chodzi jej o coś jeszcze, coś, o czym nie mogła powiedzieć Dawidowi. Dopiero niedawno uzmysłowiła sobie, że „Wywiad z wampirem” przypominał jej o lecie z Maharet, chociaż nie wiedziała dlaczego. Raz za razem przerywała lekturę, myślała o tamtych wakacjach. Przypominały się jej drobiazgi, nawet znowu o nich sniła. Te sprawy nie mają ze sobą nic wspólnego - powiedziała sobie. A jednak był jakiś związek, coś pokrewnego z atmosferą książki, nastrojem, nawet z charakterem postaci i całym układem spraw - podobnym, a tak naprawdę zupełnie niepodobnym. Jesse nie mogła uchwycić i nazwać istoty tych odniesień. Jej władze umysłowe oraz pamięć były przedziwnie zablokowane.

Pierwsze dni Jesse w Nowym Orleanie były najdziwniejsze w jej całej karierze medium.

W mieście panował karaibski wilgotny klimat. Miało urode i trwałe kolonialny koloryt, które natychmiast ją oczarowały. Gdziekolwiek się udała, wyczuwała różne niesamowitości. Całe miasto wydawało się nawiedzone. Niesamowite rezydencje sprzed wojny secesyjnej były uwodzicielsko milczące i ponure.

Nawet pełne turystów ulice French Quarter emanowały zmysłowa i zjawiskowo groźna atmosfera, która wiecznie sprowadzała Jesse z wyznaczonego szlaku lub zatrzymywała na długie chwile rozmarzenia na ławce przy Jackson Square.

Nie cierpiała przymusowych wyjazdów o czwartej po południu. Wielopietrowy hotel w Baton Rouge zapewniał boski poziom amerykańskiego luksusu. Jesse całkiem się tam podobało. Jednak leniwy wdziek Nowego Orleanu zauroczył ją bez reszty. Każdego rana budziła się z niejasnym uczuciem, że sniła o wampirach. I o Maharet.

Potem, cztery dni po rozpoczęciu śledztwa, dokonała serii odkryć, po której natychmiast złapała za słuchawkę. Na liście podatników Luizjany bezdyskusyjnie figurował niejaki Lestat de Lioncourt. Rzeczywiście w 1862 roku przejął mieszkanie przy ulicy Royal od swojego współnika, Louisa de Pointe du Lac. Ten z kolei był właścicielem siedmiu różnych nieruchomości na terenie Luizjany; jedna z nich była plantacja opisana w „Wywiadzie z wampirem”. Jesse była oszolomiona. I wniebowzięta.

Czekały ją dalsze odkrycia. Niejaki Lestat de Lioncourt był obecnie właścicielem domów rozsianych po całym mieście. Podpis tej osoby, pojawiający się w urzędowych zapiskach z lat 1895 i 1910, był identyczny z podpisami osiemnastowiecznymi.

Och, to było aż nazbyt wspaniale. Jesse bawiła się cudownie.

Od razu wybrała się, by sfotografować posiadłości Lestata. Dwie z nich, rezydencje w Garden District, były nie zamieszkanymi ruinami z przerdzewiałymi bramami. Ale pozostałe, w tym mieszkanie przy obecnej ulicy Royal - to samo, które przepisano na Lestata w 1862 roku - wynajmowano przez miejscową agencję, która przesyłała płatności adwokatowi w Paryżu.

To było ponad siły Jesse. Telegraficznie poprosiła Dawida o pieniądze. Musi spłacić lokatorów przy ulicy Royal, gdyż to mieszkanie z pewnością zamieszkiwali kiedyś Lestat, Louis i mała Klaudia. Byli wampirami czy nie, ale mieszkali tam!

Dawid bezzwłocznie przesłał pieniądze wraz z wyraźnym zaleceniem, by nie zbliżała się do zrujnowanych rezydencji. Jesse natychmiast odpowiedziała, że już sprawdziła tamte domy. Nikt nie pojawił się w nich od lat.

Ważne było mieszkanie. Do końca tygodnia spłaciła lokatorów, którzy wyprowadzili się z radością i z pełnymi garściami gotówki. Wczesnym poniedziałkowym rankiem Jesse weszła do pustego lokalu na piętrze.

Cudowna ruina. Stare kominki, stiuki, drzwi, wszystko jak w powieści!

Zaopatrzona w srubokret i dluto zaczęła od frontowych pomieszczeń. Louis opisał pożar, w którym Lestat został poważnie poparzony. No cóż, Jesse przekonała się, czy był tam naprawdę jakiś pożar.

Nie minęła godzina, a znalazła spalone, belki! A murarze - błogosławieni murarze! - likwidując ślady zniszczenia, zapchali dziury gazetami z 1862 roku. Zgadzało się to idealnie z relacją Louisa. Przepisał wille na Lestata, zaplanował wyjazd do Paryża, a potem wybuchł pożar, podczas którego Louis i Klaudia uciekli.

Oczywiście Jesse starała się zachować sceptycyzm, ale postaci z książki nabierały przedziwnego realizmu. Musiałaby wyjść z domu, żeby zadzwonić do Dawida, i to sprawiło ją w rozdrażnienie. Chciała natychmiast wszystko mu opowiedzieć.

Nie wyszła jednak; przeciwnie, godzinami siedziała w salonie, napawając się plamami słońca na zniszczonym parkiecie, słuchając skrzypienia budynku. Tak stary dom nie może być cichy, nie w takim wilgotnym klimacie. Nie widziała żadnego ducha, mimo to nie czuła się samotna. Przeciwnie, wokół panowało przytulne ciepło. Nagle ktoś ją potrzaskał, żeby się obudziła. Nie, oczywiście, że nie; nie było tam nikogo oprócz niej. Zegar wybijał czwarta.

Następnego dnia wypożyczyła odparowarkę do tapet i zajęła się innymi pokojami. Musiała dobrać się do oryginalnych warstw. Niewykluczone, że były datowane, a poza tym szukała czegoś szczególnego. Nieopodal śpiewał kanarek, może w innym mieszkaniu lub w sklepie, i świergot nie pozwalał się jej skupić. Jak cudownie. Nie zapomnijcie o kanarku. Kanarek umrze, jeśli o nim zapomnicie. Znowu zasnęła.

Kiedy się obudziła, był zmierzch. W pobliżu słyszała dźwięki klawikordu. Słuchała przez długi czas, zanim otworzyła oczy. To Mozart, grany bardzo szybko. Zbyt szybko, ale za to z jakim kunsztem. Ogromny zageszczony motyw, zdumiewająca wirtuozeria. Wreszcie zmusiła się, by wstać, zapalić światło i ponownie włączyć odparowarkę.

Urządzenie było ciężkie, gorąca woda spływała jej strugami po ramionach. W każdym pokoju Jesse zdierała część papierowej wykładziny do surowego gipsu, a potem szła dalej. Ale buczenie sprzętu działało jej na nerwy. Miała wrażenie, że słyszy w nim głosy - śmiech rozmawiających ludzi, kogos szepejącego z naciskiem po francusku, płacz dziecka - a może to była kobieta?

Wylaczyła to dranstwo. Nic. Tylko złudzenie wywołane hałasem budzącym echa w pustym pomieszczeniu.

Wróciła do pracy, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu, z coraz większej senności ani z tego, że nie jadła. Przesuwała coraz dalej ciężkie urządzenie, aż nagle w połowie sypialni znalazła to, czego poszukiwała - ręczne malowidło na nagiej gipsowej ścianie.

Przez chwilę była zbyt podniecona, aby się poruszyć. Potem rzuciła się do pracy jak szalona. Tak, to był fresk „magicznych kniei”, który Lestat zamówił dla Klaudii. Spod kapiacej odparowarki wylało się coraz więcej szczegółów.

„Jednorozce, rajske ptaki, uginające się pod ciężarem owoców drzewa nad polyskującymi potokami” - to było właśnie tak, jak opisał Louis. Wreszcie obnażyła wielki kawał fresku obiegającego wszystkie cztery ściany. Pokój Klaudii, bez wątpienia. Miała zawroty głowy. Była osłabiona z głodu. Spojrzała na zegarek. Pierwsza w nocy.

Pierwsza! Spędziła tu połowę nocy. Powinna wyjść teraz, zaraz! Po raz pierwszy złamała zasady!

A jednak nie potrafiła zmusić się do wyjścia. Mimo podniecenia była bardzo zmęczona. Siedziała oparta o marmurową płytę kominka, światło sufitowej żarówki było ponure, a poza tym bolała ją głowa. Niemniej jednak nie odrywała wzroku od rajskich ptaszek, drobnych, cudownie oddanych kwiatów i drzew. Niebo miało barwę głębokiego cynobru, ale widniał na nim księżyc w pełni i nie było słońca, a gwiazdy rozprysły się wielką powodzią. Nadal przylegały do nich kawałeczki kutego srebra.

Po pewnym czasie dostrzegła w narożniku namalowany w tle kamienny mur, a za nim zamek. Jak cudownie szło się przez las w jego kierunku; później przechodziło się przez starannie namalowaną drewnianą bramę i wkraczało się do królestwa innej rzeczywistości. Usłyszała w głowie piosenkę, coś dawno zapomnianego, co zwykle śpiewała Maharet.

Wtem dostrzegła, że brame namalowano na autentycznym otworze w murze!

Wyprostowała się. Widziała szpary w gipsie. Tak, kwadratowe przejście, którego nie zauważyła, mocując się z cieżką odparowarką. Uklekała przed tym fragmentem ściany i dotknęła go. Drewniane drzwi. Natychmiast sięgnęła po srubokręt i usiłowała je uchylić. Bez powodzenia. Mocowała się z jedną krawędzią, potem z drugą, ale bez skutku; tylko rysowała ściane.

Przysiadła na piętach i uważnie obejrzała to miejsce. Namalowane wrota na drewnianych drzwiach. A tam, gdzie namalowano klamkę, wytarty placek. Tak! Wyciągnęła rękę i szturchnęła lekko. Drzwi nagle się uchyliły. Proste? Proste.

Uniosła latarke. Komórka wyłożona cedrem. Były tam różne rzeczy. Oprawiona w skórę książeczka! Cos w rodzaju różanca i lalka, bardzo stara porcelanowa lalka.

Przez chwilę nie potrafiła się zdobyć, by dotknąć tych przedmiotów. Czula się tak, jakby miała zbezczyć grób. Unosił się tam lekki zapach. Perfumy? Nie sni, prawda? Nie, ból głowy był zbyt silny. Najpierw wyjęła z komórki lalkę.

Wedle współczesnych standardów, była prymitywna, ale jej drewniane członki polaczono i uformowano fachowo. Biała sukienka i niebiesciutka szarfa gnily, rozpadały się na strzępki, ale porcelanowa główka była słiczna, wielkie błękitne oczy idealne, rozpuszczona blond peruczka nadal nietknięta.

- Klaudia - szepnęła.

Na dźwięk swego głosu zdała sobie sprawę z panującej ciszy. O tej godzinie na ulicach nie było żadnego ruchu. Tutaj skrzypiały tylko stare klepki, a na stole łagodnie migotała lampa naftowa. Wtem skądś dobiegła muzyka klawikordu; ktos teraz grał „Minutowy walc” Szopena z tą samą olsniewającą biegłością, którą słyszała wcześniej. Siedziała nieruchomo, wpatrzona w lalkę na podolku. Chciała uczesać jej włoski, porządnie zawiązać szarfę.

Przypomniała sobie przełomowe wydarzenia z „Wywiadu z wampirem” - Klaudia zniszczona w Paryżu; Klaudia na wyłożonym ceglami podwórku, z którego nie może uciec, obezwładniona przez zabójcę światła wschodzącego słońca. Jesse poczuła głuchy wstrząs i szybkie bezgłosne uderzenia serca tłukącego się w gardle. Klaudia przepadła, podczas gdy inni nadal egzystowali. Lestat, Louis, Armand...

Wzdrygnęła się, patrząc na pozostałe rzeczy w komórce. Siegnęła po książkę.

Dziennik! Karty kruszyły się, pokryte plamami, ale staromodne sepiowe pismo wciąż było czytelne, zwłaszcza gdy teraz zapalono wszystkie lampy naftowe i w pomieszczeniu zapanowała przytulna jasność. Bez problemu tłumaczyła francuski tekst. Pierwszy wpis nosił datę 21 września 1836 roku:

To jest mój urodzinowy podarunek od Louisa. Zrób z tym, co chcesz, powiedział. Może powinnam wpisywać tu okolicznościowe wierszyki, które przypadną mi do gustu, i czasem mu je czytać?

Zupełnie nie pojmuję, co znaczy słowo „urodziny”. Czy przyszedłem na świat 21 września, czy też chodzi o tamten dzień, w którym opuściłam wszystkie ludzkie istoty, by stać się tym, kim jestem?

Moi szlachetni rodziciele są zawsze szalenie oporni, kiedy mają oświecić mnie w takich prostych

sprawach. Można by pomyśleć, że roztrząsanie podobnych problemów jest w złym tonie. Louis wydaje się tak zbity z tropu, że wygląda wręcz zalosnie, po czym wraca do popołudniowej gazety. A Lestat uśmiecha się i gra mi przez chwilę Mozarta, po czym odpowiada, wzruszając ramionami: „To dzień, w którym urodziłaś się dla nas”.

Oczywiście, jak zwykle dał mi lalkę, replikę mnie samej, jak zawsze ubrana w replikę mojej najnowszej sukni. Nie ukrywa przede mną, że sprowadza te lalki z Francji. I co niby mam z nimi począć? Bawić się nimi, jakbym naprawdę była dzieckiem?

„Czy to jakieś przesłanie, ukochany ojczy? - spytałam go tego wieczoru. - Może powinnam na zawsze zostać lalką?” Jeśli pamięć mnie nie myli, przez te wszystkie lata dał mi ich trzydzieści. A pamięć mi dopisuje. Każda lalka jest dokładnie taka jak pozostałe. Zabrakłoby mi miejsca w sypialni, gdybym je zachowała. Ale nie czynię tego. Pale je, rozbijam pogrzebaczem porcelanowe buzie. Przyglądam się, jak ogień pożera ich włosy. Nie mogę powiedzieć, by mi to sprawiało radość. W gruncie rzeczy wszystkie są piękne. I przypominają mnie. A jednak to właściwy sposób postępowania. Lalka się tego spodziewa. Tak jak i ja.

A teraz przyniósł mi kolejną i stoi w drzwiach wpatrzony we mnie, jakby zraniony moim pytaniem. Jego oblicze pokrywa tak nagły mrok, że to chyba nie może być mój Lestat.

Dobrze byłoby móc go nienawidzić. Dobrze byłoby nienawidzić ich obu. Ale pokonują mnie nie swoją siłą, lecz słabością. Są tacy kochani! I tak przystojni. *Mon Dieu*, jak te kobiety za nimi szaleją!

Kiedy tak tam stał, patrząc, jak oglądam lalkę, która mi dał, zapytałam go ostro:

„Podoba ci się to, co widzisz?”

„Już ich więcej nie chcesz, prawda?” - szepnął.

„A ty chciałbyś, gdybyś był mną?” - zapytałam go.

Mrok jeszcze gęstsza chmura pokrył jego twarz. Nigdy nie widziałam go w takim nastroju. Plonący zarządził mu do twarzy i zamrugnął, jakby przez chwilę utracił zdolność widzenia, tę swoją niezrównaną zdolność widzenia. Zostawił mnie i wrócił do salonu. Udałam się za nim. Prawde mówiąc, nie mogłam znieść jego wyglądu, niemniej jednak poszłam za nim. „Czy podobałaby ci się, gdybyś był mną?”, spytałam.

Patrzył na mnie, jakby mnie przestraszyła, jego, wysokiego mężczyzny, ja, dziecko nie sięgające mu do pasa.

„Czy uważasz, że jestem piękna?” - zapytałam go władczo.

Przeszedł obok mnie korytarzem do tylnych drzwi, ale dopędziłam go i złapałam mocno za rękaw, kiedy zatrzymał się u szczytu schodów. „Odpowiedz mi! - rzekłam mu. - Patrz na mnie. Co widzisz?”

Był w strasznym stanie. Myślałam, że się wyrwie, zaśmieje, oślepi mnie jak zwykle wybuchem wesołości. Ale zamiast to uczynić, runął przede mną na kolana, ujął mnie za ramiona i twardo pocałował w usta. „Kocham cię - szepnął. - Kocham!” A potem rzekł, jakby mnie wyklinał:

Okryj jej oblicze;

me oczy olsniła;

umarła mlodo.

To Webster, jestem prawie pewna. Jedna z tych sztuk, które Lestat uwielbia. Ciekawa jestem... czy Louis będzie zachwycony tym wierszykiem? Nie potrafię znaleźć przyczyny, dla której miałoby być inaczej. Jest króciutki, ale przesliczny.

Jesse łagodnie zamknęła diariusz. Dłonie jej drżały. Przycisnęła łalke do piersi i kolyszac się lekko, usiadła pod malowaną ścianą.

- Klaudio - szepnęła.

W głowie jej pulsowało, ale to nie miało znaczenia. Blask naftowych lamp działał tak kojąco, w przeciwieństwie do ostrego elektrycznego światła. Znieruchomiała, gładząc łalke niemal jak ślepa, wyczuwając jedwabiste miękkie włosy i sztywną wykrochmaloną sukienkę. Zegar znów bił godziny, każdy przygnębiający dźwięk odbijał się echem w pokoju. Nie wolno jej zemdlec. Musi się jakos podnieść. Musi zabrać pamiętnik, łalke, różaniec i wyjść.

Nagie, przesświetlone nocą okna były jak zwierciadła. Złamane zasady. Zadzwoń do Dawida, tak, zadzwoń natychmiast do Dawida. Usłyszała dźwięk telefonu. O tej porze? To niewyobrażalne. Telefon wciąż dzwonił. Dawid nie ma numeru tego mieszkania, ponieważ telefon... Usiłowała go zignorować, ale dzwonił i dzwonił. Niech będzie, odbierz!

Pocałowała łalke w czoło.

- Zaraz wracam, kochanie - szepnęła.

Cholera, gdzie w tym domu jest telefon? Oczywiście, w niszy, w korytarzu. Była już blisko niego, kiedy zobaczyła przewód z wystrzępioną końcówką zwinięty wokół aparatu. Nie był podłączony, widziała to wyraźnie. A mimo to dzwonił, słyszała go; urządzenie wydawało jeden przerazliwy brzęk po drugim. Lampy naftowe! Przecież w mieszkaniu nie było lamp naftowych!

W porządku, widziałas wcześniej takie rzeczy. Nie panikuj, na miłość boską. Myśl! Ale krzyk rósł jej w gardle. Telefon nie przestawał dzwonić. Jeśli wpadniesz w panikę, stracisz panowanie nad sobą. Musisz zgasić te lampy, wyłączyć telefon! Ale lampy nie mogą być prawdziwe. I salon w głębi korytarza... te meble nie są prawdziwe! Migotanie ognia - nieprawdziwe! A ta osoba, która się tam rusza, kto to, jakiś mężczyzna? Nie patrz na niego! Zrzuciła telefon na podłogę. Słuchawka przewróciła się mikrofonem do góry. Usłyszała cichy, kobiecy głos:

- Jesse?

W ślepej panice wróciła biegiem do sypialni, potknęła się o nogę krzesła, upadła na wykrochmaloną firanę z kolumnkami. To nie jest naprawdę. Nie tu. Bierz łalke, bierz książkę, różaniec! Wepchnęła wszystko do płócienną torbę, zerwała się na nogi i wybiegła tylną klatką schodową. Mało

nie upadła, uderzywszy stopa o żelazny pret. Ogród, fontanna... Dobrze wiesz, że tam nie ma nic oprócz chwastów. Na drodze jej wyrosła kuta w żelazie brama. To iluzja. Biegnij przez nią! Ile sił w nogach!

Senny koszmar złapał ją w swoje szpony, brzek konskich kopyt i loskot powozu dudniły jej w uszach, kiedy biegła po kocich łbach. Każdy niezdarny gest ciągnął się przez wieczność, ręce nie mogły znaleźć kluczyków do samochodu ani otworzyć drzwi, a potem silnik nie chciał zapalić.

Zanim dotarła do granicy French Quarter, rozelkała się i złała potem. Pedziła ulicami biednego ponurego przedmieścia w kierunku autostrady. Zatrzymana przy wjeździe, odwróciła głowę. Tylnie siedzenie puste. W porządku, nikt jej nie śledził. Torba leżała na kolanach; czuła twarda porcelanowa główka lalki na swojej piersi. Wdusiła gaz do dechy i popędziła do Baton Rouge.

Zanim dojechała do hotelu, była chora. Ledwo doszła do recepcji. Aspiryna, termometr. Proszę pomóc mi dojść do windy.

Kiedy obudziła się po osmiu godzinach, było południe. Nadal nie wypuściła z objęć torby. Miała trzydzieści dziewięć stopni gorączki. Zadzwoiła do Dawida, ale połączenie było okropne. On zadzwonił do niej; żadnej poprawy. Niemniej jednak starała się, by ją zrozumiał. Pamiętnik należał do Klaudii, nie było żadnych wątpliwości, potwierdzał wszystko! Telefon nie był podłączony, a mimo to słyszała głos tamtej kobiety! Lampy naftowe płonęły, kiedy wybiegła z mieszkania. W mieszkaniu stały meble; na kominkach płonął ogień. Czy od tych lamp i kominków nie spłonie mieszkanie? Dawid musi coś zrobić! Odpowiadał jej, ale ledwo go słyszała. Powiedziała mu, że ma torbę, niech się nie martwi.

Kiedy otworzyła oczy, było ciemno. Obudził ją ból głowy. Zegar cyfrowy na toalecie wskazywał wpół do jedenastej. Czuła pragnienie, straszne pragnienie, a szklanka obok łóżka była pusta. Ktoś obcy jest w pokoju - pomyślała.

Odwróciła się na plecy. Światło przeswitywało przez cienką białą zasłonę. Tak, tam. Dziecko, dziewczynka. Siedziała na krześle pod ścianą.

Jesse wyraźnie widziała zarys sylwetki - długie jasne włosy, sukienka z bufiastymi rękawami, nogi kiwające się w powietrzu, nie dotykające podłogi. Usiłowała się skupić. Dziecko... niemożliwe. Zjawą. Nie. To coś zajmuje przestrzeń. Coś złowrogiego. Zagrożenie... Dziecko patrzyło na nią.

Klaudia!

Niezdarnie wyskoczyła z łóżka, mało się nie przewracając; nadal trzymała torbę w ramionach, kiedy wbiła się plecami w ścianę. Dziewczynka wstała. Rozległ się wyraźny odgłos kroków na dywanie. Poczucie zagrożenia wzrosło. Dziecko zbliżało się do Jesse; krag światła padł na niebieskie oczy, okrągłe policzki, delikatne nagie ramiona.

Jesse wrzasnęła. Przyciskając torbę do siebie, rzuciła się do drzwi. Szarpnęła zamek i lancuch, lekając się spojrzeć za siebie. Wydawała z siebie nie kontrolowane odgłosy. Usłyszała głosy za drzwiami i wreszcie otworzyła je, wypadając na korytarz.

Otoczyli ją ludzie; ale nadal uciekała, byle dalej od pokoju. Ktoś pomógł jej wstać, bo chyba znowu upadła. Ktoś inny podsunął jej krzesło. Plakała, na próżno starając się uspokoić, i obiema rękami ścisnęła torbę z lalką i pamiętnikiem.

Kiedy przyjechała karetka, Jesse nie pozwoliła odebrać sobie torby. W szpitalu dostała antybiotyki, środki uspokajające, tyle głupiego jasia, że każdy by zwariował. Leżała w łóżku skulona jak dziecko, z

torba pod koldra. Gdy tylko pielęgniarka dotknęła jej skarbu, Jesse budziła się natychmiast.

Aaron Lightner zjawiał się dwa dni potem. Wciąż była chora, kiedy wsiadła do samolotu do Londynu. Aaron trzymał torbę na kolanach i był dla Jesse taki dobry, uspokajał ją, opiekował się nią, gdy spała i spała podczas długiego lotu do domu. Dopiero tuż przed samym lądowaniem zdała sobie sprawę, że znikła bransoletka, jej piękna srebrna bransoletka. Plakała cicho, z zamkniętymi oczami. Bransoleta Maela przepadła.

* * *

Odebrali jej zadanie.

Nawet nie musieli o tym mówić. Jest za młoda na taką pracę, powiedzieli, zbyt niedoświadczona. Nie powinni byli jej wysyłać. Dalsze prace są dla niej po prostu zbyt niebezpieczne. Oczywiście, dokonała niesłychanych odkryć. A nawiedzenie było niezwyklej mocy. Duch niezwykłego wampira? Jak najbardziej. Dzwoniący telefon, no cóż, wielokrotnie raportowano o takich sprawach - te istoty używają przeróżnych sposobów porozumiewania się między sobą lub zastraszania żywych. Teraz należy pozwolić, by odpoczęła i przestała o tym myśleć. Inni będą kontynuować śledztwo.

W pamiętniku było jeszcze tylko kilka zapisów, nie bardziej znaczących niż to, co już przeczytała. Psychometrycy, którzy zbadali różaniec i lalkę, nie dowiedzieli się niczego. Te rzeczy będą przechowywane z największą starannością. Jesse naprawdę musi natychmiast przestać o tym myśleć.

Jesse wyklócała się. Błagała o pozwolenie na powrót. Histeryzowała. Bez skutku. Któregoś dnia, może za dziesięć lat, może za dwadzieścia, znów powierza jej ten obszar badań. Nikt nie wykluczał takiej możliwości, ale na razie odpowiedź brzmi „nie”. Jesse ma odpocząć, nabrać sił, zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

Zapomnieć o tym, co się wydarzyło...

Chorowała wiele tygodni. Ubrana w białe flanelowe koszule nocne, przez cały dzień siedziała w fotelu przy oknie w swoim pokoju, bez końca pijąc gorącą herbatę. Patrzyła na delikatną ciemną zielen parku, na kolorowe plamy przesuwające się bezszelestnie po odległej szutrowej drodze. Jaka cudowna cisza. Przynoszono jej smakołyki do jedzenia lub picia. Zjawiał się Dawid i rozmawiał z nią łagodnie o wszystkim, tylko nie o wampirach. Aaron zapelniał pokój kwiatami. Przychodzili też inni.

Rozmawiała mało albo wcale. Nie potrafiła im wytłumaczyć, jak bardzo została zraniona, ani opowiedzieć o tym dawno minionym lecie, kiedy odsunięto ją od innych sekretów, innych tajemnic, innych dokumentów zamkniętych w sejfach. Wciąż jedna i ta sama historia. Dostrzegła coś o nieoszacowanej wartości i tyle osiągnęła, że zatrasnęto jej drzwi przed nosem.

Nigdy nie zrozumie, co widziała i czego doświadczyła. Musi zachować dla siebie swoje żale. Czemu nie zdecydowała się sięgnąć po słuchawkę, odezwąć się, posłuchać głosu?

A dziecko, czego chciał duch tego dziecka? Chodziło o pamiętnik czy o lalkę? Nie, Jesse było pisane znaleźć jedno oraz drugie i zabrać ze sobą! A jednak odwróciła się od owej zjawy! Ona, która zwracała się do tak wielu bezimiennych istot, która w mrocznych pokojach odwrotnie rozmawiała z niewyraźnie migocącymi zjawami, kiedy inni uciekali w panice. Ona, która niezmiennie zapewniała innych: te istoty, bez względu na to, kim są, nie mogą zrobić krzywdy!

Blagała o jeszcze jedną szansę. Przemyslała wszystko, co zaszło. Musi wrócić do Nowego Orleanu. Dawid i Aaron milczeli. Wreszcie Dawid podszedł i objął ją ramieniem.

- Jesse, moja droga - szepnął. - Kochamy cię. Ale przede wszystkim nie możemy łamać zasad postępowania.

Noca sniła o Klaudii. Pewnego razu obudziła się o czwartej, podeszła do okna i spojrzała na park, usiłując zobaczyć coś więcej niż przestrzeń rozjaśnioną mdłymi światłami z niższych okien. Daleko pod drzewami było dziecko, drobna postać w czerwonej pelerynce z kapturem, spoglądająca ku niej w górę. Zbiegła po schodach po to tylko, by z nadejściem szarego poranka ocknąć się na pustym mokrym trawniku.

* * *

Na wiosnę posłano ją do Nowego Delhi.

Miała udokumentować przypadki reinkarnacji, oświadczenia małych Hindusów utrzymujących, że pamiętają swoje poprzednie życie. Doktor Ian Stevenson dokonał już obiecujących odkryć w tej dziedzinie. Jesse miała podjąć na rzecz Talamaski niezależne badania, które mogły przynieść również owocne rezultaty.

W Delhi przywitani ją dwaj starsi członkowie zakonu. W starej brytyjskiej rezydencji, która zajmowali, od razu poczuła się jak w domu. Po pewnym czasie pokochała te prace, a po pierwszych wstrząsach i pokonaniu drobnych niedogodności pokochała również Indie. Do końca roku była znowu szczęśliwa - i skuteczna.

Zdarzyło się jeszcze coś, prawdziwy drobniaczek, niemniej jednak dobra wróżba. W kieszeni starej torby - tej, którą Maharet przysłała jej wiele lat temu - znalazła srebrną bransoletę Maela.

Tak, miała szczęście.

Ale nie zapomniała o tym, co się wydarzyło. Bywały noce, gdy widziała wizerunek Klaudii tak wyraźnie, że musiała wstawać i zapalać wszystkie lampy w pokoju. Innymi razami miewała wrażenie, że na ulicach miasta widzi wokół siebie dziwne bladoliczne istoty, zupełnie jak postaci z „Wywiadu z wampirem”. Czula się obserwowana.

Ponieważ nie mogła opowiedzieć Maharet o tej dziwnej przygodzie, jej listy stały się jeszcze bardziej lakoniczne i powierzchowne. Mimo to Maharet była wierna jak zawsze. Kiedy członkowie rodziny przybyli do Delhi, odwiedzili Jesse. Utrzymywali z nią kontakty. Przysyłali zawiadomienia o ślubach, urodzinach, pogrzebach. Blagali o odwiedziny w czasie świąt. Matthew i Maria pisali z Ameryki, prosząc, by nie zwleką z przyjazdem do domu. Było im jej brak.

* * *

Jesse spędziła w Indiach cztery szczęśliwe lata. Udokumentowała trzysta indywidualnych przypadków zdumiewających reinkarnacji. Pracowała z najdoskonalszymi śledczymi zjawiskami parapsychologicznymi,

jakich kiedykolwiek poznała. Praca wciąż dawała jej satysfakcję, niemal poczucie komfortu.

Jesienią następnego roku wreszcie uległa Matthew i Marii. Obiecała przyjechać na miesiąc do Stanów. Byli w siódmym niebie.

Rodzinne spotkanie okazało się ważniejsze, niż się tego spodziewała. Wzruszył ją widok starego nowojorskiego mieszkania. Uwielbiała późne kolacje ze swoimi przybranymi rodzicami, którzy nie pytywali jej o pracę. Pozostawiona sama sobie podczas dnia, umawiała się na lunch z dawnymi przyjaciółmi z college'u albo odbywała długie samotne spacerunki przez tętniący życiem miejski krajobraz budzący wspomnienia dziecięcych marzeń, nadziei i smutków.

* * *

Dwa tygodnie po przyjeździe ujrzała na wystawie księgarni „Wampira Lestata”. Przez chwilę myślała, że ma zwidy. To niemożliwe. A jednak książka leżała przed jej nosem. Sprzedawca poinformował ją, że ukazała się płyta pod tym samym tytułem, niebawem w San Francisco odbędzie się koncert. Wracając do domu, Jesse kupiła w sklepie muzycznym bilet oraz płytę.

Przez cały dzień leżała samotnie u siebie w pokoju, czytając książkę. Czuliła się tak, jakby koszmar „Wywiadu z wampirem” powrócił i po raz kolejny nie mogła się z niego otrząsnąć. A równocześnie każde słowo budziło w niej dziwne echo. Tak, jesteście prawdziwi, wy wszyscy - huczało jej w głowie. Jakże kretymi ścieżkami toczyła się fabuła powieści, od rzymskiego domu sabatowego Santina, przez wyspiarską kryjówkę Mariusza i druidyjski gaj Maela; i wreszcie Ci Których Należy Miec w Opiece, żywi, a jednocześnie twardzi i biali jak marmur.

Ach, tak, ona dotknęła tego kamienia! Spojrzała w oczy Maela; czuła w swojej dłoni dłoń Santina. Widziała malowidło Mariusza w skarbcu Talamaski!

Kiedy zamknęła oczy do snu, widziała Maharet na balkonie domu w górach Sonoma. Księżyc świecił wysoko nad czubkami sekwoi, a ciepłe nocne powietrze wydawało się pełne niepojętej tajemnicy i grozy. Byli tam Eryk i Mael, a także inni, których spotkała tylko na kartach książki Lestata. Wszyscy należeli do tego samego plemienia; jarzące oczy, błyszczące włosy, skóra pozbawiona porów, lśniaca substancja. Wodziła palcami po srebrnej bransoletce, tysięczny raz wyczuwając celtyckie symbole bogów i bogin, do których druidowie przemawiali niegdyś w lesnych gajach podobnych do wieżienia Mariusza. Ilu ogniw brakuje, by mogła połączyć te ezoteryczne twory wyobraźni z niezapomnianym latem?

Niewatpliwie jednego. Samego Wampira Lestata. W San Francisco, kiedy zobaczy go i dotknie, pozna ostatnie ogniwo. Pozna odpowiedź na wszystkie pytania.

Zegar tykał. Jej lojalność wobec Talamaski umierała. Nie mogła im nic zdradzić. Jakież to tragiczne, bo przecież byłiby ogromnie, bezinteresownie przejęci; nie zwatpiliby w żadne jej słowo.

Było dawno minione popołudnie. Znowu się tam znalazła. Schodziła kretymi schodami do piwnicy Maharet. Czy zdola otworzyć drzwi? Spójrz. Zobacz to, co zobaczyłaś wtedy. Na pierwszy rzut oka nic strasznego - jedynie ci, których znalazła i kochała, śpiący w mroku, śpiący. Mael leży na podłodze jak martwy, a Maharet siedzi pod ścianą sztywno jak posąg. Ma otwarte oczy!

Obudziła się roztrzesiona, z rozpaloną twarzą; pokój wokół był zimny i ciemny.

- Miriam - powiedziała glosno. Panika stopniowo ustepowala. Jesse zblizyła sie do nich jeszcze bardziej, pełna wielkiego leku. Dotknęła Maharet. Była zimna, zeszywniała. Mael martwy! Reszta była ciemnością.

Znów jest w Nowym Jorku. Leży w łóżku z książką w ręce. Miriam nie przyszła. Jesse powoli wstała i podeszła do okna.

Przed sobą, w brudnej szarówce popołudnia ujrzała zjawę wysokiego domu Stanforda White'a. Jesse wpatrywała się w niego, dopóki nie rozplynął się stopniowo w niewyraźnym świetle.

Z okładki płyty stojącej na toalecie uśmiechał się do niej Wampir Lestat.

Zamknęła oczy. Wyobraziła sobie tragiczną parę Tych Których Należy Mieć w Opiece. Niezniszczalni król i królowa na egipskim tronie, dla których Wampir Lestat śpiewał swoje hymny. Ujrzała jasniejacą wśród cieni białą twarz Maharet. Alabaster. Kamień zawsze pełen światła.

Zapadał nagły jesienny zmierzch, mgliste popołudnie gineło w ostrych światłościach wieczoru. Ruch samochodowy wypełniał ulice, hałas odbijał się echem od ścian budynków. Czy w Nowym Jorku zawsze było tak głośno? Oparła czoło o szybę. Katem oka widziała dom Stanforda White'a. Wewnątrz poruszały się jakieś postaci.

* * *

Następnego popołudnia wyjechała z Nowego Jorku starym kabrioletem Matta. Zapłaciła mu, mimo że się wzbrał. Wiedziała, że nigdy nie odda mu samochodu. Potem uściskała rodziców i tonem tak lekkim, na jaki potrafiła się zdobyć, powiedziała im wszystko, co w głębi serca zawsze chciała im przekazać.

Tego samego dnia wysłała ekspres do Maharet, załączając obydwie „wampirze” powieści. Wyjaśniła, że porzuciła Talamaske, że jedzie na zachód, na koncert Wampira Lestata i chce zatrzymać się w domu w górach Sonoma. Musi spotkać się z Lestatem, to sprawa najwyższej wagi. Czy stary klucz będzie pasował do zamka? Czy Maharet pozwoli, żeby się tam zatrzymała?

Pierwszej nocy, w Pittsburghu, sniła o bliźniaczkach. Ujrzała dwie kobiety klęczące przed ołtarzem. Ujrzała usmażone ciało gotowe do zjedzenia. Ujrzała jedną bliźniaczkę podnoszącą mise z sercem, drugą - mise z mózgiem. Potem żołnierzy, świętokradztwo.

Zanim dotarła do Salt Lake City, sniła o bliźniaczkach trzy razy. Widziała niejasną i przerażającą scenę gwałtu. Widziała jedną z sióstr rodzącą dziecko. Widziała ukrycie niemowlęcia, kiedy bliźniaczki znów były seigane i wzięte w niewole. Czy zostały zabite? Nie potrafiła powiedzieć. Te rude włosy. Gdyby tylko mogła ujrzeć ich twarze, oczy! Te rude włosy dreczyły ją.

Dopiero kiedy zadzwoniła do Dawida z automatu przy szosie, dowiedziała się, że inni też mieli te sny - ludzie o zdolnościach parapsychologicznych na całym świecie. Wszystkie one miały związek z Wampirem Lestatem. Dawid nakazał Jesse natychmiastowy powrót do domu.

Jesse próbowała wszystko mu wytłumaczyć. Jedzie na koncert, by zobaczyć Lestata na własne oczy. Musi to zrobić. Ma więcej do powiedzenia, ale teraz jest na to za późno. Dawid musi jej wybaczyć.

- Nie rób tego, Jessico - powiedział. - To, co się dzieje, nie jest prosta sprawa do odfajkowania w archiwach. Musisz wrócić; jesteś tu potrzebna. Jesteś tu rozpaczliwie potrzebna. To nie do pomyslenia, żebyś próbowała tego „aktu nadzmysłowego postrzegania” na własną rękę. Jesse, usłuchaj tego, co do ciebie mówię.

- Nie mogę wrócić, Dawidzie. Zawsze was kochałam. Kochałam was wszystkich. Ale powiedz mi. To ostatnie pytanie, jakie ode mnie usłyszysz. Dlaczego sam nie jedziesz?

- Jesse, ty mnie nie słuchasz.

- Dawidzie, chcę prawdy. Powiedz mi prawdę. Czy kiedykolwiek w nie wierzyłeś? Czy też zawsze to była sprawa artefaktów, malowideł w skarbcach, rzeczy, które można zobaczyć i wziąć do ręki! Wiesz, o czym mówię, Dawidzie. Pomyśl o katolickim księdzu, który dokonuje konsekracji podczas mszy. Czy naprawdę wierzy w to, że Chrystus jest na ołtarzu? Czy też ważne są jedynie kielich, wino i śpiew chóru?

Och, ależ jest nieuczciwa! Tyle przed nim ukrywała, a jednocześnie tak bardzo naciskała. Jego odpowiedź nie sprawiła jej zawodu.

- Jesse, mylisz się. Wiem, do czego są zdolne te stwory. Zawsze o tym wiedziałem. Nigdy nie miałem w tej sprawie najmniejszych wątpliwości i z tego względu żadna siła nie skłoniłaby mnie do uczestniczenia w tym koncercie. To właśnie ty nie możesz zaakceptować prawdy. Musisz zobaczyć, żeby uwierzyć! Jesse, nie lekceważ niebezpieczeństwa. Lestat jest tym, za kogo się podaje, i będa tam też inni, nawet jeszcze bardziej niebezpieczni, którzy mogą cię rozpoznać i skrzywdzić. Przejrzyj na oczy i zrób to, co ci mówię. Natychmiast wracaj do domu.

Co za rozziewająca i bolesna sytuacja. On usiłował nawiązać z nią kontakt, a ona tylko mówiła mu „zegnaj”. Obiecywał, że opowie jej „całość”, że otworzy przed nią akta, zapewniał, że wszyscy potrzebują jej w tej właśnie sprawie.

Jednak ona myślała o czymś innym, o tym, że sama nie może opowiedzieć mu swojej „całości”, i stąd jej cierpienie. Znowu ogarnęła ją sennosc; sen zamajaczył ponuro na obrzeżach jej świadomości, kiedy odłożyła słuchawkę. Ujrzała miski, trupa na ołtarzu, ich matkę. Tak, ich matkę. Czas spać. Sen tego chce. A potem w drogę.

* * *

Droga numer 101. Godzina dziewiętnasta trzydziści pięć. Za dwadzieścia pięć minut zacznie się koncert.

Właśnie przejechała górską przełęcz na Waldo Grade i ujrzała cudowny widok - zatłoczony miejski horyzont San Francisco nad wzgórzami, a dalej czarna tafle lśniacej wody. Wieże Golden Gate wystrzeliły w niebo, lodowaty wiatr z zatoki mroził nagie dłonie zacisnięte na kierownicy.

Czy Wampir Lestat będzie na czas? Myśl, że niesmiertelny stwór będzie na czas, wzbudziła w niej śmiech. No cóż, ona sama będzie na czas; podróż prawie się skończyła.

Wszelki smutek ustąpił, uciekła tęsknota za Dawidem i Aaronem, a także za tymi, których kochała. Nie smuciła się też z powodu Wielkiej Rodziny. Czuli tylko wdzięczność wobec nich wszystkich. A może

jednak Dawid miał rację. Może nie zaakceptowała zimnej, przerażającej istoty rzeczy, a jedynie wślizgnęła się do królestwa wspomnień i duchów, bladych stworów, które były prawdziwą substancją snów i szaleństwa.

Przed sobą miała fantom domu Stanforda White'a i nie było ważne, kto tam mieszkał. Zostanie przywitana serdecznie. Próbowano jej to powiedzieć od pierwszej chwili, która zachowała w pamięci.

CZĘŚĆ II

Wigilia Wszystkich Świętych

Bardzo niewiele

bardziej zasługuje na nasze zachody,

niz zrozumienie

talentu Materii.

...

Pszczola, żywa pszczoła

tlucze o szybę, usiłuje się wydostać, skazana na swój los,

ona nie rozumie.

Stan Rice wiersz bez tytułu z tomu „Ewolucja świni” (1976)

Daniel

Długi krety westybul pełen kolorowej ludzkiej masy ocierającej się o wyprane z kolorów ściany. Tłum nastolatków w halloweenowych kostiumach napływał frontowymi drzwiami; pechniały kolejki do stoisk z blond perukami i czarnymi satynowymi pelerynami - Kły, pięćdziesiąt centów para! - i programami na

kredowym papierze. Wszędzie, gdzie spojrzal, białe twarze, wymalowane oczy i usta. A gdzie indziej grupki ludzi obojga płci starannie przebrane w autentyczne dziewiętnastowieczne stroje; makijazę i koafiury bez zarzutu.

Kobieta w aksamitach wyrzuciła w górę wielką fontannę zeschłych płatków róż. Namalowana krew spływała po jej sinych policzkach. Wybuchy śmiechu.

Czul w powietrzu zapachy szminki i piwa, tak obce jego zmysłom; czuł won zgnilizny. Bijące wokół serca uderzały cudownym gradem o jego delikatne blony bebenkowe.

Musiał głośno się rozesmiać, ponieważ poczuł na ramieniu ostre uszczyplenie Armanda.

- Danielu!

- Przepraszam, szefie - szepnął. Zresztą i tak nikt nie zwracał na to uwagi; każdy śmiertelny w zasięgu wzroku był przebrany; a kim byli Armand i Daniel, jeśli nie tylko dwoma bladymi, nie wyróżniającymi się w ścisku ludźmi w czarnych swetrach i dzinsach, z ciemnymi szklami na oczach i włosami częściowo ukrytymi pod zeglarskimi czapczkami z niebieskiej wełny. - O co chodzi? Nie mogę rozesmiać się głośno, zwłaszcza teraz, kiedy wszystko jest takie śmieszne?

Armand był rozkojarzony; znów nasłuchiwał. Daniel nie potrafił wbic sobie do głowy, że powinien się bac. Miał wreszcie to, na czym mu zależało. Nie jesteście już moimi braćmi i siostrami!

- Trzeba cię sporo nauczyć - powiedział mu wcześniej Armand. To było podczas polowania, uwodzenia, zabijania, powodzi krwi płynącej przez nienasycone serce. Nienaturalne stało się jego prawdziwa natura po nieporadnym leku pierwszego morderstwa, gdy w ciągu kilku sekund przeszedł od drzenia i poczucia winy do ekstazy. Czerpał życie pełnymi haustami. Ocknął się spragniony.

A pół godziny wcześniej polknęli dwie wyborne małe uciekinierki w ruinach szkoły przy parku; dzieciaki mieszkaly tam w wynajmowanych pokojach, ze spiworami, lachmanami i małymi pojemnikami paliwa turystycznego do gotowania odpadków kradzionych z wielkich pojemników na śmieci przy Haight-Ashbury. Tym razem żadnych oporów. Tylko pragnienie, rosnące poczucie doskonałości, nieuchronność tego, co się robiło, nadprzyrodzona pamięć bezbłędnego smaku. I pospiech. Jednak robienie tego z Armandem było arcyżmieniem nie mającym żadnego związku z pospiechem wcześniejszej nocy, kiedy to liczył się tylko czas.

Armand spokojnie stał na czatach przed budynkiem czekając „na tych, którzy chcieli umrzeć”; taki był jego ulubiony sposób załatwiania sprawy; przybywali wzywani bez słów. Śmierć mieli pogodną. Dawno temu próbował zademonstrować tę sztuczkę Louisowi, ale ten uznał ją za niesmaczną.

Oczywiście, zablakowali się tam przyodziani w dzinsy cherubini, wchodzący bocznymi drzwiami jak zahipnotyzowani przez szczurolapę.

- Tak, przyszedles, wiedzieliśmy, że przyjdiesz... - witaly ich głuche, pozbawione wyrazu głosy, prowadząc schodami w górę, do salonu ozdobionego kocami z demobilu na hamakach. Umierali na tym smietniku w świetle reflektorów samochodowych sączącym się przez spekaną dyktę.

Palace brudne ramiona na szyi Daniela; smród haszu w jej włosach; ledwo mógł wytrzymać ten taniec, jej biodra przy swoich; potem wbił kły w ciało.

- Kochasz mnie, wiesz, że mnie kochasz - powiedziała. A on z czystym sumieniem odpowiedział „tak”.

Czy wiecznie będzie tak dobrze? Złapał ją za podbródek, odepchnął w tył głowę, aż śmierć jak zwinięta piśc pomknęła mu w dół gardła, do trzewi, goraco rozprzestrzeniało się, napływało do ledźwi i mózgu.

Kiedy rozwarł ramiona, upadła bezwładnie. Za dużo i nie dosyć. Przez chwilę ryl paznokciami ściane, myślać, że ona również składa się z ciała i krwi, a w takim razie ona również może być jego. Potem przeżył ogromny wstrząs, poczuwszy, że już nie jest głodny. Był napelniony, całkowity i noc czekała, jak stworzona z czystego światła, a ona była martwa, zwinięta w klebek jak spiący noworodek na zbrukanej podłodze. Armand nieruchomo jasniał w mroku; obserwował.

Naprawdę trudne było pozbywanie się ciała. Poprzedniej nocy odbyło się to bez jego udziału, kiedy lkał, przepelniony szczęściem nowicjusza. Tym razem Armand powiedział:

- Żadnych śladów to znaczy żadnych śladów.

Więc udali się razem, by pogrzebać je głęboko pod podłoga starej kotłowni, po czym starannie ułożyli z powrotem kamienne płyty. Jakie to obrzydliwe, dotykać w ten sposób trupa. Przemknęło mu przez głowę: - Kim oni byli? - Dwa upadłe byty w otchłani. Żadnego więcej „teraz”, żadnego przeznaczenia. A szloch usłyszany poprzedniej nocy? Czy ktoś jej szukał? Wtedy rozplakał się nagle. Usłyszawszy własny szloch, podniósł rękę i dotknął spływających łez.

- Jak myślisz, co to jest? - zapytał z naciskiem Armand, pomagając mu ułożyć płyty. - Szmatławce powiesić? Nie nakarmisz się, jeżeli nie potrafisz tego ukryć.

Budynek mrowił się od łagodnych, nieswiadomych istot ludzkich, kiedy wychodzili przez wylamane drzwi na boczną uliczkę. Nie jesteście już moimi braćmi i siostrami. Łasy zawsze były pełne tych łagodnych, sarnokich stworzeń, których serca były dla strzały, kuli, oszczepu. Wreszcie ujawniam moje prawdziwe oblicze: zawsze byłem myśliwym.

- Czy teraz jestem taki, jaki powinienem być? - zapytał Armanda. - Jesteś szczęśliwy? - Haight Street, dziesiętna trzydziści pięć. Samochody zderzak w zderzak, narkomani wrzeszcza na rogu. Czemu po prostu nie poszli na koncert? Hala już otwarta. Nie mógł wytrzymać oczekiwania.

Armand wytłumaczył mu, że nieopodal, przecznice za parkiem, jest dom sabatowy, wielka, zrujnowana rezydencja, i niektórzy z nich nadal się tam placza, planując spisek, który ma doprowadzić do zniszczenia Lestata. Armand chciał zajrzeć tam na chwilę.

- Szukasz kogoś? - spytał wtedy Daniel. - Odpowiedz mi, jesteś ze mnie zadowolony czy nie?

Co takiego zobaczył w twarzy Armanda? Nagły przebłysk rozbawienia, pożądania? Popędzany przez Armanda, szedł brudnymi, zaśmieconymi chodnikami. Mijał bary, sklepy pełne śmierdzących starych ciuchów, kluby o podejrzanej reputacji ze złoconymi napisami na zaśluszczonych oknach; złocone drewniane łopatki wentylatorów męły dym i ludzkie wyziewy, a sosny w doniczkach umierały powolną śmiercią w ciepłym półmroku. Obok pierwszych dzieci...

- Smakolka albo zrobimy psikusa! -

...w taftowych błyszczących kostiumach.

Armand zatrzymał się, natychmiast otoczony małymi zadartymi buziakami w tandetnych maskach duchów, potworów i wiedźm; przepięknie ciepło wypełniło jego piwne oczy; rzucił pełne garście błyszczących srebrnych dolarów do małych torebek, a potem wziął Daniela pod ramię i poprowadził go dalej.

- Nie żaluje tego, co się z tobą stało - szepnął z nagłym zniewalającym uśmiechem, nadal pełen ciepła. - Jesteś moim pierworodnym - powiedział. Czy coś złapało go za gardło? Nagle rozejrzął się na boki, jakby poczuł się osaczony. Otrząsnął się. - Cierpliwości. To ja boję się za nas dwóch, pamiętasz?

Och, pomknijmy razem do gwiazd! Nic nie może nas zatrzymać. Wszystkie duchy biegające po tych ulicach są śmiertelne!

Wtedy dom sabatowy wyleciał w powietrze.

Usłyszał wybuch, zanim go zobaczył - a potem był tylko toczący się wał płomienia i dymu oraz pisk, którego nigdy wcześniej nie słyszał; wrzaski nie z tego świata przypominające trzask cynfolii w ogniu. Kudłate ludzkie istoty rzuciły się oglądać pożar.

Armand wypchnął Daniela z ulicy w zatechle wąskie wewnątrz sklepu monopolowego. Jadownicie żółte światło i smród tytoniu; śmiertelnie obojętni na pobliskie płomienie czytali czasopisma eksponujące na błyszczącym papierze nagie kobiety. Armand przepchnął go do końca wąskiego korytarzyka. Mineli staruszkę kupującą karton mleka i dwie puszki jedzenia dla kotów. Nie było stamtąd drogi ucieczki.

Ale jak można było się ukryć przed czymś, co przetaczało się nad głowami, przed ogłuszającym hałasem, którego śmiertelnie nie mogli nawet usłyszeć? Zakrył uszy dłońmi, ale to na nic. Na zewnątrz, w bocznych uliczkach widział szalejącą śmierć, stworzenia podobne sobie biegnące przez śmietniki i podwórka, łapano, palone podczas ucieczki. Widział to w rozbłyskach. A potem nic, tylko cisza dzwoniąca w uszach, dzwonki i pisk kół świata śmiertelnych.

Mimo wszystko był zbyt zachwycony, aby się bać. Każda sekunda była wiecznością, każdy kryształ szronu na drzwiach lodówki wydawał się piękny. Czy staruszki z mlekiem w dłoni błyszczały jak dwie odrobiny kobaltu.

Twarz Armanda pod maską ciemnych okularów straciła wszelki wyraz; stał z rękami w kieszeniach spodni. Zajazgotał dzwonek przy drzwiach, wszedł młody mężczyzna, kupił butelkę niemieckiego piwa i wyszedł.

- Skonczyło się, tak!

- Na razie - odpowiedział Armand.

Odezwał się, dopiero gdy weszli do taksówki.

- To wiedziało, że tu jesteśmy; słyszało nas.

- W takim razie dlaczego?...

- Nie wiem. Wiem tylko, że wiedziało o naszej obecności. Wiedziało, zanim znaleźliśmy schronienie.

* * *

Był w zatłoczonym westybulu; strasznie mu się to podobało, kiedy tłum niósł ich coraz bliżej wewnętrznych drzwi. Daniel nie mógł nawet unieść ramion, taki był scisk, a jednak inni młodzi ludzie

zostawili go w tyle, potracając lokciami; te wstrzasy były rozkoszne; rozesmiał się kolejny raz, widząc na ścianach ogromne plakaty Lestata.

Poczuł na plecach dotknięcie palców Armanda; uchwycił subtelna zmianę w całym jego ciele. Daleko przed nimi była ruda kobieta; mierzyła ich wzrokiem, sunąc do otwartych drzwi.

Daniel poczuł ciepły, łagodny wstrząs.

- Armandzie, rude włosy. - Tak bardzo podobne do włosów bliźniaczek ze snu! Wydawało mu się, że jej zielone oczy przeszywają go na wskros, kiedy mówił: - Armandzie, bliźniaczki!

Wtedy jej twarz znikła; kobieta odwróciła się i zginęła w sali.

- Nie - szepnął Armand, nieznacznie potrząsając głową. Dostał ataku zimnej furii. Jego oczy miały ten drewny szklisty wyraz, zawsze obecny, kiedy był głęboko obrażony. - Talamasca - szepnął z lekką, nietypową dla siebie pogardą.

- Talamasca. - To słowo wydało się Danielowi piękne. Talamasca. Uswiadomił sobie, że pochodzi z łaciny, podzielił je na części. Nagle z zasobów pamięci przyplłynęło znaczenie: „zwierzeczka maska”. Stare określenie czarownicy albo szamana.

- Ale co to znaczy? - spytał.

- To znaczy, że Lestat jest głupcem - powiedział Armand. W jego oczach pojawił się błysk głębokiego bólu. - Ale teraz to nie ma znaczenia.

Khayman

Khayman przyglądał się z podcieni, jak samochód Wampira Lestata minal brame i wjechał na parking. Khayman był niemal niewidoczny, nawet w stylowym dzinsowym płaszczu i spodniach zdjętych ze sklepowego manekina. Nie potrzebował srebrnych okularów; jego oczy i jego błyszcząca skóra nie wyróżniały się w tłumie. Wszędzie wokół widział na twarzach maski i malunki, blask, gąz i kostiumy naszywane cekinami.

Zbliżył się do Lestata, jakby płynąc pomiędzy wijącymi się ciałami młodzieży obiegającej samochód. W koncu dojrzał jasne włosy tego stworzenia, a potem jego fiołkowe oczy; patrzył, jak Lestat uśmiecha się i rozsyła pocałunki swoim wielbicielom. Ależ urok miał ten czart. Sam prowadził auto, cisnąc gaz i napierając zderzakiem na tych delikatnych małych śmiertelnych, nie przestając flirtować, puszczać perskie oczka, uwodzić. Jakby on sam i stopa na pedale gazu nie były ze sobą połączone.

Uniesienie. Triumf. Oto, co Lestat czuł i wiedział w tej chwili. Nawet jego oporny ciemnowłosy towarzysz, Louis, siedzący obok niego w samochodzie i niesmiało patrzący na wrzeszczące dzieciaki, jakby były rajsakimi ptakami, nie rozumiał istoty wydarzeń.

Zaden nie wiedział o przebudzeniu królowej. Zaden z nich nie znał snów o bliźniaczkach. Ich ignorancja była oszalamiająca, a ich młode umysły jakże łatwe do przejrzania. Oto Wampir Lestat, który całkiem zgrabnie ukrywał się aż do dzisiejszej nocy, był gotów walczyć z każdym. Prezentował swoje myśli i

intencje jak medal.

- Polujcie na nas! - Oto, co powiadał głośno swoim fanom, chociaż nie mogli go słyszeć. - Zabijcie nas. Jesteśmy złem. Jesteśmy niedobrzy. Teraz możecie się radować i śpiewać z nami; ale kiedy zrozumiecie, no cóż, wtedy koniec zabawy. I pamiętajcie, że nigdy was nie okłamywałem.

Oczy Lestata i Khaymana spotkały się na krótką chwilę. - Chce być dobry! Umre, żeby to osiągnąć! - rozległ się bezgłosny krzyk. Nie wiadomo jednak, kto lub co usłyszało te deklaracje.

Louis, obserwujący, cierpliwy, był tu z racji czystej i prostej miłości. Ci dwaj odnaleźli się za ledwie zeszłej nocy i było to naprawdę niezwykle spotkanie. Louis poszedłby za Lestatem na kraj świata, oddałby życie, gdyby Lestat stracił swoje. Ich leki i nadzieje tej nocy były rozpaczliwie ludzkie.

Nie domyślali się nawet, że gniew królowej jest tuż-tuż, że niecała godzina temu spaliła dom sabatowy w San Francisco, że haniebną pamięci tawerna wampirów przy Castro Street właśnie płonie, a królowa ściga tych, którzy z niej uciekają.

Cóż, wielu krwiopijców rozproszonych w tłumie również nie znalazło tych prostych faktów. Byli zbyt młodzi, aby usłyszeć ostrzeżenia starszyny, i krzyki skazanych na zagładę. Sny o bliźniaczkach tylko wytraciły ich z równowagi. Wbijali wzrok w Lestata, opętani nienawiscia lub religijnym zapalem. Byli gotowi zniszczyć go lub wynieść na ołtarze. Nie wyobrażali sobie bliskiego niebezpieczeństwa.

Ale co z samymi bliźniaczkami? Jaki był sens snów?

Khayman obserwował samochód, torujący sobie drogę na zaplecze sceny, a potem przeniósł wzrok w górę, na punkciki światła ponad mgłą opinającą miasto. Wydawało mu się, że czuje bliskość swojej dawnej władczyni.

Zawrócił w kierunku widowni i skupiony przedzierał się przez tłum. Gdyby zapomniał o swojej sile, spowodowałby katastrofę w takim scisku, narobiłby siniaków i połamałby kości, nawet tego nie czując.

Po raz ostatni spojrział na niebo i wszedł do środka, z łatwością zamroczywszy bileterkę, kiedy mijal kołowrót. Skierował się do najbliższych schodów.

Widownia była prawie pełna. Rozejrział się z namysłem, smakując te chwile tak samo, jak smakował wszystko. Hala sama w sobie była zadna, ot, skorupa zatrzymująca światło i dźwięk - całkowicie nowoczesna i beznadziejnie brzydka.

Jakże piękni byli ci śmiertelni - tryskający zdrowiem, z kieszeniami pełnymi złotą; same zdrowe ciała, których nigdy nie naruszyły robaki choroby, których zadna kość nie była nigdy złamana.

W istocie, to miasto zdumiewało Khaymana. To prawda, że w Europie widział niewyobrażalne bogactwo, ale nic nie mogło się równać z nieskazitelną powierzchownością tego małego, przeludnionego miejsca i jego wiejskich okolic. Niewielkie domki z ozdobnymi tynkami były pełne nieopisanych luksusów, tutejsze szosy blokowały przepiękne automobile, biedacy podejmowali swoje pieniądze z bankomatów za pomocą plastikowych kart. Żadnych slumsów, miasto było pełne niebotycznych wieżowców i bajecznych hoteli, rezydencji, a zarazem, otoczone morzem, górami i polyskliwymi wodami zatoki, sprawiało wrażenie nie tyle metropolii, ile kurortu, zacisza oddalonego od światowych bolączek i brzydoty.

Nic dziwnego, że właśnie tutaj Lestat zdecydował się rzucić rekawice. Te rozpieszczone dzieci były na

ogól dobre, nie zranione ani nie osłabione przez życie. W obliczu prawdziwego zła mogły się okazać idealnymi wojownikami, gdyby tylko zdały sobie sprawę, że maska i jej nosiciel są jednym i tym samym. Obudźcie się i poczujcie krew, młodziki.

Jednak czy będzie na to czas?

Wielki plan Lestata, choćby i najwspanialszy, mógł być jeszcze w powijakach; a królowa na pewno miała swój własny i Lestat nic o nim nie wiedział.

Khayman skierował się ku szczytowi hali, do ostatniego rzędu drewnianych krzeseł, w którym zasiadał wcześniej. Usadowił się wygodnie na swym dawnym miejscu, odpychając na bok dwie „wampirze książki”, które leżały nie zauważone na podłodze.

Dawno temu pochłonął zarówno testament Louisa: „Strzeżcie się, oto pustka”, jak i opowieść Lestata: „To i to, i to, a wszystko pozbawione znaczenia”. Dzięki nim rozumiał wiele rzeczy i teraz był całkowicie pewien intencji Lestata. Książka nie opowiedziała jednak niczego o tajemnicach bliźniaczek.

Prawdziwe intencje królowej nadal pozostawały dla niego niepojęte.

Usmierciła setki krwiopicców na całym świecie, innych jednak zostawiła nie tkniętych.

Nawet Mariusz zył. Niszczyć świątynie, ukarała go, ale nie zabiła, co byłoby proste. Wzywał starszyznę ze swojego lodowego więzienia, ostrzegał, błagał o pomoc. Khayman bez wysiłku wyczuł dwójkę niesmiertelnych podążających na wezwanie Mariusza, chociaż jedno z nich, dziecko Mariusza, nie mogło go nawet słyszeć. Tej samotniczce, silnej istocie, było na imię Pandora. Santino nie miał jej mocy, ale słyszał głos Mariusza, gdy usiłował dotrzymać jej kroku.

Niewatpliwie królowa mogła ich zniszczyć, gdyby tego chciała. Mimo to podążali wciąż przed siebie, widoczni, słyszalni, a jednak nie napastowani.

Co skłaniało królową do takich wyborów? Z pewnością na sali byli też inni, których oszczędziła w jakimś celu...

Daniel

Dotarli do drzwi i musieli już tylko przepchnąć się kilkumetrową wąską rampą na gigantyczny otwarty owal parteru.

Coraz rzadszy tłum toczył się we wszystkich kierunkach jak szklane kulki. Daniel siedział ku środkowi, zahaczywszy palce o pasek Armanda; przeczesywał wzrokiem podkove widowni i wznoszące się do sufitu rzędy siedzeń. Wszędzie śmiertelni; mrowili się na betonowych stopniach, zwisali na żelaznych balustradach albo płynęli wokół niego rojnym tłumem.

Nagle usłyszał hałas przypominający basowy warkot miazdzącej maszyny, i poczuł, jak zaciera się ów obraz świata. W tej chwili celowej utraty zdolności normalnego widzenia, ujrzał innych. Ujrzał prostą niezbywalną różnicę między żywymi i umarłymi. Gdziekolwiek spojrzal, wszędzie dostrzegał pokrewne sobie istoty ukryte w ludzkim lesie, a jednocześnie polyskujące jak ślepią puchacza w blasku księżyca.

Zadna farba ani okulary, miękki kapelusz czy peleryna z kapturem nie mogły ukryć jednych przed drugimi, za nic w świecie. Wyróżniali się nie tylko nieziemskim poblaskiem twarzy lub dłoni, lecz raczej powolną zwinnoscią ruchów, jakby byli bardziej z ducha niż z ciała.

Ach, bracia i siostry, nareszcie! - zawołał bezgłośnie z głębi duszy.

Wyczuwał jednak nienawiść. Wreż podła nienawiść! Oni kochali i jednocześnie potępiali Lestat. Kochali sam akt nienawисти, karania. Nagle zetknął się wzrokiem z potężną kreaturą o tłustych włosach, która obnażyła kły w ohydny grymasie, a potem ze zdumiewającą otwartością odsłoniła swój plan. Z dała od ciekawskich oczu śmiertelnych rozczłonkują Lestat; odrabia mu głowę, a resztki cisną na stół nad brzegiem morza. To będzie koniec potwora i jego legendy.

Jestes z nami czy przeciwko nam? - padło bezsłowne pytanie.

Daniel wybuchnął głośnym śmiechem.

- Nigdy go nie zabijecie - powiedział.

Nagle dostrzegł pod peleryną stworza zaostrzoną kosę. Bestia odwróciła się i znikła. Daniel przebił wzrokiem oleiste strumienie światła. Jedno z nich wie! - przemknęło mu przez głowę. - Wie o wszystkich tajemnicach! - Ogarnęły go zawroty głowy, poczuł się na granicy szaleństwa.

Dłoń Armanda zacisnęła się na jego ramieniu. Dotarli do samego środka parteru. Tłum gestniał z każdą sekundą. Sliczne dziewczyny w czarnych jedwabnych sukniach napierały na prostackich motocyklistów w zniszczonych czarnych skórach. Miękkie pióra musnęły policzek Daniela; zobaczył czerwonego diabła z wielkimi rogami, koscista trupia twarz zwieńczona złotymi kędziorami i grzebieniami z pereł. W sinym półmroku wybuchały rzadkie okrzyki. Motocyklisty wyli jak wilki; ktoś wrzasnął ogłuszająco:

- Lestat! - i inni natychmiast podjęli to wołanie.

Armand miał na twarzy wyraz zagubienia świadczący o głębokiej koncentracji, jakby to, co widział, nie miało dla niego żadnego znaczenia.

- Pół minuty - szepnął Dawidowi do ucha - zaledwie pół minuty i jeden czy dwóch ze starszyny może zniszczyć naszą resztę.

- Gdzie są, powiedz, gdzie?

- Słuchaj. I uważaj na siebie. Przed nimi nie ma ucieczki.

Khayman

Dziecko Maharet. Jessica. - Khayman nie był przygotowany na taką wiadomość. - Chron dziecko Maharet. Wymknij się stąd.

Otrząsnął się, wyostrzył zmysły. Znowu słyszał Mariusza, usiłującego dotrzeć do młodych, nie wyczulonych uszu Wampira Lestata, który puszył się i paradował przed pękniętym lustrem za sceną.

„Dziecko Maharet, Jessica”; co to mogło znaczyć? Niewatpliwie odnosiło się do śmiertelnej kobiety.

Znowu napłynął nieoczekiwany komunikat jakiegos potężnego, lecz odsłoniętego umysłu: - Zaopiekuj się Jesse. Zatrzymaj Matkę... - Nie były to jednak słowa, lecz tylko błysk duszy, iskrzacy się przekaz.

Wzrok Khaymana wolno przesunął się po balkonach naprzeciwko, po rojnym parterze. W jakimś odległym zakątku blakal się wiekowy starszy, pełen leku przed królową, niemniej jednak spragniony ponad wszystko widoku jej oblicza. Przybył tu, by umrzeć, ale chciał jeszcze w ostatniej chwili zakosztować tego szczęścia.

Khayman zamknął oczy, by odsunąć od siebie tę wiadomość.

Wtedy usłyszał znowu: - Jessica, moja Jessica. - I płynące za tym z głębi duszy wołanie, wiedza Maharet! Nagle ujrzał Maharet na ołtarzu miłości, wiekowa i biała jak on sam. Doznał przenikliwego bólu, opadł bezsilnie na drewniane siedzenie i opuścił głowę. Następnie znowu omiótł wzrokiem stalowe krokwie, brzydka platanina czarnych przewodów i porzewiałych cylindrycznych reflektorów. - Gdzie jesteś? - zapytał w myślach.

Tam, w głębi, pod przeciwległą ścianą ujrzał postać, która ślala te myśli. Ach, najstarszy z widzianych do tej pory, gigantyczny nordycki krwiopijca o długich jasnych włosach, wysuszony na wiór, przebiegły, odziany w szorstką niewyprawną skórę. Krzaczaste brwi i male, głęboko osadzone oczy nadawały jego twarzy wyraz ponurego zamyslenia.

Ta istota śledziła drobna śmiertelna, która przedzierała się przez tłum parteru. Jesse, ludzka córka Maharet.

Oszalały, nie wierzący własnym oczom Khayman skoncentrował się na drobnej kobiecie. Oczy zasnuły mu się mgła leż, kiedy dojrzał owo zdumiewające podobieństwo. Te same długie, ogniste rude włosy Maharet, krecone i geste, ta sama wysoka ptasia figura, te same madre i ciekawe oczy, rozglądające się wokół, gdy poddawała się naporowi tłumu i obracała w kółko.

Profil Maharet. Skóra Maharet, tak biała i prawie świetlista, zupełnie jak wysciółka morskiej muszli.

Nagle ożyła pamięć, zobaczył skórę Maharet przez sić swoich ciemnych palców. Kiedy podczas gwałtu obracał na bok jej głowę, czubkami palców dotknął delikatnych fałdek powiek. Niecały rok później wydłubali jej oczy, a on był przy tym, wspominając tamten moment, dotyk jej skóry. Tak, wspominał, dopóki nie złapał jej galek ocznych i...

Zadygotał. Poczul ostry ból w płucach. Pamięć nie chciała go zawiesić. Nie ucieknie od tamtej chwili, nie stanie się szczęśliwym blaznem, który niczego nie pamięta.

Dziecko Maharet, jak najbardziej. Jak to możliwe? Przez ile pokoleń przetrwała ta uroda, aby znowu rozkwitnąć w drobnej kobiecie, która z uporem przesuwiała się ku scenie w głębi hali?

Oczywiście, to wcale nie było niemożliwe. Szybko sobie to uświadomił. Być może trzystu przodków dzieliło tę kobietę i tamto popołudnie, kiedy nałożył na siebie naszyjnik króla i zszedł z podwyższenia, aby dokonać królewskiego gwałtu. Może nawet było ich mniej. Załedwie ułamek tego tłumu, aby ująć to bardziej plastycznie.

Jednak, co bardziej zdumiewające, Maharet znalazła swoich potomków, i wiedziała, że ta kobieta jest jednym z nich. Wysoki blond krwiopijca natychmiast udostępnił ten fakt.

Khayman uważnie przetrzasnął umysł nordyka. Maharet żywa; Maharet strażniczka swojej śmiertelnej rodziny; Maharet - wcielenie nieobjętej mocy i woli; Maharet, która nie wyjaśniła mu, temu jasnowłosemu słudze, snów o bliźniaczkach, ale zamiast tego posłała go tu z poleceniem, by uratował Jessike.

Ach, ona żyje - pomyślał Khayman. - Żyje, a jeśli ona żyje, żyją obie rude siostry!

Przetrzasnął umysł stwora jeszcze dokładniej, wniknął w niego jeszcze głębiej, lecz odnalazł wyłącznie zacieklą opiekunczość. Tamten chciał uratować Jesse nie tylko przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony Matki, ale przed wszystkim, co było w tym miejscu, tu bowiem Jesse mogła dojrzec to, czego nikt nie potrafiłby wytłumaczyć.

Ach, jakże nienawidził Matki ten wysoki jasnowłosy stwór o postawie jednocześnie wojownika i kapłana. Nienawidził jej za to, że przerywała beztroskę jego ponadczasowej i melancholijnej egzystencji; i za to, że jego smutna, słodka miłość do tej kobiety, Jessiki, była silniejsza niż niepokój o samego siebie. Znal rozmiary zniszczenia, wiedział, że krwio pijcy od kranca do kranca kontynentu byli unicestwieni, poza nieliczną garstką, w większości obecna pod tym dachem i nawet nieswiadoma zagrożenia.

Znal sny o bliźniaczkach, ale ich nie rozumiał. Przecież nigdy nie poznał rudowłosych sióstr; tylko jedna ruda piękność rządziła jego życiem. Khayman po raz kolejny zobaczył twarz Maharet, przesuwaną się wizerunek łagodnych, zmęczonych ludzkich oczu, spoglądających z porcelanowej maski: - Maelu, nie pytaj o nic więcej. Ale zrób to, o co proszę - mówiła.

Cisza. Nagle krwio pijca zdał sobie sprawę, że jest śledzony. Nieznacznie rozejrzał się po hali, szukając intruza.

Jak to często bywa, zdradziło go imię. Poczul, że został rozpoznany. Khayman natychmiast rozpoznał jego imię, połączył je z Maelem z kart Lestata. Niewątpliwie to był ten sam kapłan druid, który zwabił Mariusza do świętego gaju, gdzie uczynił go jednym ze swoich pobratymców i skąd wysłał go do Egiptu na poszukiwanie Matki i Ojca.

Tak, to ten sam Mael. Rozpoznanie obudziło w nim wściekłość.

Po wybuchu furii wszystkie jego myśli i uczucia znikły. Khayman musiał przyznać, że był to imponujący pokaz mocy. Rozluźnił się, aby tamten nie mógł go znaleźć. Wyszukał w tłumie kilkanaście białych twarzy, ale nie Khaymana.

Tymczasem sprytna Jessica dotarła do celu swojej wędrowki. Kucając, przecisnęła się pomiędzy muskularnymi motocyklistami, którzy uznali przestrzeń przed sceną za własną, i wstała, wspierając się na listwie okrajającej drewnianą platformę.

Na rece kobiety błysnęła srebrna bransoleta. Zapewne był to sztylecik przebijający mentalną tarczę Maela, na krótko ujawnił on bowiem swoje myśli i miłość.

Jemu również pisana jest śmierć, jeśli nie zmadrzeje - pomyślał Khayman. Niewątpliwie jego mentorka była Maharet i być może wykarmiła go jej potężną krew; niemniej jednak jego serce pozostało niedyscyplinowane, a temperament nie znosił kontroli, to rzuciło się w oczy.

Wtem kilka metrów za Jesse zawirowały barwy i dźwięki. Khayman wyszpiegował kolejną intrygującą postać, o wiele młodszą, niemniej jednak równie potężną jak Mael.

Khayman szukał jego imienia, ale umysł przybyłszy był idealnie pusty; nie odsłaniał nawet minimalnego przeblysku tożsamości. Kiedy umarł, był chłopcem, chłopcem o prostych ciemnokasztanowych włosach i ogromnych oczach. Nagle okazało się, że łatwo jest poznać imię tej istoty od Daniela, jego świeżo narodzonego pisklaka stojącego obok. Armand. A piskle, Daniel, było świeżutkim umarłym. Wszystkie drobne molekuły jego ciała tańczyły pobudzane niewidzialną demoniczną chemią.

Armand natychmiast przypadł Khaymanowi do gustu. Z pewnością był to ten sam Armand, którego opisali zarówno Louis, jak i Lestat - niesmiertelny w ciele chłopca. A to znaczyło, że liczył sobie nie więcej niż pięćset lat. Niemniej jednak zasłonił się całkowicie. Wydawał się przebiegły, zimny, do tego wyzbyty bunczucznosci - i jako taki unikał rozgłosu. Czując bezbłędnie, że jest obserwowany, skierował w górę wielkie piwne oczy i natychmiast wbił je w odległą sylwetkę Khaymana.

- Nic złego nie grozi tobie ani twojemu młodemu - szepnął Khayman; jego wargi kształtowały i kontrolowały myśli. - Jam nieprzyjaciół Matki.

Armand usłyszał, ale nie odpowiedział. Bez względu na to, jak wielką grozę wzbudził w nim widok tak starego pobratymca, zamaskował się całkowicie. Można by pomyśleć, że spoglądał na ściane nad głową Khaymana, na nieprzerwany potok śmiejących się i krzyczących dzieci, spływający schodami z najwyższych drzwi.

Ta zwoźniczko młoda, pięćsetletnia istota nieoczekiwanie wbiła oczy w Maela, gdy chudzielec poczuł kolejną nieodpartą falę z troskania swoją delikatną Jesse.

Khayman rozumiał tego Armanda. Rozumiał go i polubił bez zastrzeżeń. Kiedy znowu napotkał jego spojrzenie, potwierdziło się wszystko, co napisano o tej postaci w dwóch skromnych opowiadaniach, dopełnione jej wrodzoną prostotą. Samotność, którą Khayman czuł w Atenach, odezwała się z całą mocą.

- Jakbym widział własną prostą duszę - szepnął Khayman. - Jesteś zagubiony w tym wszystkim, ponieważ znasz teren zbyt dobrze. Dokadkolwiek zajdziesz, wrócisz do tych samych gór, do tej samej doliny.

Zadnej odpowiedzi. Oczywiście. Khayman wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Nie ukrywał przed Armandem, że jest gotów dać mu wszystko, co ma.

Powinien pomóc tym dwóm, którym może jest sadzone zasnąć snem niesmiertelnych do następnego zachodu słońca. A przede wszystkim powinien znaleźć Maharet, ciesząc się bezgraniczną wiernością zacieklego, nieufnego Maela.

- Jam nieprzyjaciół Matki - rzekł do Armanda, lekko ruszając wargami. - Mówiłem ci. Trzymaj się tłumu śmiertelnych. Ona wypatrzy cię, kiedy tylko się oddalisz. To wszystko.

Twarz Armanda pozostała niezmieniona. Towarzyszące mu piskle było szczęśliwe, plawiąc się w otaczającym je zgiełku. Nie znalazło leku, planów ani marzeń. Bo i skąd? Było pod opieką potężnego stworzenia. Miało więcej szczęścia, piekielnie więcej niż reszta.

Khayman wstał. Dostyc tego wszystkiego, a przede wszystkim samotności. Zbliży się do któregoś z tych dwóch, Armanda lub Maela. Tego właśnie było mu potrzebą w Atenach, kiedy zaczęło się to całe cudowne przypominanie i rozpoznawanie - żeby mieć przy sobie kogoś takiego jak on sam. Żeby móc do niego przemówić, dotknąć go... cokolwiek.

Szedł górnym korytarzem okrazającym całą halę oprócz części za sceną, zajętej przez gigantyczny ekran wideo.

Posuwał się z powolnym, ludzkim wdziękiem, uważając, by nie zmiądzyc śmiertelnych, którzy pchali się na niego. Ta powolność była mu również potrzebna, by Mael mógł zwrócić na niego uwagę.

Wiedział instynktownie, że jeśli zaskoczy tę dumna i klóśliwą kreaturę, może to być odebrane jako obelga nie do wybaczenia. Przyspieszył więc dopiero wtedy, kiedy Mael zauważył jego nadejście.

Mael nie potrafił ukryć leku, tak jak Armand. Poza Maharet nigdy nie napotkał krwiopijcy w wieku Khaymana; miał przed sobą potencjalnego przeciwnika. Khayman przywitał go równie ciepło jak Armanda, ale stary wojownik nie zmienił postawy.

Widownia była już pełna i hala zamknięta; na zewnątrz dzieciaki krzyczały i tłukły w drzwi. Khayman usłyszał piski i czkawkę policyjnych radiotelefonów.

Wampir Lestat i jego poplecznicy stali przy otworach w wielkiej serżowej kurtynie, obserwując publiczność.

Lestat objął i ucałował w usta swojego towarzysza, Louisa, podczas gdy jego śmiertelni muzycy otoczyli ich kolem, trzymając się za ramiona.

Khayman zatrzymał się, wyczuwając roznamietnienie tłumu.

Jessica oparła się ramionami o brzeg sceny. Złożyła podbródek na dloniach. Ogromni mężczyźni w lśniących czarnych skórach napierali na nią brutalnie, bezmyślni i rozochoceni alkoholem, ale nie mogli jej odepchnąć.

Gdyby Mael spróbował czegoś podobnego, też by mu się nie udało.

Kiedy Khayman patrzył na nią, dotarł do niego wyraźny sygnał; jedno, jedyne słowo. Talamasca. Ta kobieta należała do nich, była członkiem stowarzyszenia.

Niemożliwe - pomyślał nie po raz pierwszy, a potem rozesmiał się, uswiadamiając sobie własną naiwność. To była noc niespodzianek, nieprawdaz? Mimo to zaskoczyła go myśl, że Talamasca przetrwała od czasów, gdy dowiedział się o jej istnieniu. Było to wieki temu; igrał wówczas z jej członkami, zadreślał ich, a potem odwrócił się do nich plecami, powodowany litością wobec fatalnej kombinacji niewinności i ignorancji.

Ach, jakim upiorem jest pamięć! Oby przeszłość runęła w zapomnienie! Widział twarze tych wagańdów, tych świeckich mnichów z Talamaski, którzy tak niezdarnie uganiali się za nim po Europie i zapisywali skrawki wiadomości w wielkich, oprawnych w skórę księgach, skrzyjąc się piórami do późna w noc. W tamtym krótkim przeblasku świadomości nosił imię Benjamin; nazwali go diabłem Benjaminem, kresłał imię wymyślnym łacińskim pismem i ślał zwierzchnikom w Amsterdamie epistoły na szeleszczących pergaminach z wielkimi woskowymi pieczęciami.

Traktował to jak zabawę; krał im te listy i dopisywał uwagi; straszył ich; wyczołgiwał się noca spod łóżek, łapał ich za gardło i potraszał nimi; to była frajda, a co nie było frajdą? Kiedy się kończyła, zawsze tracił pamięć.

A jednak lubił ich; nie byli egzorcyzmami czy polującymi na czarownice kapłanami albo czarodziejami pragnącymi zakuc go w lancuchy i kontrolować jego moc. Przyszło mu nawet do głowy, że kiedy przyjdzie czas na sen, wybierze piwnice pod ich zaplesniałym Macierzystym Domem. Mimo że dokuczliwie ciekawi, nigdy by nie zdradzili.

Pomysleć, że zakon przetrwał, równie uparcie trzymając się życia jak Kościół, i że ta słiczna śmiertelna z błyszcząca bransoleta na ręce, ukochana Maharet i Maela, była jedna z nich. Nic dziwnego, że przepychała się do czołowych szeregów jak do pierwszego stopnia przed ołtarzem.

Khayman zbliżył się do Maela, ale zatrzymał się jakieś dwa metry od niego, oddzielony bezustannie sunącym tłumem. Uczynił to z szacunku dla obaw Maela i wstydu wywołanego tym strachem. Ostatecznie więc to Mael podszedł do niego, pokonując dzielący ich dystans.

Niespokojny tłum mijal ich, jakby byli ścianą. Mael przysunął się do Khaymana, co z jego strony było powitaniem, dowodem zaufania. Rozejrzał się po hali; wszystkie siedzące miejsca były zajęte, a parter stał się mozaiką migocących kolorów, błyszczących włosów i drobnych, zacisniętych pięści. Potem wyciągnął rękę i dotknął Khaymana, jakby nie potrafił się od tego powstrzymać. Czubkami palców musnął grzbiet jego dłoni. Khayman stał nieruchomo, nie oponując przeciwko temu małemu badaniu.

Ileż to razy widział takie gesty u niesmiertelnych młodzików chcących własną ręką dotknąć ciała starszego. Czy jakiś chrześcijański święty nie wsunął dłoni w bok Chrystusa, ponieważ nie wystarczył mu widok ran? Khayman uśmiechnął się na myśl o bardziej przyziemnym porównaniu do dwóch obwachujących się brytanów.

Armand pozostał niewzruszony na samym dole, nie odrywając od nich wzroku. Zapewne dostrzegł pogardliwe spojrzenie Maela, ale nie dał tego po sobie poznać.

Khayman odwrócił się i obdarzył Maela uściskiem i uśmiechem, ale wystraszył go tylko, co sprawiło, że poczuł głębokie rozczarowanie. Cofnął się grzecznie. Przez chwilę był głęboko zmieszany. Popatrzył na Armandę, pięknego Armandę, który spotkawszy się z nim wzrokiem, okazał zupełną obojętność. Nadszedł czas, by wyjawic powód swojego przybycia.

- Musisz wzmocnić swoją tarczę, przyjacielu - wyjaśnił łagodnie Maelowi. - Nie pozwól, by miłość do tej dziewczyny zdradziła twoją obecność. Będzie idealnie zabezpieczona przed naszą królową, jeśli unikniesz myśli o jej pochodzeniu i protektorce. To imię jest dla królowej anatema. Zawsze tak było.

- A gdzie jest królowa? - spytał Mael. Lek znów dał znać o sobie, wraz z gniewem, potrzebnym, aby go zwalczyć.

- Blisko.

- Tak, ale gdzie?

- Nie mogę powiedzieć. Spaliła ich tawernę i poluje na resztki holoty, które pozostały na zewnątrz. Nie spieszy się ze swoimi ofiarami. Dowiedziałem się tego z ich umysłów.

Khayman widział drżenie Maela. Dostrzegał subtelne zmiany świadczące o jego rosnącym gniewie. Świetnie. Lek wypalił się w spiekocie gniewu. Ależ jest poręczny. Jego umysł nie dostrzegał subtelności.

- Dlaczego mnie ostrzegasz - zapytał ostro Mael - jeśli ona może usłyszeć każde nasze słowo?

- Alez nie sadze, by mogla - odparl spokojnie Khayman. - Jestem z Pierwszego Plemienia, przyjacielu. Jedynie dalecy kuzyni sa obciazeni tym przeklenstwem, ze slysza innych krwiopijców, tak jak my smiertelnych. Ja nie potrafilbym odczytac jej mysli, gdyby stala obok i moje mysli takze sa przed nia zamkniete, badz tego pewien. Tak bylo z nami wszystkimi u poczatku.

Jasnowlosy gigant byl tym wyraznie zafascynowany. Wiec Maharet nie mogla slyszec Matki! Nie przyznala mu sie do tego.

- Nie - potwierdzil Khayman - i Matka moze wiedziec o jej myslach tylko za posrednictwem twoich, wiec badz tak mily i strzez ich. Teraz mów do mnie glosno, jak czlowiek, gdyz to miasto jest dzungla czlowieczych glosów.

Mael zastanawial sie, marszczac brwi. Wpatrywal sie w Khaymana takim wzrokiem, jakby zamierzal go uderzyc.

- Czy to oznacza jej kleske?

- Zapamietaj, ze nadmiar moze byc przeciwienstwem tresci - rzekl Khayman, przy tych slowach ogladajac sie na Armanda. - Ona, która slyszy wielosc glosów, moze nie uslyszec jednego. A ta, która slucha pilnie jednego glosu, musi zamknac uszy na inne. Jesteś dosc stary, by znac te sztuczke.

Mael nie odpowiedzial, ale najwyrazniej zrozumial. Dar telepatii i dla niego byl zawsze przeklenstwem, bez wzgledu na to, czy narzucaly mu sie glosy krwiopijców czy ludzi.

Khayman skinal lekko glowa. Dar telepatii. Co za sympatyczne okreslenie szalenstwa, które ogarnelo go eony temu, po latach sluchania, lezenia bez ruchu pod kurzem, w czelosci zapomnianego egipskiego grobowca, sluchania placzu swiata bez wiedzy o sobie samym i swojej kondycji.

- Podzielam twój punkt widzenia, przyjacielu - rzekl. - Przez dwa tysiace lat odpychales te glosy, podczas gdy królowa mogla w nich tonac. Wyglada na to, ze Wampir Lestat przekrzyczal wrzawe; zapewne tak pstryknal palcami, ze zauwazyła go katem oka. Ale nie przeceniaj kreatury, która tak dlugo siedziala bez ruchu. Nic nie zyskasz, myslac w ten sposób.

To nieco zaskoczylo Maela, chociaz dostrzegl logike rozumowania Khaymana. Armand pozostal skupiony.

- Nie jest wszechwladna - ciagnal Khayman - bez wzgledu na to, czy wie o tym czy nie. Zawsze zachowywala sie jak ktos, kto wyciaga rece po gwiazdke z nieba, by zaraz potem cofnac ja w przerazeniu.

- Czy to mozliwe? - spytal Mael. Pochylil sie podniecony. - Jaka jest naprawde?

- Miala ogrom marzen i wielkich idealów. Byla jak Lestat. - Khayman wzruszyl ramionami. - Jak ten blondyn na dole, który jest gotowy byc dobry, czynic dobro i przytulic do serca spragnionych wyznawców.

Mael usmiechnal sie zimno, cynicznie.

- Co ona, do diabla, zamierza? - spytal. - Wiec to on obudzil ja tymi koszmarnymi piosenkami. Dlaczego nas niszczy?

- Ma jakiś cel, możesz być tego pewny. Nasza królowa zawsze ma jakiś cel. Ona nie potrafi kiwnąć palcem bez potrzeby. A musisz wiedzieć, że my tak naprawdę nie zmieniamy się z czasem; jesteśmy jak kwiaty, które się nie rozwijają. My jedynie stajemy się bardziej sobą. - Kolejny raz zerknął na Armanda.
- Jeśli chodzi o jej cel, mogę ci służyć jedynie spekulacjami...

- Dobrze, chce je znać.

- Ten koncert się odbędzie, ponieważ Lestat tego chce. A później ona wymorduje następne istoty z naszego gatunku. Niektórych jednak oszczędzi, by służyli jej celom lub, być może, aby byli świadkami.

Khayman wpatrywał się w Armanda. Jego pozbawiona wyrazu twarz jasniała cudowną mądrością, podczas gdy pobrużdżona, zatroskana twarz Maela - nie. Który z nich jednak rozumie najwięcej? Mael rozesmiał się krótko, gorzko.

- Aby byli świadkami? - powtórzył za Khaymanem. - Nie sądzę. Myślę, że ona jest bardziej prostacka. Po prostu oszczędzi tych, których kocha Lestat.

To nie przyszło na myśl Khaymanowi.

- Rozważ to - rzekł Mael wciąż tą samą ostro akcentowaną angielszczyzną. - Louis, towarzysz Lestata. Czyż nie żyje? A Gabriela, matka czarta, jest na wyciągnięcie dłoni, czeka na spotkanie z synem, kiedy tylko rozsadek na to pozwoli. A Armand, ten tam na dole, który tak bardzo przypadł ci do gustu, zapewne znów spotka się z Lestatem, więc też żyje, a wraz z nim wyrzutek, który wydał te przekłeta książkę, którego inni rozdarliby na strzępy, gdyby tylko wiedzieli...

- Nie, w tym z pewnością chodzi o coś więcej - powiedział Khayman. - Niektórych z nas nie może zabić. A imiona tych, którzy zdążają teraz do Mariusza, zna jedynie Lestat.

Wyraz twarzy Maela uległ lekkiej zmianie; kiedy zweził oczy, pojawił się na niej głęboki ludzki rumieniec. Khayman zrozumiał, że Mael udalby się do Mariusza, gdyby tylko mógł. Udalby się już tej nocy, gdyby tylko Maharet zechciała chronić Jessicę. Teraz usiłował usunąć imię Maharet ze swoich myśli. Bał się Maharet, bardzo się bał.

- Starasz się ukryć to, co wiesz - powiedział Khayman. - A właśnie to musisz mi wyjawic.

- Nie mogę - rzekł Mael. Między nimi wyrósł mur nie do pokonania. - Ja nie słyszę odpowiedzi, jedynie rozkazy, przyjacielu. Moja misja jest przetrwać tę noc i zabrać stąd swoją podopieczną.

Khayman zamierzał naciskać, zadawać, lecz nie zrobił tego. Poczł subtelna zmianę otaczającej go atmosfery, zmianę drobną, a równocześnie tak wyrazistą, że nie potrafił jej nazwać.

Ona się zbliżała. Była coraz bliżej hali. Poczł, jak sam wysnuwa się z ciała i staje czystym słuchaniem; tak, to była ona. Wszystkie dźwięki nocy powstały, aby go zmylić, ale uchwycił ten basowy, nieredukowalny odgłos, którego nie potrafiła stłumić, odgłos jej oddechu, bicia serca, siły, z jaką rozczinała przestrzeń, sunąc z niebywałą i nienaturalną prędkością, powodując nieunikniony zamęt w widzialnym i niewidzialnym świetle.

Mael wyczuł to, podobnie Armand. Zareagował nawet młodzik u boku Armanda, chociaż wielu młodych okazało obojętność. Nawet niektórzy bardziej receptywni śmiertelnicy czuli coś i byli rozkojarzeni.

- Musze isc, przyjacielu - powiedzial Khayman. - Pamietaj moja rade. Na razie nie mozna nic wiecej powiedziec.

Byla bardzo blisko. Niewatpliwie przeczesywala umysly; sluchala.

Poczul pierwszy nieodparty impuls, by ja zobaczyc, przeszukac umysly tych nieszczesnych duszyczek na dworze, których oczy mogly o nia zawadzic.

- Do widzenia, przyjacielu - rzekl. - Twoje towarzystwo nie przyniesie mi nic dobrego.

Mael popatrzył na niego zmieszany. Armand przygarnal do siebie Daniela i ruszył ku skrajowi tlumu.

Nagle w hali zapanowala ciemnosc; Khayman przez ulamek sekundy pomyslal, ze to jej czary, ze teraz nastapi jakis groteskowy i msciwy sad.

Ale smiertelne dzieci wokół niego znaly rytual. Zaczal sie koncert! W hali rozlegly sie dzikie wrzaski, okrzyki i tupanie, po czym dal sie slyszec wielki wspólny ryk. Khayman poczul drzenie pod stopami.

Pojawily sie male plomyki, gdy smiertelni zapalili zapalki i zapalniczki. Piekna senna iluminacja oswietlila wiele tysiecy poruszajacych sie postaci. Wrzaski przeszly w chóralne zawodzenie dobiegajace ze wszystkich stron.

- Nie jestem tchórzem - szepnal nagle Mael, jakby nie mogac zachowac milczenia. Ujal Khaymana za ramie, a nastepnie puscil, jakby mierzila go twardosc jego ciala.

- Wiem - rzekl Khayman.

- Pomóz mi. Pomóz Jessice.

- Nie wymawiaj wiecej tego imienia. Pamietaj, co ci powiedzialem, trzymaj sie od niej z daleka. Jestes pokonany, druidzie. Pamietasz? Czas walczyc przebiegloscia, nie wsciekloscia. Trzymaj sie stada smiertelnych. Pomoge ci, jesli bede mógł.

Bylo jeszcze tak duzo do powiedzenia! Mów, gdzie jest Maharet! Jednak bylo na to za późno. Odwrócił sie i ruszył przed siebie ku pustej przestrzeni nad dlugim waskim ciagiem betonowych schodów.

Na ciemnej scenie wśród przewodów i glosników pojawili sie smiertelni muzycy spieszacy do instrumentów lezacych na podlodze.

Wampir Lestat wyruszył dziarskim krokiem zza kurtyny; jego czarna peleryna rozwinela sie jak skrzydla, kiedy podszedl do samego skraju podium. Stal z mikrofonem w dloni niewiele ponad pół metra od Jessiki.

Tlum wpadl w ekstaze. Klaskanie, wycia, pohukiwania przeszly w halas, jakiego Khayman nigdy nie slyszal. Wbrew sobie rozesmial sie na widok tego glupiego zapalu i drobnej usmiechnietej figurki tam w dole, która uwielbiala to bezgranicznie i rozesmiala sie wraz z nim.

Blysk bialego swiatla zalal mala scene. Khayman wbil wzrok nie w wystrojone jak lalki drobne postaci drepczace po estradzie, ale w gigantyczny ekran wznoszący sie za nimi pod sam dach. Przed Khaymanem zjasnial wysoki na dziesiec metrów wizerunek Wampira Lestata. Usmiechnal sie, uniósł

ramiona i potraszał jasną grzywą, po czym odrzucił głowę do tyłu i zawył.

Tłum falował w delirium, budowla zadudniła; uszy wszystkich wypełniło wycie. Potężny głos Wampira Lestata zagłuszył wszystkie inne dźwięki w hali.

Khayman zamknął oczy. Szukał w sercu monstrowalnego krzyku Wampira Lestata odgłosów Matki, ale nie potrafił ich odnaleźć.

- Moja królowo - szepnął, na próżno przeczesując umysły. Czy stała gdzieś tam, na trawiastym stoku, wsłuchana w muzykę swojego trubadura? Poczł łagodną morską bryzę i ujrzał bezgwiazdne niebo, tak jak śmiertelnicy czują i widzą te zjawiska. Światła San Francisco, gwiazdziste wzgórza i jasniejące słupy mostu były jak latarnie morskie tej wielkomięskiej nocy przypominającej bezładną ucieczkę galaktyk.

Zamknął oczy. Wyobraził ją sobie taką, jaką była na ulicach Aten, gdy przyglądała się tawernie płonącej wraz z jej dziećmi; zniszczona peleryna wisiała luźno na ramionach, kaptur zsunął się z włosów zaplecionych w warkoczyki. Ach, wydawała się Królową Niebios, jak kiedyś, przewodnicząc niekonczącym się modłom, pozwalała się nazywać. Jej oczy były lśniące i puste, usta miękkie, niewinne. Czysta słodycz tego oblicza była nieskonczenie piękna.

Ta wizja przeniosła go wstecz przez wieki do mrocznej i strasznej chwili, kiedy z bijącym sercem stawiał się, on, człek śmiertelny, by wysłuchać jej woli - jego królowej, teraz przekletej, poświęconej księżycowi i demonowi w jej zarłocznej krwi, jego królowej, która nie zezwalała nawet na bliskość jasnych lamp. Jakże była podniecona, gdy miotła się po ceglanej podłodze wśród kolorowych ścian pełnych namalowanych milczących wartowników.

- Te bliźniaczki - powiedziała - te niegodziwe siostry śmiały wyrzec takie obrzydliwości.

- Ulituj się - błagał. - Nie zamierzały wyrządzić krzywdy, przysięgam, że mówiły prawdę. Wypuść je, wasza wysokość. One nie mogą już niczego zmienić.

Och, jakże współczuł im wszystkim! Bliźniaczkom i tkniętej chorobą władczyni.

- Tak, ale rozumiesz, musimy sprawdzić te ich oburzające kłamstwa - powiedziała. - Musisz się zbliżyć, mój wierny rządczo, który zawsze służyłeś mi z takim oddaniem...

- Moja królowo, moja ukochana królowo, czego pragniesz ode mnie?

Wciąż z tym samym uroczym wyrazem twarzy uniosła lodowate dłonie do jego gardła i nagle złapała go z przerażającą mocą. Jak porażony ujrzał, że z jej oczu znikł wszelki wyraz, a usta się rozchyliły. Kiedy uniosła się na palce ze zjawiskowym wdziękiem nocnego koszmaru, ujrzał dwa drobne kły. Nie - zakrzyczał w myślach. - Nie zrobisz mi tego! Moja królowo, to ja, Khayman!

Winien przepaść dawno temu, jak wielu krwiopijców od tamtej pory. Winien zniknąć bez śladu, jak nieprzeliczone istoty rozłożone na proch w ziemi wszystkich królestw i narodów. Nie przepadł jednak; bliźniaczki - a przynajmniej jedna z nich - też żyły.

Czy wiedziała o tym? Czy znalazła te koszmarne sny? Czy odbierała je z innych umysłów? Czy też podróżowała przez całą noc wokół świata, nie śniąc i nie spoczywając, zawsze wykonując wciąż to samo zadanie od chwili zmartwychwstania?

One żyją, moja królowo, one żyją w tej jednej, jeśli nie w dwóch. Wspomnij stare proroctwo! - zawołał

do niej w myslach. Gdyby tylko mogla slyszec jego glos!

Otworzył oczy. W jednej chwili powrócił do terażniejszosci, do tego skostnialego czegos, bedacego jego ciałem. Muzyka przeniknela go bezlitosnym rytmem, blyskajace swiatla oslepialy.

Odwrócił sie i wsparl dlonia o sciane. Nigdy nie byl tak zanurzony w dzwieku. Czul, ze traci swiadomosc, ale glos Lestata przywolal go z powrotem.

Przeslaniajac palcami oczy, spojrzal w dól na ogniscie biala scene. Patrzcie no, diabel tanczy i spiewa z nieklamana radoscia! Khayman wbrew sobie poczul sie wzruszony.

Poteczny tenor Lestata nie potrzebował elektrycznego wzmacnienia. Nawet niesmiertelni rozsiani miedzy swymi ofiarami spiewali razem z nim, tak zarazliwa byla jego pasja. Gdziekolwiek Khayman spojrzal, widzial zarówno smiertelnych, jak i niesmiertelnych pochlonietych zabawa. Ciala wily sie wraz z cialami na scenie. Glosy brzmialy z coraz wieksza sila.

Gigantyczna twarz Lestata zajela caly ekran; jego niebieskie oko spojrzalo na Khaymana i mrugnelo.

- CZEMU MNIE NIE ZABIJECIE?! WIECIE, KIM JESTEM!

Smiech Lestata zagluszył ostry lomot gitar.

- CZY JESTESCIE SLEPI NA ZLO, SKORO GO NIE POZNAJECIE?

Ach, co wiara w dobro, w heroizm. Khayman widzial to nawet w jego oczach, szary cien tragicznej potrzeby. Lestat odrzucil glowe do tylu i zaryczal; tupal i wyl; spogladal w krokwie, jakby to byl firmament.

Khayman zmusil sie, by ruszyc z miejsca; nie mógł tu zostac. Niezdarnie brnal do drzwi, duszac sie w ogluszajacym halasie. Nawet jego poczucie równowagi bylo zachwiane. Miazdzące dzwieki gonily go po klatce schodowej, ale przynajmniej uchronil sie przed blyskajacymi swiatlami. Oparty o sciane, usilowal przejrzec na oczy.

Czul zapach krwi. Czul glód wielu krwiopijców i puls muzyki przenikający drewno i gips.

Ruszyl dalej w dól, nie slyszac wlasnych kroków na betonie i wreszcie osunal sie na wyludniony podest. Skurczony objal nogi ramionami i pochylil glowe.

Ta muzyka byla jak muzyka z przeszlosci, kiedy wszystkie piesni byly piesniami ciala, a piesni umyslu jeszcze nie wynaleziono.

Ujrzal siebie w tancu; ujrzal króla - smiertelnego króla, którego tak uwielbial - jak obraca sie i podskakuje; uslyszal dudnienie bebnów i zawodzenie piszczalek; król podal Khaymanowi piwo. Stól uginal sie pod pieczona dziczyzna i blyszczacymi owocami, dymil bochnami chleba. Królowa siedziala na zlotym tronie; nieskazitelna i pogodna smiertelna kobieta z drobnym rozkiem perfumowanego wosku na czubku kunsztownej fryzury; wosk rozplywal sie w cieple i nasycal wonnoscia zaplecione warkoczki.

Wtem ktos wlozyl mu do reki trumienke krazaca posród ucztujacych; male upomnienie: jedz, pij, smierc czeka bowiem nas wszystkich.

Sciskal ja mocno w rece; czy powinien przekazac ja królowi?

Nagle poczul na twarzy królewskie usta.

- Tancz, Khaymanie. Pij. Jutro pomaszerujemy na północ, by wyrzucić resztki ludozerców.

Król nawet nie spojrzal na trumienkę; odebrał ją, wsunął ją w dłonie królowej, a ona, nie patrząc, dała ją komus następnemu.

Resztki ludozerców. Jakie proste wydawało się to wszystko, jakie słuszne. Dopóki nie ujrzał bliźniaczków klęczących przed ołtarzem.

Lomot bebnów zagłuszył głos Lestata. Śmiertelnicy mijali Khaymana, ledwo zauważając skuloną postać; krwiopijcy mijali go biegiem, nie zwracając na niego najmniejszej uwagi.

Lestat śpiewał o Dzieciach Ciemności ukrytych pod cmentarzem zwanym z zabobonnym lekiem Les Innocents; Niewiniątka.

W światło

Weszliśmy

Moi bracia i siostry!

ZABIJCIE NAS!

Moi bracia i siostry!

Podniósł się ospale. Chwiał się na nogach, ale szedł przed siebie, w dół, aż znalazł się w westybulu, gdzie hałas był nieco mniejszy, odpoczywał w pobliżu wewnętrznych drzwi, wdychając chłodne powietrze.

Powoli ogarniał go spokój; nagle zauważył dwóch śmiertelnych mężczyzn, którzy zatrzymali się nieopodal i patrzyli na niego, stojącego pod ścianą z rękami w kieszeniach i zwieszona głowa.

Ujrzał siebie ich oczyma. Wyczuł ich obawę, zmieszana z nagłym niepowstrzymanym poczuciem triumfu. Ci ludzie wiedzieli o jego rodzie i żyli dla chwil takich jak ta, a jednak lekali się ich śmiertelnie i tak naprawdę mieli nadzieję, że nigdy nie nadejdą.

Powoli uniósł głowę. Stali jakieś sześć metrów dalej, obok zatłoczonego stoiska z napojami i słodyczami, jakby miało ono ich ukryć - angielscy dzentelmeni jak się patrzy. Mieli już swoje lata. Ich mocno pobrużdzone twarze i wieczorowe ubiory bez pyłka na rękawach, znakomicie uszyte szare płaszczki, wykrochmalone kołnierzyki i błyszczące supły jedwabnych krawatów były tu całkowicie nie na miejscu. Pośród obwieszonej błyskotkami młodzieży, która nie mogła ustać w miejscu, chłonąc barbarzyński hałas i mielać ozorami, wyglądali na podróżników z innego świata.

Przyglądali mu się z takim naturalnym dystansem, jakby uprzejmość nie pozwalała im na lek. To starszyzna Talamaski; szukają Jessiki.

Znacie nas? - zapytał ich w myślach. - Alez oczywiście, że tak. To nic złego. Nie dbam o was.

Jego przesłane w milczeniu słowa sprawiły, że ten, który nazywał się Dawid Talbot, cofnął się o krok. Zaczął szybciej oddychać, pot wystąpił mu na czoło i dolną wargę. Mimo to wciąż zachowywał się elegancko, z opanowaniem. Zmrużył oczy, jakby nie ulegał oslepiającemu blaskowi tego, co widział, jakby rozróżniał w jasności tańczące drobne molekuly.

Jak skromny wydawał się zasięg ludzkiego życia; wystarczyło spojrzeć na tego kruchego mężczyznę, którego wykształcenie i uprzejmość jedynie zwiększały wszelkie ryzyko. Tak łatwo było odmienić treść jego myśli, jego oczekiwań. Czy powinien powiedzieć im, gdzie jest Jesse? Czy powinien się wtrącać? Wiedział, że nie ma to żadnego znaczenia.

Czuł, że obawiają się zarówno odejść, jak i pozostać, że zatrzymał ich prawie tak, jakby ich zahipnotyzował. Można by rzec, że to szacunek przykuwał ich do miejsca; nie mogli oderwać od niego oczu. Zrozumiał, że musi im coś zaoferować, choćby tylko po to, by skończyć to okropne badanie.

Nie idźcie do niej - przekazał im. - Jeśli to zrobicie, będziecie głupcami. Ona ma teraz innych, mnie podobnych opiekunów. Najlepiej ją zostawcie. Ja bym tak zrobił na waszym miejscu.

Ciekawe, jaka to wszystko przybierze postać w archiwach Talamaski? Którejś nocy będzie mógł się tego dowiedzieć. Do jakiego nowoczesnie urządzonego pomieszczenia przenieśli swoje dokumenty i skarby?

Beniamin, diabeł - przedstawił im się bez słów. - Oto moje imię. Znacie mnie?

Uśmiechnął się do siebie. Opuszczył głowę, wbił wzrok w ziemię. Nie wiedział, że jest aż tak próżny. I nagle stało mu się obojętne, co ta chwila dla nich znaczy.

Myslał apatycznie o tamtych dawnych czasach we Francji, kiedy zabawiał się z ich pobratymcami. „Pozwól nam tylko przemówić do ciebie!”, błagali. Okryci kurzem uczeni o białych oczach wiecznie otoczonych czerwonymi obwódkami, w znoszonych aksamitnych strojach, jakże nie przypominali tych dwóch wytwornych dzentelmenów, dla których okultyzm był sprawą nauki, nie filozofii. Beznadziejność tamtej epoki nagle go przeraziła; ale beznadziejność obecnej była równie przerazająca.

Odejdźcie - rozkazał im w myślach.

Nie musiał podnosić wzroku, by zobaczyć, że Dawid Talbot skinął głową i wycofał się wraz ze swoim towarzyszem. Zerkając przez ramię, oddalili się kretym westybulą i weszli do głównej sali.

Khayman był znowu sam, otoczony rytmiczną muzyką, i zadawał sobie pytanie, dlaczego się tu zjawił, dlaczego marzył o tym, by jeszcze raz zapomnieć, i dlaczego pragnął znaleźć się w cudownym miejscu, pełnym ciepła i śmiertelnych ludzi nie wiedzących, kim jest, pełnym elektrycznych żarówek migocących pod wypłowiałymi chmurami oraz nie kończących się miejskich chodników, po których można chodzić do świtu.

Jesse

- Zostaw mnie, ty sukinsynu! - Jesse kopnęła mezczyzne, który objął ją w pasie i odsunął przed sceny.
- Ty draniu! - Zgięty w szczyryk z powodu przenikliwego bólu w stopie nie sprostał nagłemu pchnięciu. Wywinał kozła i rozłożył się na podłodze.

Już pięć razy oderwano ją od podium. Skuliła się i rozbila niewielki zlepek, który zajął jej miejsce; jak ryba ocierała się o czarne skórzane kurtki i ponownie się prostując, złapała za barierę z nie malowanego drewna, chwyciła w jedną rękę dekoracyjną tkaninę i zwinęła ją w line.

W migającym świetle ujrzała Wampira Lestata skaczącego wysoko w górę i spadającego z lomotem na deski; jego głos znów wzbil się ponad rejwach, bez pomocy mikrofonu wypełnił audytorium; gitarzysci wili się wokół niego jak małe diabelki.

Krew ciekła drobnymi strumyczkami po białej twarzy jak z Chrystusowej korony cierniowej, długie jasne włosy zawirowały w powietrzu, kiedy zrobił pełny obrót, a czarny krawat rozluźnił się i opadł. Blade, krystalicznie niebieskie oczy zaszklily się i nabiegły krwią, kiedy wykrzykiwał blahe słowa piosenek.

Jesse poczuła, jak serce wali jej o zebra, kiedy wpatrywała się w niego, w rozkolysane biodra, materiał ciasnych czarnych spodni opinający potężne mięśnie ud. Znów skoczył w górę, wznosił się bez żadnego wysiłku, jakby był gotów wlecieć pod sam sufit.

Tak, widzisz to i nie ma mowy o żadnej pomyłce! Nie ma żadnego innego wytłumaczenia!

Otarła nos. Znów płakała. Musi go dotknąć, do cholery! W zamroczeniu przyglądała się, jak wali butem w podłogę przy trzech ostatnich huczących nutach piosenki, a muzycy kiwają się w przód i w tył, rozgrzewając tłum, i rzucają na boki głowami. Ich głosy ginęły w jego głosie, kiedy próbowali dotrzymać mu kroku.

Boże, ależ on to uwielbiał! Nie było w tym ani cienia udawania. Pławił się w okazywanym mu zachwycie. Kapal się w nim jak we krwi.

A teraz, gdy przeszedł do szalenczego początku następnej piosenki, zdarł z siebie czarna aksamitna pelerynę, zakrecił nią z rozmachem nad głową i cisnął daleko w widownię. Tłum zawył nieludzko i zakolysał się. Jesse poczuła czyjes kolana na plecach, but zeslizgujący się po jej piecie, ale właśnie w tej chwili otwarła się przed nią szansa, ochroniarze zeskoczyli bowiem ze sceny, by opanować zamieszanie.

Mocno wsparła się na obu rękach, wybiła się w górę, upadła na brzuch i zerwała się na nogi. Pobieгла do tańczącej postaci, która nagle skrzyżowała z nią wzrok.

- Ty, ty! Ty! - zawołała. Kacikiem oka dostrzegła zbliżającego się ochroniarza. Rzuciła się całym ciałem na Wampira Lestata. Zamknęła oczy, kurczowo zacisnęła ramiona wokół jego bioder. Złożyła twarz na jego jedwabistej, lodowato zimnej piersi. Wtedy poczuła smak krwi na wardze!

- Prawdziwy! - szepnęła. Serce mało nie wyskoczyło jej z piersi, ale nie rozluźniła uścisku. Tak, skóra Maela była jak ta skóra i skóra Maharet, i ich wszystkich. Tak, taka jak ta! To nie był człowiek. Trzymiała go w ramionach, wiedziała o wszystkim i było już za późno, żeby ją zatrzymać!

Lewa ręka chwyciła gesty grzywe jego włosów, a kiedy otworzyła oczy, ujrzała, że uśmiecha się do niej,

ujrzała pozbawiona porów lśniaca biała skóra i drobne kły.

- Ty diable! - szepnela. Śmiała się jak szalona, płakała i śmiała się.

- Kocham cie, Jessico - odpowiedział jej szeptem, uśmiechając się do niej, jakby się drażnił; wilgotne jasne włosy opadały mu na oczy.

Zaskoczona poczuła jego uścisk, a potem podrzucił ją na swoje biodro i obrócił w koło. Wrzeszczący muzycy rozmyli się w jedną smugę; światła były bryzgami bieli i czerwieni. Jęczała, ale nie odrywała od niego wzroku; tak, jego oczy były prawdziwe. Trzymała się go rozpaczliwie, w obawie, że zamierza cisnąć ją wysoko w powietrze nad głowami tłumu. On jednak postawił ją na scenie, pochylił głowę, jego włosy omiotły jej policzki i poczuła jego usta na swoich.

Pulsująca muzyka stała się niewyraźna, jakby Jesse zanurzyła się w morzu. Czuli, że jego oddech przenika ją, gładkie palce przesunęły się w górę jej szyi. Jej piersi odbierały bicie jego serca, a głos przemawiał do niej czysto, tak jak tamten głos dawno temu, znany głos, rozumiejący jej pytania i wiedzący, że nie mogą pozostać bez odpowiedzi.

To zło, Jesse - powiedział głos. - Zawsze o tym wiedziałas.

Rece odciagnęły ją w tył. Ludzkie rece. Oddzielano ją od niego. Krzyknęła przeraźliwie.

Wpatrywał się w nią osłupiały. Siegał głęboko, głęboko w swoje sny, szukając czegoś, o czym ledwo pamiętał. Stępa; rudowłose bliźniaczki klekające po obu stronach ołtarza. Trwało to nie dłużej niż ułamek sekundy, a potem przepadło; stał oszolomiony, po czym znów przywołał na twarz bezosobowy uśmiech, będący jak jedno ze światel, które nieustannie ją oslepiały.

- Piękna Jesse! - powiedział, unosząc dłoń jakby w pożegnaniu. Niesiono ją daleko od niego, poza scenę.

Kiedy postawiono ją na nogi, śmiała się.

Jej biała koszula była poplamiona krwią. Na dłoniach także widniały blade smugi słonej krwi. Znała ten smak. Odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się; jakie to było dziwne, nie słyszała swego śmiechu, tylko czuła przebiegające ją drżenie, czuła, że płacze i śmieje się równocześnie. Ochroniarz powiedział coś do niej, coś chamskiego, groźnego. Ale to się nie liczyło.

Tłum znów ją ogarnął. Po prostu polknął ją, bił w nią jak fala, odrzucił ze środka. Ciężki but miażdżył jej stopę. Potknęła się, obróciła i została jeszcze gwałtowniej pchnięta w stronę drzwi.

To jest bez znaczenia. On wie! - dzwieczało w jej myślach. Wie o tym wszystkim. Miała zawroty głowy. Nie ustalaby prosto, gdyby nie napierające na nią ramiona. Nigdy nie czuła równie cudownego braku zahamowania. Nigdy nie czuła takiego rozładowania napięcia.

Nie było końca szalonej kakofonii dźwięków; twarze błyskały i znikwały w falach kolorowego światła. Czuli zapach marihuany i piwa; czuli pragnienie. Tak, coś do picia, coś zimnego. Ależ pragnienie. Znów podniosła rękę, zlizwała krew i sól. Delikatne cudowne drżenie zapowiadało nadejście snów. Znów polizowała krew i zamknęła oczy.

Nagle poczuła, że jest na otwartej przestrzeni. Nikt jej nie popychał. Podniosła wzrok i zobaczyła, że jest przy wyjściu, na wąskiej trzymetrowej rampie prowadzącej w dół do westybuli. Tłum był za nią,

nad nią. Nareszcie mogła odpocząć. Była cała i zdrowa.

Opierając się dłońmi o zatluszczoną ścianę, przeszła po warstwie papierowych kubków. Opuszczała głowę i odpoczywała; brzydkie światło z westybulu świeciło jej w oczy. Na czubku języka czuła smak krwi. Znowu zbierało się jej na płacz. Przez chwilę nie było przeszłości ani teraźniejszości i cały świat się zmienił, od najprostszej rzeczy do najważniejszej. Bujala w obłokach, jakby na szczytach największego uspokojenia i akceptacji, jakie kiedykolwiek знаła. Och, gdyby tylko mogła opowiedzieć to wszystko Dawidowi; gdyby tylko mogła podzielić się tym wielkim i obezwładniającym sekretem.

Cos ją dotknęło. Cos wrogiego. Odwróciła się niechętnie i zobaczyła u swojego boku ogromną postać. Co to? - zapytała w myślach. Usiłowała przyjrzeć się jej dokładnie.

Koscista budowa, czarne przyłizane włosy, czerwona szminka na brzydkich ustach, ale skóra... skóra ta sama. I kły. Nieludzkie kły.

Talamasca?

To był syk, bezsłowne pytanie, po którym dostała uderzenie w mostek. Instynktownie uniosła ręce, skrzyżowała je na piersiach, zaplotła palce na ramionach.

Talamasca?

Pytanie bezdźwięczne, niemniej jednak zadane z ogłuszającym gniewem.

Cofnęła się, ale jego dłoń złapała ją, palce wgrzyzły się w kark. Usiłowała krzyknąć, ale została uniesiona w powietrze.

A potem leciała przez westybul, krzycząc, aż uderzyła głową w ścianę.

Czern. Zobaczyła ból. Błyskał żółto, potem białą i wedrował w dół kregosłupa, po czym rozszedł się w kończynach jakby milionami gałązek. Straciła wszelką władzę nad swoim ciałem. Uderzyła o podłogę, paralizujący ból dosięgł! jej znowu, tym razem czuła go na twarzy i we wnętrzu otwartych dłoni, aż wreszcie przewróciła się na plecy.

Nic nie widziała. Miała zamknięte oczy, ale nie potrafiła ich otworzyć. Słyszała głosy, krzyki ludzi, gwizdek, a może dzwonek? Rozległ się grzmoty hałas, kolejny aplauz tłumu. W pobliżu byli ludzie.

Ktoś powiedział blisko jej ucha:

- Nie dotykajcie jej. Ma złamany kark!

Złamany? Czy można mieć złamany kark i żyć?

Ktoś położył jej dłoń na czole. Ale tak naprawdę czuła tylko przelotne laskotanie, jakby była bardzo zniecierpliwiona, jakby brnęła przez śnieg i utraciła wszelkie czucie. Nie widzę - powiedziała w myślach.

- Słuchaj, skarbie - odezwał się młody męski głos; jeden z tych głosów, które możesz usłyszeć w Bostonie, Nowym Orleanie, Nowym Jorku. Strażak, gliniarz, ratownik. - Zaopiekujemy się tobą. Karetka jest w drodze. Teraz leż spokojnie, skarbie, nie martw się.

Ktoś dotknął jej piersi. Nie, wyjmowano jej karty z kieszeni. Jessica Miriam Reeves. Tak.

Stala obok Maharet i razem spogladały na gigantyczna mape z tymi wszystkimi swiatelkami. Wszystko rozumiala. Jesse zrodzona z Miriam, zrodzonej z Alice, zrodzonej z Carlotty, zrodzonej z Jane Marie, zrodzonej z Anne, zrodzonej z Janet Belle, zrodzonej z Elizabeth, zrodzonej z Louise, zrodzonej z Frances, zrodzonej z Friedy, zrodzonej...

- Gdyby pan byl laskaw, jestesmy jej przyjaciólmi...

Dawid!

Podnosili ja; slyszala swój krzyk, ale przeciez nie miala zamiaru krzyczec. Znów zobaczyła ekran i wielkie drzewo imion.

- Frieda zrodzona z Dagmary, zrodzonej...

- Teraz uwaga, uwaga! Niech to szlag!

Powietrze sie zmienilo; stalo sie chlodne i wilgotne, owionelo jej twarz; potem stracila wszelkie czucie w dloniach i stopach. Czula jedynie powieki, ale nie potrafilo nimi poruszyc.

Maharet mówila do niej:

- ...wyszla z Palestyny do Mezopotamii, a potem powoli przez Azje Mniejsza i Rosje do Europy Wschodniej. Rozumiesz?

To byl albo karawan, albo karetka; wydawalo sie, ze jak na to drugie, bylo tu zbyt cicho, a syrena, chociaz przeciagle zawodzila, byla zbyt daleko. Co sie stalo z Dawidem? Nie opuscilby jej przeciez. Ale jak Dawid sie tu znalazl? Powiedzial, ze nic nie mogloby go tu sciagnac. Dawida tam nie bylo. Musiala to sobie wyobrazic. I co dziwne, Miriam tez tam nie bylo.

- Swieta Mario, Matko Boza... teraz i w godzinie smierci naszej...

Sluchala; pedzili przez miasto; czula, ze skrecaja; ale gdzie jest jej cialo? Nie czula go. Zlamany kark. To z pewnoscia znaczylo, ze jest trupem.

Co to jest, to swiatlo, które widziala w dzungli? Rzeka? Zbyt wielkie na rzeka. Jak ja przebyc? Przecie z to nie Jesse szla przez dzungle, a potem brzegiem rzeki. To ktos inny. A jednak widziala przed soba dlonie, jakby to byly jej własne; odsuwaly pnacza i mokre, ociekajace woda liscie. Kiedy spojrzala w dól, widziala rude wlosy, kedzierzawe straki rudych wlosów pelne kawalków lisci i grudek ziemi...

- Slyszysz mnie, skarbie? Jestesmy przy tobie. Zajmujemy sie toba. Twoi przyjaciele sa w samochodzie za nami. Nie martw sie.

Wciaz mówil, ale gubila watek. Slyszala tylko ton glosu - ton kochajacej troski. Czemu tak jej współczul? Nawet jej nie znal. Nie rozumial, ze krew na koszuli nie jest jej? Krew na dloniach? Pomyslala: - Winna. - Lestat usilowal jej powiedziec, ze to jest zle, ale to bylo niewazne, nie wiazalo sie z caloscia. Rzecz nie w tym, ze nie dbala o to, co dobre, a co zle; rzecz w tym, ze w tej chwili co innego bylo wazniejsze. Pomyslala: - Wiedzial. - I mówil tak, jakby zamierzala cos zrobic, a tymczasem ona nie zamierzala nic zrobic.

To dlatego umieranie bylo calkiem fajne. Gdyby tylko Maharet zrozumiala. Pomyslec, ze Dawid jest z

nia, w samochodzie z tyłu. W każdym razie znalazła część prawdy i założyła jej teczkę: „Reeves Jessica”.
Będzie więcej dowodów. „Jeden z naszych oddanych członków, bez wątplenia w wyniku... niesłuchanie
niebezpieczne... w żadnym wypadku nie powinna dokonywać aktu postrzegania nadmysłowego...”

Znow ją przenosili. Znow zimne powietrze, opary benzyny i eteru. Wiedziała, że tuż po drugiej stronie
tego paralizu, tej ciemności, jest okropny ból, że najlepiej leżeć bez ruchu i nie próbować się tam dostać.
Niech ją transportują; niech wiozą ją wózkiem przez korytarz.

Ktoś płacze. Dziewczynka.

- Słyszysz mnie, Jessico? Wiedz, że jesteś w szpitalu i robimy dla ciebie wszystko, co jest możliwe.
Twoi przyjaciele, Dawid Talbot i Aaron Lightner są w pobliżu. Powiedzieliśmy im, że nie wolno ci się
poruszyć...

Oczywiście. Kiedy złamiesz kark, to albo nie żyjesz, albo umierasz, kiedy się ruszysz. Na tym to polega.
Dawno temu widziała w szpitalu dziewczynę ze złamanym karkiem przywiązana do wielkiej aluminiowej
ramy. Co jakiś czas pielęgniarka przesuwiała ramę, zmieniając pozycję dziewczyny. Czy ze mną też tak
będzie?

Znow mówił, ale tym razem z większej odległości. Szła przez dzungłę trochę szybciej, żeby się zbliżyć,
żeby nie przeszkadzał jej hałas rzeki. Mówił...

- ...oczywiście, że możemy to wszystko zrobić, możemy przeprowadzić testy, oczywiście, ale
zrozumcie, co do was mówię, ona jest w agonii. Ma kompletnie zmiądzony tył czaszki. Rozległe
uszkodzenia mózgowia są wyraźne, tak że w przeciągu kilku godzin mózg zacznie nabrzmiwać, jeśli
będzie to trwało kilka godzin...

Draniu, zabiłeś mnie. Rzuciłeś mnie o ścianę. Gdybym mogła czymś ruszyć - powiekami, ustami. Jestem
uwięziona tu, w środku. Nie mam już ciała, a mimo to jestem w nim uwięziona! Kiedy byłam mała,
często myślałam, że taka będzie śmierć. Będiesz uwięziona jak w grobie w swojej głowie, bez oczu,
żeby widzieć, i bez ust, żeby krzyczeć. I będa mijaly lata.

A może będziesz blaknąć w królestwie półmroku z bladymi demonami, myśleć, że żyjesz, podczas
gdy naprawdę będziesz martwa? Dobry Boże, muszę wiedzieć, od kiedy nie żyje. Muszę wiedzieć, kiedy
się to zaczęło!

Na ustach czuła niezwykle słaby dotyk. Coś wilgotnego, mokrego, coś rozchylającego jej wargi. Ale
tu nie ma nikogo, prawda? Oni są na korytarzu, a pokój jest pusty. Wiedziałyby, gdyby ktoś tu był. A
jednak czuła jakiś smak, ciepły płyn napływający do ust.

Co to jest? - spytała bezgłośnie. - Co mi dajecie? Nie chce stracić przytomności.

Spój, moja kochana.

Nie chce. Chce czuć, kiedy będzie umierać. Chce wiedzieć!

Płyn wypełniał jednak jej usta, a ona przelykała. Mięśnie przelyku ożyły. Cudowny jest ten słony smak.
Znała go! Znała to cudowne mrowienie. Ssała mocniej. Czula, jak skóra twarzy ożywa i czula
owiewające ją powietrze. Czula powiew wiatru w pokoju. Cudowne ciepło przesuwalo się w dół
kregoslupa. Przesuwalo się wzdłuż nóg i rąk, dokładnie szlakiem bólu, i życie wracało do wszystkich
członków.

Spij, ukochana - powiedział bezgłosny głos.

Mrowienie odezwalo sie na ciemieniu, dotarło do korzonków włosów.

Kolana miała poobijane, ale nie czuła bólu nóg i mogła znów chodzić; czuła przescieradło pod ręką. Chciała sięgnąć ręką do poręczy, ale było na to za wcześnie, za wcześnie na ruch.

Ktos ją podniósł.

Teraz najlepiej było spać. Jeśli to śmierć... no to co, była całkiem fajna. Głosy ludzi, które ledwo słyszała, nie miały już znaczenia. Wydawało się, że Dawid ją woła. Czego od niej chce? Żeby umarła? Lekarz groził, że wezwie policję. Policja w niczym już nie pomoże. To było niemal śmieszne.

Schodzili coraz bardziej w dół schodów. Czuła cudowne zimne powietrze.

Odgłosy ruchu ulicznego nasiliły się; obok przejechał z warkotem autobus. Poprzednio nigdy nie lubiła tych hałasów, ale teraz były jak wiatr, tak czyste. Znowu kolysano ją lekko, łagodnie, jakby była w kołysce. Poczula nagły zryw samochodu, a potem gładki, swobodny ped. Miriam była tu i chciała, żeby Jesse na nią spojrział, ale ona czuła się teraz zbyt zmęczona.

- Nie chce iść, mamo.

- Jesse, proszę. Nie jest za późno. Wciąż możesz przyjść! - Wolala tak, jak Dawid: - Jessico.

Daniel

Daniel wreszcie zrozumiał. Bładolicy bracia i siostry krążyli wokół siebie, mierza się wzrokiem, nawet grożą sobie nawzajem, ale nikt nic nie robi. Zasada była prosta i bezwzględna; nie zostawiać żadnych dowodów świadczących o naszej kondycji - żadnych ofiar, ani jednej komórki naszej wampirzej tkanki.

Lestat miał być jedyną ofiarą i mord zaplanowano z całą starannością. Śmiertelnicy nie mieli zobaczyć kosa, chyba że w ostateczności. Porwać drania, kiedy będzie próbował uciec, taki był plan; zniszczyć go tylko w obecności wtajemniczonych. Jeśli będzie się opierał, umrze na oczach swoich fanów; należy wówczas zniszczyć ciało tak, by nic z niego nie zostało.

Daniel śmiał się do rozpuku. Już sobie wyobrażał, jak Lestat potulnie godzi się na te zamierzenia.

Śmiał się prosto w ich zawzięte gęby. Błaziuchne jak orchidee złośliwe duszyczki, które napelniały hale, kipiać złością, zazdrością, chciwością. Można by pomyśleć, że nienawidzili Lestata choćby z powodu jego wyzywającej urody.

Daniel wreszcie oderwał się od Armanda. Czemu nie?

Nikt nie mógł go skrzywdzić, nawet groźnie patrząca kamienna postać, którą widział w cieniach, tak twarda i stara, że wyglądała jak legendarny Golem. Cóż to za niesamowity stwór, ta kamienna kreatura wpatrzona w śmiertelną kobietę leżącą ze złamanym karkiem, te ruda, przypominająca bliźniaczki ze snu.

Pewnie zrobił to jakiś głupi człowiek, złamał jej kark jak zapalke. A ten jasnowłosy wampir w jelenich skórkach przeciskający się do miejsca wypadku też wyglądał niesamowicie, żyły nabrzmiwały mu na karku i na dłoniach, kiedy dotarł do tej biednej ofiary. Armand z niezwykle wyrazem twarzy przyglądał się ludziom zabierającym ruda kobietę, jakby, nie wiedząc czemu, uważał, że powinien interweniować; być może ten niby-Golem stojący bez ruchu napawał go niepokojem. Wreszcie wepchnął z powrotem Daniela w śpiewający tłum. Nie było jednak powodu do strachu. To miejsce, ta katedra dźwięku i muzyki była ich sanktuarium.

Lestat był Chrystusem na katedralnym krzyżu. Jak opisać jego wszechwładny i irracjonalny autorytet? Miałby okrutną twarz, gdyby zachwył i wylewna radość nie czyniły jej dziecinna. Wymachiwał piściami, jakby walczył z cieniem, wrzeszczał, błagał, wyl pod adresem nieugiętych mocy, cały czas śpiewając o swoim upadku - Lelio, bulwarowy aktorzyzna, przepoczwarzony w nocnego stwora wbrew swojej woli!

Jego tenor zdawał się kompletnie odcielesniony, gdy relacjonował kleski, zmartwychwstania, pragnienia, których zaden potop krwi nigdy by nie ugasił.

- Czyż nie jestem diabłem w was wszystkich! - krzyczał nie do rozkwitających w blasku księżyca potworów, ale do śmiertelnych, którzy go uwielbiali.

Nawet Daniel wrzeszczał, ryczał, skakał w górę, potwierdzając te słowa, chociaż na dobrą sprawę nic nie znaczyły; chodziło tylko o naga moc sprzeciwu i wyzwania Lestata, przeklinającego niebiosa w imieniu tych, którzy kiedykolwiek zakosztowali losu wyrzutka, wszystkich tych, którzy kiedykolwiek dopuścili się gwałtu, aby potem w poczuciu winy i wyrzadzanego zła zwrócić się przeciwko swojej krwi.

W najbardziej wzniosłych chwilach Daniel miał wrażenie, że osiągnięcie niesmiertelności w przededniu tej wielkiej mszy było jakimś znakiem losu. Wampir Lestat był bogiem lub też kims mu podobnym. Gigant na ekranie wideo błogosławił wszystko, czego Daniel kiedykolwiek pozadał.

Jak inni mogli się opierać? Z pewnością uniesienie przyszłej ofiary rozpalalo ich do szalenstwa. Zasadnicze przesłanie wszystkich tekstów było następujące: Lestat ma dar, przyrzeczony każdemu; Lestata nie można zabić. Zasmakował cierpienia, które na niego spadły, i wylonil się tym silniejszy. Połączyc się z nim znaczyło życie wieczne.

Oto jest ciało moje. Oto jest krew moja.

Nienawisc wrzała jednak wśród wampirycznych braci i sióstr. Kiedy koncert zmierzał ku finałowi, Daniel poczul ją żywo - smród bijący od tłumu, syk coraz mocniej przebijający się spod brzmienia muzyki.

Zabić boga. Rozerwać na strzepy. Niech śmiertelni wierni robia to, co zawsze - oplakują w jego postaci tych, którym sadzona jest śmierć.

- Idziemy, jest po mszy.

Zapalily się światła na widowni. Fani uderzyli na drewnianą scenę, rozerwali czarna serzowa kurtynie w pogoni za uciekającymi muzykami.

Armand złapał Daniela za ramię.

- Bocznyimi drzwiami - powiedział. - Nasza jedyna szansa to dopaść go szybko.

Khayman

Nastąpiło to, czego się spodziewał. Uderzyła najpierw na tych, którzy uderzyli na niego. Lestat wyszedł tylnymi drzwiami i z Louisem u boku pedził do swojego czarnego porsche, kiedy skrytobójcy rzucili się na niego. Wydawało się już, że nieregularny krąg się zamknie, kiedy naraz pierwszy kosiarz stanął w płomieniach. Tłum wpadł w panikę, przerażone dzieci pedziły na oslep we wszystkich kierunkach. Następny niesmiertelny napastnik zajął się ogniem. I następny.

Khayman przywarł do ściany, podczas gdy niezdarne ludzkie istoty mijaly go w pedzie. Widział, jak elegancka krwiopijczyni nie zauważona przecina tłum, wślizguje się za kierownicę samochodu, krzykiem popędzając Louisa i Lestata, żeby do niej dołączyli. To była Gabriela, matka czarta. To oczywiście, że nie tknął jej zabójczy ogień. W błękitnych oczach nie było ani okruszyny strachu, kiedy przygotowywała pojazd szybkimi, zdecydowanymi gestami.

Tymczasem Lestat rozwścieczony, oszalały, pozbawiony szansy walki wsiadł wreszcie do samochodu, ponieważ inni go do tego zmusili.

A gdy porsche brnęło przez rozbiegany tłum młodzieży, płomienie dosięgały krwiopijców. Ich krzyki, gorączkowe przekleństwa, ostateczne pytania rosły w koszmarnym, niesłyszalnym dla ludzkiego ucha chórze.

Khayman zakrył twarz. Porsche przebyło połowę drogi do bramy, zanim zatrzymał je tłum. Syreny wyły, wyrzaskiwano rozkazy; dzieci padały z polamanymi kończynami. Śmiertelni krzyczeli z zalu i przerażenia.

Znajdź Armanda - pomyślał Khayman. Ale po co? Wszędzie, gdzie spojrzał, wirowały wielkie pochodnie oranżowo-niebieskiego ognia, bielejące w nagłym zarze, kiedy tamci uwalniali się od szerniałych ubrań, osuwających się na chodniki. Jak wejść między ogień i Armanda? Jak uratować młodego Daniela?

Popatrzył ku odległym wzgórzom, na drobna postać jasniejaca na ciemnym niebie, nie zauważona przez tych, którzy uciekali z wrzaskiem i wołaniem o pomoc.

Nagle poczuł zar; dotykał go jak wtedy w Atenach. Poczuł, jak tanczy u jego stóp, oczy zaszły mu łzami. Mimo to niewzruszony wpatrywał się w odległe źródło tego doznania. A potem z przyczyn, których być może nie miał nigdy pojąć, zdecydował się nie odpychać ognia, lecz sprawdzić, co zywioł może mu uczynić. Każde włókno jego jestestwa mówiło mu - Odepchnij go. - A jednak pozostał bez ruchu, wyprany z myśli, czując kapiący pot. Ogień okrzył go, objął, a następnie cofnął się i zostawił go w spokoju, zimnego i zranionego ponad wszelkie, najdziksze nawet wyobrażenie. Wyszepiał cicha modlitwę: - Oby bliźniaczki cie zniszczyły.

Daniel

Pozar! - Daniel poczuł smród żelczatego tłuszczu i równocześnie zobaczył płomienie wybuchające

wśród tłumu. Jaka osłona zapewniała teraz zbiorowisko? Ogień tryskał małymi eksplozjami, podczas gdy grupki oszalałych nastolatków bezładnie usiłowały się od nich oddalić. Ludzie biegali bezsensownie w kółko, wpadając jedni na drugich.

Ten dźwięk. Daniel usłyszał go znowu. Przesuwał się nad ich głowami. Armand ciągnął go do budynku. To bez sensu, i tak nie dostaną się do Lestata. Nie mieli kryjówek. Armand wrócił do hali, wciąż ciągnąc Daniela za sobą. Para przerażonych wampirów wybiegła z drzwi i eksplodowała słupami ognia.

Ogarnięty grozą Daniel patrzył na szkielety rozplywające się w bladej poswiacie. W glebi opustoszałej widowni kolejna uciekająca postać zajęła się upiornymi płomieniami. Widać się, padła na betonową podłogę; z pustego ubrania uniósł się dym, kaluża tłuszczu zalała beton i wyschła na oczach Daniela.

Znowu pobiegli ku uciekającym śmiertelnym, tym razem do odległej bramy, od której dzieliło ich wiele metrów asfaltowej nawierzchni.

Przemieszczali się tak szybko, że stopy Daniela nie dotykały ziemi. Świat zmienił się w kolorową smugę. Nawet żalosne wrzaski przerażonych fanów dobiegały z daleka, złagodzone. Wtem zatrzymali się przy bramie, w tej samej chwili, w której czarne porsche Lestata wypadło z parkingu i przemknęło na ulicę. Zniknęło im z oczu po kilku sekundach, sunąc jak pocisk ku autostradzie, na południe.

Armand nie usiłował go dopędzić; zdawał się nawet go nie dostrzegać. Stał przy bramie i patrzył ponad głowami tłumu i wygiętym dachem hali ku odległemu horyzontowi. Niesamowicie, telepatycznie słyszany dźwięk był ogłuszający. Przesłonił wszystkie inne dźwięki świata, pochłonił wszelkie doznania.

Daniel musiał zakryć uszy rekoma, nie potrafił opanować drżenia nóg. Czuli, że Armand jest blisko, ale przestał cokolwiek wiedzieć. Wiedział jednak, że jeśli to ma nastąpić, to właśnie teraz. Jednak nie czuł strachu, nadal bowiem nie mógł uwierzyć we własną śmierć; sparaliżowały go pomieszanie i zdumienie.

Dźwięk rozplynął się stopniowo. Odretwił Daniel powoli przejrzał na oczy; rósł przed nim wielki kształt wozu strażackiego z drabiną; strażak krzyczał, żeby odszedł od bramy. Buczenie syren było, jak dźwięk z innego świata, przeszywało skronie niewidzialnymi igłami.

Armand łagodnie odsunął go z drogi. Wystraszeni ludzie pedzili obok jak unoszeni wiatrem. Daniel ślaniał się na nogach, ale Armand go podtrzymał. Znaleźli się w ciepłej masie śmiertelnych, za ogrodzeniem, wślizgując się między gapiów oglądających zamieszanie zza drucianej siatki.

Setki nadal uciekały. Przerazliwy dysonans syren zagłuszył ich krzyki. Wozy strażackie pedzily przez brame, mijając rozproszonych śmiertelnych. Jednak wszystkie te odgłosy były wiatle i dalekie, nadal przygłuszane gasnacym nadprzyrodzonym dźwiękiem. Armand przyłgnął do siatki, zamknął oczy, przycisnął czoło do metalu. Siatka drżała, jakby ona jedna mogła słyszeć stworą tak, jak oni go słyszeli.

Dźwięk zgasł.

Zapanowała lodowata cisza, cisza po wstrząsie, pustka. Chociaż pandemonium trwało dalej, już ich nie obejmowało.

Byli osamotnieni; śmiertelni rozbiegali się na boki, zderzali się ze sobą, pedzili dalej, a w powietrzu unosily się uparte nadprzyrodzone krzyki przypominające trzask płonącej folii aluminiowej; kolejne śmierci, ale gdzie?

Przecieli ulice, ramie w ramie, nie spieszac sie. Poszli dalej ciemna boczna ulica, mijajac podniszczone domy z ozdobnymi tynkami i tanie narozne sklepiki.

Szli i szli. Noc byla zimna i spokojna, a odglosy syren dalekie, nieomalze zalobne.

Kiedy dotarli do szerokiego, oslepiajacego jasnoscia bulwaru, ujrzeli rozklekotany trolejbus skapany w zielonkawym swietle. Wydawal sie zjawa jadaca ku nim przez pustke i cisze. Zalewie kilku osamotnionych pasazerów patrzylo przez zasmuzone, brudne okna. Kierowca wygladal, jakby byl pograzony we snie.

Armand uniósł zmeczone oczy, jakby chcial odprowadzic pojazd wzrokiem. Jednak ku zdumieniu Daniela trolejbus zatrzymal sie, zeby ich zabrac.

Weszli do srodka i nie kupujac biletów, opadli na dluga, pokryta skóra lawe. Kierowca ani na chwile nie oderwal oczu od szyby. Armand siedzial bokiem do okna, tepo wpatrujacy sie w czarna gumowa wykladzine. Mial zmierzwiene wlosy i smuge sadzy na policzku. Zagubiony w myslach, wydawal sie calkowicie nieswiadomy tego, co robi.

Daniel spogladal na otaczajacych go bezbarwnych smiertelnych. Kobieta o twarzy jak suszona sliwka i ustach waskich jak szrama odpowiedziala mu gniewnym spojrzeniem; pijany mezczyzna chrapal, zwiesiwszy glowe na piersi; kobieta z malutka glówka o zlepionych wlosach trzymala na kolanach gigantycznego niemowlaka, którego skóra byla jak guma do zucia. Niech to diabli, w nich wszystkich bylo cos okropnie nie w porzadku. Na tylnym siedzeniu tkwil trup mezczyzny z półprzymknietymi powiekami i sladami sliny na podbródku. Czy nikt nie widzi, ze on nie zyje? Na podlodze zasychala smierdzaca urna.

Dlonie Daniela wygladaly martwo, trupio. Kierowca obracajacy kierownice wydawal sie umarlakiem z zywym jednym ramieniem. Czy to halucynacja? Autobus do piekla?

Nie. Jedynie trolejbus, jeden z miliona podobnych, jakie widzial w zyciu, wiozacy noca przez miasto zmeczonych wykolejenców. Nagle Daniel malo nie wybuchnal glosnym smiechem, myslac o trupie z tyłu i o ludziach jadacych ot, tak sobie, i o tym, jak to wszystko wygladalo w tym swietle, ale poczucie grozy natychmiast wrócilo.

Cisza dzialala mu na nerwy, podobnie jak powolne kolysanie autobusu; przygnebiala go parada ruder; widok bezsilnej twarzy i pustego wzroku Armanda byl nie do zniesienia.

- Wróci po nas? - spytal. Nie mógł tego juz zniesc.

- Wiedziala, ze tam bylismy - rzekl Armand cichym, matowym glosem. - Pominela nas.

Khayman

Wycofal sie na wysoki trawiasty stok, za którym rozciagal sie widok na zimny Pacyfik.

Mial przed soba panorame calosci; smierc w oddali, zagubiona w swiatlach, a piskliwe wycia nadprzyrodzonych dusz mieszaly sie z zageszczonymi odglosami ludzkiego miasta.

Uciekające przed diabłami porsche Lestata wypadło z autostrady. On sam wyszedł z pogruchotanego auta bez szwanku, zlakniony walki; ale ogień znów uderzył w tych, którzy go otoczyli, rozpraszając ich lub zabijając.

Wreszcie pozostawiony samemu sobie z Louistem i Gabriela, zgodził się wycofać, niepewny, kto lub co go chroni.

Bez wiedzy całej trójki królowa udała się w pogon za jego nieprzyjaciółmi.

Nad dachami przesuwała się jej moc, niszcząc tych uciekających, którzy usiłowali się ukryć, i tych, którzy w pomieszczeniu i rozpaczli pozostali przy zamarych towarzyszach.

Noc cuchnęła spalenizną; po zawodzących upiorach zostały na pustych chodnikach jedynie zniszczone ubrania. Poniżej, pod lukowymi lampami opustoszałych parkingów policjanci na próżno szukali ciał, a strażacy na próżno szukali ofiar, którym mogliby pomóc. Śmiertelna młodzież krzyczała złośnie.

Opatrzono drobne rany; tym, którzy wciąż byli w szoku, podano środki nasenne i odwieziono do szpitali. Jakże skuteczne były służby publiczne w tej zamoznej epoce. Gigantycznymi wezami strażackimi oczyszczono parkingi, zmyto spopielone szmaty i szczatki.

Drobne istoty klóciły się i przysięgały, że były świadkami całopalen. Nie było jednak żadnych dowodów. Ofiary zostały całkowicie zniszczone.

Własnie oddalała się od hali, przeszukując najgłębsze rozpadliny miasta. Jej moc mijala rogi ulic i wkraczała do domów przez okna i drzwi. Gdziekolwiek się pojawila, wybuchał maly plomien, jak przy potarciu siarkowej zapalki.

Noc uspokajala się. Tawerny i sklepy zamykaly swoje podwoje, mrugajac w gestniejacym mroku. Slabl ruch uliczny.

Starszego, który pragnął ujrzeć jej twarz, dopadła na ulicach North Beach; spalila go powoli, czolgajacego się chodnikiem. Jego kosci zamienily się w popiół, mózg w ostatniej chwili stal się masa rozszarpanych wegielków. Innego zwalila z nóg na wysokim plaskim dachu, tak ze pikowal w dól niczym gwiazda z rozmigotanego nieba. Kiedy bylo po wszystkim, puste ubranie unioslo się w góre jak czarny papier.

Lestat udal się na poludnie, do swojego azylu w Carmel Valley. Triumfujacy, pijany miloscia do Louisa i Gabrieli, rozprawial o starych czasach i nowych marzeniach, najwyrazniej obojetny na cala masakre.

- Maharet, gdzie jestes? - szepnal Khayman. Noc nie przyniosla mu odpowiedzi. Jesli Mael byl nieopodal i jesli slyszal wolanie, nie potwierdzil tego. Biedny, oszalaly z rozpaczly Mael, który odslonil się całkowicie po ataku na Jessica. On również mógł zostac zamordowany, gdy patrzyl bezradnie, jak karetka uwozi mu Jesse.

Khayman nie mógł go znalezc.

Przeczesywal nabijane punktami swiatel wzgórze i glebokie doliny, w których bicie serc bylo jak gromowy szept.

- Czemu bylem świadkiem tego wszystkiego? - Czemu sny mnie tu przywiodly?

Wsluchiwał się w śmiertelny świat.

Rozgłoszenie radiowe gaworzyło o satanistach, zamieszkach, przypadkowych pożarach, masowych halucynacjach. To było jednak wielkie miasto, mimo że zajmowało niewielki obszar. Racjonalne umysły już przefiltrowały i zlekceważyły wydarzenie. Tysiące niczego nie zauważyły. Inni powoli i pracowicie odtworzyli w pamięci nieprawdopodobne rzeczy, których byli świadkami. Wampir Lestat był człowiekiem, gwiazdą rocka i nikim więcej; jego koncert był okazją do dającej się przewidzieć, chociaż nie kontrolowanej histerii.

Być może zniweczenie marzeń Lestata było częścią planu królowej. Zmieści jego nieprzyjaciół z powierzchni ziemi, zanim spruje się pajęczą welon ludzkich przypuszczeń. Jeśli tak się sprawy miały, czy wreszcie ukarze jego samego?

Khayman nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Objął wzrokiem uszponia ziemi. Napływała oceaniczna mgła, osadzając się różnymi warstwami poniżej szczytów wzgórz. W tych pierwszych godzinach po północy wszystko miało słodki, bajeczny smak.

Skoncentrował swoją moc i opuścił więzienie ciała. Wysłał z siebie zdolność widzenia, jak wędrujące kaźmarłego Egipcjanina, by dojrzec tych, których Matka oszczędziła, i zbliżyć się ku nim.

- Armandzie - rzekł na głos. Światła miasta przygasły. Poczł jasność i ciepło innego miejsca i oto Armand był przed nim.

Razem ze swoim piskleciem, Danielem, przybył bezpiecznie do rezydencji, w której zasnęli nie napastowani w piwnicy pod podłogą. Młodziak tańczył sennie w ogromnych, wystawnych pomieszczeniach, a w jego głowie rozbrzmiewały teksty i rytmy Lestata. Armand wpatrywał się w noc, z twarzą pozbawioną wyrazu jak poprzednio. Zobaczył Khaymana! Zobaczył go stojącego bez ruchu na odległym wzgórzu, niemniej na tyle blisko, że mógł go dotknąć. W milczeniu, niewidzialni, uważnie przyglądali się sobie nawzajem.

Khayman był rozpaczliwie samotny, lecz w oczach Armanda zabrakło uczucia, zaufania, serdecznego przywitania.

Poszukiwał więc dalej, wyzwalając z siebie jeszcze większą siłę, wznosząc się wyżej i wyżej i tak oddalając się od ciała, że przez chwile nie potrafił go odnaleźć. Udał się na północ, wzywając imiona Pandory i Santina.

Ujrzał ich na śnieżnych lodowych polach, dwie czarne figurki wśród nieskończonej bieli - ubiór Pandory poszarpał wiatr, jej oczy pełne krwawych łez szukały niewyraźnych zarysów warowni Mariusza. Rada była obecności Santina, podróżnika absurdalnie odzianego w delikatne aksamity. Długa bezsenna noc, w trakcie której Pandora kładła się po świecie, wsadziła ból w całe jej ciało i niemal ją zalamowała. Wszystkie stworzenia muszą spać, muszą śnić. Jeśli wkrótce nie odpocznie w jakimś ciemnym zakątku, nie zdoła zwalczać głosów, obrazów, szalenstwa. Nie chciała znów wzbijać się w powietrze, a Santino, który nie potrafił dokonać takich czynów, siedział za nią.

Łgnął do niej, zdany jedynie na jej siłę; jego serce było obolałe, poranione przenikliwymi wrzaskami tych, których zniszczyła królowa. Gdy poczuł łagodną musielicę spojrzenia Khaymana, ciasniej owinał wokół twarzy czarna oponczę. Pandora nie poświęciła temu najmniejszej uwagi.

Khayman odleciał. Ich fizyczna bliskość, ich wspólnota sprawiała mu ból.

W rezydencji na wzgórzu Daniel poderzwał gardło wierzgającemu szczurowi i upuścił krew do kryształowego pucharu.

- Sztuczka Lestata - rzekł, oceniając pod światło rubinowy płyn. Armand siedział nieruchomo przy kominku, przyglądając się czerwonemu klejnotowi w rzuconym szkle, które Daniel z uwielbieniem podniósł do ust.

Khayman powrócił w noc, znów szybując wyżej, hen, daleko od świateł miasta, jakby po wielkiej orbicie.

Maelu, odpowiedz mi - wzywał go. - Daj mi znać, gdzie jesteś. - Czy zimny promień wściekłości Matki uderzył również jego? Czy też tak głęboko rozpaczal za Jessica, że nie słyszał niczego i nikogo? Biedna Jessica, olśniona cudami, powalona w mgnieniu oka przez byle pisklaka, zanim ktokolwiek zdolał temu zapobiec.

Dziecko Maharet, moje dziecko! - pomyślał.

Khayman lekał się tego, co mógł zobaczyć, lekał się tak, że nie szukał sposobności zmiany stanu rzeczy. Być może druid po prostu jest dla niego teraz zbyt silny; ukrył siebie i swoją podopieczną przed wszystkimi oczami i wszystkimi umysłami. Być może jednak królowa dopięła swego i było już po wszystkim.

Jesse

Tak tu cicho. Leżała na łożu zarazem twardym i miękkim, a jej ciało było bezwładne jak szmaciana lalka. Uniesiona dłoń natychmiast opadała, a Jesse wciąż widziała jedynie niewyraźne zarysy, które mogły być złudzeniem.

Na przykład te kaganki wokół; starożytne gliniane kaganki w kształcie ryb napełnione olejem i nasycające pokój gestą kadzidlana wonia. Czy to zakład pogrzebowy?

Znów powróciła myśl, że nie żyje, że jest uwieziona w ciele, a jednocześnie bezwolna. Usłyszała dziwny odgłos; co to? Słyszała odgłos nożyczek. Ktoś strzygł ją na zapalce, metalowe ostrza wedrowały po skórze czaszki. Czula je nawet w brzuchu.

Nagle wyrwano jej drobny włos rosnący na twarzy, jeden z tych denerwujących włosów, których kobiety tak nie cierpią. Robiono jej toaletę do trumny, no nie? Dlaczego bowiem obchodzono się z nią tak pieczołowicie, unosząc jej dłoń i tak starannie oglądając paznokcie?

Ból znów uderzył, elektryczny prąd smigający w dół pleców; krzyknęła. Była wciąż w tym samym pokoju, zajmowała łóżko na skrzypiaczych lancuchach.

Ktoś w pobliżu głośno westchnął. Usiłowała zobaczyć tego kogoś, ale znów dostrzegła tylko lampy. Przy oknie stała jakaś postać. To Miriam. Przyglądała się jej.

- Gdzie? - Rozglądał się zaskoczony, usiłując dojrzec zjawę. Czy nie zdarzyło się to już kiedyś?

- Dlaczego nie mogę otworzyć oczu? - spytała. On mógłby patrzeć całą wieczność i nigdy nie zobaczyłby Miriam.

- Masz otwarte oczy - powiedział. Jaki bezbronny i czuły był jego głos. - Nie mogę dać ci więcej, bo musiałbym dać wszystko. Nie jesteśmy uzdrowicielami, lecz mordercami. Czas zdecydować, czego chcesz. Nie ma nikogo, kto by mi pomógł.

Nie wiem, czego chce - odparła w myślach. - Wiem tylko, że nie chce umrzeć! Nie chce przestać żyć. - Jacy z nas tchórze, jacy kłamcy. Przez całą drogę wiedząc do tej nocy towarzyszył jej wielki, beznadziejny smutek, a jednak teraz pojawiła się jakaś sekretna nadzieja! Nadzieja, że nie tylko zobaczy, ale dowie się, stanie się szczęśliwa...

Chciała to wytłumaczyć, wyrazić w starannie dobranych słowach, ale ból powrócił, płonąc gwałtownie smagnął kregosłup, wlał się w nogi. A potem nastąpiło błogosławione odretwienie. Wydawało się, że pokój, którego nie mogła widzieć, stał się ciemniejszy i plomyki starożytnych kaganków znów zaczęły kopcic. Za oknami szeptał las, wijący się w ciemności. Chociaż dłoń Maela wciąż spoczywała na jej nadgarstku, ucisk nagle osłabł; przestała go czuć.

- Jesse!

Potrząsnął ją oburacz i błyskawica bólu roztrzaskała ciemność. Wrzasnęła przez zacisnięte zęby. Miriam przeszywała ją kamiennym wzrokiem i wciąż milczała, stojąc przy oknie.

- Maelu, zrób to! - krzyknęła Jesse.

Zebrała wszystkie siły i usiadła. Ból nie miał kształtu ani granic; krzyk dusił się w niej w środku. A jednak otworzyła oczy, naprawdę je otworzyła. W odbitym świetle zobaczyła zimny, nie wybaczący wzrok Miriam. Ujrzała postać Maela pochylonego nad jej łóżkiem. A potem zwróciła się ku otwartym drzwiom. Nadchodziła Maharet. Lekka i gibka, weszła po schodach; długa suknia falowała z tajemniczym szelestem.

Och, nareszcie po tych wszystkich latach, po tych długich latach! Jesse widziała przez łzy, jak Maharet wchodzi w krąg światła; ujrzała promieniującą twarz i płonące jasnością włosy. Maharet gestem nakazała Maelowi, by je zostawił.

Zbliżyła się do łóżka. Uniosła dłonie do góry, jakby w geście zaproszenia; uniosła je tak, jakby przyjmowała niemowlę.

- Tak, uczyn to.

- W takim razie, moja droga, pożegnaj się z Miriam.

* * *

Za dawnych czasów w Kartaginie panował przerażający kult. Ludność składała niemowlęta w ofierze wielkiemu posagowi z brazu, Baalowi. Kładziono małe ciała na wyciągniętych ramionach posagu, a gdy te, uruchamiane sprezynami, podnosiły się, dzieci wpadały do ryczącego ogniem boskiego brzucha.

Po zniszczeniu Kartaginy jedynie Rzymianie przechowali stara opowiesc, a w miare stuleci madrzy ludzie przestali w nia wierzyc. To calopalenie wydawalo sie zbyt straszne. Jednak gdy archeolodzy przystapili do pracy, odkryli mnóstwo kosci malych ofiar, cale nekropolie drobnych szkieletów.

Swiat dowiedzial sie, ze stara legenda byla prawdziwa; ze lud Kartaginy oddawal swoich potomków bogowi i bez sprzeciwu patrzyl, jak krzyczac, staczali sie w ogien. Tak nakazywala religia.

Jesse pomyslala o tamtej starej legendzie, gdy Maharet uniosla ja i dotknela ustami jej szyi. Ramiona Maharet byly niczym ramiona boga Baala i przez jedna ognista chwile Jesse zaznala niewypowiedzianych katuszy.

Nie ujrzala jednak wlasnej smierci; to byla smierc innych - dusze palonych zywcem wampirów wirowaly coraz wyzej, byly dalej od grozy i fizycznego bólu, od plomieni zzerajacych nadprzyrodzone ciala. Slyszała krzyki i ostrzezenia; widziala ich oslepiajace oblicza, gdyz zachowywali oni ludzkie ksztalty, zatraciwszy ich materialnosc; czula, jak przechodza z nedzy i rozpaczy w niewiadome; slyszała pierwsze nuty ich piesni.

Wizja zbladla i rozplynela sie jak muzyka na pół uslyszana i na pół zapamietana. Byla bliska smierci; jej cialo przepadlo, przepadl tez wszelki ból, a razem z nim wszelkie poczucie ciaglosci i niepokoju.

Znalazla sie na rozslonecznionej polanie; na oltarzu lezala jej matka.

- Chwala cialu - rzekla Maharet. - W ciele rozpoczyna sie wszelka madrosc. Strzez sie istoty bezcielesnej. Strzez sie bogów, strzez sie idei, strzez sie diabla.

Naplywajaca krew sunela kazdym włóknem ciala, ozywiala czlonki i na zawsze zakotwiczala dusze w materii; Jesse odzyskiwala nogi i ramiona, zar klul cialo wijace sie z glodu.

Lezaly wpolobjete, niczym jedno wilgotne i splatane stworzenie o przemieszanych wlosach; twarda skóra Maharet stawala sie cieplejsza i bardziej miekka, a Jesse wtulila twarz w jej szyje i wgryzala sie w zródlo, przesywana pulsujaca ekstaza.

Nagle Maharet odsunela sie i ulozyla glowe Jesse na poduszce. Zakryla jej oczy i drobnymi, ostrymi jak zyletka zebami przecielala skórę; Jesse poczula, ze traci wszystko, co przyjela, ze znów jest wysysana. To wrazenie opróżniania, pozerania, redukowania do zera bylo jak swist wiatru!

- Pij jeszcze raz, moja kochana.

Powoli otworzyla oczy; ujrzala biale gardlo i biale piersi; zlapala rekami za szyje i tym razem to ona rozerwala skórę. A kiedy pierwszy strumyczek krwi dosiegnal jezyka, zawladnela Maharet, która byla jej calkowicie ulegla; piersi Maharet starly sie z jej piersiami, usta z jej twarza, gdy Jesse ssala krew coraz mocniej i mocniej. Jesteś moja, jesteś calkowicie i bez reszty moja - huczalo jej w glowie. Wszystkie wizerunki, glosy, wizje przepadly.

Spaly czy tez drzemaly wtulone jedna w druga. Rozkosz utracila niepokojacy blask; oddychanie znowu oznaczalo czucie; dotkniecie gladkiej poscieli lub jedwabistej skóry Maharet bylo jak odrodzenie.

Pachnacy wiatr przemknal przez pokój. Z lasu naplynelo wielkie westchnienie. Koniec z Miriam, koniec z duchami królestwa półmroku zatrzymanymi miedzy zyciem a smiercia. Znalazla dom, swój wieczny dom.

Kiedy zamknęła oczy, ujrzała, jak tamta istota w dzungli zatrzymuje się i spogląda ku nim, a ujrawszy dwie przytulone do siebie kobiety, dwie kobiety o rudych włosach, zawraca i rusza w ich stronę.

Khayman

W Carmel Valley zapanował błogi spokój. Jakże szczęśliwy był mały sabat w tym domu; jakże szczęśliwi byli Lestat, Louis i Gabriela. Lestat pozbył się brudnego ubrania i znów roztaczał blask w swych wampirzych szatach, okryty czarną aksamitną peleryną przerzuconą niedbale przez ramię. Pozostali także byli niezwykle ożywieni. Gabriela z niedbale rozczesanymi jasnymi włosami rozmawiała swobodnie i z pasją, a Louis, wampir o sercu człowieka, milczący, a równocześnie niezwykle podekscytowany obecnością tamtych dwojga, oczarowany ich najprostszymi zachowaniami.

W innych okolicznościach Khayman byłby głęboko poruszony takim szczęściem. Jakże pragnąłby pogłaskać ich dłonie, zajrzeć im w oczy, powiedzieć, kim jest i co widział. Po prostu chciałby być z nimi.

Jednak noc nie dobiegła jeszcze końca, a ona była blisko.

Niebo blakło i słaby oddech brzasku całował pola. Świat budził zwierzęta. Nawet drzewa poruszyły się, rozwijając liście z nieskonńczoną powolnością.

Khayman stał pod jabłonią, patrząc na zmienne barwy cieni i słuchając odgłosów poranka. Ona była w pobliżu, to nie ulegało wątpliwości.

Ukryła się przebiegle, wykorzystując swoją moc. Jego jednak nie mogła zwieść. Obserwował, czekał; słuchał śmiechów i rozmów małego sabatu.

Lestat uściskał matkę w progu. Otoczona szarością brzasku, idącą sprężystym krokiem w zakurzonych, zaniedbanych szatach koloru khaki, z grubymi jasnymi włosami zaczesanymi do tyłu, była niczym wizerunek swobodnego wędrowca. A czarownicę, ten piękny, Louis, był przy niej.

Khayman przyglądał się im, gdy przecieli trawnik; kobieta zmierzała przez otwarte pole ku lasowi, gdzie zamierzała ułożyć się do snu, a mężczyzna wszedł w zimny chłód małej przybudówki. Było w nim coś niezwykle wyrafinowanego, nawet gdy wślizgiwał się pod parkiet i gdy kładł się tam, jakby do grobu, natychmiast zapadając w całkowitą ciemność.

A kobieta ze zdumiewającą siłą wykopała głęboką kryjówkę; liście przykryły miejsce, jakby nikt nigdy, go nie dotknął. Ziemia ukryła jej wyciągnięte dłonie i zgiętą głowę. Zanurkowała w sny o bliźniaczkach, w obrazy dzungli i rzeki, których nigdy nie będzie pamiętała.

Jak do tej pory, wszystko w porządku. Khayman nie chciał, by umarli, sploneli. Wyczerpany stał wsparty o pień jabłonki, otulony ostrą wonią zielonych owoców.

Dlaczego ona się tu znalazła? Gdzie się ukrywała? Kiedy otworzył się na jej obecność, dobiegł go niski przenikliwy dźwięk; wydawało się, że to jakiś silnik z nowoczesnego świata, wydający swoisty szept - świadectwo niewyczerpanej siły i zabójczej mocy.

Wreszcie i Lestat wyszedł z domu i pospieszył do swego łóżka pod akacją na stoku. Zszedł po stopniach do wilgotnej komory.

Tak więc wszyscy zasnęli w spokoju, w spokoju aż do godzin wieczornych, kiedy on oznajmił im złe wieści.

Słońce zbliżyło się do horyzontu; pojawiły się pierwsze promienie, które zawsze odbierały mu ostrość wzroku. Skupił się na łagodnych, coraz głębszych kolorach sadu, a reszta świata zatraciła swoje linie i kształty. Przymknął na chwilę oczy, zdając sobie sprawę, że musi ukryć się w domu, wyszukać sobie jakiegoś chłodnego i cieniściego miejsca, gdzie śmiertelni nie będą go napastować.

A gdy słońce zajdzie, a oni się obudzą, opowie im, co wie; opowie im o innych. Z nagłym przenikliwym bólem pomyślał o Maelu i Jesse, którzy przepadli, jakby ziemia ich pochłonięła.

Przypomniał sobie Maharet i zebrało mu się na płacz. Ruszył w kierunku domu. Słońce grzało mu plecy, ręce i nogi stały się ciężkie. Dzisiaj wieczór, bez względu na to, co się stanie, nie będzie sam. Będzie z Lestatem i jego przyjaciółmi, a jeśli odwróci się do niego plecami, odszuka Armandę i uda się na północ, do Mariusza.

Nagle usłyszał głośny trzask i huk. Odwrócił się, zasłaniając oczy przed wstającym słońcem. Z lesnego runa wystrzelił wielki pióropuszczyk ziemi. Akacje zakolysały się jak w podmuchu huraganu, konary zatrzeszczały, korzenie wynurzały się z ziemi, a pnie padały bezwładnie.

Królowa uniosła się w dzikim pedzie, okryta ciemną falą wzdętych wiatrem szat; trzymając w ramionach bezwładne ciało Lestata, skierowała się na zachód, byle dalej od wschodzącego słońca.

Khayman nie potrafił powstrzymać głośnego okrzyku, którego echo rozległo się nad zniecieruchomiałą doliną. A więc zabrala swojego kochanka.

Och, biedny kochanek, och biedny złotowłosy królewicz...

Nie było czasu na myślenie, na działanie ani na wsłuchiwanie się we własne serce; skierował się ku domowi; słońce dosięgło chmur i horyzont zamienił się w inferno.

* * *

Daniel poruszył się w ciemności. Sen uniół się jak koc, który już, już miał go otulić. Ujrzał lśniące oczy Armandy i usłyszał jego szept:

- Zabrala go.

Jesse zajęczała głośno. Nieważka unosiła się w perłowej pomroce. Ujrzała dwie postaci wirujące niby w tancu - Matkę i Syna. Byli jak świece spływające z fresków na suficie kościoła. Jesse wyszeptwała:

- Matka.

* * *

W głębokim grobie pod lodem spali objeci Pandora i Santino. Pandora usłyszała ten dźwięk. Usłyszała krzyk Khaymana. Ujrzała Lestata z zamkniętymi oczami i odrzucona do tyłu głową, unoszonego w ramionach Akaszy, która utkwiała swe czarne ślepią w jego twarzy. Serce Pandory zastygło ze zgrozy.

* * *

Mariusz zamknął oczy. Nie potrafił już utrzymać otwartych powiek. Ponad nim wyły wilki; wiatr szarpał stalowym dachem warowni. Słabe promienie słońca przenikały zadymkę, jakby zapalając śnieg. Mariusz czuł paralizujący żar, który przenikał przez pokłady lodu.

Dojrzał spiącego Lestata w jej ramionach; dojrzał, jak wznoszą się ku niebu.

- Strzeż się, Lestacie - szepnął ostatnim świadomym tchem. - Niebezpieczeństwo.

* * *

Khayman wyciągnął się na zimnej podłodze i ukrył twarz w dłoniach. Sen przyszedł od razu, łagodny jedwabisty sen o letniej nocy w cudownym rozświetlonym mieście pod wielką kopułą nieba; byli razem, wszyscy nieśmiertelni, których imiona znał i których tulił teraz do serca.

CZESC III

Jak było na początku, teraz, zawsze...

Ukryj mnie

przede mną.

Napełnij te

dziury oczami,

bo moje już nie

moje. Ukryj

ma glowe i checi,
bo jestem zly,
tak martwy za zycia,
tak pelen czasu.
Badz skrzydlem
i zaslon moje ja
przed zadza,
by ryba na haku
byc.
To cieple
wino
z robaka
slodkie jest na oko
i moje ja oslepia.
I serce me tez
ukryj, bo
w tempie tym
i je wrabie
na czas.

Stan Rice „Kanibal” z tomu „Owieczka nie byla jaka” (1975)

Rozdzial pierwszy

Opowiesc Lestata - w ramionach bogini

Nie potrafię powiedzieć, kiedy się obudziłem, kiedy po raz pierwszy odzyskałem przytomność.

Zapamiętałem, że byliśmy razem bardzo długo, że pozeralem krew Akaszy zachłannie jak zwierze, że Enkil został unicestwiony i ona jedna zachowała pierwotną moc, i że dzięki niej tyle widziałem i rozumiałem, iż płakałem jak dziecko.

Dwiescie lat temu, kiedy piliem z niej w sanktuarium, krew była milcząca, niesamowicie i wzniosłe milcząca. Teraz zawierała nieprawdopodobny potok obrazów - zachwycających mózg, tak jak sama krew zachwycała ciało; poznałem prawdę o wszystkim, co się stało; widziałem, jak inni umierali jeden po drugim straszna śmiercią.

A potem słyszałem głosy; ich gwar narastał i cichł, wydawałoby się bez powodu, jak szemrzący chór w pieczarze.

Chyba był taki moment przytomności, w którym udało mi się wszystko to połączyć - koncert rockowy, dom w Carmel Valley, jej promienna twarz przed moją; i świadomość, że jestem w tym mrocznym, zasniezionym miejscu. Kiedyś ją obudziłem; lub raczej, mówiąc jej słowami, „podsunałem jej powód, by wstać”. Powód, by się odwrócić i popatrzeć na tron, na którym dawniej siedziała, i zrobić kilka pierwszych chwiejnych kroków.

Czy wiesz, co to znaczyło, podnieść dłoń i widzieć, jak porusza się w świetle? - słyszałem bezgłosne słowa. - Czy wiesz, co to znaczyło, usłyszeć dźwięk swego własnego głosu odbijającego się echem w tej marmurowej komorze?

Czyżbyśmy tanczyli w ciemnym, pokrytym śniegiem lesie, czy też tylko obejmowaliśmy się bez końca?

Wydarzyły się straszne rzeczy, jak świat długi i szeroki; straszliwe rzeczy. Egzekucje tych, którzy nigdy nie powinni byli się urodzić. Pomioty zła - tak ich nazwała. Masakra podczas koncertu to był już tylko koniec.

A mimo wszystko byłem w jej ramionach wśród lodowatej ciemności, czułem znajomy zapach wiatru i jej krew była znowu moja, zniewalała mnie. Kiedy się odsunęła, poczułem nieznosny ból. Musiałem się otrząsnąć, musiałem się dowiedzieć, czy Mariusz żyje czy też nie, czy Louis i Gabriela zostali oszczędzeni. Musiałem jakos się odnaleźć.

Ale te głosy, ten rosnący gwar głosów śmiertelnych z bliska i z daleka! Odległość nie miała znaczenia. Miara była intensywność. Słyszałem milion razy lepiej niż dawniej, kiedy to mogłem zatrzymać się na ulicy i słuchać tak długo i tak uważnie, jak chciałem słuchać, jak lokatorzy jakiegoś ciemnego budynku, każdy w swojej klatce, rozmawiają, modlą się, myślą.

Przemówiła w naglej ciszy:

- Gabriela i Louis są bezpieczni. Mówiłam ci o tym. Czy sądzisz, że zraniłabym tych, których kochasz? Patrz w moje oczy i słuchaj tylko tego, co ja mówię. Oszczędziłam o wiele więcej istot, niż było konieczne. Uczyniłam to w równej mierze dla ciebie jak i dla siebie, żeby mogła przeglądać się w niesmiertelnych oczach, słyszeć przemawiające do mnie głosy moich dzieci. Wybrałam tych, których

kochasz, tych, z którymi się spotkasz. Nie mogłam cię pozbawić tej pociechy. Teraz jednak jesteś ze mną i musisz zobaczyć i poznać to, co jest ci przeznaczone. Musisz posiadać odwagę równą mojej.

Nie mogłem tego znieść, tych wizji, które mi podsuwała. Czy moment przerażającej śmierci Malej Jenks to był rozpaczliwy sen, ciąg obrazów migocących w gasnacym mózgu? Nie mogłem tego wytrzymać. I Laurent, mój stary towarzysz Laurent gasnący w płomieniach na chodniku; a po drugiej stronie świata Feliks, którego również znalazłem z Teatru Wampirów, pedzony przez zaułki Neapolu, płonący i wreszcie wpadający do morza. I inni, tak wielu innych na całym świecie; płakałem nad nimi, płakałem nad nimi wszystkimi. Jakże oni cierpieli.

- Co za życie. - Na myśl o Malej Jenks łzy znów napłynęły mi do oczu.

- Dlatego właśnie pokazałam ci to wszystko - odparła. - To musiało się skończyć. Nie ma już Dzieci Ciemności. Teraz są tylko anioły.

- A pozostali? - spytałem. - Co się stało z Armandem? - I znów odezwały się głosy, ciche murmurando rosnące do ogłuszającego ryku.

- Zbliży się, mój księżo - szepnęła. Znów zapadła cisza. Ujęła moją twarz w swoje dłonie. Czarne oczy powiększyły się, biała twarz nagle stała się miękka i prawie łagodna. - Jeśli tak bardzo chcesz, ukaze ci tych, którzy nadal żyją, tych, których imiona stały się legendą razem z twoim i moim.

Legenda? - powtórzyłem w myślach.

Odwróciła nieznacznie głowę; kiedy zamknęła oczy, wydawało się, że nastąpił cud, na pozór bowiem życie z niej uszło. Nieżywe i idealne stworzenie o delikatnych, cudownie wywiniętych rzesach. Patrzyłem na jej gardło, na błądzący błękit arterii pod skórą, nagle widoczny, jakby celowo uwydatniony dla moich oczu. Ogarnęła mnie niepowstrzymana żądza. Bogini jest moja! Wziąłem ją szorstko, z siłą, która sprawiłaby ból śmiertelnej kobiecie. Lodowata skóra wydawała się nie do przeniknięcia, ale moje zęby rozdarły ją i trysnęło we mnie gorące źródło.

Głosy wróciły, ale ucichły na mój rozkaz. A potem nie było nic poza cichym szumem krwi i powolnym biciem jej serca tuż przy moim.

Ciemność. Piwnica wyłożona ceglami. Debowa trumna wypolerowana do znakomitego połysku. Złote zamki. Czarodziejska chwila; zamki otwarły się, jakby obrócone niewidzialnym kluczem. Uniesione wieko odsłoniło satynową wysciółkę. Rozszedł się lekki zapach wschodnich perfum. Na białej satynowej poduszce ujrzałem Armandę, serafina z długimi kasztanowymi lokami, z głową obróconą na bok i oczami bez wyrazu, jakby wiecznie zdumionymi. Wydostał się trumny powolnymi, eleganckimi ruchami; naszymi ruchami, tylko my bowiem wstajemy z trumien. Ujrzałem, jak zamyka wieko i kroczyć po wilgotnej podłodze z cegieł, zbliża się do innej trumny. Otworzył ją czcياً jak kufer z rzadkim skarbem. W środku leżał młody mężczyzna, bez życia, a jednak pograżony we śnie, snił o rudowłosej kobiecie idącej przez dżunglę, kobiecie, której nie mogłem wyraźnie zobaczyć. A potem nastąpiła przedziwna scena; coś, co już kiedyś przemknęło mi przed oczami, ale gdzie to było? Dwie kobiety kłęczą przed ołtarzem. Tak, wydawało mi się, że to ołtarz...

Stęzała, napięła się. Naparła na mnie jak posąg Dziewicy, gotowa mnie zmiążyć. Zachwiałem się; wydawało mi się, że słyszę, jak wymawia moje imię. Krew trysnęła kolejną falą i ciało znów przeniknęło dreszcz rozkoszy; nie było ziemi, nie było ciąży.

Znów ceglana piwnica. Na ciało młodego mężczyzny padł cień. Ktoś wszedł do piwnicy i położył dłoń

na ramieniu Armanda. To ktos znajomy, o imieniu Mael. Chodźcie - powiedział.

Dokad ich zabiera?

Purpurowy wieczór w sekwojowym lesie. Gabriela idzie przez las, jak to ona, swobodna, wyprostowana, niepowstrzymana, o oczach jak dwa odłamki szkła, nie zdradzających zadnej jej myśli; a obok Louis, jakże wzruszająco cywilizowany na tym pustkowiu, jak żalostnie nie pasujący do otoczenia. Wampirze przebranie z poprzedniego wieczoru poszło w kat; jednak mimo widocznych śladów niedawnych przejść wciąż wyglądał na dżentelmena. Niedobrana z nich para. Czy Gabriela to rozumie? Czy się nim zaopiekuje? Oboje się boją, boją się o mnie!

Skrawki nieba nad ich głowami przywdziewały barwę białej porcelany; światło sypało szlakiem masywnych pni niemal do korzeni drzew. W cieniu chlupotała struga. Znow ujrzałem Gabriele, jak wchodzi do wody, mocząc wysokie skórzane buty. Dokad oni idą? I kim jest ten ktos, kto im towarzyszy, kogo zobaczyłem, dopiero gdy Gabriela odwróciła się, by na niego spojrzeć? - mój Boże, co za twarz, jakże tchnąca spokojem. Wiekowy, potężny, a jednak pozwolił tej dwójce młodych iść przed sobą. Między drzewami ujrzałem polane, a na niej dom. Na wysokiej kamiennej werandzie stoi ruda kobieta; czy to ta, która widziałem w dżungli? Twarz pozbawiona wyrazu, jak twarz tego mężczyzny z lasu, który teraz właśnie na nią patrzy; twarz jak oblicze mojej królowej.

Niech się spotkają - rzekłem w myślach. Z westchnieniem ssalem kolejną falę krwi. - Wtedy wszystko stanie się prościej. - Kim oni jednak są, ci starożytni, te stworzenia o obliczach tak wypranych z uczuć?

Obraz zmącił się. Tym razem głosy objęły nas łagodnym wirem; szepty, krzyki. Przez chwilę chciałem słuchać, próbowałem oddzielić od monstrualnego chóru jedną ulotną śmiertelną pieśń. Wyobraźcie to sobie: głosy zewszad, z gór Indii, z ulic Aleksandrii, z przysiółków bliskich i dalekich.

Otwierała się jednak kolejna wizja.

Mariusz. Wspinał się po zlanej krwią ścianie rozkruszonego lodu, wspomagany przez Pandorę i Santina. Właśnie udało im się dotrzeć do popekanej półki na dolnej kondygnacji. Zasznięta krew grubym kozuchem zakrywała połowę twarzy Mariusza; był zły, zgorzkniały, jego oblicze utraciło wszelki wyraz, długie jasne włosy zlepiała krew. Szedł, kulejąc, po kreconych schodach, a Pandora i Santino wspinali się za nim. Kiedy Pandora spróbowała mu pomóc, brutalnie odrzucił jej dłoń.

Wiatr. Dotkliwie zimno. Dom Mariusza jakby rozdarty trzesieniem ziemi, wydany na pastwę żywiołów. Tafle szkła roztrzaskały się na drobne niebezpieczne odłamki; rzadkie okazy pięknych ryb tropikalnych zamarzyły na piaszczystym dnie wielkiego rozbitego akwarium. Śnieg pokrył meble i zalegał całymi zaspami przy regalach, posagach, półkach na dokumenty i płyty. W klatkach leżały martwe ptaki. Zielonolistne rośliny obrosły lodowymi sopłami. Mariusz wpatrywał się w ryby leżące na wąskiej bryle brudnego lodu na dnie akwarium i w wielkie zeschnięte wodorosty, przysypane błyszczącymi kawałkami szkła.

Wtedy właśnie ujrzałem, jak powraca do zdrowia; siniaki zaczęły blednąć, twarz odzyskiwała naturalny kształt. Ból nogi ustępował. Mariusz ogarnięty furją, wpatrywał się w niebiesko-srebrne rybki, a potem skierował wzrok ku niebu, ku białej zawiei, która niemal przesłoniła gwiazdy. Otarł z twarzy i włosów płatki zakrzepłej krwi.

Tysiące pergaminowych kart rozpięzchły się na wietrze. W zrujnowanym salonie łagodnie wirował wiatr. Mariusz wsparł się na miedzianym pogrzebaczku jak na łasce i wyjrzał ponad zburzoną ścianą na wyjście w klatkę głodnych wilk. Nie dostały nic do jedzenia, od kiedy ich pan został zasypany. Ach, ten

odgłos wilczego wycia! Santino usiłował przekonać Mariusza, że muszą już iść, że w sekwojowym lesie czeka na nich pewna kobieta, tak stara jak Matka, że spotkanie nie może się rozpocząć, dopóki oni się nie zjawia. Przeszył mnie prad niepokoju. Co to za spotkanie? Mariusz zrozumiał, ale nic nie odpowiedział. Wsłuchiwał się w wilcze głosy...

Snieg i wilki. Snilem o wilkach. Czulem, że cofam się głęboko we własne myśli, w moje sny i wspomnienia. Ujrzałem wilczą watahę pedzącą po czystym śniegu.

Ujrzałem siebie samego jako młodzieńca, który podejmuje z nimi walkę - dwadzieścia lat temu w środku zimy wilcze stado pojawiło się w wiosce mojego ojca. Ja, śmiertelny człowiek, byłem tak blisko śmierci, że prawie czulem jej won. Zabiłem wilki, jednego po drugim. Ach, ten brutalny młodzieńczy wigor, czysta siła bezmyślnego, zachłannego życia! Zamrożona dolina, moje psy i konie zagryzione. Jednak przede wszystkim zapamiętałem widok śniegu pokrywającego góry, moje góry, moja ojczyzna.

Otworzyłem oczy. Wypuściła mnie i musiałem cofnąć się o krok. Po raz pierwszy zrozumiałem, gdzie naprawdę jesteśmy - nie poza rzeczywistością i czasem, ale w realnym miejscu, i to w miejscu, które niegdys, na co wszystko wskazywało, było moje.

- Tak - szepnęła. - Rozejrzyj się.

Wystarczyło mi wciągnąć powietrze w płuca, posmakować zapach wiatru, abym wiedział, gdzie jestem, a gdy odzyskałem wzrok, zobaczyłem wysokie zniszczone blanki i wieże.

- To dom ojca! - szepnąłem. - Zamek, w którym się urodziłem.

Bezruch. Snieg leżał biały na starej posadzce. Staliśmy w miejscu, w którym kiedyś był wielki hol. Strasznie było ujrzenie go w ruinie, pomyśleć, że był opuszczony przez tak długi czas. Stare kamienie wydawały się miękkie jak ziemia; tu niegdys był stół, długi stół pamiętający czasy krzyżowców, a tam paszcza paleniska i drzwi frontowe.

Snieg przestał padać. Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem gwiazdy i wieżę, która zachowała swój kształt, dzwignąca się kilkadziesiąt metrów nad zawalony dach, chociaż cała reszta była wydrazona skorupa. Dom ojca...

Lekkim krokiem odeszła ode mnie po migotliwej bieli podłogi, powoli zatoczyła krąg, odrzuciwszy do tyłu głowę, jakby w tancu.

Poruszać się, dotykać rzeczy namacalnych, przechodzić z królestwa snów do realnego świata - o tych wszystkich radościach mówiła wcześniej. Kiedy się jej przyglądałem, zabrakło mi tchu. Na jej szatach nie było śladów czasu: czarna jedwabna peleryna, sukienka układająca się w jedwabiste fałdy, łagodnie wirujące wokół szczupłej sylwetki. Od brzasku historii kobiety przywdziewały takie szaty i wciąż je noszą w salach balowych tego świata. Chciałem znów ją objąć, ale zabroniła mi delikatnym gestem. Co takiego rzekła?

- Czy potrafisz to sobie wyobrazić? Czy wiesz, kiedy zdałam sobie sprawę, że on nie może mnie już zatrzymać? Czy uwierzysz, że gdy stanęłam przed krzesłem tronowym, on nawet nie drgnął? Nie zareagował w żaden sposób!

Odwróciła się z uśmiechem, blade światło niebios padło na cudowne linie twarzy, na wydatne kości policzkowe i łagodnie zaokrąglony podbródek. Wyglądała na żywą, całkiem żywą.

A potem znikła!

- Akaszo!

- Chodź do mnie - powiedziała.

Daleko, na samym końcu holu zobaczyłem jej drobna postać stojącą u wejścia do wieży. Ledwo rozróżniałem rysy twarzy, lecz dostrzegłem w głębi czarny prostokąt otwartych drzwi.

Zaczęłem iść w jej stronę.

- Nie - powiedziała. - Czas użyć siły, która ci dałam. Po prostu przybądź!

Nie ruszyłem się. Mój umysł był czysty. Widziałem jasno i wiedziałem, co miała na myśli, ale bałem się. Zawsze byłem sprinterem, skoczkiem, magikiem. Nadzwyczajna szybkość, która zaskakiwała śmiertelnych, nie była dla mnie niczym dziwnym. Ona jednak domagała się wyczynu innego rodzaju. Miałem opuścić miejsce, w którym stałem, i z niepojętą szybkością znaleźć się obok niej. Taki czyn wymagał poddania się.

- Tak, poddaj się - rzekła łagodnie. - Przybądź.

Przez chwilę patrzyłem na nią w napięciu, widziałem jej białą dłoń jasniejącą na brzegu zniszczonych drzwi. Nagle podjąłem decyzję. Porwał mnie huragan pełen hałasu i przypadkowych sił. I wtem znalazłem się przy niej! Cały drzałem, bolała mnie skóra na twarzy, ale jakież to miało znaczenie! Spojrzałem w oczy Akaszy i uśmiechnąłem się.

Była piękna, tak bardzo piękna! Bogini o długich czarnych włosach zaplecionych w warkocze. Porwałem ją w ramiona i pocałowałem, czując, jak jej chłodne usta uginają się lekko pod moimi wargami.

Wtem zdałem sobie sprawę, że popełniam bluźnierstwo. Zachowałem się jak wtedy w świątyni, kiedy też ją całowałem. Chciałem wygłosić jakieś przeprosiny, ale nie mogłem oderwać oczu od jej gardła, znów głodny krwi. Opanowała mnie złość, której nie mogłem ugasić; przecież to była Akasza, która mogła mnie zniszczyć w jednej chwili i bez żadnego wysiłku, gdyby tylko tego zapagnęła. Tak właśnie postąpiła z innymi. Niebezpieczeństwo wywołało we mnie mroczne podniecenie. Zaciśnałem palce na jej ramionach, czując, jak jej ciało niesłychanie delikatnie ustępuje pod moim dotykiem. Obsypałem ją pocałunkami. W tych pocałunkach była krew.

Cofnęła się i położyła mi palec na ustach. Wzięła mnie za rękę i poprowadziła przez drzwi wieży. Przez zburzony dach i wielką dziurę w posadzce najwyższego pietra widziałem światło gwiazd.

- Czy widzisz? - spytała. - Widzisz te komnaty na samej górze? Schody się zawaliły. Jest nieosiągalna dla wszystkich poza tobą i mną, mój księżu.

Zaczęła się powoli unosić, przez cały czas nie odrywając ode mnie oczu. Czysty jedwab jej szaty wzdął się lekko, a peleryna zmarszczyła się, jakby w słabym powiewie. Patrzyłem w osłupieniu, jak wznosi się coraz wyżej, jak przesuwa się przez dziurę i staje na skraju podłogi.

Kilkadziesiąt metrów! Nie zdolam tego dokonać...

- Przybądź do mnie, mój księżu - rzekła. Jej miękki głos niósł się przez pustkę. - Zrób to, co już raz

zrobiles. Zrób to szybko i jak czesto mówia smiertelni: „nie patrz w dól”. - Rozległ sie jej srebrzysty smieszek.

Zalóžmy, ze wzbije sie na jedna piata wysokosci. To bylby dobry skok, powiedzmy, na wysokosc trzypietrowego budynku, co bylo dla mnie calkiem latwe, ale czy potrafilbym skoczyc wyzej... Poczulem zawrót glowy. Ogarnela mnie niemoc i dezorientacja. Jakim cudem sie tutaj znalezlismy? Znów wszystko wirowalo. Widzialem ja, ale jak we snie; przeszkadzaly mi glosy. Nie chcialem utracic tej chwili. Chcialem pozostac w kontakcie z nia i nie stracic wszystkich nastepnych i wczesniejszych chwil, pragnalem zrozumiec je na moich warunkach.

- Lestacie! - szepnela. - Teraz. - Jakze czuly byl ten drobny, ponaglajacy gest.

Zrobilem to, co poprzednio; popatrzyłem na nia i zdecydowalem, ze powinienem natychmiast byc przy niej.

Znów huragan i miekkie uderzenie powietrza; wyrzucilem ramiona w góre i walczyłem z jego oporem. Chyba dostrzegłem dziure w klepkach, kiedy je mijalem, i nagle stalem obok niej, wstrzasniety, przerażony, ze upadne.

Smialem sie, ale chyba dostalem lekkiego bzika. Plakalem.

- Jak to sie stalo? - zapytalem. - Musze wiedziec, jak tego dokonalem.

- Znasz odpowiedz - rzekla. - Nieuchwytna moc, która cie ozywia, jest znacznie potezniejsza niz kiedyś. Poruszyla cie, jak zawsze toba poruszala. Czy to bedzie krok czy lot, to tylko sprawa skali.

- Chce znowu spróbowac - powiedzialem.

Rozesmiala sie bardzo cicho, ale szczerze.

- Rozejrzyj sie po tej komnacie - rzekla. - Pamietasz ja?

- Za mlodu stale tu przebywalem. - Skinalem glowa.

Odsunalem sie od niej. Ujrzałem stopy zniszczonych mebli - ciezkie lawy i stolce, które niegdys zapelnialy nasz zamek; sredniowieczna robota, tak prosta i mocna, ze prawie niezniszczalna, podobnie jak drzewa padajace w kniei i pozostajace tam przez wieki, omszale pnie tworzace mostki nad strumieniami. A wiec te sprzety nie zgnily. Zachowaly sie nawet stare szkatuly i bron. O tak, stara bron, upiór minionej slawy. W kurzu dojrzałem slaby przeblysk koloru. To byly arrasy, lecz doszczetnie zniszczone. Podczas rewolucji zapewne przyniesiono je tu na przechowanie, po czym schody sie zapadly.

Podszedlem do jednego z waskich okienek i wyjrzałem na dwór. Gleboko w dole, przytulone do stoku góry, mrugaly rzadko rozsiane, lecz wyraznie elektryczne swiatla miasteczka. Serpentykami pial sie samochód. Ach, nowoczesny swiat byl tak blisko, a równocześnie daleko. Zamek byl duchem samego siebie.

- Czemu mnie tu sprowadzilas? - zapytalem. - Widok tej komnaty jest dla mnie tak bolesny.

- Popatrz na te zbroje - powiedziala. - Na to, co lezy u twoich stóp. Pamietasz, co zabrales ze soba tamtego dnia, którego poszedles zabijac wilki?

- Tak. Pamiętam.

- Popatrz jeszcze raz. Ja dam ci nowa bron, nieskonczenie bardziej potezna, która bedziesz zabijal dla mnie.

- Zabijal?

Spojrzałem na stojak z bronia. Była zniszczona i zardzewiała, oprócz znakomitego obosiecznego miecza, nalezacego do ojca, który dostal go od swego ojca, który dostal go od swego ojca, i tak dalej i dalej wstecz az do czasów swietego Ludwika. Miecz pana na wlosciach, którego ja, jego siódmy syn, uzylem tamtego poranka, kiedy niczym sredniowieczny ksiaze wyprawilem sie na wilki.

- Kogo mam zabijac? - spytałem.

Przysunela sie blizej. Jak nieskonczenie slodka byla jej twarz, jakze promieniowala niewinnoscia. Zmarszczyła brwi; na jej czole przez krótka chwile zagoscila pionowa zmarszczka, po czym wyraz lagodnosci powrócił.

- Zmusilabym cie, bys sluchal mnie bez zadnych pytan - rzekla lagodnie. - Później zrozumialbys wszystko. Ale to nie w twoim stylu.

- Zgadza, sie - przyznałem. - Nigdy nie potrafilem byc posluszny, nie na dlugo.

- Cóż za odwaga - powiedziala z usmiechem.

Z wdziakiem otworzyła prawa dlon; nagle pojawil sie w niej miecz. Mialem wrazenie, jakby bron przesunela sie ku niej za sprawa drobnej zmiany atmosfery, niczego wiecej. Wpatrywalem sie w ten, w ozdobiona klejnotami pochwe i wielka rekojesc z brazu majaca oczywiscie ksztalt krzyza. Nadal wisial przy nim pas z twardej skóry i kutej stali, kupiony przeze mnie pewnego dawno minionego lata.

To byl monstrualny orez, sluzacy zarówno do ciecia, jak i do klucia. Pamietalem jego ciezar, ból ramienia, o który przyprawila mnie dluga walka z nacierajacymi wilkami. Podczas bitwy rycerze czesto trzymali takie miecze oburacz.

Jednak cóz ja wiedzialem o bitwach? Nie bylem rycerzem. Walczylem tylko z dzika zwierzyna. To byl mój jedyny moment smiertelnej chwaly, i co mi dal? Admiracje przekletego krwiopijcy, który wybral mnie na swojego nastepce.

Wsunela mi miecz do rak.

- Teraz nie jest juz ciezki, mój ksiaze - powiedziala. - Jesteś niesmiertelny. Naprawde niesmiertelny. Moja krew jest w tobie. I uzyjesz dla mnie swojej nowej broni, jak kiedys uzywales tego miecza.

Kiedy go dotknałem, przeszedl mnie gwałtowny dreszcz, jakby kryl zywa pamiec chwil, których byl swiadkiem. Znów ujrzalem wilki i siebie stojacego w szernialym, zlodowacjalym lesie, gotowego zabijac.

I ujrzalem siebie rok później w Paryzu, umarlego, niesmiertelnego potwora. Tamten wampir nazwal mnie „Zabójca wilków”. Wybral mnie ze stada pospólstwa, dlatego ze pokonalem te przeklete zwierzeta! I dlatego, ze zima w Paryzu dumnie nosilem na sobie ich skóry.

Jakże mogłem wciąż czuć taką gorycz? Czyżbym chciał umrzeć i zostać pochowany na wiejskim cmentarzu? Spojrzałem na pokryty śniegiem stok wzgórza. Czy to nie powtórka z przeszłości? Czy nie byłem kochany właśnie za to, jaki byłem w tamtych wczesnych, bezmyślnych i śmiertelnych latach? Powtórzyłem pytanie:

- Kogo lub co będę zabijał?

Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi.

Nie po raz pierwszy myślałem o tym żalonym stworzonku, Malej Jenks, i o wszystkich krwiopijcach, którzy byli już martwi. A mnie zachciało się z nimi wojować, zachciało mi się malej wojenki. Teraz wszyscy już nie żyją. Wszyscy, którzy odpowiedzieli na wojenne zawołanie, nie żyli. Ujrzałem płonący dom sabatowy w Istambule; ujrzałem starszego, którego dopadła i z wolna spaliła; i innego, który walczył i ja przeklinał. Znowu płakałem.

- Tak, zabrałam ci widownie - powiedziała. - Spaliłam arenę, na której pragnąłeś błyszczeć. Zgarnęłam te bitwy dla siebie! Ale czy nie rozumiesz, że ofiarowuję ci wspanialsze rzeczy niż to, o czym kiedykolwiek śniłeś? Ofiarowuję ci świat, mój książe.

- Jakim cudem?

- Przestaną ronić łzy nad Miałą Jenks i nad sobą. Pomyśl o śmiertelnych, nad którymi winienes płakać. Wyobraź sobie tych, którzy cierpieli przez długie koszmarnie wieki: ofiary głodu, ubóstwa i nieustannego gwałtu. Ofiary nie kończące się niesprawiedliwości i nie kończących się starc. Jak możesz lkać nad rasą potworów, która na oślep i bez celu zastawiała diabelskie pułapki na każdego napotkanego śmiertelnego!

- Wiem. Rozumiem...

- Czyżby? Czy też jedynie wycofujesz się, aby grać w swoje symboliczne gry? Symbol zła w twojej muzyce to zero, mój książe, kompletne zero.

- Czemu nie zabiłś mnie razem z innymi? - spytał wojowniczo, żalosnie. Ująłem miecz w prawa dłoń. Wyobrazałem sobie na nim zaschłą wilcza krew. Wysunąłem ostrze z pochwy. Tak, to krew wilków. - Jestem nie lepszy niż oni, prawda? Czemu miałabys oszczędzić kogos z nas?

Ogarnął mnie nagły lek, straszliwy lek o Gabriele, Louisa i Armanda. O Mariusza. Nawet o Pandore i Maela. Lek o siebie samego. Nie urodziło się takie stworzenie, które nie walczyłoby o swoje życie, nawet wtedy, kiedy dla tego życia nie znajduje usprawiedliwienia. Chciałem żyć; zawsze chciałem.

- Chce, zebys mnie kochał - szepnęła czule. Co za głos. Jakże przypominał głos Armanda, głos, który potrafi cię pieścić swoim brzmieniem, który wciąga cię w siebie. - Tak więc nie spiesze się. - Położyła mi dłoń na ramionach i popatrzyła w oczy. - Zrozum. Jesteś moim instrumentem! I inni nim będą, jeśli są mądry. Nie pojmujesz? To wszystko było zaplanowane... twoje przyjscie, moje przebudzenie. Teraz mogą wreszcie się spełnić nadzieje tysiącleci. Spójrz na miasteczko w dole i na ten zrujnowany zamek. To może być Betlejem, mój książe, mój zbawco. I razem zrealizujemy najdawniejsze marzenia świata.

- Ale jak? - Czy wiedziała, jak bardzo się boję? Jej słowa sprawiły, że zwyczajny strach przerodził się w grozę. Na pewno to wiedziała.

- Ach, jesteś tak silny, ksiązkatko. I nie ulega wątpliwości, że jesteś mi przeznaczony. Nic cię nie pokona. Lekasz się i nie lekasz zarazem. Przez wiek obserwowałam cię, jak cierpisz, słabniejesz i wreszcie zanurzasz się w ziemi, by spać, po czym patrzyłam, jak powstajesz; to był dokładny wizerunek mojego zmartwychwstania.

Skloniła głowę, jakby nasłuchiwała dźwięków dochodzących z daleka. Ja też je słyszałem, być może dlatego, że ona była do tego zdolna. Były coraz głośniejsze, ich gwar dzwonił mi w uszach. Po chwili odepchnąłem je, zniecierpliwiony.

- Jesteś bardzo silny - powiedziała. - Te głosy nie zdołają wciągnąć cię w siebie, ale nie ignoruj ich mocy; zdolność ich słyszenia jest równie ważna jak wszelkie inne twoje talenty. One modlą się do ciebie, jak zawsze modliły się do mnie.

Rozumiałem, co chce mi powiedzieć, ale nie chciałem słyszeć ich modlitw; cóż bowiem mogłem zrobić? Cóż wspólnego miały modlitwy ze stworzeniem mojego pokroju?

- Przez wieki były mi jedynym pocieszeniem - kontynuowała. - Słuchałam ich godzinę, tydzień, rok; początkowo wydawało mi się, że te głosy tkają mi całun, który przykryje mnie, pogrzebie jak martwa, i że wtedy stanę się martwa. Po jakimś czasie nauczyłam się słuchać uważnie. Nauczyłam się wybierać jeden głos spośród wielu, tak jak ze sztuki płótna wybiera się pojedyncza nitka. Słuchając tego jednego głosu, poznałam triumf i klęskę pojedynczej duszy.

Przyglądałem się jej bez słowa.

- A potem, w miarę upływu lat, posiadałam większą moc; niewidzialna opuszczałam swoje ciało i udawałam się do tego jednego śmiertelnego, w którego głos się wsłuchiwałam, aby patrzeć jego oczyma. Chodziłam w jego ciele. Chodziłam w blasku słońca i w ciemności, cierpiałam, głodowałam, poznałam ból. Czasem przebywałam w ciałach niesmiertelnych, tak jak byłam w ciele Malej Jenks. Często chodziłam z Mariuszem. Z samolubnym, próżnym Mariuszem, tym, który mylił chciwość z czcią, który jest nieodmiennie oslepiony dekadentkami twórcami życia, równie samolubnymi jak on sam. Och, nie cierp tak. Kochałam go, wciąż go kocham; troszczył się o mnie, był moim opiekunem. - Przez chwilę w jej głosie zabrzmiała gorzkość. - Ale częściej chodziłam z tym, którego kroki wiodły między biednych i pogrążonych w żalu. Pragnęłam życia w całej jego nagiej surowości.

Zatrzymała się; zmarszczyła brwi, a w jej oczach pojawiły się łzy. Znałem moce, o których mówiła, ale bardzo słabo. Bardzo chciałem ją pocieszyć, ale kiedy wyciągnąłem rękę, gestem nakazała mi powściągliwość.

- Zapominałam, kim jestem, gdzie jestem - kontynuowała. - Bywałam tym stworzeniem, którego głos wybrałam. Czasem trwało to całe lata. Potem wracała groza, gdy uprzytomniłam sobie, że jestem nieruchoma, bezwolna istota skazana na wieczny pobyt na złotym tronie! Czy zdajesz sobie sprawę z grozy, jaką wywołuje nagle świadomość takiego stanu rzeczy, tego, że wszystko, co widziałeś i słyszałeś, było jedynie iluzją, obserwacją innego życia? Wracałam do siebie. Stawałam się na powrót tym, co teraz widzisz, idolem, który czuł i myślał.

Skinałem głowę. Wieki temu, kiedy moje oczy po raz pierwszy spoczęły na niej, wyobraziłem sobie tkwiące wewnątrz, niewysłowione cierpienie. Wyobraziłem sobie ból, którego nie wyrażała kamienna twarz. Miałem rację.

- Wiem, że on cię tu trzymał - powiedziałem. Miałem na myśli Enkila, który został już unicestwiony. Upadły idol. Wspominałem te chwile w świątyni, kiedy piliem z Akaszy, a on podszedł, zgłaszając swoje

prawa, i niemal mnie wykonał. Czy wiedział, co czyni? Czy też wszelkie władze umysłowe opuściły go już wtedy?

Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Jej oczy tancyły, kiedy spoglądała w mrok. Śnieg znów padał, wirował prawie czarodziejsko, chwytając światło gwiazd i księżycy i rozpraszając je po całym świecie.

- To, co się stało, było przeznaczone - odpowiedziała wreszcie. - Miałam przejść przez tamte lata, coraz bardziej rosnąc w siłę, tak że w końcu nikt... nikt nie będzie mi równy. - Urwała, jakby na krótko opuściła ją pewność siebie; ale to była tylko chwila. - Mój biedny ukochany król, mój towarzysz w nieznośnym bólu, był jedynie instrumentem. Tak, jego umysł szedł. Ale ja go nie zniszczyłam, nie, doprawdy. Wchłonęłam w siebie to, co z niego pozostało. Czasami byłam równie pusta i równie milcząca, równie wyzbyta woli snu jak on sam. Tyle że dla niego nie było powrotu. On utracił swoje ostatnie wizje. Nie nadawał się już do niczego. Umarł dobrą śmiercią, ponieważ dodał mi siły. To także było przesadzone, mój księżu. Wszystko było przesadzone od początku do końca.

- Ale jak? Przez kogo?

- Przez kogo? - Znów się uśmiechnęła. - Nie pojmujesz? Nie musisz szukać przyczyny wszystkiego. Ja jestem spełnieniem i od tej pory ja będę przyczyną. Teraz nikt i nic nie może mnie powstrzymać. - Na chwilę jej twarz stwardniała i znów pojawiło się wahanie. - Stare kłatwy nic nie znaczą. W milczeniu osiągnęłam taką moc, że żadna siła w naturze nie może mnie zniszczyć. Nawet pierwsze plemię nie może mnie zniszczyć, chociaż spiskowało przeciwko mnie. Tym latom było sadzone minac przed twoim nadejściem.

- Jak to zmieniłem?

Zbliżyła się o krok. Objęła mnie ramieniem, które przez chwilę było miękkie, jakby nie stworzone z tej jej właściwej tylko materii. Byliśmy po prostu dwoma istotami stojącymi blisko siebie, a ona wydawała mi się nieopisanie cudowna, czysta i nie z tego świata. Znów poczułem straszliwą zadę krwi. Schyliłem się, by pocałować ją w szyję, posiadać, jak posiadałem tysiące śmiertelnych kobiet, chociaż ona była boginią o niezmiernie wielkiej mocy. Czulem, jak moje pragnienie rośnie i osiąga swój szczyt.

Akasha znów położyła mi palec na ustach, jakby mówiła: „Zachowaj spokój”.

- Czy pamiętasz, jak byłeś chłopcem? - zapytała. - Wróć pamięcią do chwil, gdy błąkałeś ich, żeby posłali cię do szkoły klasztornej. Czy pamiętasz, czego uczyli cię bracia? Pamiętasz modlitwy, hymny, godziny w bibliotece, czas spędzony w kaplicy na samotnych modlitwach?

- Oczywiście, że pamiętam. - Znów poczułem napływające łzy. Widziałem to tak wyraźnie: bibliotekę w klasztorze i uczących mnie mnichów, przekonanych, że zostanę księdzem. Ujrzałem małe zimne cele z drewnianymi pryzkami; ujrzałem klasztor i ogród za woalem różanego cienia. Nie chciałem myśleć o tamtych czasach, ale pewne rzeczy nigdy nie odejdą w zapomnienie.

- Czy pamiętasz pewien ranek, kiedy wszedłeś do kaplicy, ukląkłes na nagiej marmurowej podłodze i rozkrzyżowałeś ramiona, powiedziałeś Bogu, że zrobisz wszystko, jeśli tylko uczyni cię dobrym?

- Tak, dobrym... - W moim głosie zabrzmiała gorzkość.

- Powiedziałeś, że jesteś gotów cierpieć meki, niewypowiedziane katusze, i że to wszystko nie będzie miało znaczenia, bylebyś tylko stał się kimś dobrym.

- Tak, pamiętam... - Ujrzałem starych świętych; usłyszałem hymny, na dźwięk których pekło mi serce. Przypomniałem sobie ranek, gdy zjawili się moi bracia, żeby zabrać mnie do domu, a ja błagałem ich na kolanach, by pozwolili mi zostać.

- A potem, kiedy straciłeś swą niewinność i wyruszyłeś gościncem do Paryża, pragnąłeś tego samego; kiedy tańczyłeś i śpiewałeś dla tłumów na bulwarach, chciałeś być dobry.

- Byłem dobry - rzekłem, zacinając się. - Dobra rzecz było przynosić im radość i przez krótką chwilę to czyniłem.

- Tak, radość - szepnęła.

- Nigdy nie potrafiłem wytłumaczyć mojemu przyjacielowi, Nicolasowi, tego, że to tak ważne... wierzyć w pojęcie dobra, nawet jeśli to my sami je tworzymy. Tak naprawdę ono nie jest naszym tworem. Po prostu jest, prawda?

- O tak, po prostu jest - powiedziała. - Jest, ponieważ je wprowadziliśmy.

Co za smutek. W milczeniu przyglądałem się padającemu śniegowi. Ująłem ją za rękę i poczułem jej wargi na moim policzku.

- Urodziłeś się dla mnie, mój książe - powiedziała. - Zostałeś poddany próbom i udoskonalony. A kiedy w tamtych pierwszych latach wszedłeś do sypialni matki i wprowadziłeś ją ze sobą w świat żywych umarłych, dokonałeś jedynie prefiguracji mojego przebudzenia. Ja jestem twoją prawdziwą matką, Matka, która nigdy cie nie porzuci; ja również umarłam i narodziłam się powtórnie. Mój książe, wszystkie religie świata śpiewają o tobie i o mnie.

- Jakim cudem? Jak to możliwe?

- Ależ wiesz jak. Wiesz! - Odebrała mi miecz i długo patrzyła na stary pas, gładząc go dłonią, a potem cisnęła na stos zardzewiałego żelastwa ostatnie szczatki mojego śmiertelnego życia. Wiatr dotknął ich i przesuwał je powoli po przyprószonej śniegiem posadzce, aż przepadły.

- Porzuc stare iluzje i leki - powiedziała. - Nie większy z nich użytek niż z tej starej broni. Razem przekujemy mity Świata na rzeczywistość.

Przeszył mnie chłód, mroczny chłód niewiary i zametu, ale jej uroda pokonała wszystko.

- Kleczac w kaplicy, chciałeś być świętym - rzekła. - Teraz ze mną będziesz bogiem.

Na końcu języka miałem słowa protestu; byłem przestraszony; ogarnęło mnie jakieś niedobre przecucie. Co mogły znaczyć jej słowa?

Wtedy objęła mnie i wzniesiliśmy się ponad wieże. Ostry wiatr szczypał mi powieki, więc odwróciłem się ku niej, chwyciłem w pasie i wtuliłem twarz w jej szyję.

Cichy głos kazał mi spać. Mina godziny, zanim słońce skryje się za ładem, ku któremu zdążyliśmy, a który miał być miejscem pierwszej lekcji.

Nagle znów się rozszlochałem, łgnąc do niej, rozszlochałem się, ponieważ byłem zagubiony, a tylko w niej miałem oparcie. Ogarniała mnie groza na myśl o tym, czego ode mnie żąda.

Rozdział drugi

Opowieść Mariusza - spotkanie

Spotkali się znowu na skraju sekwojowego lasu. Ich ubrania były w strzepach, oczy - zalzawione od wiatru. Pandora stała po prawej ręce Mariusza, Santino po lewej. Wychudły Mael podał im na spotkanie, sadząc susami po skoszonych trawie. W milczeniu objął Mariusza.

- Witaj, stary przyjacielu - rzekł Mariusz słabym głosem. Wyczerpany starożytny patrzył na rozjasnione okna domu. Za widoczną częścią budowli o ostrych dachach i małych okienkach na poddaszu wyczuwał ukrytą wewnątrz góry wielką strukturę.

Cóż tam na niego czekało? Co czekało ich wszystkich? Gdyby miał chociaż cień zapalu; gdyby tylko zdolał odzyskać skrawek swojej duszy.

- Jestem zmęczony - wyznał Maelowi. - Podróż wyssała ze mnie wszystko. Pozwól mi jeszcze chwilę odpocząć. Zjawie się później.

Mariusz, w przeciwieństwie do Pandory, która nie cierpiała latania, akceptował moc przemieszczania się w powietrzu, ale nieodmiennie płacił za to wyczerpaniem. W tej wyjątkowej noc był tak bezbronny, że musiał przez chwilę nieprzerwanej ciszy poczuć ziemię pod stopami, wchłonąć zapach lasu i przyjrzeć się odległemu domowi. Włosy miał zmierzwiłone od wiatru i wciąż zlepione krwią. Prosta kurtka i spodnie z szarej wełny, które zabrał z ruin swojego domu, ledwo go grzały. Otulił się szczelniej grubą czarną peleryną, chociaż noc nie była tu chłodna; wciąż jednak był zziębnięty i obolały od wiatru.

Maelowi nie podobało się jego wahanie, lecz musiał się z nim pogodzić. Podejrzliwie spoglądał na Pandorę, której nigdy nie ufał, a potem z otwartą wrogością na Santina, zajętego otrząpnięciem czarnego stroju i doprowadzaniem do porządku starannie przystrzyżonych czarnych włosów. Czując na sobie wzrok Maela, Santino zjechał się, a tamten szybko odwrócił wzrok.

Mariusz stał nieruchomo, zasluchany i zamysłony. Czuł, jak się kończy proces uzdrawiania ciała. To zdumiewające, że ponownie odzyska pełną moc. W przeciwieństwie do śmiertelnych, którzy uczą się, że z roku na rok są coraz starsi i słabsi, nieśmiertelni muszą się nauczyć, że z czasem stają się silniejsi, niż kiedykolwiek marzyli. W tej chwili doprowadzało go to do szaleństwa.

Minęła zaledwie godzina od chwili, gdy Santino i Pandora pomogli mu wydobyć się z lodowatej czeluści, a już miał wrażenie, że nigdy się nie zdarzyło owych dziesięć dni i nocy, gdy utkwil tam, zmiażdżony i bezradny, nawiedzany raz za razem przez koszmarne sny o bliźniaczkach. Niemniej jednak nic już nie będzie takie, jak było.

Bliźniaczki. Rudowłosa kobieta czekała w domu. Powiedział mu to Santino. Mael także o tym wiedział.

Kim ona jest? Dlaczego nie chciał znać odpowiedzi na tak wiele pytań? Czemu była to najbardziej ponura godzina w jego życiu? Ciało niewatpliwie w pełni odzyskało zdrowie, ale co uzdrowi duszę?

Armand jest w tym przedziwnym drewnianym domu u stóp góry? Znow go spotka po tak długim czasie? Santino powiedział mu o Armandzie i o tym, że Louis i Gabriela również zostali oszczędzeni.

Mael obserwował go uważnie.

- On czeka na ciebie - powiedział. - Twój Amadeo. - Wyrzekł to tonem pełnym szacunku, pozbawionym nuty cynizmu lub zniecierpliwienia.

Z wielkiego skarbcza pamięci, który Mariusz nosił ze sobą wszędzie, wyłoniło się zadziwiająco wyraźne, chociaż tak odległe wspomnienie: Mael przybywa do weneckiego *palazzo* w świetnych latach piętnastego wieku, kiedy Mariusz i Armand zaznali wielkiego szczęścia, i widzi smiertelnego chłopca pracującego z innymi czeladnikami przy ściennym malowidle, które Mariusz niedawno zostawił mniej wprawnym dłoniom. Dziwnie, jak żywo pamięta zapachy temperey, świec i tę znajomą won - całkiem miła we wspomnieniu - która przenikała całą Wenecję, won zgnilizny, bijąca z ciemnych, stojących wód kanałów.

- A więc stworzysz go? - spytał Mael z prosta bezpośredniością.

- Kiedy nadejdzie czas - odparł wymijająco Mariusz - kiedy nadejdzie czas.

Niecały rok później popełnił mały błąd.

- Chodź w moje ramiona, młodziku, nie mogę już żyć bez ciebie.

Teraz wpatrywał się w daleki dom. Mój świat drży w posadach, a ja myślę o nim, o moim Amadeo, moim Armandzie - kolatało mu w głowie. Uczucia, których doświadczał, były zarazem tak słodkie i gorzkie jak przemieszane orkiestrowe melodie ostatnich wieków, tragiczne akordy Brahmsa lub Szostakowicza.

Nie czas jednak, by delektować się spotkaniem. Nie czas, by cieszyć się ciepłem tej chwili i mówić Armandowi to wszystko, co chciał mu powiedzieć.

Czuł coś znacznie bardziej bolesnego niż gorycz. Powinienem być zniszczyć Matkę i Ojca - myślał. - Powinienem być zniszczyć nas wszystkich.

- Dzięki bogom, że tego nie zrobili - rzekł Mael.

- A dlaczego? - spytał z mocą Mariusz. - Powiedz mi dlaczego?

Pandora zadygotała. Poczul jej rękę obejmującą go w pasie. Co wprawiało go w taką złość? Odwrócił się do niej gwałtownie, chcąc ją uderzyć, odepchnąć, ale gdy na nią spojrział, powstrzymał się. Nawet na niego nie patrzyła; sprawiała wrażenie nieobecnej i tak załamanej, że tym mocniej poczuł własne wyczerpanie. Chciało mu się płakać. Pomysłowość Pandory zawsze miała zasadnicze znaczenie dla jego przetrwania. Nie potrzebował jej obecności - wręcz przeciwnie - ale musiał wiedzieć, gdzie jest, jak sobie radzi i że zawsze mogą się spotkać. To, co teraz ujrzał i co widział już wcześniej, nappełniło go złymi przeczuciami. Jeśli on czuł gorycz, to Pandora czuła rozpacz.

- Chodź - powiedział Santino z dworską uprzejmością - oni czekają.

- Wiem - odparł Mariusz.

- Ach, cóż z nas za trio! - szepnęła nagle Pandora. Była wyczerpana, osłabiona, spragniona snu i snów, niemniej jednak opiekunczym gestem mocniej objęła Mariusza.

- Dam sobie radę bez pomocy, dziękuję ci. - Nigdy nie bywał tak zjadliwy, i to wobec tej najbardziej kochanej.

- No to idź - powiedziała. Przez sekunde poczuł jej dawne ciepło, dostrzegł nawet znajomy przeblisk poczucia humoru. Pchnęła go lekko, po czym ruszyła sama w kierunku domu.

Zrący kwas. Jego myśli zamieniły się w zrący kwas. W niczym nie zdoła pomóc tym niesmiertelnym. Mimo to kroczył wraz z Maelem i Santino ku światłu bijącemu z okien. Sekwojowy las był coraz rzadszy i ustępował ceniom; nie drzał nawet liść. Powietrze było tu dobre, ciepłe, pełne świeżych woni i wyzbyte przenikliwego ukłucia Północy.

Armand. Chciało mu się płakać.

Wtem ujrzał kobietę, która wyszła przed próg domu. Długie rude kedziory, na których zatrzymywało się światło padające z holu, nadawały jej wygląd sylfidy.

Nie zatrzymał się, chociaż wiedział, że niewątpliwie powinien się nieco bac. Z pewnością była w wieku Akaszy. Jasne brwi niemal zlewały się z promienną twarzą. A jej oczy... Jej oczy naprawdę nie były jej oczami. Zostały zabrane śmiertelnej ofierze i już ją zawodziły; nie widziała go więc zbyt dobrze. Ach, to była oslepiona bliźniaczka ze snów. Ból raził jej delikatne nerwy biegnące do skradzionych oczu.

Pandora zatrzymała się u stóp schodów.

Mariusz minal ją i wszedł na werandę. Zatrzymał się przed rudowłosa, podziwiając jej wzrost - była tak strzelista jak on sam - i znakomita symetrię zastygłej twarzy. Miała na sobie powiewną szatę z czarnej wełny z wysokim kołnierzykiem i kontrafaldami na rekawach. Materiał opadał długimi luznymi klinami od wąskiego czarnego paska z plecionej skóry opinającego suknie tuż poniżej drobnych piersi. Był to naprawdę słiczny strój; podkreślał świetlistość cery i uduchowiony wyraz twarzy, która wydawała się maską jasnijącą wewnętrznym światłem w obramowaniu rudych włosów.

Budziła jednak podziw czymś więcej niż uroda, która zapewne niewiele się zmieniła przez sześć tysięcy lat. Wigor tej niewiasty był zdumiewający. Roztaczała aure nieskonczonej mocy i przemożnej groźby. Czy była istotą prawdziwie niesmiertelną, która nigdy nie śpi, nigdy nie zastyga w milczeniu, nigdy nie ucieka w szalenstwo? Czy z niezmiennie trzeźwym umysłem podąża równym krokiem przez tysiąclecia, odkąd przyszła na świat?

Taka mu się odsłoniła. Ile było w tym prawdy - nie wiadomo.

Widział niezmierną siłę niby rozszarżone światło, a zarazem dostrzegł niesłychaną bezpośredniość i ogromną chłonność bystrogo umysłu.

Jednakże jak odczytać jej nastrój? Jak się dowiedzieć, co naprawdę czuje?

Emanowała głęboka, łagodna kobiecość, nie mniej tajemnicza niż wszystko, co się z nią łączyło; była w niej delikatna bezbronnosc, która wyczuwał jedynie u kobiet, chociaż czasem także u bardzo młodych mężczyzn. Owa wrażliwość zapowiedziana w snach przepelniała jej oblicze; teraz była niewidzialna, ale

nie mniej realna. W innych okolicznościach byłby nią oczarowany; teraz jedynie zarejestrował jej obraz, tak jak i przepięknie przycięte, pomalowane na złoto paznokcie i biżuterie na dłoniach.

- Przez te wszystkie lata wiedziałas o moim istnieniu - rzekł uprzejmie w klasycznej łacinie. - Wiedziałas, że strzeżesz Matki i Ojca. Czemu nie przybyłaś do mnie? Czemu nie powiedziałas mi, kim jesteś?

Zastanawiała się długo, zanim odpowiedziała, z nagle spoglądając po pozostałych, którzy zbliżyli się do niego.

Santino bał się jej śmiertelnie, chociaż doskonale ją znał. Mael także się bał, chociaż może trochę mniej. W rzeczy samej, wyglądało na to, że ją kocha i jest do niej przywiązany, a zarazem w jakiś sposób podporządkowany. Pandora okazywała jedynie niechęć. Nawet przysunęła się do niego, jakby chcąc zaznaczyć, że trzyma jego stronę bez względu na to, co postanowi.

- Tak, wiedziałam o tobie - przemówiła nagle kobieta. Używała współczesnej angielszczyzny. Był to niewatpliwie głos bliźniaczki ze snu, ślepej bliźniaczki, która wykrzyczała imię niemej siostry, Maharet, kiedy gniewny tłum zamykał ją w kamiennych trumnach.

Nasze głosy tak naprawdę nigdy się nie zmieniają - pomyślał Mariusz. Jej głos był młody, słiczny. Kiedy znów przemówiła, była w nim łagodna powściągliwość.

- Mogłabym zniszczyć twoje sanktuarium, gdybym się zjawiała - rzekła. - Mogłabym pogrzebać króla i królową pod morskim dnem. Mogłabym nawet ich unicestwić, a czyniąc to, unicestwić nas wszystkich. Nie chciałam tego, więc nie uczyniłam nic. Czegoś się po mnie spodziewał? Nie mogłam zdjąć ciężaru z twoich barków. Nie mogłam ci pomóc, więc nie przybyłam.

To była lepsza odpowiedź, niż mógł się spodziewać. Nie sposób było nie lubić tej istoty. Jednak był to dopiero początek, a jej odpowiedź nie zawierała całej prawdy.

- Nie? - zapytała. Przez moment na jej obliczu ukazała się siatka subtelnych linii, znamie dawnego człowieczeństwa. - A co to jest cała prawda? To, że nie zawdzięczałam ci niczego, a już w żadnym wypadku wiedzy o mojej egzystencji, i że impertynencko zasugerowałaś, iż powinnam ci się ujawnić? Widziałam tysiące takich jak ty. Wiem, od kiedy datuje się twoje istnienie. Wiem, kiedy przepadniesz. Kim jesteś dla mnie? Spotkaliśmy się, bo musieliśmy. Jesteśmy w niebezpieczeństwie. Wszystkie żywe istoty są w niebezpieczeństwie! Może kiedy się to wszystko skończy, będziemy się nawzajem kochać i szanować, a może nie. Może wszyscy będziemy martwi.

- Niewykluczone - rzekł ze spokojem. Nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Podobało mu się jej obejście i szorstkość jej słów.

Wiedział z doświadczenia, że epoka, w której na świat przychodzi śmiertelni, odciska na nich niezatarte piętno. Dostrzegał je również u tej starożytnej istoty, której słowa zachowały prostotę dzikuski, chociaż tembr głosu miała delikatny.

- Nie jestem sobą - dodał z wahaniem. - Nie wyszedłem z tego obronna reka, chociaż powinienem być. Moje ciało jest uzdrowione... to cud powszedni - dorzucił szyderczo. - Ale nie pojmuję mojego obecnego spojrzenia na rzeczywistość. Goryczy, woalu... - Urwał.

- Woalu ciemności - zakończyła za niego.

- Właśnie. Życie nigdy nie wydawało mi się tak pozbawione sensu - dodał. - Nie myślę teraz o nas.

Chodzi mi... posłuche się twoimi słowami... o wszystkie żywe istoty. To żart, prawda? Świadomość jest rodzajem żartu.

- Nie - powiedziała. - To nie tak.

- Nie zgadzam się z tobą. Zamierzasz traktować mnie protekcjonalnie? W takim razie opowiedz mi, ile tysięcy lat przeżyłaś przed moim urodzeniem? Ile z tego, co ty wiesz, jest mi nieznane? - Znowu pomyślał o swoim uwięzieniu, o katuszach przeżytych pod lodem, o bólu przeszywającym członki. Pomyślał o niesmiertelnych głosach, które mu odpowiadały; o ratownikach, którzy parli ku niemu, by jeden po drugim ginąc w ogniu Akaszy. Nie widział, jak umierali, ale słyszał to! A co przynosił mu sen? Majaki o bliźniaczkach.

Nagle ujęła jego prawą rękę w swoje dłonie. Miał wrażenie, że uchwyciły go tryby jakiejś maszyny. Wielu młodzików doświadczało tego w kontakcie z nim samym i oto przyszła chwila, w której przypadła mu rola słabszego.

- Mariuszu, jesteś nam teraz niezbędny - rzekła ciepło, jej oczy zamigotały przez chwilę w żółtym świetle padającym z drzwi i z okien.

- Na miłość boską, do czego?

- Nie żartuj. Wejdz. Musimy porozmawiać.

- O czym? - opierał się. - O tym, dlaczego Matka pozwoliła nam żyć? Znam odpowiedź na to pytanie i budzi ona tylko mój śmiech. Ciebie nie może zabić, to oczywiste, a nas... nas oszczędziła, dlatego że Lestat tego chce. Zdajesz sobie z tego sprawę, nieprawdaz? Przez dwa tysiące lat opiekowałem się nią, ochraniałem ją, oddawałem jej część i teraz mnie oszczędziła, bo kocha dwustuletnie piskle imieniem Lestat.

- Nie bądź tego taki pewny! - rzekł nagle Santino.

- Tak - potwierdziła kobieta. - To nie jest jedyny powód. Musimy rozważyć wiele innych spraw...

- Wiem, że masz rację - powiedział. - Ale brak mi hartu ducha. Widzisz, moje złudzenia przepadły; nawet nie wiedziałem, że były złudzeniami. Myślałem, że zdobyłem taką mądrość! Z niej czerpałem główny powód do dumy. Przystawałem z wiecznymi bytami. A kiedy ujrzałem ją stojącą przy tronie, wiedziałem, że ziszczyły się moje największe nadzieje i marzenia! Ona żyła w tym ciele. Żyła, podczas gdy ja odgrywałem rolę akolity, niewolnika, wiecznego strażnika jej grobu!

Dlaczego starał się jej to wyjaśnić? Przypomnił sobie szyderczy uśmiech Akaszy, drwiące słowa, spadający lód. Potem była tylko zimna czern i bliźniaczki. Ach tak, bliźniaczki. One były najistotniejsze w tym wszystkim, przede wszystkim one; nagle zrozumiał, że tamte sny rzuciły na niego urok. Powinien był wcześniej o to zapytać. Popatrzył na nią i wydało mu się, że sny nagle ją otoczyły, przeniosły z teraźniejszości w tamte surowe czasy. Zobaczył blask słońca; zobaczył trupa matki; zobaczył bliźniaczki pochylone nad trupem. Tak wiele niewiadomych...

- Jaki związek mają te sny z obecną katastrofą? - zapytał podniesionym głosem. Był wobec nich zupełnie bezbronny.

Kobieta długo mierzyła go wzrokiem, zanim odpowiedziała.

- Powiem ci tyle, ile wiem, ale musisz się uspokoić. Zachowujesz się tak, jakbyś odzyskał młodość. Cóż to musi być za przekleństwo.

- Ja nigdy nie byłem młody - roześmiał się. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Szalejesz i rozpaczasz. A ja nie mogę cię pocieszyć.

- A gdybyś mogła, pocieszyłabys mnie?

- Tak.

Rozesmiał się cicho, a kobieta z niesłychaną łagodnością otworzyła przed nim ramiona. Ten gest wstrząsnął nim, nie dlatego, że był tak niezwykle, ale dlatego, że często widział w snach, jak w ten właśnie sposób obejmowała siostrę.

- Mam na imię Maharet - powiedziała. - Nazywaj mnie tak i pozbadz się nieufności. Wejdzmy do mojego domu.

Pochyliła się i lekko ujęła w dłonie jego twarz, całując go w policzek. Rude włosy musnęły jego skórę, przyprowadzając go o zawrót głowy. Perfumy unoszące się z jej szat odurzały go; ich lekki, orientalny aromat budził pamięć kadzidła, nieodłącznie związanego ze świątynią.

- Maharet - rzekł gniewnie. - Jeśli jestem wam niezbędny, dlaczego nie przybyłaś po mnie, kiedy leżałem w tej lodowej czelusci? Czy ona mogła powstrzymać cię?

- Mariuszu, przybyłam - powiedziała. - Teraz jesteś z nami. - Czy myślisz, że próżnowałam podczas tych nocy, kiedy nasza rasa była eksterminowana? Jak świat długi i szeroki, mordowała tych, których znalazłam lub kochałam. Nie mogłam być wszędzie. Krzyki docierały do moich uszu z każdego zakątka ziemi. Miałam też własne poszukiwania, własną zgryzotę... - Nagle przerwała.

Na jej policzkach pojawił się lekki rumieniec; ciepło napływającej krwi przywróciło twarzy wyrazistość. Cierpiała ból, zarówno fizyczny, jak i psychiczny, a jej oczy zasłzyły błoną krwawych łez. Cóż za dziwna istota, łącząca wrażliwość oczu z niezniszczalnością ciała. Emanowała cierpieniem, którego nie mógł znieść, było ono bowiem spowodowane tamtymi snami na jawie. Wtem nagle i niespodziewanie zdał sobie sprawę...

- To nie ty posyłasz nam sny! - szepnął. - Nie ty jesteś źródłem.

Nie odpowiedziała.

- Bogowie, gdzie jest twoja siostra! Co to wszystko znaczy?

Zgięła się lekko, jakby dzgnął ją w serce. Próbowwała zasłonić przed nim swój umysł, ale ów nieznosny ból był nie do ukrycia. W milczeniu wpatrywała się w Mariusza, ogarniając wzrokiem całą jego twarz i postać, wyraźnie dając mu do zrozumienia, że dokonał niewybaczalnego włamania.

Czuł strach, podobnie jak Mael i Santino, którzy nie śmieli się odezwać. Pandora jeszcze bardziej zbliżyła się do niego i lekko sciskając dłoń, przekazała ostrzegawczy sygnał.

Dlaczego był tak brutalny, tak niecierpliwy? „Własne poszukiwania, własna zgryzota...” Niech to wszystko piekło pochłonie!

Zamknęła oczy i delikatnie przycisnęła powieki dłońmi, jakby chciała odpędzić ból.

- Maharet - rzekł cicho Mariusz. - Trwa wojna, a my stoimy na polu walki, ciskając wyzwiska. Mój jad był najbardziej gryzacy. Chce tylko zrozumieć.

Patrzyła na niego, wciąż z pochyloną głową, osłaniając twarz dłonią. Jej spojrzenie było ostre, niemal zjadliwe. Mimo to wpatrywał się jak zafascynowany w delikatne krzywizny jej palców, pomalowane paznokcie, pierścionki z rubinami i szmaragdami, które błysnęły zniechęcająco, jakby musnięte elektrycznym światłem.

Przemknęła mu przez głowę okropna myśl: że jeśli nie przestanie robić z siebie takiego cholernego idioty, może nigdy nie ujrzeć Armanda. Ona go stąd przepędzi albo zrobi coś gorszego... A tak bardzo pragnął - zanim się to skończy - ujrzeć Armanda.

- Wejdz, Mariuszu - powiedziała nagle uprzejmie, wybacząco. - Chodź ze mną i połącz się ze swoim dawnym dzieckiem, a następnie spotkamy się z tymi, którzy mają te same pytania. Wtedy zaczniemy.

- Tak, moje dawne dziecko... - zamruczał. Znowu poczuł tęsknotę za Armandem, która przypominała muzykę, skrzypcowe frazy Bartoka odgrywane w odległym i bezpiecznym miejscu, gdzie było nieskonczenie dużo czasu do słuchania. Nienawidził Maharet, nienawidził ich wszystkich. Nienawidził samego siebie. Druga bliźniaczka, gdzie jest druga bliźniaczka? W jego myślach przeblyskiwały obrazy rozgrzanej dżungli, porwane liany i młode drzewka pekające pod stopami. Starł się myśleć logicznie, ale na próżno. Zatrula go nienawisc.

Wiele razy był świadkiem, jak to czarne zaprzeczenie istnienia dochodziło do głosu u śmiertelnych. Słyszał, jak najmadrzejsi z nich mówili: „Nie warto żyć” i nigdy nie wiedział, o czym bredzą. Zrozumiał to dopiero teraz.

Jak przez mgłę widział, że zwróciła się ku jego towarzyszom. Witowała Santina i Pandore w swoim domu.

Niczym w transie patrzył, jak obraca się i wskazuje mu drogę. Miała długie włosy, opadające wielką masą miękkich rudych splotów. Poczuł wielką ochotę, by ich dotknąć, sprawdzić, czy są naprawdę tak miękkie. To niezwykle, że w takiej chwili mogło go zająć coś tak słodkiego i sprawić, że poczuł się tak błogo, jakby nic się nie stało, jakby na świecie było dobrze. Znowu ujrzał nietkniętą świątynię; świątynię w środku jego świata. Ach, ten idiotyczny ludzki mózg - pomyślał - jakże on chwyta się byle czego. Pomyślał, że Armand jest tak blisko, czeka...

Poprowadziła ich przez amfiladę obszernych, oszczędnie meblowanych pokoi. Mimo całej jego otwartości w domu panowała atmosfera cytadeli; u powały umocowano potężne belki, kominki płonące wysokim ogniem były otwartymi kamiennymi paleniskami.

Jakże był podobny do starych europejskich świątyn w tamtych mrocznych wiekach, kiedy rzymskie drogi popadły w ruinę, język łaciński - w zapomnienie, a stare wojownicze plemiona znowu podniosły głowy. Ostatecznie triumfatorami zostali Celtowie. To oni podbili Europę, a feudalne zamki były nie większe niż obozowiska. Nawet w nowoczesnych państwach przetrwały raczej celtyckie zabobony niż rzymska logika.

Urządzenie tego domu wskazywało jednak na czasy jeszcze wcześniejsze. Ludzie zamieszkiwali takie posiadłości przed wynalezieniem pisma; żyli wówczas w takich właśnie domach z gliny i drewna, wśród rzeczy ręcznie tkanych lub kutych.

Dom przypadł mu do gustu. Ach, znów ten idiotyczny mózg - pomyślał. - Żeby w takiej chwili zajmować się estetyką. - Jednak domy budowane przez nieśmiertelnych zawsze go intrygowały; a ten był jakby stworzony do tego, by go powoli zwiedzać, poznawać dzień po dniu.

Mineli stalowe drzwi prowadzące na górę. Won surowej ziemi zamknęła go w swojej kapsule. Szli korytarzami o ścianach wyłożonych blachą. Słyszał generatory, komputery, cały słodki elektryczny szum, który sprawiał, że kiedyś czuł się tak bezpiecznie we własnym domu.

Wspinali się żelaznymi schodami. Wily się i zakrecały wiele razy, a Maharet prowadziła ich coraz wyżej. Szorstkie nagie ściany odsłoniły trzewia góry, głębokie żyły kolorowej gliny i skały. Rosły tam małe paprocie; ale skąd było światło? Wysoko w górze był świetlik, małe przebicie do nieba. Z ulgą zerknął na ten nikły przebłysk.

Wreszcie dotarli do szerokiego podestu i weszli do małego ciemnego pokoju, a stamtąd przez otwarte drzwi do dużo większego pomieszczenia, gdzie czekali inni; Mariusz na chwilę odwrócił wzrok, oslepiony jasnym błyskiem odległego kominka.

Cos czekało na niego w tym pokoiku; te obecności mógł wykryć tylko w najprostszy sposób. Czuł ją za swoimi plecami. A gdy Maharet weszła do wielkiej sali, zabierając ze sobą Pandore, Santina i Maela, wszystko zrozumiał. Nabrawszy sił, wziął głęboki oddech i zamknął oczy.

Jakże trywialna wydawała się cała jego gorycz; pomyślał o tej istocie, której egzystencja przez całe wieki była nieprzerwanym cierpieniem; której młodość ze wszystkimi jej pragnieniami stała się prawdziwie wieczna; istocie, której nie zdołał uratować ani udoskonalić. Przez lata ileż razy marzył o ponownym spotkaniu; zawsze brakowało mu odwagi, a teraz mieli się wreszcie spotkać na tym polu bitewnym, w chwili zniszczenia i wstrząsu.

- Miłości moja - szepnął. Nagle poczuł się oczyszczony, jak wcześniej, kiedy wlatywał ponad śnieżne pustkowia, w królestwo obojętnych chmur. Nigdy nie wypowiedział tych słów bardziej od serca. - Mój piękny Amadeo.

Kiedy wyciągnął dłoń, poczuł dotknięcie dłoni Armanda.

To nadprzyrodzone ciało nadal było miękkie, jakby ludzkie, a zarazem chłodne i tak delikatne. Nie potrafił powstrzymać łez. Plakał. Gdy otworzył oczy, ujrzał przed sobą chłopięcą postać. Och, jakże cudowny był wyraz jego twarzy. Ilez miał w sobie otwarcia, ileż przyzwolenia. Mariusz otworzył ramiona.

Wieki temu, w weneckim *palazzo*, starał się uchwycić w niezniszczalnym pigmentcie jakąś tę miłość. Do czego sprowadziła się nauka wyniesiona z tamtych chwil? Ze na całym świecie żadne dwie dusze nie kryją tej samej tajemnicy, tego samego daru oddania się czy wyrzeczenia. W zwykłym zranionym dziecku odnalazł takie połączenie smutku i wdzięcznej prostoty, które na zawsze złamało mu serce. Ta istota go rozumiała! Ta istota kochała go jak nikt nigdy.

Przez łzy dostrzegł, że nie czeka go ani wyrzut, ani nagana za wielki nieudany eksperyment. Ujrzał twarz, która malował, teraz lekko pociemniała i wzbogacona o coś, co naiwnie zwał madrością; ujrzał tę samą miłość, na którą liczył bez zastrzeżeń podczas nocy zatraty.

Gdyby tylko mogli poszukać spokoju - jakiegos ciepłego zaciszego miejsca wśród strzelistych sekwoi - i gdyby mogli rozmawiać tam przez długie noce, przez nikogo nie ponaglani. Jednak inni czekali; tym

bardziej cenne były te chwile i tym bardziej smutne.

Uściskał mocno Armanda. Ucałował jego usta i długie luzne włosy włóczęgi. Z pozadaniem poglądził ramiona. Spojrzał na wąską białą dłoń, którą trzymał w swojej własnej. Każdy szczegół usiłował zachować na wieczność na płótnie; każdy szczegół z pewnością pamiętał w chwili śmierci.

- Oni czekają, prawda? - spytał. - Mamy zaledwie kilka chwil.

Armand nie zdradził swych myśli, skinął tylko głową.

- To wystarczy - rzekł cichym, ledwo słyszalnym głosem. - Zawsze wiedziałem, że kiedyś się spotkamy.

Och, te wspomnienia, które budził ów głos. *Palazzo* z kasetonowymi stropami, łoza udrapowana czerwonym aksamitem. Chłopieca postać wbiegająca po marmurowej klatce schodowej, twarz zarumieniona od zimowego wiatru bijącego od Adriatyku, piwne oczy płonące ogniem.

- Nawet w chwilach największego niebezpieczeństwa - mówił dalej ten głos - wiedziałem, że się spotkamy, zanim będę mógł swobodnie zdecydować o swojej śmierci.

- Swobodnie zdecydować o swojej śmierci? - powtórzył Mariusz. - To możemy zrobić zawsze, prawda? Musimy mieć tylko dość odwagi, jeśli to rzecz właściwa.

Armand myślał chwile. Lagodny dystans widoczny na jego twarzy znów wzbudził smutek Mariusza.

- Tak, to prawda - powiedział Armand.

- Kocham cie - szepnął nagle Mariusz z zarliwosciami śmiertelnego człowieka. - Zawsze cie kochałem. Żałuję, że w tej chwili nie wierzę w coś innego niż miłość, ale nie potrafię.

Przerwał im jakiś szmer. To Maharet podeszła do drzwi.

Mariusz objął Armanda ramieniem. Nastąpiła między nimi chwila milczenia i ostatecznego zrozumienia. A potem udali się za Maharet do potężnej sali w szczycie góry.

Była cała ze szkła, z wyjątkiem jednej ściany i żelaznego okapu zwisającego z powąły nad płonącym ogniskiem. Mariusz nie widział żadnego źródła światła poza zarem ognia, a wysoko nad głową dostrzegł ostre czubki monstrualnych sekwoi i bezbarwne niebo Pacyfiku, a na nim rzadkie chmury i tchórzliwe gwiazdki.

Było to cudownie piękne, chociaż nie przypominało nieba nad Zatoką Neapolitańską lub widzianego z komina Annapurny czy też z pokładu jachtu płynącego po czerniejącym morzu. Sam jego bezmiar był piękny i pomysł tylko, że zaledwie przed chwilą on, Mariusz, był tam, wysoko, unosił się w mroku, widziany jedynie przez towarzyszy podróży i same gwiazdy. Znów poczuł radość, kiedy popatrzył na rude włosy Maharet. Nie smutek jak wtedy, kiedy myślał o Armandzie przy swoim boku, lecz przenikająca wszystko, bezinteresowna radość, bodziec do dalszego życia.

Nagle zrozumiał, że nie może dłużej plawić się w goryczy i żalu; że brak mu do tego wytrwałości i jeśli ma odzyskać szacunek do samego siebie, to powinien szybko wziąć się w garść.

Przywital go smieszek, przyjazny, nie natarczywy, chociaż może nieco pijacki, śmiech pisklecia, któremu brak rozsądku. Uśmiechnął się na znak, że nie czuje się urażony, i zerknął na rozbawionego Daniela, anonimowego „chłopaka” z „Wywiadu z wampirem”. Szybko zdał sobie sprawę, że jest to jedyne dziecko, jakie stworzył Armand. Dobrze sobie poczynało na początku Diabelskiej Drogi to tryskające energią i budzące sympatie stworzenie, wzmacnione wszystkim, co Armand miał do zaoferowania.

Szybko przyjrzał się innym zgromadzonym wokół okrągłego stołu.

Po prawej, w pewnej odległości siedziała Gabriela, blondynka z warkoczami opadającymi na plecy, o oczach pełnych nie ukrywanego niepokoju; obok niej Louis, otwarty i pasywny jak zawsze, wpatrujący się w Mariusza bez słowa, jakby poddawał go naukowej obserwacji lub składał mu hold, czy też jakby czynił jedno i drugie równocześnie; potem jego ukochana Pandora o falujących kasztanowych włosach luźno opadających na ramiona i nadal sperlonych drobnymi kroplami stajalego szronu. Wreszcie Santino; siedział obok niej, jak zawsze opanowany; wszelki kurz i brud znikł z doskonale skrojonego aksamitnego stroju.

Po jego lewej ręce siedział Khayman, inny starożytny osobnik, który przedstawiał się w milczeniu i bez wezwania, isticie przerazająca istota o twarzy gładziej nawet niż oblicze Maharet. Mariusz przyłapał się na tym, że nie może oderwać od niego oczu. Twarze Matki i Ojca nigdy go tak nie zaskoczyły, chociaż oni również mieli czarne oczy i krucz włosy. To chyba ten uśmiech był tak niezwykle, otwartość i przystępność wciąż malujące się na twarzy mimo upływu lat. Wyglądał jak mistyk lub święty, chociaż był zajadłym mordercą. Ostatnie uczyły z ludzkiej krwi nieco zmiękczyły jego skórę, dodając policzkom lekkiego rumieńca.

Mael o rozwichrzonych włosach i nieporządny jak zawsze, zajął miejsce po lewej Khaymana. A obok inny starożytny, Eryk, mający ponad trzy tysiące lat wedle rozeznania Mariusza, wychudły i o mylaco delikatnym wyglądzie, liczący sobie może trzydziestkę w chwili śmierci. Jego łagodne piwne oczy z namysłem oceniał Mariusza. Miał na sobie recznie szyte ubranie, wyborna replika masowej konfekcji noszonej obecnie przez ludzi interesu.

Kim jednak jest tamta istota? Ta siedząca po prawej Maharet, naprzeciwko Mariusza, w glebi? Tak, ona naprawdę wywołała w nim szok. Kiedy popatrzył na zielone oczy i włosy barwy jasnej miedzi, w pierwszym odruchu wziął ją za drugą bliźniaczkę.

Bez wątpienia żyła jeszcze wczoraj. Nie mógł znaleźć wytłumaczenia dla jej siły, jej kruchej bieli, przeszywającego spojrzenia, a także emanującej z niej przemożnej telepatycznej mocy, kaskady mrocznych i wyraziste zarysowanych obrazów, nad którą chyba nie panowała. Z niesłychaną dokładnością widziała obraz jego ukochanego Amadeo, czarnoskrzydłe anioły otaczające pogrążonego w modlitwie chłopca. Mariusza przeszedł dreszcz.

- Mój obraz w krypcie Talamaski? - szepnął i rozesmiał się ordynarnie, jadownicie. - A więc tam jest!

Przestraszył ją; nie zamierzała ujawniać swoich myśli. Lekając się o Talamaske i beznadziejnie zmieszana, pogrążyła się w sobie. Jej ciało jakby zmalowało, a jednocześnie podwoiło swoją moc. Potwór. Potwór o zielonych oczach i delikatnych kościach. Urodzona wczoraj, tak, dokładnie; miała w sobie żywą tkankę. Nagle dowiedział się o niej wszystkiego. Ta istota imieniem Jesse została stworzona przez Maharet, była jej autentycznym potomkiem, a teraz piskleciem swojej prawniczej matki. Siła tego zjawiska wprowadziła go w zaskoczenie i z lekka przestraszyła. Krew płynąca żyłami tej młódki miała niewyobrażalny potencjał. Była absolutnie wyzbyta pragnienia, a jednocześnie tak naprawdę nie była martwa.

Musiał zakończyć tę bezlitosną i wścibską ocenę. Przecież czekali na niego. Jednak podświadomie zadawał sobie pytanie, gdzie są teraz jego śmiertelni potomkowie, nasienie jego kuzynów i kuzynek, których tak kochał, kiedy był żywym stworzeniem? To prawda, że przez setki lat śledził ich losy; jednak nie potrafił już ich rozpoznać, nie rozpoznawał już samego Rzymu. Pozwolił, żeby zapadli się w mrok, tak jak sam Rzym. Lecz z pewnością wśród istot przemierzających ziemię były i takie, które miały w żyłach krew jego rodziny.

Nadal wpatrywał się w rudowłosą młodkę. Jakże przypominała swą wielką matkę; wysoka, a jednak o cienkich kościach, piękna, a jednak bezwzględna. Jest w tym jakiś wielki sekret, coś związanego z krwią przodków, z rodziną... - pomyślał. Miała na sobie ciemne ubranie w starożytnym stylu. Dłonie utrzymane bez zarzutu, ani śladu perfum czy makijażu.

Wszyscy byli na swój sposób wspaniali. Wysoki, mocno zbudowany Santino, o błyszczących czarnych oczach i zmysłowych ustach, elegancki w księżych czerniach. Nawet niechlujny Mael tchnął bestialską i przytłaczającą aurą, kiedy płonącymi oczami wpatrywał się w prawniczkę zarazem z miłością i nienawiścią. Anielskie oblicze Armanda umykało wszelkim opisom, a chłopiec Daniel, zjawiskowa postać, urzekał ciemnymi włosami i błyszczącymi fiołkowymi oczami.

Czy nikt, kto zyskał nieśmiertelność, nie mógł być brzydki? Czy też to czarna magia sprawiała, że wszystko, co złożono w ofierze, stawało się piękne? Gabriela jednak za życia z pewnością była uroczym stworzeniem, dysponując całą odwagą syna i wyżyła jego impulsywności, a Louis, no cóż, Louis został oczywiście wybrany dla swego cudownego oblicza i głębi zielonych oczu. Został wybrany ze względu na niepoprawnie trzeźwą zachłanność, którą teraz okazywał. Wyglądał między nimi na zgubionego człowieka; twarz miał złagodzona rumieńcem i uczuciami, ciało bezbronne, oczy błędzące i smutne. Nawet Khayman, mimo iż przerażający, niewatpliwie prezentował doskonałość oblicza i kształtów.

Gdy patrzył na Pandorę, widział ją żywą i śmiertelną, widział zapalczywą kobietę, która przybyła do niego wiele eonów temu przez czarne jak atrament ulice Antiochii, błagając o dar nieśmiertelności; nie, ona nie była błędząca myślami melancholijna istota, siedząca bez ruchu w prostych biblijnych szatach, wpatrująca się przez wielkie panoramiczne okno w galaktyki błędzące za gestniejącymi chmurami.

Nawet Eryk, wybielony przez setki lat i lekko promieniejący, zachował podobnie jak Maharet aure szalenie ludzkich uczuć był tym bardziej pociągający z racji uwodzicielskiego androgynicznego wdzięku.

Prawdę mówiąc, Mariusz nigdy nie widział takiego towarzystwa - zgromadzenia nieśmiertelnych w każdym wieku, od nowo narodzonego do najbardziej wiekowego, wyposażonych bez wyjątku w niepoliczalne moce i słabości; a wśród nich ten szalejący radośnie młodzik, umiejętnie stworzony przez Armanda dzięki całej nietkniętej cnotce jego dziewiczej krwi. Mariusz wąpił, aby taki sabat zebrał się kiedykolwiek wcześniej.

Czy on sam pasował do tego otoczenia, on, najstarszy w swoim starannie kontrolowanym wszechświecie, w którym prawnicy byli milczącymi bogami? Wiatr oczyszczył z zaschniętej krwi jego twarz i opadające na ramiona włosy. Długa czarna peleryna była mokra od śniegów, z których się wydobył. Gdy zbliżał się do stołu, czekając w wojowniczym nastroju na zaproszenie Maharet, pochlebiał sobie, że jest potworem dorównującym pozostałym, o lodowatych oczach płonących wrogością, która spalała go od środka.

- Proszę - rzekła łaskawie Maharet. Wskazała pusty fotel obok siebie, jedno z dwóch honorowych miejsc u szczytu stołu.

Fotel był wygodny, w przeciwieństwie do wielu współczesnych mebli. Wygięte oparcie służyło plecemu,

a poręcze - rekom. Armand zajął miejsce po jego prawej stronie.

Maharet usiadła w ciszy. Złożyła dłonie na wypolerowanym do połysku drewnianym blacie i pochyliła głowę, jakby zbierając myśli.

- Czy nikt poza nami nie przetrwał? - zapytał Mariusz. - Nikt oprócz królowej, lobuzerskiego księcia i...
- Zawiesił głos.

Pozostali poruszyli się, zmieszani, ale milczący. Gdzie jest niema bliźniaczka? Czy to tajemnica?

- Tak - odparła sucho Maharet. - Nikt, z wyjątkiem królowej, lobuzerskiego księcia i mojej siostry. Tak, tylko my przetrwalismy; lub inaczej: poza nami nie przetrwał nikt, kto by się liczył.

Przerwała, jakby czekając na efekt swych słów. Ze spokojem przyjrzała się zgromadzeniu.

- Gdzieś, daleko, mogą być inni... starsi, którzy postanowili trzymać się z boku. Ona nadal ich ściga, więc ich los jest przesadzony. Spośród tych, którzy mogli wpływać na przeznaczenie, których decyzje czy zamiary się liczyły, pozostalimys tylko my.

- A mój syn? - powiedziała Gabriela. Jej ostry, pełen emocji głos zdradzał lekceważenie obecnych. - Czy nikt z was nie powie mi, co z nim zrobiła i gdzie on jest? - Patrzyła to na kobiety, to na Mariusza, bez leku i z desperacją. - Z pewnością macie taką moc, że możecie się dowiedzieć, gdzie on jest.

Jej podobieństwo do Lestata wzruszyło Mariusza. Niewatpliwie to z niej lobuzerski książę czerpał siłę. Był w niej jednak chłód, zupełnie obcy Lestatowi.

- Jest z nią, już ci powiedziałem - rzekł Khayman niskim, spokojnym głosem. - A ona nic więcej nie chce wyjawiać.

Gabriela wyraźnie mu nie wierzyła. Zapragnęła uchylić się od dalszej obecności na spotkaniu, opuścić to miejsce, odejść samotnie. Pozostałych nic nie oderwałoby od stołu. Było jasne, że nie czuła się z nimi związana.

- Pozwól, że ci wyjaśnię - powiedziała Maharet - jako że jest to sprawa najwyższej wagi. Oczywiście, Matka potrafi się sprawnie maskować. Jednak my od pierwszych wieków nigdy nie potrafiliśmy porozumiewać się myślowo z Matką i Ojcem czy też między sobą. Jesteśmy po prostu zbyt blisko źródła mocy, która decyduje o naszej kondycji. Jesteśmy równie głusi i ślepi na siebie nawzajem, jak mistrz i piskle w waszym przypadku. Dopiero z czasem, tworząc następnych krwiopijców, zdobywali oni moc bezsłownego porozumiewania się między sobą, która my zawsze dysponowaliśmy wobec śmiertelnych.

- W takim razie Akasza nie może cię znaleźć - rzekł Mariusz. - Ani ciebie, ani Khaymana... jeśli nie jesteście z nami.

- Zgadza się. Jeśli nie zobaczy nas w waszych myślach, będzie bezradna. Podobnie my możemy zobaczyć ją tylko za pośrednictwem innych umysłów. Oczywiście z wyjątkiem pewnego dźwięku, który słyszymy czasem, gdy zbliża się jakiś gigant, dźwięku związanego z wielkim nateżeniem mocy, oddechu i krwi.

- Tak, to wyjątkowy dźwięk - zamruczał cicho Daniel. - Straszny i nieustający.

- Czy nie ma takiego miejsca, gdzie my moglibyśmy się przed nią ukryć? - zapytał Eryk. - My, których ona może usłyszeć i zobaczyć? - Mówił głosem młodego człowieka, z nieokreślonym akcentem, pięknie wymawiając każde słowo.

- Wiesz, że nie ma - powiedziała Maharet z wyraźną nutą wyrozumiałości. - Ale szkoda czasu na rozmowę o ukrywaniu się. Jesteśmy tu albo dlatego, że ona nie może nas zabić, albo dlatego, że podjęła taką decyzję. Trudno. Nie mamy wyjścia.

- A może ona jeszcze nie skończyła - rzekł z obrzydzeniem Eryk. - Może w jej piekielnym umyśle nie zapadła jeszcze decyzja, kto ma umrzeć, a kto żyć!

- Myślę, że jesteście tu bezpieczni - stwierdził Khayman. - Każdy z obecnych był wydany na jej łaskę i nielaskę, czy nie tak?

Właśnie że nie tak, pomyślał Mariusz. Wcale nie wydawało mu się jasne, czy Eryk był wydany na łaskę i nielaskę Matki; podróżował przecież, jak się wydawało, w towarzystwie Maharet. Spojrzenia tych dwojga właśnie się spotkały i nastąpiło między nimi jakies krótkie, bezsłowne, ale nie telepatyczne porozumienie. Mariusz pojął, że to Maharet stworzyła Eryka i nikt nie wiedział na pewno, czy nie stał się dla Matki zbyt potężny. Maharet poprosiła o spokój.

- Potrafisz czytać w umyśle Lestata, prawda? - zapytała Gabriela. - Czy nie możesz ich w ten sposób zlokalizować?

- Nawet ja nie zawsze potrafię pokonywać ogromne odległości samym umysłem - odpowiedziała Maharet. - Gdyby przetrwali inni krwiopijcy, którzy przechwyciliby myśli Lestata i przekazali je mnie, no cóż, wtedy oczywiście odnalazłabym go w mgnieniu oka. Jednak nikt z nich się nie zachował. A Lestat zawsze potrafił się maskować; to jego wrodzona umiejętność, normalna u osobników silnych, samowystarczalnych i agresywnych. Bez względu na to, gdzie jest, instynktownie odcina nam dostęp do swoich myśli.

- Ona go zabrała - powiedział Khayman. Wyciągnął dłoń i przykrył nią dłoń Gabrieli. - Odkryje nam wszystko, kiedy będzie gotowa. A jeśli wcześniej zdecyduje się skrzywdzić Lestata, nikt z nas nie zdoła temu zapobiec.

Mariusz mało się nie rozesmiał. Ci przedwieczni chyba uważali, że absolutne prawdy są pocieszeniem. Co za dziwaczne połączenie żywotności i pasywności. Czy tak było u brasku historii? Ludzie, wyczuwając coś nieuchronnego, stali jak posągi i godzili się na to? Trudno mu było zrozumieć taką postawę.

- Matka nie skrzywdzi Lestata - uspokoił Gabrieli i wszystkich. - Kocha go. Jest to w istocie miłość taka jak każda inna. Nie skrzywdzi go, bo nie chce skrzywdzić sama siebie. Założy się, że zna wszystkie jego sztuczki tak jak my je znamy. Lestat nie zdoła jej sprowokować, chociaż zapewne jest tak głupi, że próbuje.

Gabriela lekko skinęła głową, uśmiechając się nieznacznie i smutno. Była głęboko przekonana, że Lestat potrafi sprowokować każdego, mając odpowiednio dużo czasu i możliwości; ale nie powiedziała tego na głos.

Nie była ani pocieszona, ani zrezygnowana. Odchyliła się w fotelu i patrzyła ponad głowami wszystkich, jakby przestali dla niej istnieć. Nie czuła żadnych zobowiązań wobec tej grupy; była związana jedynie z Lestatem.

- W takim razie - rzekła chłodno - odpowiedzcie mi na zasadnicze pytanie: jeśli zniszcze tego potwora, który porwał mojego syna, czy wszyscy zginiemy?

- Jak, u diabła, zamierzasz ja zniszczyć? - spytał zdumiony Daniel.

Eryk parsknął szyderczo.

Gabriela spojrzała lekceważąco na Daniela, a Eryka zignorowała.

- No cóż, czy stary mit mówi prawdę? - zwróciła się do Maharet. - Jeśli sprzeczne te sukie, jak się to mówi dzisiejszym slangiem, to czy sprzeczne też nas wszystkich?

Lekki śmiech rozległ się wśród zebranych, a Maharet skinęła głową, uśmiechając się przy tym na znak potwierdzenia.

- Tak. Próbowano tego za dawnych czasów. Próbowano tego wielu głupców-niedowiarków. Duch, który w niej zamieszkuje, ożywia nas wszystkich. Zniszcz gospodarza, zniszczysz moc. Młodziki umrą najpierw, starsi zmarnieją powoli, najstarsi być może przetrwają. Jednak ona jest królowa potępionych i potępieni bez niej nie przeżyją. Enkil był tylko jej małżonkiem, więc to jest bez znaczenia, że go zamordowała i wypila jego krew do ostatniej kropli.

- Królowa potępionych - szepnął Mariusz. W głosie Maharet zabrzmiało coś dziwnego, jakby ożyły w niej wspomnienia, bolesne i straszne, nie zatarte przez czas, niezmacone jak owe sny. Znów zdał sobie sprawę z prostoty i surowości tych prawniczych jestestw, które być może uważały, że język i wszelkie myśli są zbyt skomplikowane.

- Gabrielo - odezwał się Khayman - nie możemy pomóc Lestatowi. Musimy spozyczkować ten czas na ułożenie planu. - Po czym zwrócił się do Maharet. - Co z tymi snami? Chcielibyśmy wiedzieć, dlaczego wciąż nas nawiedzają?

Zapadła cisza. Sny dotknęły wszystkich, chociaż Gabriela do tego wieczoru nie zastanawiała się nad nimi, a Louis, wystraszony przez Lestata, całą siłą woli starał się o nich nie myśleć. Nawet Pandora, która twierdziła, że nie przeżyła ich osobiście, opowiedziała Mariuszowi o ostrzeżeniach Azima. Santino nazwał je straszliwymi transami, przed którymi nie było ucieczki.

Mariusz rozumiał, że na najmłodszych - Jesse i Daniela - rzuciły trujące czary, prawie tak bolesny jak dla niego.

Maharet nie odpowiadała. Ból oczu dokuczał jej coraz bardziej. Mariusz odbierał go jak bezdźwięczną wibrację. Czuł spazmy delikatnych nerwów Maharet.

Pochylił się i złożył ręce na stole.

- Maharet, to twoja siostra posyła te sny. Czy to prawda?

Brak odpowiedzi.

- Gdzie jest Mekare? - naciskał.

Znów milczenie.

Czul jej ból. Bardzo załował, po raz kolejny bardzo załował własnej nieogledności. Jednak jeśli obecni mają mieć z jego obecności jakiś pożytek, musi doprowadzić do podjęcia takiej czy innej decyzji. Znowu pomyślał o Akaszy w świątyni, chociaż nie wiedział dlaczego. Pomyślał o jej uśmiechu. Pomyślał o Lestacie - opiekunczo, z rozpaczą. Lestat był jednak teraz tylko symbolem. Symbolem samego siebie. Ich wszystkich.

Maharet przyglądała mu się przedziwnie, jakby był dla niej tajemnicą. Potem spojrziała na innych i wreszcie przemówiła spokojnie:

- Byliście świadkami tego, jak nas rozdzielono. Wszyscy byliście świadkami. Widzieliście to w snach. Widzieliście, jak tłuszcz otoczyła mnie i moja siostrę; widzieliście, jak nas rozłączono i zamknięto w kamiennych trumnach, Mekare niezdołna do krzyku, z ucietym językiem, mnie z wyklutymi oczami, niezdołna popatrzeć na nią ostatni raz.

Widziałam ją poprzez myśli tych, którzy nas krzywdzili. Wiedziałam, że zaprowadzono nas na brzeg morza - Mekare na zachodni, mnie na wschodni.

Dziesięć nocy płynęłam zdana na łaskę fal i wiatru, zamknięta żywcem w kamiennej trumnie. Wreszcie, kiedy tratwa zatonała i woda uniosła kamienne wieko, byłam wolna. Słepa, umierająca z głodu, popłynęłam do brzegu i pierwszemu biednemu śmiertelnikowi, którego spotkałam, ukradłam oczy, by widzieć, i krew, by żyć.

A Mekare?... Rzucono ją do wielkiego zachodniego oceanu - na wody płynące ku krawędzi świata.

Mimo to szukałam jej od pierwszej nocy; szukałam w Europie, w Azji, w dżunglach południa i na zamrzniętych lądach północy. Szukałam jej wiek po wieku, i wreszcie, kiedy przebyłam zachodni ocean, śmiertelnicy również podjęli moje zabiegi w Nowym Świecie.

Nie znalazłam siostry. Nie znalazłam istoty śmiertelnej ani niesmiertelnej, która by ją widziała lub słyszała jej imię. Dopiero w tym stuleciu, po drugiej wojnie światowej, w górskich dżunglach Peru samotny archeolog odkrył na ścianie płytkiej jaskini niepodważalne dowody obecności mojej siostry, obrazki wykonane jej ręką - prymitywne kolorowe figury, które opowiadały o naszym wspólnym życiu i o cierpieniach znanych wam wszystkim.

Te rysunki wryto na skale sześć tysięcy lat temu. Wtedy właśnie odebrano mi moją siostrę. Nie znaleziono żadnych innych dowodów jej istnienia.

Mimo to nigdy nie rozstałam się z nadzieją, że ją odnajdzie. Zawsze wiedziałem, jak potrafią to tylko bliźniaczki, że nadal przemierza te planety, że nie jestem tu sama.

W ciągu dziesięciu ostatnich nocy po raz pierwszy odnalazłam dowód, że wciąż jest ze mną. Pojawiła mi się we śnie.

To są myśli Mekare; to są obrazy Mekare; rozgoryczenie i ból Mekare.

Cisza. Oczy wszystkich były utkwione w Maharet. Mariusz był spokojny, ale zdumiony. Obawiał się, że znowu przyjdzie mu zabrać głos, ale to, co usłyszał, było gorsze, niż się spodziewał, i z przeraźliwą jasnością pojmował, co może po tym nastąpić.

Zródłem tych snów nie mógł być świadomy osobnik, który przeżył tysiąclecia; pochodziły raczej od

kogos o umyslowosci zwierzecia, dla kogo pamiec byla jedynie bodzcem do dzialania, nie kwestionowanym, ale i nie rozumianym. To tłumaczyloby ich wyrazistosc, a takze ich powtarzalnosc.

A niewyrazne wizje osoby idacej przez dzungle to byl obraz samej Mekare.

- Tak - natychmiast potwierdzila Maharet. - „Przez dzungle. Idzie” - szepnela. - To slowa umierajacego archeologa, które napisal na swistku papieru i zostawil dla mnie. „Przez dzungle. Idzie”. Ale gdzie?

- W takim razie sny nie sa celowo wysylana informacja. - Louis przerwal cisze. W jego glosie slychac bylo lekki francuski akcent. - To moga byc po prostu krzyki torturowanej duszy.

- Nie. To celowe informacje - sprzeciwil sie Khayman. - To ostrzezenia. Sa skierowane w rownej mierze do nas, jak i do Matki.

- Ale jak mozesz byc tego pewien? - zapytala go Gabriela. - Nie wiemy, co ona teraz myśli ani nawet czy wie, ze tu jestesmy.

- Widzialam ja - wtracila dyskretnie znaczącym tonem Jesse, spoglądając na Maharet. - Przekroczyła wplaw wielka rzeke, przybywa. Widzialam ja! Nie, to nie tak. Widzialam to tak, jakbym nia byla.

- Tak - potwierdzil Mariusz. - Jej oczyma!

- Kiedy spuscilam wzrok, widzialam jej rude wlosy - powiedziala Jesse. - Widzialam, jak dzungla ustępuje z kazdym jej krokiem.

- Te sny musza byc przeslaniem - rzekl z naglym zniecierpliwieniem Mael. - W innym wypadku dlaczego bylyby tak silne? Nasze prywatne mysli nie sa obdarzone taka moca. Ona unosi glos; ona chce, zeby ktos dowiedzial sie, co ona myśli...

- A moze jest opetana obsesja - powiedzial Mariusz. - I dazy ku jakiemus celowi. - Urwal. - Zeby polaczyc sie z toba, ze swoja siostra! Czego innego moglaby pragnac?

- Nie - rzekl Khayman. - To nie jest jej cel. - Znów spojrzal na Maharet. - Ona obiecala cos Matce i o tym własnie mówia te sny.

Maharet przygladala mu sie przez chwile w milczeniu; wydawalo sie, ze ta dyskusja o siostrze prawie przekraczala jej sily, niemniej jednak bez słów podjela kolejna ciezka próbe.

- My bylismy tam na poczatku - oznajmil Khayman. - Bylismy pierwszymi dziecmi Matki i w tych snach jest zawarta opowiesc o tym, jak to sie zaczelo.

- W takim razie musisz nam powiedziec... wszystko - rzekl Mariusz z cala lagodnoscia, na jaka potrafil sie zdobyc.

- Tak - westchnela Maharet. - Powiem. - Spojrzala na kazdego po kolei i wrócila wzrokiem do Jesse. - Musze opowiedziec ci cala historie, zebyś zrozumiala, czemu nie mozemy zapobiec. Widzisz, to nie jest jedynie historia poczatku. To byc moze również historia konca. - Nagle westchnela, jakby ta wizja przerastala jej sily. - Nasz swiat nigdy nie widzial takiego poruszenia - wyznala, patrzac na Mariusza. - Muzyka Lestata, przebudzenie Matki, tak wiele zgonów.

Opuscila wzrok, jakby znów zbierając sily. A potem popatrzyła na Khaymana i Jesse, których kochala

najbardziej.

- Nigdy wcześniej o tym nie opowiadałam - rzekła, jakby prosząc o wyrozumiałość. - Widzę to teraz jak mitologie, wiedzę twardą i prostą, pochodzącą z tych czasów, kiedy byłam żywą istotą, kiedy mogłam oglądać słońce. W tej mitologii są zakorzenione wszystkie znane mi prawdy. A gdy się cofniemy, może znajdziemy przyszłość i sposób jej zmiany. Najmniej liczymy na to, że znajdziemy wyjaśnienia.

Zapadła głęboka cisza. Wszyscy w pełnym szacunku milczeniu czekali na pierwsze słowa.

- Na początku - powiedziała - moja siostra i ja byłyśmy czarownicami. Rozmawialiśmy z duchami i duchy kochały nas. Az ona przysłała do naszego kraju żołnierzy.

Rozdział trzeci

Opowieść Lestata - Królowa Niebios

Wypuściła mnie. Natychmiast zacząłem spadać w dół; wiatr wyl mi w uszach. Ale najgorsze było to, że niczego nie widziałem! Usłyszałem, jak mówi do mnie:

- Wznies się.

Przeżywałem chwile całkowitej bezradności. Spadałem na ziemię i nic nie mogło mnie uchronić; wtedy zadarłem głowę do góry. Oczy mnie piekły, chmury zamykały się nade mną i przypomniałem sobie wieże i uczucie towarzyszące wznoszeniu się. Podjąłem decyzję. W górę! - rozkazałem w myślach. Opadanie ustalo natychmiast.

Miałem wrażenie, że pochwycił mnie prąd powietrza. W jednej chwili uniosłem się kilkadziesiąt metrów, a potem chmury znalazły się pod mną - białe, ledwo widoczne światło. Zdecydowałem, że będę unosił się w miejscu. Dokąd zresztą miałem się udać? Mógłbym otworzyć w pełni oczy i widzieć mimo wiatru, ale bałem się bólu.

Słyszałem jej śmiech - w mojej głowie albo nad nią, nie wiem. Słyszałem jej głos:

- Rusz się, mój księżo, wyżej!

Odwróciłem się i wystrzeliłem w górę; wtedy ujrzałem ją nadlatującą. Odzież furkotała, spowijając całą jej postać, wiatr łagodnie unosił ciężkie warkoczki.

Złapała mnie i ucałowała. Staralem się uspokoić, trzymając się jej i patrząc w dół. Przez szpary w chmurach widziałem góry, pokryte śniegiem i oslepiające w blasku księżyca, z wielkimi sinymi zboczami ginącymi w głębokich kotlinach niezglebionego śniegu.

- Podnies mnie teraz - szepnela mi do ucha. - Zanies mnie na północny zachód.

- Nie wiem, gdzie to jest.

- Alez wiesz. Ciało wie. Twój umysł. Nie pytaj gdzie. Powiedz im, że to tam, dokąd pragniesz się udać. Znasz zasady. Kiedy poderwałeś swoją strzelbę i patrzyłeś na biegnącego wilka, nie obliczałeś dystansu ani szybkości kuli; strzeliłeś, a wilk padł.

Znów uniosłem się z tą samą niewiarygodną pewnością siebie, a potem zdałem sobie sprawę, że Akasza zaciążyła mi w ramionach.

Nie spuszczała ze mnie wzroku, ponaglając do dalszej podróży. Uśmiechnąłem się, a może się rozesmiałem. Uniosłem ją i ucałowałem, kontynuując nieprzerwany wzlot. Ku północnemu zachodowi - rozkazałem sobie. To jest na prawo, jeszcze raz na prawo i wyżej. Mój umysł wiedział o tym, znalazł terytorium, nad którym się przemieszczaliśmy. Zrobiłem ciasny zreczny zwrot, a potem następny; obracałem się, przyciskając ją do siebie, wręcz zachwycony cieżarem jej ciała i naporem piersi. Jej usta znów delikatnie spoczyły na moich.

- Słyszysz? - zapytała, przysuwając je do mojego ucha.

Śluchałem; początkowo wiatr wymazywał wszystko, a potem dobiegł mnie głuchy chór z ziemi, monotonny śpiew ludzkich gardel. Słyszałem modlitwy w jakimś azjatyckim języku, najpierw z niesłychanej dali, a potem z bardzo bliska. Rozróżniłem dwa dźwięki. Pierwszy wydawała długa procesja wiernych śpiewających dla dodania sobie ducha, mimo znużenia i zimna brnących przez górskie przełęcz i zbocza. A z wnętrza jakiegoś budynku dochodził głosny ekstatyczny chór, zawodzacy bez opamiętania, zagłuszający brzęk cymbalów i łomot bebnów.

Przytulilem jej głowę do siebie i spojrzałem w dół, ale chmury zamieniły się w gęsty biały pokrowiec. Mimo to za pośrednictwem umysłów wiernych widziałem roziskrzony dziedziniec i świątynie o marmurowych lukach i rozległych wymalowanych pomieszczeniach. Procesja wiała się w kierunku świątyni.

- Chce to zobaczyć! - powiedziałem. Nie odpowiedziała, ale też nie zatrzymała mnie, kiedy zanurkowałem w dół, wyciągając się w powietrzu jak lecący ptak i opadając bez ustanku, aż znaleźliśmy się w środku chmur. Znów stała się lekka, jakby nic nie ważyła.

Kiedy opuściliśmy morze bieli, zobaczyłem w dole, na pagórkowatym terenie pod kretymi murami, połyskliwą świątynię, jakby miniaturowy gliniany model samej siebie. Smród płonących ciał unosił się ze stosów pogrzebowych. Ku temu skupisku dachów i wież jak okiem sięgnąć szli górkami niebezpiecznymi ścieżkami mężczyźni i kobiety.

- Powiedz mi, kto jest w środku, mój księżo - rozkazała. - Powiedz mi, kto jest bogiem tej świątyni.

Zobacz! - wydałem w myślach rozkaz. - Zbliż się.

Stara sztuczka, ale natychmiast zacząłem spadać. Wrzasnąłem straszliwie. Złapała mnie.

- Uważaj, mój księżo - napomniła mnie, przytrzymując.

Myslałem, że serce mi peknie.

- Nie mozesz opuscic ciala, by zajrzec do swiatyni, i równocześnie leciec. Spójrz oczami smiertelnych, jak to robiles przedtem.

Nadal sie trzaslem, sciskajac ja kurczowo.

- Jesli sie nie uspokoisz, znowu cie puszcze - rzekla lagodnie. - Powiedz swojemu sercu, czego chcesz.

Westchnalem ciezko. Nagle poczulem ból calego ciala, spowodowany sila wiatru. Oczy znów piekly mnie mocno i nic nie widzialem. Staralem sie pokonac te drobne dolegliwosci lub raczej zignorowac je, jakby nie istnialy. Zlapalem ja mocno i ruszyłem w dół, powiadajac sobie, ze ma sie to odbywac powoli, a potem jeszcze raz spróbowalem odnalezc umysly smiertelnych. Wtedy zobaczyłem to, co oni widzieli: zlocone sciany, zdobione luki, wszystkie powierzchnie pyszniace sie dekoracjami; poczulem won kadzidel zmieszana z zapachem swiezej krwi. W niewyraźnych przeblyskach ujrzałem jego, „boga swiatyni”.

- Wampir - szepnałem. - Ssacy krew wampir. Przyciaga ich do siebie i morduje, kiedy mu sie spodoba. Ten palac cuchnie smiercia.

- Bedzie tu wiecej smierci - szepnela, calujac czule moja twarz. - Teraz bardzo szybko, tak szybko, zeby oczy smiertelnych nie zdazyly cie dojrzec. Sprowadz nas na dół, na dziedziniec obok stosu pogrzebowego.

Przysiegam, stalo sie to, zanim podjalem decyzje; wystarczylo mi zaledwie rozwazyc te mysl! Juz uderzałem o szorstka gipsowa sciane, juz mialem pod stopami twarde kamienie; bydłem cały rozdygotany; w glowie mi sie krecilo, wnetrzności skrecaly sie z bólu. Ciało chcialo nadal spadac przez zwarta skale.

Osuwajac sie pod sciana, uslyszalem spiewy, zanim cokolwiek ujrzałem. Czulem zapach ognisk i plonacych trupów; potem zobaczyłem plomienie.

- To bylo bardzo niezdarne, mój ksiaze - rzekla lagodnie. - O malo nie uderzyliśmy w mur.

- Nie wiem dokladnie, co sie wydarzylo.

- Ach, oto klucz - powiedziala - slowo „dokladnie”. Duch w tobie wypelni polecenia szybko i do konca. Zastanów sie nad tym. Kiedy spadasz, nie przestajesz slyszec i widziec; nastepuje to po prostu szybciej, niz sadzisz. Czy wiesz, która reguła mechaniki sprawia, ze mozesz pstryknac palcami? Nie, nie wiesz. A jednak potrafisz; to zrobic. Nawet dziecko to potrafi.

Skinalem glowa. Zasada byla jasna jak slonce.

- To jedynie sprawa stopniowania - powiedzialem.

- Oraz poddania sie, wyzbytego strachu poddania.

Skinalem glowa. Prawde mówiac, chcialem pasc na miekkie loze i spac. Zamrugalem na widok buchajacego wysoko ognia i cial czerniejacych w plomieniach. Jedno z nich nie bylo martwe; ujrzałem unoszace sie ramie i zacisniete palce. Biedaczysko. Juz po wszystkim.

Musnela mnie dlonia po policzku. Dotknela ust, wygladzila zmierzwióne wlosy.

- Nigdy nie miałes nauczyciela, prawda? - zapytała. - Magnus osierocił cie w dniu stworzenia, ojciec i bracia byli durniami, a twoja matka nie cierpiała swoich dzieci.

- Zawsze byłem sam sobie nauczycielem - rzekłem sucho. - I muszę wyznac, że zawsze byłem też swoim ulubionym uczniem.

Smiech.

- Może był jakiś mały spisek między uczniem i nauczycielem. Sam jednak przyznales, że nigdy nie było nikogo innego.

Uśmiechała się do mnie. W jej oczach igrał ogień. Twarz miała świetlista, przerażająco piękna.

- Poddaj się - powiedziała. - Nauczę cie rzeczy, o jakich nigdy ci się nie śniło. Nigdy nie poznales bitwy. Prawdziwej bitwy. Nigdy nie zasmakowałeś czystości słusznej sprawy.

Nie odpowiedziałem. Czulem zawroty głowy, nie tylko z racji długiej podróży w powietrzu, ale także pod wpływem łagodnej pieszczoty jej słów i bezdennej czerni oczu. Miało się wrażenie, że źródłem jej urody jest słodycz i spokój nieruchomego spojrzenia, nawet wtedy, kiedy rysy tej polyskliwej białej twarzy zmieniły się nagle w uśmiechu lub pod wpływem subtelnej wzburzenia. Wiedziałem, że jeśli na to pozwolę, niebawem będę przerażony rozwojem wydarzeń. Ona z pewnością o tym wiedziała. Znowu wzięła mnie w ramiona.

- Pij, księżo - szepnęła. - Nabierz sił, które musisz mieć, które nakazuje ci mieć.

Nie wiem, jak długo to trwało. Kiedy się odsunęła, byłem przez chwilę otumaniony, potem jasność zatriumfowała jak zwykle. Monotonna muzyka wciąż dudniła za ścianami świątyni.

- Azim! Azim! Azim!

Kiedy pociągnęła mnie za sobą, wydawało mi się, że moje ciało istnieje już tylko we wspomnieniu. Zdawałem sobie sprawę z tego, że mam twarz, kości, jakiegoś materialnego „ja”; ale ta skóra, to doznanie! Były kompletnie nowe. Co ze mnie zostało?

Drewniane drzwi otworzyły się przed nami jak zaczarowane. Bezszelestnie wkroczyliśmy do długiego korytarza z białymi marmurowymi pilastrami i ozdobnymi lukami, stanowiącego jedynie obrzeże gigantycznej sali. Wypełniali ją oszaleli, wrzeszczący wierni, którzy nawet nas nie czując ani nie dostrzegając naszej obecności, dalej tanczyli, śpiewali, podskakiwali w nadziei, że ujrza swojego jednego jedyne boga.

- Trzymaj się mojego boku, Lestacie - powiedziała. Jej głos przeszył upiorna wrzawa, jakby dotknęła mnie aksamitna rekawiczka.

Tłum rozdzielił się gwałtownie, rozepchnięty na prawo i lewo. Wrzaski natychmiast zastąpiły śpiewy; w sali zapanował chaos, kiedy przed nami otworzyła się ścieżka wiodąca ku środkowi pomieszczenia. Cymbały i bębny zamilkły; otoczyły nas jęki i zduszone, żalose okrzyki.

Rozszedł się jeden wielki szmer zachwyty. To Akasza wystąpiła na otwartą przestrzeń i odrzuciła czarny welon.

Wiele metrów dalej, na środku ozdobnej posadzki, stał krwawy bóg, Azim, odziany w czarny jedwabny

turban i szate obsypana klejnotami. Kiedy spojrzal na Akasze i na mnie, wscieklosc wykrzywila mu twarz.

Rozlegly sie modlitwy; chrapliwy glos zaintonowal hymn ku czci „wiecznej macierzy”.

- Milczec! - rozkazal Azim. Nie znalazem tego jezyka, ale rozumialem, co mowil.

W jego glosie slyszalem odglos ludzkiej krwi; widzialem, jak mknie jego zylami. W istocie nigdy nie spotkalem wampira ani nawet zwyczajnego krwiopijcy tak opitego krwia; z pewnoscia dorównywal wiekiem Mariuszowi, jednakze jego skóra miala ciemnozloty polysk. Caly byl pokryty cienka warstewka krwi.

- Jak smialas wejsc do mojej swiatyni! - powiedzial; nie mialem pojecia, w jakim jezyku przemawia, ale telepatia znów sprawila, ze znakomicie go rozumialem.

- Teraz umrzesz! - rzekla Akasza nieskonczenie lagodnym tonem. - Ty, który zwiodles tych niewinnych biedaków, który pasles sie ich zyciem i krwia jak speczniala pijawka.

Z tlumu rozlegly sie wrzaski wiernych blagajace o litosc. Azim powtórnie nakazal im milczenie.

- Jakim prawem potepiasz mój kult - zawolal, wskazujac nas palcem - ty, która milczalas, siedzac na tronie od poczatku czasu.

- Czas nie zaczal sie wraz z toba, mój przeklety pieknisiu - odparla Akasza. - Bylam stara, kiedy sie urodziles. Teraz powstalalam, aby rzadzic tak, jak bylo mi sadzone, a ty umrzesz, zeby twój lud mial nauczke. Jesteś moim pierwszym wielkim meczennikiem. Umrzesz w tej chwili!

Usilowal podbiec do niej, a ja próbowałem stanac miedzy nimi; wszystko jednak nastapilo tak szybko, ze nawet wzrok za tym nie nadazal. Zlapala go jakimś niewidzialnym sposobem i cisnela przed siebie. Azim przeslizgnal sie po marmurowej posadzce i zachwial, niemal padajac, a potem zatanczyl, lapiac równowage.

Z jego gardla wydobyl sie charkot i krzyk. Najpierw zapalilo sie jego odzienie, a potem dym wzbil sie z niego samego, siny, cienki, wijacy sie w mroku. Przerazony tłum zaczal wyc i piszczec, a Azim wil sie, pozerany przez plomienie. Nagle wyprostowal sie, wbil w nia spojrzenie i rzucil sie ku niej z wyciagnietymi rekami.

Chcialem ja oslonic własnym ciałem, ale szybkim ruchem reki pchnela mnie w ludzki rój. Znalazlem sie wśród półnagich ciał, usuwajacych mi sie z drogi, kiedy lapalem równowage.

Po chwili ujrzałem go skulonego niecaly metr od niej, bryzgajacego slina i usilujacego pokonac jakas niewidzialna i niezwyeczona moc, która bronila mu do niej dostepu.

- Gin, przeklety! - zawolala. - Idz w czelusc zatracenia, która teraz dla ciebie tworze.

Glowa Azima rozpekla sie. Ze zgruchotanej czaszki buchnely dym i plomienie. Jego oczy szernialy, a cale cialo zaplonelo w jednym blysku. Padl, zachowujac ludzkie ksztalty, grozac jej piesciami i podwijajac nogi, jakby zamierzal znów sie podniesc. Potem jego postac znikla w wielkim oranzowym blysku.

Panika opanowal tłum, tak jak wtedy, na koncercie, kiedy wybuchly plomienie, a Gabriela, Louis i ja

uciekliśmy.

Jednak tu histeria była znacznie groźniejsza. Ciała rozbijały się o wysmukłe marmurowe pilastry. Ci, którzy upadli, byli natychmiast miażdżeni przez tłum pedzący do drzwi.

Akasza wykonała pełny obrót, jej ubiór uniósł się w krótkim tancu czarnych i białych jedwabi, a ludzie padali w konwulsjach na podłogę, jakby powaleni niewidzialną dlonią. Kobiety patrzące na powalone ofiary wyły i rwały włosy z głowy.

Niemal natychmiast pojalem, co się dzieje. Zabijała mężczyzn, nie ogniem, lecz jakimś niewidzialnym uderzeniem w główne narządy. Kiedy gineli, krew tryskała im uszami i oczami. Kilka rozwścieczonych kobiet rzuciło się na nią, ale spotkał je identyczny los. Atakujący mężczyźni gineli natychmiast.

Wtedy usłyszałem w głowie jej głos:

- Zabij ich, Lestacie. Wybij samców do nogi.

Byłem sparalizowany. Stałem obok niej, na wypadek, gdyby któryś się zbliżył. Byli jednak bez szans; oglądałem coś gorszego niż senna zmora, niż te głupie koszmary, w których uczestniczyłem przez całe moje przekleśne życie.

Nagle znów stała przede mną, sciskając mnie za ramiona. Jej miękki głos był jedynym dźwiękiem, który opływał mój mózg:

- Mój księżo, miłości moja. Zrobisz to dla mnie. Wybij samców, tak by legenda o tym, jak zostali ukarani, przerosła legendę tej świątyni. To kaci krwawego boga. Kobiety są bezradne. Ukaz samców w moim imieniu.

- Och, proszę, nie zadaj tego ode mnie - szepnałem. - To nieszczęśni ludzie!

Tłum stracił ducha. Ci, którzy uciekli na tylny dziedziniec, znaleźli się w pułapce. Trupy leżały wszędzie wokół nas, podczas gdy nieswiadoma niczego masa u bram wydawała złośliwe okrzyki.

- Akaszo, proszę, pozwól im odejść - powiedziałem. Czy kiedykolwiek w życiu błagałem o coś tak jak teraz? Co to biedne istoty miały z nami wspólnego?

Przysunęła się bliżej. Jej czarne oczy zasłoniły mi cały świat.

- Miłości moja, to boska wojna. Nie obrzydliwe karmienie się ludzkim życiem, jak robiles noc po nocy, bez planu i żadnego powodu poza chęcią przetrwania. Teraz zabijaj w moim imieniu i dla mojej sprawy; daje ci największą wolność, jaką kiedykolwiek otrzymał człowiek: mówię ci, że zabijanie twoich śmiertelnych braci jest słuszne. Użyj nowej mocy, która ci dałam. Wybieraj ofiary jedna po drugiej, używaj niewidzialnej mocy lub siły rak.

W głowie mi wirowało. Czy miałem taką moc, by wybić mężczyzn tu, na miejscu? Rozejrzałem się po zadymionej sali, pełnej woni kadzidel wzbijającej się z czar oraz skotlowanych ciał. Ogarnięci zgrozą mężczyźni i kobiety szukali ratunku we wzajemnych objęciach; inni wczolgiwali się w katy, jakby mogli tam być bezpieczni.

- Ich życie nie ma już sensu, może tylko posłużyć innym za nauczki - powiedziała. - Czyn, jak rozkazuje.

Wtedy chyba miałem wizję; z pewnością bowiem nie było to nic płynącego z mojego serca lub umysłu; ujrzałem przed sobą cienką wysuszoną postać; zagryzłem zęby, przesywając ją wzrokiem, koncentrując zacieklność i złość jak promień lasera, a wtedy ofiara uniosła się nad podłogą i przeleciała w tył, bryzgając krwią z ust i bez życia padła na podłogę. To było jak spazm, a równocześnie nastąpiło bez wysiłku, jak krzyk, jak niewidzialne i potężne przerzucenie głosu nad wielką przestrzenią. Słyszałem w głowie głos:

- Tak, zabij ich. Mierz w czułe organy; rozszarpuj ich; wytaczaj z nich krew. Wiesz, że zawsze tego chciales. Zabijaj, jakby byli niczym, niszczyć bez skrupułów i wahania!

To była prawda, całkowita prawda; ale było to też zakazane, zakazane jak nic na świecie...

Znów ten bezcielesny głos:

- Miłości moja, to tak powszechne jak glód; tak powszechne jak czas. Teraz masz moja moc i mój rozkaz. Ja i ty wyznaczymy kres tej zadzy za pomocą naszych czynów.

Młody człowiek runął na mnie oszalały, wyciągając dłonie, by złapać mnie za gardło.

- Zabij go - powiedział głos Akaszy w mojej głowie.

Przeklinał mnie, kiedy odepchnąłem go niewidzialną mocą, czując spazm głęboko w gardle i brzuchu, a potem nagły ucisk w skroniach; czułem, jak to go dotyka, jak wylewa się ze mnie, czułem to tak namacalnie, jakbym przenikał mu czaszkę palcami i wyciskał mózg. Oglądanie tego byłoby obrzydliwe, ale nie było takiej potrzeby. Wystarczyło mi tylko, że widziałem, jak krew bucha mu z ust i z uszu i jak spływa po nagim torsie.

Och, miała rację, jak zawsze, bo pragnąłem tego bez opamiętania! Marzyłem o tym w moich najwcześniejszych śmiertelnych latach! Sama czysta rozkosz zabijania, zabijania ich pod wszystkimi imionami, które brzmiały jednakowo - nieprzyjacieli - zabijania tych, którzy na to zasługiwali, tych, którzy po to się rodzą, zabijania z pełną mocą, podczas gdy moje ciało zamieniało się w jeden twardy mięsień, zęby były zacisnięte, a nienawistna i niewidzialna siła stapiała się w jedno.

Pierzchali we wszystkich kierunkach, ale to tym bardziej mnie rozplomieniło. Przyciągałem ich z powrotem, rozbijałem o ściany. Mierzyłem niewidzialnym jeżozem w serca i słyszałem, jak pekają. Obracałem się wokół nie raz i nie dwa, celując starannie, jednocześnie w tego i w tamtego, i w jeszcze jednego, który biegł przez próg, i w jeszcze jednego, który pedził korytarzem, i w jeszcze jednego, który zerwał lampę z lancuchów, głupiec, i rzucił we mnie.

Z odświeżającą łatwością gonili ich po odległych komnatach świątyni, po stosach złota i srebra, rzucałem ich na plecy jakby długimi niewidzialnymi palcami, a potem zaciskałem je na ich arteriach, aż krew tryskała z pekających ciał.

Część kobiet zbiła się w kłębki i lkała; inne uciekły. Depcząc po trupach, słyszałem trzask kości. Zdałem sobie sprawę, że ona też zabija, że robimy to razem i że sala jest pełna kalek i umarłych. Gesty, cuchnący odór krwi przenikał wszystko; wszędzie rozlegały się słabnące, rozpaczliwe krzyki.

Jakiś wielkolud runął na mnie z wybaluszonymi oczami i usiłował mnie zatrzymać wielkim, krzywym mieczem. Rozwścieczony wyrwałem mu ość i odrabiałem głowę. Ostrze przeszło przez kość, pekając, po czym głowa oraz złamana klinga upadły u moich stóp.

Kopniem utorowałem sobie drogę. Wyszedłem na korytarz i spojrzałem na tych, którzy cofali się przede mną, ogarnięci grozą. Postradałem sprawność umysłu, postradałem sumienie. Gonięcie ofiar stało się bezmyślną zabawą. Osaczałem ich, odrzucałem kobiety, za którymi się chowali lub które same podjęły żalosne próby osłonięcia ich, i kierowałem moc we właściwe miejsce, pompując ją, aż nieruchomieli.

Frontowa brama! Słyszałem wołanie Akaszy. Mezczyźni na dziedzińcu byli martwi; kobiety płakały, rwąc sobie włosy z głów. Szedłem przez ruiny świątyni, mijając płaczki i zmarłych, nad którymi rozpaczaly. Tłum przy wrotach kleczał w śniegu, nieswiadomy tego, co wydarzyło się wewnątrz, i błagał rozpaczliwie.

- Dopuszczcie nas do sali pana, dopuszczcie nas do wizerunku i grodu pana!

Na widok Akaszy uderzyli w jeszcze głośniejszy ton. Kiedy zamki puściły i wrota się rozwarły, wyciągali ręce, by dotknąć jej szat.

Wiatr wyl na przeleczy; dzwon na wieży dzwiczkał pusto, słabo.

Znow ślałem ich pokotem na ziemię, miażdżąc mózgi, serca i arterie. Nawet wiatr cuchnął krwią. Głos Akaszy przebił się przez straszliwy wrzask, nakazując kobietom, by się wycofały.

Zabijałem tak szybko, że przestałem to widzieć. Mezczyźni. Mezczyźni muszą umrzeć. Spieszyłem się ku ostatecznemu rozwiązaniu, żeby każde stworzenie płci męskiej, które się poruszało, drgnęło lub zajęczało, zostało zabite.

Szedłem kretym szlakiem jak anioł z niewidzialnym mieczem. Az wreszcie padli na kolana na całej długości zbocza i czekali na śmierć. Godzili się na nią z upiorną biernością!

Niespodziewanie poczułem jej uścisk, chociaż nie było jej nigdzie w pobliżu. W głowie usłyszałem słowa:

- Dobra robota, mój książe.

Nie mogłem się zatrzymać. To niewidzialne coś stało się teraz częścią mnie samego. Nie mogłem tego cofnąć i ukryć w sobie. Ona jednak uwiezila mnie w bezruchu i wtedy ogarnął mnie wielki spokój, jakby wstrzyknięto mi w żyły narkotyk. Wreszcie się uspokoiłem, moc skupiła się we mnie, stała częścią mnie i niczym więcej.

Odwróciłem się powoli. Popatrzyłem na czyste śnieżne wierzchołki, na idealnie czarne niebo i długie pasmo trupów scielące się na szlaku od wrot świątyni. Kobiety łączyły się jedna do drugiej, łkając i nie wierząc własnym zmysłom albo wydając ciche, straszliwe jęki. Czulem won śmierci jak nigdy dotąd; opuściłem wzrok na strzępki ciała i strugi posoki plamiące moją odzież. A moje ręce! Moje ręce były niezwykle białe i czyste. Nie - pomyślałem - nie zrobiłem tego! Nie ja. Nie zrobiłem tego. Moje ręce są czyste!

Och, ale przecież zrobiłem to! Kimże jestem, jeśli byłem do tego zdolny? Tym, który uwielbiał to robić, uwielbiał wbrew rozsądkowi, uwielbiał, jak ludzie zawsze to uwielbiali, dając do absolutnej wolności wojny...

Wydawało się, że zapadła cisza.

Jesli nawet jakies kobiety plakaly, to ja ich nie slyszalem. Nie slyszalem tez wiatru. Poruszalem sie, chociaz nie wiedzialem jak. Uklaklem i wyciagnalem dlon ku ostatniemu mezczyzynie, którego zabilem, lezaceму na sniegu jak polamana wiazka patyków; przeciagnalem dlonia po zakrwawionych ustach, rozsmarowalem krew na rekach i przycisnalem je do twarzy.

Przez dwiescie lat nie zdarzylo mi sie zabic i nie posmakowac krwi, nie wziac jej w siebie razem z zyciem. To straszny czyn. W ciagu tych upiornych chwil umarło więcej, niż kiedykolwiek poslałem do przedwczesnych grobów. Stalo sie to tak latwo, jak sie myśli i oddycha. Och, zadna pokuta tego nie wymaze! Zadne usprawiedliwienie nie zatrze!

Stalem wpatrzony w swe zakrwawione palce i w snieg; lkalem, chociaz jednoczesnie bylem na siebie wsciekly. Po pewnym czasie zdalem sobie sprawe, ze nastapila jakas zmiana. Cos dzialo sie wokół mnie i mialem takie wrazenie, jakby zimne powietrze sie ogrzalo, a wiatr ucichl i zostawil w spokoju strome zbocze.

Zmiana objela również mnie, lagodzac niepokój i nawet spowalniajac bicie serca.

Placze ustaly! Kobiety szly dwójkami i trójkami w dół szlaku, jakby w transie, mijajac umarłych. Mozna by pomyslec, ze rozlega sie slodka muzyka i ziemia nagle obrodzila wiosennym kwieciem wszelkiego koloru i ksztaltu, a powietrze stalo sie wonne ponad wszelkie wyobrazenie.

Jednak czy naprawde nic sie nie stalo? Kobiety mijaly mnie w poblasku przygaszonych kolorów, w szmatach i jedwabiach, w ciemnych plaszczach. Otrzasnalem sie. Musialem myslec trzezwo! Nie czas na dezorientacje. Ta moc i te trupy nie byly snem i nie moglem, nie moglem poddac sie przemoznemu ukojeniu i spokojowi.

- Akaszo! - szepnalem.

Podnioslem wzrok, nie dlatego ze chcialem, ale dlatego, ze musialem, i ujrzałem ja stojaca na dalekim wzniesieniu, a kobiety, mlode i stare, szly ku niej. Niektóre byly tak oslabione z zimna i glodu, ze inne musialy je niesc.

Zapadla cisza.

Akasza bez słów zwróciła sie do zgromadzonych. Moze uzywala ich jezyka, a moze uczynila to inaczej, bez zwiazku z zadnym konkretnym jezykiem. Nie potrafie powiedziec.

Oszolomiony patrzyłem, jak wyciaga ku nim ramiona. Czarne wlosy opadaly jej na plecy, a faldy prostej szaty ledwo sie poruszaly w lekkim wietrze. Nigdy w zyciu nie widzialem czegos równie pieknego jak ona. Jej uroda nie stanowila tylko sumy fizycznych zalet, lecz byla w jej czystym pogodnym spokoju, w samej esencji jej istoty, która dostrzegalem dusza mojej duszy. Kiedy mówila, ogarnela mnie cudowna euforia.

- Nie lekajcie sie - rzekla im. - Nastal kres panowania waszego boga i teraz mozece wrócić ku prawdzie.

Wśród wiernych rozlegly sie ciche hymny. Niektóre kobiety upadly przed nia na kolana. To chyba sprawialo jej przyjemnosc, a z pewnością nie miala nic przeciwko temu.

- Teraz musicie wrócić do wioski - rzekla. - Musicie opowiedziec tym, którzy wiedzieli o bogu krwi, ze umarl. Zniszczyla go królowa niebios i zniszczy ona wszystkich mezczyzn, którzy nadal w niego wierza.

Królowa sprowadzi na ziemię nowe panowanie pokoju. Śmierć czeka tych mężczyzn, którzy znęcali się nad wami, ale musicie poczekać na mój znak.

Kiedy przerwała, znów rozległy się hymny o Królowej Niebios, Bogini, Dobrej Matce. Stara liturgiczna pieśń śpiewana w tysiącach języków na całym świecie znajdowała nową formę.

Otrzasnałem się. Zrobiłem to świadomie. Musiałem zrozumieć ten urok! To była sztuczka mocy, tak jak zabijanie było sztuczka mocy - czymś definiowalnym i dającym się zmierzyć, a jednak nadal czułem się odurzony jej widokiem, hymnami, pieszczącym uściskiem tego uczucia, że wszystko jest dobrze, wszystko jest takie, jak być powinno. Wszyscy jesteśmy bezpieczni.

Z rozjasnionych słońcem głębokich pokładów śmiertelnej pamięci powrócił dzień podobny do wielu innych wcześniej, kiedy w maju w naszej wiosce koronowaliśmy posazek Maryi Dziewicy wśród rzedów słodko pachnących kwiatów, przy wtórze cudownych pieśni. Ach, cóż to był za uroczy moment, kiedy podnoszono koronę białych lilii i wkładano ją na osłoniętą welonem głowę Maryi. Wieczorem wracałem do domu, śpiewając te hymny. W starej księżeczce do nabożeństwa znalazłem obrazek Dziewicy i napelnił mnie takim zachwytem i cudownym religijnym zapachem, jaki czułem teraz.

Z jeszcze dalszej glebi mojego „ja”, stamtąd, dokąd słońce nigdy nie zajrzało, napłynęła myśl, że jeśli wierze w nią i w to, co mówi, to w takim razie ten czyn, którego nie sposób opisać, ta rzeźnia, której dokonałem na kruchych i bezbronnych śmiertelnych, będzie jakos odkupiona.

„Teraz zabijaj w moim imieniu i dla mojej sprawy; daję ci największą wolność, jaką kiedykolwiek otrzymał człowiek: mówię ci, że zabijanie twoich śmiertelnych braci jest słuszne”.

- Idźcie - rzekła. - Opuszcacie na zawsze świątynię. Zostawcie zmarłych śniegowi i wiatrowi. Powiedzcie ludziom, że nadchodzi nowa era, w której mężczyźni, którzy sławią śmierć i zabijanie, zbiorą swoje żniwo; a era pokoju będzie wasza. Wróćcie do was. Wskażę wam drogę. Oczekujcie mojego przyjścia. Wtedy powiem wam, co musicie uczynić. Na razie wierzcie we mnie i w to, co ujrzałyście. I powiedzcie innym, by też uwierzyli. Niech mężczyźni przybędą i ujrzą to, o czym im opowiecie, a wy czekajcie na znaki ode mnie.

Ruszyły razem, aby spełnić jej polecenie; zbiegły górskim szlakiem ku wiernym, którzy uciekli przed masakrą; ich wołania - przenikliwe i ekstatyczne - rozległy się w śnieżnej pustce.

Wysoko na wzgórzu dzwonnicy wydal kolejny głuchy dźwięk. Wiejący w dolinie wiatr szarpał skąpym odzieniem umarłych. Zaczął padać śnieg; stopniowo gestniał, zakrywając brązowe kończyny i twarze, twarze z otwartymi oczami.

Dobre samopoczucie odpłynęło. Trzeba było stanąć twarzą w twarz z ponurą rzeczywistością. Te kobiety, to nawiedzenie... Trupy na śniegu! Niezaprzeczalne dowody mocy, niszczycielskiej i niepowstrzymanej.

Lagodny dźwięk zlamal ciszę; to był odgłos przedmiotów roztrzaskujących się w wyniosłej świątyni, spadających i pekających na kawałki.

Pekające dzwony z oliwą, przewracały się kadzielnice. Ogień rozprzestrzeniał się z cichym szeplem. Wreszcie ujrzałem dym, gesty, czarny, bijący z dzwonnicy i znad całego tylnego muru.

Dzwonnica zadrzała; wielki huk odbił się echem od dalekich skalnych zboczy; a potem posypały się glazy i dzwonnica runęła w dolinę, a dzwonek z ostatnim uderzeniem serca znikł w puszystej białej

przepasci.

Ogien pozarł swiatynie.

Nie mogłem oderwać od niej oczu, chociaż zachodziły mi łzami od dymu pedzonego w dół szlaku wraz z drobinami popiołu i sadzy.

Mimo padającego sniegu nie było mi zimno. Nie byłem też wyczerpany po trudzie zabijania. Natomiast moje ciało stało się bielsze niż kiedykolwiek. Nabierałem powietrza tak umiejętnie, że nie słyszałem swojego oddechu; nawet serce było mi łagodniej, równiej. Tylko dusza była posiniaczona i obolała.

Po raz pierwszy w życiu, zarówno śmiertelnym, jak i niesmiertelnym, bałem się, że mogę umrzeć. Obawiałem się, że ona może mnie zniszczyć, i to nie bez powodu, gdyż wiedziałem, że już nigdy nie powtórze tego, co zrobiłem. Nie mogłem być częścią jej planu. Modliłem się, żebym nie był do tego zmuszony, żebym miał siłę odmówić.

Poczulem jej dłonie na moich ramionach.

- Odwróć się i spójrz na mnie, Lestacie - rzekła.

Wykonałem jej polecenie. Oto miałem przed sobą najbardziej uwodzicielskie piękno, jakie kiedykolwiek wiedziałem.

- Jestem twoja, miłości moja - mówiła bez słów. - Jesteś moim jedynym towarzyszem, moim najdoskonalszym instrumentem. Wiesz o tym, czyż nie tak?

Znów przywołałem na pomoc rozsadek. Gdzie jesteś, Lestacie! Czy zamierzasz uchylic się przed utworzeniem swojego serca?

- Akaszo, pomóż mi - szepnałem. - Powiedz mi, czemu chciałaś, żebym zabijał? Co miały znaczyć tamte słowa, że mężczyźni będą ukarani? Że na ziemi zapanuje pokój? - Jakże głupio brzmiały moje słowa. Patrzac w jej oczy, nadal wierzyłem, że jest boginia. Miałem wrażenie, że wysysa ze mnie przekonanie o własnej słuszności, jakby to była tylko krew.

Nagle zatrzasłem się ze strachu. Po raz pierwszy odczułem, co znaczy „trząsc się ze strachu”. Wreszcie wyrzuciłem z siebie:

- W imię jakiej moralności?

- W imię mojej moralności! - odpowiedziała, a jej nieznaczny uśmiech był równie piękny jak uprzednio. - Ja stoje za tym wszystkim, ja jestem powodem, usprawiedliwieniem, prawem! - Gniew sprawił, że miała lodowaty głos, ale jej oblicze pozostało nieruchome i słodkie. - Teraz posłuchaj mnie, piękny. Kocham cię. Obudziłeś mnie z długiego snu i dla wielkiej sprawy; wystarczy mi spojrzeć na cię, by zakosztować radości, wystarczy mi zobaczyć światło twoich niebieskich oczu, usłyszeć dźwięk twojego głosu. Widok twojej śmierci sprawiłby mi ból, jakiego nie potrafiłbyś pojąć. Wzywam jednak gwiazdy na świadków, pomożesz mi w mojej misji lub będziesz jedynie instrumentem początku, jak Judasz dla Jezusa Chrystusa. I zniszcze cię, jak Chrystus zniszczył Judasza, kiedy tylko przestaniesz być użyteczny.

Opanowała mnie furia. Nie potrafiłem się powstrzymać. Lek niezwykle szybko przerodził się w gniew, wszystko we mnie wrzało.

- Jak smiesz mówić takie rzeczy! - powiedziałem. - Jak możesz wysyłać te nieswiadome niczego dusze, napoiwszy je szalonymi kłamstwami!

Przypatrywała mi się w milczeniu z posagową twarzą; wydawało się, że mnie zmiecie. Pomyślałem: - No cóż, nastąpiła ta chwila. Umre jak Azim. Nie uratuje Gabrieli ani Louisa. Nie uratuje Armanda. Nie będę walczył, bo to na nic. Nie poruszę się, kiedy to nastąpi. Może zagłębie się mocno w siebie, jeśli będę musiał uciec przed bólem. Znajdzie jakąś iluzję, jak zrobiła to Mala Jenks, i będę się jej kurczowo trzymał, aż przestane być Lestatem.

Nie poruszyła się. Ogień na wzgórzu nadal plonął, a śnieg gestniał.

- Naprawdę nie boisz się niczego? - powiedziała.

- Boję się siebie.

- Och, nie, nie sady.

- Boję się - skinałem głową. - Powiem ci, kim jestem naprawdę. Robakiem na obliczu ziemi. Niczym więcej. Obmierzłym zabójcą ludzkich istot. Ale ja wiem, kim jestem! Nie udaję kogoś innego! Powiedziałas tym nieswiadomym ludziom, że jesteś Królową Niebios! Jak zamierzasz odkupić te słowa i do czego one doprowadza głupie i niewinne umysły?

- Co za arogancja - powiedziała łagodnie. - Co za niewiarygodna arogancja. A mimo to Kocham cię. Kocham twoją odwagę, nawet lekkomyślność, która zawsze była twoim zbawieniem. Kocham nawet twoją głupotę. Nie rozumiesz? Nie ma takiej obietnicy, której bym nie dotrzymała! Ze mną umra mity! Ja jestem Królową Niebios. I niebiosy wreszcie zapanują na ziemi. Wystarczy mi powiedzieć, kim jestem, i tym jestem!

- O Panie, o Boże - szepnałem.

- Nie wymawiaj tych pustych słów. One nigdy nie znaczyły nic dla nikogo! Stoisz w obliczu jedynej bogini, jaką kiedykolwiek znales! Jesteś jedynym bogiem, którego ci ludzie kiedykolwiek poznają! No cóż, teraz musisz myśleć jak bóg, mój piękny. Musisz sięgnąć poza swoje egoistyczne ambicje. Nie pojmujesz, co się stało?

- Nic nie wiem - potrząsnąłem głową. - Wpadam w szalenstwo.

- Jesteśmy spełnieniem ich marzeń, Lestacie. - Rozesmiała się, odrzucając głowę. - Nie możemy ich zawieść. Jeśli to zrobimy, prawda, która żyje ziemią pod naszymi stopami, będzie zdradzona.

Odwróciła się ode mnie. Wróciła na kopczyk przykrytych śniegiem kamieni, na którym stała poprzednio. Patrzyła w dolinę, na szlak wykuty w skale, na powracających pielgrzymów.

Słyszałem krzyki odbijające się echem od góry. Słyszałem mężczyzn umierających tam w dole, kiedy niewidzialna uderzyła ich swoją mocą, wielką, uwodzicielską mocą. Słyszałem kobiety bredzące o cudach i wizjach. A potem podniósł się wielki, obojętny wiatr, pochłaniając wszystko. Przez chwilę widziałem jej polyskliwą twarz. Podeszła ku mnie. Pomyślałem, że to znowu nadchodzi śmierć, że wracają wilki i że nie mam się gdzie schować; wtedy zamknąłem oczy.

* * *

Kiedy sie obudzilem, bylem w malym domu. Nie wiedzialem, jak sie tam znalazlem ani kiedy odbyla sie rzez w górach. Zatonalem w glosach i od czasu do czasu nachodzil mnie sen, straszliwy, a jednak znajomy sen. W tym snie widzialem dwie rude kobiety. Kleczaly przy oltarzu, na którym zlozono trupa w oczekiwaniu na jakis rytual, jakis bardzo wazny obrzed. Rozpaczliwie staralem sie zrozumiec sens snu, wydawalo mi sie bowiem, ze wszystko od tego zalezy; nie wolno mi go bylo znowu zapomniec.

Jednak po chwili wszystko sie rozplynelo. Pojawily sie glosy i niechciane obrazy; rzeczywistosc byla zbyt natretna.

Lezalem w ciemnym i brudnym pomieszczeniu pelnym plugawych woni. Wszystkie rudery wokól byly zamieszkane przez wynedznialych smiertelnych, zyjacych z dziecmi placzacymi z glodu, wśród smrodu smazonych ryb i przypalonego tluszczu.

Toczyła sie tam wojna, nie pogrom na górskim stoku, ale prawdziwa, staromodna dwudziestowieczna wojna. Z umysłów cierpiacych wychwytywalem obrazy czepiajace sie pamieci jak lepki sluz - nie konczaca sie panorame rzezi i zagrozenia - spalone autobusy, ludzie uwiezieni w srodku i tlukacy w okna, eksplodujace ciezarówki, kobiety i dzieci uciekajace przed ogniem karabinów maszynowych.

Lezalem na podlodze, jakby ktos mnie tam cisnal. Akasza stala w drzwiach, ciasno owinieta peleryna az po same oczy, wytezajac oczy w mroku.

Kiedy wstalem i podeszedlem do niej, zobaczylem blotnista uliczke pelna kaluz i szereg ruder, z których czesc przykryto blaszanymi dachami, a inne zaledwie namoknietymi gazetami. Pod scianami spali brudni ludzie, od stóp do głów otuleni w szmaty, jakby w caluny. To nie byli umarli i szczury, przed którymi sie bronili, wiedzialy o tym. Szczury skubaly zawoje, a ludzie rzucali sie i dygotali przez sen.

Bylo goraco i zar potegowal panujacy smród uryny, odchodów, wymiocin umierajacych dzieci. Czulem nawet glód tych malenstw, placzacych w spazmach. Czulem gleboki morski zapach rynsztoków i dolów kloacznych.

To nie byla wioska, a tylko skupisko chat i szop. Trupy lezaly miedzy ruderami. Szerzyla sie zaraza... Starcy i chorzy siedzieli w ciemnosci, milczac, nie sniac o niczym lub byc moze o smierci, czyli również o nicosci, podczas gdy dzieci plakaly.

Z uliczki przywleklo sie male dziecko z wzdetym brzuchem, rozkrzyczane i pocierajace drobna piastka spuchniete oko.

Chyba nie zauwazylo nas w ciemnosci. Szlo od drzwi do drzwi, coraz dalej, jego gladka brazowa skóra lsnila w slabych blyskach kuchennych ognisk.

- Gdzie jestesmy? - spytalem.

Kiedy odwrócila sie i lagodnie pogladzila mnie po glowie i po twarzy, bylem zaskoczony. Poczulem ulge. Jednak cierpienia, na które patrzyłem, byly zbyt wielkie, zeby ta ulga mogla miec znaczenie. A wiec Akasza mnie nie zniszczyla; przywiodla mnie do piekla. W jakim celu? Wszedzie wokól czulem nedze i rozpacz. Co moglo odmienic cierpienia tych biedaków?

- Mój biedny wojowniku - powiedziala. Oczy miala pelne krwawych lez. - Nie wiesz, gdzie jestesmy? Czy mam ci wyrecytowac litanie tych nazw? - Mówila powoli, z ustami przy moim uchu. - Kalkuta, jesli

sobie zyczysz, lub Etiopia czy też ulice Bombaju; te biedne dusze mogą być wiesniakami z Cejlonu, Pakistanu lub Nikaragui. Nie ma znaczenia, co to jest; ważne, ile tego jest, ważne, że istnieje wokół oaz waszych lśniących zachodnich miast. To trzy czwarte świata! Otwórz oczy, ukochany, posłuchaj ich modlitw, posłuchaj milczenia tych, którzy nauczyli się nie modlić o nic, bo nicosc zawsze była ich udziałem, bez względu na to, jakie jest imię ich narodu, miasta, plemienia.

Wyszliśmy razem na błotniste ulice; mijaliśmy przymy nawozu i brudne kałuże, głodujące psy i szczury przebiegające drogę. Jaszczurki wily się pośród kamieni. Czern mrowiła się komarami. Włóczył się spali w długim rowie obok pełnego rynsztoka. Dalej, w bagnie, gnily trupy, rozdęte i zapomniane.

Daleka szosa jeździły ciężarówki, ich łomot przeszywał duchotę i zar jak burzowy grom. Nedza i rozpacz tej okolicy zatruwały mnie jak gaz. To był poszarpany skraj Ogrodu Bestii w świecie, w którym nadzieja nie mogła zakwitnąć. To był ściek.

- Co możemy zrobić? - szepnałem. - Czemu tu przybyliśmy? - Znow nie mogłem pozbić myśli w obliczu jej urody, tchnienia współczucia, które nagle mi się udzieliło i sprawiło, że lzy napłynęły mi do oczu.

- Możemy odzyskać świat - powiedziała - tak jak ci mówiłam. Możemy sprawić, że mity stana się rzeczywistością i przyjdzie czas, kiedy to, że ludzie kiedykolwiek zaznali takiego ponizenia, stanie się tylko mitem. Postaramy się o to, miłości moja.

- Tylko oni mogą temu zaradzić. To nie tylko ich obowiązek, to ich prawo. Jak możemy im pomóc, nie prowadząc zarazem do katastrofy?

- Zadbamy, by do niej nie doszło - rzekła ze spokojem - ale ty wciąż nie rozumiesz. Nie zdajesz sobie sprawy z siły, którą posiadasz. Nic nie może nas zatrzymać. Zastanów się dobrze. Nie jesteś jeszcze gotowy i nie będę więcej ci przymuszać. Kiedy znow będziesz dla mnie zabijał, musisz mi wierzyć bez zastrzeżeń i być przekonany bez zastrzeżeń. Bądź pewien, że cie kocham i wiem, że serce nie może się niczego nauczyć w ciągu jednej nocy. Ucz się jednak - patrz i słuchaj.

Wróciła na ulice. Przez chwilę była jedynie szczupłym kształtem poruszającym się wśród cieni. Nagle usłyszałem, jak w szopach budzi się życie, i zobaczyłem wylaniające się kobiety i dzieci. Spiające postaci zaczęły się poruszać. Cofnąłem się w ciemność.

Dygotałem. Rozpaczliwie chciałem coś zrobić, błagać ją o cierpliwość!

Znow udzieliło mi się wrażenie spokoju, nastrój idealnego szczęścia i znow sygnalem wspomnieniem do francuskiego kościołka z czasów mojego dzieciństwa, do chwili, kiedy zaczęły się śpiewy. Przez lzy ujrzałem rozmigotany ołtarz. Zobaczyłem wizerunek Maryi Dziewicy, jasniejący kwadrat złota nad kwiatami; usłyszałem „Zdrowas Maria”, szeptały, jakby to było zaklecie. Pod lukami Notre Dame usłyszałem księży śpiewających „Salve Regina”.

Jej głos rozbrzmiał czysto, niepowstrzymanie jak poprzednio, jakby rozlegal się w mojej głowie, a do śmiertelnych z pewnością dotarł z tą samą nieodpartą mocą. Sam rozkaz był bez słów; a jego istota była poza wszelką dyskusję - rozpoczyna się nowy porządek, nowy świat, w którym poniewierani i ranni znajdą wreszcie pokój i sprawiedliwość. Kobiety i dzieci zostały wezwane do powstania i zabicia wszystkich mężczyzn w tej wiosce. Wszyscy mężczyźni poza jednym na sto powinni być zabici i wszystkie niemowlęta płci męskiej, poza jednym na sto, również natychmiast miały być zabite. Kiedy się to stanie, na całej ziemi wzdłuż i w szerz zapanuje pokój; nie będzie więcej wojen, zapanuje sytość i dostatek.

Groza spętała mi język i członki. Ogarnięty paniką słyszałem oszalałe wrzaski kobiet. Spiący włóczydzy wokół mnie rozwijali szmaty tylko po to, by natychmiast umrzeć tak, jak na moich oczach umierali mężczyźni w świątyni Azima.

Ulica rozbrzmiewała krzykami. Wśród cieni i błysków widziałem uciekających ludzi, mężczyzn wybiegających z domów i natychmiast padających w błoto. Na drodze ciężarówki stawały w płomieniach, opony puszczaly, kiedy kierowcy tracili panowanie nad kierownicami. Metal wbijał się w metal, wybuchały baki z paliwem; noc była pełna oranżowego światła. Pedzacz od domu do domu, kobiety osaczały mężczyzn i tłukły ich wszystkim, co im wpadło w ręce. Czy to osiedle z szop i ruder widziało kiedyś taką vitalność jak teraz, w imię śmierci?

A ona, Królowa Niebios, uniosła się ponad blaszanymi dachami, wyraźna delikatna postać jasniejaca na tle chmur, jakby była z białego dymu.

Zamknąłem oczy i odwróciłem się do ściany, zaciskając palce na luznym kamieniu. Pomysleć, że ona i ja byliśmy tak materialni jak ten kawałek skały. A jednak nie byliśmy z tego świata. Nigdy. I nie tu było nasze miejsce! Nie mieliśmy prawa.

Nawet płacząc, byłem w słodkim objęciu rzuconego przez nią uroku; miałem słodkie senne wrażenie, że otaczają mnie kwiaty, słyszałem powolną muzykę o nieodparcie zachwycającym rytmie, czułem ciepłe powietrze napływające do płuc; dotykałem starych kamiennych płyt pod stopami.

Przedemną, niczym w doskonałej halucynacji, rozposcierały się łagodne zielone wzgórza - świat bez wojny i nędzy. Kobiety przechadzały się wolne i bez leku, kobiety, które nawet prowokowane, nie uciekają się do gwałtu, tak bliskiego sercu każdego mężczyzny.

Wbrew woli ociągałem się z opuszczeniem tego świata, ignorując łomot ciał padających na mokra ziemię oraz ostatnie przekleństwa i okrzyki zabijanych.

W wielkich sennych przeblaskach widziałem całe miasta przemienione; widziałem ulice wolne od strachu przed bezsensownym zniszczeniem; miasta, gdzie ludzie żyli bez leku i rozpacz. Domy nie były już fortecami; ogrody nie potrzebowały murów.

- Och, Mariuszu, pomóż mi - szepnąłem, a słońce spływało na trzypasmowe jezdnie i nie kończące się zielone pola. - Błagam, błagam, pomóż mi.

Potem wstrząsnęła mną inna wizja, wypierając rzucony urok. Znowu zobaczyłem pola, ale nie było słońca; nie było to żadne realne miejsce. Oglądałem je oczami kogos lub czegoś pedzacego z niewiarygodną prędkością. Ale kim był ów ktoś? Jaki był cel jego wędrówki? Kto wysyłał te wizje, potężna, nie dająca się zignorować? Dlaczego?

Przepadła tak szybko, jak się pojawiła.

Powróciłem pod walącą się arkadę palacu, pomiędzy rozrzucone trupy; patrzyłem przez lukowate wejście na biegnące postaci; słyszałem piskliwe okrzyki zwycięstwa i triumfu.

- Wyjdz, mój wojowniku, abym mogła cię zobaczyć - powiedział mi jej głos. - Chodź do mnie.

Stała przede mną z wyciągniętymi ramionami. Przez chwilę stałem nieruchomy, a potem podszedłem do niej, oszołomiony i posłuszny, czując na sobie pełne czci spojrzenia kobiet. Kiedy zeszlismy się z Akasza,

upadły na kolana. Jej dłonie zacisnęły się zbyt mocno; czułem łomot swego serca. Akaszo, to kłamstwo, straszne kłamstwo - mówiłem do niej w myślach. - Zło tu zasiane będzie kwitło przez wiek.

Nagle świat się zakolysał. Już nie staliśmy na ziemi. Obejmowała mnie i wznosiliśmy się nad blaszane dachy, a kobiety w dole były pokłony i machały rękami, dotykając czołami błota.

- Oto cud, oto Matka, oto Matka i Jej Anioł...

W jednej chwili wioska stała się tylko dalekim skupiskiem srebrnych dachów, a cała ta niedza - zastygła magiczna sztuczka. Po raz kolejny podróżowaliśmy na skrzydłach wiatru.

Obejrzałem się za siebie, próbując rozpoznać miejsce - ciemne bagna, światła pobliskiego miasta, cienki pasek szosy, na której nadal płonęły przewrócone ciężarówki. Ona miała rację, to naprawdę nie miało znaczenia.

Cokolwiek miało się stać, właśnie się zaczęło, i nie wiedziałem, kto mógłby to zatrzymać.

Rozdział czwarty

Rzecz o bliźniaczkach (I)

Kiedy Maharet zamilkła, wszystkie oczy spoczęły na niej. Znowu zaczęła mówić. Słowa płynęły z jej ust spontanicznie, chociaż opowiadała powoli i z namysłem. Nie była smutna, gdyż rekonstrukcja dawnych wydarzeń dawała jej kolejną okazję, by się nad nimi zastanowić.

- Otóż kiedy mówię, że siostra i ja byśmy były czarownicami, mam na myśli to, że odziedziczyliśmy po naszej matce... jak ona odziedziczyła po swojej... moc porozumiewania się z duchami, korzystania z ich usług i w drobnych, i ważnych sprawach. Potrafiłyśmy wyczuć ich obecność... duchy są przeważnie niewidzialne dla ludzkich oczu... i one garnęły się do nas.

Takie osoby jak my były wielce szanowane przez nasz lud, proszono je o rady, cuda i przepowiadanie przyszłości, a czasem o uspokojenie duchów zmarłych.

Byłyśmy uważane za istoty dobre i miałyśmy swoje miejsce w porządku rzeczy.

Jak mi wiadomo, czarownice były zawsze. Teraz też są, chociaż większość z nich nie wie, jaka ma moc i jak jej używać. Ponadto są tak zwani jasnowidze czy media albo nawet detektywi zjawisk nadmysłowych. Ci ludzie, z niepojętych powodów intrygują duchy, które lgną do nich jak muchy do miodu. A chcąc zwrócić ich uwagę, duchy sięgają po wszelkie możliwe sztuczki.

Co do samych duchów, to wiem, że ciekawi was ich natura i właściwości i że żadne z was nie wierzy w opowieść Lestata o tym, jak zostali stworzeni Matka i Ojciec. Nie jestem pewna, czy sam Mariusz w to

wierzył, kiedy opowiadał te stare historie lub kiedy przekazywał ją Lestatowi.

Mariusz skinął głową. Zawsze miał liczne wątpliwości. Maharet poprosiła jednak o cierpliwość.

- Badzcie dla mnie wyrozumiali - powiedziała. - Opowiem wam wszystko, co wiedzieliśmy o duchach, a co pokrywa się z tym, co wiem o nich teraz. Oczywiście, to zrozumiałe, że inni mogą inaczej nazywać te jestestwa. Mogą określać je raczej w poetyce języka nauki, przeciwnie niż ja to czynię.

Duchy zwracały się do nas jedynie telepatycznie. Jak powiedziałam, były niewidzialne, ale wyczuwalne; miały wyraźnie określone osobowości i nasza rodzina czarownic przez wiele pokoleń nadawała im różne imiona.

Odwiecznym zwyczajem czarowników dzieliśmy je na dobre i złe, ale nic nie wskazuje na to, by one same miały poczucie dobra i zła. Złe duchy były otwarcie wrogie wobec ludzi i lubiły platać złośliwe figle, takie jak rzucanie kamieniami, sprowadzanie wiatru i uprzykrzanie życia na inne sposoby. Duchy, które nawiedzają ludzi, są często złe; a te które nawiedzają domy i są nazywane poltergeistami, również należą do tej kategorii.

Dobre duchy potrafiły kochać i zazwyczaj same chciały być kochane. Rzadko zdobywały się na złośliwość z własnej woli. Odpowiadały na pytania związane z przyszłością, opowiadały nam, co dzieje się w odległych miejscach, a dla bardzo potężnych czarownic, takich jak moja siostra i ja, były gotowe wykonać największą i najbardziej wyczerpującą sztukę: potrafiły sprowadzać wiatr.

Jednak jak widzicie, takie określenia jak „dobry” i „zły” nie odnosiły się do istoty tych bytów. Dobre duchy były użyteczne, złe - niebezpieczne i szarpały nerwy. Zwracanie uwagi na złe duchy - zachęcanie ich do pozostania - było dopraszaniem się o nieszczęście, jako że w istocie nie dawały się kontrolować.

Masa dowodów świadczyła o tym, że te tak zwane złe duchy zazdrościły nam jednoczesnego posiadania ciała i duszy, możliwości rozkoszowania się mocami fizycznymi z zachowaniem duchowej umysłowości. Jest bardzo prawdopodobne, że ta cielesno-duchowa mieszanka niezwykle intryguje duchy i jest dla nich magnesem; ale też drażni ona złe duchy, one bowiem chciałyby zaznać rozkoszy cielesnych, a nie mogą. Dobre duchy nie doznają takich przykrości.

Na pytania o ich pochodzenie duchy odpowiadały nam, że istnieją od zawsze. Chwały się, że obserwowały, jak ludzie przemieniali się ze zwierząt w to, czym są teraz. Nie wiedzieliśmy, co chcą osiągnąć takimi uwagami. Myśleliśmy, że żartują albo po prostu kłamią. Ale z drugiej strony badanie ludzkiej ewolucji prowadzi do wniosku, że duchy były świadkiem tego rozwoju. Pytane o swoją naturę - o to, jak zostały stworzone i przez kogo - no cóż... nigdy nie odpowiedziały. Nie sądzę, by rozumiały, o co chodzi. Wydawały się obrażone lub nawet lekko wystraszone, a czasem uznawały całą rzecz za zabawną.

Uważam, że któregoś dnia pojawi się naukowe wytłumaczenie tych zjawisk. Jest to, moim zdaniem, wyrafinowana równowaga materii i energii, tak samo czarodziejska jak elektryczność lub fale radiowe, kwarki lub atomy, czy też głos w słuchawce telefonicznej - zjawiska, które wydawałyby się nadprzyrodzone zaledwie dwadzieścia lat temu. Co prawda, poetyka języka nowoczesnej nauki pomogła mi lepiej je zrozumieć niż jakiegokolwiek filozoficzne narzędzie. Niemniej jednak instynkt sprawia, że trzymam się mojego starego języka.

Mekare utrzymywała, że czasem je widzi i że są to małe materialne rdzenie i wielka ilość wirującej energii, co porównywała do burzy z piorunami i wiatrem. Mówiła, że w morzu pływają stwory ukształtowane równie egzotycznie, a owady też przypominają duchy. Zawsze widziała je noca i nigdy

dłużej niż sekunde, a i to jedynie wtedy, kiedy były rozwscieczone.

Powiadala, że są gigantycznych rozmiarów, ale to samo mówiły i one. Mówiły, że nie potrafimy sobie wyobrazić, jakie są wielkie, ale też uwielbiały się przechwalać. Kiedy się ich słuchało, trzeba było odsiewać ziarno od plew.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że potrafią oddziaływać na świat fizyczny z wielką mocą. Jak inaczej poltergeisty przesuwająby przedmioty? I jak inne duchy ściągająby chmury, by sprowadzić deszcz? Jednakże mimo wielkiej energii, którą dysponują, ich dokonania są bardzo skąpe. Kiedy się to rozumiało, miało się nad nimi kontrolę. Potrafią zrobić tylko tyle i nic więcej i dobra czarownica zawsze doskonale to wiedziała.

Bez względu na to, jaki jest materialny zarys tych istot, nie mają wyraźnych biologicznych potrzeb. Nie starzeją się, nie zmieniają. A klucz pozwalający zrozumieć ich dziecięce i kapryśne usposobienie jest następujący: nie potrzebują niczego robić; poruszają się bez celu, nieswiadome czasu, bo nie mają potrzeby o niego dbać, i robią, na co tylko im przyjdzie ochota. Niewątpliwie widzą nasz świat, będąc jego częścią, ale nie potrafią zgadnąć, jak go widzą.

Nie mam pojęcia, dlaczego czarownice ich fascynują bądź interesują. Ale tak właśnie jest: gdy widzą czarownice, biegną do niej, ujawniają się, a kiedy ta zwróci na nie uwagę, czują się niebywale zaszczycone. Są na rozkazy, aby zdobyć więcej uwagi, a w niektórych przypadkach - miłość.

W miarę zacieśniania się kontaktów są gotowe z miłości do czarownic skupić się na różnych zadaniach. To je wyczerpuje, ale zarazem są wniebowzięte, gdy mogą zrobić na ludziach wrażenie.

Wyobraźcie sobie, ile mają uciechy, słuchając modlitw i próbując na nie odpowiedzieć, krecąc się przy ołtarzach i wywołując gromy po złożeniu ofiary. Kiedy jasnowidz wywołuje ducha zmarłego przodka, by porozmawiał ze swoimi potomkami, są w siódmym niebie, płota, podszywając się pod zmarłego, chociaż oczywiście nim nie są; telepatycznie czerpią informacje z głowy potomków, aby tym bardziej ich zwodzić.

Z pewnością wszyscy znacie wzorzec ich zachowania. Wciąż wygląda tak samo, jak w tamtych czasach. Inna jest jednak postawa ludzi wobec tego, co one robią, i ta różnica ma podstawowe znaczenie.

Kiedy obecnie duch nawiedza dom i wygłasza przepowiednie, korzystając ze strun głosowych pięcioletniego dziecka, nikt w to nie wierzy oprócz naocznych świadków. Nie staje się to podstawą wielkiej religii.

Wygląda na to, że człowiek z czasem uodpornił się na takie zjawiska; być może znalazł się na wyższym szczeblu ewolucji i wyglupy duchów już nie mieszają mu w głowie. A chociaż religie wciąż trwają - stare religie, wyrosłe z bardziej mrocznych epok - szybko tracą wpływ wśród warstw oświeconych.

O tym jednak później. Pozwólcie, że teraz będę nadal opisywać cechy czarownicy, jako że wiąże się to ze mną i moją siostrą oraz z tym, co się nam przytrafiło.

W naszej rodzinie cechy te przechodziły z pokolenia na pokolenie. Może to coś fizycznego, jako że przejawiało się w linii zenskiej i niezmiennie objawiało takimi fizycznymi atrybutami jak zielone oczy i rude włosy. Jak wszyscy wiecie - dowiedziawszy się w taki czy inny sposób od chwili przybycia do tego domu - moje dziecko, Jesse, było czarownicą. Podczas pracy w Talamasce dzięki swym talentom przynosiła spokój ludziom przesładowanym przez duchy i upiory.

Oczywiście, upiory są też duchami. Są to niewatpliwie duchy tych, którzy byli ludźmi; podczas gdy duchy, o których mówię, są czymś zupełnie innym. Jednakże niczego nie można być w tej sprawie zbyt pewnym. Bardzo stary ziemski upiór może zapomnieć, że kiedykolwiek był żywą istotą. Niewykluczone, iż bardzo złośliwe duchy to upiory i dlatego są tak głodne rozkoszy ciała; a kiedy opętają jakąś biedną ludzką istotę, rzygają sprośnościami. Dla nich ciało jest plugastwem i chcą zmusić ludzi, by wierzyli, że erotyczne rozkosze są złem równie jak ono niebezpiecznym i niedobrym.

Tak naprawdę jednak, biorąc pod uwagę skłonność duchów do kłamstwa, nie ma sposobu, by dowiedzieć się, dlaczego postępują tak, a nie inaczej, oczywiście zwłaszcza wtedy, kiedy nie chcą nic powiedzieć. Być może ich obsesja na punkcie erotyki jest zaczerpnięta z umysłów ludzi, którzy zawsze mieli poczucie winy na tym tle.

Wracając do najważniejszej sprawy, w naszej rodzinie to przeważnie kobiety były czarownicami. W innych rodzinach ujawniają się także u mężczyzn czarodziejskie zdolności. Mogą też z jakiegoś niepojętego powodu ujawnić się u kogoś w dojrzałej postaci.

Tak się złożyło, że nasza rodzina była prastarą galezią czarownic. Mogliśmy doszukać się czarownic pięćdziesiąt pokoleń wstecz, do, jak go nazywaliśmy, Czasu Przed Księciem. Oznacza to, że według naszego przekonania żyliśmy w bardzo wczesnym okresie historii ziemi, zanim księżyc pojawił się na nocnym niebie.

Legendy naszego ludu opowiadają o pojawieniu się księżycy i towarzyszących temu powodziach, burzach i trzęsieniach ziemi. Czy tak było naprawdę - nie wiem. Wierzyliśmy, że naszymi świętymi gwiazdami były Plejady czy też Siedem Sióstr, że wszystkie błogosławieństwa pochodzą z tej konstelacji, ale nigdy nie udało mi się dowiedzieć, dlaczego tak było.

Mówię teraz o starych mitach, wierzeniach ludzi żyjących przed moim urodzeniem. A ci, którzy kontaktują się z duchami, są z oczywistych powodów raczej sceptyczni w tych sprawach.

A jednak nauka nawet teraz nie potrafi zaprzeczyć opowieściom o Czasie Przed Księciem ani ich potwierdzić. Pojawienie się księżycy - i wynikłe stąd siły grawitacji - zostało teoretycznie wykorzystane do wyjaśnienia przesunięcia się czap polarnych i przebiegu ostatnich epok lodowcowych. Może jest jakaś prawda w tych starych opowieściach, które pewnego dnia zostaną potwierdzone.

Cokolwiek by się stało, ta gałąź naszej rodziny była stara. Nasza matka była potężną czarownicą, której duchy opowiadały rozliczne tajemnice wyczytane w ludzkich umysłach. Miała wielki wpływ na niespokojne duchy zmarłych.

W Mekare i we mnie jej moc podwoiła się, jak to często bywa z bliźniaczkami. Każda z nas była dwa razy potężniejsza od matki. Jeśli chodzi o moc, którą dysponowaliśmy, to była ona niezmierną. Już leżąc w kołyskach, rozmawialiśmy z duchami. Kiedy się bawiliśmy, one nas otaczały. Jako bliźniaczki stworzyliśmy nasz tajny język, którego nie rozumiała nawet matka. Duchy jednak rozumiały wszystko, co im powiedzieliśmy; potrafiły nawet odpowiadać nam w tym tajnym języku.

Zrozumcie, nie opowiadam tego, żeby się pysznić. To byłoby absurdalne. Opowiadam wam o tym, żebyście pojęli, kim byliśmy dla siebie nawzajem i dla naszego ludu, zanim żołnierze Akaszy i Enkila wkroczyli na nasze ziemie. Chcę, żebyście zrozumieli, dlaczego doszło do tego zła - stworzenia krwiopijców!

Byliśmy wielką rodziną. Zamieszkiwaliśmy jaskinie na Górze Karmel od niepamiętnych czasów. Nasz

lud zawsze budował sadyby w dolinie u stóp góry. Utrzymywał się z wypasu kóz i owiec, czasem polował, uprawiał nieco roślin, z których sporządzało się środki halucynogenne, potrzebne do osiągnięcia transu - to była część naszej religii - i z których wyrabiano się piwo. Scinaliśmy też dziką pszenicę rosnącą wtedy w obfitości.

Nasza wieś tworzyła małe okrągłe chaty z suszonej cegły kryte strzechami, ale inne osady przekształciły się w niewielkie miasta, a do niektórych domów wchodziło się przez dachy.

Nasz lud wyrabiał niezwykle oryginalne garnki, które noszono na targ do Jerycha. Z kolei stamtąd przynoszono lapis-lazuli, kosc słoniowa, kadzidła i zwierciadła z obsydianu oraz podobne wspaniałości. Oczywiście wiedzieliśmy, że jest wiele innych miast, dużych i pięknych jak Jerycho, teraz już pogrzebanych pod ziemią i być może skazanych na wieczną niepamięć.

Byliśmy prostym ludem. Wiedzieliśmy, czym jest pismo, to znaczy znaleźliśmy to pojęcie. Nie używaliśmy go jednak, jako że słowa miały wielką moc i nie odwagaliśmy się zapisywać naszych imion, kłatw ani prawd. Jeśli ktoś znał twoje imię, mógł wezwać duchy, by rzuciły na ciebie kłatwę; mógł opuścić swoje ciało podczas transu i udać się tam, gdzie ty. Kto mógł wiedzieć, jaką moc wkładał w czyjeś ręce, zapisując swoje imię na kamieniu lub papirusie? Nawet dla tych, którzy się nie bali, było to w najwyższym stopniu obrzydliwe.

W wielkich miastach pisma używano powszechnie do utrwalania rozliczeń finansowych, które my oczywiście przechowywaliśmy w pamięci.

Prawdę mówiąc, cała wiedza naszego ludu była przechowywana w pamięci; kapłani ofiarowujący byka bogowi naszego ludu - w którego naprawdę nie wierzyliśmy - przechowywali w pamięci zwyczaje i wiary i uczyli tego młodych kapłanów, słowo w słowo. Oczywiście, także historie rodzin były opowiadane z pamięci.

Malowaliśmy jednakże obrazki; zakrywały one ściany świątyn byka w wiosce.

Moja rodzina, mieszkająca od wieków w jaskiniach na Górze Karmel, pokryła nasze tajne groty rysunkami, których nie widział nikt oprócz nas. W ten oto sposób stworzyliśmy rodzaj archiwów. Zachowywaliśmy przy tym ostrożność, na przykład nigdy nie namalowałam ani nie wyryłam własnego wizerunku. Jednak nastąpiła katastrofa i razem z siostrą stałyśmy się takimi stworzeniami, jakimi jesteśmy dzisiaj.

Wróćmy do dziejów naszego ludu - byliśmy nastawionym pokojowo plemieniem pasterzy, rzemieślników i handlarzy. Kiedy armie Jerycha szły na wojnę, nasi młodzieńcy czasem dołączali do nich, ale robili to z własnej woli, chcąc w młodym wieku posmakować przygody, być żołnierzami i poznać związaną z tym sławę. Inni udawali się do miast, żeby obejrzeć wielkie targowiska, przepychy dworów, chwale świątyn. Jeszcze inni wędrowali do portów Morza Śródziemnego, aby zobaczyć wielkie statki handlowe. Jednak życie w naszych wioskach toczyło się bez większych zmian, tak jak przez wieki. Jerycho chroniło nas bezwiednie, ponieważ to ono było magnesem przyciągającym siły wroga.

Nigdy, nigdy nie polowaliśmy na ludzi, żeby jeść ich ciała! To nie był nasz zwyczaj! Nie potrafie wyrazić, jakim obrzydliwym była dla nas odmiana kanibalizmu polegająca na zjadaniu ciała nieprzyjaciela; a zarazem byliśmy kanibalami i jedzenie ludzi miało dla nas wyjątkowe znaczenie - spożywalismy naszych zmarłych.

Maharet przerwała na chwilę, jakby chciała, żeby znaczenie tych słów dotarło do wszystkich.

Mariusz znów ujrzał wizje dwóch rudych kobiet kleczących przed uroczystą stypą. Poczul ciepły bezruch południa i powagę chwili. Oczyszczył umysł i skupił się na obliczu Maharet.

- Zrozumcie - powiedziała. - Wierzyliśmy, że dusza po śmierci opuszcza ciało; ale wierzyliśmy też, że pozostałości po każdej żywej istocie zawierają drobna ilość mocy, nawet gdy samo życie już zamarło, na przykład ze rzeczy osobiste człowieka i oczywiście ciało zachowują odrobine jego witalności. A kiedy zjemy ciało naszego zmarłego, zjemy również owa pozostałość.

Jednak tak naprawdę zjadaliśmy naszych zmarłych z szacunku. W naszym pojęciu był to właściwy sposób traktowania tych, których kochaliśmy. Przyjmowaliśmy w siebie ciała ludzi, którzy dali nam życie, ciała, z których zostały poczęte nasze ciała. W ten sposób zamykał się cykl, a święte szczątki naszych bliskich były uratowane przed straszliwą potwornością - gniciem w ziemi, pożarciem przez dzikie zwierzęta lub spalaniem.

Gdy się nad tym zastanawiam, dostrzegam wielką logikę. Przede wszystkim jednak należy zdać sobie sprawę, że była to nieodłączna część życia naszego ludu. Świętym obowiązkiem każdego dziecka było spożyć pozostałości po swoich rodzicach; świętym obowiązkiem plemienia było spożyć zmarłych.

Nie umarł w naszej wiosce żaden mężczyzna, żadna kobieta, żadne dziecko, którego szczątki nie zostałyby spożyte przez jego krewnych. Żaden mężczyzna, żadna kobieta, żadne dziecko, nikt w naszej wiosce nie uchylił się od spożycia zmarłych.

Maharet przerwała, ogarnęła wzrokiem grupę zebranych, po czym znów się odezwała.

- Nie był to czas wielkich wojen. Jerycho od niepamiętnych czasów przeżywało okres pokoju. Również w Niniwie nie zdarzały się konflikty.

Jednak daleko, na południowym zachodzie, w dolinie Nilu, tamtejsze dzikie plemię odwiecznym zwyczajem wojowało z ludem z południowych dżungli, pozyskując sobie niewolników na usługi. Nie tylko zjadali ciała swoich zmarłych z całym należnym im szacunkiem, tak jak my to czyniliśmy, ale spożywali również ciała wrogów i chępli się tym. Wierzyli, że w ten sposób zyskują ich siłę. Lubili smak ludzkiego mięsa.

Z przyczyn, które już wyjaśniłam, ganiłismo ich. Jak można było z przyjemnością zjadać ciało nieprzyjaciela? Jednak zasadnicza różnica między nami i wojowniczymi mieszkańcami doliny Nilu nie polegała na tym, że zjadali swoich wrogów, ale na tym, że oni kochali wojnę, a my pokój. Nie mieliśmy nieprzyjaciół.

Właśnie wtedy, gdy moja siostra i ja osiągnęliśmy szesnasty rok życia, w dolinie Nilu zaszła wielka zmiana. Tak przynajmniej usłyszeliśmy.

Stara monarchini tamtego królestwa zmarła, nie pozostawiając córki, której przekazałaby królewska krew. A w wielu starożytnych plemionach dziedziczono tron jedynie w linii żeńskiej. Ponieważ żaden mężczyzna nie może być pewien ojcostwa dziecka swojej żony, boskie prawo do tronu posiadała królowa lub księżniczka. Dlatego egipcscy faraonowie późniejszej ery często żenili się ze swymi siostrami. To zabezpieczało ich królewskie prawa.

Tak byłoby z młodym królem Enkilem, gdyby miał siostrę. Nie miał jednak nawet królewskiej kuzynki, z którą mógłby się ożenić, ale był młody, silny i zdecydowany rządzić swoją domeną. Wreszcie wybrał narzeczoną, nie spośród swojego ludu, ale spośród mieszkańców miasta Uruk w dolinie Eufratu i Tygrysu.

Była to Akasza, piękność z rodziny monarchy i czcicielka wielkiej bogini Inanny, kobieta która mogła wnieść do królestwa Enkila mądrość swoich ziem. Tak przynajmniej mówiły plotki na placach targowych Jerycha i Niniwy; tak szeptano w karawanach, które przybywały kupować nasze wyroby.

Lud znad Nilu uprawiał już ziemię, ale marnował czas, szukając okazji do wojen, które mogły mu dostarczyć ludzkiego mięsa. To napawało przerażeniem piękna Akasze, która, jak można było się spodziewać po każdym przedstawicielu bardziej rozwiniętej cywilizacji, postanowiła ich zniechęcić do tego barbarzyńskiego zwyczaju.

Prawdopodobnie sprowadziła też ze sobą pismo, jako że lud Uruku posiadał umiejętność pisania - było to plemię skrzetnych archiwistów - ale nie jestem tego pewna. Być może Egipcjanie zaczęli pisać już wcześniej.

Nie macie pojęcia, jak powolny był wpływ tego rodzaju wynalazków na kulturę codziennego życia. Zapisy podatkowe miały już wielopokoleniową tradycję, zanim ktoś zdobył się na trud zapisania wiersza na glinianej tabliczce. Plemię mogło uprawiać pieprz i zioła przez dwadzieścia lat, zanim ktoś pomyślał o sianiu zboża lub kukurydzy. Jak wiecie, Indianie Ameryki Środkowej mieli już zabawki z kółkami, kiedy napadli na nich Europejczycy; mieli też biżuterię z metalu. Jednakże kółko nie służyło im do niczego więcej i nie wykuwali orea z metalu, więc zostali pokonani niemal od razu.

Bez względu na to, jak było, nie znam całej prawdy o wynalazkach, które Akasza sprowadziła ze sobą z Uruku. Wiem natomiast, że nasz lud słyszał plotki o zakazie wszelkiego kanibalizmu w dolinie Nilu i że ci, którzy go nie usłuchali, szli na straszną śmierć. Plemiona, które przez pokolenia polowały na ludzi i zjadały ich, były rozwścieżone, że nie mogą już tym się rozkoszować, ale jeszcze większą wściekłość ogarnęła te wszystkie ludy, którym zabroniono zjadać swoich zmarłych. Oddać swoich przodków ziemi było dla wielu taka sama okropność, jak dla nas.

Aby edykt Akaszy był szanowany, król ogłosił, że wszystkie ciała zmarłych mają być smarowane masłami i owijane płótnami. Nie tylko nie można było zjeść świętego ciała matki lub ojca, ale wielkim kosztem musiano je zabezpieczać lnianymi bandażami i te nietknięte trupy miały być składane w miejscu publicznym, a potem w grobach wraz z odpowiednimi ofiarami i przy wtórze śpiewów kapłana. Im wcześniej owijano ciało w płótno, tym lepiej, ponieważ wtedy nikt nie mógł spojrzeć na ciało.

Aby dokładniej wpoić ludziom ten nowy obrządek, Akasza i Enkil przekonali ich, że duchom zmarłych będzie powodzić się o wiele lepiej w królestwie, do którego się udają, jeśli nieboszczyków złoży się do ziemi owiniętych w płótno. Innymi słowami, lud otrzymał sygnał: „Wasi ukochani przodkowie nie są zaniedbani, przeciwnie, są pod dobrą opieką”.

Bardzo nas rozbawił pomysł, by owijać zmarłych w płótno i składać ich w umeblowanych pomieszczeniach nad albo pod piaskami pustyni. Śmieszyło nas, że mamy pomagać duchom zmarłych, utrzymując ich ciała w idealnym stanie. Każdy, kto kiedykolwiek porozumiewał się ze zmarłymi, wie, że lepiej, by zapomnieli o swoich ciałach; dopiero gdy rozstana się ze swoimi ziemskimi wizerunkami, mogą wzniesić się w wyższe rejony.

Teraz w Egipcie, w grobowcach bardzo bogatych i bardzo religijnych ludzi, leżą te mumie, w których zgnily ciała. Gdyby ktoś powiedział nam wtedy, że zwyczaj mumifikacji tak zakorzeni się w tamtej kulturze, że Egipcjanie będą go praktykować przez cztery tysiące lat, że stanie się on wielką i nieprzemijającą tajemnicą dla całego świata, że małe dzieci w dwudziestym wieku będą chodziły do muzeów oglądać mumie - nigdy byśmy w coś takiego nie uwierzyli.

Jednakże tak naprawdę nie przywiązywaliśmy do tego wagi. Mieszkaliśmy daleko od doliny Nilu. Nie potrafiliśmy nawet sobie wyobrazić, jacy są tamci ludzie. Wiedzieliśmy, że ich religia ma swe źródła w Afryce, że wielbili Ozyrysa i boga słonca, Ra, oraz bóstwa w postaci zwierząt. Tak naprawdę jednak nie rozumieliśmy ich. Nie rozumieliśmy tej pustynnej ziemi. Kiedy trzymaliśmy w dłoniach zgrabne przedmioty, które wyrabiali, rozpoznawaliśmy delikatne migotanie ich osobowości, ale były one nam obce. Współczuliśmy im, że nie mogą jeszcze swoich zmarłych.

Duchy pytane przez nas o Egipcjan, okazywały niezwykle rozbawienie. Powiadały, że mają „mile głosy” i „mily język” i że odwiedzanie ich świątyn to prawdziwa rozkosz; lubiły język egipski. Potem jakby traciły tym zainteresowanie i oddalały się, jak to często miały w zwyczaju.

To, czego się dowiadywaliśmy, było fascynujące, ale nie zaskakujące. Wiedzieliśmy, że duchy lubią nasze słowa, śpiewy i piosenki, więc nie dziwiło nas, że bawiły się również w egipskich bogów. Stałe stroiłoby sobie tego rodzaju żarty.

Lata mijaly, a my słyszeliśmy, że Enkil zwołał wielką armię i wyruszył na podbój Północy i Południa, mając na celu zjednoczenie królestwa, powstrzymanie rebelii oraz zgnięcie oporu zawziętych kanibali. Skierował okręty na otwarte morza. To stara sztuczka: wyslij ich do walki z nieprzyjacielem, a przestaną klócić się w domu.

Jaki to miało związek z nami? Nasza ziemia była krainą spokoju i piękna, bogata w drzewa owocowe i pola dzikiej pszenicy, która mógł scinać każdy, kto miał kosę. W naszej krainie rosły zielone trawy i wiały chłodne wiatry. Nie było tam nic, co mogłoby wzbudzić pożądanie obcych. Tak przynajmniej sadziliśmy.

Razem z siostrą żyliśmy w idealnym spokoju na łagodnych stokach góry Karmel, często rozmawiając w myślach z matką i ze sobą nawzajem w naszym języku; uczyliśmy się od matki wszystkiego, co wiedziała o duchach i ludzkich sercach.

Piliśmy nasenne napary, warzone przez matkę z roślin uprawianych na zboczach, a w transach i snach podróżowaliśmy w przeszłość i rozmawialiśmy z naszymi przodkami - potężnymi czarownicami znanymi nam z imienia. Jednym słowem, zwabialiśmy duchy starożytnych na ziemię, aby przekazały nam wiedzę. Podróżowaliśmy też wysoko i daleko nad naszą krainą, opuszczając swe ciała.

Mogłabym opowiadać godzinami, co widziałem w tych transach, na przykład o tym, jak kiedyś wraz z Mekare chodziliśmy po ulicach Niniwy, oglądając niewyobrażalne cuda; ale to teraz nieważne.

Pozwólcie, że powiem tylko, co znaczyło dla nas towarzystwo duchów - łagodne, harmonijne współzycie ze wszystkimi istotami i z duchami; w tamtych bowiem chwilach miłość duchów była dla nas równie namacalna jak wedle chrześcijańskich mistyków miłość Boga lub jego świętych.

Żyliśmy w bogostanie, siostra, ja i nasza matka. Jaskinie naszych przodków były ciepłe i suche i miałyśmy wszystko, co nam było potrzebne - delikatne szaty i biżuterie, urocze grzebienie z kości słoniowej i sandały ze skóry przynoszone nam przez ludzi w darze, gdyż nikt nie płacił nam za to, co robiliśmy.

Każdego dnia ludzie z wioski przybywali zasięgnąć opinii, a my przekazywaliśmy ich zapytania duchom. Próbowaliśmy przewidywać przyszłość, co oczywiście duchom się udaje, gdyż w pewnych wypadkach bieg rzeczy jest nieunikniony.

Przenikałyśmy umysły mocą telepatii i udzielaliśmy najlepszych możliwych rad. Czasem przynoszono do

nas opętanych. Wtedy wypędzaliśmy demona lub złego ducha, a kiedy dom był nawiedzony, szliśmy tam i rozkazywaliśmy duchom, by się wyniosły.

Dawaliśmy nasenne napary tym, którzy się tego domagali. Wtedy zapadali w głęboki trans lub sen pełen żywych obrazów, które starałyśmy się zinterpretować lub wyjaśnić.

Do tych celów duchy tak naprawdę nie były nam potrzebne, chociaż czasem szukaliśmy ich rady w szczególnych przypadkach. Korzystaliśmy z własnej wiedzy oraz z dalekosieżnych wizji i często uzyskiwaliśmy informacje co do znaczenia różnych obrazów.

Jednak największy cud - który wymagał całej mocy sprawczej i którego tak trudno było nam dokonać - to było sprowadzanie deszczu.

Dokonywaliśmy tego na dwa sposoby - wywołując mały deszcz, zasadniczo symboliczną demonstrację naszej mocy, niosącą ludowi wielkie lekarstwo dla duszy, lub wielki deszcz, konieczny dla zasiewów, cud bardzo trudny, prawie niewykonalny.

Obydwa wymagały wielkiego nawoływania duchów, wzywania ich po imieniu i domagania się, żeby stały się razem, skupiły i użyły swojej mocy na nasze zawołanie. Mały deszcz często sprowadzały najlepiej nam znane duchy, szczególnie kochające mnie i Mekare, naszą matkę i jej matkę, i wszystkich naszych przodków. Zawsze można było liczyć na to, że podejmą się tego zadania z miłości.

Do sprowadzenia wielkiego deszczu była potrzebna cała chmara duchów, a ponieważ wiele z nich serdecznie nie cierpiało siebie nawzajem i współpracy, musiałśmy się uciekać do całej masy pochlebstw. Musiałśmy śpiewać i tańczyć do upadłego. Pracowaliśmy całymi godzinami, podczas gdy duchy stopniowo okazywały zainteresowanie, gromadziły się, rozsmakowywały się w pomysle i wreszcie zabierały się do pracy.

Mekare i ja zdołaliśmy sprowadzić wielki deszcz tylko trzy razy. Jakże piękny był to widok: chmury gromadzące się nad doliną, a potem wielkie plachty deszczu zasłaniające cały świat. Wszyscy wybiegali na dwór, by rozkoszować się ulewą; ziemia pęczniała i otwierała się, wyrażając podziękowanie.

Mały deszcz sprowadzałyśmy często - dla innych i dla samej uciechy. Jednak to sprowadzanie wielkiego deszczu przysporzyło nam dalekosieżnej chwały. Zawsze mówiło się o nas, że jesteśmy czarownicami z góry, ale teraz zjawiali się przed nami ludzie z dalekich północnych miast, z ziem nie znanych nawet z nazwy.

Ludzie czekali w wiosce na swoją kolejkę, aby wspiąć się na górę, wypić napar i przedstawić nam swoje sny. Czekali, by wysłuchać naszej rady, a czasem jedynie spotkać się z nami. Oczywiście wiesz służyła im jadłem i napitkiem, przyjmując za to dary, i wszyscy czerpali z tego zyski, tak się przynajmniej wydawało. To, co robiliśmy, nie różniło się tak bardzo od praktyk lekarzy psychologów w tym stuleciu; analizowaliśmy senne obrazy, interpretowaliśmy je, wyszukiwaliśmy w nich jakies prawdy z podświadomości, a cuda małego deszczu i wielkiego deszczu jedynie wzmagały wiarę innych w nasze zdolności.

Pewnego dnia, może pół roku przed śmiercią naszej matki, trafił w nasze ręce list. Posłaniec przyniósł go nam od króla i królowej Kemetu, czyli egipskiej krainy, jak nazywali ją sami Egipcjanie. Była to gliniana tabliczka, na której, zwyczajem stosowanym również w Jerychu i Niniwie, wyryto małe obrazki, pierwociny tego, co nazwano później pismem klinowym.

Oczywiście, nie umiałśmy go odczytać, a nawet byliśmy wystraszone, myśleć, że to może jakiś

klatwa. Nie chcialysmy wziac go do reki, ale trzeba bylo to zrobic, jesli mialysmy cokolwiek zrozumiec.

Poslaniec wyjasnil, ze jego wladcy, Akasza i Enkil, dowiedzieli sie o naszej wielkiej mocy i beda zaszczyceni, jesli zlozemy wizyte na ich dworze; wyslali imponujaca eskorte, by towarzyszyła nam do Kemetu, i obiecywali, ze odesła nas do domu ze wspanialymi darami.

Wszystkie trzy intuicyjnie nie ufalysmy poslancowi. Mówil prawde o tyle, o ile byl zorientowany w sprawie, ale chodzilo w tym o cos wiecej.

Gdy matka wziela tabliczke w dlonie, natychmiast cos poczula, cos, co przeniknelo jej palce i wzbudziło w niej wielki niepokój. Początkowo nie chciala nam powiedziec, co zobaczyła, a potem wziela nas na bok i powiedziala, ze król i królowa Kemetu sa zli, rozlewaja morze krwi i nie dbaja o wiare innych. Straszliwe zlo spotka nas z ich reki, wbrew temu, co mówi tabliczka.

Wtedy Mekare i ja dotknelysmy listu i obie tez odczulysmy zapowiedz zła. Jednak krył on tez tajemnice, cos niejasnego, splatany ze złem element odwagi i chyba dobra. Nie byl to zwykly spisek majacy na celu wykrasc nas i nasza moc; wyczuwalysmy autentyczna ciekawosc i szacunek.

Wreszcie poprosilysmy o pomoc duchy, te duchy, które najbardziej kochalysmy. Zblizyly sie i z latwoscia odczytaly list. Potwierdzily, ze poslaniec mowil prawde, lecz jesli udamy sie do króla i królowej Kemetu, czeka nas straszliwe niebezpieczenstwo.

„Dlaczego?” - spytalysmy.

„Król i królowa beda zadawac wam pytania - odpowiedzialy duchy - i jesli udzielicie szczerych odpowiedzi, a tak bedzie, król i królowa rozgniewaja sie na was i zostaniecie unicestwione”.

Oczywiscie nie mialysmy zamiaru udawac sie do Egiptu. Nigdy nie opuszczalysmy naszej góry. Jednak dowiedzialysmy sie, ze nie wolno nam tego uczynic. Z calym szacunkiem rzeklismy poslancowi, ze nie mozemy opuscic miejsca, w którym sie urodzilysmy, ze zadna czarownica z naszej rodziny tego nie zrobila, i blagamy go, by wylumaczyl to królowi i królowej.

Tak wiec poslaniec odszedl i zycie potoczyló sie jak dawniej.

Kilka nocy później przybył do nas zły duch, którego nazywalysmy Amel. Kolosalny, potezny i zlosliwy stwór tanczyl nad polana, starajac sie przyciagnac nasza uwage, powiadajac, ze niebawem bedziemy potrzebowaly jego pomocy.

Od dawien dawna przywyklismy do przechwalek zlych duchów; byly wsciekłe, ze nie rozmawiamy z nimi, jak mialy to w zwyczaju inne czarownice i czarownicy. My jednak wiedzialysmy, ze te istoty nie zasluguja na zaufanie i nie daja sie kontrolowac; nigdy nie kusilo nas, by je wykorzystac i nie spodziewalysmy sie, ze kiedyś to zrobimy.

Szczególnie Amela zloscilo nasze lekcewazenie jego osoby. Oswiadczał wszem wobec, ze jest „Amelem poteznym”, „Amelem niezwycezonym” i ze powinniśmy okazywac mu nieco szacunku. Mozemy bowiem bardzo go potrzebowac w przyszłosci. Mozemy potrzebowac go bardziej, niz potrafimy to sobie wyobrazic, gdyz zblizaja sie klopoty.

Wtedy z jaskini wyszła matka i stanowczym glosem zazadala od ducha, by wyjasnil, jakie klopoty ma na mysli.

To nami wstrzasnelo, gdyz matka zawsze zabraniala nam rozmów ze zlymi duchami; zazwyczaj wyklinala je i odpiedzala lub tez wprawiala je w zamet zagadkami i chytrymi pytaniami, tak ze rozzloszczone i oglupiale, poddawaly sie.

Amel, straszliwy, zly, przepoteczny - czy jak tam siebie zwal, a jego przechwalkom nie bylo konca - oswiadczył jedynie, ze zblizaja sie wielkie klopoty i jesli mamy troche oleju w glowie, powinniśmy okazac mu nalezny szacunek. Chelpil sie wszelkim zlem, które wyczynial dla czarowników Niniwy. Mógł zadreczac ludzi, dokuczac im, a nawet kluc, jakby byl chmura komarów! Oswiadczył, ze potrafi ssac ludzka krew i lubi jej smak, i jest gotów ssac krew również dla nas.

Matka wysmiała go.

„Jak mozesz robic cos takiego? - spytala go wyzywajaco. - Jesteś duchem, nie masz ciała, wiec nie mozesz poznac zadnego smaku!”

Takie slowa zawsze doprowadzaly duchy do furii, bo, jak juz mówilam, zazdrościly nam ciała.

Wtedy ten duch, chcąc zademonstrowac nam swoja moc, rzucil sie na matke jak zawierucha. Jej dobre duchy natychmiast stawily mu czolo i nad polana wybuchlo straszliwe zamieszanie. Kiedy zapanowal juz spokój i Amel zostal odpiedzony przez strózujuce duchy, ujrzalysmy na dloni matki drobnutki naklucia. Amel, zly duch, wyssal z niej krew, własnie tak, jak zapowiedzial - jakby chmara komarów poklula ja wiele razy drobnymi zadlami.

Matka przygladala sie tym rankom. Dobre duchy rozzloscily sie, widzac, ze potraktowano ja z takim brakiem szacunku, ale ona nakazala im spokój. Bez slowa zastanawiala sie nad tym, co sie stalo, jak to bylo mozliwe i jak duch mógł znac smak wysysanej krwi.

To własnie wtedy Mekare wyjasnila, ze w jej wizjach te duchy maja w samym srodku wielkich niewidzialnych ciał nieskonczenie male materialne rdzenie i prawdopodobnie własnie za posrednictwem tego rdzenia moga poznac smak krwi. Wyobrazcie sobie nieslychane drobny plonacy knot kaganka. Ten knot mógł wchlaniac krew. Tak własnie bylo z duchem, który cały zdawal sie skladac z plomienia, ale mial w sobie maly knot.

Matka niby okazywala lekcewazenie, jednak tamten stwór wzbudzil jej niechec. Rzekla ironicznie, ze na swiecie jest dosc cudów bez zlych duchów wysysajacych krew.

„Przepadnij, Amelu” - powiedziala i oblozyla go klatwami, mówiac, ze jest banalny, nic nie znaczący, nieważny, nigdy nie zdobędzie slawy ani uznania i ze moze po prostu odfrunac. Innymi slowy, powiedziala to, co zawsze, kiedy pozbywala sie uprzykrzonych duchów - to, co ksieza mówia nawet teraz w nieco odmiennej formie, kiedy za pomoca egzorcyzmów ratuja opetane dziecko.

Jednak bardziej niz wyglupy Amela zmartwilo matke jego ostrzezenie, ze zbliza sie do nas zlo. Poglebilo to niepokój, który poczula, biorac do reki egipska tabliczke. Mimo to nie poprosila dobrych duchów o pocieche ani o rade. Zapewne byla na to zbyt madra, ale tego nigdy sie nie dowiemy. Tak czy inaczej, wiedziala, ze cos sie wydarzy, i potrafila temu zapobiec. Byc moze wiedziala, ze czasem, starajac sie zapobiec nieszczęściu, dajemy mu bron do reki. W następných dniach zachorowala, potem oslabla i w koncu stracila mowe.

Miesiacami lezala sparalizowana, w pólśnie. Siedzialysmy przy niej dzien i noc i spiewalysmy jej piesni. Przynosilysmy jej kwiaty i staralysmy sie odczytac jej mysli. Kochajace ja duchy byly w stanie okropnego wzburzenia; sciagnely na góre wiatry i zrywaly liscie z drzew.

Cała wioska pogrążyła się w smutku. Pewnego ranka myśli naszej matki znów nabrały kształtu, ale były pokawalkowane. Ujrzałyśmy słoneczne pola, kwiaty i obrazy, które pamiętała z dzieciństwa; a potem tylko cudowne barwy i coś jeszcze.

Wiedziałyśmy, że matka umiera, i duchy też o tym wiedziały. Robiliśmy, co w naszej mocy, aby je uspokoić, ale niektóre z nich wpadły we wściekły gniew. Po śmierci jej dusza miała się unieść wysoko ponad sfery duchów, więc miały ją utracić na wieczność, pogrążone w żalobie i wściekłości.

Tak się wreszcie stało i było to całkowicie naturalne i nieuniknione. Wyszliśmy z jaskini, aby powiedzieć ludowi, że matka przeniosła się w odległe sfery. Wszystkie drzewa na naszej górze zatrzesły się od wiatru wywołanego przez duchy; powietrze było pełne zielonych liści. Plakaliśmy razem z siostrą, a ja po raz pierwszy w życiu miałam wrażenie, że słyszę głosy duchów, że przez wiatr przebijają się ich płacze i lamenty.

Wiesniacy natychmiast przyszli zrobić to, co konieczne.

Najpierw złożono matkę na kamiennej płycie, jak kaze zwyczaj, by wszyscy mogli przyjść i złożyć jej hold. Była odziana w białą szatę z egipskiego płótna, tak uwielbiana przez nią za życia, i przystrojona wytworną biżuterią z Niniwy, pierścieniami i koscianymi naszyjnikami, zawierającymi szczatki naszych przodków; niebawem miały one być nasze.

Kiedy minęło dziesięć godzin i przyszły już z wizyta setki ludzi, zarówno z naszej wioski, jak i z sąsiednich miejscowości, przygotowaliśmy ciało na uroczystą stypę. Każdemu innemu mieszkańcowi wioski to kapłani uczyniliby ten zaszczyt. Ale my byśmy czarownicami, podobnie jak matka, więc tylko my mogłyśmy jej dotknąć. W odosobnieniu, przy świetle oliwnych lamp, zdjęliśmy z matki szatę i zakryliśmy całe jej ciało kwiatami i liśćmi. Przepilowaliśmy jej czaszkę i ostrożnie otworzyliśmy, tak że czoło pozostało nietknięte, wyjęliśmy mózg i położyliśmy go w misie wraz z gałkami ocznymi matki. Następnie wyjęliśmy serce i złożyliśmy je w innej misie, a potem zasłoniliśmy naczynia nakrywkami z gliny.

Wtedy pojawili się wiesniacy, zbudowali ceglany piec dookoła kamiennej płyty, na której obok trupa leżały też misy, podłożyli ogień między kamienie podpierające płytę i zaczęło się pieczenie.

Trwało cała noc. Duchy uspokoiły się, ponieważ dusza matki odeszła. Nie sadzę, by ciało miało dla nich znaczenie; to, co robiliśmy potem, nie miało dla nich znaczenia, chociaż dla nas - z pewnością tak.

Ponieważ byśmy czarownicami, tak jak nasza matka, jako jedyne miałyśmy podzielić się jej ciałem. Zwyczaj i prawo stanowiły, że było ono tylko nasze. Wiesniacy nie uczestniczyli w stypie, jak byliby w przypadku każdej innej osoby. Bez względu na to, jak długo by to trwało, miałyśmy same spożyć trupa matki, a wiesniacy mieli się temu przyglądać.

Gdy szczatki matki spoczywały w piecu, rozmawialiśmy z siostrą o jej sercu i mózgu. Oczywiście, miałyśmy podzielić się tymi organami i byśmy bardzo przejęte, której co przypadnie, nasze przekonania na ich temat były bowiem niezłomne i wierzyliśmy, że każdy z nich jest źródłem czegoś innego.

Otóż dla wielu ludzi w owym czasie najważniejsze było serce. Na przykład wedle Egipcjan serce było siedliskiem świadomości. Nawet lud z naszej wioski myślał podobnie; ale my, czarownice, wierzyliśmy, że to mózg jest siedliskiem ludzkiego ducha; to znaczy jest domem duchowej części każdego, bliskiej duchom obecnym w powietrzu. Przekonanie, że mózg jest ważny, miało swe źródło w tym, że z mózgiem łączy się oczy, organ wzroku. A czarownice zajmowały się właśnie widzeniem. W naszym języku mówiło

się, że jesteśmy jasnowidzami, i był to odpowiednik słowa „czarownicy”.

Najwięcej jednak rozmawialiśmy o ceremonii. Wierzyliśmy, że dusza matki odeszła i z szacunku dla niej miałyśmy zjeść tamte organy, żeby nie zgnily. Porozumienie przyszło więc łatwo. Mekare miała wziąć mózg i oczy, ja - serce.

Mekare była potężniejsza czarownica; przyszła na świat pierwsza i to ona zawsze nadawała ton; ona bezzwłocznie zabierała głos; ona odgrywała rolę starszej siostry, jak to zwykle bywa u bliźniaczek. To jej należał mózg i oczy, a mnie, zawsze cichszej i powolniejszej - organ kojarzony z głębokimi uczuciami i miłością - serce.

Byliśmy zadowolone z podziału i gdy niebo o brzasku pojaśniało, zasnęliśmy na kilka godzin, osłabione głodem i postem przygotowującym nas do stypy.

Tuż przed świtem obudziły nas duchy, które znów schwytały wiatr. Wyszedłam z jaskini. Ogień płonął w piecu, lecz stróżujący wiesniacy posnęli. Gniewnie nakazałam duchom spokój. Jednak jeden z nich, najbardziej przeze mnie lubiany, powiedział, że obcy zbierają się w dolinie, wielu obcych, niesłychanie podziwiających naszą moc i niebezpiecznie zainteresowanych stypą.

„Ci ludzie chcą czegoś od ciebie i Mekare - rzekł duch. - Ci ludzie nie przybyli tu, by czynić dobro”.

Odparłam mu, że obcy zawsze tu przybywali; że to nic dziwnego i że duchy powinny teraz pozwolić nam zrobić to, co konieczne. Później udałam się do jednego z mężczyzn, spytałam go, czy wieś jest przygotowana na niebezpieczeństwo, i poprosiłam, żeby ludzie przynieśli ze sobą broń, kiedy zbiorą się na stypę.

To nie było dziwne zadanie. Większość ludzi nigdy nie rozstawała się z bronią. Zawodowi żołnierze nosili także miecze, a inni zatykali za pas noże.

Nie byłam zaniepokojona tym, czego dowiedziałem się od duchów; obcy przybywali do naszej wioski ze wszystkich stron świata, było więc jak najbardziej naturalne, że pojawili się przy okazji nadzwyczajnego wydarzenia - śmierci czarownicy.

Wiedzieliście jednak, co miało się wydarzyć. Widzieliście to w snach. Widzieliście wiesniaków gromadzących się wokół polany, gdy słońce wznosiło się na szczyt nieboskłonu. Widzieliście może, jak powoli zdejmowano cegły ze stygnącego pieca; lub też tylko ciało matki, szerniałe, pomarszczone, a mimo to uspokojone jak we śnie, spoczywające na ciepłej kamiennej płycie. Widzieliście przykrywane ją zwiedle kwiaty, widzieliście serce, mózg i oczy w misach.

Widzieliście, jak ukleknęliśmy po obu stronach ciała matki. I słyszeliście, jak muzykanci zaczęli grać.

Nie widzieliście, ale już wiecie, że nasz lud przez tysiące lat zbierał się na takie stypy. Przez tysiące lat mieszkaliśmy w tamtej dolinie i na stokach góry, gdzie rosły wysokie trawy i owoce spadały z drzew. To była nasza ziemia, nasz zwyczaj, nasza chwila.

Nasza święta chwila.

Kiedy Mekare i ja ukleknęliśmy naprzeciwko siebie, odziane w najwspanialsze szaty i przystrojone nową biżuterią po matce i własnymi ozdobami, ujrzałyśmy nie ostrzeżenia duchów lub niepokój matki dotykającej tabliczki króla i królowej Kemetu. Ujrzałyśmy nasze własne życie - pełne nadziei, długie i szczęśliwe - spędzone tam, wśród naszych bliskich.

Nie pamiętam, jak długo kleczaliśmy, jak długo szykowałyśmy nasze dusze. Pamiętam, że jednocześnie uniosłyśmy misy z organami matki i muzyka zaczęła grać. Muzyka fletu i bebna zabrzmiała wokół nas; słyszaliśmy łagodne oddechy wiesniaków; słyszaliśmy śpiew ptaków.

A potem spadło na nas zło; spadło tak nagle, z tupotem stóp i przeraźliwymi wrzaskami egipskich żołnierzy, że ledwo wiedziałymy, co się dzieje. Rzuciliśmy się na ciało matki, usiłując uratować świętą stypę, ale od razu odciągnięto nas i ujrzałyśmy, jak misy spadają na ziemię, a kamienna płyta się przewraca!

Usłyszałam, jak Mekare krzyczy, krzyczy, jak żaden człowiek nigdy nie krzyczał. Ja też krzyczałam, widząc ciało matki cisnięte w popiół.

Uszy miałem pełne przekleństw; żołnierze wykrzykiwali, że zjadamy ludzi, że jesteśmy kanibalami, dzikusami i musimy iść pod miecz.

Nikt nas nie skrzywdził. Związane i bezradne patrzyliśmy, jak nasi krewni są mordowani. Żołnierze deptali trupą matki, deptali jej serce, mózg i oczy. Rozrzucali popioły, podczas gdy inni wycinali w pień mężczyzn, kobiety i dzieci w wiosce.

Potem wśród chóralnych krzyków, strasznego wrzasku setek umierających na stoku góry, usłyszałam głos Mekare wzywającej nasze duchy do zemsty, do ukarania żołnierzy za ich czyny.

Czymże jednak był wiatr lub deszcz dla tamtych mężczyzn? Drzewa się trzęsły, ziemia drżała, liście zawirowały w powietrzu jak poprzedniej nocy, kamienie toczyły się w dół góry, unosząc chmury kurzu. Wtedy wystąpił król Enkil i oświadczył, że to tylko stare sztuczki, a my i nasze demony nie potrafimy zrobić nic więcej.

To było aż nazbyt prawdziwe i nie słabnąca masakra ciągnęła się dalej. Siostra i ja byśmy były gotowe umrzeć, ale nie zabito nas. Nie to było ich zamiarem i kiedy wlekli nas ze sobą, zobaczyliśmy naszą wioskę płonącą, lany dzikiej pszenicy w ogniu, nasze plemię zamienione w stos trupów i wiedziałymy, że zostaną tam na pastwie dzikich zwierząt, w całkowitej pogardzie i zapomnieniu.

Maharet przerwała. Złożyła dłonie w daszek, dotknęła czubkami palców czoła i zastygła tak na chwilę, zanim zaczęła znowu mówić. Jej głos był teraz nieco chrapliwy i cichszy, ale wciąż spokojny.

- Czymże jest plemię z jednej osady? Czym jest garstka ludzi lub nawet życie jednego człowieka?

Pod ziemią spoczywa tysiąc takich plemion. I nasze plemię spoczywa tak po dziś dzień.

Wszystko, co wiedzieliśmy, wszystko, co osiągnęliśmy, uległo spustoszeniu w ciągu godziny. Wycwiczeni żołnierze wymordowali prostych pasterzy, kobiety, bezbronna młodzież. Wioski legły w ruinie, chaty zrównano z ziemią; wszystko, co mogło spłonąć - splonęło.

Ponad górą, nad wioską leżącą u jej podnóża, czułam obecność duchów zmarłych. Tworzyły wielką poświatę, niektóre tak podniecone i zagubione z powodu zadanego im gwałtu, że lgnęły do ziemi w grozie i bólu; inne wznosiły się nad ciała, żeby już nie cierpieć.

Cóż mogły zrobić?

Przez całą drogę do Egiptu towarzyszyły naszemu pochodowi, dokuczały żołnierzom, którzy związali i

nieśli w lektyce dwie lkające kobiety, przytulone mocno jedna do drugiej, przejęte grozą i zalem.

Każdej nocy, kiedy oddział rozbijał obóz, duchy posyłały wiatr, żeby rozrywał namioty i rozrzucił je na wszystkie strony. Mimo to król radził żołnierzom, by nie ulegali lekowi. Mówił, że bogowie Egiptu są silniejsi niż demony wiedźm. A ponieważ duchy w istocie osiągnęły szczyt swoich możliwości i nie działały nic gorszego, żołnierze mu wierzyli.

Każdego wieczoru król kazał sprowadzać nas przed swoje oblicze. Mówił naszym językiem, znanym wówczas powszechnie, używanym od doliny Tygrysu i Eufratu, a także wzdłuż stoków góry Karmel.

„Jestecie wielkimi czarownicami - powiedział głosem łagodnym i irytująco szczerym. - Z tego powodu oszczędziłem wam życie, chociaż zjadacie ludzi jak wasi pobratymcy i zostaliście złapane na gorącym uczynku przez mnie i moich ludzi. Oszczędziłem was, ponieważ chciałbym skorzystać z waszej mądrości. Będziecie się od was uczyli, jak również moja królowa. Powiedźcie mi, co mogę uczynić, aby ulżyć waszym cierpieniom, a zrobię to. Jestecie teraz pod moją opieką, jestem waszym królem”.

Lkając, nie patrząc mu w oczy, staliśmy przed nim bez słowa, gdy znużył się tym wszystkim, posyłał nas spać do małej ciasnej lektyki - drewnianej klatki z małymi okienkami.

Pozostawione same sobie, rozmawialiśmy cicho w naszym języku bliźniaczym, języku gestów i skrótów, które tylko my rozumieliśmy. Mówiliśmy o tym, co duchy powiedziały matce, i o tym, że zachorowała po liście od króla Kemetu i nigdy nie wróciła do zdrowia. A jednak nie balaliśmy się.

Nasz smutek był zbyt wielki, abysmy mogły się bac. Już czuliśmy się martwe. Widzieliśmy masakrę naszego ludu, widzieliśmy zbezczeszczenie ciała matki. Co gorszego mogło nas jeszcze spotkać? Byliśmy wciąż razem, więc może rozdzielenie byłoby gorsze.

Podczas tej długiej podróży do Egiptu mieliśmy jedną małą pociechę, której nie dane nam było później zapomnieć. Khayman, królewski radca, traktował nas ze współczuciem i uczynił wszystko, co w jego mocy, by ulżyć naszemu bólowi.

Maharet przerwała po raz kolejny i spojrzała na Khaymana, który siedział, splótszy ręce na stole i opuściwszy oczy. Wydawał się głęboko pogrążony we wspomnieniach. Przyjął do wiadomości wdzięczność, ale chyba nie sprawiła mu ulgi. Wreszcie odwzajemnił spojrzenie Maharet. Pytania cisnęły mu się na usta, ale ich nie zadał. Przesunął wzrokiem po zebranych, odwzajemniając ich spojrzenia, ale nie odezwał się ani słowem.

- Khayman rozluźniał nam wieże, kiedy się tylko dalo - kontynuowała Maharet - zezwalał nam na wieczorne spacerki; przynosił mięso i napitki. Okazywał przy tym wielką dobroć, czynił bowiem to wszystko bez słowa, nie dopominając się o podziękowanie. Robił to z dobroci serca. Po prostu nie mógł patrzeć na ludzkie cierpienie.

Wydawało się nam, że podróż do Kemetu trwała dziesięć dni; może więcej, może mniej. Kiedyś w trakcie tej podróży duchy zmęczyły się swoimi sztuczkami; a my, upadłe na duchu i wyczerpane odwagą, nie wezwaliśmy ich. W końcu pogrążyliśmy się w milczeniu i tylko czasem spoglądaliśmy w oczy jedna drugiej.

Wreszcie znaleźliśmy się w królestwie, którego wolałybyśmy nigdy nie oglądać. Doprowadzono nas przez rozpaloną pustynię do żywego czarnego ładu opasującego rzekę Nil, do czarnej ziemi, od której pochodzi słowo Kemet. Przewieziono nas, jak i całą armię, na tratwie przez ogromną rzekę i znaleźliśmy się w rozległym mieście pełnym ceglanych budynków krytych strzechami, wielkich świątyń i pałaców

wzniesionych z tych samych prostych materiałów, ale bardzo wspaniałych.

Nie było wtedy jeszcze kamiennych budowli, z których zasłyneli Egipcjanie - świątyn faraonów, stojących po dziś dzień.

Już wtedy jednak wielce upodobali sobie przepych i dążyli ku monumentalizmowi. Nie wypalane cegły, rzeczna trzcina, rogoża - wszystkie te proste materiały były używane do wznoszenia wysokich murów, następnie bielonych i malowanych w piękne wzory.

Przed pałacem, do którego zaprowadzono nas, królewskich jenców, ujrzałyśmy wielkie kolumny z ogromnych lesnych traw. suszonych, plecionych i spajanych rzeczonym mulem; a wewnątrz zamkniętego dziedzinca było jezioro, pełne lotosów i otoczone kwitnącymi drzewami.

Nigdy nie widziałyśmy ludzi tak bogatych jak Egipcjanie, obwieszonych tak piękną biżuterią, o włosach zaplecionych w tak piękne warkocze i tak pomalowanych oczach. Te oczy budziły nasz lek. Farba czyniła bowiem spojrzenie twardym; stwarzała iluzję glebi tam, gdzie być może nie było żadnej glebi; instynktownie wzdręgałyśmy się w obliczu tej sztuczności.

Wszystko, co widziałyśmy, pogłębiało naszą rozpacz i żal. Jakże nie cierpiałymy tego całego otoczenia. I chociaż nie rozumiałyśmy obcego języka tych ludzi, czułyśmy, że my też budzimy nienawiść i lek. Nasze rude włosy przerzały ich, a to, że byłyśmy bliźniaczkami, też wywoływało strach.

Ich zwyczajem było zabijanie bliźniaków już w powijakach, a rude potomstwo bez wyjątku składano w ofierze. Uważano, że to przynosi szczęście.

Pojęłyśmy to wszystko w niespodziewanych przeblaskach zrozumienia; osadzone w więzieniu, zgnębione, oczekiwałyśmy co przyniesie nam los.

Jak poprzednio, tak i teraz naszym jedynym pocieszycielem był Khayman. To on, królewski rzadca, postarał się, byśmy miały odpowiednie warunki w celi. Przynosił nam świeżą słomę na posłanie, owoce i piwo. Dostałyśmy od niego nawet grzebienie i czystą odzież. Wtedy po raz pierwszy odezwał się do nas; rzekł, iż królowa jest łagodna i dobra i że nie powinniśmy się bac.

Wiedziałyśmy, że mówi szczerze, co do tego nie było wątpliwości; miałyśmy jednak złe przeczucia, zupełnie jak wtedy, gdy słuchałyśmy słów królewskiego posłańca. Nasz sąd dopiero się rozpoczął.

Lekaliśmy się również, że duchy nas opuściły, że nie chciały przybyć do tej krainy w naszej sprawie. Nie wzywałyśmy ich, ponieważ wzywać i nie usłyszeć odpowiedzi... no cóż, to zalamaloby nas zupełnie.

Wieczorem królowa posłała po nas. Zaprowadzono nas przed oblicze dworu.

Widok Akaszy i Enkila na tronie, chociaż budził nasze obrzydzenie, nie mógł nie rzucić nas na kolana. Królowa wyglądała nie inaczej niż teraz - prosta w ramionach, o mocnych kończynach i obliczu niemal zbyt cudownym, aby zdradzało inteligencję, istota o necacym uroku i cichym drżącym głose. Król objawił się nam teraz niejako żołnierz, lecz jako władca, z włosami zaplecionymi w warkoczyki, w dworskim fartuszkach i obwieszony biżuterią. Jego czarne oczy jasniały szczerością jak zawsze, ale w jednej chwili zdaliśmy sobie sprawę, że to Akasza rządzi tym królestwem i zawsze nim rządziła. Język był domeną Akaszy, umiała się nim posługiwać.

Usłyszałyśmy od niej, że nasz lud został słusznie ukarany za swe potworne zwyczaje, że został potraktowany miłosiernie, kanibale bowiem wedle prawa powinni być skazani na powolną śmierć.

Rzekła, iż okazano nam łaskę, gdyż jesteśmy wielkimi czarownicami i Egipcjanie będa pobierali od nas nauki; zapoznają się z tajemną mądrością, która musimy się z nimi podzielić.

Natychmiast, jakby wcześniejsze słowa były bez znaczenia, przeszła do pytań. Kim są nasze demony? Czemu niektóre są dobre, skoro są demonami? Czy to nie bogowie? Jak sprowadzamy deszcz?

Byliśmy zbyt przestraszeni jej gruboskórnością, aby odpowiedzieć. Zranione duchową brutalnością jej obejścia, znów się rozplakaliśmy. Odwróciliśmy się od niej i padliśmy sobie w ramiona.

Zrozumieliśmy wtedy jeszcze coś - coś, co w oczywisty sposób slychac było w jej sposobie mówienia. Szybkość, z jaką zasypała nas słowami, bezceremonialność, akcentowanie to takich, to innych głosek - wszystko to uswiadomiło nam, że kłamie i że sama o tym nie wie.

Zajrzawszy głęboko w kłamstwo, zamknęliśmy oczy i ujrzeliśmy prawdę, której ona sama z pewnością nie chciała poznać: wymordowała nasz lud, żeby nas do siebie sprowadzić! Wysłała swojego króla i żołnierzy na tę świętą wojnę po prostu dlatego, że odrzuciliśmy jej zaproszenie. Pragnęła nas miec, zdane na jej łaskę i nielaskę. Była nas ciekawa.

To właśnie ujrziała matka, kiedy wzięła do ręki tabliczkę od królewskiej pary. Być może duchy też na swój sposób to przewidziały. Dopiero teraz pojęliśmy całą potworność tego wszystkiego.

Nasz lud umarł, ponieważ wzbudziliśmy ciekawość królowej, tak jak wzbudzaliśmy ciekawość duchów; to my sprowadziliśmy nieszczęście na wszystkich.

Zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego żołnierze nie zabrali nas po prostu bezbronnym wiesniakom? Czemu wymordowali cały nasz lud?

Tu właśnie kryła się prawdziwa groza! Królowa dążyła do swojego celu pod pozorem obrony moralności i rozumiała to nie lepiej niż wszyscy pozostali.

Przekonała sama siebie, że nasi wiesniacy powinni umrzeć, że ich dzikość na to zasługuje, chociaż nie byli Egipcjanami, a nasza kraina była daleko od jej ojczyzny. I, och, jakże to wygodne, że mogła potem okazać nam łaskę i sprowadzić nas przed swoje oblicze, by w końcu zaspokoić swoją ciekawość. I oczywiście, powinniśmy być jej teraz wdzięczni i chętnie odpowiedzieć na pytania.

Dokładniej jeszcze niż ów podstęp, ujrzeliśmy jej umysłowość, która powoływała do życia takie sprzeczności.

Królowa nie wierzyła w prawdziwą moralność, w żaden system wartości, który rządziłby jej uczynkami. Była jedną z tych istot, które czują, że być może nic, żadna przyczyna nie kryje się za całym poznawalnym światem. Nie mogła tego znieść, więc dniem i nocą tworzyła własny system etyczny, rozpaczliwie pragnąc w niego uwierzyć, chociaż była to tylko suma pozorów osłaniających czyny dokonywane wyłącznie z pragmatycznych pobudek. Jej wojna z kanibalizmem była spowodowana wyłącznie jej niechęcią do takich zwyczajów. Jej lud z Uruku nie jadł ludzkiego ciała, więc nie chciała, by w jej otoczeniu dokonywano tego obrzydliwstwa i tak naprawdę nie chodziło jej o nic więcej. Zawsze było w niej mroczne miejsce, siedlisko rozpacz i wielki popęd do tworzenia sensu życia, bo tego właśnie jej brakowało.

To, co w niej ujrzeliśmy, nie było pustką, lecz młodzieńcza wiara, że jeśli zada sobie trud, sprawi, że światło zaplonie; że może dowolnie kształtować świat, aby zaznać otuchy; ujrzeliśmy też jej obojętność na ludzkie cierpienie. Wiedziała, że inni mogą cierpieć, ale tak naprawdę nie poświęcała temu ani krzty

uwagi.

Wreszcie, nie mogąc znieść rozmiarów tego oczywistego fałszu, spojrzaliśmy na nią, gotowe stawic jej czoło. Nie miała jeszcze dwudziestu pięciu lat i sprawowała w tym kraju władzę absolutną, olsniewając wszystkich swoimi zwyczajami z Uruku. Jej uroda była tak przytłaczająca, że aż prawdziwa; wykluczała jakikolwiek majestat czy tajemniczość; jej głos miał nadal dziecięce brzmienie, wywołujące u innych instynktowną czułość i, sprawiając, że najprostsze słowa w jej ustach dzwieczyły jak muzyka. Ten głos doprowadzał nas do szalu.

Nieustannie zadawała pytania. Jak czyniliśmy cuda? Jak zaglądaliśmy w serca ludzi? Skąd biorą się nasze czary i na jakiej podstawie twierdzimy, że rozmawiamy z niewidzialnymi istotami? Czy możemy rozmawiać w ten sam sposób z bogami? Czy potrafimy pogłębic jej wiedzę lub pomóc jej zrozumieć to, co boskie? Obiecuje nam wybaczyć naszą dzikość, jeśli okazemy wdzięczność, jeśli ukleknijemy przy jej ołtarzach i złożymy przed jej bogami i nią sama to, co wiemy.

Jej prostactwo wzbudziło najgłębszy gniew Mekare. Moja siostra, która wiodła prym, zabrała głos.

„Przestan pytać. Mówisz głupstwa - oświadczyła. - Nie macie bogów w tym królestwie, bo nie ma bogów. Jedyni niewidzialni mieszkańcy tego królestwa to duchy, które bawią się wami za pośrednictwem waszych kapłanów i religii, jak bawią się wszystkim innym. Ra, Ozyrys - to tylko wymyślone nazwy, za pomocą których schlebiamy duchom i płaszczycie się przed nimi, a kiedy to służy ich celom, dają wam mały znak, że będziecie tym bardziej się przed nimi płaszczyci”.

Zarówno król, jak i królowa patrzyli na Mekare w osłupieniu i grozie. A ona mówiła dalej:

„Duchy są prawdziwe, ale dziecinne i kapryśne. I do tego niebezpieczne. Podziwiają nas i zazdroszczą nam, że mamy równocześnie ciało i duszę. To je zachwyca i sprawia, że chętnie wypełniają naszą wolę. Czarownice takie jak my zawsze wiedziały, jak to wykorzystać; ale do tego potrzeba wielkich umiejętności i mocy, którymi my dysponujemy, a ty nie. Jesteście głupcami i wieżcie nas, popełniliście zło i niegodziwość. Żyjecie w kłamstwie! Ale my nie będziemy was okłamywać”.

A potem, na wpół lękając, na wpół dusząc się z gniewu, Mekare oskarżyła królową przed wszystkimi dworzanami o oszustwo, o masakrę naszego ludu po to tylko, by sprowadzić nas na swój dwór. Nasi pobratymcy nie polowali na ludzi od tysiący lat, ogłosiła zebranym, a kiedy brano nas w niewolę, zbezczeszczonego świętą stypę, a wszystko po to, by królowa Kemetu mogła porozmawiać z czarownicami, zadawać im pytania, mieć je na własność i wykorzystać ich moc do własnych celów.

Wybuchła wrzawa. Nigdy nie słyszano tam takich obelg i bluźnierstw. Dostojni wielmożcy Egiptu, wciąż zirytowani zakazem świętego kanibalizmu, byli wstrząśnięci na wieść o zbezczeszczeniu świętej stypy. Innych, którzy również obawiali się zemsty niebios za to, że nie spożywali szczątek swoich rodziców, sparaliżował strach.

Zapanował zamęt. Tylko król i królowa byli dziwnie milczący i zaintrygowani.

Akasa nie zareagowała w żaden sposób i było jasne, że w głębi swej świadomości uznała część naszych wyjaśnień za prawdziwe. Na chwilę obudziły jej najszczerzą ciekawość. Duchy, które udają, że są bogami? Duchy, które zazdroszczą ciału? Nawet nie zastanowiła się nad oskarżeniem, że bez potrzeby wymordowała nasz lud. Nie była tym zainteresowana. Fascynowały ją problemy duchowe, a ogarnięta fascynacją, oddzielała ciało od ducha.

Pozwólcie, że zwróce waszą uwagę na ostatnie słowa. Fascynował ją problem duchowy, można by

powiedzieć, abstrakcyjna myśl będąca dla niej wszystkim. Nie sądziła, by uwierzyła, że duchy są infantylne i kapryśne. Jednak bez względu na to, jaka była prawda, chciała ją poznać, i to za naszym pośrednictwem. Masakra naszego ludu nie obeszła jej ani trochę!

Tymczasem arcykapłan świątyni Ra zezwolił na naszą egzekucję. Podobnie arcykapłan świątyni Ozyrysa. Byliśmy źli, byliśmy czarownicami, wszyscy rudowłosi winni być spaleni, jak zawsze w krainie Kemet. Zebrani natychmiast podchwycili te oskarżenia. Należy wnieść stos. Wydawało się, że za chwilę pałac ogarną rozruchy.

Wtedy król nakazał spokój. Znowu odprowadzono nas do celi i wzmocniono strażę.

Wzburzona Mekare chodziła od ściany do ściany, a ja błagałam ją, by się więcej nie odzywała. Przypomniałam jej ostrzeżenie duchów: jeśli udamy się do Egiptu, król i królowa będą nam zadawać pytania, i jeśli odpowiemy uczciwie, a tak się stanie, król i królowa będą się na nas gniewać i kazać nas zabić.

Jednak Mekare mnie nie słuchała. Chodziła tam i z powrotem, od czasu do czasu uderzając się pięścią w piersi. Czulałam jej niepokój.

„Przeklecie - powtarzała. - Złe”.

Na przemian pograżała się w milczeniu i powtarzała te słowa.

Wiedziałam, że wspominała ostrzeżenia Amela, złego ducha. Wiedziałam też, że on jest w pobliżu; słyszałam go i czulałam. Wiedziałam, że Mekare chciałaby go przywołać, i czulałam, że nie wolno jej tego czynić. Cóż jego moc mogła znaczyć dla Egipcjan? Ilu śmiertelnych mógł pokonać? Nie wzbudziłby większego przerażenia niż gwałtowny wiatr czy ciskanie przedmiotami. Amel słyszał te myśli i zaczął się burzyć.

„Uspokój się, demonie - powiedziała Mekare. - Zaczekaj. aż będziesz mi potrzebny!”

Pierwszy raz słyszałam, by Mekare odzywała się do złego ducha i przeszył mnie dreszcz zgrozy.

Nie pamiętam, kiedy zasnęliśmy. Po północy obudził mnie Khayman. Początkowo wydawało mi się, że to Amel płata jakąś sztuczkę, i obudziłam się roztrzęsiona, ale Khayman gestem zalecił mi spokój. Był w strasznym stanie. Miał na sobie prostą nocną szatę i sandały, a jego włosy były w nieładzie. Chyba wcześniej płakał. Miał czerwone oczy.

Usiadł przy mnie, mówiąc:

„Powiedz mi, czy to prawda, co mówiłaś o duchach?”

Nie wyjaśniałam mu, że to były słowa Mekare. Ludzie zawsze nas mylili albo uważali za jedną osobę. Powiedziałam mu tylko, że tak, to prawda.

Wyjaśniłam mu, że niewidzialne istoty były zawsze wśród nas; że same opowiadały nam, iż nie wiedzą o istnieniu żadnych bogów ani bogini. Opowiedziałam, jak przechwalały się swymi wyczynami w wielkich świątyniach Sumeru, Jerycha lub Niniwy i jak czasem oznajmiały, że to one są tym lub tamtym bogiem. My jednak zawsze wiedziałyśmy, z kim tak naprawdę mamy do czynienia i kiedy ignorowałyśmy te opowieści, rezygnowałyśmy ze swoich wygłupów.

Siedział zalamany, jak człowiek oklamywany przez całe życie, który nagle dojrzał prawdę. Był głęboko poruszony, kiedy duchy sciagnęły wiatr na naszą górę i ciskały na żołnierzy fontanne liści; to zmroziło jego duszę. Taki stan jest zawsze początkiem wiary.

Zrozumiałam wtedy, jak obciążone jest jego sumienie.

„Masakra waszego ludu to była święta wojna; żaden egoistyczny uczynek, jak mówiłaś”, powiedział.

„Och, nie - rzekłam. - To był egoistyczny i prosty czyn, nie mogę nazwać tego inaczej”.

Powiedziałam mu o tabliczce dostarczonej przez posłanca, o tym, co powiedziały duchy, o leku i chorobie matki, o mojej mocy, dzięki której usłyszałam, co kryje się w słowach królowej, a czego ona sama nie potrafiła zaakceptować.

Zanim skończyłam mówić, Khayman znów się zalamal. Wiedział, że to, co mówię, jest prawdą. Walczył u boku króla podczas wielu kampanii przeciwko wielu ludom. To, że wojsko powinno walczyć dla zysku, nie było dla niego niczym nowym. Widział masakry i spalone miasta, widział uprowadzanych ludzi; widział żołnierzy uginających się pod ciężarem łupów. Chociaż sam nie był wojownikiem, rozumiał, dlaczego tak się dzieje.

W naszej wiosce nie było jednak żadnego wartościowego łupu; nie było terytorium, które król mógłby zatrzymać. Tak, walczyło się o to, żeby nas pojąć, to było mu wiadome. Czuł obrzydzenie z powodu kłamstwa o świętej wojnie przeciwko kanibalom. Jego smutek był jeszcze większy niż klęska. Pochodził ze starej rodziny i sam jadł ciała swych przodków. Teraz musiał karać za to samo ludzi, których znał i kochał. Myśl o mumifikacji budziła w nim odrazę, ale jeszcze bardziej nienawidził towarzyszącej temu ceremonii; otchłani przesadów, w którą stoczył się jego kraj. Jakimż bogactwami obsypywano umarłych, jakąż wagę przywiązywano do gnijących trupów; i wszystko po to, by ludzie nie mieli poczucia winy, zarzucając stare zwyczaje.

Te myśli wyczerpały go; a najbardziej dreczyła go śmierć, której był świadkiem, egzekucje, masakry. Tak jak królowa ich nie dostrzegła, tak on nie potrafił ich zapomnieć. Tracił siły jak człowiek, który wsysany w bagno, może w nim zatonać.

Zanim wyszedł, obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, aby nas uwolnić. Nie wiedział, jak mógłby tego dokonać. Błagał mnie, bym się nie bała. Bardzo go kochałam w tamtej chwili. Miał taką samą piękną twarz jak teraz; tyle że był ciemnoskóry, szczuplejszy, a jego włosy zaplecione w warkoczyki zwisały mu do ramion. Miał w sobie coś dworskiego, był kims, kto wydaje rozkazy i kogo ogrzewa czuła miłość władcy.

Następnego ranka królowa znów posłała po nas. Tym razem udaliśmy się do jej komnaty, gdzie oprócz niej byli tylko król i Khayman.

To pomieszczenie urządzone z jeszcze większym przepychem niż wielka sala pałacowa; aż kipiała od zbytku. Stały tam: kanapa z rzeźbionymi leopardami, łóżko z kapą z czystego jedwabiu, zwierciadła wypolerowane do, zdawałoby się, czarodziejskiej perfekcji. A sama królowa była jak kusicielka, obwieszona biżuterią i skropiona perfumami, ukształtowana przez naturę w stworzenie tak cudowne jak wszystkie skarby wokół. Po raz kolejny zadawała swoje pytania.

Stojąc obok siebie ze związanymi rękami, musialiśmy ponownie wysłuchać tych samych głupstw.

Mekare znów opowiedziała królowej o duchach; wyjaśniła, że istnieją od zawsze, opowiedziała, jak

wyprowadzały w pole kapłanów w różnych krainach. Opowiedziała też o tym, jak lubiły piosenki i zaklęcia Egipcjan. Była to dla nich jedynie zabawa, nic więcej.

„W takim razie to duchy są bogami, to wynika z waszych słów! - wykrzyknęła z wielkim fermentem Akasza. - Rozmawiacie z nimi? Chce je zobaczyć! Zrób to dla mnie teraz”.

„One nie są bogami - rzekłam. - Właśnie próbujemy ci to wytłumaczyć. Nie pogardzają kanibalami, tak jak według was czynią bogowie. To było im zawsze obojętne”.

Z wielkim trudem starałam się wykazać różnicę między tym, co sobie wyobrażała, a tym, jak było naprawdę. Wyjaśniałam, że duchy nie przestrzegają żadnych przykazań, a my przewyższamy je moralnie. Wiedziałam jednak, że ona nie potrafi uchwycić sedna moich tłumaczeń.

Dostrzegłam w niej wojnę pomiędzy druznami bogini Inanny, która chciała wierzyć, że jest błogosławiona, a mroczna ponura dusza, która w istocie nie wierzyła w nic. Dusza Akaszy była lodowatą komnatą, a religijny zapal był jej potrzebny jedynie po to, by ogrzać owo siedlisko zimna.

„Mówicie same kłamstwa! - powiedziała w końcu. - Jesteście złymi kobietami!”

Zarządziła naszą egzekucję. Powinnismy zostać spalone żywcem następnego dnia, razem, tak, byśmy oglądały nawzajem swoje cierpienia i śmierć. Po co w ogóle zwracała sobie nami głowę.

Król natychmiast jej przerwał, mówiąc, że widział moc duchów, podobnie jak Khayman. Co uczynią duchy, jeśli zostaniemy tak potraktowane? Czy nie lepiej puścić nas wolno?

W spojrzeniu królowej było jednak coś złego i twardego. Słowa króla nic dla niej nie znaczyły; już postradałyśmy życie. Co mogłyśmy zrobić? Było w niej tyle złości, że nie umiała tak przetworzyć usłyszanego prawdy, by służyły jej pożytkowi lub rozkoszy. A przecież jej umysł był przeciętny; niezliczeni ludzie czuli i myśleli jak ona... teraz najprawdopodobniej też takich nie brakuje.

Wreszcie Mekare przejęła pałeczkę. Zrobiła coś, czego ja nie śmiałam uczynić. Wezwała duchy - wszystkie, po imieniu, ale tak szybko, że królowa nie zrozumiała ani słowa. Krzyczała, by przybyły do niej na usługi; a potem nakazała, by wyraziły niezadowolenie z tego, co spotyka dwie śmiertelne istoty - Maharet i Mekare - które podobno kochają.

To była ryzykowna zagrywka. Gdyby nic się nie stało, gdyby zgodnie z moimi obawami opuściły nas wcześniej, wtedy, cóż, wtedy musiałaby wezwać Amela, który tylko na to czekał. Zresztą był nasza jedyna szansa.

Niezwłocznie podniósł się wiatr. Hulał na dziedzińcu i gwizdał w korytarzach pałacu. Zrywał draperie, trząskając drzwiami, tłukł delikatne naczynia. Gdy królowa poczuła, że znalazła się w kregu duchów, ogarnęła ją zgroza. Drobne przedmioty zaczęły fruwać w powietrzu. Duchy zebrały ozdoby z toaletki i cisnęły w królową; król usiłował ją osłonić, a Khayman zeszywniał ze strachu.

Zanim osiągnęły granice swojej mocy, Khayman zaczął błagać króla i królową o cofnięcie rozkazu egzekucji. Ugięli się niezwłocznie.

Mekare czuła, że duchy są wyczerpane, więc natychmiast z wielkim namaszczeniem nakazała im spokój. Zapadła cisza. Przerazeni niewolnicy biegali wokół, zbierając skorupy.

Królowa była pokonana. Król usiłował jej powiedzieć, że widział wcześniej takie dziwy i nie poniósł

zadnej szkody; ale głęboko w jej sercu coś zostało skruszone. Nigdy nie widziała najmniejszego dowodu istnienia sił nadprzyrodzonych, więc była oszłamiona i sparalizowana. W mrocznym, wyzbytym wiary miejscu wewnątrz niej zajarzyło się światło, prawdziwe światło. Jej sceptycyzm był tak głęboki i tak dobrze zamaskowany, że ten mały cud stał się dla niej objawieniem pierwszej wody, jakby zobaczyła oblicze bogów.

Odesłała króla i Khaymana, mówiąc, że chce zostać z nami sama. Ze łzami w oczach błagała, abysmy porozmawiali na głos z bogami.

To był niezwykle moment, gdyż poczułam to samo co kilka miesięcy temu, kiedy dotknęłam glinianej tabliczki - mieszankę dobra i zła, bardziej niebezpieczna niż samo zło.

Powiedziałysmy jej, że oczywiście nie potrafimy zmusić duchów do głośnego mówienia, ale poprosiliśmy, by zadała jakies pytania, na które mogłyby odpowiedzieć. Nie ociągała się.

Były to te same pytania, które ludzie zadają czarodziejom i czarownicom od niepamiętnych czasów.

„Gdzie jest naszyjnik, który zgubiłam, będąc dzieckiem? - pytała. - Co matka chciała mi powiedzieć przed śmiercią, kiedy już nie mogła mówić? Czemu siostra nie cierpiała mojego towarzystwa? Czy mój syn dożyje wieku meskiego? Czy będzie odważny i silny?”

Walczyć o życie, cierpliwie przekazywałyśmy te pytania duchom, przymilając się do nich, żeby zwrócili na nas uwagę. Otrzymane odpowiedzi naprawdę zdumiały Akasze. Duchy wiedziały, jak ma na imię jej siostra; wiedziały, jak ma na imię jej syn. Kiedy zastanawiała się nad tymi prostymi sztuczkami, była na krawędzi szaleństwa.

Wtedy pojawił się Amel, zły duch, zazdrosny o wszystko, co się działo - i zniechęca cisnął jej pod nogi naszyjnik, o którym wspomniała - naszyjnik zgubiony w Uruku. To wykończyło ją doszczętnie. Była jak razona gromem.

Rozszlochala się, sciskając naszyjnik, a potem błagała nas o przedłożenie duchom naprawdę ważnych problemów, które musi rozwiązać.

Tak, bogowie zostali wymyśleni przez jej lud, powiedziały duchy. Nie, imiona wymieniane w modlitwach nie mają znaczenia. Duchy jedynie lubią muzykę i rytm języka - kształt słów, można rzec. Tak, są złe duchy, które lubią krzywdzić ludzi, oczywiście. I są też dobre duchy, które kochają ludzi. A czy będa rozmawiać z Akasza, jeśli opuścimy królestwo? Nigdy. Teraz mówia, a ona ich nie slyszyc, więc jak miałyby z nią rozmawiać? Tak, są w królestwie czarownice, które mogą je usłyszeć, i jeśli tylko zechce, one zaraz kaza im zjawic się na dworze.

Podczas tej wymiany zdań w Akaszy nastąpiła straszna zmiana.

Radosne uniesienie zmieniło się w podejrzliwość, a potem w żal. Duchy bowiem mówiły jej te same pełne gorczy słowa, które słyszała od nas.

„Co wiecie o życiu pozagrobowym?” - spytała. Kiedy usłyszała, że dusze zmarłych albo dryfują nad ziemią rozbite i cierpiące, albo wznoszą się i znikają bez śladu, przeżyła ogromny wstrząs. Jej oczy zmatowiały; straciła zainteresowanie tym wszystkim. Kiedy zapytała o los tych, którzy wiedli niegodziwe życie, i tych, którzy prowadzili się przykładowo, duchy nie potrafiły udzielić jej odpowiedzi. Nie wiedziały, o co jej chodzi.

Mimo to przesłuchanie trwało. Wyczuwaliśmy, że duchy są znużone, że zaczynają się nia bawić i udzielają coraz głupszych odpowiedzi.

„Jaka jest wola bogów?” - spytała.

„Śpiewaj bez ustanku - odpowiedzieli. - To nas bardzo cieszy”.

Wtem nagle i niespodziewanie Amel, zły duch, bardzo dumny ze sztuczki z naszymi, cisnął Akaszy pod nogi kolejny lancuch drogich kamieni. Tym razem królowa skuliła się ze zgrozy.

Od razu spostrzegliśmy, że Amel popełnił błąd. To był nasz ojciec, matka Akaszy, która leżała pochowana w krypcie nieopodal Uruku. Oczywiście Amel, jak to duch, nie rozumiał, że uczynił coś niesamowitego i niesmacznego. Kiedy Akasza mówiła o swoim własnym ojcu, ujrzał w jej myślach ten. Czemu teraz go nie chce? Nie lubi takich precjozów?

Mekare powiedziała Amelowi, że to się nie spodobało. Uczynił nie ten cud, co trzeba. Zechce łaskawie poczekać na jej rozkaz, ona bowiem rozumie królowa, a on nie za bardzo.

Było jednak za późno. W królowej zaszła nieodwracalna zmiana. Ujrzała dwa dowody mocy duchów, słyszała prawdę i głupstwa; nic nie mogło się równać z piękną mitologią jej bogów, w którą zawsze wierzyła. A jednak duchom udało się zniszczyć jej krucha wiarę. Jak zdoła uciec przed mrocznym sceptycyzmem, jeśli te demonstracje będą się powtarzać?

Schyliła się i podniosła trumienny nasz ojciec.

„Skąd się to tutaj wzięło?!” - spytała rozkazującym tonem. Ale tylko udawała pewność siebie. Wiedziała, że odpowiedź zaskoczy ją bardziej niż wszystko, co słyszała od naszego przybycia. Była przestraszona.

Niemniej jednak wyjaśniłam jej, a ona słuchała pilnie każdego słowa.

Duchy czytają w naszych myślach; są niezmiernie wielkie i potężne. Trudno nam sobie je wyobrazić i poruszają się z prędkością myśli; kiedy Akasza pomyślała o drugim ojcu, duch go zobaczył i zaczął go szukać. Pierwszy ojciec sprawił jej radość, czemu drugi nie miałby być przyjęty z równym zadowoleniem? Znalazł go więc w grobowcu jej matki i wydobył, być może przez jakiś mały otwór. Bizuteria z pewnością nie mogła przeniknąć kamienia. To śmieszny pomysł.

Kiedy wypowiedziałam te słowa, uświadomiłam sobie prawdę. Ten ojciec prawdopodobnie został ukradziony trupowi matki Akaszy i bardzo możliwe, że uczynił to jej ojciec. Nigdy nie znalazł się w żadnej krypcie i dlatego Amel mógł go odszukać; może nawet został ukradziony przez kapłana. Tak przynajmniej sądziła Akasza, która trzymała ojca w dłoni. Nie cierpiała ducha, który uświadomił jej coś tak okropnego.

Wszystkie jej iluzje przysły; pozostała naga prawda, z której zawsze zdawała sobie sprawę. Zadała pytania o świat nadprzyrodzony - bardzo niemądra decyzja - i ów świat udzielił jej odpowiedzi, których nie mogła zaakceptować, a zarazem nie mogła też odrzucić.

„Gdzie są duchy zmarłych?” - wyszeptowała, wpatrując się w ojca.

„Duchy po prostu tego nie wiedzą” - odparłam najłagodniej, jak potrafiłam.

Poczula groze. Strach. A potem jej umysl zaczal pracowac, jak zawsze szukajac jakiegos wznioslego systemu mogacego wytлумaczyc jej zródlo bólu, jakiegos sposobu pogodzenia sie z tym, co ujrzała. Ukryte wewnatrz niej siedlisko mroku rozrastalo sie i moglo ja pochlonac. Nie zamierzala pozwolic na cos takiego; musiala podazac dalej. Byla przeciez królowa Kemetu.

A ponadto byla w niej zlosc na rodziców i nauczycieli, kaplanów i kaplanki z dzieciństwa oraz na bogów, których czčila, a takze na kazdego, kto kiedykolwiek ja pocieszal lub tez powiedzial, ze zycie jest dobre.

Zapadla chwila ciszy. Akasza mienila sie na twarzy; znikl wyraz leku, podziwu i zdumienia, a jej spojrzzenie stalo sie zimne, obojetne i wreszcie zlowieszcze.

Potem wstala z naszyjnikiem matki w rece i oswiadczyla, ze wszystko, co powiedzialysmy, to kłamstwa. Rozmawialysmy z demonami, i to one usilowaly obalic ja i jej bogów, którzy upodobali sobie jej lud. Im dluzej mówila, tym bardziej wierzyła we własne słowa, tym bardziej byla zachwycona elegancja swojego sposobu myslenia; tym bardziej ulegala własnej logice. Az wreszcie rozslochala sie i potepila nas, wyparlszy sie mroku, który czail sie w jej wnetrzu. Przywróčila do zycia wizerunki swoich bogów, przywróčila swój swięty jezyk.

Kiedy jednak znów popatrzyła na naszyjnik, zły duch, Amel, rozwscieczony tym, ze nie ucieszyła sie jego podarkiem, i ponownie rozgniewany na nas, kazal nam powiedziec jej, ze jesli wyrzadzi nam jakas krzywde, cisnie w nia kazdym przedmiotem, klejnotem, pucharem do wina, zwierciadlem, grzebieniem, wszystkim, czego kiedykolwiek zapragnela, co sobie wyobrazila lub co zgubila.

Wybuchlaby smiechem, gdyby nie grozace nam niebezpieczenstwo; to bowiem, co duch uwazal za idealne rozwiazanie, okazywalo sie zupełnie bezsensowne z ludzkiego punktu widzenia.

Mekare dokladnie przekazala Akaszy słowa Amela.

„Ten, który potrafi dostarczyc naszyjnik, moze zarzucic cie wszelkimi twoimi pamiatkami - powiedziala. - Nie znam zadnej czarownicy na calym swiecie, która moglaby go powstrzymac”.

„Gdzie on jest? - wrzasnela Akasza. - Niech zobacze tego ducha, z którym rozmawiasz!”

Na to Amel, prózny i wsciekly, skupil cala moc i rzucil sie na Akasze.

„Jam jest Amel, zły duch, który kluje!” - wykrzykiwal i wzbudzil wokół niej wielka zawieruche, jak kiedys wokół matki, lecz tym razem byla ona dziesiec razy potezniejsza. Nigdy nie widzialam takiej wscieklosci. Komnata trzesla sie, kiedy ten ogromnych rozmiarów duch skurczyl sie i wepchal do niej. Slyszalam trzask ceglanych scian. Na calej pieknej twarzy i ramionach królowej pojawily sie drobnitkie klute ranki i mnóstwo krwistych plamek.

Krzyczala bezradna, a Amel byl w siódmym niebie. Amel potrafil robic cudowne rzeczy! Bylismy ogarniete zgroza.

Mekare nakazala mu spokój. Obsypala go pochlebstwami i masa podziekowan, powiedziala, ze jest najpotezniejszym ze wszystkich duchów, ale musi teraz jej sluchac, by okazac, ze jego wielka madrosc dorównuje potedze, i ze pozwoli mu znów uderzyc we własciwym czasie.

Tymczasem król rzucil sie na pomoc Akaszy, podbiegl tez Khayman; wszyscy straznicy znalezi sie u jej boku. Jednak kiedy uniesli miecze, zeby nas posiekac, rozkazala zostawic nas w spokoju. Mekare i ja

przewiercalismy ja wzrokiem, w milczeniu grozaca moca ducha, tylko to bowiem nam pozostalo. A Amel, zly duch, unosil sie nad nami, napelniajac powietrze najbardziej niesamowitymi dzwiekami, swym wielkim pustym smiechem ducha, który zdawal sie rozbrzmiewac na calym swiecie.

Wróciwszy do celi, mogliśmy się zastanowić nad tym, jak wykorzystac te niewielka przewage, jaka mialismy nad Amelem.

On natomiast ani myslal nas opuscic. Ciskal sie i rzucal, szelescil trzciniowymi matami i powiewal naszymi ubraniami, wicherzył nam włosy. Bylo z nim istne utrapienie. Jego słowa budzily mój strach. Podobno lubil ssac krew; nabieral wtedy ciała i stawal sie ociezaly, ale smakowala wybornie; a kiedy jakis lud skladal na oltarzu krwawa ofiara, lubil sie zjawiac i chleptac posoke. Przeciez byla tam dla niego, no nie? I znów ryczał ze smiechu.

Wśród pozostałych duchów zapanowalo wielkie wzburzenie. Czulyśmy to wraz z Mekare. Niektóre z nich koniecznie chcialy wiedziec, jak smakuje ta krew i czemu sprawia mu taka rozkosz.

Wtedy ujawnily sie nienawisc i zazdrosc o ciało, obecne w tak wielu zlych duchach, oraz przekonanie, ze my, ludzie, jestesmy wynaturzeniem, bo mamy zarówno ciało, jak i dusze, co nie powinno zdarzyc sie na ziemi. Amel tokowal z patosem o czasach, w których byly tylko góry, oceany i knieje i nie istnialy takie stwory jak my. Oswiadczył nam, ze dusza w smiertelnym ciele to przeklenstwo.

Slyszalam juz podobne kasliwe uwagi zlych duchów, ale nigdy nie poswiecilam im wiele uwagi. Po raz pierwszy uwierzylam im, kiedy widzialam mój lud idacy pod miecz. Jak wielu ludzi wczesniej i moze wielu potem myslalam, ze idea niesmiertelnosci nie obejmujacej ciała jest przeklenstwem. Lub tez, jak powiedziales tej nocy, Mariuszu - zycie wydawalo sie niewiele warte, jak zart. W tamtej chwili mój swiat byl ciemnoscia, ciemnoscia i cierpieniem. Wszystkie moje przekonania runely w proch, zycie stracilo sens i nie potrafilam go odnalezc.

Mekare ponownie przemówila do Amela, dajac mu do zrozumienia, ze woli byc tym, czym jest, niz nim - bytem unoszacy m sie bezwolnie przez wiecznosc i pozbawionym celu. To doprowadzilo go do wscieklosci. Jeszcze jej udowodni, na co go stac!

„Dopiero kiedy ci rozkaze, Amelu! - powiedziala. - Mozesz na mnie liczyc, ze wybiorę odpowiednia chwile. Wtedy wszyscy ludzie dowiedza sie, co potrafisz!”

Infantylny, prózny duch znów byl zadowolony i rozciagnal sie na ciemnym niebie.

Przez trzy dni i noce bylismy wiezniarkami. Straznicy nie patrzyli na nas ani sie do nas nie zblizali, podobnie niewolnicy. Prawde mówiac, umarlybysmy z glodu, gdyby nie Khayman, królewski rzadca, który przynosil nam jedzenie.

Wtedy powiedzial nam to, co juz wczesniej wiedzialismy od duchów. Wybuchl wielki spór. Kaplani chcieli naszej smierci, ale królowa balala sie nas zabic, moglybysmy bowiem naslac na nia duchy, a ona nie umialaby ich odpedzic. Król byl zaintrygowany tym, co sie stalo, i wierzył, ze mozna sie od nas jeszcze czegos dowiedziec. Ciekawila go potega duchów i to, jak mozna je wykorzystac. Jednak lek królowej byl silniejszy.

Wreszcie przyprowadzono nas przed oblicze calego dworu, do wielkiego atrium.

Bylo samo poludnie i król wraz z królowa zgodnie ze zwyczajem zlozyli ofiary bogu slonca Ra, a my musialismy sie temu przygladac. Te uroczystosci nie mialy dla nas znaczenia, gdyz wiedzialismy, ze sa to

ostatnie godziny naszego życia. Marzyłam wtedy o naszej górze, o naszych jaskiniach, marzyłam o dzieciach, które mogłybysmy powić - slicznych synach i córkach, z których część odziedziczyłaby nasza moc - wracałam myślami do życia, które zostało nam odebrane. Myślałam o eksterminacji moich bliskich, która niebawem miała zostać doprowadzona do końca. Dziękowałam wszystkim żywym mocom, że może widzieć niebo nad głową i że wciąż jestem razem z Mekare.

W końcu przemówił król. Czulałam jego straszliwy smutek i znudzenie. Choć był młodym człowiekiem, w takich chwilach miał duszę starca. Rzecz nam, że posiadamy wielki dar, ale niewatpliwie użyliśmy go w złym celu i nikt inny nie może go spożytkować. Oskarżył nas o kłamstwa, oddawanie czci demonom, o czarna magię. Rozkazałby nas spalić, by sprawić radość swojemu ludowi, ale on i królowa nam współczują. Szczególnie królowa pragnęła, by okazał nam łaskę.

Było to wierutne kłamstwo, ale wiedzieliśmy, że przekonała sama siebie, iż to prawda. Oczywiście król jej uwierzył. Jakże to jednak miało znaczenie? Jaka łaska nam okazują, zastanawialiśmy się, usiłując zajrzeć głębiej w ich dusze.

Następnie królowa powiedziała nam w czułych słowach, że nasze wielkie czary sprawiły, iż odzyskała dwa naszyjniki, których pragnęła najbardziej na świecie, i dlatego tylko pozwoli nam żyć. W ten sposób tkany przez nią kobierzec kłamstwa stał się jeszcze większy, bardziej złożony i odstający od osnowy prawdy.

Król oświadczył, że uwolni nas, lecz wpięć zademonstruje całemu dworowi, że nie mamy mocy, i w ten sposób zadostuczyni naleganiom kapłanów.

A jeśli w którymś momencie zły demon objawi się i spróbuje wyrządzić krzywdę prawym wyznawcom Ra lub Ozyrysa, nasze ulaskawienie zostanie cofnięte i natychmiast spotka nas śmierć. Moc naszych demonów umrze wraz z nami, a my utracimy łaskę królowej, na którą obecnie ledwo zasługujemy.

Oczywiście, wiedzieliśmy, co się wydarzy; ujrzałyśmy to w ich sercach. Zaproponowano nam układ. Gdy król zdjął z szyi złoty medalion i nałożył go Khaymanowi, wiedzieliśmy, iż mamy zostać zgwałcone w obecności całego dworu, zgwałcone jak zwykle więźniarki lub niewolnice podczas wojny. A jeśli wezwiemy duchy, umrzemy. Taka była nasza sytuacja.

„Gdyby nie miłość mojej królowej - rzekł Enkil - znalazłbym rozkoszy z tymi dwoma kobietami, co słusznie mi się należy, zrobiłbym to, by dać wam dowód, że nie mają mocy i nie są wielkimi czarownicami, lecz kobietami. Uczyni to jednak mój główny rzadca, Khayman, mój ukochany Khayman, on otrzyma przywilej uczynienia tego w moim imieniu”.

Cały dwór czekał w milczeniu, podczas gdy Khayman patrzył na nas, szykując się do wypełnienia królewskiego rozkazu. Przeszywałyśmy go wzrokiem, nakazując mu w naszej bezbronności, by nas nie dotykał ani nie gwałcił na oczach tych nieprzyjaznych ludzi.

Czulysmy jego ból i wewnętrzną walkę. Czulysmy niebezpieczeństwo, które go otaczało, gdyż w razie nieposłuszeństwa z pewnością straciłby życie. Jednak tu chodziło o nasz honor, który miał nam odebrać; miał nas zbezczyć, zniszczyć; a my, żyjące dotąd w słońcu i zaciszu naszej góry, tak naprawdę nic nie wiedzieliśmy o czynie, który był gotów spełnić.

Kiedy zbliżył się do nas, chyba nie wierzyłam, że zdoła to zrobić, że mężczyzna może czuć ból, jaki on czuł, a mimo to wzbudzić w sobie takie pozadanie. Niewiele wtedy wiedziałam o mężczyznach, o tym, jak cielesna rozkosz może się w nich połączyć z nienawiścią i gniewem; o tym, jak potrafią zadawać ból, czyniąc to, co kobiety najczęściej robią z miłości.

Nasze duchy głosnym chórem sprzeciwiały się temu, co miało nastąpić, ale ze względu na nasze dobro nakazały im, żeby się uspokoiły. W milczeniu uciszałam dłoń Mekare, dając jej znać, że kiedy to się skończy, będziemy żyć dalej, będziemy wolne. To przecież nie śmierć i zostawimy tych żalonych ludzi pustyni ich kłamstwom i złudzeniom, ich głupim zwyczajom; wrócimy do ojczyzny.

Wtedy Khayman przystąpił do swoich obowiązków. Rozwiązał nam dłonie; najpierw wziął Mekare, zmusił ją, by leżała na wysłanej matami posadzce, i uniósł jej szatę, podczas gdy ja stałam jak posąg, niezdolna go powstrzymać. Potem spotkał mnie ten sam los.

W jego umyśle nie byłam tą kobietą, którą gwałcił. Kiedy jego dusza i ciało drżały, podsycił żar swojej namietności wyobrażeniami o bezimiennych pięknościach i na wpeł zapomnianych chwilach, tak by ciało i dusza mogły się zjednoczyć.

A my, odwróciwszy oczy, zamknęliśmy nasze dusze przed nim i tymi niegodziwymi Egipcjanami, którzy zrobili nam tę straszną rzecz. Nasze dusze były samotne i nietknięte; wszędzie wokół słyszałam łkanie duchów, smutne, straszne łkanie, a w oddali grzmiący głos Amela:

„Jestecie głupie, że to znosicie, czarownice”.

Zapadła noc, kiedy zostawiono nas na skraju pustyni. Żołnierze dali nam dokładnie odmierzone racje jedzenia i picia i zaczęliśmy długą podróż na północ. Nigdy nasza wściekłość nie miała sobie równej.

Pojawił się Amel, szyderczy i pełen wściekłości; czemu nie pozwoliliśmy mu wymierzyć zemsty?

„Oni rzuca się na nas i zabija! - powiedziała Mekare. - Wynos się stąd”.

Na nic się to nie zdało, więc w końcu spróbowała zaprzeczyć go do jakiegokolwiek użytecznej i ważnej pracy.

„Amelu, chcemy dotrzeć żywe do domu - rzekła. - Sprowadź nam chłodne wiatry i pokaż, gdzie znajdziemy wodę”.

Jednakże złe duchy nigdy nie robiły takich rzeczy. Amel przestał się nami interesować. Znikł, a my szliśmy w zimnym pustynnym wietrze, ramię w ramię, starając się nie myśleć o długiej drodze, jaka nas czekała.

Nie sposób opowiedzieć o wszystkim, co nas spotkało. Dobre duchy nie opuściły nas; sprowadzały chłodne wiatry i wiodły do źródeł, gdzie znajdowaliśmy wodę i nieliczne daktylowce, z których mogliśmy zerwać owoce; tak długo jak mogli, sprowadzały mały deszcz; ale wreszcie zabrnęliśmy zbyt daleko w głąb pustyni, by to było możliwe, i umierałyśmy. Wiedziałam, że w moim łonie jest dziecko Khaymana, i chciałam, żeby ono żyło.

Wtedy duchy zaprowadziły nas do Beduinów, a ci przyjęli nas i otoczyli opieką.

Byłam chora i leżałam całe dni, śpiewając dziecku rozwijającemu się wewnątrz mojego ciała, odpędzając piosenkami choroby i wspomnienia najgorszych chwil. Mekare leżała obok, trzymając mnie w objęciach.

Minęły miesiące, zanim odzyskałam siły na tyle, żeby zostawić obozowisko, ale pragnęłam urodzić dziecko w moim kraju i błagałam Mekare, byśmy kontynuowały podróż.

W koncu zaopatrzone w pokarm i wodę przez Beduinów i prowadzone przez duchy, wkroczyliśmy na zielone pola Palestyny. Znalazliśmy podnóże góry i pasterski lud bardzo podobny do naszego, który przejął nasze stare pastwiska.

Znali nas, jak i nasza matka, i cały nasz ród. Nazywali nas po imieniu i natychmiast przyjęli między siebie.

Znów byliśmy szczęśliwi wśród zielonych traw, a dziecko rosło w moim łonie. Miałam żyć; pustynia nas nie zabiła.

W moim własnym kraju urodziłam córeczkę i nazwałam ją Miriam, jak miała na imię moja matka, nim mnie urodziła. Odziedziczyła czarne włosy Khaymana, ale zielone oczy mojej matki. A miłość, która do niej czułam, i jej radość były najlepszym lekarstwem dla mojej duszy. Znów byliśmy razem. Mekare, która poznała ze mną ból rodzenia i która wyjęła dziecko z mojego ciała, nosiła Miriam godzinami i śpiewała jej tak jak ja. Dziecko było tylko nasze, co moje. Próbowaliśmy zapomnieć o okropnościach, których zazналиśmy w Egipcie.

Miriam rosła jak na drożdżach. Wreszcie razem z Mekare postanowiliśmy wspiąć się na górę i znaleźć jaskinię, w której się urodziliśmy. Nie wiedzieliśmy jeszcze, jak będziemy żyć i co będziemy robić z daleka od naszego nowego ludu. Chcieliśmy jednak powrócić do miejsca, gdzie byliśmy tak szczęśliwi; chcieliśmy wezwać duchy i cudowna mocą sprowadzić deszcz, aby pobłogosławił moje nowo urodzone dziecko.

Zaden z naszych planów nie miał się ziszczyć.

Zanim opuściliśmy pasterzy, znów przybyli żołnierze pod dowództwem królewskiego radcy, Khaymana. Rozdawali sztuki złota wśród wszystkich plemion, które widziały rudowłose bliźniaczki lub słyszały o nich i wiedziały, gdzie te kobiety mogą się podziwiać.

Po raz kolejny, w południe, na żalanej słońcem łące, ujrzałyśmy egipskich żołnierzy z dobytymi mieczami. Ludzie rozpięchli się we wszystkich kierunkach, ale zanim Khayman zdążył się odezwać, Mekare padła przed nim na kolana i rzekła:

„Nie krzywdź naszego ludu”.

Khayman przybył z Mekare do naszej kryjówki. Pokazałam mu jego dziecko i błagałam o łaskę, o sprawiedliwość, o to, żeby zostawił nas w spokoju.

Wystarczyło mi na niego spojrzeć, by zrozumieć, że czeka go śmierć, jeśli nie sprowadzi nas z powrotem. Twarz miał wychudła i pełna smutku, nie gładka, biała twarz niesmiertelnego, która widzi ciebie tu, przy tym stole.

Przeciwności losu dawno zatęrzyły naturalny ślad jego cierpienia. Jednak tamtego dawno minionego popołudnia był on bardzo wyraźny.

„Straszliwe zło spotkało króla i królową Kemetu - rzekł słabym, stłumionym głosem. - Sprawily to wasze duchy, wasze duchy, które dreczyły mnie dniem i nocą za to, co wam uczyniłem, dopóki król nie wypędził ich z mojego domu”.

Wyciągnął ramiona i ujrzałam drobne blizny w miejscach, w których duch ssal z niego krew. Było ich pełno na twarzy i szyi.

„Och, nie macie pojęcia, w jakich mekach przyszło mi żyć - powiedział - gdyż nic nie mogło mnie przed nimi uchronić; nic wiecie, ile razy was przeklinałem, i króla, za to, co kazał mi uczynić, i moją matkę, za to, że wydała mnie na świat”.

„Och, ale myśmy tego nie uczyniły! - wykrzyknęła Mekare. - Dotrzyliśmy słowa. Na nasze głowy, zostawiliśmy cię w spokoju. To Amel, zły duch, on to sprawił! Och, zły duchu! Pomysleć, że dreczył cię, a nie króla i królową, którzy zmusili cię do tego czynu! Nie możemy go powstrzymać! Błagam cię, Khaymanie, puść nas”.

„Amel wreszcie znudzi się tym, co robi, Khaymanie - powiedziałam. - Jeśli król i królowa są silni, pójdzie sobie. Patrzysz teraz na matkę swojego dziecka, Khaymanie. Zostaw nas w spokoju. Ze względu na jego dobro, powiedz królowi i królowej, że nie zdołałeś nas znaleźć. Pozwól nam odejść, jeśli boisz się sprawiedliwości”.

A on tylko wpatrywał się w dziecko, jakby nie wiedział, kim ono jest. Sam był Egipcjaninem. Czy to dziecko było Egipcjaninem?

„Dobrze, nie wy posłaliście tego ducha - rzekł. - Wierzę wam. Jednak nie wiecie jeszcze, co on zrobił. Kiedy przestał mi dokuczać, wszedł w króla i królową Kemetu! Jest w ich ciałach! Zmienił ich substancje!”

Przyglądaliśmy mu się długo i zastanawialiśmy się nad jego słowami, zanim zrozumieliśmy, że król i królowa Kemetu nie zostali opętani. Zrozumieliśmy również, że on sam widział takie rzeczy, iż nie pozostało mu nic innego, jak przybyć po nas osobiście i za wszelką cenę spróbowaćściągnąć nas z powrotem.

Wciąż nie wierzyłam jego słowom. Jak duch mógł pozyskać ciało!

„Nie rozumiecie, co wydarzyło się w naszym królestwie - wyszeptał. - Musicie przybyć i zobaczyć to na własne oczy”.

Przerwał, chciał bowiem powiedzieć nam więcej, znacznie więcej, lecz czuł strach.

„Musicie nam pomóc, nawet jeśli nie wy to zrobiliście!” - powiedział z gorczy.

Jednak to nie było w naszej mocy. Na tym polegała groza całej sytuacji. Wiedzieliśmy to, wyczuwaliśmy. Przypomnieliśmy sobie naszą matkę, jak stała przed jaskinią, wpatrzona w ranki na dłoniach.

Mekare odrzuciła głowę w tył i wezwwała Amela, złego ducha, żeby do niej przybył i poddał się jej rozkazowi. W naszym tajnym języku, języku bliźniaczek, krzyknęła:

„Wyjdz z króla i królowej Kemetu i przybadz do mnie, Amelu. Ugnij się przed moją wolą. Nie uczyniłeś tego na mój rozkaz”.

Chyba wszystkie duchy świata słuchały tego w milczeniu; to był okrzyk potężnej czarownicy. Nie było jednak odpowiedzi i poczulśmy wielki tumult wśród duchów, jakby nagle zaszło coś przekraczającego ich zdolność rozumienia i akceptacji. Uciekły od nas, a potem wróciły, smutne i niezdecydowane; spragnione naszej miłości, a przy tym pełne odrazy.

„O co chodzi? - krzyknęła Mekare. - W czym rzecz?”

Wolala do duchów, które unosiły się najbliżej, do swoich ulubieńców. Wtedy w ciszy, gdy pasterze czekali w leku, żołnierze stali wyczekujaco, a Khayman wpatrywał się w nas zmęczonymi, zalawionymi oczami, usłyszaliśmy odpowiedź. Towarzyszyły jej zdumienie i niepewność. „Amel ma teraz to, czego zawsze chciał. Amel ma ciało, lecz Amela już nie ma”.

Co to mogło znaczyć?

Nie potrafiliśmy tego zglebic. Mekare znów zazała od duchów odpowiedzi, ale chyba ich niepewność ustępowała miejsca strachowi.

„Powiedzcie mi, co się stało! - powiedziała Mekare. - Ujawnijcie mi to, co wam wiadomo!”

To było stare zaklecie używane przez niezliczone wiedźmy.

„Przekazcie mi wiedzę, którą musicie mi przekazać”.

Duchy znów odpowiadały niepewnie:

„Amel jest ciałem, lecz Amel nie jest Amelem; nie może teraz odpowiedzieć”.

„Chodźcie ze mną - powiedział Khayman. - Musicie się stawić na dworze. Król i królowa chcą was zobaczyć!”

Bez słowa i pozornie bez wzruszenia przyglądał się, jak całuje swoją malenką córeczkę i oddaje ją pod opiekę kobiecie, która miała się nią zająć jak własnym dzieckiem. Mekare i ja oddaliśmy mu się w niewole, lecz tym razem nie płakaliśmy. Wylaliśmy już wszystkie łzy. Nasz krótki rok wesela z nowo narodzoną Miriam dobiegł końca - a groza, która przyszła na świat w Egipcie, po raz kolejny wyciągnęła macki, by nas pozrec.

* * *

Maharet na chwilę zamknęła oczy; dotknęła powiek czubkami palców, a potem spojrzała na pozostałych, czekających, pogrążonych we własnych myślach. Nikt nie chciał, by przerwała opowieść, chociaż wszyscy wiedzieli, że musi to nastąpić.

Młodzi byli wymizerowani i znuzeni; radosna mina Daniela nieco się zmieniła. Louis miał ściągniętą twarz; zadza krwi sprawiała mu ból, chociaż nie zwracał na nią uwagi.

- Teraz nie mogę wam więcej opowiedzieć - oznajmiła Maharet. - Zbliża się poranek i młodziki muszą zejść do ziemi. Przygotujcie im drogę. Jutro znów się tu zbierzemy i będziemy kontynuować, jeśli tylko królowa nam pozwoli. Nie ma jej w pobliżu; nie wyczuwam jej obecności; w niczyich oczach nie widzę najsłabszego błysku jej wizerunku. Jeśli wie, co czynimy, to zezwala na to. A może jest zbyt daleko, by baczyc na to, co się tu odbywa. Musimy więc czekać na zapoznanie się z jej wolą. Jutro powiem wam, co ujrzaliśmy po przybyciu do Kemetu. A wy do tej pory odpoczywajcie bezpiecznie wewnątrz góry. Wszyscy. Przez niezliczone lata ukrywała ona moje tajemnice przed wscibskimi oczami śmiertelnych. Pamiętajcie, że nawet królowa nie może nam zaszkodzić, póki nie zapadnie noc.

Kiedy Maharet wstała, to samo uczynił Mariusz. Podeszedł do okna, podczas gdy pozostali wolno opuszczali pomieszczenie, jakby wciąż wsłuchani w głos Maharet. Najczulsza struna traciła i w nim wspomnienie Akaszy i nienawisć, jaka darzyła ją Maharet; Mariusz bowiem również czuł tę nienawisć i był przekonany mocniej niż kiedykolwiek, że powinien być zakończyć ten koszmar, kiedy mógł to uczynić.

Ale ta rudowłosa kobieta nie chciała takiego rozwiązania. Nikt z nich nie chciał umrzeć bardziej niż on. Natomiast Maharet być może pragnęła życia goręcej niż jakikolwiek ze znanych mu śmiertelnych.

Tymczasem opowieść Maharet potwierdzała ich bezsilność. Co podniosło głowę, kiedy królowa powstała z tronu? Kim był ten stwór, który uwieził Lestat w swojej matni? Nie potrafił sobie tego wyobrazić.

Zmieniamy się, ale pozostajemy nie zmienieni - pomyślał. - Stajemy się mądrzy, ale jesteśmy omylni! Póki trwamy, przeważa w nas ludzka natura, cud i przekleństwo naszej kondycji.

Znow zobaczył tę usmiechniętą twarz, którą ujrzał, gdy łódź zaczął pekać. Czy to możliwe, że nadal kochał tak mocno, jak nienawidził? Że w czasie wielkiego ponizenia zatracił jasny sąd? Naprawdę nie wiedział.

Nagle ogarnęło go zmęczenie, zapragnął nade wszystko snu i wygody, zmysłowej rozkoszy wyciągnięcia się w czystym łóżku. Ukryć twarz w poduszce, pozwolić konczynom ułożyć się w najbardziej naturalnej i najwygodniejszej pozycji.

Miękki lsniący błękit za panoramicznym oknem wypełniał niebo na wschodzie, chociaż gwiazdy wciąż migotały, drobne i odległe. Ciemne pnie sekwoi stały się wyraźniejsze, a z lasu, jak zwykle o brzasku, wionęło cudowna wonia zieleni.

W oddali, tam gdzie stok opadał, a zarosnięta paprociami polana stykała się z lasem, przechadzał się Khayman. Jego dłonie jasniały w rzadkim, sinym mroku, a gdy odwrócił się i podniósł wzrok ku Mariuszowi - zamiast twarzy miał bezoką, czysto białą maskę. Mariusz uniósł rękę w drobnym, przyjaznym geście. Khayman odwzajemnił się tym samym i wszedł między drzewa.

Gdy Mariusz odwrócił się od okna, stwierdził, że w pokoju pozostał z nim tylko Louis. Stał nieruchomo, patrząc na niego tak, jakby widział ucielesnienie mitu. Zadał pytanie, które było jego obsesją, pytanie stale obecne w jego umyśle, bez względu na to, jak wielki był nacisk osobowości Maharet.

- Wiesz, czy Lestat żyje czy nie, prawda?

Zabrzmił w tym pytaniu prosty, ludzki i bolesny ton, chwytający za serce, mimo że pełen rezerwy.

- Żyje - skinął głową Mariusz. - Ale wiem o tym z innego źródła. Nie pytam ani nie dostaję odpowiedzi. Nie korzystam z żadnej z tych wspaniałych mocy, które nas przesładują. Wiem o tym, bo po prostu wiem.

Uśmiechnął się do Louisa. Coś w sposobie bycia tego młodzika sprawiło Mariuszowi radość, chociaż nie wiedział dokładnie, co to było. Gestem przywołał go do siebie i wyszli razem z pomieszczenia. Mariusz objął Louisa ramieniem, gdy schodzili po żelaznych schodach na mokra ziemię. Mariusz stapał powoli i ciężko, zupełnie jak człowiek.

- Jesteś tego pewien? - zapytał z szacunkiem Louis.

Mariusz zatrzymał się.

- O tak, zupełnie pewien.

Przez chwile spoglądali sobie w oczy i Mariusz znów się uśmiechnął. Ten młodzik był tak uzdolniony, a jednocześnie tak mało zdolny; rozważał, czy ludzki blask zgasnie w jego oczach, jeśli zyska nieco więcej mocy, jeśli kiedyś, na przykład, w jego żyłach pojawiłoby się nieco krwi Mariusza. A poza wszystkim ten młodzik był głodny; cierpiał i chyba to lubił, lubił czuć głód i ból.

- Pozwól, że ci coś powiem - rzekł ciepło. - Od pierwszej chwili, gdy zobaczyłem Lestata, wiedziałem, że nic go nie zabije. Tak to czasem bywa z niektórymi spośród nas. Nie możemy umrzeć.

Dlaczego to mówił? Czy znów w to wierzył, jak przed rozpoczęciem tych wszystkich prób losu? Wrócił myślał do tamtej nocy w San Francisco, kiedy kroczył z rękami w kieszeniach szerokimi chodnikami Market Street, nie zwracając uwagi na śmiertelnych.

- Wybacz - rzekł Louis - ale przypominasz mi o tym, co i mówiono U Córy Drakuli, o rozmowach tych osobników, którzy pragnęli dołączyć do niego ostatniego wieczoru.

- Wiem - powiedział Mariusz. - Ale oni byli głupcami i to ja mam rację.

Rozesmiał się cicho. Tak, wierzył w to świat. Znów ciepło objął Louisa. Tylko troszeczkę krwi i Louis byłby silniejszy, to prawda, ale mógłby utracić ludzką delikatność, ludzką mądrość, której nie da się przekazać, i zdolność wyczuwania cierpienia innych, z którą zapewne przyszedł na świat.

Nastąpił dla niego kres nocy. Louis uściśnął rękę Mariuszowi, odwrócił się i ruszył wyłożonym blachą korytarzem tam, gdzie czekał na niego Eryk, by wskazać mu drogę.

Mariusz wrócił do domu.

Miał przed sobą jeszcze godzinę, zanim słońce zmusi go do snu, i chociaż był zmęczony, nie zamierzał z niej zrezygnować. Wszędzie roznosił się cudowny, świeży zapach lasu. Słychać było już ptaki i czysty szmer głębokiego strumienia.

Wszedł do wielkiego pomieszczenia z suszonej cegły, w którym na palenisku gorzał ogień. Idąc bez celu, skierował się do wielkiej makaty zakrywającej niemal połowę ściany.

Dopiero po chwili zrozumiał, co ma przed sobą - góry, doliny, drobne postaci bliźniaczek na zielonej polanie pod palącym słońcem. Powrócił powolny rytm opowieści Maharet i lekko mieniące się obrazy, przekazywane w słowach. Jakże znajoma była mu ta skąpą w blasku słońca polana i jakże różniła się od tego, co widział w snach. Nigdy nie czuł się tak blisko tamtych kobiet! Teraz je poznał; poznał ten dom.

To był tajemniczy splot uczuć, smutek graniczący z czymś niezaprzeczalnie pozytywnym i dobrym. Pociągała go dusza Maharet; uwielbiał jej szczególną złożoność i pragnął kiedyś dać temu wyraz.

Uswiadomił sobie, o czym myśli; na chwile zdolał zapomnieć o goryczy i bólu. Może jego dusza goiła się szybciej, niż sądził, że to możliwe. A może zawdzięczał to temu, że myślał o innych - o Maharet, a wcześniej o Louisie i o tym, w co Louis powinien wierzyć. Cóż, do diabła, Lestat zapewne był nieśmiertelny i zapewne mógł przeżyć to wszystko, nawet gdyby jemu, Mariuszowi, się to nie udało.

Była to tylko drobna hipoteza bez większego znaczenia. Gdzie podziewał się Armand? Czy już ukrył się w ziemi? Gdyby mogli teraz się spotkać...

Ruszył do piwnicy, ale coś go zatrzymało. Przez otwarte drzwi ujrzał dwie postaci, bardzo podobne do tych, które widział na makacie. Były to Maharet i Jesse, stały ramie w ramie przy oknie od wschodniej strony i obserwowały bez ruchu, jak drzewa stopniowo wynurzają się z cienia.

Wstrzasnął nim nagły dreszcz. Musiał złapać się framugi, żeby utrzymać równowagę, kiedy seria obrazów przesłoniła mu świat. To już nie była dzungla; w oddali ciągnęła się szosa, skrecająca chyba ku północy przez nagie, spalone okolice. A to stworzenie zatrzymało się wstrząsniete, ale czym? Obrazem dwóch rudych kobiet? Usłyszał, jak stopy znów podjęły niestrudzone wędrowki; ujrzał stopy okryte błotem, jakby to były jego własne stopy, i dłonie okryte błotem, jakby to były jego własne dłonie. A potem zobaczył łuny ognia na niebie i jęknął głośno.

Kiedy otworzył oczy, podtrzymywał go Armand. Spojrzenie zaszawionych ludzkich oczu Maharet nalegało błagalnie, by wyjawiał, co właśnie zobaczył. Pokój z wolna wrócił do istnienia, w pierwszym ładnym wyposażeniu, a potem bliskie niesmiertelne postaci związane z tym miejscem, a zarazem z żadnym. Zamknął oczy i znów je otworzył.

- Dotarła do naszego południka - rzekł - ale jest wiele kilometrów na wschód. Właśnie wstało tam rozpalone słońce.

Czuł ten śmiercionośny zar! Ona ukryła się w ziemi, czuł i to.

- To daleko stąd na południe - powiedziała Jesse. Jakże krucho wyglądała w półprzezroczystym mroku, z długimi cienkimi palcami zacisniętymi na szczupłych ramionach.

- Nie tak daleko - poprawił ją Armand. - I porusza się bardzo szybko.

- Ale dokąd zmierza? - spytała Maharet. - Czy się zbliża?

Nie czekała na odpowiedź i chyba nie spodziewała się, że ją otrzyma. Obie zakryły dłońmi oczy, jakby ich ból był nie do zniesienia; potem Maharet przygarnęła do siebie Jesse i pocałowałszy ją, życzyła wszystkim dobrego snu.

Mariusz przytknął oczy; próbował jeszcze raz zobaczyć te postaci. Co miała na sobie? Coś prostego, narzuconego jak poncho, z otworem na głowę. Związane w pasie, tak, czuł to. Próbował zobaczyć więcej, ale nie mógł. Czuł jednak moc, niezmierną moc i niepowstrzymany pęd, a poza tym prawie nic.

Kiedy znów otworzył oczy, wokół migotał dzień. Armand był blisko i wciąż go obejmował, ale wydawał się samotny i nieporuszony; przeniósł wzrok na las, który zdawał się napierać na każde okno, podpełzać na samą krawędź werandy.

Mariusz pocałował Armanda w czoło, a potem robił dokładnie to, co on. Przyglądał się, jak pokój jasnieje coraz bardziej, jak światło wypełnia szyby okien; przyglądał się, jak piękne kolory rozświetlają rozległą sieć na gigantycznej makacie.

Rozdział piaty

Opowiesc Lestata - oto jest cialo moje; oto jest krew moja

Kiedy sie obudzilem, bylo cicho, a zapach morza przenikal czyste i cieple powietrze.

Nie mialem najmniejszego pojecia, jaka jest pora. Mialem lekkie zawroty glowy, wiec wiedzialem, ze nie spalem w ciagu dnia. Nie bylem takze w ochronnym zamknieciu.

Chyba podazalismy przez swiat za noca lub raczej bez planu, jako ze Akasza chyba wcale nie potrzebowała snu.

Ja tak, to bylo oczywiste, ale bylem zbyt ciekawy, aby nie chciec sie obudzic, i szczerze mówiac, zbyt rozbity. Poza tym marzyła mi sie ludzka krew.

Ocknałem się w przestronnej sypialni z tarasami wychodzącymi na zachód i północ. Czulem i słyszałem morze, a mimo to powietrze było wonne i raczej spokojne. Bardzo powoli rozejrzałem się po pokoju.

Gdziekolwiek spojrzalem, staly cenne stare meble, najprawdopodobniej włoskie, delikatne, a jednocześnie zdobione, otoczone nowoczesnymi luksusami. Łoże, na którym spoczywałem, miało cztery złożone kolumnienki i jedwabne draperie. Gesty biały dywan zasłaniał stara podłogę. Toaleta z błyszczącymi słojkami i srebrnymi przedmiotami oraz dziwnym, staromodnym telefonem białego koloru. Pluszowe fotele; monstrualny telewizor i półki z aparaturą audio; wszędzie politurowane stoliczki zastawione karafkami z winem i popielniczkami, zarzucone gazetami.

Ludzie mieszkali tu jeszcze godzinę temu; teraz już nie żyli. Na tej wyspie było wielu umarłych. Kiedy tak leżałem, spijając wzrokiem piękno wokół siebie, oczyma duszy ujrzałem wioskę, w której wcześniej byliśmy. Ujrzałem brud, blaszane dachy, błoto. A teraz leżałem w luksusowym buduarze.

Śmierć przyszła i tu. To my ją przyniesliśmy.

Podniosłem się z łóżka, przeszedłem przez taras do kamiennej balustrady i spojrzalem w dół, na białą plażę. Zadnego ładunku na horyzoncie, jedynie łagodne, rozkolysane morze. Koronka piany ustępujących fal lśniła w blasku księżyca. Byłem w starym, zniszczonym przez pogodę i niepogodę pałacu, zapewne wzniesionym jakieś cztery wieki temu, obstawionym urnami i cherubinami. Chociaż lizaję wypełzły na tynki, nadal był przepiękny. Światło przebijało zza pomalowanych na zielono okiennic innych pokoi. Na niższym tarasie, tuż przede mną, był mały basen.

A przede mną, tam, gdzie plaża skręcała w lewo, dostrzegłem inną wdzięczną budowlę wrosłą w nadmorskie skały. Tam też umarli ludzie. To grecka wyspa, byłem o tym przekonany; to Morze Śródziemne.

Kiedy nateczyłem słuch, dotarły do mnie wrzaski z głębi ładunku, zza wzgórza. Tam mordowano ludzi. Oparłem się o framugę drzwi. Walczyłem z szalenczym biciem serca.

Nagle odżyło we mnie wspomnienie jatek w świątyni Azima - w przeblysku pamięci ujrzałem siebie samego idącego przez cizbę mężczyzn i kobiet, przesywającego niewidzialnym ostrzem ludzkie ciała. Czulem tamto pragnienie. A może to była tylko zadza? Znow ujrzałem splatane konczyny, zmasakrowane ciała powykręcane w ostatnim stadium oporu, twarze usmarowane krwią.

To nie moja robota, nie mogłem... - zaprzeczałem w myślach faktom. Bez powodzenia.

Poczułem won ognisk, ognisk takich jak na dziedzińcu Azima, w których spalano trupy. Od tego smrodu zbierało mi się na wymioty. Odwróciłem się w kierunku morza i wciągnąłem w płuca świeże powietrze. Jeśli na to pozwolę, dotra głosi, głosi z całej wyspy i z innych wysp, i z pobliskiego ładu. Czulem ten dźwięk; wisiał w powietrzu, czekał. Musiałem go odepchnąć.

W pobliżu usłyszałem kobiece głosi. Zbliżały się do sypialni. Odwróciłem się akurat na czas, by zobaczyć, jak otwierają się podwójne drzwi i do pokoju wchodzi kobiety w prostych bluzkach, spódniczkach i chustkach na głowach. W tym pstrym tłumie były młode piękności, wyniosłe, dojrzałe matrony i nawet zupełnie watele staruszki o ciemnej pomarszczonej skórze i śnieżnobiałych włosach. Przyniosły wazon z kwiatami i stawiały je wszędzie. A potem jedna z nich, niesmiała szczupła istota o pięknej szyi, wystąpiła z wdziękiem przed tłum i zaczęła zapalać lampy.

Czulem zapach ich krwi. Czemu był tak silny i necacy, skoro nie czulem pragnienia?

Nagle zeszły się w środku pokoju i skupiły na mnie spojrzenia; miałem wrażenie, że wpadły w trans. Stałem na tarasie, patrzeć na nie, i nagle zdałem sobie sprawę, co widzą. Mój porwany strój - wampirze szmaty, czarna kurtka, biała koszula i peleryna - cały był splamiony krwią.

Moja skóra bardzo się zmieniła. Byłem bielszy i oczywiście bardziej upiorny. A moje oczy z pewnością ślasy silniejszy blask. Może też dałem się zwiesć naiwna reakcja przybyłych. Kiedy wcześniej widziały kogos z naszych?

Tak czy inaczej... wszystko to było jak sen: te nieruchome kobiety o czarnych oczach i skupionych obliczach - nawet wyniosłe niewiasty miały ściagniete twarze - wpatrzone we mnie, a potem padające jedna po drugiej na kolana. Ach, na kolana. Miały oszalały wyraz twarzy ludzi, którzy właśnie zetknęli się z czymś nadzwyczajnym; widziały zjawę, a ironia sytuacji polegała na tym, że to one wydawały mi się zjawami.

Niechętnie zacząłem czytać w ich myślach.

Widziały Blogosławioną Matkę. Ona tak się tu objawiła, jako Madonna, Dziewica. Przybyła do ich wioski i nakazała im wymordować synów i mężów, nawet niemowlęta. One to zrobiły albo były świadkami, jak to robiono, i teraz płynęły na fali wiary i radości. Były świadkami cudu; przemawiała do nich sama Blogosławiona Matka. Przedwieczna Matka, która zawsze zamieszkiwała groty na tej wyspie, jeszcze przed Chrystusem, Matka, której drobne nagie posazki znajdowano w ziemi to tu, to tam.

W jej imieniu zwały kolumny zrujnowanych świątyń, które przyjeżdżali oglądać turyści; spalili jedyny kościół na wyspie; wybili okna zerdziami i kamieniami. Stare freski też splonęły. Marmurowe kolumny, rozbite na kawałki, wrzuciły do morza.

A ja, kim ja byłem dla nich? Nie tylko bogiem. Nie tylko wybrancem Blogosławionej Matki. Nie, kims innym. Stałem oszłomiony w sieci spojrzeń, pełen odrazy wobec przekonanych tych śmiertelnych, a jednak zafascynowany i wystraszony.

Oczywiście, nie była to fascynacja nimi, ale wszystkim, co się działo, tym cudownym uczuciem, które budziły skierowane ku mnie spojrzenia, zachwytem, z jakim smiertelnie śledzili mnie na scenie. Patrzyli na mnie i czuli moją moc po tych wszystkich latach ukrywania się. Przybyli, by oddać mi boską część, jak wszystkie te biedne istoty rozrzucone na górskim szlaku. Ale tamci oddawali boską część Azimowi, czy nie tak? Przybyli do niego, aby umrzeć.

Koszmar. Muszę to odwrócić, muszę to zatrzymać; muszę się zdobyć na odrzucenie tego do najmniejszej cząstki!

Przecież jeszcze zaczęły wierzyć, iż naprawdę jestem... Wiem, kim jestem, nieprawdaz? A te biedne, nieuczzone kobiety, traktujące odbiorniki telewizyjne i telefony jak cud, kobiety, dla których sama zmiana jest rodzajem cudu... One obudzą się jutro i zobaczą, co uczyniły!

Wtedy ogarnął nas spokój - i kobiety, i mnie. Napłynął znajomy zapach kwiatów, poczułem, że działa urok. Kobiety otrzymywały instrukcje bez słów, za pośrednictwem umysłów.

Wszczął się niewielki ruch; dwie z nich powstały z kolan i weszły do łazienki - jednej z tych gigantycznych marmurowych izb uwielbianych przez zamożnych Włochów i Greków. Płynęła gorąca woda; z otwartych drzwi buchala para.

Inne podeszły do garderoby i wyjęły świeże ubrania. Właściciel tego pałacyku był bogaty; biedaczysko, zostawił papierosa w popielniczce i tłuste odciski palców na słuchawce białego telefonu.

Inna para kobiet podeszła do mnie. Chciały zaprowadzić mnie do łazienki. Poczułem ich dotyk - dotykające mnie gorące ludzkie palce i towarzyszący temu wstrząs i podniecenie, kiedy kobiety wyczuły niesamowitą fakturę mojego ciała. Te dotknięcia wzbudziły we mnie niesłychany, cudowny dreszcz. Patrzyły na mnie piękne, ciemne, wilgotne oczy. Pociągnęły mnie za sobą ciepłymi dłońmi; chciały, żebym z nimi poszedł.

W porządku. Uległem. Białe marmurowe płytki, rzeźbione złote krany, prawdziwy starożytny rzymski splendor, polyskujące butelki z płynami do kąpieli i pachnidłami zapelniające marmurowe półki. A w wannie tafla gorącej wody i dysze pompujące strumienie pecherzyków powietrza, wszystko bardzo zachęcające; tak byłoby w każdej innej chwili.

Zdjęły ze mnie ubranie. To było fascynujące uczucie. Nigdy się mna tak nie opiekowano, nigdy od czasów, kiedy byłem żywy, a i wtedy tylko we wczesnym dzieciństwie. Stałem w gorących oparach, przyglądając się drobnym, ciemnym dłońmi i czując, jak włoski stają mi na całym ciele; czułem adorację w oczach tych kobiet.

Poprzez kleby pary spojrzałem w lustro, a właściwie w scianę luster, i zobaczyłem siebie po raz pierwszy od początku tej złowrożej odysei. Ten wstrząs był nie do zniesienia.

To nie mogę być ja! - coś krzychało mi w głowie.

Byłem znacznie bladejszy, niż to sobie wyobrazałem. Lagodnie odepchnąłem kobiety i podeszedłem do luster. Moja skóra miała perłowy blask, a oczy, bardziej promienne niż niegdyś, były przeniknięte lodowatym światłem i łączyły w sobie wszystkie kolory. Mimo to nie wyglądałem jak Mariusz ani jak Akasza. Na mojej twarzy pozostały zmarszczki.

Krew Akaszy wybieliła mnie, ale zachowałem ludzki wygląd. Co dziwne, kontrast sprawiał, że wszystkie te zmarszczki były tym bardziej widoczne. Nawet drobne fałdki na palcach pogłębiły się w

porównaniu z tym, co było dawniej.

Ale cóż to za pocieszenie, skoro tym bardziej zwracałem uwagę swoim zdumiewającym, wręcz nieludzkim wyglądem? Czulem się nawet gorzej niż w tamtej chwili, dwadzieścia lat temu, kiedy w jakas godzinę po śmierci ujrzałem swe odbicie w lustrze i szukałem w nim własnego człowieczeństwa. Teraz po prostu się bałem.

Przyglądałem się sobie w szklanej tafli; mój tors miał biel marmurowego, muzealnego popiersia. A ten organ, organ, którego nie potrzebujemy, był sprezony, jakby gotów do czegoś, czego nigdy już nie będzie potrafił ani nie będzie chciał robić, był jak z marmuru. Priap skazany na wieczne czekanie.

Oszolomiony patrzyłem na podchodzące kobiety; na cudowne szyje, piersi, ciemne, wilgotne kończyny. Patrzyłem, jak dotykały mnie całego. Zgadza się, w ich oczach byłem piękny.

W klebach pary zapach ich krwi był silniejszy. Jednak nie byłem spragniony, nie naprawdę. Akasza napelniła mnie, ale ta krew przyprawiała mnie o meki, o prawdziwe meki.

Chciałem ich krwi - i nie miało to nic wspólnego z pragnieniem. Chciałem jej tak, jak człowiek chce szlachetnego wina, chociaż napił się wody. Moje pragnienie było pomnożone przez dwadzieścia, trzydzieści lub sto. Prawde mówiąc, było tak przemożne, że potrafiłem sobie wyobrazić, że biore je wszystkie, rozdieram te delikatne gardła jedno po drugim i zostawiam trupy na podłodze.

Nie, to się nie zdarzy - przekonywałem sam siebie. Grozny oscień tego pozadania sprawiał, że zbierało mi się na płacz. Co mi uczyniono! - myślałem jak w gorączce. Ale przecież wiedziałem, no nie? Wiedziałem, że jestem tak silny, że dwudziestu mężczyzn nie zdołaloby mnie ujarzmić. Pomysleć tylko, co bym im zrobił. Gdybym chciał się stąd uwolnić, mógłbym unieść się i przeniknąć przez sufit. Mogłem zrobić rzeczy, o których nawet nie marzyłem. Prawdopodobnie miałem dar ognia; mogłem spalić wszystko, co ujrzałem na swojej drodze, tak jak ona to robiła, tak jak wedle swoich słów mógł robić to Mariusz. To tylko kwestia siły. I oszalamiających wyczyn świadomości, otwartości...

Kobiety całowały mnie. Całowały moje ramiona. Jak cudowne były te drobne doznania, te delikatne przycisnięcia warg do mojej skóry. Nie potrafiłem się powstrzymać od uśmiechu, obejmowałem je łagodnie, całowałem, wtulając usta w rozgrzane, wiotkie szyje i czując napór kobiecych piersi na swoje zębra. Byłem całkowicie otoczony tymi podatnymi na uścisk stworzeniami, otulało mnie soczyste ludzkie mięso.

Wszedłem do głębokiej wanny i oddałem się w ich ręce. Gorąca woda opływała mnie, wspaniale zmywając cały brud, który naprawdę nigdy do nas nie przylega, nigdy nas nie przenika. Zadarłem głowę do tyłu, pozwalając umyć swe włosy gorącą wodą.

Tak, co za wyjątkowa rozkosz. A jednak nigdy nie byłem tak samotny. Tonałem w tych hipnotycznych doznaniach. Byłem bezwolny, ponieważ tak naprawdę nie mogłem nic zrobić.

Kiedy skończyły, wybrałem sobie perfumy i kazałem pozbyć się innych. Mówiłem po francusku, ale chyba mnie rozumiały. Ubrały mnie w rzeczy wybrane przeze mnie spośród tego, co mi przyniosły. Pan domu lubił ręcznie szyte płócienne koszule, tylko trochę na mnie za duże, i lubił też ręcznie szyte buty, które niezłe na mnie pasowały.

Wybrałem garnitur z szarego jedwabiu o bardzo współczesnym, swobodnym kroju. Srebrna biżuteria. Srebrny zegarek właściciela i jego spinki do mankietów z drobnymi diamentkami. I nawet niewielka, diamentowa szpilka do kłapy marynarki. Czulem się dziwnie, założysz te wszystkie rzeczy; miałem

wrażenie, że zarazem czuje swoją skórę i jej nie czuje. Wtedy nastąpiło déjà vu sprzed dwustu lat. Wrócili stare pytania śmiertelnika. Czemu, do diabła, dzieje się to wszystko? Jak nad tym zapanować?

Przez chwilę rozważałem, czy można się tym nie przejmować? Czy mogę zdobyć się na dystans i spojrzeć na te wszystkie stworzenia, którymi się karmiłem, jak na coś z innej planety? Okrutnie wyrwano mnie z ich świata! Gdzie dawna gorycz, wymówka dla nie kończącego się okrucieństwa? Czemu zawsze skupiała się na drobiazgach? Nie chodzi o to, że życie jest drobiazgiem. Och nie, żadne życie nim nie jest! Prawde mówiąc, na tym to wszystko polega. Czemu ja, ten, który zabijał z taką obojętnością, uchylałem się przed wizją zniszczenia wspaniałych zwyczajów tych istot? Czemu serce podchodziło mi do gardła? Czemu płakałem w środku, jakby coś we mnie umierało?

Może jakiś inny czar uwielbiałby to; jakiś wynaturzony i pozbawiony skrupułów niesmiertelny szydziłby z tej wizji, a równocześnie wślizgnąłby się w szaty boga tak łatwo jak ja do tej perfumowanej kąpieli.

Nic nie mogło dać mi tej swobody, nic. Jej przyzwolenie nic nie znaczyło, jej moc w ostatecznym rozrachunku była tylko innym poziomem tego, co wszyscy posiadaliśmy. A owo coś nigdy nie ułatwiało staran i trudu; przeżywalismy piekielne meki, bez względu na to, jak często spoglądaliśmy w twarz zwycięstwu bądź klęsce.

Nie mogło być mowy o podporządkowaniu epoki woli jednostki; jej plan musiał jakos zostać pokrzyżowany i jeśli tylko zachowam spokój, znajdzie na to sposób.

A przecież śmiertelni dopuszczali się względem siebie potworności; barbarzyńskie hordy zalewały całe kontynenty, niszczyć wszystko po drodze. Czy ludzkość ludzacz się podbojem i panowaniem, wykazywała tylko ludzkie cechy? To bez znaczenia. Nieludzkie były środki, których używała do realizacji swoich celów!

Znow zacząłbym płakać, gdybym nie przestał szukać rozwiązania; a te biedne wrażliwe stworzenia wokół mnie byłyby jeszcze bardziej poranione i zagubione.

Kiedy zakryłem twarz dłońmi, nie odsunęły się. Czesaly mi włosy. Ciarki przeszły mi po plecach, a cichy łomot krwi w ich żyłach nagle stał się ogłuszający.

Powiedziałem im, że chcę być sam. Nie mogłem już wytrzymać pokusy. Przysięgnęłam, że wiedziały, czego chcę, a jednak były gotowe ulec. Ciemne, słone ciała były tak blisko mnie. Pokusa była zbyt silna. Bez względu na to, co czuły naprawdę, usłuchały mnie natychmiast i z pewnym lekkiem. Opuszczyły pokój w milczeniu, wycofując się, jakby zwyczajne wyjście było niewłaściwe.

Popatrzyłem na zegarek. Noszenie zegarka, który wskazywałby mi czas, wydało mi się bardzo zabawne. Nagle poczułem rozdrażnienie i zegarek się rozsypał! Szkło się rozprysło i wszystko wypadło z rozerwanej, srebrnej koperty. Bransoletka pękła, srebrny owal spadł z przegubu na podłogę, błyszczące kółka znikły w dywanie.

- Dobry Boże! - szepnąłem. A przecież to było możliwe, jeśli potrafiłem rozdzielić arterie lub serce. Jednak musiałem kontrolować tę moc, nie mogłem pozwolić jej na samowolę.

Rozejrzałem się i wybrałem na chybił trafił małe lustro w srebrnej ramce. - Peknij! - pomyślałem i rozleciało się na błyszczące odłamki. W głuchej ciszy słyszałem, jak uderzały o ściany i blat toaletki.

No cóż, to było użyteczne, diablo bardziej użyteczne niż zdolność zabijania ludzi. Wpatrywałem się w telefon na skraju toaletki. Skoncentrowałem się, pozwoliłem mocy się skupić, a potem świadomie

obniżylem ją i postarałem się wolno przesunąć aparat telefoniczny po szklanej płycie zakrywającej marmur. Tak. W porządku. Małe buteleczki zakolysały się i poprzewracały, kiedy przepychał się między nimi. Ustabilizowałem je, jednakże nie potrafiłem ich poustawiać. Nie potrafiłem ich podnieść. Och, czekajcie, alez tak, potrafiłem. Wyobraziłem sobie rekę, jak je ustawia. Z pewnością moc nie zastosowała się dosłownie do tego obrazu, ale użyłem go, nadając mocy kształt działania. Uporządkowałem buteleczki. Podniosłem tę, która upadła, i odstawiłem na miejsce.

Usiadłem na łóżku, żeby to przemyśleć, ale ciekawość była zbyt silna, bym ograniczył się do myślenia. Zdałem sobie sprawę z czegoś ważnego: miałem do czynienia ze zjawiskiem fizycznym, z energią. Nie było to nic innego jak moc, którą posiadałem już dużo wcześniej. Na przykład niedługo po tym, jak Magnus mnie stworzył, udało mi się przesunąć kogos po pokoju - to był mój ukochany Nicolas, z którym się klóciłem - jakbym uderzył go niewidzialną piestką. Byłem wtedy wściekły, a później nie udało mi się już powtórzyć tej sztuczki. To była ta sama moc, ta sama sprawdzalna i wymierna cecha.

- Nie jesteś bogiem - powiedziałem. Ale ten wzrost mocy, ten nowy wymiar, jak trafnie mówią w tym stuleciu... Hm...

Patrzac w sufit, postanowiłem unieść się powoli i dotknąć go, przesunąć dłoń po gipsowym fryzie obiegającym sznur kandelabru. Poczulem mdłości i wtem zdałem sobie sprawę, że unosi się pod sufitem. A moja dłoń, proszę, wyglądało na to, że moja dłoń przenika gips. Opuszciliśmy się trochę i spojrzaliśmy w dół.

Zrobiłem to, nie zabierając ze sobą ciała! Nadal siedziałem na skraju łóżka. Wytrzeszczałem oczy na samego siebie, na czubek własnej głowy. Ja - moje ciało w każdym razie - siedziałem tam bez ruchu, jak we śnie, wpatrzony w ściany. Wróć - nakazałem sobie w myślach. I wróciłem, dzięki Bogu, a moje ciało było w porządku. Potem spojrzeliśmy na sufit i usiłowaliśmy zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

No cóż, wiedziałem, o co chodzi. Sama Akasha powiedziała mi, że jej duch podróżował poza ciałem. Śmiertelnicy zawsze robili takie rzeczy, a przynajmniej tak utrzymywali. Od najdawniejszych czasów pisywali o takich niewidzialnych podróżach.

Niemal mi się to udało wtedy, kiedy próbowałem zajrzeć do świątyni Azima, kiedy opuściłem swoje ciało, a ona zatrzymała je, bo zaczęło spadać. Wcześniej było jeszcze kilka przypadków... Ale zazwyczaj nie wierzyłem w te wszystkie opowieści śmiertelnych.

Teraz wiedziałem, że też jestem do tego zdolny. Ale wcale nie chciałem, żeby to się działo przypadkiem. Zdecydowałem się unieść do sufitu, ale tym razem z ciałem, i dokonałem tego w jednej chwili! Byłem tam, przyciskałem się do gipsu, i tym razem moja ręka nie przeniknęła przez sufit. W porządku.

Wróciłem na dół i zdecydowałem się powtórzyć operację po raz kolejny. Teraz tylko duchem! Znowu wróciły mdłości, popatrzyłem z góry na swoje ciało, a potem wzniosłem się przez dach palacu. Podróżowałem ku morzu. Jakże inaczej wyglądał świat: nie byłem pewien, czy to prawdziwe niebo lub prawdziwe morze. To były jakby zamglone repliki jednego i drugiego i wcale mi się to nie podobało, ani trochę. Nie, dziękuję. Zawracam! A może sciągnąć ciało do siebie? Próbowałem, ale absolutnie nic się nie stało i wcale nie byłem tym zaskoczony. To był rodzaj halucynacji. Tak naprawdę nie opuściłem ciała i powinienem przyjąć to do wiadomości.

A Mala Jenks? Co z pięknymi wizjami, które miała Mala Jenks, kiedy się uniosła? Czy to były halucynacje? Nigdy się nie dowiem, prawda?

Wróć!

Siedze. Skraj łózka. Wygoda. Pokój. Wstałem i przechadzałem się przez chwile, patrząc na kwiaty, na ciemne lodygi, dziwne odbicia światła lamp na białych płatkach, złote lśnienia na powierzchniach zwierciadeł i wszystkie inne cudowne zjawiska.

Nagle otaczające mnie szczegóły, niesłychane bogactwa tego pokoju, przytłoczyły mnie.

Padłem na fotel przy łóżku. Wyciągnąłem się na pluszu, słuchałem mocno bijącego serca. Nie cierpiałem być niewidzialny, wychodzić z ciała! Ani mi się sniło to powtarzać!

Usłyszałem śmiech; lekki, łagodny śmiech. Zdąłem sobie sprawę z obecności Akaszy, była tam, gdzieś za mną, może w pobliżu toaletki.

Dźwięk jej głosu, jej obecność dostarczyły mi nagłego zadowolenia. To uczucie było zaskakująco silne. Chciałem ją zobaczyć, ale nie ruszyłem się z miejsca.

- Podróżowanie poza ciałem jest moca, którą dzielisz ze śmiertelnymi - powiedziała. - Oni stale robią tę sztuczkę.

- Wiem - rzekłem rozczarowany. - Niech ją sobie robią. Bylebym ja mógł latać, nie rozstając się z ciałem.

Znów się rozesmiała łagodnym, pieszczącym śmiechem, który słyszałem w snach.

- W dawnych czasach - mówiła - ludzie udawali się do świątyn, by to zrobić; pili napary sporządzane przez kapłanów, a podczas podróży do nieba spotykali się z największymi tajemnicami życia i śmierci.

- Wiem. Zawsze myślałem, że są pijani albo zacpani na amen, jak się to dzisiaj mówi.

- Jesteś brutalny - szepnęła. - Twoje reakcje są tak szybkie.

- To ma być brutalność? - spytałem. Znów poczułem won ognisk płonących na wyspie. Mdlilo mnie. Dobry Boże - pomyślałem. - A my rozmawiamy tu, jakby nic się nie działo, jakbyśmy nie wnikli w ich świat pełen koszmarów...

- A latanie wraz z ciałem cię nie przeraża? - zapytała.

- Przeraża, wiesz o tym - powiedziałem. - Kiedy odkryje granice? Czy mogę siedzieć tutaj i zabijać śmiertelnych, którzy są wiele kilometrów dalej?

- Nie. Odkryjesz granice o wiele szybciej, niż myślisz. To jak każda inna tajemnica. Tak naprawdę nie ma żadnej tajemnicy.

Rozesmiała się. Przez ułamek sekundy znów słyszałem głosy, rosnący przypływ, ale rozplynął się w autentycznych dźwiękach - krzykach niesionych przez wiatr, dochodzących z wioski na wyspie. Palono małe muzeum ze starożytnymi greckimi posągami. A z nim ikony i bizantyjskie malowidła.

Cała sztuka szła z dymem. Życie szło z dymem.

Nagle zapragnąłem ją zobaczyć, ale nie potrafiłem znaleźć jej odbicia w zwierciadłach. Poddąłem się.

Stała przy toalecie. Także zmieniła ubiór i uczesanie, była jeszcze bardziej wysublimowana, cudowna, a równocześnie beczasowa jak poprzednio. Trzymała ręczne lustro i przeglądała się w nim, ale tak naprawdę nie patrzyła na nic; słuchała głosów ja też znów je usłyszałem.

Przeszedł mnie dreszcz; Akasza przypominała dawną siebie, zamarła, siedząca w świątyni. Po chwili jakby się obudziła, znów popatrzyła do lustra, potem na mnie i odłożyła je.

Włosy miała rozpuszczone, rozplotła wszystkie warkoczki, czarne fale opadały swobodnie na ramiona, ciężkie, mieniące się i zapraszające do pocałunków. Suknia wyglądała tak, jakby kobiety uszyły ją dla niej z ciemnego, karmazynowego jedwabiu znalezionego tutaj. Materiał nadawał lekki rumieniec policzkom piersiom, tylko na wóół przysłoniętym luznymi faldami, które wspinały się do ramion i były chwyczone złotymi zapinkami. Naszyjniki, które miała na sobie, były całkowicie współczesne, ale obfitość nadawała im archaiczny wygląd: perły, złote lancuchy, opale, a nawet rubiny. Na promiennej skórze wszystkie te ozdoby wydawały się jakos nierzeczywiste! Roztapiały się w świetle, jakim jarzyła cała postać, jednoczyły się z blaskiem oczu i lśnieniem warg.

Pasowała do najbardziej bogatego palacu wyobraźni, jednocześnie zmysłowa i boska. Znów zapragnąłem jej krwi, krwi bez słodkich woni i bez zabijania. Pragnąłem podejść do niej i dotknąć skóry, która wydawała się nieprzenikniona, ale peklaby jak delikatna polewa tortowa.

- Wszyscy mężczyźni na tej wyspie nie żyją, czy tak? - zapytałem. To było wstrząsające, zadać to pytanie.

- Wszyscy z wyjątkiem dziesięciu. Na tej wyspie było siedmiuset ludzi. Siedmiu zostało wybranych, aby żyć.

- A pozostali trzej?

- Sa dla ciebie.

Wpatrywałem się w nią. Dla mnie? Poządanie krwi uległo pewnej zmianie, autorewizji, objęło krew zarówno jej, jak i ludzka - gorąca, bulgocząca, tak słodko pachnąca, tak... Ale nie miałem takiej fizycznej potrzeby. Nadal nazwałbym to pragnieniem, ale w rzeczywistości było czymś silniejszym.

- Nie chcesz ich? - zapytała z lekkim szyderstwem, uśmiechając się do mnie. - Mój niechety bozku, który uchylasz się od obowiązku. Wiesz, przez tamte wszystkie lata, kiedy cie słuchałam, jeszcze zanim stworzyłeś piosenki na moją cześć, uwielbiałam to, że brales tylko twarde sztuki, młodych mężczyzn. Uwielbiałam to, że polowałeś na złodziei i zabójców; że lubiles polykać ich całe zle „ja”. Gdzie jest teraz twoja odwaga? Twoja impulsywność? Twoje pragnienie, żeby zanurzyć się w tym po szyję?

- Czy te ofiary, które czekają na mnie, to zli ludzie? - spytałem.

- Czy to tchórzostwo? - Zweziła oczy. - Czy rozmach planu cie przeraża? Bo zabijanie na pewno znaczy dla ciebie niewiele.

- Och, mylisz się - powiedziałem. - Zabijanie zawsze coś znaczy. Tak, rozmach planu mnie przeraża. Chaos, kompletna utrata moralnej równowagi znaczy wszystko. To przecież nie tchórzostwo, prawda? - Byłem pełen podziwu dla własnego spokoju i pewności siebie. Ani jedno, ani drugie nie było jednak prawdziwe i ona o tym wiedziała.

- Pozwól, że uwolnię cie od obowiązku stawiania oporu - rzekła. - Nie możesz mnie zatrzymać.

Kocham cie, powiedzialam ci to. Lubie patrzec na ciebie. To napelnia mnie szczesciem. Ale nie masz na mnie wplywu. To absurdalny pomysl.

Patrzylismy na siebie w milczeniu. Usilowalem znalezc slowa, w których mógłbym wyrazic, jak jest piekna, jak przypomina stare egipskie wizerunki ksiezniczek o lśniących perukach i na zawsze zapomnianych imionach. Usilowalem zrozumiec, dlaczego serce mi peka, chociaz patrze na nia; a równocześnie nie myslalem o tym, ze jest piekna, lecz o tym, co mówiła.

- Dlaczego wybralas ten sposób? - zapytałem.

- Wiesz dlaczego - powiedziala z cierpliwym uśmiechem. - Jest najlepszy. To jedyny sposób. Czysta wizja po stuleciach szukania rozwiazania.

- To nie moze byc prawda. Nie wierze.

- Oczywiscie, ze to prawda. Czy myslisz, ze ja zdecydowalabym sie pod wplywem impulsu? Nie podejmuje decyzji tak jak i ty, mój ksiaze. Cenie niezmiernie twoja mlodziencza spontanicznosc, ale w moim wypadku to sprawa dawno miniona. Ty myslisz w kategoriach ludzkiego zycia, w kategoriach malych dokonani i ludzkich przyjemnosci. Ja przez tysiacie lat przemyslalam plany dla swiata, który jest teraz mój. Dowody sa tak przytlaczajace, ze musze postepowac zgodnie z tym, do czego doszlam. Nie moze zmienic ziemi w ogród, nie moze stworzyc edenu ludzkiej wyobrazni - chyba ze prawie calkowicie wyeliminuje ród meski.

- Chcesz przez to powiedziec, ze zabijesz czterdziesti procent ziemskiej populacji? Dziewiecdziesiat procent wszystkich mezczyzn?

- Czy zaprzeczysz, ze to polozy kres wojnie, gwałtowi, przemocy?

- Ale rzecz w...

- Odpowiedz na pytanie. Czy zaprzeczysz, ze to polozy kres wojnie, gwałtowi, przemocy?

- Zabicie wszystkich na pewno polozy im kres!

- Nie baw sie ze mna. Odpowiedz na pytanie.

- Czyz to nie zabawa? Cena jest nie do przyjecia. To szalenstwo, to masowy mord, to przeciwnie naturze.

- Nie emocjonuj sie tak. Zadne z tych oskarzen nie jest prawdziwe. Naturalne jest to, co zostalo zrobione. Myslisz, ze w przeszlosci ludzie nie ograniczali liczby dzieci plci zenskiej? Nie wiesz, ze zabijali je milionami, bo chcieli tylko chlopców, przyslych mezczyzn, którzy mogliby isc na wojne? Och, nic potrafisz sobie tego wyobrazic. Teraz beda przedkladac dziewczynki nad chlopców i nie bedzie wojny. A co z innymi przestepstwami popelnionymi przez mezczyzn wobec kobiet? Gdyby jakis naród popelnil takie zbrodnie na innym narodzie, czy nic zostalby skazany na eksterminacje? A jednak noca i dniem, jak kula ziemaska dluga i szeroka, popelnia sie je bez konca.

- W porzadku, to prawda. Niewatpliwie. Ale czy twoje rozwiazanie jest lepsze? Wymordowanie wszystkich osobników plci meskiej to ohyda. Przeciez jesli chcesz panowac... - Ale nawet ja nie potrafilem sobie tego wyobrazic. Przypomnialem sobie slowa Mariusza, wypowiedziane dawno temu, kiedy zylysmys jeszcze w epoce pudrowanych peruk i atlasowych pantofli - ze stara religia,

chrześcijaństwo, umiera i może pojawi się nowa:

„Może powstanie coś wspaniałego - rzekł wtedy Mariusz - świat naprawdę zrobi krok do przodu, zostawiając za sobą wszystkich bogów i boginie, diabły i anioły...”

Czy nie takie było prawdziwe przeznaczenie świata? Przeznaczenie, do którego zmierzaliśmy bez naszej interwencji?

- Ach, marzyciel z ciebie, mój piękny - osadziła mnie ostro. - Jakże przebierasz w swoich iluzjach! Spójrz na kraje wschodu, gdzie pustynne plemiona, bogate teraz w naftę, która dobywają spod piasków, zabijają się nawzajem w imię Allacha, Swojego boga! Religia nie umarła na tej planecie, nigdy nie umrze! Jacyż z was szachisci, ty i Mariusz. Wasze idee to jedynie pionki. Nie potraficie spojrzeć poza szachownicę, na której szeregujecie je to tak, to inaczej, jak odpowiada to waszym etycznym duszyczkom.

- Mylisz się - powiedziałem gniewnie. - Może nie i względem nas. My się nie liczymy. Mylisz się względem tego wszystkiego, co zaczęłaś. Mylisz się.

- Nie, nie mylę się. Nikt nie może mnie powstrzymać, ani w mężczyzna, ani niewiasta. Po raz pierwszy, od kiedy mężczyzna uniósł maczugę, by powalić swojego brata, ujrzymy, czego kobiety muszą nauczyć mężczyzn, żeby mogli żyć w świecie przez nie stworzonym! Tylko jeśli mężczyźni pokażą, że nauka nie jest daremna, będzie im znów wolno swobodnie poruszać się wśród kobiet!

- Musi być jakiś inny sposób! Bogowie, omylnie ze mnie stworzenie, słabe, nie lepsze niż większość mężczyzn na tej ziemi. Nie znajduję teraz argumentów, które mogłyby uratować ich życie. Nie znajduję niczego, co mogłoby uzasadnić moje. Akaszo, przez miłość do wszystkich żywych istot, błagam cię, zaprzestan tego masowego mordów...

- Ty mówisz mi o morderstwie? Opowiedz mi o wartości jednego ludzkiego życia, Lestacie. Czy nie jest bezcenne? Jak wiele razy niszczyłeś je? Krew jest na naszych rekach, na rekach nas wszystkich, tak jak mamy ją w naszych żyłach.

- Tak, właśnie. Nie jesteśmy wszechmądrzy i wszechwiedzący. Błagam cię, przestan, zastanów się... Akaszo, przecież Mariusz...

- Mariusz! - Rozesmiała się łagodnie. - Czego nauczył cię Mariusz? Co ci dał? Co ci naprawdę dał?

Nie odpowiedziałem. Nie mogłem. A jej uroda oszalała mnie! Nie odrywałem oczu od krągłości jej ramion, od dołeczków w policzkach.

- Mój drogi - powiedziała. Jej twarz nagle stała się czuła i łagodna. - Wspomnij swoją wizję Ogrodu Bestii, w którym obowiązują tylko zasady estetyki - prawa rządzące ewolucją wszystkich istot, wielkich i małych - ogrodu cudownego bogactwem kolorów, kształtów i piękna! W naturze piękno jest wszędzie, gdzie się spojrzysz. Także śmierć towarzyszy jej wszędzie. Ja tymczasem stworzę eden, wymarzony eden, i będzie on lepszy niż natura! Zrobisz coś więcej. Krancowo niszczący, amoralny gwałt natury będzie odkupiony. Nie rozumiesz, że mężczyźni stają jedynie na to, by marzyć o pokoju? I że kobiety mogą zrealizować to marzenie? Moja wizja jest w sercu każdej kobiety, ale nie może przetrwać w zarze męskiego gwałtu! Ten gwałt jest tak straszliwy, że nawet ziemia może nie przetrwać.

- A może ty czegoś nie rozumiesz? - powiedziałem. Miotalem się, szukając właściwych słów. - Załóżmy, że dwoistość męskość-kobiecość jest niezbędna dla ludzkiego gatunku. Załóżmy, że kobiety chcą

mezczyzn, założmy, że powstana przeciwko tobie i beda usilowaly ich ochronic. Swiat to nie ta mala prostacka wysepka! Nie wszystkie kobiety sa wiesniaczkami oslepionymi przez twoje wizje!

- Czy myslisz, że mezczyzni sa wlasnie tym, czego chca kobiety? - zapytala. Przynelena sie blizej, jej twarz zmienila sie niedostrzegalnie w grze swiatla. - Czy o to ci chodzi? Jesli tak, to oszczedzmy kilku mezczyzn wiecej i trzymajmy ich tam, gdzie bedzie mozna na nich patrzec, jak te kobiety patrzyly na ciebie, i dotykac, jak one dotykaly ciebie. Bedziemy trzymac ich tam, by kobiety mialy ich na swoje zawolanie, a zapewniam cie, że nie beda tak wykorzystywani, jak kobiety byly wykorzystywane przez mezczyzn.

Westchnalem. Wszystkie argumenty byly daremne. Miala absolutna racje i absolutnie sie mylila.

- Krzywdzisz sam siebie - powiedziala. - Znam twoje argumenty. Rozwazalam je przez wieki, tak jak rozwazalam swoje pytania. Myslisz, że na moje postepowanie wplywaja ludzkie ograniczenia. To nieprawda. Zeby mnie zrozumiec, musisz myslec w kategoriach niewyobrazalnych mozliwosci. Predzej zrozumiesz tajemnice rozszczepienia atomu lub czarnych dziur w przestrzeni kosmicznej.

- Musi byc jakis sposob wykluczajacy smierc. Musi byc sposob, który zatriumfuje nad smiercia.

- Alez to wlasnie jest sprzeczne z natura, mój piekny. Nawet ja nie potrafię polozyc kresu umieraniu. - Przerwala, jakby byla gleboko poruszona slowami, które wlasnie wypowiedziala. - Polozyc kres umieraniu - szepnela. Jakies osobiste zmartwienie nawiedzilo jej mysli. - Polozyc kres umieraniu. - Oddalala sie ode mnie. Zamknela oczy, podniosla palce do skroni.

Znów slyszala glosy; dopuszczala je do siebie. A moze przez chwile nie potrafilo ich powstrzymac. Wypowiedziala kilka słów w prawiecznym jezyku. Nie rozumialem ich. Nagle zdalem sobie sprawe z jej pozornej bezbronnosci, z tego, że glosy jakby pozbawialy ja sil. Przeszukala wzrokiem pokój, a gdy spojrzala na mnie, rozjasnila sie.

Przemozny smutek odebral mi mowe. Jak mikroskopijne byly zawsze moje wizje! Pokonac garstke nieprzyjaciól, byc widzianym i kochanym przez smiertelnych jako symbol, znalezc sobie miejsce w wielkim spektaklu zycia, nieskonczenie wiekszym ode mnie, spektaklu, którego zbadanie zajeloby umysl jednostki na tysiac lat. A my nagle stanelismy poza czasem, poza sprawiedliwoscia; bylismy zdolni obalic cale systemy myslowe. A moze to tylko iluzja? Ilu innych siegalo po taka moc?

- Oni nie byli niesmiertelni, ukochany. - Jej ton byl niemal blagalny.

- Ale my jestesmy dzielem przypadku - powiedzialem. - Jestesmy istotami, które nigdy nie powinny istniec.

- Nie wypowiadaj tej mysli!

- Nic na to nie poradze.

- To jest teraz bez znaczenia. Nie potrafisz zrozumiec, jak malo to wszystko znaczy. Nie podaje ci wysublimowanej racji, która by mna powodowala, poniewaz racje sa proste i praktyczne. To, jak zostalismy poczeci, jest bez znaczenia. Liczy sie to, że przetrwalismy. Nie rozumiesz? Sam fakt naszego przetrwania jest najpiekniejszy i to piekno rozrosnie sie niepomierne.

Potrzasnalem glowa. Znów ujrzałem spalone muzeum i lezace na podlodze szerniale posagi. Ogarnelo mnie poczucie dotkliwej straty.

- Historia sie nie liczy - powiedziala. - Sztuka sie nie liczy. Te zjawiska implikuja ciaglosc, która rzeczywiscie nie istnieje. Zaspokajaja nasza potrzebe wzorca, glód sensu, ale tak naprawde nas oszukuja. My musimy nadac sens.

Odwrócilem sie od niej. Nie chcialem dac sie omamic jej rozumowaniu ani urodzie, lsnieniu otchlannie czarnych oczu. Poczulem jej dlonie na ramionach, usta na szyi.

- Kiedy mina lata - powiedziala - kiedy mój ogród rozkwitnie podczas wielu letnich miesiecy i zasnie podczas wielu zim, kiedy stare drogi wojny i gwaltu beda tylko wspomnieniem i kobiety ogladajace stare filmy beda sie zdumiewac, ze takie rzeczy byly kiedykolwiek mozliwe, gdy zwyczaj kobiety zostana przyswojone przez kazdego czlonka ludzkich wspólnot, wtedy byc moze mezczyzni beda mogli powrócic. Powoli ich liczba bedzie mogla wzrosnac. Dzieci beda wychowywane w atmosferze, w której gwałt bedzie nie do pomyslenia, a wojna stanie sie niewyobrazalna. Wtedy... wtedy... wtedy beda mogli pojawic sie mezczyzni. Kiedy swiat bedzie na to gotowy.

- To sie nie uda. Nie moze sie udac.

- Dlaczego tak mówisz? Spójrzmy na nature, jak tego chciales zaledwie przed chwila. Wyjdz do bujnego ogrodu, który otacza te wille; przyjrzyj sie rojom pszczól i mrówkom, które trudza sie jak zawsze. To sa samice, mój ksiaze, miliony samic. Samiec jest jedynie aberracja i sprawa pewnej funkcji. One na dlugo przede mna nauczily sie madrej sztuczki ograniczenia liczby samców. Wreszcie mozemy zyc w epoce, w której samce sa calkiem niepotrzebne. Powiedz mi, mój ksiaze, jaki jest teraz uzytek z mezczyzn, jesli nie ochrona kobiet przed innymi mezczyznami?

- Do czego wiec jestem ci potrzebny? - zapytalem z rozpacza. - Czemu wybralas mnie na swojego malzonka! Na litosc boska, czemu nie zabilas mnie z innymi mezczyznami! Wybierz jakiegos innego niesmiertelnego, jakas przedwieczna istote, glodna takiej mocy! Musi byc ktos taki. Nie chce rzadzic swiatem! Nie chce rzadzic niczym! Nigdy nie chcialem.

Wyraz jej twarzy ulegl drobnej zmianie. Pojawil sie nieznaczny, przelotny smutek, przez co mrok jej oczu stal sie jeszcze bardziej bezmierny. Jej wargi zadrzaly, jakby chciala cos powiedziec.

- Lestacie, gdyby caly swiat mial byc zniszczony, ja nie zniszczylabym ciebie. Z przyczyn niejasnych nawet dla mnie twoje ograniczenia sa tak promienne jak twoje cnoty. Ale co byc moze wazniejsze, kocham cie, bo jestes ideałem wszystkich samczych wad. Agresywny, zuchwaly, pelen nienawisci i zawsze elokwentny, gdy tylko trzeba usprawiedliwic przemoc. Jestes destylatem meskosci, a taka czystosc ma olsniewajaca jakosc. Tylko dlatego jednak, ze teraz da sie kontrolowac.

- Przez ciebie.

- Tak, kochanie. Po to sie urodzilam. Dlatego tu jestem. To nie ma znaczenia, jesli nikt nie uzna mojego celu. Postaram sie, zeby zostal uznany. W tej chwili swiat plonie samczym ogniem. Ale kiedy wszystko sie naprawi, twój ogien zaplonie jeszcze jasniej - blaskiem pochodni.

- Akaszo, potwierdzasz mój punkt widzenia! Nie myslisz, ze dusze kobiet pozadaja wlasnie tego ognia? Mój Boze, czy bedziesz chciala poprawiac slonce?

- Tak, dusze pozadaja tego ognia. Ale chca go zobaczyc jako blask pochodni, jak wspomnialam, albo plomyk swiecy. Nie chca jednak, by szalal w kazdym lesie, na kazdej górze i w kazdej górskiej dolinie. Nie ma takiej kobiety, która by chciala w nim splonac! One chca swiatla, mój piekny, swiatla! I ciepla!

Ale nie zniszczenia. Jak mogłyby go chcieć? Sa tylko kobietami. Nie szalencami.

- W porządku. Powiedzmy, że uda ci się dopiąć celu. Ze zaczniesz te rewolucje i ogarnie ona świat - a zwąz, że nie wydaje mi się to możliwe! Ale jeśli ci się uda, czy sadzisz, że nikt w świecie nie zaząda pokuty za śmierć tak wielu milionów? Jeśli nie ma bogów ani bogin, czy jakimś sposobem sami ludzie - i ty, i ja - nie zostaniemy zmuszeni do zapłaty?

- To będa wrota do niewinności i tak zostaną zapamiętane. Nikt nigdy nie dopuści do rozrostu męskiej populacji, bo kto pragnąłby powtórzenia koszmarów?

- Zmus mężczyzn do posłuchu. Oszłom ich, jak oszłomilas kobiety, jak oszłomilas mnie.

- Ależ, Lestacie, oni nigdy nie posłuchają. Ty byś posłuchał? Przedzj umra, jak ty byś umarł. Mieliby następny powód do rebelii, jakby kiedykolwiek go potrzebowali. Stawiliby niebywały opór. Wyobraz sobie, że miałby okazję do walki z boginią. I tak naoglądamy się tego aż nadto. Sa mężczyznami i nic na to nie poradzą. Zapanowałby chaos. Jest sposób przerywania łańcucha przemocy. Nastąpi era całkowitego, idealnego pokoju.

Znów zamilkłem. Miałem tysiąc odpowiedzi, ale wszystkie błędne. Ona znalazła swój cel aż za dobrze i rzeczywiście miała wiele racji.

Ach, lecz to było nierealne! Świat bez mężczyzn. Co by to oznaczało? Och, nie. Nie gódz się na ten pomysł choćby na chwilę. Nawet... A jednak znów powróciła tamta wizja, wizja dojrzana w żalosej wiosce w dżungli; świat bez strachu.

Wyobraz sobie, że usiłujesz wytłumaczyć im, jacy byli mężczyźni. Wyobraz sobie, że usiłujesz opowiedzieć, iż kiedyś, dawno temu, można było zostać zamordowanym na ulicy miasta; wyobraz sobie, że usiłujesz wytłumaczyć, co znaczył gwałt dla samców gatunku ludzkiego... wyobraz sobie. Zobaczyłem ich nie rozumiejące oczy wpatrzone we mnie, kiedy próbowały to sobie wyobrazic, siła umysłu starając się pokonać przepaść niepojętego. Poczulem dotyk ich miękkich dłoni.

- Ależ to szalenstwo! - szepnałem.

- Och, wciąż mi się opierasz, mój ksiąze - szepnęła z nutą gniewu i bólu. Zbliżyła się do mnie. Gdyby znów mnie pocałowała, zacząłbym płakać. Myślałem, że wiem, czym jest kobieca uroda, ale jej piękno było niewyobrazalne.

- Mój ksiąze - odezwała się tym samym szeptem. - Ta logika jest elegancka. Świat, w którym tylko garstka mężczyzn będzie trzymana dla rozplodu, to świat kobiecy. Ten świat będzie czymś, czego nie poznałyśmy w całej naszej żalosej, krwawej historii. Nigdy nie powtórza się obecne czasy, gdy mężczyźni rozmnażają w ampulkach zarazki zdolne zabić kontynenty podczas wojny biologicznej i projektują bomby, które mogą wytracić Ziemię z jej szlaku wokół Słońca.

- A co się stanie, jeśli kobiety podziela między siebie role męskie i żeńskie, jak się to często zdarza mężczyznom, kiedy są pozbawieni kobiet?

- Wiesz, że to głupie zastrzeżenie. Takie podziały mogą być tylko powierzchowne. Kobiety to kobiety! Czy potrafisz wyobrazic sobie wojnę rozpoczętą przez kobiety? Odpowiedz mi. Potrafisz? Czy potrafisz wyobrazic sobie rozzuchwaloną bandę kobiet spragnionych jedynie zniszczenia lub gwałtu? Taka myśl jest niedorzeczna. Kilku wynaturzonym bezzwłocznie wymierzy się sprawiedliwość. Ale generalnie nastąpi coś zupełnie nieprzewidzianego. Nie pojmujesz? Na ziemi zawsze była możliwość pokoju i

zawsze byli ludzie, którzy mogli go wprowadzić i utrzymać, a tymi ludźmi są kobiety. Jeśli tylko usunie się mężczyźni.

Przysiadłem na łóżku jak zwykle skonsternowany śmiertelnik. Oparłem łokcie na kolanach. Dobry Boże, dobry Boże! Czemu te dwa słowa tak się mnie uczepiły? Nie było żadnego Boga! Byłem w tym pokoju z bogiem.

- Tak, skarbie. - Rozesmiała się triumfalnie. Wzięła mnie za rękę, okreciła w kółko i przyciągnęła do siebie. - Ale powiedz mi, czy cię to chociaż trochę podnieca?

Spojrzałem na nią.

- O co ci chodzi?

- Ty impulsywna istota. Kto stworzył z tamtego dziecka, Klaudii, krwiopijce, żeby tylko przekonać się, co się stanie? - W jej głosie była drwina, ale czuła drwina. - Czy naprawdę nie chcesz zobaczyć, co się stanie, kiedy wszyscy mężczyźni znikną? Nie jesteś nawet troszeczkę ciekaw? Poszukaj prawdy w duszy. To bardzo interesujący pomysł, czyż nie tak?

Nie odpowiadałem. Wreszcie potrasnałem głową.

- Nie - powiedziałem.

- Tchórz - szepnęła. - Karzelek ze snami karzelka.

Nikt nigdy mnie tak nie nazwał, nikt.

- Tchórz - powtórzyła.

- Może nie będzie wojny, gwałtu i przemocy - powiedziałem - jeśli wszystkie stworzenia skarleją i będą miały sny karzelków, jak ty to nazywasz.

Rozesmiała się łagodnie, wybacząco.

- Moglibyśmy wiecznie tak rozprawiać - szepnęła. - Ale niebawem się przekonasz. Świat będzie taki, jak ja sobie zazycze i jak powiedziałam, zobaczymy, co się stanie.

Usiadła obok mnie. Przez chwilę wydawało mi się, że tracię rozum. Objęła mój kark swoim nagim ramieniem. Wydawało się, że nigdy nie było delikatniejszego kobiecego ciała, nigdy żaden uścisk nie był równie pełen oddania i szczodry. A zarazem była tak twarda, tak silna.

Światła w pokoju przygasły, a niebo za oknem stało się bardziej żywe i granatowe.

- Akaszo - szepnąłem. Patrzyłem poza otwarty taras, na gwiazdy. Chciałem coś powiedzieć, coś decydującego, co zmiecie wszystkie jej argumenty, ale sens mi się wymknął. Byłem bardzo spiacy; to z pewnością jej sprawa. Rzuciła urok, chociaż wiedziała, że nie sprawi mi ulgi. Znowu poczułem jej wargi na swoich ustach, na gardle. Poczułem chłodny atlas jej skóry.

- Tak, odpocznij teraz, mój skarbie. A kiedy się obudzisz, ofiary będą czekały.

- Ofiary... - Prawie spałem, gdy trzymała mnie w ramionach.

- Teraz musisz spać. Jesteś wciąż młody i kruchy. Moja krew płynie w tobie, zmienia cie, doskonali.

Tak, niszczy mnie, niszczy serce i wole. Byłem nieswiadomy, że się poruszam, kładę na łóżku. Opadłem na jedwabne poduszki, a jedwab jej włosów był tak blisko; gładziła mnie i znów pocałowała w usta. W jej pocałunku była krew; krew tetniaca pod skórą.

- Posłuchaj morza - szepnęła. - Posłuchaj otwierających się kwiatów. Wiesz, że teraz możesz je słyszeć. Możesz słyszeć drobne stworzenia morskie, jeśli chcesz. Możesz usłyszeć śpiew delfinów, one bowiem śpiewają.

Unosiłem się bezwładnie, bezpiecznie w jej ramionach, jej, potężnej, jej, której bali się wszyscy.

Zapomnij o kwaśnym smrodzie płonących trupów, słuchaj kanonady morza bijącego o brzeg w dole; słuchaj szelestu, z jakim opadający płatek róży osiada na marmurze. Świat zamienia się w piekło i nic na to nie poradzę. Jestem w jej ramionach i zaraz zasnę.

- Czy to nie zdarzyło się miliony razy, miłości moja? - szepnęła. - Czy nie odwróciłeś się plecami do świata pełnego cierpienia i śmierci, jak robią to miliony śmiertelnych każdego wieczoru?

Mrok. Pojawiają się cudowne wizje. Pałac jeszcze piękniejszy od tego. Ofiary. Służba. Mityczne postaci baszów i imperatorów.

- Tak, kochanie, czego tylko zapragniesz. Cały świat u twoich stóp. Wzniosę ci pałac za pałacem. To powinno wystarczyć, będa cie czcili. To drobiazg, to najprostsze ze wszystkiego. Pomyśl o łowcach, mój księżu. Dopóki trwa nagonka, myśl o poscigu, bo z pewnością będa uciekali i ukrywali się przed tobą, a jednak ty ich znajdziesz.

Widziałem to w gasnącym świetle tuż przed nadejściem snów. Widziałem siebie rozciągniętego w powietrzu jak dawni herosi, nad płaskim krajem, w którym migotały ogniska.

Poruszali się jak wilki, watahami, przez miasta, ale i przez lasy, osmielając się wychylić nos tylko za dnia, bo tylko wtedy nic im z naszej strony nie groziło. Kiedy noc zapadała, zjawialiśmy się; znajdowaliśmy ich, słysząc myśli, czując krew i zbierając szeptańe wyznania kobiet, które ich widziały, a może nawet ukrywały. Mogli wybiegać na otwartą przestrzeń, strzelać ze swojej bezużytecznej broni; niszczyliśmy ich jednego po drugim, nasze ofiary, poza tymi, których chcieliśmy mieć żywych, tymi, którym powoli, bezlitośnie wysysaliśmy krew.

Z tej wojny ma wylonić się pokój? Z tej koszarnej zabawy powstanie ogród?

Próbowałem otworzyć oczy. Poczulem, że całuje moje powieki.

Snilem.

Naga równina, pekająca ziemia. Coś wstaje, odpychając zaschnięte grudy, które zagradzają mu drogę. Ja jestem tym stworzeniem idącym równiną pod zachodzącym słońcem. Niebo jest wciąż pełne światła. Patrzę w dół na poplamione ubranie, które mnie okrywa, i widzę, że to nie ja. Ja jestem tylko Lestatem. I boję się. Chciałbym, żeby Gabriela tu była. I Louis. Może on sprawiłby, by ona zrozumiała. Ach, Louis, ten spośród nas wszystkich, który zawsze wiedział...

Znów powrócił znajomy sen. Rude kobiety kłęczą przy ołtarzu z ciałem matki i są gotowe je spożyć.

Tak, to ich obowiązek, ich święte prawo - zjeść mózg i serce. Nigdy jednak tego nie robią, bo zawsze wydarza się coś okropnego. Przybywają żołnierze... Chciałbym znać sens tego snu.

* * *

Krew.

Obudziłem się roztrzesiony. Minęło dobre kilka godzin. W pokoju zrobiło się nieco chłodniej. Niebo za otwartym oknem było cudownie czyste. Od niej padało wszelkie światło wypełniające pokój.

- Kobiety czekają. I ofiary.

Ofiary. Miałem zawroty głowy. Ofiary pełne gestej krwi. Mezczyźni skazani na śmierć. Młodzi mezczyźni, z którymi mogę zrobić, co tylko zechcę.

- Tak. Chodź, połóż kres ich cierpieniom.

Wstałem zamroczony. Narzuciła mi na ramiona długą pelerynę, prostszą niż jej własne ubranie, ciepła i miękka w dotyku. Poglądziła mnie obiema rękami po głowie.

- Męskość-kobiecość. Czy zawsze wszystko będzie się do tego sprowadzało? - szepnąłem. Moje ciało było spragnione snu. Ale ta krew.

Poglądziła mnie po policzku czubkami palców. Lzy wrócili?

Wyszliśmy z pokoju na długi podest z marmurową balustradą, skąd kręte schody prowadziły do ogromnej sali pełnej kandelabrow. Przygaszone światła tworzyły luksusowy półmrok. W samym środku zebrały się kobiety, było ich może dwie setki. Stały bez ruchu ze wzniesionymi ku nam oczami i rękami złożonymi jak do modlitwy.

Sprawiły wrażenie barbarzyńców wśród tych europejskich mebli o złożonych brzegach, na tle starego kominka z marmurowymi wolutami. Nagle przypomniały mi się jej słowa: „Historia się nie liczy; sztuka się nie liczy”. Stałem jak zamroczony, patrząc na osiemnastowieczne malowidła, od których biło bogactwo lśniących chmur, puchowatych amorków i niebios w kolorze promiennego błękitu.

Kobiety nie zwracały uwagi na ten przepych, który nigdy ich i nie poruszał i zaiste nic dla nich nie znaczył, wpatrzony w wizję, która rozplynęła się, by w strudze szelestów i kolorowego światła zmaterializować się nagle u stóp schodów.

Rozległy się westchnienia, podniosły dłonie, zasłaniając pochylone głowy jakby przed niespodziewanym uderzeniem światła. Wszystkie oczy skupiły się na Królowej Niebios i jej malzonku, którzy stali na czerwonym dywanie kilka metrów ponad Zgromadzeniem. Malzonek był nieco roztrzesiony i przygryzał wargę, starając się dokładnie widzieć to coś, to straszne coś, okropną mieszankę kultu i krwawego rytuału, kiedy wyprowadzono przed tłum ofiary.

Jakie wspaniałe okazy gatunku. Ciemnowłosi, smagli mezczyźni znad Morza Śródziemnego, w każdym calu dorównujący urodą młodym kobietom. Mezczyźni o krepkiej budowie i wybornej muskulaturze, inspirujący artystów od tysiący lat. Czarne oczy i ogolone twarze z ciemnymi śladami zarostu; bardzo przystojni i pełni gniewu patrzyli na te nadprzyrodzone wrogi stworzy, które zdecydowały o śmierci ich

braci jak ziemia długa i szeroka.

Związano ich rzemieniami, zapewne ich własnymi pasami i pasami wielu innych. Kobiety zrobiły to umiejętnie. Nogi mieli spętane tak, że mogli chodzić, ale nie kopać czy biegać. Tylko jeden z nich dygotał, tyleż z gniewu, co ze strachu. Nagle zaczął stawiać opór. Dwaj inni spojrzeli na niego, a potem poszli w jego ślady.

Masa kobiet przygniotła ich, powaliła na kolana. Na widok pasów wcinających się w nagie, ciemne, meskie ramiona wezbrało we mnie pozadanie. Dlaczego to jest takie uwodzicielskie? I te kobiece dłonie trzymające mężczyzn, te zacisnięte groźne dłonie, które potrafią być tak miękkie. Nie potrafili pokonać tak wielu kobiet. Westchnawszy, poniechali bunt, chociaż ten, który dał hasło do walki, patrzył na mnie oskarżycielsko.

Demony, diabły, piekielne stwory, oto, co mówił mi jego umysł; któż inny dokonałby takich czynów? Och, to początek mroku, strasznego mroku!

Moje pozadanie było tak silne. Umrzecie; ja to sprawię! - taki był krzyk mojej duszy, a on chyba go słyszał i rozumiał. Tchnęła z niego dzika nienawiść do kobiet pomieszana z obrazami gwałtów i zemsty, co wzbudziło mój śmiech, ale i zrozumienie, tak, całkowite zrozumienie. Jak łatwo było poczuć do nich pogardę, oburzenie, że osmieliły się stać się wrogami, wrogami w wiekowej wojnie, one, kobiety! Był też tam mrok, wymarżona zemsta, niewyobrażalny mrok.

Poczułem na ramieniu palce Akaszy. Powróciła błogość, delirium. Usiłowałem walczyć, ale na próżno. Pozadanie mnie nie opuszczało. Było w moich ustach. Czulem jego smak.

Tak, przejdź w chwilę, przejdź w czyste działanie; niech rozpocznie się ofiara.

Wszystkie kobiety padły na kolana, a mężczyźni, którzy już kłęczeli, zdawali się uspokajać, patrzyli na nas ze łzami w oczach i z drżącymi ustami.

Wpatrywałem się w muskularne ramiona pierwszego, tego, który się zbuntował. Jak zawsze w takich chwilach wyobraziłem sobie jego szorstką, zle ogoloną skórę rozrywana moimi wargami - nie lodowatą skórę bogini, ale gorącą, słoną skórę człowieka.

Tak, ukochany - mówiła mi bez słów. - Weź go, zasłużyłeś na te ofiary. Jesteś teraz bogiem. Weź go. Czy wiesz, ilu na ciebie czeka?

Wyglądało na to, że kobiety wiedziały, co czynić. Kiedy zrobiłem krok do przodu, podniosły go; znów stawiał opór, ale wtedy wzięłem go w ramiona, to był zaledwie spazm. Zbyt mocno scisnąłem mu głowę, nieswiadomy swojej siły, i czaszka pękła w chwili, gdy wbilem w niego zęby. Śmierć przyszła niemal natychmiast, tak wielki był mój pierwszy haust. Plonałem z głodu i pełna porcja, całkowita i wchłonięta w jednej chwili nie starczyła!

Natychmiast wzięłem drugą ofiarę, bez pośpiechu, tak aby otoczyć się w ciemność, słysząc jedynie głos duszy umierającego, jak to często bywało. Tak, przekazywał mi swoje tajemnice, gdy krew tryskała mi w usta, napelniając je po brzegi. Tak, bracie mówiłem do niego w myślach. - Wybacz mi. - Potem zatoczyłem się, depcząc i miażdżąc trupa.

- Dajcie ostatniego.

Zadnego oporu. Wpatrywał się we mnie z całkowitym spokojem, jakby żalowało go jakieś światło, jakby

jakas teoria lub wiara zapewniły mu idealna ucieczkę. Przyciągnąłem go do siebie łagodnie i to było prawdziwe źródło, którego potrzebowałem, ta powolna, tytaniczna śmierć, której pragnąłem, serce pompujące, jakby nigdy nie miało się zatrzymać, i oddech uchodzący mu z ust. Wciąż miałem zamglone oczy, nawet kiedy go puściłem, a krótkie, zapomniane fragmenty jego życia ułożyły się w ulotny, niespotykany, pełen sensu wzór.

Puściłem go. Sens się zatracił. Przed sobą miałem tylko światło i wielką radość kobiet, które wreszcie zostały wybawione dzięki cudowi. Sale zaległa cisza; z dala napływał tylko monotony huk morza.

Wtedy przemówiła Akasza:

- Teraz grzechy mężczyzn zostały odkupione, a tych, którzy nadal są uwięzieni, otoczmy dobrą opieką i miłością. Nigdy jednak nie dajcie wolności tym, którzy pozostali, tym, którzy was uciskali.

Bez dźwięku, bez słów, chłonęły naukę.

Szalejące pozadanie, którego były świadkami, śmierć, którą przyniosłem - to wieczne przypomnienie zapalczywości żywej we wszystkich samcach, której nie można uwolnić. Mężczyźni zostali złożeni na ofiarę ucielesnieniu własnej przemocy. Te kobiety były świadkami nowego i wszechogarniającego rytuału, nowej świętej ofiary mszalnej. Ujrza ją jeszcze nie raz i nic wolno im jej zapomnieć.

W głowie wirowało mi od tego paradoksu. Moje niepoważne plany przysparzały mi udreki. Jeszcze nie tak dawno chciałem, by świat śmiertelnych dowiedział się o mnie. Chciałem być wizerunkiem zła w teatrze świata i przez to czynić dobro.

A jakże, stałem się tym wizerunkiem, byłem jego dosłownym ucielesnieniem, znajdującym przypisanie sobie miejsce w mitologii tych kilku prostych duszyczek, tak jak ona obiecała. A cichy głosik szeptał mi do ucha, dreczył mnie tym starym powiedzeniem: uważaj, o co prosisz, bo jeszcze to dostaniesz.

Tak, tak właśnie było: wszystko, o czym kiedykolwiek zamarzyłem, stawało się ciałem. W świątyni ucałowałem ją i marzyłem o tym, żeby ją obudzić, marzyłem o jej mocy; teraz staliśmy oboje, ona i ja, a wokół nas rozlegały się hymny i okrzyki radości. Hosanna!

Drzwi palacu rozwarły się na oścież. Odchodziliśmy; unosiliśmy się w chwale i czarodziejsko mijaliśmy drzwi, wzbijaliśmy się ponad dach starej rezydencji, a potem nad rozmigotane wody. W cichy gwiazdny przestwór.

Nie lekalem się już upadku, nie lekalem się niczego tak mało znaczącego. Dusza moja bowiem - marna jak zawsze - poznała lek, jakiego nigdy sobie nie wyobrażała.

Rozdział szósty

Rzecz o bliźniaczkach (II)

Snila o zabijaniu. To bylo wielkie mroczne miasto takie jak Londyn albo Rzym, a ona przemierzala je pospiesznie, szukajac ofiary, pierwszej ludzkiej slodkiej ofiary, ktora zabije i ktora bedzie tylko jej. Zanim otworzyla oczy, zwinnym skokiem pokonala przestrzen w sobie, dzielaca wszystko, w co wierzyla, od tego prostego amoralnego czynu - zabijania. Zrobila to na modle gadow, ktore wciagajac myszke w bezwargi pysk i miazdzac ja powoli, nie zwracaja uwagi na cicha, lamiaca serce piosnke agonii.

Ocknela sie w ciemnosci; dom zyl na górnych pietrach; starsi wzywali: - Przybadz. - Gdzies byl wlaczony telewizor. Blogoslawiona Dziewica Maryja objawila sie na wysepce na Morzu Śródziemnym.

Nie czula zadnego glodu. Krew Maharet byla zbyt silna, jednak mysl o zabijaniu rosla, przyzywala ja do czynu jak wiedzma w ciemnym zauлку. Zabij!

Podniosla sie z waskiego pudla, w którym lezala, szla na palcach przez czern, az wymacala dlonia metalowe drzwi. Wyszla na korytarza i spojrzala na nie konczaca sie spirale zelaznych stopni, przypominajaca szkielet. W górze przez swietlik dojrzala niebo. Wygladalo jak dym. Mael byl w polowie drogi, przy drzwiach do wlasciwego domu, i patrzyl na nia z wysokosci.

Zawirowalo jej w glowie na mysl, ze jest jedna z nich i ze sa razem. Poczula pod dlonia zelazna porecz, a w sercu nagly i smutek, przelotny zal za wszystkim, czym byla, zanim tamten piekny zapaleniec zlapal ja za wlosy.

Mael zbiegl na dól, jakby chcial ja ratowac, gdyz mysl i wspomnienia unosily ja poza to miejsce i ten czas. Oni rozumieli niezawodnie, ze czula oddech ziemi, spiew lasu, dotyk i korzeni pelznacych w ciemnosci poprzez sciany.

Wpatrywala sie w Maela. Lekko pachnial skóra z jelenia i kurzem. Jak mogla kiedykolwiek pomyslec, ze ta istota jest czlowiekiem? Przeciez jego oczy tak migoca. A jednak przyjdzie czas, kiedy znów bedzie chodzila pomiedzy ludzmi, poczuje na sobie przeciągle spojrzenia uciekajace w bok. Bedzie pokonywala pospiesznie jakies mroczne miasto, takie jak Londyn lub Rzym. Zagladajac w oczy Maela, znów ujrzala tamta wiedzme z zaułka, ale to nie byla dokladna wizja. Nie, ujrzala zaułek i czyste zabijanie; oboje odwrócili wzrok w tej samej chwili, ale niespiesznie, raczej z szacunkiem. Wzial ja za reke i popatrzyl na bransoletę, która od niego dostala. Nagle pocalowal ja w policzek, a potem poprowadzil ja po schodach do pomieszczenia w szczycie góry.

Glosy z telewizora coraz glosniej mówily o zbiorowej hysterii na Sri Lance. Kobiety zabijaja mezczyzn. Mordowano nawet noworodki plci meskiej. Na wyspie Lynkonos doszlo do masowej halucynacji i niewytlumaczalnej smiertelnej epidemii.

Nie od razu dotarło do niej, co slyszy. Wiec to nie byla blogoslawiona Dziewica Maryja. W pierwszym odruchu pomysllala, jak to cudownie, ze moga wierzyc w cos takiego. Odwrócila sie do Maela, ale on patrzyl wprost przed siebie. To nie byla dla niego nowosc. Wiadomosci telewizyjne docieraly do niego od godziny.

Kiedy weszla do sali, ujrzala niesamowite, migajace swiatlo. Jej nowi pobratymcy, czlonkowie Tajnego Zakonu Nieumarlych, wpatrywali sie nieruchomo w wielki ekran, rozrzuceni po sali jak posagi.

- ...zamieszki w przeszlosci, wywolane skazeniem pokarmów lub wody. Jak do tej pory nie znaleziono dostatecznego wyjasnienia doniesien z bardzo odleglych miejsc, w tym ostatnio z kilku samotnych

wiosek w górach Nepalu. Zatrzymane twierdza, że widziały piękną kobietę zwaną na przemian Blogosławiona Dziewica, Królowa Niebios albo po prostu boginia, która rozkazała im dokonać masakry wszystkich mężczyzn w wiosce, poza kilkoma starannie wybranymi osobami. Niektóre doniesienia wspominają również o zjawie płci męskiej, jasnowłosym bogu, którego tytułu ani imienia jak dotąd nie znamy...

Jesse spojrzała na Maharet, która bez emocji przyglądała się obrazowi telewizyjnemu, trzymając dłoń na oparciu fotela.

Na stole leżały gazety w języku francuskim, angielskim i w hindi.

- ...z Lynkonos na kilka innych wysepek, zanim wezwano gwardie narodową. Szacuje się, że na tym małym archipelagu tuż przy wybrzeżu Grecji zabito około dwóch tysięcy mężczyzn.

Maharet dotknęła małego czarnego pilota i ekran znikł. Wydawało się, że cała aparatura znikła w ciemnym lesie, kiedy ukazały się okna, a za nimi nie kończące się szeregi czubków drzew na tle wzburzonego nieba. W oddali migwały światła Santa i Rosa otulone mrocznymi wzniesieniami. Czula zapach słońca, które jeszcze niedawno gościło w tej sali, czula zaraz odchodzący powoli i przez szklany sufit.

Popatrzyła na pozostałych, siedzących w milczeniu, oszłomionych. Mariusz wbijał gniewny wzrok w ekran i w rozrzucone przed sobą gazety.

- Nie mamy czasu do stracenia - szybko powiedział Khayman do Maharet. - Musisz kontynuować opowieść. Nie wiemy, kiedy ona się tu zjawi.

Wykonał drobny gest i rozrzucone gazety znikły nagle w ogniu, który pożarł je z wirem iskier wznoszącym się ku paszczy okapu.

Jesse nagle poczuła zawrót głowy. To wszystko działo się za szybko. Patrzyła na Khaymana. Czy kiedyś do tego przywyknie? Do tych porcelanowych twarzy, gwałtownych grymasów, przyciszonych ludzkich głosów i prawie niewidzialnych ruchów?

Co robiła Matka? Mordowała mężczyzn. Materia życia tamtych prostych ludzi została rozdarta i nigdy już nie uda się jej zezyc. Poczuła dotknięcie lodowatego zagrożenia. Szukała w twarzy Maharet jakiejś wiedzy, wskazówki.

Maharet powoli zasiadła za stołem i złożyła ręce pod brodą. Jej twarz była zeszywniała, a oczy pozbawione wyrazu.

- Prawde mówiąc, trzeba ją zniszczyć - rzekł Mariusz, jakby nie mógł dłużej tego wytrzymać. Rumieniec zapłonął mu na policzkach, co poruszyło Jesse, ponieważ na chwilę jego twarz przybrała normalny ludzki wyraz. Poblądli i widac było, że trzesie się z gniewu. - Uwolniliśmy potwora i naszym obowiązkiem jest go powstrzymać.

- Jak tego dokonać? - zapytał Santino. - Mówisz, jakby wystarczyło tylko podjąć decyzję! Nie możesz jej zabić!

- Postradamy życie, oto, jak tego dokonamy - odparł Mariusz. - Bedziemy działać wspólnie i zakończymy tę sprawę raz na zawsze, tak jak powinna się zakończyć dawno temu. - Popatrzył kolejno na nich wszystkich, dłużej zatrzymując wzrok na Jesse. Później spojrzał na Maharet. - To ciało nie jest niezniszczalne. Nie jest z marmuru. Można je przekłuć, przeciąć. Przekłulem je zębami. Pilem z niego

krw!

Maharet zbyła te słowa drobnym gestem, jakby mówiła, że wie o tym i on wie, że ona to wie.

- Jeśli ja zniszczymy, zniszczymy siebie? - odezwał się Eryk. - Wynosmy się stąd. Ukryjmy się przed nią. Co zyskujemy, zostając w tym domu?

- Nie! - powiedziała Maharet.

- Jeśli tak postacie, ona zabije was jednego po drugim - rzekł Khayman. - Żyjecie, bo teraz czekacie na jej ruch.

- Mogłabys kontynuować opowieść? - zapytała Gabriela. Przez cały czas była nieobecna duchem, tylko od czasu do czasu słuchając innych. - Chcę poznać całą prawdę. Chcę usłyszeć wszystko. - Pochyliła się do przodu, składając ramiona na stole.

- Myślisz, że w tych starych opowiastkach znajdziesz jakiś sposób, który sprawi, że ona zniknie? - spytał Eryk. - Jesteś szalona, jeśli tak myślisz.

- Opowiadaj dalej, proszę - powiedział Louis. - Chcę... - zawahał się. - Ja też chcę wiedzieć, co się stało.

- Mów dalej, Maharet - rzekł Khayman. - Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Matka zostanie zniszczona i oboje wiemy, jak do tego dojdzie, więc całe to gadanie nic nie znaczy.

- Cóż teraz znaczy przepowiednia, Khaymanie? - spytała Maharet słabym, pozbawionym życia głosem. - Czy zaczynamy popełniać te same błędy co Matka? Przeszłość może nas pouczyć, ale nie uratować.

- Twoja siostra przybywa, Maharet. Przybywa tak jak zapowiedziała.

- Khaymanie. - Maharet posłała mu długi gorzki uśmiech.

- Opowiedz nam, co się wydarzyło - poprosiła Gabriela.

Maharet siedziała bez ruchu, jakby nie wiedziała, jak rozpocząć opowieść. Niebo za oknem stopniowo ciemniało. Na dalekim zachodzie pojawił się jednak skrawek czerwieni, coraz jasniejszy na tle szarych chmur. Gdy wreszcie zbladł, otuliła ich ciemność; światło padało tylko z paleniska, a matowy poblask upodobił do zwierciadła panoramicznego okna.

- Khayman zabrał was do Egiptu - przypomniała Gabriela. - Co tam zastalyscie?

- Tak, zabrał nas do Egiptu. - Maharet westchnęła, siadając wygodniej w fotelu, wpatrzona w blat stołu. - Nie było innego wyjścia; Khayman zabrałby nas siłą. Prawdę powiedziawszy, zaakceptowaliśmy to, że musimy z nim odejść. Przez dwadzieścia pokoleń kazyliśmy między światami duchów i ludzi. Jeśli Amel dokonał jakiegos wielkiego zła, byliśmy gotowe to naprawić lub przynajmniej - jak powiedziałam, kiedy zasiedliśmy przy tym stole - byliśmy gotowe spróbować to zrozumieć.

Zostawiłam moje dziecko. Powierzyłam je opiece najbardziej zaufanej pasterki. Ucałowałam je. Opowiedziałam jej nasze tajemnice i wyruszyliśmy, niesione w królewskiej lektyce, jakbysmy były gościami króla i królowej Kemetu, a nie więźniarkami, jak poprzednio.

Khayman traktował nas łagodnie, ale był ponury i milczący. Odpowiadało nam to, nie zapomnieliśmy bowiem naszej krzywdy. Ostatniej nocy, kiedy obozowaliśmy nad brzegiem wielkiej rzeki, która mieliśmy przekroczyć z rana, by dotrzeć do królewskiego palacu, Khayman wezwał nas do swojego namiotu i opowiedział o wszystkim, co wiedział.

Jego zachowanie było uprzejme, przyzwoite. Słuchając go, staraliśmy się zapomnieć o naszej osobistej urazie. Opowiedział nam, co demon - tak go nazywał - uczynił.

Nie minęło kilka godzin od wydalenia nas z Egiptu, a zdał sobie sprawę, że coś go obserwuje, jakaś mroczna i zła moc. Wszędzie, gdzie się udawał, czuł jej obecność, chociaż w świetle dnia słabła.

Następnie w jego domu zaczęły zachodzić zmiany - drobne zmiany, których inni nie zauważali. Początkowo myślał, że traci zmysły. Znikały przybory do pisania, a potem jego pieczęć wielkiego zarządcy. Następnie wtedy, kiedy był sam, te przedmioty fruwały w jego kierunku, trafiając go w twarz albo ładując u jego stóp. Niektóre odnajdywały się w najdziwniejszych miejscach. Na przykład znajdował wielką pieczęć w piwie lub rosole.

Nie śmiał opowiedzieć o tym królowi ani królowej. Wiedział, że to sprawa naszych duchów i takie doniesienie równałoby się z wydaniem wyroku na nas. A kiedy tak ukrywał te okropną tajemnicę, działo się coraz gorzej i gorzej. Ozdoby, które uwielbiał od dzieciństwa, były rozrywane na kawałki i ciskane w niego z sufitu. Święte amulety wpadały do klozetu, a ekskrementy z kloaki były rozsmarowywane po ścianach.

Ledwo mógł wytrzymać we własnym domu, ale mimo to nakazał niewolnikom milczenie. Kiedy uciekli ze strachu, sam czyszczył toaletę i sprzątał dom.

Złóż ogarnięty grozą. Coś przebywało w domu razem z nim. Słyszał i czuł obcy oddech na swojej twarzy i przysięgałby, że czuje dotyk zębów ostrych jak igły.

W końcu, zrozpaczony, zaczął mówić do tego czegoś, błagać, żeby sobie poszło. Chyba jednak wzmagało to tylko siły tej istoty. Kiedy się do niej mówiło, jej moc ulegała podwojeniu. Rozsypała zawartość jego mieszki na kamiennej posadzce i brzęczała złotymi monetami przez całą noc. Podrzuciła łóżkiem, tak że wylądował twarzą na podłodze. Kiedy nie patrzył, obsypała mu nogi piaskiem.

Minęło pół roku, od kiedy opuściliśmy królestwo. Khaymana ogarniał obłęd. Być może niebezpieczeństwo już nam nie groziło, ale nie mógł być tego pewien i nie wiedział, do kogo się zwrócić, a tamten duch naprawdę go przerazał.

Kiedys w najczarniejszej godzinie nocy, kiedy leżał, zastanawiając się, co też knuje owo stworzenie, było bowiem cicho i spokojnie, nagle usłyszał wielki łomot do drzwi. Ogarnęła go groza. Wiedział, że nie powinien otwierać, że to walenie nie może być sprawą ludzkiej dłoni, lecz wreszcie nie wytrzymał. Odmówił modlitwy i otworzył szeroko drzwi. Ujrzał koszmar nad koszmarami - zgnila mumie ojca, owinięta w brudne postrzępione bandażę, oparta o ścianę ogrodu.

Oczywiście wiedział, że w pomarszczonej twarzy i w martwych oczach nie ma życia. Ktos lub coś wydobyło nieboszczyka z pustynnej mastaby. To było ciało jego ojca, zgniłe, cuchnące; ciało, które, jak nakazywały wszystkie święte przykazania, powinno być spożyte przez Khaymana i jego rodzeństwo podczas tradycyjnej stypy.

Osunął się na kolana, łkając i zawodził. Wtedy mumia się poruszyła! Zaczęła tańczyć! Wywijiała konczynami bez ładu i składu, rozrywając bandażę na strzępy, aż Khayman wbiegł do domu, zamykając

za soba drzwi. Trup dopadł ich, tłukac piesciami i zadajac, aby wpuszczono go do srodka.

Khayman wzywiał wszystkich bogów Egiptu, by wybawili go od tej potwornosci. Wezwiał straz palacowa i zolnierzy króla. Przeklinal demona i rozkazywał mu, by go opuscil. Rozwscieczony, sam ciskal przedmiotami i kopal na wszystkie strony złote monety.

Cały pałac zbiegl sie do domu Khaymana, ale wydawalo sie, ze demon jeszcze wzrósł w sile. Okiennice zaskrzypialy i zostaly wydarte z zawiasów, a eleganckie meble Khaymana zaczely podskakiwac.

To byl tylko poczatek. O swiecie, kiedy kaplani weszli do domu, zeby odprawic egzorcyzmy, naciagnal wielki wiatr z pustyni, przynoszac oslepiajace tumany piasku. Gdzie tylko Khayman sie ruszył, wiatr podazal za nim. Ujrzał na swych ramionach mnóstwo drobnych nakluc i kropelek krwi. Nawet powieki mial poranione. Wcisnal sie do szafy, szukajac spokoju. Kiedy to cos rozwalilo szafe, wszyscy uciekli, a Khayman pozostal placzacy na podlodze.

Burza trwala przez nastepne dni. Im wiecej energii kaplani wkładali w modlitwy i piesni, tym wiecej bylo szalenstwo demona.

Król i królowa byli przerazeni. Kaplani wykleli demona. Lud obwinial o wszystko rude czarownice. Rozlegly sie wolania, ze nie wolno bylo pozwolic im opuscic Kemet. Powinno sie odszukac je za wszelka cene, sprowadzic z powrotem i spalic. Wtedy demon sie uspokoi.

Dostojne rodziny nie zgadzaly sie z tym werdyktem. Wedlug nich wszystko bylo oczywiste. Czyz bogowie nie wydobyli spod ziemi gnijacego trupa ojca Khaymana, aby pokazac, ze zjadacze cial zawsze robili to, co podobalo sie niebiosom? Nie, to król i królowa sa zli, to oni musza umrzec. Król i królowa, którzy zapelnili te kraine mumiami i przesadami.

Królestwu grozila wojna domowa.

W koncu sam król przybyl do Khaymana, który siedzial w domu, lkajac, naciagnawszy na glowe ubranie jak smiertelny calun. Drobne uklucia wciaz go dreczyly, a na jego koszuli pojawialy sie wciaz nowe krople krwi.

„Pomysl o tym, co powiedzialy nam tamte czarownice - rzekl król. - To tylko duchy, nie demony. Mozna przemowic im do rozsadku. Gdyby tylko mogly mnie slyszec, jak slyszaly czarownice, i gdybym tylko potrafil zmusic je do odpowiedzi”.

To jeszcze bardziej rozwscieczilo demona. Potlukul reszte mebli, wyjal drzwi z zawiasów, wyrwal z ziemi drzewa rosnace w ogrodzie i porozrzucal je wokól. Chyba calkowicie zapomnial o Khaymanie, kiedy szalal w palacowym ogrodzie, niszczac, co popadlo.

Król szedl za nim, blagajac, by zwrócił na niego uwage, porozmawial z nim i zdradzil swoje tajemnice. Stal w samym srodku powietrznej traby, wyzbyty leku i ogarniety zachwytem.

Wreszcie przybyla królowa. Krzyczac przenikliwie, tez zwróčila sie do demona.

„Karzesz nas za to, co spotkalo rude siostry! Dlaczego nie sluzysz nam, zamiast im!”

Demon od razu potargal na niej szaty i poranil ja, jak wczesniej Khaymana. Usilowala zakryc twarz i ramiona, ale to bylo niemozliwe, wiec król zlapal ja za reke i pobiegli z powrotem do domu Khaymana.

„Odejdź - rzekł do niego król. - Zostaw nas samych z tym stworem, może wtedy otworzy się przede mną i powie mi, czego chce”. Wezwawszy do siebie kapłanów, powiedział im z wnętrza traby powietrznej to, co myślnie powiedziały - że ten duch nie cierpi rodzaju ludzkiego, bo mamy zarówno dusze jak i ciała. On jednak go usidli, sprowadzi na dobrą drogę i zapanuje nad nim. Jest bowiem Enkilem, królem Kemetu, i potrafi tego dokonać.

Król i królowa weszli do domu Khaymana, a za nimi czyniaci spustoszenie demon. Khayman, uwolniony od stwora, leżał wyczerpany na palacowej podłodze, lekając się o swoich władców, ale nie wiedząc, co ma czynić.

Na dworze zapanowała wrzawa; mężczyźni bili się ze sobą, kobiety płakały, a niektórzy nawet opuścili pałac, lekając się tego, co miało się wydarzyć.

Przez dwie noce i dwa dni król wraz z królową przestawali z demonem. Dostojne rodziny zjadaczy ciał zebrały się przed domem Khaymana i orzekły, że król z królową mylą się i czas wziąć przyszłość Kemetu w swoje ręce. Kiedy zapadła ciemność, weszli do domu z morderczym celem, wnosząc sztylety. Mieli zamiar zabić króla i królową, a potem powiedzieć, że to sprawa demona. Kto mógłby im zaprzeczyć? Może demon się uspokoi, kiedy król i królowa będą martwi, oni, którzy przesladowali rudowłose czarownice?

Królowa dostrzegła ich pierwsza, a gdy rzuciła się przed siebie, wznosząc ostrzegawczy krzyk, zagłębili sztylety w jej piersi. Osunęła się na podłogę, wyzionawszy ducha. Król biegnąc jej z pomocą, też został zakłuty, równie bezlitosnie. Demon jednak nie zaprzestał swych przesladowań.

Tymczasem Khayman kłęcząc na skraju ogrodu, porzucony przez strażników, które przyłaczyły się do zjadaczy ciał. Spodziewał się, że umrze wraz z resztą królewskiej służby. Wtem usłyszał straszliwy krzyk królowej, odgłosy, jakich nigdy wcześniej nie słyszał. Kiedy zjadacze ciał usłyszeli te dźwięki, w popłochu opuścili pałac.

Khayman, wierny rzadca króla i królowej, porwał pochodnię i ruszył im na pomoc. Nikt nie usiłował go zatrzymać. Wszyscy cofnęli się w leku. Khayman wszedł do domu sam. W świetle pochodni ujrzał królową leżącą na podłodze, wijącą się jak w agonii, brocząca krwią z ran, cała spowita wielką czerwoną chmurą. Wyglądało to tak, jakby otoczyła ją traba powietrzna zbierająca niezliczone kropelki krwi. Królowa wylała się i obracała w środku tego wiru, dziko tocząc oczyma. Król leżał nieruchomo.

Przecucie podpowiadało Khaymanowi, że ma opuścić to pomieszczenie i odejść jak najdalej. W tamtej chwili pragnął na zawsze opuścić ziemię ojców. Ale przecież przed nim leżała jego królowa, wygięta w łuk, łapiąc ustami powietrze, drapiąc paznokciami podłogę.

Wtem wielka krwawa chmura, która ją otulała, nabrzmiewając i kurcząc się, stezala i znikła, jakby wessana przez rany. Królowa zastygła, a potem powoli usiadła z szeroko otwartymi oczami. Wydała straszliwy charkot i zamilkła.

Kiedy wpatrywała się w Khaymana, nie było słychać nic oprócz trzasku pochodni. Potem królowa znów zaczęła gwałtownie łapać powietrze i wydawało się, że umrze. To jednak nie nastąpiło. Osloniła oczy przed jasnym światłem pochodni, jakby sprawiała jej ból, i wtedy spojrzała na małżonka, który leżał u jej boku jak nieżywy.

„Nie! To niemożliwe” - krzyknęła w bólu i w mecie. W tej samej chwili Khayman dostrzegł, że wszystkie jej rany goją się, pozostawiając ślady nie większe od zadrapań.

„Wasza Królewska Mosc” - zawołał, zbliżając się do niej. Szlochając, patrzyła na swoje ramiona, jeszcze niedawno poranione, na piersi, znów całe. Kwiliła złością, patrząc na gojące się rany. Nagle rozerwała sobie skórę długimi paznokciami. Trysnęła krew, ale rany się zagoiły!

„Khaymanie, mój Khaymanie - krzyknęła, zakrywając oczy, żeby nie widzieć jasnej pochodni. - Co mnie spotkało!” Wolala coraz głośniejsze i ogarnięta paniką rzuciła się na króla, wykrzykując: „Enkilu, pomóż mi. Enkilu, nie umieraj!” i inne szalone słowa, których używamy, kiedy dopada nas nieszczęście. Kiedy wpatrywała się w króla, zaszła w niej upiorna zmiana. Skoczyła na niego, jakby była głodna bestia, i długim, językiem chleptała krew, która spływała jego gardło i tors.

Khayman nigdy nie był świadkiem czegoś podobnego. Miał przed sobą pustynną lwicę chlepczącą krew delikatnego kozlecia. Wygięła grzbiet w łuk, podwinęła kolana, zagarnęła pod siebie bezbronne ciało króla i przegryzła mu arterie na szyi.

Khayman rzucił pochodnię, wycofując się ku otwartym drzwiom. Gdy był już gotów do ucieczki, usłyszał głos króla.

„Akasza. Moja Akasza” - przemówił łagodnie, a ona prostowała się, drżąc, rozszlochana, wpatrzona w jego ciało i w swoje, w swoją gładką skórę i w jego rany.

„Khaymanie - zawołała. - Daj mi twój sztylet, oni bowiem zabrali ze sobą bron. Sztylet. Muszę go mieć”.

Khayman posłuchał od razu, chociaż sądził, że zaraz zobaczy, jak jego król ginie. Jednak królowa przecięła sztyletem swoje nadgarstki, a gdy jej krew spłynęła na rany meza, zagoiły się. Wtedy Akasza, wydawszy wielki okrzyk podniecenia, rozsmarowała krew na całej jego zmasakrowanej twarzy.

Rany króla goiły się. Khayman widział to na własne oczy. Widział, jak scala się poszarpane żywe mięso. Król rzucał się, tłukąc rękami. Zlizywał z twarzy spływającą krew Akaszy. Po czym przybrał taką samą jak ona zwierzęcą postawę i objawszy żołądek, przywarł ustami do jej szyi.

Khayman miał dość. W migotliwym świetle dogasającej pochodni dwie białe postaci rysowały się jak widziadła, same zamienione w upiory. Wycofywał się z domku, aż doznał do ściany ogrodu. Tam chyba stracił przytomność, bo ostatnim jego wspomnieniem był dotyk trawy na twarzy.

Gdy się ocknął, leżał na złoconej kanapie w komnatach królowej. W całym pałacu zalegała cisza. Zobaczył, że ma na sobie nowe ubranie, że jego twarz i dłonie są obmyte, pokój rozjasnia słabe światło i pała się wonnością, a drzwi do ogrodu są szeroko otwarte, jakby nie było czego się bać.

Następnie w cieniach ujrzał króla i królową. Przyglądali mu się. Nie był to już jednak jego król ani jego królowa. Wtedy chyba zaczął krzyczeć, wydał z siebie wrzask tak straszliwy, jaki usłyszał z ust innych, ale królowa go uspokoiła.

„Khaymanie, mój Khaymanie - rzekła. Wreczyła mu jego piękny sztylet ze złota rekojescią. - Dobrze się nam przysłużył”.

Khayman przerwał swoją opowieść.

„Jutro wieczór - rzekł - kiedy słońce zajdzie, ujrzycie na własne oczy, co się wydarzyło. Wtedy bowiem i tylko wtedy, kiedy wszelkie światło znika z nieba po zachodniej stronie, oni pojawiają się w pałacowych pokojach. Wtedy ujrzycie to, co ja ujrzałem”.

„Dlaczego tylko noca? - spytałam. - Dlaczego pora jest tak ważna?”

Wtedy opowiedział nam, że w niecałą godzinę po tym, jak się obudził, jeszcze zanim słońce wstało, tamci zaczęli cofać się od otwartych drzwi palacu, krzycząc, że oczy bola ich od światła. Już wcześniej uciekali przed pochodniami i lampami, a teraz wyglądało na to, że poranek jest im wrogiem i nie było miejsca w palacu, w którym mogliby się ukryć.

Po kryjomu opuścili palac, okryci od stóp do głów. Biegli tak szybko, że nie dorównałby im żaden śmiertnik. Zmierzali ku grobowcom dostojnych rodzin, ku świętym zakątkom, których nikt by nie zbezczeszczył. Podawali tak szybko, że Khayman nie potrafił dotrzymać im kroku. Król raz się zatrzymał, zanosząc do boga słońca, Ra, błaganie o litość. Następnie, łkając i kryjąc oczy przed słońcem, jakby ich paliło, mimo że światło ledwo pojawiło się na niebie, król i królowa znikli Khaymanowi z oczu.

„Ani razu nie zjawili się przed zachodem słońca; przybywają ze świętego cmentarza, chociaż nikt nie wie, skąd dokładnie. Ludzie witają ich tłumnie, okrzykując bogiem i boginią, wizerunkiem Ozyrysa i Izydy, bóstwami księżycy; rozsypują przed nimi kwiaty i biją im pokłony.

Daleko bowiem rozeszła się wieść, że król i królowa jakas niebiańska mocą uniknęli śmierci z dłoni wrogów; są bogami, niesmiertelnymi i niezwycięzonymi, a dzięki tej samej mocy potrafią czytać w ludzkich sercach. Nie ukryje się przed nimi żadna tajemnica; ich wrogowie są natychmiast pogrzebieni; słyszą słowa, które ktoś wypowiada tylko w myślach. Wszyscy się ich lekają.

Wiem jednak, jak wiedza to wszyscy ich wierni słudzy, że nie mogą znieść bliskości świecy ani lampy, że krzyczą przeraźliwie na widok jasnego światła lucywa, a kiedy dokonują w tajemnicy egzekucji swoich wrogów, piją ich krew! Pijają, mówię wam. Jak drapieżne koty karmią się swoimi ofiarami, a ich komnata wygląda jak jaskinia lwów. A ja, Khayman, ich wierny sługa, muszę zbierać te ciała”. Khayman przerwał i zaniósł się płaczem.

To był koniec opowieści. Słońce wstawalo już nad wschodnimi górami, a my przygotowywaliśmy się do przeprawy przez Nil. Khayman podszedł do brzegu rzeki, kiedy pierwsza barka z żołnierzami ruszyła na drugą stronę. Nadal lkał, kiedy słońce odbiło się w rzece i woda jakby zajęła się ogniem.

„Bóg słońca, Ra, jest najstarszym i największym bogiem w całym Kemecie - szepnął. - Ten bóg obrócił się przeciwko nam. Dlaczego? W tajemnicy lkają nad swoim losem; pragnienie doprowadza ich do obłędu; lekają się, że nie uniosą jego ciężaru. Musicie ich uratować. Musicie zrobić to dla naszego ludu. Nie posłali po was, aby was oskarżać albo skrzywdzić. Potrzebują was. Jesteście potężnymi czarownicami. Sprawcie, aby duch cofnął to, co uczynił”. Potem, patrząc na nas i wspominając wszystko, co na nas spadło, dał wyraz swej rozpacz.

Nie odpowiedziałymy. Barka była już gotowa, by zawieźć nas do palacu. Patrzyliśmy na zalane słońcem fale, na wielkie zbiorowisko malowanych budynków tworzące królewskie miasto i zastanawialiśmy się, co wyniknie z tego koszmaru.

Wychodząc z łodzi, pomyślałam o swoim dziecku i nagle zrozumiałam, że w Kemecie czeka mnie śmierć. Chciałam zamknąć oczy i po cichutku zapytać duchy, czy to naprawdę się wydarzy, ale zabrakło mi odwagi. Nie chciałam pozbywać się resztki nadziei.

* * *

Maharet zeszywniała.

Jesse widziała, jak palce jej prawej dłoni poruszają się na blacie, kurcząc i rozprostowując. Pomalowane na złoto paznokcie lśniły w świetle paleniska.

- Nie chce, żebyście się bali - rzekła. Jej głos stał się monotony. - Powinnicie jednak wiedzieć, że Matka przebyła wielkie wschodnie morze. Ona i Lestat są coraz bliżej...

Jesse poczuła, jak wszystkich zgromadzonych przenika dreszcz trwogi. Maharet, wciąż spięta, nasłuchiwała, a być może w coś się wpatrywała, lekko ruszając zrenicami.

- Lestat woła - powiedziała. - Ale jego krzyk jest zbyt słaby, abym mogła usłyszeć słowa; zbyt słaby, aby ujrzeć obrazy. Jednakże nie stała mu się krzywda, tyle wiem i to, że mam niewiele czasu, aby skończyć tę opowieść...

Rozdział siódmy

Opowieść Lestata - Królestwo Niebios

Karaiby. Haiti. Ogród Boga.

Stałem na wzgórzu zalanym światłem księżyca i usiłowałem nie widzieć tego raj. Usiłowałem wyobrazić sobie tych, których kochałem. Czy wciąż są razem w tamtym bajkowym lesie gigantycznych drzew, w którym widziałem moją spacerującą matkę? Gdybym mógł ujrzeć ich twarze albo usłyszeć ich głosy. Mariuszu, nie bądź gniewnym ojcem. Pomóż mi! Pomóż nam wszystkim! Nie poddaj się, ale przegrywam. Przegrywam moją duszę i mój umysł. Moje serce już nie jest moje. Należy do niej.

Oni byli jednak poza moim zasięgiem; dzieliło nas wiele kilometrów; nie miałem tyle mocy, aby pokonać ów dystans.

Patrzyłem więc na jasnozielone wzgórza, pełne małych gospodarstw, na świat z książeczki z obrazkami, na zatrzęsienie kwitnących kwiatów i czerwonych poinsecji wysokich jak drzewa. Wiecznie zmieniające swój kształt chmury unosiły się w porywistym wietrze jak wysokie żaglowce. Co myśleli pierwsi Europejczycy, kiedy patrzyli na ten żyzny kraj otoczony rozmigotaniem morzem? Ze to Ogród Boga?

Pomyślałem, że przyniesli tu śmierć, że tubylcy wygineli w ciągu kilku krótkich lat, zniszczeni niewolnictwem, chorobami i niekonczącymi się okrucieństwami. Nikt nie przetrwał spośród tych pokojowo usposobionych istot, które wdychały balsamiczne powietrze, zrywały owoce z drzew kwitnących przez cały rok i być może uznały swoich gości za bogów, którzy nie mogą nie odpowiedzieć uprzejmością na ich serdeczność.

Ponizej, na ulicach Port-au-Prince, trwaja zamieszki, i to nie z naszej przyczyny. Takie sa dzieje tego krwawego miejsca, gdzie przemoc kwitla przez czterysta lat, jak kwitna kwiaty; chociaz obraz wzgórz wznoszacych sie we mgle kruszyl serce.

Wykonalismy nasza robote; ona - poniewaz zrobila, co chciala, ja - poniewaz nie zrobilem nic, by ja powstrzymac. Przeprowadzila swój plan w miasteczkach rozrzuconych wzdluz kretej drogi prowadzacej na zalesiony szczyt. Miasteczka z pastelowymi domkami, dzikimi bananowcami i ludzmi tak biednymi, tak glodnymi. Kobiety wciaz spiewaly hymny i grzebaly zmarlych przy swietle swiec i w blasku luny padajacej z plonacego kosciola.

Bylismy sami. W oddali widac bylo koniec waskiej drogi; las ukrywal ruiny starego domu, który kiedys panowal nad okolica jak cytadela. Minely wieki od chwili, gdy odjechali stad plantatorzy; cale wieki temu tanczyli tu, spiewali i pili wino w tych zniszczonych juz pomieszczeniach, podczas gdy niewolnicy plakali.

Na ceglany mur wspielala sie bugenwilla laczac swój blask ze swiatlem ksiezycy. Z wylozonego kamieniami dziedzinca wzroslo wielkie drzewo obwieszone pnaczami, wypychajac powykrecanymi konarami ostatnie resztki starych belek, które niegdys podtrzymywaly dach.

Ach, byc tu z nia na wiecznosc. Reszta niech ulegnie zapomnieniu. Koniec smierci, koniec zabijania.

- To Królestwo Niebios - powiedziala, wzdychajac.

Ponizej w malej osadzie boscie kobiety gonily mezczyzn, sciskajac palki w dloniach. Kaplan wudu wykrzykiwal stare przeklenstwa, kiedy zlapaly go na cmentarzu. Opuscilem miejsce rzezi i samotnie wspialem sie na góre. Nie moglem juz dluzej byc swiadkiem tych wydarzen.

Ona przybyla tu za mna, znalazla mnie wsród ruin, poszukujacego czegos, co rozumialem. Stara zelazna brama, zardzewialy dzwon, ceglane kolumny zarosniete bluszczem; owoce pracy rak, które przetrwaly. Och, jakze mnie wydrwila.

Ten dzwon wzywawal niewolników, powiedziala; to siedziba ludzi, którzy nasaczyli te ziemie krwia; czemu hymny prostych wniebowzietych ludzi zranily mnie i przerazily? Przeciez kazdy taki dom musi popasc w ruine. Klócilismy sie. Walczylismy, jak to kochankowie.

- Czy tego chcesz? - powiedziala. - Nigdy wiecej nie skosztowac krwi?

- To bylo proste, niebezpieczne, ale proste. Robilem to, zeby utrzymac sie przy zyciu.

- Och, zasmucasz mnie. Jak ty klamiesz. Jak klamiesz. Co musze zrobic, zeby przejrzal na oczy? Jesteś tak slepy, tak egoistyczny!

Znów ujrzalem na jej twarzy przeblysk bólu, nagle cierpienie, które calkowicie ja uczlowieczilo. Wyciagnalem do niej rece.

Godziny spedzilismy w uscisku, tak mi sie przynajmniej wydawalo.

Wokól panowala juz cisza i spokój; cofnalem sie od skalnej krawedzi i znów objalem Akasze. Kiedy patrzyla na wielkie chmury gorujace nad nami, zalane niesamowitym swiatlem ksiezycy, uslyszalem jej słowa:

- To jest Królestwo Niebios.

Takie proste sprawy jak wspólny sen lub siedzenie na kamiennej ławce przestały mieć znaczenie. Stojąc i trzymając ją w objęciach, odczuwałem prawdziwe szczęście. Znów piliem nektar, jej nektar, chociaż płakałem i myślałem, że jestem bytem, który rozpuszcza się jak perła w winie. Zginales, ty mały czarciu, zginales, wiesz o tym - w niej. Stałeś i patrzyłeś, jak umierali; stałeś i patrzyłeś.

- Nie ma życia bez śmierci - szepnęła. - Teraz ja jestem droga, droga do jedynej nadziei na życie bez trudów. - Poczulem jej usta na swoich. Zastanawiałem się, czy kiedyś jeszcze zrobi to, co zrobiła w świątyni? Czy przyłgniemy do siebie, biorąc z siebie nawzajem rozgrzana krew?

- Wsłuchaj się w śpiewy z wioski.

- Tak.

- A teraz wsłuchaj się w odgłosy miasta położonego daleko w dole. Czy wiesz, ile śmiertelnych wypadków zdarzyło się nocą w tym mieście? Ilu ludzi zostało zmasakrowanych? Czy wiesz, ilu więcej umarłoby z rak mężczyzn, gdybyśmy nie zmienili przeznaczenia tego miejsca? Gdybyśmy nie podnieśli go ku nowej wizji? Czy wiesz, jak długo trwałaby ta bitwa?

Wieki temu, w moich czasach, to była najbogatsza kolonia francuskiej korony, bogata w tytoń, indygo, kawę. Fortuny powstawały tu w ciągu jednego sezonu. A teraz ludzie grzebią w ziemi; chodzą boso po glinianych ulicach swoich miasteczek; karabiny maszynowe szczekają w Port-au-Prince; stosy trupów w kolorowych bawełnianych koszulkach zalegają bruki. Dzieci nabierają do puszek wodę z rynsztoków. Niewolnicy podnieśli głowy, niewolnicy zwyciężyli; niewolnicy stracili wszystko.

Jednak taki jest los i świat ludzi.

- A kim my jesteśmy? - Rozesmiała się cicho. - Jesteśmy bezużyteczni? Jak usprawiedliwimy nasze istnienie? Mamy przyglądać się beczynnemu temu, czego nie chcemy odmienić?

- Przypuśćmy, że to pomyłka, że świat jest z tego powodu gorszy i że to jest koszmar - nie do zrealizowania, nie do przeprowadzenia. Co z tymi ludźmi w grobach, z całą tą ziemią, która stała się cmentarzem, stosem pogrzebowym?

- Kto może powiedzieć, że to złe?

Milczałem.

- Mariusz? - Jakże pogardliwy był jej śmiech. - Czy nie zdajesz sobie sprawy, że teraz nie ma ojców? To cie żal, prawda?

- Sa bracia. I sa siostry - powiedziałem. - W sobie nawzajem znajdziemy naszych ojców i nasze matki, czy nie tak?

Znów się rozesmiała, ale tym razem łagodnie.

- Bracia i siostry - rzekła. - Czy chciałbyś zobaczyć swoich prawdziwych braci i prawdziwe siostry?

Uniosłem głowę z jej ramienia. Pocałowałem ją w policzek.

- Tak, chce. - Serce znów bilo mi mocno. - Proszę. - Całowałem jej szyję, policzki, zamknięte oczy. - Proszę.

- Pij - szepnęła. Poczulem jej piersi nabrzmiewające przy moim torsie. Wbiłem zęby w jej gardło i znów nastąpił ten mały cud, nagle pekniecie polewy i nektar napłynął mi w usta.

Pochłonęła mnie wielka, gorąca fala. Zadnego cieżenia, zadnego czasu ani miejsca.

Akaszo!

Wtem zobaczyłem sekwoje; i dom rozjasniony światłami, a w sali wewnątrz wierzchołka góry stół i wszystkich ich wokół, i tanczący ogień odbity w panoramicznym oknie. Mariusz, Gabriela, Louis, Armand. Sa razem i nic im nie grozi! Czy to sen? Słuchają rudej kobiety. Znam ją! Widziałem.

Była we śnie o rudych bliźniaczkach.

Chce się im przyjrzeć - tym niesmiertelnym zebranych przy stole. Ruda dziewczyno, ty u boku tamtej kobiety też już widziałem, ale wtedy była żywa. Podczas koncertu objąłem ją i zajrzałem w jej szalone oczy. Pocałowałem ją i nazwałem po imieniu; a wtedy jakby przepaść otwarła się pod mną i spadałem w sny o bliźniaczkach, których nigdy nie mogłem sobie przypomnieć. Malowane ściany; świątynie.

Nagle wszystko zbladło. Gabrielo! - wołałem w myślach. - Matko. - Za późno. Wyciągałem ramiona; wirowałem w ciemności.

Masz teraz wszystkie moje moce - mówiła mi w myślach. - Potrzebujesz tylko czasu, by je udoskonalić. Możesz sprowadzać śmierć, możesz poruszać materię, możesz przynosić ogień. Teraz jesteś gotowy, by iść do nich. Dajmy im jednak urzeczywistnić ich mrzonki, ich głupie spiski i dyskusje. Pokażemy im trochę więcej naszej mocy...

Nie, proszę, Akaszo, proszę, zostawmy ich w spokoju - błagałem ją w myślach.

Odsunęła się i wymierzyła mi policzek.

Zatoczyłem się od ciosu. Dygotałem, czując, jak ból promieniuje z miejsca uderzenia, jakby rozcapierzone palce nadal tam przylegały. Zdusiłem gniew, pozwalając, aby ból nabrzmiał i ustąpił. Zaciśnłem gniewnie pięści i nie zrobiłem nic.

Przeszła stanowczym krokiem po starych kocich łbach, jej rozpuszczone włosy falowały. Zatrzymała się przy zniszczonej bramie, lekko unosząc ramiona, garbiąc się, jakby kurczyć się w sobie.

Rozległy się głosy; osiągnęły maksimum, zanim zdążyłem je zdusić. A potem opadły jak woda ustępująca po wielkiej powodzi.

Znów dostrzegłem wokół siebie góry; znów widziałem zrujnowany dom. Ból minal, ale wciąż drzałem.

Odwróciła się ku mnie, napięta, ze ściągniętą twarzą i lekko zwezonymi oczami.

- Tyle dla ciebie znaczą, prawda? Jak myślisz, co zrobią lub powiedzą? Sądziś, że Mariusz zawróci mnie z mojej drogi? Znam Mariusza tak dobrze, jak ty nigdy go nie poznasz. Znam każdą ścieżkę jego rozumowania. Jest chciwy jak ty. Za kogo mnie bierzesz, jeśli sądziś, że tak łatwo mna kierować? Urodziłam się królową. Zawsze rządziłam; nawet ze świątyni. - Nagle oczy się jej zaszklily. Usłyszałem

głosy, rosnący głuchy szum. - Rządziłam choćby tylko w legendzie; choćby tylko w umysłach tych, którzy przychodzili składać mi hołd, księżniczek, które grały dla mnie na instrumentach, przynosiły mi ofiary i modliły się do mnie. Czego chcesz ode mnie? Żebym zrezygnowała dla ciebie z tronu, z przeznaczenia?

Co mogłem odpowiedzieć?

- Potrafisz czytać w moim sercu - rzekłem. - Wiesz, że chce, byś udała się do nich, dała im szansę wypowiedzenia się, jak dałaś te szansę mnie. Oni znają słowa, których ja nie znam. Oni wiedzą więcej niż ja.

- Och, Lestacie, ja naprawdę ich nie kocham. Nie kocham ich tak, jak kocham ciebie. Więc jakie znaczenie ma to, co powiedzą? Nie mam do nich ciepłości!

- Potrzebujesz ich. Sama to powiedziałas. Jak możesz bez nich zacząć? Mam na myśli prawdziwy początek, nie te zacofane wioski, lecz miasta, w których ludzie błądzą. To twoi aniołowie, tak ich nazywałaś.

- Nie potrzebuje nikogo. - Smutno potrząsnęła głową. - z wyjątkiem... Z wyjątkiem... - Zawahała się, a potem jej twarz straciła wszelki wyraz.

Zanim zdążyłem nad sobą zapanować, jęknąłem; jęknąłem z bezradności i żalu. Oczy zaszyły jej mgłą i chyba głosy znów się odezwały, jednakże nie w moich uszach, lecz w jej. Wydawało mi się, że patrzy na mnie, nie widząc.

- Jeśli będę musiała, zniszczę cię - rzekła matowym głosem, szukając mnie wzrokiem, ale nie znajdując.
- Uwierz moim słowom. Po raz pierwszy nie zniknę, nie cofnę się. Moje sny staną się rzeczywistością.

Oderwałem od niej wzrok, spojrzałem ponad zrujnowaną bramą, ponad poszarpanym brzegiem urwiska ku dolinie. Co dałbym za uwolnienie od tego koszmaru? Czy byłbym gotów umrzeć z własnej ręki? Oczy napelnily mi się łzami, kiedy patrzyłem na ciemne pola. Tchórzostwem było tak myśleć; sam do tego doprowadziłem! Nie było już dla mnie ucieczki.

Stała jak posąg, zasluchana; potem zamrugła, a jej ramiona drgnęły, jakby niosła w sobie wielki ciężar.

- Czemu nie możesz mi uwierzyć? - powiedziała.

- Porzuc to! - odparłem. - Zostaw wszystkie te wizje. - Podszedłem do niej i wziąłem ją za ramiona. Uniosła wzrok, prawie jakby była pijana. - Stoimy w ponadczasowym miejscu, bo te biedne wioszczyny, które podbilismy, nie zmieniły się od tysiący lat. Pozwól, że pokażę ci mój świat. Akaszo chce, byś zobaczyła każdą jego najdrobniejszą część! Chodź ze mną do miast jak szpieg; nie by niszczyć, ale by ujrzeć!

Jej oczy znów się rozjaśniły; bezwolność ustępowała. Objęła mnie i nagle znów zapragnąłem krwi. Mogłem myśleć tylko o tym, chociaż się opierałem i lkałem nad słabością swej woli. Chciałem jej. Chciałem jej i nie mogłem tego zwalczyć; a jednak moje stare marzenia wracały, tamte dawne wizje, w których budziłem ją i zabierałem ze sobą do oper, muzeów, sal koncertowych, prowadziłem przez metropolie i skarbcę pełne wszystkich pięknych i niezniszczalnych rzeczy, które ludzie stworzyli na przestrzeni wieków, artefaktów wznoszących się ponad wszelkie zło, pomyłki i słabości ludzkich dusz.

- Cóż to wszystko dla mnie znaczy, miłości moja? - szepnęła. - Ty miałbyś mnie uczyć swojego świata?

Ach, cóż za próżność. Jestem poza czasem i zawsze byłam.

Kiedy patrzyła na mnie, była zalamana jak nigdy. Widziałem jej smutek.

- Potrzebuje cie! - szepnęła. Jej oczy po raz pierwszy napelnily sie łzami.

Nie mogłem tego zniesć. Poczulem dreszcze. Uciszącym gestem położyła mi palce na ustach.

- Doskonale, miłości moja - powiedziała. - Jeśli sobie tego życzysz, udamy się do twoich braci i siostr. Do Mariusza. Jednak pozwól mi jeszcze jeden raz przycisnąć cię do serca. Widzisz, nie mogę być inna, niż jestem. Oto, co obudziłeś swoim śpiewem: oto, czym jestem!

Chciałem protestować, zaprzeczać; chciałem znów wytoczyć argumenty, które podzieliłyby nas i sprawiły jej ból, ale kiedy spojrzałem jej w oczy, nie mogłem znaleźć właściwych słów. Nagle zrozumiałem, co się stało.

Znalazłem sposób, by ją zatrzymać, znalazłem ten klucz. Był w zasięgu ręki przez cały czas. Nie jej miłość do mnie była ważna, lecz to, że mnie potrzebowała; potrzebowała jednego sojusznika w całym wielkim królestwie; jednej bratniej duszy stworzonej z tej samej substancji, z której ona była stworzona. Kiedyś wierzyła, że może mnie stworzyć na swój obraz i podobieństwo, a teraz wiedziała, że to niemożliwe.

- Ach, mylisz się - powiedziała przez łzy. - Jesteś młody i pełen obaw. - Uśmiechnęła się. - Należysz do mnie. Jeśli tak być musi, zniszczę cię, mój księżu.

Nie odezwałem się. Nie mogłem. Zrozumiałem wszystko, mimo że ona nie mogła tego zaakceptować. Przez długie wieki odosobnienia nigdy nie była sama; nie zaznała cierpienia całkowitej izolacji. Och, nie chodziło o coś tak prostego jak obecność Enkila u jej boku lub widok Mariusza składającego dary; było to coś głębszego, nieskonczenie bardziej ważnego; nigdy samotnie nie wypowiedziała wojny rozumowi przeciwko otoczeniu!

Łzy płynęły jej po policzkach, dwie strugi zracej czerwieni. Zaciśnęła usta i schyliła brwi w ponurym zamysleniu, chociaż twarz promieniała jej jak zawsze.

- Nie, Lestacie - powtórzyła. - Mylisz się. Musimy wytrwać do końca. Jeśli oni muszą umrzeć... wszyscy... żebyś ty związał się ze mną, niech tak będzie.

Chciałem zbuntować się przeciwko niej, przeciwko jej grozom; ale kiedy podeszła, nie odsunąłem się.

Tu i teraz: ciepła karaibska bryza, dłonie Akaszy sunące w górę moich pleców, palce Akaszy przesuwające się wśród moich włosów. Nektar znów napływał we mnie, zalewał mi serce. Wreszcie jej usta spoczyły na moim gardle i poczułem nagle uklucie jej zębów. Tak! Tak jak w świątyni, wiele lat temu, tak! Jej krew, moja krew i ogłuszające dudnienie jej serca, tak! To była ekstaza, a jednak nie potrafiłem jej ulec; nie potrafiłem i ona o tym wiedziała.

Rzecz o bliźniaczkach (zakonczenie)

Zastaliśmy pałac taki, jaki był w naszej pamięci, a być może bardziej wystawny, przeladowany lupami z podbitych krajów. Więcej złotych tkanin i jeszcze bardziej żywe malowidła; dwa razy więcej niewolników, jakby byli jedynie ozdobami; ich szczupłe nagie ciała były obwieszane złotem i klejnotami.

Skierowano nas do królewskiej izby z uroczymi fotelami, stoliczkami i pysznym dywanem oraz ugoszczono tacami z mięsem i rybami.

O zachodzie słońca usłyszaliśmy wiwaty. Król i królowa pojawili się w pałacu. Cały dwór wyszedł im się pokłonic, wypiewując hymny opiewające błąd skóry i lśniące włosy, a także ciała cudownie wyleczone po napadzie spiskowców; cała budowla rozbrzmiewała echemi pochwalnych piosenek.

Kiedy zakończył się ten mały spektakl, zostaliśmy zabrane do sypialni królewskiej pary i w słabym świetle lamp ujrzałyśmy na własne oczy zaszła transformację.

Miałyśmy przed sobą dwie blade, a mimo to wspaniałe istoty przypominające we wszystkich szczegółach to, czym były za życia. Był od nich jednak jakiś przedziwny blask; ich skóra nie była już zwyczajna skóra, a ich umysły też nie były już takie same. Niemniej jednak prezentowali się niebywale. Pewnie wszyscy potraficie to sobie wyobrazić. Tak, niebywale, jakby księżyc spłynął z nieba i naplnił ich swoim światłem. Stali pośrodku oszalałymi złotych mebli, obwieszeni klejnotami i wpatrywali się w nas oczami lśniącymi jak obsydian. Wreszcie król odezwał się całkowicie zmienionym głosem, jakby przesyconym łagodną muzyką:

„Khayman opowiedział wam, co nas spotkało. Stoją przed wami beneficjanci wielkiego cudu, odnieśliśmy bowiem triumf nad pewną śmiercią. Teraz jesteście całkowicie poza zasięgiem ludzkich ograniczeń i potrzeb; widzimy i rozumiemy rzeczy, które kiedyś były dla nas niedostępne”.

Maska królowej rozsypała się natychmiast.

„Musicie to nam wytłumaczyć! Co zrobił wasz duch?” - syknęła.

Niebezpieczeństwo ze strony tych potworów było większe niż kiedykolwiek i usiłowałam ostrzec Mekare, ale królowa rozesmiała się od razu.

„Wydaje ci się, że nie wiem, co myślicie?” - spytała, ale król poprosił ją, by zamilkła.

„Niech czarownice użyją swoich mocy - rzekł. - Wiecie, że zawsze darzyliśmy was czcią i szacunkiem”.

„Tak - warknęła królowa. - A wy zesłałyście na nas te klatwy”.

Natychmiast oświadczyłam, że nie zrobiliśmy tego, że dotrzyaliśmy umowy i po tym, jak opuściliśmy królestwo, wróciliśmy do naszego kraju. Podczas gdy Mekare w milczeniu przyglądała się uważnie monarszej parze, błagałam, by pojęli, że jeśli duch był sprawcą tej zmiany, to jedynie dla kaprysu.

„Dla kaprysu! - oburzyła się królowa. - Jak można używać takiego słowa! Co się nam stało? Kim

jestesmy?” - powtórzyła, a potem obnażyła wargi, pokazując nam swoje zęby. Ujrzałyśmy w jej ustach kły, drobne, ale ostre jak igły. Król również zademonstrował nam te zmiany.

„Tak lepiej ssac krew - szepnął. - Macie pojecie, czym jest dla nas to pragnienie?! Nie możemy go zaspokoic! Każdej nocy umiera trzech, czterech ludzi, by nas nasycić, a mimo to kładziemy się spać w torturach pragnienia”.

Królowa rwła włosy z głowy, jakby zaraz miała podnieść krzyk. Król położył jej dłoń na ramieniu.

„Poradźcie nam, Mekare i Maharet - rzekł. - Chcielibyśmy pojść te przemiany i wykorzystać je w dobrym celu”.

„Tak - potwierdziła, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - To nie mogło się stać bez powodu...” Nagle umilkła. Jej ograniczony, pragmatyczny umysł, zawsze małoostkowy i szukający usprawiedliwień, zalał się, podczas gdy król trwał przy swoich iluzjach, jak to mężczyzna.

Kiedy wreszcie zamilkli, wystąpiła Mekare. Położyła dłonie na ramionach króla i zamknęła oczy. Następnie dotknęła dłońmi królowej, chociaż jej wzrok tryskał jadem.

„Wyjaśnij nam - powiedziała Mekare, patrząc na królową - co się stało w tamtej chwili. Co pamiętasz? Co widziałas?”

Królowa milczała, twarz miała ściągniętą i pełną podejrzliwości. Prawde mówiąc, zmiana uwydatniła jej urodę, a przecież zarysowało się w niej coś odpychającego, jakby nie była kwiatem, ale replika kwiatu z czystego białego wosku. Zaglebiając się w sobie, stała się coraz bardziej ponura i zła. Instynktownie przyciągnęłam do siebie Mekare, chroniąc ją przed tym, co mogłoby nastąpić.

Wtedy królowa przemówiła:

„Przybyli nas zabić, ci zdrajcy! Planowali zważyć winę na duchy. Chcieli znów jeść ciała, ciała matek i ojców, i ciała ludzi, na których uwielbiali polować. Przybyli do domu i zakłuli sztyletami mnie, swoją prawomocną władczynię”. Przerwała, jakby znów widziała tamte wypadki. „Upadłam, kiedy mnie cielei, kiedy wbijali mi sztylety w piers. Nie mogłam żyć z ranami, jakie odniosłam, więc upadłam na posadzkę, wiedząc, że umieram! Słyszycie, co mówię? Wiedziałem, że nic nie może mnie uratować. Krew chlustała ze mnie na podłogę.

W tym samym momencie, w którym zobaczyłam, jak ten życiodajny płyn rozlewa się przede mną, zdałam sobie sprawę, że nie jestem w moim poranionym ciele, że już je opuściłam, a śmierć porwała mnie i unosi ostro w górę, jakby wielkim tunelem, do miejsca, w którym nie będę już cierpieć!

Nie lekalam się; nic nie czułam; popatrzyłam w dół i zobaczyłam sama siebie na podłodze tamtego domku, biała i pokryta krwią. To mnie jednak nie obeszło. Byłam wolna i swobodna, ale nagle coś mnie złapało, coś złapało moją niewidzialną istotę! Tunel przepadł; zostałam złowiona w wielkie sićla jak w rybacką sieć. Naparłam na nią z całej siły i ugięła się pod moim naporem, lecz nie pękła, trzymała mnie mocno, tak że nie mogłam się przebić.

Kiedy chciałam krzyknąć, znów byłam w swoim ciele! Czułam straszliwy ból w ranach, jakby noże przebijaly mnie na nowo. A ta sieć, ta wielka sieć, nadal mnie wieszała, ale nie była już tak olbrzymia jak poprzednio, jakby zbiegła się w balon, sieć przypominała wielki jedwabny woal.

To coś - jednocześnie widzialne i nie - wirowało wokół mnie, unosiło mnie, ciskało w górę, obracało

mna. Krew chlustala mi z ran i nasaczala woal, jakby siec naprawde byla z jakiegos materialu.

To, co poprzednio bylo przezroczyse, teraz nasaczylo sie krwia. Ujrzalam cos monstualnych rozmiarow, bezkszaltne, bezmierne, przesaczone na calej powierzchni moja krwia; jego drobne, plonace centrum znajdowalo sie we mnie i miotalo sie w moim ciele jak przerazone zwierze. Biegalo w moich konczynach, tupotalo i tluklo sie. Bylo jak serce z hasajacymi nogami. Kiedy wbilam sobie paznokcie w cialo, zaczelo krazyc w moim brzuchu. Bylam gotowa rozplatac sama siebie, zeby wyrzucic to poza moje cialo!

A wielka niewidzialna czesc tego czegos - krwawa mgla, ktora mnie otaczala i zamykala w sobie - byla kontrolowana przez to drobnutkie centrum, zakrecajace to tu, to tam, smigajace we mnie, mknace to w moich dloniach, to w stopach. Bieglo w gore mojego kregoslupa.

Umre, na pewno umre - myslalam. Nagle osleplam! Zalegla cisza. Zabilo mnie, bylam tego pewna. Powinnam znów wzleciec w gore, czy nie tak? Wtem otworzylam oczy; usiadlam na podlodze, jakby nie spotkal mnie zaden zamach, i widzialam nieslychanie wyraznie! Khayman z plonaca zagwia w dloni! Drzewa w ogrodzie! Wszystko ukazywalo mi sie takie, jakie bylo naprawde! Ból znikl calkowicie, tak z wnetrznosci, jak i z ran. Tylko oczy bolaly mnie od swiatla; nie moglam zniesc blasku. Jednakze zostalam uratowana od smierci; moje cialo zostalo uszlachetnione i udoskonalone. Z wyjatkiem..." Przerwala.

Wpatrywala sie przed siebie, jakby zobojetniala.

„Khayman opowiedzial wam reszte” - rzekla.

Popatrzyla na króla stojacego obok, wpatzonego w nia, usilujacego jak my zrozumiec to, o czym mowila.

„To wasz duch - stwierdzila. - Próbował nas zniszczyc, ale nastapilo cos innego; interweniowala jakas wielka moc i zatriumfowala nad diabolicznym zlem”. Wtem znów stracila pewnosc siebie. Klamstwa zamaryl jej na wargach, twarz zlodowaciala, ale przemowila slodko: „Powiedzcie nam, czarownice, madre czarownice, wy, które znacie wszystkie sekrety, jak nazwac to, czym sie stalismy!”

Mekare westchnela i popatrzyla na mnie. Wiedzialam, ze nie chce o tym mówic. Przypomnialysmy sobie stare ostrzezenie duchow. Egipski król i egipska królowa beda nam zadawac pytania, a nasze odpowiedzi im sie nie spodobaja. Zostaniemy zniszczone...

Królowa usiadla z pochylona glowa i wtedy dopiero ujawnil sie jej prawdziwy smutek. Król usmiechnal sie do nas z rezygnacja.

„Przenika nas ból, czarownice - powiedzial. - Moglibysmy zniesc ciezar tej przemiany, gdybysmy lepiej ja rozumieli. Wy, które zylyscie i zyjecie we wspólnocie z wszystkimi niewidzialnymi istotami, powiedzcie nam, co wiecie o takich czarach, zechciejcie nam pomóc, bo wiecie, ze nigdy nie chcielismy was skrzywdzic, lecz tylko rozpowszechniac prawde i prawo”.

Nie komentowalysmy tego stwierdzenia o rozpowszechnianiu prawdy za pomoca masowej rzezi. Mekare zazadala od króla, by teraz on opowiedzial, co pamietala.

Mówil o rzeczach, które wy - wszyscy, jak tu siedzicie - z pewnoscia znacie. O tym, jak umieral i jak smakowal krwi, która zona posmarowala mu twarz, i o ty m, jak jego cialo powrócilo do zycia i zapagnal tej krwi, a potem jak wzial ja od zony, stajac sie tym samym co ona. Nie widzial jednak tajemniczej chmury krwi i nie czul, by cos poruszalo sie w nim w srodku.

„To pragnienie jest nie do zniesienia - rzekł nam. - Nie do zniesienia”. On też pochylił głowę.

Staliśmy w milczeniu, patrzac na siebie, aż wreszcie Mekare. jak zwykle, przemówiła pierwsza:

„Nie wiemy, jak nazwać to, czym się staliście. Nie wiadomo nam, by coś takiego kiedykolwiek wydarzyło się na świecie. A jednak to, co się wydarzyło, jest całkiem jasne”. Utkwiła wzrok w królowej. „Kiedy oglądałaś swoją śmierć, twoja dusza usiłowała szybko uciec od cierpienia, jak to często bywa w przypadku dusz. Kiedy jednak się uniosła, duch Amel, równie niewidzialny jak ona, pochwycił ją. W innych warunkach bez trudu pokonałabyś te ziemskie istoty i udała się do królestw, których nie znamy; lecz ten duch na długo przedtem dokonał zmiany w samym sobie, stając się czymś zupełnie nowym. Zakosztował krwi ludzi, których pokłuli lub dreczyli, jak sami to widzieliście. A twoje leżące ciało, pełne krwi mimo tak wielu ran, nadal żyło. Wtedy duch, zlakniony, zanurzył się w twoim ciele, podczas gdy jego niewidzialna postać nadal była przykuta do twojej duszy.

Mogłabyś wyjść z opresji, pokonując te złe istoty, jak to się często udaje osobom opętanym. Jednak drobny rdzeń tego ducha, stworzony z materii będącej szalejącym centrum wszystkich duchów, z której pochodzi ich nieskończona energia - nagle napelnił się krwią jak nigdy w przeszłości.

Fuzja krwi i beczasowej tkanki została po wielokroć wzmocniona i przyspieszona; krew przepłynęła przez całe jego ciało, zarówno materialne, jak i niematerialne, i stało się ono tamta widzialna chmura posoki.

Najbardziej znaczący w tym wszystkim jest ból, ból, który przemieszczał się w twoich członkach. Tak bowiem jak twoje ciało połączyło się z rdzeniem ducha w chwili nieuchronnej śmierci, tak z pewnością i jego energia już wcześniej połączyła się z twoją duszą. I oto powstała nowa istota”.

„Jego serce i moje serce - szepnęła królowa - stały się jednym”. Zamknęła oczy, uniosła dłoń i położyła ją na piersi.

Nie zareagowaliśmy, gdyż to stwierdzenie wydało się nam uproszczeniem - nie wierzyliśmy, by serce mogło być centrum intelektu lub uczuć. Ujrzałyśmy straszliwy obraz z przeszłości - serce i mózg naszej matki cisnięte na ziemi i wdeptane w popiół i kurz.

Siła woli odsunęliśmy ów obraz. Nie chcieliśmy, by nasz ból był dostrzeżony przez jego sprawców.

Król przypierał nas do muru.

„Znakomicie - rzekł - wyjaśniliscie, co wydarzyło się Akaszy. Ten duch jest w niej, być może rdzeń połączył się z rdzeniem. A co jest we mnie? Nie czulem takiego bólu, takiego szalejącego demona. Kiedy jej zakrwawione dłonie dotknęły moich ust, czulem tylko... tylko pragnienie”. Popatrzył na żonę.

Wstyd, groza, o jakie przyprawiało ich owo pragnienie, były wyraźne.

„Ten sam duch jest i w tobie - odparła Mekare. - Żyje tylko jeden Amel. Jego rdzeń zakorzenił się w królowej, ale jest obecny i w tobie”.

„Jak to możliwe?” - zapytał.

„To jestestwo ma wielką niewidzialną część. Gdybyś zobaczył je całe, zanim wydarzyła się ta katastrofa, przekonałabyś się, że jest niemal bez granic”.

„Tak - przyznała królowa. - Ta sieć zakrywała całe niebo”.

„Kurcząc się i pomniejszając swoje olbrzymie rozmiary, duchy osiągają fizyczną siłę - wyjaśniła Mekare. - Zostawione samym sobie są jak chmury nad horyzontem, a nawet większe; czasami chwaliły się nam, że nie mają granic, chociaż to nie może być prawdą”.

Król wbił wzrok w żonę.

„Ale jak się od niego uwolnić?” - zapytała porwoczo Akasza.

„Tak. Jak zmusić go do odejścia?” - spytał król.

Żadna z nich nie chciała odpowiedzieć. Dziwiliśmy się, że rozwiązanie tej zagadki nie było dla nich oczywiste.

„Zniszcz swoje ciało - powiedziała wreszcie Mekare królowej. - Wtedy on też zostanie zniszczony”.

Król popatrzył na Mekare z niedowierzaniem.

„Ma zniszczyć swoje ciało!...” Spojrzał bezradnie na żonę.

Akasza uśmiechnęła się gorzko. Te słowa jej nie zaskoczyły. Milczała przez długą chwilę, patrząc na nas z nie ukrywaną nienawiścią. Potem przeniosła wzrok na króla i wreszcie zapytała:

„Jesteśmy umarli, prawda? Przystaniemy istnieć, gdy on odejdzie. Nie jemy i nie pijemy niczego poza krwią, której on się domaga, a nasze ciała nie wydalają już nieczystości. Nie zmieniliśmy się o włos od tamtej strasznej nocy; nie jesteśmy już żywymi stworzeniami”.

Mekare nic nie powiedziała. Wiedziałam, że ich ocenia, przypatruje się im nie jak człowiek, ale jak czarownica. Wycisza się i uspokaja, aby móc zaobserwować niedostrzegalne aspekty, umykające zwyczajnemu oglądowi. Patrząc na nich i słuchając, wpadła w trans. Kiedy się odezwała, jej głos był matowy, głuchy:

„On draży wasze ciała, czyni to nieprzerwanie jak ogień trawiący drewno, jak robak wijący się w sierwie. To działanie jest nieuchronne; to dalszy ciąg fuzji, która nastąpiła; dlatego słońce sprawia wam ból, ponieważ on zużywa całą swoją energię na to, co musi czynić, i nie może wytrzymać zaru słońca”.

„A nawet jasnego światła pochodni” - westchnął król.

„Czasem nawet płomyka świecy” - powiedziała królowa.

„Tak - rzekła Mekare, otrzasując się z transu. - A wy jesteście umarli - szepnęła. - Mimo to jednak żyjecie! Jeśli rany zagoiły się, jak mówiłaś, jeśli odzyskałaś króla, jak mówiłaś, no cóż, to znaczy, że pokonałaś śmierć. Oczywiście dopóki nie wyjdziecie na spiekotę słońca”.

„Nie, to pragnienie nie może dalej trwać! - powiedział król. - Nie pojmujecie, jakie ono jest straszne”.

Królowa tylko uśmiechnęła się gorzko.

„Teraz to nie są już żywe ciała. To siedziby demona”. Wargi jej drżały, kiedy popatrzyła na nas. „Albo

jest tak, albo doprawdy jesteśmy bogami!”

„Odpowiedzcie nam, o czarownicy - powiedział król. - Czy to możliwe, że jesteście teraz boskimi istotami, błogosławionymi darami, które tylko bogowie mogą dzielić?” Uśmiechnął się przy tych słowach, tak bardzo chciał w nie wierzyć. „Czy to niemożliwe, że gdy demon usiłował nas zniszczyć, nasi bogowie interweniowali?”

Złe światło zapłonęło w oczach królowej. Jakże podobala się jej ta idea, ale nie wierzyła w nią... nie do końca.

Mekare spojrzała na mnie. Chciała, bym wystąpiła i dotknęła ich, jak poprzednio ona. Chciała, bym popatrzyła na nich, jak poprzednio ona. Pragnęła rzec jeszcze coś, ale nie była tego pewna. A prawdę mówiąc, ja miałem nieco silniejszy instynkt, chociaż mniejszy dar wysławiania się.

Wystąpiłam i dotknęłam ich białej skóry, chociaż brzydziłam się nimi, jak brzydziło mnie wszystko, co uczynili naszemu ludowi i nam. Dotknęłam ich, po czym cofnęłam się, by na nich spojrzeć. Wtedy ujrzałam owo działanie, o którym mówiła Mekare. Słyszałam je nawet, nieznuzone kipienie ducha. Uspokoiłam umysł, oczyszczałam go z wszelkich uprzedzeń i leków, a kiedy wpadłam w błogi trans, pozwoliłam sobie zabrac głos:

„On chce więcej ludzi”. Spojrzałam na Mekare. Takie było i jej podejrzenie.

„Dajemy mu wszystko, co możemy!” - wyjąkała królowa. Znowżal ją rumieniec wstydu, wyjątkowo ostry na bladych policzkach. Twarz króla także się zaczerwieniła. Wtedy zrozumiałam, jak wcześniej Mekare, że pijac, doznawali ekstazy. Nigdy nie zaznali równej rozkoszy, ani w lożu, ani przy ucztach, ani pijani piwem lub winem. To było źródło wstydu. Nie chodziło o zabijanie; chodziło o to monstrualne karmienie się. O rozkosz. Ach, cóż to była za para z tych dwojga.

Oni jednak źle mnie zrozumieli.

„Nie - wyjaśniłam. - On chce więcej takich jak wy. Chce wejść w ciała i stworzyć krwiopijców z innych, jak zrobił to z królem; jest zbyt ogromny, by zadowolic się dwoma małymi ciałami. Pragnienie przestanie was zadecyzować dopiero wtedy, kiedy stworzycie innych, gdyż oni będą z wami dzielić ciężar”.

„Nie! - krzyknęła królowa. - To nie do pomyslenia!”

„Przecież to nie może być tak proste! - oświadczył król. - Jakże to, zostaliśmy stworzeni w jednej i tej samej strasznej chwili, kiedy nasi bogowie walczyli z tym demonem. Mówicie coś nieprawdopodobnego, gdyż bogowie odnieśli zwycięstwo w tej walce”.

„Nie sadzę” - rzekłam.

„Chcesz powiedzieć - zapytała królowa - że jeśli nakarmimy innych tą krwią, też zostaną zakażeni?” Wspominała każdy szczegół tej katastrofy: jej małżonek umiera, jego serce przestaje bić, a potem krew spływa mu w usta.

„Ależ nie starczyłoby krwi z całego mojego ciała na coś takiego! - oświadczyła. - Jestem tylko sobą!” Wtedy pomyślała o pragnieniu i o wszystkich ciałach, które je zaspokoily.

Zdałyśmy sobie sprawę, że wyssała ona krew ze swego meza, zanim on odebrał ją z powrotem i właśnie dzięki temu wszystko się dokonało; a ponadto król był na granicy śmierci i jego zdolność recepcji była

maksymalnie pobudzona; jego dusza zerwała więzy z ciałem i łatwo dał się usidlić niewidzialnym mackom Amela.

Oni oboje rzecz jasna odczytali nasze myśli.

„Nie wierze waszym słowom - powiedział król. - Bogowie nie pozwoliliby na to. Jesteśmy królem i królowa Kemetu. Cieżar czy błogosławieństwo, te czary były nam przeznaczone”.

Zapadła cisza. Potem odezwał się znów, z największą szczerością.

„Nie pojmujecie tego, czarownice? To była wola losu. Było nam pisane najechać wasze ziemie i sprowadzić tu was i demona, tak by mogło to nas spotkać. Cierpimy, to prawda, ale teraz jesteśmy bogami; to święty ogień i musimy złożyć podziękowania za to, co nas spotkało”.

Próbowałam nie dopuścić Mekare do głosu. Scisnęłam ją mocno za rękę, lecz oni już wiedzieli, co ona zamierza powiedzieć. Jej pewność siebie tylko ich rozjuszyła.

„Bardzo prawdopodobne, że on może wejść w każdego - powiedziała - jeżeli zaistnieją takie same warunki; jeżeli mężczyzna lub kobieta będą słabi i umierający, duch będzie miał do nich dostęp”.

Wpatrywali się w nas w milczeniu. Król potrząsnął głową, a królowa odwróciła wzrok z obrzydzeniem. Wtedy król szepnął:

„Jeśli tak jest, w takim razie inni mogą próbować nam to odebrać!”

„O, tak - szepnęła Mekare. - Jeśli dzięki temu staliby się nieśmiertelni? Jak najbardziej. Któż nie chce być nieśmiertelny?”

Twarz króla uległa zmianie. Chodził tam i z powrotem po komnacie i spoglądał na żonę, która patrzyła prosto przed siebie jak ktoś, kto zaraz oszaleje. Nareszcie odezwał się do niej, starannie dobierając słowa:

„W takim razie wiemy, co musimy uczynić. Nie możemy płodzić rasy takich potworów! Wiemy!”

Królowa zacisnęła ręce na uszach i zaczęła wrzeszczeć. Rozelkała się tak, że wyla z bólu, zwijając palce w szpony i zadzierając głowę ku sufitowi.

Skuliliśmy się w kącie komnaty. Mekare zaczęła się trząść i płakać, a ja miałam łzy w oczach.

„Wy nam to zrobiliście!” - ryknęła królowa. Nigdy nie słyszaliśmy, by ludzki głos osiągnął takie nateżenie, a gdy wpadła w szal, niszczyć wszystko w pokoju, ujrzałyśmy w niej siłę Amela, gdyż robiła rzeczy, których żaden człowiek nie mógłby uczynić. Ciskała zwierciadła o sufit i rozbijała w drzazgi złocone meble.

„Bądźcie przeklęte na zawsze i zesłane w świat podziemia, między demony i bestie! - przeklinała nas - za to, co nam uczyniliście. Ohydy. Wiedzmy. Wy i wasz demon! Mówicie, że nie nasłalyscie na nas tego stworzenia. Jednak dopuściliście się tego w waszych sercach. Wysłałyscie go! On odczytał w waszych sercach, tak jak czytam to teraz, że życzycie nam zła!”

Król pochwycił ją w ramiona, uspokajał i całował, a ona lkała mu na piersi. Wreszcie oderwała się od niego. Przeszywała nas oczami nabiegłymi krwią.

„Klamiecie! - zawolala. - Klamiecie jak wasze demony. Myslicie, ze cos takiego mogloby sie stac, gdyby los o tym nie zadecydowal?!” Odwróciła sie do króla. „Och, czy nie pojmujesz, ze bylismy glupcami, sluchajac tych smiertelniczek pozbawionych naszych mocy! Jesteśmy tylko mlodymi bóstwami i w trudzie musimy odgadywac zamysly niebios. Nasze przeznaczenie jest jasne; widzimy je poprzez talenty, które posiadamy”.

Nie odpowiedzialysmy na te slowa. Przez kilka nieslychaniem krótkich chwil sadzilam, ze byloby laska od losu, gdyby naprawde wierzyła w takie bzdury. Ja bowiem wiedzialam tylko, ze Amel, zly, glupi, tepy, durnowaty duch, zaplatal sie niechcacy w tamta katastrofalna fuzje i byc moze caly swiat za to zaplaci. Przypomnialy mi sie ostrzezenia matki. Przypomnialy mi sie wszystkie nasze cierpienia. Potem opanowaly mnie takie mysli - pragnienie zniszczenia króla i królowej - ze musialam zakryc uszy dlonmi, otrzasnac sie i próbowac oczyszcic umysl, aby nie narazic sie na ich gniew.

Królowa nie zwracala juz na nas zadnej uwagi. Wezwala straze, nakazala nas od razu uwiezic i zapowiedziala, ze jutro wyda na nas wyrok w obliczu calego dworu. Niespodziewanie zostalysmy wiec pojmane; a gdy wydala rozkazy, zolnierze odcigneli nas brutalnie i cisneli jak zwyklych wiezniów do mrocznej celi.

Mekare przytulila mnie i szepnela, ze do wschodu slonca nie wolno nam pomyslec o niczym, co mogloby nam zaszkodzie; musimy spiewac stare piesni i odpedzac sen, aby nawet nie snic niczego, co mogloby obrazic króla i królowa. Nigdy nie widzialam Mekare tak wystraszonej. To ona zawsze byla skora do wybuchów gniewu, a ja chowalam sie w kacie, wyobrazajac sobie najstraszniejsze rzeczy.

Kiedy nastal ranek i Mekare byla pewna, ze król i królowa udali sie do swojej tajnej siedziby, wybuchla placzem.

„Ja to zrobilam, Maharet - powiedziala mi. - Ja. Poslalam go na nich. Próbowalam sie powstrzymac, lecz Amel odczytal to w moim sercu! Bylo wlasnie tak, jak powiedziala królowa”.

Nie bylo konca tym samooskarzeniom. To ona przemówila do Amela, ona go wzmocnila, natchnela pycha i podtrzymala jego zainteresowanie; a potem zapagnela, by skierowal swoja wscieklosc przeciwko Egipcjanom, i on przejrzał te mysli.

Próbowalam ja pocieszyc. Powiedzialam, ze nikt nie potrafi zapanowac nad tym, co nosi w sercu; ze Amel raz uratowal nam zycie i ze nikt nie mógł przewidziec tych okropnych zdarzen. Teraz musimy pozbyc sie wszelkiego poczucia winy i patrzec w przyszlosc. Jak zdolamy wydostac sie z tego miejsca? Jak doprowadzic do tego, by te potwory nas wypuscily? Nasze dobre duchy nie przestrasza ich teraz; nie ma mowy; musimy myslec, musimy planowac, musimy cos zrobic.

Wreszcie nastapilo to, na co po cichu liczylam. Pojawil sie Khayman. Byl jeszcze bardziej chudy i wynedznialy niz poprzednio.

„Lekam sie, ze jestescie zgubione, moje rudowlose - powiedzial nam. - Król i królowa rozmawiali o tym, co od was uslyszeli. Przed switem udali sie do swiatyni Ozyrysa, aby sie pomodlic. Czy nie mozecie dac im zadnej nadziei poprawy? Zadnej nadziei na koniec tego koszmaru?”

„Khaymanie, jest nadzieja - szepnela Mekare. - Duchy mi swiadkiem; nie twierdze, ze powinienes to uczynic. Odpowiadam tylko na twoje pytanie. Jesli chcesz polozyc kres temu wszystkiemu, polóz kres dalszemu istnieniu króla i królowej. Znajdz ich kryjówek i dopusc tam slonce, slonce, którego ich ciala nie moga zniesc”.

On jednak był ogarnięty zgrozą na myśl o zdradzie. Westchnął tylko i rzekł:

„Ach, moje drogie czarownice, wiele w życiu widziałem, a jednak nie smiem dokonać takiego czynu”.

Godziny mijaly, a my przeżywałyśmy meki, czekała nas bowiem pewna śmierć. Nie żalowałyśmy już niczego, co powiedziałśmy lub zrobiliśmy. Leżaliśmy przytulone w ciemności i znów nuciłyśmy piosenki z dzieciństwa, śpiewaliśmy pieśni matki. Myślałam o swoim dzieciatku i próbowałam się z nim połączyć, wzlecieć duchem z tamtego miejsca i zbliżyć do niego, ale bez napanu wprowadzającego w trans nie mogłam tego zrobić. Nigdy nie posiadałam tej umiejętności.

Wreszcie zapadł zmrok. Niebawem znów usłyszałyśmy hymny wypiewywane na powitanie króla i królowej. Żołnierze przyszedli po nas i jak poprzednio zaprowadzono nas na wielki pałacowy dziedziniec. To tam Khayman zbliżył się do nas, tam zostaliśmy pozbawione czci. Znów przyprowadzono nas przed oblicza tych samych widzów, związawszy nam wcześniej ręce.

Tym razem była noc. Lampy płonęły słabo w arkadach pałacu; złowróżbne światło pelzało po wymalowanych na pilastrach złotych liściach lotosów i wizerunkach pokrywających ściany. Wreszcie król i królowa weszli na podwyższenie. Wszyscy zebrani padli na kolana. Żołnierze zmusili nas do tego samego holdu. Królowa wystąpiła i zaczęła przemawiać.

Drzacym głosem opowiedziała poddanym, że jesteśmy potwornymi czarownicami i że nasłaliśmy na to królestwo demona, który najpierw napastował Khaymana, a potem próbował swoich diabelskich sztuczek na samym królu i królowej. Lecz słuchajcie! Oto wielki bóg Ozyrys, najstarszy ze wszystkich bogów, potężniejszy nawet niż bóg Ra, zmiotł tę diaboliczną moc i wznosił do niebiańskiej chwały króla i królowa.

Wielki bóg nie mógł patrzeć z dobrocia na wiedźmy, które tak niepokoiły jego ukochany lud. Zazadał, by nie okazywać im łaski.

„Mekare, za twoje kłamstwa i rozmowy z demonami - powiedziała królowa - zostanie ci wyrwany język. A Maharet, za zło, które sobie wyobraziłaś i które chciałaś nam narzucić, zostaną ci wyklute oczy! Przez całą noc będziecie związane razem, tak żebyście mogły słyszeć wzajemny płacz, jedna niezdolna się odezwać, druga niezdolna zobaczyć. A następnie w samo południe, w publicznym miejscu przed pałacem, zostaniecie spalone żywcem na oczach wszystkich ludzi.

Zwazcie; nigdy zło nie pokona bogów Egiptu i ich wybranców, króla i królowej, gdyż bogowie spojrzeli na nas z wyjątkową łaską i jesteśmy jak król i królowa niebios, a nasze przeznaczenie służy wspólnemu dobru!”

Odebrało mi mowę, kiedy usłyszałam wyrok; mój strach i smutek były niezmierzone. Mekare natychmiast wydała krzyk sprzeciwu. Wyrwała się zaskoczonym żołnierzom. Skierowała oczy ku gwiazdom i przemówiła. Wśród szeptów wstrząsnietego dworu oświadczyła:

„Duchy mi świadkiem, gdyż jest im znana wiedza o przyszłości - zarówno to, co jest, jak i to, co będzie! Tyś jest Królowa Potępionych, oto twój los! Skazana jesteś na zło i dobrze o tym wiesz! Ale ja cie powstrzymam, choćbym miała powstać z martwych, by ziszczył się ten cel, i w godzinie twojego największego zagrożenia, to ja cie zniszczę! To ja cie pokonam. Dobrze przyjrzyj się mojej twarzy, jeszcze mnie bowiem ujrzysz!”

Ledwo wypowiedziała te przysięgi, to proroctwo, a duchy zebrały się w trąbę powietrzna, otworzyły

drzwi palacu i piaski pustyni zawisly w powietrzu.

Wrzaski uniosly sie wsród ogarnietych panika dworaków, jednak królowa krzyknęła do żołnierzy:

„Wyrwac jej język, tak jak rozkazałam!” Chociaz dworzanie w dzikim leku przywarli do scian, żołnierze wystapili, chwycili Mekare i wyrwali jej język.

Ogarnieta groza patrzyłam na to, co sie dzialo; slyszalam jej jek. Widzialam, jak z zadziwiajaca furia odepchnęła ich zwiazanymi dlonmi, ukleklą, porwala zakrwawiony język i polknęła go, zanim zdazyli go zdeptac lub odrzucic na bok.

Wtedy żołnierze chwycili mnie. Ostatnie, co zachowalam w pamieci, to byla Akasza z wyciagnietym palcem i roziskrzonym oczami. I twarz zalamanego Khaymana ze lzami cieknacymi po policzkach. Żołnierze ujeli w cegi moja glowe, rozwarli mi powieki i pozbawili zmyslu wzroku, a ja plakalam bezglosnie.

Niespodziewanie poczulam dotyk cieplej reki i cos przy ustach. Khayman trzymal moje oczy i przyciskal mi je do ust. Polknęlam je od razu, by nie zostaly zbezczeszczone.

Wiatr byl coraz srozszy; piasek wirowal wokół nas i uslyszalam, jak dworzanie rozpierzchli sie we wszystkich kierunkach, kaszlac, duszac sie i placzac, podczas gdy królowa zaklinala ich by zachowali spokój. Szukalam na oslep Mekare i poczulam jej glowe na swoim ramieniu, jej wlosy przy moim policzku.

„Spalic je teraz!” - rozkazal król.

„Nie, za wczesnie - rzekla królowa. - Niech pocierpia”.

Odprowadzono nas, zwiazane razem, i wreszcie zostawiono same na podlodze celi.

Duchy wciaz szalaly w palacu, ale król i królowa uspokoili swoich ludzi i zapewnili, ze nie maja sie czego bac. Jutro w poludnie duchy zostana wyrzucone z królestwa; a do tej pory niech sobie robia, co chca.

Wreszcie zapanowala cisza i spokój. Oprócz króla i królowej chyba wszyscy zasneli w palacu, nawet nasi straznicy.

To ostatnie godziny mojego zycia - myslalam. - Jednakze cierpienia Mekare sa gorsze od moich, jako ze nawet nie moze sie poskarzyc. - Przytulilam do siebie Mekare, kladac jej glowe na swojej piersi. Tak mijaly chwile.

Wreszcie, jakies trzy godziny przed switem, uslyszalam halas. Byly to odglosy walki; straznik krzyknal przerazliwie i upadl. Uslyszalam trzask zamka i skrzyp zawiasów. Wtem wydalo mi sie, ze slysze jek Mekare.

Ktos wszedl do celi i instynkt podpowiedzial mi, ze to Khayman. Przecial nasze wiezy, a ja zacisnelam reke na jego przedramieniu i natychmiast pomyslam, ze to nie Khayman! Wtedy zrozumialam.

„Zrobili ci to! Przemienili cie!”

„Tak - szepnal glosem pelnym wscieklosci i goryczy. Uslyszalam w nim cos nowego, nieludzkiego. - Zrobili mi to! Zrobili mi to na próbe! Zeby przekonac sie, czy mówilyście prawde! Zatruli mnie tym

złem”. Chyba płakał, słyszałam, jak wydaje chrapliwe dźwięki, szlocha bez łez. Czulałam niesamowitą siłę jego palców, bo chociaż nie chciał sprawiać mi bólu, nie panował nad swoją nową mocą.

„Och, Khaymanie - rzekłam, płaczac. - Co za zdrada ze strony tych, którym służyłeś tak wiernie”.

„Słuchajcie mnie, czarownice - rzekł głosem ochryplym i pełnym wściekłości. - Czy chcecie jutro umrzeć w ogniu i dymie w obecności nieswiadomej niczego tłuszczy, czy też będziecie walczyć z tym złem? Czy będziecie jego nieprzyjacielem na ziemi, równym mu mocą? Bo co może powstrzymać moc potężnego meza jak nie inni, równie krzepcy mezowie? Co zatrzyma szermierza, jak nie równie krewki wojownik? Czarownice, jeśli oni zrobili to ze mną, czy ja nie mogę zrobić z wami?”

Cofnęłam się, byle dalej od niego, ale nie puścił mnie. Nie wiedziałam, czy to, o czym mówił, było możliwe. Wiedziałam tylko, że tego nie chce.

„Maharet - rzekł. - Oni stworzą rasę płaszczących się akolitów, chyba że zostaną pobici, a kto może ich pokonać, jeśli nie równi im siłą!”

„Nie, prędzej umrę” - powiedziałam, chociaż wypowiadając te słowa, pomyślałam o czekających mnie płomieniach. Nie, to byłoby niewybaczalne. Jutro powinnam udać się do matki; powinnam zostawić na zawsze ten świat i nic nie mogło mnie zmusić do zmiany decyzji.

„A ty, Mekare? - zapytał. - Czy postarasz się, aby twoja klatwa się spełniła? Czy też umrzesz i zostawisz to duchom, które zawiodły cię od początku?”

Znów podniósł się wiatr. Usłyszałam łomotanie drzwi wejściowych, usłyszałam, jak piasek siecze o mury. Służba biegła w odległych korytarzach, spiacy uniesli się z łózek. Słyszałam słabe, głuche, nieziemskie wycia najbardziej ukochanych duchów.

„Uspokójcie się - rzekłam im - nie zrobię tego. Nie wpuszczę do siebie tego zła”.

Kiedy tak kłęczałam, opierając głowę o ścianę i przekonując samą siebie, że muszę umrzeć, zdałam sobie sprawę, że w ciasnej celi znów odbywają się niesamowite czary. Podczas gdy duchy zwolywały się przeciwko nim, Mekare dokonała wyboru. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam tych dwóch kształtów, mężczyzny i kobiety, stopionych razem jak kochankowie; a gdy usiłowałam ich rozdzielić, Khayman odrzucił mnie, uderzając z taką siłą, że upadłam nieprzytomna na podłogę.

Nie minęło więcej niż kilka minut. Gdzieś w ciemności lkały duchy, które wcześniej od mnie znalazły ostateczne rozwiązanie. Wiatr ucichł, zapadła cisza.

Dotknęła mnie zimna dłoń siostry. Usłyszałam dziwny odgłos, jakby śmiech; czy ci, którzy nie mają języka, mogą się śmiać? Tak naprawdę to nie podjęłam decyzji; wiedziałam tylko, że przez całe życie byłyśmy takie same, jak zwierciadlane odbicia. Wydawało się - dwa ciała i jedna dusza. A teraz siedziałam w tym ciemnym, małym pomieszczeniu, w ramionach siostry, która po raz pierwszy stała się inną istotą, a zarazem wciąż była taka sama. Poczulałam jej usta na swoim gardle; poczułam, jak sprawia mi ból. Khayman sięgnął po nóż i zrobił to za nią. Omdlałam.

Och, tamte boskie chwile, w których mocą umysłu znów zobaczyłam cudowne światło srebrnego nieba i moja usmiechnięta siostra wznosiła ramiona ku spadającym kroplom. Razem tanczyłyśmy w deszczu, a cały nasz lud był z nami. Nasze stopy tonęły w mokrej trawie, a kiedy rozległ się grom i błyskawica rozdarła niebo, czułam się tak, jakby nasze dusze oczyszczyły się z wszelkiego bólu. Przemoczone weszliśmy do jaskini, zapaliliśmy małą lampkę i oglądaliśmy stare malunki na ścianach - malunki

zrobione przez czarownice, które żyły tam przed nami. Przytulone do siebie, z dalekim szumem deszczu w uszach, zagubiliśmy się w tych malunkach tanczących czarownic i wschodzącego księżyca na nocnym niebie.

Khayman napoił mnie czarami, potem moja siostra, potem znów Khayman. Wiecie, co mnie spotkało, prawda? A czy wiecie, że Mroczny Dar jest dla ślepych? W gestej ciemności zapaliły się płomyczki, a następnie jarzące się światło zaczęło rysować wokół mnie słabo pulsujące kształty. Tak widzi się kontury jasnych przedmiotów tuż po zamknięciu powiek.

Tak, mogłam się poruszać w ciemności. Dotykem sprawdzałam, co widzę. Drzwi, ściana, potem daleki korytarz; niewyraźna mapa stała się na moment widoczna.

Nigdy noc nie była tak milcząca; poza ludźmi nic nie oddychało w ciemności. Duchy przepadły. Nigdy, przenigdy więcej nie usłyszałam ich ani nie zobaczyłam. Nigdy więcej nie odpowiadały na moje pytania ani wezwanie. Zjawy umarłych tak, ale nie duchy. One przepadły na zawsze.

W tamtej chwili czy godzinie nie zdawałam sobie z tego sprawy. Może nawet przez kilka pierwszych nocy. Tak wiele innych rzeczy wprowadzało mnie w zdumienie; tak wiele innych rzeczy napelniało mnie meką lub radością.

Na długo przed wschodem słońca ukryliśmy się głęboko w krypcie, jak król i królowa. Khayman zabrał nas do grobu ojca, tam gdzie przeniesiono biedne, zbezczeszczone ciało. Wypilałam pierwszy łyk śmiertelnej krwi i poznałam ekstazę przyprawiającą króla i królową o rumieniec wstydu. Nie osmieliłam się ukrącić mojej ofierze oczu; nie myślałam nawet, że taki czyn mógłby mi pomóc. Odkryłam to dopiero po pięciu nocach i po raz pierwszy widziałam, jak widzi prawdziwy krwiopijca.

Uciekliśmy z królewskiego miasta, zdając nocami na północ. A w kolejnych miejscowościach Khayman głosił różnym osobom, że muszą powstać przeciwko królewskiej parze. Wierzą oni bowiem, że posiadają wyjątkową moc, a to przecież kłamstwo.

Och, jak wielka była furia Khaymana podczas tych pierwszych nocy. Przekazywał moc każdemu, kto jej zechciał, nawet gdy sam tak osłabł, że ledwo się włókł u naszego boku. Przysięgł, że król i królowa będą mieć godnych wrogów. Ilu krwiopijców stworzył podczas tamtych bezmyślnych tygodni? Byli coraz liczniejsi, rosli w siłę, wywoływali bitwy, o których Khayman marzył.

Byliśmy jednak z góry skazani na klęskę, skazani na klęskę pierwszej rebelii, skazani na klęskę podczas ucieczki. Niebawem mieliśmy zostać rozłączeni na zawsze - Khayman, Mekare i ja.

Król i królowa bowiem, przerażeni odejściem Khaymana, podejrzewając, że przekazał nam moc, wysłali śmiertelnych żołnierzy, którzy szukali nas w dzień i w noc. A jako że polowaliśmy zarłocznie, by zaspokoić świeże pragnienie, nasz ślad łatwo dało się wysledzić w osadach nad brzegami rzeki albo nawet w górskich obozowiskach. Wreszcie niecałe dwa tygodnie po ucieczce z królewskiego palacu zostaliśmy złapane przez tłuszcze za bramami Sakkary, niecałe dwie noce marszu od morza.

Gdyby tylko udało się nam do niego dotrzeć. Gdyby tylko udało się nam pozostać razem. W ciemnościach świat powstał dla nas po raz wtóry. Kochaliśmy się rozpaczliwie i rozpaczliwie wymienialiśmy tajemnice przy świetle księżyca.

W Sakkarze czekała na nas pułapka. Khaymanowi udało się przedrzeć na wolność, lecz zrozumiał, że nie zdoła nas uratować, i zaszył się pomiędzy wzgórzami, czekając na swoją chwilę, która nigdy nie nadeszła.

Jak pamiętacie z waszych snów, Mekare i ja zostaliśmy otoczone. Znow wykluto mi oczy. Lekaliśmy się ognia, gdyż z pewnością by nas zniszczył, ale modliliśmy się do wszystkich niewidzialnych istot o ostateczne uwolnienie.

Król i królowa obawiali się zniszczyć nasze ciała. Uwierzyli w opowieść Mekare o jednym wielkim duchu, Amelu, który wstąpił w nas wszystkich, i obawiali się, że każdy ból, który stanie się naszym udziałem, udzieli się i im. Oczywiście to było niemożliwe, ale kto wtedy o tym wiedział?

Tak więc złożono nas do kamiennych trumien, jak wam opowiedziałam. Jedna miała być wysłana na wschód, druga na zachód. Zbudowano wcześniej tratwy, które miały nas wynieść na wielkie oceany. Widziałam je nawet mimo mojej ślepoty, gdyż z umysłów porywaczy wyczytałam, co mnie czeka. Wiedziałem również, że Khayman nie może za nami podążyć, marsz miał bowiem trwać nocą i dniem.

Gdy się ocknałam, dryfowałam po morzu. Jak wam mówiłam, tratwa unosiła mnie przez dziesięć nocy. Cierpiałam głód. z przerażeniem myślałam, że trumna zatoni, że zostanie pogrzebana żywcem, ja, stworzenie, które nie może umrzeć. A jednak to nie nastąpiło. Kiedy wreszcie zostałam wyrzucona na brzeg wschodniego wybrzeża dolnej Afryki, rozpoczęłam poszukiwania Mekare, przemierzając kontynent ku zachodowi.

Przez stulecia przeszukałam wszystkie jego krance. Udałam się na północ, do Europy. Przebyłam kamieniste plaże, zapuściłam się nawet na wyspy północy, aż dotarłam na najdalsze lodowe pustkowia. Jednakże wciąż powracałam do mojej wioski i o tym opowiem wam za chwilę, jak się bowiem przekonacie, jest dla mnie bardzo ważne, byście to usłyszeli.

W tamtych pierwszych wiekach odwróciłam się od Egiptu, odwróciłam się od króla i królowej. Długo później dowiedziałam się, że uczynili ze swojej transformacji wielką religię; że ogłosili się Ozyrysem i Izydą i wsaczyli mrok w tamte stare mity, aby móc się nimi posłużyć. Bogiem świata podziemi stał się Ozyrys, który mógł się pojawiać jedynie w ciemności, a królowa stała się Izydą, Matką, która pozбиierała szczątki swojego małżonka, uzdrowiła je i przywróciła do życia.

Czytaliście w opowieści, która Mariusz przekazał Lestatowi, o tym, jak bogowie stworzeni przez Matkę i Ojca przyjmowali krwawe ofiary ze zbrojnych w świątyniach ukrytych we wzgórzach Egiptu i jak ta religia przetrwała do czasów Chrystusa.

Dowiedzieliście się również, jak powiodła się rebelia Khaymana, jak stworzeni przez niego wrogowie dorównujący królowi i królowej powstałi wreszcie przeciwko Ojcu i Matce i jak krwio pijcy tego świata toczyli między sobą wojny. Akasza opowiedziała o tym Mariuszowi, a Mariusz Lestatowi.

W tamtych wiekach zrodziła się legenda o bliźniaczkach; egipscy żołnierze, którzy byli świadkami naszych przyc, od masakry naszego ludu do ostatecznego pojmania, przekazywali innym te opowieści. W późniejszych czasach legenda o bliźniaczkach została nawet zapisana przez egipskich skrybów. Wierzono, że pewnego dnia Mekare znów się pojawi, pokona Matkę i wszyscy krwio pijcy świata umrą tak jak Matka. Wszystko to działo się bez mojej wiedzy, rady czy współpracy, ponieważ dawno już przestałem się tym emocjonować.

Dopiero trzy tysiące lat później przybyłam do Egiptu jako anonimowa istota w czarnych szatach, by zobaczyć na własne oczy, w co przemienili się Matka i Ojciec. Ujrzałam bierne, nieruchomo patrzące posągi zamknięte w kamieniu w podziemnej świątyni, o obnażonych głowach i gardłach. Młodzi krwio pijcy, spragnieni krwi z pierwotnego źródła, przybywali do kapłanów, którzy strzegłi królewskiej pary.

Czy pragne sie napic?, zapytal mnie mlody kaplan krwiopijca. W takim razie musze isc do starszyzny, zadeklarowac swoja czystosc i oddanie staremu kultowi, zapewnic, ze nie jestem hultajem majacym na wzgledzie tylko wlasne cele. Ogarnal mnie smiech.

Cóz to byl za koszmar, widok tych nieruchomych istot! Stanac przed nimi, wyszeptac ich imiona i nie dostrzec nawet najdrobniejszego lsnienia oka lub drgnienia bialej skóry powiek.

Tak bylo od najdawniejszych czasów, odkad siegano pamiecia, i kaplan to potwierdzil; nikt nie mial pojecia, czy mity o pocztku byly prawdziwe. My - pierwsze dzieci - zostalismy nazwani Pierwszym Plemieniem, które splodzilo buntowników; ale legenda o blizniaczkach odeszla w zapomnienie i nikt nie znal imion Khaymana, Mekare lub Maharet.

Potem tylko raz dane mi bylo ujrzec Matke i Ojca. Bylo to tysiac lat później. Wlasnie nastapil wielki pozar, kiedy starszyzna aleksandryjska - jak opowiadal Lestat - chciala zniszczyc Matke i Ojca, wystawiajac ich na slonce. Zgodnie z tym, co opowiedzial Lestat, zar dnia jedynie ich zbrazowil, gdyz wczesniej nabrali niezwyklej sily i odpornosci. Chociaz spimy bezbronni za dnia, z uplywem czasu swiatlo staje sie mniej zabójcze.

Ale podczas tych dziennych godzin w Egipcie krwiopijcy na calym swiecie poszli z dymem, gdy tymczasem starsi zakosztowali jedynie cierpien i osmalenia. Mój ukochany Eryk mial wtedy tysiac lat; mieszkalismy razem w Indiach i podczas tych nie konczacych sie chwil doznal powaznych oparzen. Potrzebowal wiele mojej krwi, aby odzyskac sily. Ja sama tylko zbrazowialam i chociaz ogromny ból doskwieral mi przez wiele nocy, wynioslam z tego pewna korzysc; z ciemna karnacja latwiej bylo mi poruszac sie wsród ludzi.

Wiele wieków później, zniecierpliwiona wlasna bladoscia celowo wystawilam sie na parzace promienie slonca. Prawdopodobnie uczynie to jeszcze nie raz.

Jednak wtedy, za pierwszym razem, bylo to dla mnie niepojete. Chcialam wiedziec, dlaczego w snach widze ogien i slyszę krzyki tak wielu ginacych i dlaczego ci, których stworzylam - moje ukochane piskleta - umarli ta ohydna smiercia.

Tak wiec udalam sie z Indii do Egiptu, który na zawsze pozostal dla mnie nienawistnym krajem. Wtedy wlasnie uslyszalam opowiesc Mariusza, mlodego rzymskiego krwiopijcy, cudownie nie spalonego, który przybyl do Aleksandrii i wykradl ich, aby juz nikt nie mógł ani ich, ani nas spalic.

Nietrudno bylo mi znalezc Mariusza. Jak wam opowiedzialam, w tamtych latach nie mogliśmy sie uslyszec. Stopniowo zaczynalismy jednak slyszec mlodszych osobników, jakby byli ludzmi. W Antiochii odkrylam dom Mariusza, autentyczny palac, gdzie zyl otoczony rzymskim przepychem, chociaz w ostatnich godzinach przed switem krazyl po mrocznych ulicach, polujac na ludzkie ofiary.

Stworzyl juz wtedy niesmiertelna z Pandory, która ukochal ponad wszystkie ziemskie stworzenia. A Matke i Ojca umiescil w wybornym tabernakulum ukszaltowanym wlasnymi rekami z karraryjskiego marmuru. Palil tam kadzidla, jakby to byla swiatynia, jakby oni naprawde byli bogami.

Czekalam na swoja chwile. Mariusz i Pandora wyszli na polowanie. Weszlam do domu, otwierajac zamki od wewnatrz.

Zobaczylam Matke i Ojca, pociemniatalych jak ja, a równocześnie pieknych i bez zycia, tak samo jak tysiac lat wczesniej. Umiescil ich na tronie, na którym mieli siedziec dwa tysiace lat, o czym wszyscy

wiecie. Podeszłam do nich; dotknęłam ich. Uderzyłam. Nie poruszyli się. Potem dokonałam próby długim sztyletem. Przeszłam ciało Matki, które przemieniło się w elastyczną powłokę, podobnie jak moje ciało. Przeszłam niesmiertelną skorupę, która stała się jednocześnie niezniszczalna i myląco krucha, i moje ostrze doszło prosto do serca. Zrobiłam ciecie od prawej do lewej i zatrzymałam dłoń.

Przez chwilę krew Matki ląła się - śluzowata i gęsta, ale jej serce przestało bić. Potem rana zaczęła się goić; utoczona krew twardniała na moich oczach jak bursztyn.

Lecz co najbardziej znaczące, czułam te chwile, w której serce przestało pompować krew; czułam słabość, zawroty głowy i nieuchwytną utratę świadomości, bliski oddech śmierci. Niewatpliwie krwiopijcy na całym świecie czuli to samo, być może młode osobniki w silniejszym stopniu, odbierając to jako wstrząs, który zwałił ich z nóg. Rdzeń Amela był w niej nadal; straszliwy pożar i sztylet udowodniły, że życie krwiopijców tkwiło w jej ciele - wtedy i na zawsze.

Gdyby nie to, zniszczyłabym ją. Rozczłonkowałabym ją, gdyż żaden czas nie mógł ochłodzić mojej nienawiści, nienawiści za to, co zrobiła mojemu ludowi, za oddzielenie mnie od Mekare, od mojej drugiej połowy, od mojego własnego „ja”.

Jakże byłoby wspaniałe, gdybym przez wieki nauczyła się wybaczać, gdyby moja dusza otworzyła się na zrozumienie wszelkiego zła uczynionego mnie i mojemu ludowi. Jednak mówcie wam, tylko ludzkie dusze podążają z wiekami ku doskonałości, tylko ludzka rasa uczy się z każdym mijającym rokiem, jak lepiej kochać i łatwiej przebaczać. Lancuchy przeszłości wiążą mnie zbyt silnie.

Przed odejściem zatarłam wszelkie ślady swoich czynów. Być może przez godzinę wpatrywałam się w posagi, w dwie złe istoty, które tak dawno temu zniszczyły moich krewnych i sprowadziły nieszczęście na mnie i moją siostrę. Kto inny wtedy wiedział, ile zła w nich tkwi?

„W ostateczności jednak nie zwyciężyłaś - powiedziałam do Akaszy. - Ani ty, ani twoi żołnierze, ani ich miecze. Moje dziecko bowiem, Miriam, przetrwało, by przekazać poprzez czas krew mojej rodziny i mojego ludu, i chociaż może jest to niczym dla ciebie, siedzącej tu w milczeniu, dla mnie jest wszystkim”.

Słowa, które wypowiedziałam, były prawdziwe. Jednak do opowieści o mojej rodzinie wróć za chwilę. Teraz pozwólcie, że opowiem o jeszcze jednym zwycięstwie Akaszy, o tym, że Mekare i ja nie miałyśmy nigdy więcej się spotkać.

Jak już mówiłam, nigdy podczas moich wędrowek nie spotkałam ani mężczyzny, ani kobiety, ani krwiopijcy, nikogo, kto widziałby Mekare lub słyszał jej imię. Wędrowałam przez wszystkie lądy świata w różnych erach i w różnych porach roku, szukając Mekare, ale ona oddaliła się ode mnie, jakby polknał ją wielki zachodni ocean. Stałam się jakby połowa istoty, wiecznie wyciągająca ręce ku temu jedynemu elementowi, który uczynił ze mnie całość.

Niemniej jednak podczas tamtych pierwszych wieków wiedziałam, że Mekare żyje. Wiedziałam to, gdyż moja natura bliźniaczki czuła cierpienia siostry. W tych chwilach mrocznych jak sen zaznawałam niewytłumaczalnego bólu. Rozumieją to ci, którzy sami mają bliźniacze rodzeństwo. W miarę jak moje ciało twardniało, jak moje człowieczeństwo rozplywało się, a to potężniejsze i bardziej odporne niesmiertelne ciało stawało się dominujące, zatracił się prosty ludzki związek między mną i siostrą. Niemniej jednak wiedziałam, wiedziałam, że ona żyje.

Przemawiałam do niej, idąc bezludnym wybrzeżem i spozierając na lodowato chłodne morze. A w grotach na górze Karmel przedstawiłam na wielkich malowidłach naszą historię - wszystkie nasze cierpienia, panoramę, która ujrzeliście w snach.

Przez stulecia wielu śmiertelnych miało znaleźć te groty i zobaczyć malowidła; potem znów miały popaść w zapomnienie i zostać na nowo odkryte.

Wreszcie w tym stuleciu młody archeolog, usłyszawszy o nich, wspiał się pewnego popołudnia na górę Karmel z latarką w dłoni. A kiedy spojrzał na malowidła, które stworzyłam przed wiekami, serce skoczyło mu do gardła, ponieważ widział te same wizerunki w jaskini po drugiej stronie oceanu, ponad dzunglami Peru.

Lata minęły, zanim dotarła do mnie wieść o jego odkryciu. Podróżował po całym świecie ze szczątkami dowodów - fotografiami tych jaskiniowych malowideł w Starym i Nowym Świecie i waza znaleziona w magazynie muzealnym, starożytnym artefaktem z tamtych mrocznych, zapomnianych wieków, kiedy legenda o bliźniaczkach była jeszcze znana.

Nie potrafię oddać bólu i radości, których zaznałam, spojrzawszy na fotografie rysunków, odkrytych przez niego w płytkiej jaskini w Nowym Świecie.

Mekare bowiem namalowała te same rzeczy co ja. Mózg, serce i dłoń tak bardzo podobne do moich nadały wyraz tym samym wizerunkom cierpienia i śmierci. Dzielili je tylko drobne różnice. Jednak dowód był niezaprzeczalny.

Barka Mekare przeniosła ją za wielki zachodni ocean ku nieznanemu w owym czasie ladowi. Całe wieki przedtem, zanim człowiek spenetrował południowe zakątki tego kontynentu, Mekare przybyła na brzeg, aby być może poznać największą samotność, jakiej zaznała rozumna istota. Jak długo wędrowała pomiędzy ptakami i bestiami, zanim ujrziała ludzką twarz?

Czy ta niepojęta izolacja trwała wieki czy tysiąclecia? Czy też Mekare od razu znalazła śmiertelnych, którzy udzielili jej oparcia lub uciekli ogarnięci grozą? Nigdy się tego nie dowiedziałam. Moja siostra straciła rozum dużo wcześniej, zanim wioząca ją trumna dotknęła wybrzeża Ameryki Południowej.

Wiedziałam tylko, że ona tam była i że tysiące lat temu wykonała te rysunki, tak jak ja wykonałam moje.

Oczywiście obsypałam archeologa bogactwami; zapewniłam mu wszelkie środki do kontynuowania badań legendy o bliźniaczkach. A sama udałam się w podróż do Ameryki Południowej. Z Erykiem i Maelem u boku wspiałam się na górę w Peru, by przy świetle księżycy na własne oczy obejrzeć prace siostry. Jakże wiekowe były te malowidła. Z pewnością zrobiono je w sto lat po naszym rozstaniu, a bardzo prawdopodobne, że wcześniej.

Nigdy nie udało się nam odnaleźć żadnego, choćby najmniejszego dowodu, że Mekare zamieszkiwała bądź przemierzała dzungle Ameryki Południowej czy też inne polacie naszego globu. Czy była zakopana głęboko w ziemi, poza zasięgiem wołania Maela lub Eryka? Czy spała na dnie jakiejś jaskini? Czy była białym posagiem o bezmyślnym spojrzeniu, a jej skórę okrywały kolejne pokłady kurzu?

Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Nie mam dość sił.

Wiem tylko, jak i wy, że powstała. Obudziła się z długiego ciężkiego snu. Czy sprawiły to piosenki Wampira Lestata? Muzyka elektronicznych instrumentów sięgająca do odległych krąć świata? Czy jest to dzieło myśli tysięcy krwiopijców, którzy usłyszeli te utwory, zinterpretowali je i odpowiedzieli na nie? Czy to za sprawą ostrzeżenia Mariusza, że Matka idzie?

Być może było to jakies niewyraźne przesłanie skłeczone z tych wszystkich przekazów - że przyszedł

czas spełnić stara klatwę. Nie umiem tego powiedzieć. Wiem jedynie, że zmierza w kierunku północnym, że jej szlak jest zawily i że wszystkie moje wysiłki za pośrednictwem Eryka i Maela, by ją znaleźć, zawiodły.

To nie mnie poszukuje. Jestem o tym przekonana. Poszukuje Matki. To wędrowniki Matki wikłają jej szlak.

Jeśli ma za cel znaleźć Matkę, dopnie swego! Odnajdzie ją! Być może z czasem uswiadomi sobie, że potrafi wzbić się w powietrze jak Matka i wtedy pokona wiele kilometrów w mgnieniu oka.

Wiem na pewno, że to się stanie. A wtedy może być tylko jedno wyjście; albo zginie Mekare, albo Matka, a z nią my wszyscy.

Sila Mekare jest równa mojej, jeśli nie większa. Jest równa sile Matki, a szalenstwo może dodać jej zacieklności, której nikt nie może teraz zmierzyć ani opisać.

Nie wierze w klatwy, nie wierze w proroctwa; duchy, które nauczyły mnie, jak wielkie jest ich znaczenie, opuściły mnie tysiące lat temu. Mekare jednak wierzyła w klatwę, kiedy ją rzucała. Wypowiedziała ją z glebi swojego bytu, wprawiała ją w ruch. A sny mówią teraz jedynie o początku, o źródle jej urazy, która z pewnością podsyci żądze zemsty.

Mekare ma szansę doprowadzić do spełnienia klatwy; tak będzie zapewne lepiej dla nas wszystkich. A jeśli nie zniszczy Akaszy, jeśli my nie zniszczymy Akaszy, co może się stać? Wiemy teraz, jakie zło zaczęła szerzyć Matka. Czy świat zatrzyma te istoty, która jest czymś zupełnie niepojętym? Niezmiernie potężna, niemniej jednak podatna na ciosy; obdarzona miążdzącą mocą, a równocześnie o skórze i kościach, które można dziurawić lub ciąć. Ta istota potrafi latać, czytać w myślach i wzniecąć ogień na odległość, niemniej jednak sama może zostać spalona.

Jak możemy ją zatrzymać i uratować samych siebie, to jest pytanie. Chcę żyć, jak zawsze tego pragnęłam. Nie chcę zamykać oczu na świat. Nie chcę, by wyrządzono krzywdę tym, których kocham. Rozpaczliwie szukam w myślach jakiegoś sposobu, by uchronić nawet młodzików, którzy muszą odbierać życie. Czy to źle? Czy nie należymy do stworzeń z tego świata i nie dzielimy ich pragnień do życia?

Wysłuchajcie się we wszystko, co opowiedziałam wam o Matce, o jej duszy oraz o naturze demona, który w niej przebywa, a którego rdzeń jest zakorzeniony w jej rdzeniu. Pomyslcie o naturze tej wielkiej niewidzialnej istoty, która ożywia każdego z nas i każdego krwiopijcę, który kiedykolwiek chodził po ziemi.

My jesteśmy receptorami energii tej istoty, jak odbiorniki radiowe są receptorami niewidzialnych fal niosących dźwięki. Nasze ciała to tylko muszle goszczące te energie. Jesteśmy - jak opisał to dawno temu Mariusz - kielichami kwiatów jednego pnacza.

Zastanówcie się nad tą tajemnicą. Jeśli to uczynicie, może znajdziecie ratunek dla samych siebie.

W związku z tym zastanowiłabym się nad jeszcze jedną rzeczą; być może najważniejszą ze wszystkiego, czego się kiedykolwiek nauczyłam.

W dawnych czasach, kiedy duchy przemawiały do mojej siostry i do mnie na stoku góry, żaden człowiek nie uwierzyłby, że są one istotami bez znaczenia. Nawet my byliśmy zniewolone ich mocą, uznając za swój obowiązek wykorzystanie posiadanych umiejętności dla dobra naszego ludu, jak była o

tym później przekonana Akasza.

Przez tysiące lat niezachwiana wiara w nadprzyrodzone moce trwała zakorzeniona w ludzkiej duszy. Były czasy, kiedy wierzyłam, iż jest to naturalny, nieodrodny, niezbędny element ludzkiej kondycji, coś, bez czego ludzkość nie mogłaby przetrwać.

Wiele razy byliśmy świadkami narodzin kultów i religii, budzących lek oswiadczeń o zjawach i cudach, a następnie deklaracji wiary, zainspirowanych tymi wydarzeniami.

Udajcie się w podróż do Azji i Europy - obejrzyjcie chrześcijańskie świątynie i katedry, w których nadal śpiewa się nabożne pieśni. Przejdźcie przez muzea wszystkich krajów; wszędzie religijne obrazy i rzeźby olsniewają i zniewalają dusze.

Jak wielkie zdają się te osiągnięcia; maszyna kultury jest wręcz uzależniona od paliwa religijnej wiary. A zarazem jaka była cena tej wiary, która ożywia państwa i wysyła jedną armię przeciwko drugiej, która dzieli narody na zwycięzców i zwycięzonych; która eksterminuje wyznawców obcych bogów.

W ciągu ostatnich kilkuset lat nastąpił prawdziwy cud, który nie ma żadnego związku z duchami lub zjawami czy też głosami z nieba nakazującymi temu lub tamtemu religijnemu gorliwcowi, co ma zrobić! Zauważyliśmy, że człowiek jest zdolny oprzeć się sferze cudów, sceptycznie ocenia działania duchów lub tych, którzy twierdzą, iż je widzą, rozumieją i przekazują ich prawdy. Okazało się, że ludzki umysł z wolną porzuca tradycje prawa opartego na objawieniu, że szuka prawd etycznych na drodze rozumowej, a styl życia opiera na szacunku wobec sfer fizycznej i duchowej powazanych przez wszystkie istoty ludzkie.

Porzucając wiarę w interwencje nadprzyrodzonego i łatwowierność wobec wszystkich stworzeń pozbawionych ciała, ludzkość wkroczyła w najbardziej oświecony wiek. Ludzie szukają najwyższej inspiracji już nie w królestwie niewidzialnego, lecz królestwie tego, co ludzkie, co zarówno cielesne, jak i duchowe, niewidzialne i widzialne, ziemskie i transcendentne.

Medium, jasnowidz, czarownica, jeśli tak chcecie ją nazwać, już się nie liczy, jestem o tym przekonana. Duchy nie mogą dać nam nic więcej. Słowem, przestaliśmy być łatwowierni i zdążamy ku doskonałości, jakiej świat nie widział.

Wreszcie słowo stało się ciałem; świat jest światem rozumu, a ciało to potwierdzenie wszelkich potrzeb i pozadań wspólnych wszystkim ludziom.

Co nasza królowa może uczynić dla tego świata za pomocą swojej interwencji? Co mu da - ona, której sam byt jest teraz pozbawiony znaczenia, ona, której umysł był przez wieki zamknięty w królestwie barbarzyńskich marzeń? Trzeba ją powstrzymać; Mariusz ma rację; ktoś by się z nim nie zgodził? Musimy być gotowi pomóc Mekare, nie zagrażać jej, nawet gdyby oznaczało to koniec nas wszystkich.

Pozwólcie teraz, że przedstawię wam ostatnią część mojej opowieści, która najpełniej wyjaśni zagrożenie, jakie stanowi Matka wobec nas wszystkich. Jak już powiedziałam, Akasza nie dokonała eksterminacji mojego ludu. Zyl on w mojej córce Miriam i w jej córkach, i w córkach ich córek. Po dwudziestu latach wróciłam do wioski, w której zostawiłam Miriam, i spotkałam młodą kobietę wyrosłą na opowieściach tworzących legendę o bliźniaczkach.

Przy świetle księżyca zabrałam ją na górę, pokazałam jaskinie przodków i podarowałam kilka naszyjników i trochę złota, które wciąż były ukryte głęboko w malowanych grotach, tam, gdzie inni bali się zajrzeć. Zapoznałam też Miriam z wszystkimi znanymi mi opowieściami o przodkach i doradziłam, by

trzymała się z daleka od duchów, nie wchodziła w żadne powiązania z niewidzialnymi istotami, bez względu na to, jak ludzie je nazywają, a zwłaszcza, jeśli zwa je bogami.

Następnie udałam się do Jerycha, tam bowiem na zatłoczonych ulicach łatwo było upolować ofiary, tych, którzy pragneli śmierci i nie obciążali mojego sumienia, tam też łatwo było ukryć się przed wscibskimi oczami.

Wiele razy odwiedzałam Miriam. Urodziła cztery córki i dwóch synów, a ci z kolei zrodzili pięcioro dzieci, które dożyły wieku dojrzałego. Wśród tych pięciorga były dwie kobiety, a z tych kobiet przyszło na świat osmioro potomków. Matki przekazywały swoim dzieciom legendy rodzinne, również opowieści o bliźniaczkach, o siostrach, które niegdyś rozmawiały z duchami, sprowadzały deszcz i były prześladowane przez złego króla i złą królową.

Dwaście lat później spisałam po raz pierwszy imiona mojej rodziny, wtedy była to już cała wioska. Do utrwalenia mojej wiedzy potrzebne były aż cztery gliniane tabliczki. Zapelniałam tabliczkę po tabliczce opowieściami o początku i o kobiecie, która wróciła do Czasu Przed Księzycem.

Chociaż czasem oddalałam się na wiek od ojczyzny, szukając Mekare na dzikich wybrzeżach północnej Europy, zawsze wracałam do mojego ludu, do kryjówek w górach i domu w Jerychu. Zapisywałam dzieje rodziny, imiona córek przychodzących na świat i imiona ich córek. O synach też pisałam szczegółowo - o ich osiągnięciach, cechach charakteru i czasem heroizmie - tak jak czyniłam to w wypadku kobiet. Ale o ich potomkach nie. Nie dalo się sprawdzić, czy dzieci tych mężczyzn naprawdę mają w żyłach moją krew i krew mojego ludu. Tak więc linia szła po kadzieli, jak zawsze.

Jednakże nigdy, nigdy przez cały ten czas nie ujawniłam mojej rodzinie złych czarów, które mnie dotknęły. Postanowiłam, iż to zło nigdy jej nie dosięgnie, tak więc jeśli używałam coraz silniejszych nadprzyrodzonych mocy, robiłam to w tajemnicy i tak, by zawsze można było znaleźć naturalne wytłumaczenie.

Dla trzeciej generacji byłam jedynie krewniaczką, która przybyła do rodzinnego domu po wielu latach spędzonych za granicą. A jeśli ingerowałam - udzielałam rady córkom lub dostarczałam im złota - czyniłam to na sposób ludzki.

Mijały tysiące lat, podczas których obserwowałam rodzinę, nie wyjawiając swojego imienia, jedynie od czasu do czasu udając dawno zagubioną krewniaczkę przybyłą do tej czy innej wioski lub na zjazd rodzinny, żeby uscisnąć dzieci.

W pierwszych stuleciach ery chrześcijańskiej przyszedł mi do głowy inny pomysł. Stworzyłam fikcyjną gałąź rodziny zajmującą się prowadzeniem wszelkich archiwów - nagromadzonych tabliczek i zwojów, a nawet oprawnych ksiąg. I w każdym pokoleniu tej fikcyjnej gałęzi była kobieta, która pełniła obowiązki archiwistki. Imię Maharet towarzyszyło tej godności, a kiedy stara Maharet umierała, młoda Maharet dziedziczyła obowiązki.

W ten sposób znalazłam swoje miejsce wewnątrz rodziny; wszyscy znali mnie i kochali. Stałam się zaprzyjętą korespondentką, dobroczyncą, negocjatorką, tajemniczym, niemniej jednak zaufanym gościem, który zjawiał się, by wyciszyć wasnie i leczyć wyrządzone krzywdy. I chociaż pochłaniały mnie tysięczne namiętności, chociaż mieszkalam przez wieki w obcych krajach, uczyłam się nowych języków i zwyczajów, podziwiałam nieskończone piękno świata i moc ludzkiej wyobraźni, zawsze powracałam do rodziny, rodziny, która znalazła mnie i oczekiwała ode mnie wielu różnych rzeczy.

Mijały wieki i tysiąclecia, a ja nigdy nie spoczęłam w ziemi, jak uczyniło to wielu spośród was. Nigdy nie

zaznałam szalenstwa i utraty pamięci, co było częste wśród starszych, którzy często upodabniali się do zagrzebanych pod ziemią posagów Matki i Ojca. Nigdy od tamtych najdawniejszych czasów nie przydarzyła się noc, bym otworzywszy oczy, nie pamiętała swojego imienia, nie rozejrzała się przytomnie wokół, nie sięgnęła po nic swojego życia.

Nie znaczy to, że szalenstwo nie zaglądało mi w oczy; czasem ogarniało mnie znużenie, smutek zatruwał mi serce, tajemnice wytracały mnie z równowagi i zaznawalam bólu. Ponad wszystko jednak liczyły się: obowiązek strażnika rodzinnego archiwum, opieka nad potomstwem i prowadzenie go poprzez świat. Tak więc nawet w najbardziej mrocznych czasach, kiedy wszelki ludzki byt wydawał mi się nieznosny, a zmiany w świecie - niepojęte, powracałam do rodziny jako źródła samego życia.

To rodzina uczyła mnie rytmów i namietności nowego wieku, rodzina zabrała mnie w obce krainy, do których być może nigdy nie wybrałabym się sama; rodzina zaprowadziła do królestw sztuki, które mogłyby mnie oniesmielić, rodzina była moim przewodnikiem przez czas i przestrzeń. Mój nauczyciel, moja księga życia. Rodzina była wszystkim.

Maharet przerwała. Przez chwile wydawało się, że powie jeszcze coś. Potem wstała od stołu. Spojrzała na wszystkich po kolei i w końcu jej wzrok spoczął na Jesse.

- Teraz chce, byście poszli ze mną. Pokażę wam, czym stała się ta rodzina.

Wszyscy powstali w ciszy i opuścili podziemną salę. Udali się po żelaznych kreconych schodach do innej wielkiej komnaty w środku góry, pomieszczenia o szklanym dachu i grubych ścianach.

Jesse weszła ostatnia i zanim przekroczyła próg, wiedziała, co zobaczy. Przeszył ją niesamowity ból, ból pamiętnego szczęścia i niezapomnianej tęsknoty. Znalazła się w pozbawionej okien komnacie, w której była już dawno temu.

Jak wyraźne było wspomnienie kamiennego paleniska, ciemnych, obitych skórą mebli rozstawionych na dywanie; atmosfera wielkiego i tajemnego podniecenia, którego nie mogła zapomnieć, które pograżyło ją w nierealnych marzeniach i nieskonczenie przekraczało wspomnienia rzeczy fizycznych.

Tak, oto wielka elektroniczna mapa świata pokryta nieskonczonymi tysiącami drobnych światełek.

Trzy pozostałe ściany, jakże ciemne, początkowo wydawały się pokryte delikatną drucianą siatką. Dopiero po chwili dostrzegano się olbrzymi bluszcz atramentowej barwy zapełniający każdy centymetr między podłogą a sufitem, wyrastający z pojedynczego korzenia w kacie w miliony drobnych, rozrastających się galezi, z których każda była otoczona niezliczonymi, starannie wypisanymi imionami.

Mariusz poczuł dławienie w gardle, kiedy odwrócił się od wielkiej, rozjaśnionej mapy do gestego, delikatnie zarysowanego drzewa genealogicznego. Armand uśmiechnął się ze smutkiem, podczas gdy Mael nachmurzył się lekko, chociaż prawdę powiedziawszy, był zdumiony i pełen zachwytu.

Pozostali patrzyli w milczeniu. Eryk znalazł te tajemnice. Louisowi, najbardziej ludzkiemu z nich wszystkich, lzy stały w oczach. Daniel nie ukrywał podziwu, a Khayman patrzył na mapę zgaszonym wzrokiem, jakby jej nie widział, nadal wpatrzony w przeszłość. Gabriela powoli skinęła głową, wydając nieokreślony dźwięk pochwały i zadowolenia.

- Wielka Rodzina - rzekła, nazywając po imieniu to, co miała przed sobą.

Maharet skinęła głową i wskazała na wielką, płaską mapę świata, pokrywającą całą południową ścianę.

Jesse sledziła szerokie, rozlewające się pasmo światełek wychodzące z Palestyny, rozszerzające się po Europie i ciągnące się do Azji, Afryki, a wreszcie do obu kontynentów Nowego Świata. Nieskonczone jasne punkty migotały różnymi kolorami i Jesse, zmrużywszy oczy, ujrzała rzeczywisty obraz wielkiego rozproszenia. Dostrzegła również stare nazwy kontynentów, państw i mórz, naniesione złotymi literkami na tafle szkła pokrywająca trójwymiarowa iluzje gór, równin i dolin.

- To moi potomkowie - rzekła Maharet - potomkowie Miriam, córki zrodzonej ze mnie i z Khaymana, i potomkowie mojego ludu, którego krew była we mnie i w Miriam. Jak widzicie, linia ciągnie się po kadzieli przez sześć tysięcy lat.

- Niesamowite! - szepnęła Pandora. Ja też ogarnął smutek. Jaka z niej była melancholijna piękność, wspaniała i pełna dystansu, a mimo to emanująca dawnym ciepłem, naturalnym, nieodpartym. To, co widziała, chyba sprawiło jej ból, przypominając o wszystkim, co dawno straciła.

- To tylko jedna wielka ludzka rodzina - rzekła łagodnie Maharet. - A jednak nie ma narodu na ziemi, który nie miałby w sobie jej krwi. Z pewnością istnieje też mnóstwo meskich potomków krwi z naszej krwi; może to być liczba równa tej znanej teraz z imienia. Tych, które udaly się na pustkowia Wielkiej Rusi, do Chin, Japonii i innych słabo znanych regionów, nie ujęto w zapisie, jak i wielu innych, które w przeciągu wieków straciłam z oczu z wielu powodów. Niemniej jednak ich następczyni są tutaj! Nie ma takiego ludu, rasy, państwa, które nie zawierałyby cząstki Wielkiej Rodziny! Wielka Rodzina jest arabska, żydowska, angielska, afrykańska, jest hinduska, mongolska, japońska i chińska. Krótko mówiąc, Wielka Rodzina to rodzina człowiecza.

- Tak - szepnął Mariusz. Nadmiar emocji uwidocznił się na jego twarzy, lekki ludzki rumieniec i subtelny błysk w oczach. - Jedna rodzina i wszystkie rodziny... - Podeszedł do ogromnej mapy i nie mógł się powstrzymać, by nie podnieść ręk na widok światła przesuwających się po starannie wymodelowanym terenie.

Jesse poczuła, jak ogarniają atmosferę tamtej dawno minionej nocy, a potem niespodziewanie owe wspomnienia - rozbudzone na chwilę - zgasły, jakby przestały mieć znaczenie. Stała tu oto ze wszystkimi tajemnicami; znów była w komnacie.

Podeszła do ciemnych, delikatnych linii wyrytych na ścianie. Popatrzyła na miriady imion napisanych czarnym atramentem; cofnęła się i przesledziła rozwój jednej galezi, jednej delikatnej galezi pnącej się z wolna ku sufitowi setką przeróżnych rozgalezień i skretów.

W olsniewającym spełnieniu wszystkich snów pomyślała z miłością o każdej z tych dusz, które tworzyły znana jej Wielką Rodzinę; o tajemnicy dziedziczości i intymności. Ta chwila była poza czasem; ogarnęły ją spokój i cisza. Nie widziała białych twarzy swych nowych krewnych, przepysznych niesmiertelnych kształtów zatrzymanych w niesamowitym zastygnięciu.

W tej chwili ożyło dla niej coś z prawdziwego świata, coś budzącego zachwyt, smutek i być może najdoskonalszą miłość, do jakiej była zdolna. Przez jeden moment wydawało się, że tajemnicze możliwości naturalnego i nadprzyrodzonego są sobie równe, równe mocą. A wszystkie cuda niesmiertelnych nie mogą zaciemnić blasku tej rozległej i prostej kroniki Wielkiej Rodziny.

Jej dłoń uniosła się, jakby żyła własnym życiem. A gdy światło odbiło się w srebrnej bransoletce Maela, która nadal nosiła, bez słowa dotknęła palcami ściany. Sto imion zakryła jedna dłoń.

- Oto, co jest teraz zagrożone - powiedział Mariusz głosem sciszonym przez smutek, nie odrywając

oczu od mapy.

Jesse była zaskoczona tym, że głos może być tak silny, a jednocześnie tak cichy. Nie - pomyślała - nikt nie skrzywdzi Wielkiej Rodziny. Nikt nie skrzywdzi Wielkiej Rodziny!

Spojrzały na siebie z Maharet. Oto jesteśmy - pomyślała Jesse - po przeciwnych stronach tego bluszcza, Maharet i ja.

Wezbrał w niej straszliwy ból. Oddzieleniu od całego realnego świata na szerokość otchłani nie sposób było zapobiec; ale myśl, że świat ma zostać zepchnięty w otchlan, była nie do wytrzymania.

Podczas wszystkich długich lat z Talamaska, kiedy napotykała duchy i niespokojne zjawy, poltergeisty zdolne wprawić w przerażenie oszalone ofiary, jasnowidzów przemawiających w transie językami, których nie znali na jawie, zawsze zdawała sobie sprawę, że nadprzyrodzone nigdy nie zdoła odcisnąć swojej pieczęci na naturalnym. Maharet miała po stokroć rację! To jest bez znaczenia, tak, całkowicie bez znaczenia - nadprzyrodzone było niezdolne do interwencji!

Teraz ten układ miał się zmienić. Nierzeczywiste stało się rzeczywiste. Absurdem było stanąć w tej dziwnej komnacie wśród potężnych i budzących respekt postaci i powiedzieć: „To nie może się zdarzyć”. To coś, to coś nazywane Matka, mogło wydostać się spoza zasłony długo oddzielającej ją od śmiertelnych oczu i dotknąć milionów ludzkich dusz.

Co takiego widział Khayman, patrząc na nią teraz jakby ze zrozumieniem? Czy widział w Jesse swoją córkę?

- Tak - potwierdził. - Moja córka. Nie lekaj się. Mekare przybędzie, by spełniła się jej klatwa. Wielka Rodzina będzie żyła dalej.

- Kiedy dowiedziałam się, że Matka powstała - westchnęła Maharet - nie zgadłam, co może uczynić. Tego, że zmiecie z powierzchni własne dzieci, zlikwiduje zło pochodzące od niej samej, od Khaymana i mnie, a także od innych, którzy powodowani samotnością dzielili jej moc - tego naprawdę nie mogłam kwestionować! Jakże mamy prawo do życia? Jakże mamy prawo do nieśmiertelności? Jesteśmy wybrykiem natury, jesteśmy koszmarem. Chociaż chciwie pragnę żyć, pragnę tego jak zawsze, nie mogę powiedzieć, że uczyniła źle, mordując tak wielu...

- Ona wymorduje więcej! - rzekł z rozpaczą Eryk.

- Teraz rzecz w tym, że Wielka Rodzina znalazła się w jej cieniu - powiedziała Maharet. - To światu Wielkiej Rodziny grozi, że stanie się światem Matki. Chyba że...

- Mekare przybędzie - powiedział Khayman. Prosty uśmiech rozjaśnił mu twarz. - I spełni klatwę. Stworzyłem Mekare i wiem, że ona to zrobi. To jest teraz nasza klatwa.

Maharet uśmiechnęła się, ale to był zupełnie inny uśmiech. Smutny, pobłażliwy i dziwnie zimny.

- Ach, że też wierzysz w taką symetrię, Khaymanie.

- A my umrzemy, wszyscy umrzemy! - powiedział Eryk.

- Musi być jakiś sposób, by ją unicestwić, nie zabijając nas - stwierdziła zimno Gabriela. - Musimy o tym pomyśleć, być gotowi, mieć jakiś plan.

- Nie mozesz zmienic proroctwa - szepnal Khayman.

- Khaymanie, jesli nauczylismy sie czegos - powiedzial Mariusz - to tego, ze nie ma przeznaczenia. A skoro nie ma przeznaczenia, to nie ma proroctwa. Mekare przybywa tu zrobic to, co poprzysiegla; byc moze to wszystko, co teraz wie lub na co ja stac, ale to nie znaczy, ze Akasza nie potrafi sie przed nia obronic. Czy myslisz, ze Matka nie wie, iz Mekare powstala? Czy myslisz, ze Matka nie widzi i nie slyszy snów swoich dzieci?

- Ach, lecz cecha proroctw jest to, ze spelniaja sie same - rzekl mu Khayman. - Na tym polega ich czar. W dawnych czasach wszyscy to pojowali. Moc uroków to moc woli; mozna by rzec, ze w tamtych mrocznych czasach wszyscy bylismy wielkimi geniuszami psychologii, mogliśmy zostac zgladzeni moca planów kogos innego. A sny, Mariuszu, sny sa jedynie czescia wielkiego planu.

- Nie mów o tym tak, jakby sie juz stalo - zganila go Maharet. - Mamy jeszcze jedno narzedzie. Mozemy uzyc rozumu. Ten stwór teraz mówi, prawda? Czy rozumie tez, co sie do niego mówi? Moze da sie ja zawrócić...

- Och, zwariowaliscie, naprawde zwariowaliscie! - krzyknal Eryk. - Zamierzacie rozmawiac z potworem, który włóczy sie po swiecie, palac wlasne potomstwo! - Z kazda chwila byl coraz bardziej przerazony. - Co ten stwór wie o rozumie, skoro podzega proste kobiety, by powstaly przeciwko swoim mezom? Ona zna mord, smierc i gwalt, i nic ponadto, jak jasno wynika z twojej opowiesci. My sie nie zmieniamy, Maharet. Tyle razy mi to mówilas. Doskonalimy tylko swoja istote.

- Zadne z nas nie chce umrzec, Eryku - powiedziala cierpliwie Maharet. Nagle cos odwrócilo jej uwage.

W tej samej chwili poczul to Khayman. Jesse przyjrzala sie uwazniej im obojgu, usilujac pojac, co sie dzieje. Wtem zdala sobie sprawe, ze również w Mariuszu dokonuje sie subtelna zmiana. Eryk byl sparalizowany. Ku zdumieniu Jesse Mael nie odrywal od niej wzroku.

Slyszeli jakis dzwiek i starali sie zlokalizowac jego zródlo. Wyczytala to w ich oczach. Tak ludzie sluchaja oczami.

- Młodzież powinna natychmiast isc do piwnicy - rzucil nagle Eryk.

- To bez sensu - powiedziala Gabriela. - Poza tym ja chce tu byc. - Nie mogla doslyszec tego dzwieku, chociaz wytezala sluch.

- Pozwolisz, by nas zniszczyla? - zwrócił sie Eryk do Maharet.

Nie odpowiedziala. Bardzo wolno odwrócila glowe w strone podestu.

Jesse wreszcie uslyszala to samo co wszyscy. Ludzkie uszy z pewnoscia nie zdolalyby tego uchwycic; byl to dzwiekowy odpowiednik pozbawionego wibracji napiecia przebiegajacego przez nia i przez kazdy atom w tym pokoju. Dzwiek pochlanial i dezorientowal zmysly, i chociaz widziala, ze Maharet rozmawia z Khaymanem, nie slyszala ani slowa z tej wymiany zdan. Zaslonila uszy dlonmi, jak przez mgle widzac, ze Daniel robi to samo. Oboje jednak zdawali sobie sprawe, ze to na nic.

Ten dzwiek jakby zawiesil wszelki czas, zawiesil ruch. Jesse tracila równowage; wycofala sie pod sciane i patrzyla na mape po drugiej stronie komnaty, jakby oczekiwala stamtad wsparcia. Wpatrywala sie w lagodny strumien swiatla wyplywajacego z Azji Mniejszej ku północy i poludniowi.

Komnate wypełniła niewyraźna, nieuchwytna wrzawa. Tamten dźwięk zamarł i zapanowała ogłuszająca cisza.

Jesse miała wrażenie, że przeżywa bezdzwiczny sen. Zobaczyła w drzwiach postać Wampira Lestata, który rzucił się w ramiona Gabrieli. Potem Louis zbliżył się, by go objąć. Gdy Wampir Lestat popatrzył na nią, przed jej oczami pojawił się na ułamek sekundy obraz ceremonialnej stopy, bliźniaczek, trupa na ołtarzu. On nie wiedział, co to znaczy! Nie wiedział.

Kiedy zdała sobie z tego sprawę, doznała szoku. Przypomniała sobie te chwile na scenie, kiedy ich rozdzielono, a on z całej siły starał się rozpoznać umykający obraz.

Gdy wital się z wszystkimi, sciskając ich i całując - nawet Armand podszedł do niego, wyciągając ramiona - posłał jej słaby uśmiech.

- Witaj, Jesse - rzekł.

Patrzył na ich zimne, przygnębione twarze. Jakże biała była jego skóra, całkowicie biała; a jednak wciąż miał w sobie dawne ciepło, żywiołowość i niemal dziecinne podniecenie.

CZESC IV

Królowa Potepionych

a.

Skrzydła poruszają przeswielony słońcem kurz

katedry, w której

przeszłość tkwi

po szyje w marmurze.

Stan Rice „Wiersz o wczolgiwaniu się do łózka; gorycz” z tomu „Tresc dzieła” (1983)

b.

W zeszkłonej zieleni żywoplotu,

winorosli

i niejadalnych truskawek

lilie są białe; odległe; nieogarnione.

Gotowe były stać się naszymi strażnikami.

Są barbarzyncami.

Stan Rice „Fragmenty greckie” z tomu „Treść dzieła” (1983)

Siadła przy końcu stołu, czekając na nich, nieruchoma i spokojna. W świetle paleniska karmazynowa szata przydawała jej skórze blasku.

Kontur jej twarzy i tafle ciemnego szkła ozlacały płomienie, nieskazitelne lustro pokazywały ją wyrazicie, jakby odbicie było prawdziwą istotą, unosząca się w przejrzystym powietrzu nocy.

Czułem lek. Strach o nich, o mnie i, co dziwne, o nią. Był we mnie chłód, przecucie złego, tego, co ona może uczynić. Ona, zdolna zniszczyć wszystkich, których kiedykolwiek kochałem.

W drzwiach odwróciłem się i jeszcze raz ucałowałem Gabriele. Przez chwilę czułem, jak wtula się we mnie całym ciałem, a potem jej uwaga skupiła się na Akaszy. Kiedy dotknęła mojej twarzy, czułem nieznacznie drżenie dłoni. Popatrzyłem na Louisa, pozornie delikatnego i spokojnego, i na Armanda, tego urwisa o twarzy anioła. Ci, których kochasz, są po prostu tymi... których kochasz.

Kiedy wszedłem do pokoju, Mariusz był sztywny z gniewu, nic nie mogło tego ukryć. Przeszywał mnie płonącym wzrokiem - mnie, morderce tamtych biednych, bezbronnych śmiertelnych pozostawionych na stoku góry. Wiedział o tym, prawda? Cały śnieg świata nie mógł zakryć tamtych jatek.

Potrzebuje, cie, Mariuszu - powiedziałem mu w myślach. - Wszyscy cie potrzebujemy.

Jego umysł był zasłonięty, podobnie jak umysły wszystkich. Czy potrafią ukryć przed nią swoje sekrety?

Kiedy weszli do sali, stanąłem po prawej rece Akaszy, takie bowiem było jej życzenie, a ja wiedziałem, iż tam jest moje miejsce. Wskazałem Gabrieli i Louisowi miejsca naprzeciwko, blisko siebie, tam, gdzie będę mógł ich widzieć. Widok twarzy Louisa, tak zrezygnowanej, tak smutnej, łamał mi serce.

Rudowłosa kobieta, przedwieczna istota nazywana przez nich Maharet, siadła przy drugim końcu stołu, najbliżej drzwi. Mariusz i Armand po jej prawej stronie, a po lewej ruda mlódka, Jesse. Maharet sprawiała wrażenie całkowicie biernej, skupionej, jakby nic nie mogło jej poruszyć. Nietrudno było odkryć źródło tego spokoju. Akasza nie mogła jej skrzywdzić; ani jej, ani drugiego bardzo starego osobnika, Khaymana, który zasiadł po mojej prawej ręce.

Ten o imieniu Eryk był wyraźnie przerażony i niechętnie zasiadł przy stole. Mael również się bał, ale doprowadzało go to do furii. Przeszywał Akasze wzrokiem, nie starając się ukrywać swoich uczuć.

A Pandora, cudowna piwnooka Pandora siedząca obok Mariusza, sprawiała wrażenie zupełnie obojętnej. Nawet nie spojrzała na Akasze. Patrzyła przez panoramiczne okno, z rozkosza przesuwając wzrok po ciemnych pasmach sekwojowych pni i ciemnej zieleni.

Daniel również był zupełnie obojętny. Jego też widziałem na koncercie, chociaż nie wiedziałem, że towarzyszył Armandowi! Nie wyczulem najmniejszego śladu obecności Armanda. Pomysleć, że wszystko, co nas kiedykolwiek łączyło, było na zawsze stracone. A może nie? Mogliśmy mieć czas dla siebie, Armand i ja, wszyscy mogliśmy go mieć. Daniel wiedział o tym, piękny Daniel, reporter z małym magnetofonem, który rozpoczął te historie z Louistem na Divisadero Street! To dlatego patrzył na Akasze ze spokojem, to dlatego smakował chwilę po chwili.

Spojrzałem na czarnowłosego Santina - istotę wręcz królewska, która oceniała mnie z rozmysłem. On też się nie bał, ale z niecierpliwością czekał na to, co się wydarzy. Patrzył na Akasze, olśniony jej urodą, jakby budziła w nim pamięć jakiejś głębokiej rany. Na chwilę zatliła się w nim stara wiara, znacząca dla niego więcej niż przetrwanie, wiara, która splonęła w goryczy.

Nie sposób zrozumieć ich wszystkich, trudno ocenić więzi, które ich łączy, nie czas, by pytać o znaczenie dziwnego obrazu dwóch rudych kobiet przy trupie matki, który widziałem przez moment, kiedy patrzyłem na Jesse.

Zastanawiałem się, czy potrafią przejrzeć mój umysł i odsłonić wszystko, co starałem się ukryć; to, co nieswiadomie zatajałem przed samym sobą.

Twarz Gabrieli była nieprzenikniona. Jej oczy zmalowały i zszarzały, jakby utraciły wszelkie światło i wszelką barwę; patrzyła to na mnie, to na Akasze. Czyżby usiłowała coś zrozumieć?

Wtem przeszła mnie straszliwa myśl, że być może oni nigdy się przed nią nie ugną i że stanie się to za sprawą czegoś głęboko w nich zakorzonego, tak jak w moim przypadku. I że zanim opuścimy tę salę, dojdzie do jakiegoś fatalnego rozwiązania.

Przez chwilę byłem jak sparalizowany. Potem wzięłem Akasze za rękę. Czulem, jak jej palce delikatnie zamykają się wokół moich.

- Spokojnie, mój księżo - rzekła łagodnie i uprzejmie. - Wyczuwasz śmierć w tej sali, ale to śmierć wiary, niczego więcej. - Popatrzyła na Maharet. - Być może śmierć marzeń, które powinny umrzeć dawno temu.

Maharet siedziała obojętna i bez życia. Jej fiołkowe oczy były zmęczone, nabiegłe krwią. Nagle zdałem sobie sprawę, że to były ludzkie oczy. Umierały w jej czaszce. Krew ciągle nasycala je życiem, ale nie będa trwały wiecznie. Zbyt wiele drobnych nerwów umarło w jej ciele.

Znów ujrzałem tamta senna wizję. Blizniaczki, trup przed nimi. Jaki to miało związek z obecną chwilą?

- Zaden - szepnela Akasza. - To cos dawno zapomnianego, teraz bowiem odpowiedzi nie kryja sie w historii. Przekroczyliśmy granice historii. Ona jest wzniesiona na błędach, my zaczniemy od prawdy.

- Czy nic cie nie przekona? - Mariusz od razu przystąpił do rzeczy. Mówił głosem bardziej przyciszonym, niż się tego spodziewałem. Pochylił się do przodu, rozłożył dłonie jak osoba demonstrująca, że pragnie podejść do rzeczy zdroworozsądkowo. - Co możemy powiedzieć? Chcemy, żebyś zaprzestła tych nawiedzeń. Chcemy, żebyś nie maciła ludziom w głowach.

Palce Akaszy zacisnęły się na moich. Rudowłosa kobieta wpatrywała się we mnie nabiegłymi krwią fiołkowymi oczami.

- Akaszo, błagam cie - powiedział Mariusz. - Zatrzymaj te rebelie. Nie pokazuj się więcej śmiertelnym; nie wydawaj dalszych rozkazów.

- A czemu nie, Mariuszu? - Akasza rozesmiała się łagodnie. - Bo to tak bardzo niepokoi twój cenny świat, świat, któremu przyglądałeś się przez dwa tysiące lat? Rzymianie też kiedyś przyglądali się w cyrku życia i śmierci, jakby były zabawą lub teatrem, jakby cierpienie i śmierć nie miały znaczenia.

- Wiem, ku czemu dążysz - powiedział Mariusz. - Akaszo, nie masz do tego prawa.

- Mariuszu, obecny tu twój uczeń przedstawił mi już te stare argumenty. - Mówiła tonem równie powściągliwym i cierpliwym. - Jednak, co ważniejsze, przenicowałam je po tysiącach. Jak myślisz, przez ile wieków słuchałam modlitw świata, roztrzaskując sposoby zakończenia nieustającego cyklu ludzkiej przemocy? Przyszła czas, byście wysłuchali, co chcę wam powiedzieć.

- Mamy odegrać w tym jaką rolę? - zapytał Santino. - A może zostaniemy zniszczeni jak pozostali? - Jego zachowanie było raczej impulsywne niż aroganckie.

Ruda kobieta po raz pierwszy przejawiała emocje. Jej zmęczone oczy natychmiast spoczęły na Santinie.

- Wy będziecie moimi aniołami - odparła czule Akasza, patrząc na niego. - Wy będziecie moimi bogami. Jeśli nie zechcecie pójść za mną, zniszczę was. Co do starszych, których nie mogę się tak łatwo pozbyć - znów zerknęła na Khaymana i Maharet - to jeśli zwróca się przeciwko mnie, stana się diablami i cała ludzkość będzie ich ścigać, a oni, stawiając opór, znakomicie przysłużą się mojemu planowi. Świat taki, jaki mieliście poprzednio... świat, w którym można skrycie polować... musi się skończyć.

Wydawało się, że Eryk przegrywa swoją walkę ze strachem. Poruszył się, jakby zamierzał wstać i opuścić salę.

- Cierpliwości - powiedziała Maharet, spoglądając na niego, po czym zwróciła wzrok ku Akaszy.

- Jak można przerwać cykl przemocy, nasiliwszy bezsensowną przemoc? - zapytała cicho Maharet. - Niszczysz samców gatunku ludzkiego. Jaki może być wynik tak okrutnego działania?

- Znasz wynik równie dobrze jak ja - odparła Akasza. - Jest tak prosty, że nie sposób go nie zrozumieć. Był nie do wyobrażenia do tej chwili. Przez wszystkie wieki spędzone w świątyni Mariusza marzyłam o Ziemi będącej ogrodem, o świecie nie zadającym meczarni, o których stałe słyszałam i które czułam. Marzyłam o społeczności osiągającej spokój bez tyranii. Potem zdałam sobie sprawę z prostoty rozwiązania; to było jak nadejście poranka. Kobiety są społecznością, która może zrealizować moje marzenie; ale tylko wtedy, kiedy wszyscy mężczyźni... lub prawie wszyscy... zostaną usunięci.

W dawnych wiekach taka rzecz byłaby niewykonalna. Teraz jednak jest prosta; mamy spory zasób technologii, które pomoga ją zrealizować. Po pierwotnym oczyszczeniu będzie się dokonywało selekcji nowo narodzonych; niechciane płody zostaną łaskawie usunięte, jak dzieje się to obecnie w przypadku obojga płci. Nie ma właściwie potrzeby, by o tym dyskutować. Nikt z was nie jest głupcem, mimo emocji lub zniecierpliwienia.

Wiecie równie dobrze jak ja, że jeśli męska populacja zostanie ograniczona i pozostanie jeden mężczyzna na sto kobiet, zapanuje powszechny pokój. Położymy kres ślepej przemocy. Warunkiem zmiany sposobu myślenia jest usunięcie samców. Kto podważy to założenie? Może nie będzie potrzebny nawet jeden na sto. Ale ze stac mnie na takie szlachetne rozwiązanie, więc udzieli na nie zezwolenia. Przynajmniej na początku.

Dostrzegłem, że Gabriela chce zabrać głos. Próbowałem dać jej bezsłowny znak, by milczała, lecz zignorowała mnie.

- W porządku, wynik takiej akcji jest oczywisty. Jeśli jednak stosujesz globalną eksterminację, problem pokoju staje się śmieszny. Skreślasz połowę ludzkości. Gdyby mężczyźni i kobiety rodzili się bez rak i nóg, na świecie panowałby pokój.

- Mężczyźni zasługują na to, co ich niebawem spotka. Cała pleć zbierze żniwo własnej siejby. Pamiętajcie, mówcie o czasowym oczyszczeniu... Właśnie prostota tego planu przesadza o wszystkim. Ujmując rzecz całokształtowo, życie tych mężczyzn nie zrównoważy życia kobiet zabitych z rak samców na przestrzeni wieków. Wiecie o tym równie dobrze jak ja. A teraz powiedzcie mi, ilu mężczyzn w dziejach zginęło z rak kobiet? Jeśli przywróćcie do życia każdego mężczyznę zamordowanego przez kobietę, czy myślicie, że zapelniliby oni chociaż ten dom?

Zrozumcie, nie to przesadza o istocie sprawy. O istocie sprawy... o tym, co się liczy i jest doskonalsze niż sama propozycja... decyduje fakt, że mój plan jest realny. Jestem niezniszczalna, a wy możecie zostać moimi aniołami. Nie ma nikogo, kto mógłby z powodzeniem stawiać nam czoło.

- To nieprawda - rzekła Maharet.

Lekki rumieniec gniewu rozpalil policzki Akaszy.

- Twierdzisz, że potrafisz mnie powstrzymać?... - spytała. Wargi jej zeszywniały. - To nierozważna sugestia. Czy śmierć Eryka, Maela i Jessiki nie będzie dla ciebie ceną zbyt wysoką za ten krok?

Maharet nie odpowiedziała. Mael trząsał się, nie ze strachu jednak, lecz z gniewu. Przeslizgnął się wzrokiem po Jesse i Maharet, a potem po mnie. Czulem jego nienawisc.

Akaszka nie odrywała spojrzenia od Maharet.

- Och, znam cię, wierz mi - rzekła nieco łagodniejszym tonem. - Wiem, że nie zmieniłaś się przez wszystkie te lata. Widziałam cię tysiące razy w oczach innych; wiem, iż wciąż wierzysz, że twoja siostra żyje. Może żyje... w jakiejś żalosnej postaci. Wiem, że twoja nienawisc do mnie jedynie się wzmogła, i sięgasz pamięć wstecz, głęboko, do samego początku, jakbyś mogła znaleźć jakiś porządek lub sens, które wyjaśniłyby to, co się teraz dzieje. Ale jak powiedziałas mi dawno temu, podczas naszych rozmów w pałacu na brzegach Nilu, nie ma żadnego porządku ani sensu. Nie ma, nie! Sa stworzenia widzialne i niewidzialne i straszliwe przypadki mogą dotknąć najbardziej niewinnych spośród nas. Nie pojmujesz? To ma równie zasadnicze znaczenie dla tego, co teraz robie, jak wszystko inne.

Maharet znowu nie odpowiedziała. Siedziała sztywno wyprostowana, a jej piękne, ciemne oczy lekko polyskiwały. Z bólu?

- To ja nadam porządek i sens - rzekła gniewnie Akasza. - Ja stworzę przyszłość, ja wprowadzę dobro, ja zdefiniuję pokój. Nie będę się powoływać na mitycznych bogów ani na duchy, by usprawiedliwić moje czyny. Nie będę się powoływać na abstrakcyjną moralność ani na historię! Nie będę się babrać w ziemi, szukając serca i mózgu mojej matki!

Wszyscy zadrżeli. Na twarzy Santina pojawił się gorzki uśmiešek. Louis spojrzał opiekunczo na Maharet.

Mariusz lekał się gniewu Akaszy.

- Akaszo - rzekł pojednawczo - nawet jeśli udałoby się to osiągnąć, jeśli śmiertelni nie powstana przeciwko tobie i mężczyźni nie znajdą jakiegoś sposobu, aby cie zniszczyć, zanim zrealizujesz ten plan...

- Jesteś głupcem, Mariuszu, albo bierzesz mnie za głupca. Myślisz, że nie wiem, do czego jest zdolny ten świat? Jaka absurdalna mieszanka dzikości i technologicznej wiedzy jest umysł współczesnego człowieka?

- Moja królowo, nie myśl, że to wiesz! - powiedział Mariusz. - Naprawdę, nie myśl. Nie sądzę, byś obejmowała umysłem cały świat. Nikt z nas tego nie potrafi; jest on zbyt zróżnicowany, zbyt ogromny. Usiłujemy go pojąć, ale na próżno. Ty znasz świat, ale nie ten. Znasz swój świat, wybrany z wielu innych z tobie tylko wiadomych powodów.

- Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, Mariuszu. - Potrząsnęła głową w kolejnym przypiływie gniewu. - Oszczędziłam cię z bardzo prostego powodu. Chciał tego Lestat, a ponadto jesteś silny i możesz mi pomóc. Uwważaj więc, co mówisz.

Oboje zamilkli. Z pewnością wiedział, że ona kłamie. Ja też to rozumiałem. Miłość, która do niego czuła, była dla niej źródłem poniżenia, więc starała się go zranic i to się jej udało. Mariusz przelknął gniew bez słowa.

- Nawet jeśli to jest wykonalne - naciskał łagodnie - czy możesz szczerze powiedzieć, że ludzie zasłużyli na taką karę?

Poczułem ulgę. Wiedziałem, że nie zabraknie mu odwagi, wiedziałem, że znajdzie jakiś sposób sprowadzenia tego na szerszą płaszczyznę, bez względu na to, czym Akasza będzie mu grozić; wyraził to wszystko, czego ja nie potrafiłem.

- Ach, teraz napawasz mnie obrzydzeniem - powiedziała.

- Akaszo, to prawda, miałem oczy do patrzenia przez dwa tysiące lat - rzekł. - Nazwij mnie Rzymianinem w cyrku, jeśli taka twoja wola, i opowiedz historię z dawno minionych czasów. Kiedy uklakłem u twoich stóp, błagałem o twoją wiedzę. To, co ujrzałem, napelniło mnie podziwem i miłością do wszystkich śmiertelnych stworzeń. Ludzkość dokonała przełomów, które uważałem za niemożliwe. Czy ludzka rasa nie zdążyła właśnie ku erze pokoju, która jest twoim celem?

Jej oblicze wyrażało pogardę.

- Mariuszu - powiedziała - ten wiek przejdzie do historii jako jeden z najkrwawszych w dziejach ludzkości. O jakich rewolucjach opowiadasz? Jeden mały europejski naród eksterminował miliony dla kaprysu szalencja, a bomby zamieniły w gruzy całe metropolie. Dzieci w pustynnych państwach Wschodu walczyły w imię starożytnego i despotycznego boga. Mariuszu, kobiety całego świata spędzają plody do ścieków. Krzyk głodnych jest ogluszający, a mimo to nie słyszą go bogacze, zamknięci w technologicznych cytadelach. Choroby i głód szaleją na wszystkich kontynentach, podczas gdy pacjenci wspaniałych szpitali wydają niewiarygodne bogactwa na kosmetyczne zabiegi pielęgnacyjne i obietnice wiecznego życia za pomocą pigulek i proszków. - Rozesmiała się cicho. - Czy kiedykolwiek krzyki umierających rozbrzmiewały tak głośno w uszach tych, którzy mogą je usłyszeć? Czy kiedykolwiek rozlano więcej krwi?

Czułem bezradność i gniew Mariusza. Czułem napięcie, z jakim zaciskał dłonie w piaski, szukając w duszy właściwej odpowiedzi.

- Jest coś, czego nie rozumiesz - rzekł wreszcie. - Coś, czego nie udaje ci się pojąć.

- Nie, mój drogi. Wszystko świetnie rozumiem. Jak zawsze. To ty nie pojmujesz. Jak zawsze.

- Popatrz na ten las! - rzekł, wskazując na szklane ściany wokół nas. - Wybierz jedno drzewo i zechciej je opisać w kategoriach tego, co niszczy, w kategoriach tego, przeciwko czemu się buntuje i czego nie spełnia, a otrzymasz potwora o łapczywych korzeniach i niepowstrzymanym rozwoju, który zabiera światło innych roślin, ich pokarm i powietrze. Jednak to nie jest prawda o tym drzewie. To nie cała prawda, kiedy widzi się coś pojedynczego jako część natury, a przez słowo „natura” rozumiem cały arras życia, Akaszo. Rozumiem przez nie coś większego, wszechobejmującego.

- Więc będziesz dalej wyszukiwał powody do optymizmu - powiedziała - jak robiłeś to zawsze. Daj spokój. Pokaż mi zachodnie miasta, w których nawet biedni dostają codziennie półmiski mięsa i jarzyn, i powiedz, że nie ma już głodu. No cóż, twój uczeń wystarczająco nafaszerował mnie tą papką, idiotycznymi głupstwami, na których zawsze opierało się samozadowolenie bogaczy. Na świecie panuje chaos i deprawacja. Jest, jak było zawsze albo jeszcze gorzej.

- Och, nie, nie tak - zaprzeczył stanowczo. - Ludzie to istoty wciąż się doskonalące. Jeśli nie dostrzegasz tego, czego się nauczyli, to znaczy, że jesteś ślepa. To stworzenia wiecznie się zmieniające, wiecznie ulepszające, wiecznie poszerzające swoje pole widzenia i zmierzające do dobroci. Nie jesteś uczciwa, gdy nazywasz te epoki krwawą, nie widzisz światła mroku, nie dostrzegasz ewolucji ludzkiej duszy!

Wstał, podszedł do Akaszy, zajął puste miejsce między nią i Gabriela, a następnie podniósł jej dłoń.

Obserwowałem go z lekkiem. Bałem się, że nie pozwoli mu się dotknąć; jednak ten gest chyba był jej miły; uśmiechnęła się.

- To prawda, co powiedziałaś o wojnie - rzekł, przyznając jej racje, a równocześnie walczyć o zachowanie własnej godności. - Tak, ja też słyszałem krzyki umierających, wszyscy je słyszeliśmy przez dziesiątki lat i nawet teraz świat jest wstrząsany codziennymi doniesieniami o zbrojnych konfliktach. Krzyk oburzenia przeciwko tym koszmarom jest właśnie światłem, o którym mówię; jest nim owa nieustępliwość rzadzących, którzy po raz pierwszy w historii ludzkości naprawdę chcą położyć kres wszelkim niesprawiedliwościom.

- Mówisz o intelektualnych postawach nielicznej garstki.

- Nie - zaprzeczył. - Mówie o zmieniającej się filozofii, mówie o idealizmie, z którego zrodza się wszelkie realia. Akaszo, nawet jeśli błędza, muszą mieć czas na udoskonalenie swoich marzeń. Czy tego nie rozumiesz?

- Tak! - wyrwało się Louisowi.

Poczułem kurcz serca. Jakże on jest bezbronny! Czy ona skieruje przeciwko niemu swój gniew... A on kontynuował swym cichym i spokojnym głosem.

- To ich świat, nie nasz - rzekł pokornie. - Przecież wykluczylismy się z niego, kiedy utraciliśmy śmiertelność. Nie mamy prawa przerywać ich walki. Jeśli to zrobimy, obrabujemy ich ze zwycięstw, które kosztowały ich zbyt wiele! Postęp dokonany w ostatnich stu latach graniczy z cudem; naprawili zło, które ludzkość uważała za nieuniknione; wprowadzili pojęcie prawdziwej rodziny ludzkiej.

- Wzruszasz mnie swoją szczerością - odparła. - Oszczędziłam cię tylko dlatego, że Lestat cię kochał. Teraz znam przyczynę tej miłości. Na jaką odwagę musiałeś się zdobyć, by odkryć przede mną swoje serce. Jednakże ty jesteś najbardziej drapieżny ze wszystkich obecnych tu niesmiertelnych. Zabijasz bez względu na wiek, płeć czy pragnienie życia.

- W takim razie zabij mnie! - wykrzyknął. - Szkoda, że tego nie zrobiłaś. Ale nie morduj ludzi! Nie tracaj się w ich sprawy! Nawet jeśli zabijają się nawzajem! Daj im czas na to, by wcieliłi w życie nową wizję; daj miastom Zachodu, jakkolwiek by były zepsute, czas na przekazanie swoich idei cierpiącemu i wiedzącemu światu.

- Czas - powiedziała Maharet. - Może to jest to, o co naprawdę prosimy. Czas. I to jest to, co możesz dać.

Zapanowało milczenie.

Akasza nie chciała patrzeć na te kobiety, nie chciała jej słuchać. Czulem jej gniew. Wyjęła dłoń z rąk Mariusza i długo przyglądała się Louisowi. Jej twarz stała się zacięta i prawie okrutna.

- Przez wieki medytowałam w milczeniu nad najlepszym rozwiązaniem - mówiła dalej Maharet. - Czym jest następnych sto lat? Przecież nie zaprzeczysz, że ostatnie stulecie przekroczyło wszelkie przewidywania i wyobrażenia i że technologiczny postęp tego wieku może zapewnić pokarm, zdrowie i dach nad głową wszystkim ludom ziemi.

- Czyżby? - zapytała z kpina w głosie Akasza. Kiedy się odezwała, żar nienawiści gorzej jak piekło rozpalil jej uśmiech. - Oto, co dał światu postęp technologiczny. Trujące gazy, stworzone laboratoryjnie choroby i bomby mogące zniszczyć całą planetę. Długie wycieki nuklearne, które skazyły pokarmy i napoje na wszystkich kontynentach. A wojsko robi to, co zawsze, z większą skutecznością. Arystokratyczna rodzina wymordowana w zasniewionym lesie, kwiat inteligencji całego narodu rozstrzelany bez litości. W Sudanie kobiety wciąż są zwyczajowo kaleczone, by ich mężowie mogli zaznać większej rozkoszy; w Iranie prowadzi się dzieci pod ogień karabinów maszynowych!

- Nie mogłaś widzieć tylko tego - powiedział Mariusz. - Nie wierze w to. Akaszo, popatrz na mnie. Popatrz na mnie z dobrocią i posłuchaj tego, co usiłuje powiedzieć.

- To bez znaczenia, czy wierze w to czy nie! - rzekła, tłumiąc gniew. - To ty nie zgadzasz się z tym, co usiłuje ci powiedzieć. Nie uległaś wspaniałej wizji, która ci zaprezentowałam. Czy nie pojmujesz, jaki dar ci oferuję? Uratowałam cię! A kim będziesz, jeśli tego nie zrobisz?! Krwiopijca, morderca!

Nigdy nie slyszalem w jej glosie takiego podniecenia. Kiedy Mariusz otworzyl usta, monarszym gestem nakazala mu milczenie. Popatrzyla na Santina i Armanda.

- Ty, Santino - powiedziala. - Ty, który rzadziles rzymskimi Dziecmi Ciemnosci, kiedy wierzyly, ze czynia wole boza jako pacholki diabla... czy pamietasz, jak to bylo, gdy miales cel? A ty, Armandzie, przywódco starego, paryskiego sabatu, pamietasz, jak byles swietym ciemnosci? Miales swoje miejsce pomiedzy niebem a pieklem. Oferuje ci to po raz wtóry i tym razem to nie jest zludzenie. Czy nie potrafisz siegnac po swoje utracone idealy?

Zaden nie odpowiedzial. Santino byl razony groza, w jego duszy krwawila rana. Twarz Armanda nie wyrazala nic poza rozpacza.

Akasza spochmurniala, ogarnieta fatalistyczna niewiara. Zrozumiala, ze nikt z nich nie przylaczy sie do niej. Popatrzyla na Mariusza.

- Twoja ukochana ludzkosc! - powiedziala. - Nie nauczyla sie niczego przez szesc tysiecy lat! Mówisz mi o idealach i celach! Na dworze mego ojca w Uruku byli ludzie, którzy wiedzieli, ze glodnych trzeba nakarmic. Wiesz, czym jest twój współczesny swiat? Telewizor to tabernakulum, a helikoptery to anioły smierci!

- W porzadku, w takim razie jaki bedzie twój swiat? - spytal Mariusz. Rece mu drzaly. - Nie wierzysz, ze kobiety sa gotowe walczyć o swoich mezczyzn?

- Walczyly na Sri Lance, Lestacie? - rozesmiala sie, spoglądając na mnie. - Walczyly na Haiti? Walczyly na Lynkonos?

Mariusz wpatrywyl sie we mnie. Czekal na odpowiedz, pewny, ze stane po jego stronie. Chcialem przedstawic argumenty, siegnac po nici, które mi dala, i pociagnac je dalej, ale w glowie mialem kompletna pustke.

- Akaszo - rzeklem. - Zaprzesz tej krwawej jatki. Prosze. Nie oklamuj ludzi, nie mac im w glowach.

Tak to zabrzmialo... brutalnie i bez polotu, ale to byla jedyna prawda, jaka moglem wyrazic w slowach.

- Tak, do tego bowiem to wszystko sie sprowadza - powiedzial Mariusz tonem lagodnym, pelnym leku i niemal blagalnym. - To klamstwo, Akaszo; to kolejne zabobonne klamstwo! Czy nie mielismy ich dosc? I to wlasnie teraz, kiedy swiat otrzasa sie ze starych zludzen i zrzuca z oltarzy starych bogów.

- Klamstwo? - spytala. Szarpnela sie, jakbym ja zranil. - Co jest klamstwem? Czy klamalam, kiedy mówilam im, ze sprowadze na ziemie królestwo pokoju? Czy klamalam, kiedy mówilam im, ze to na mnie czekaly? Nie, nie klamalam. Jestem tym, za kogo mnie biora. Jestem wieczna, wszechpotezna i bede je chronic...

- Chronic? - zapytal Mariusz. - Jak mozesz je chronic przed najbardziej smiertelnymi wrogami?

- Jakimi wrogami?

- Chorobami, moja królowo. Nie jestes uzdrowicielka. Nie mozesz dawac zycia ani go ratowac. A one oczekuja takich cudów. Wszystko, co potrafisz, to zabijac.

Zamilkła. Znieruchomiała. Z jej twarzy nagle uszło życie. Wpatrywała się nieruchomo przed siebie jak kiedyś w świątyni. Była to pustka czy głębokie zamyslenie? Nie umiałem ocenić.

W ciszy trzeszczały polana osuwające się w ogień.

- Akaszo - szepnałem. - Czas. To, o co prosiła Maharet. Wiek. Tak mało.

Spojrzała na mnie oszłamiona. Czulem oddech śmierci na swojej twarzy, tak blisko, jak wiele lat temu, kiedy wilki zagnały mnie do zamarzonego lasu i nie mogłem dosięgnąć pierwszych wysokich konarów nagich drzew.

- Wszyscy jesteście moimi wrogami, prawda? - szepnęła. - Nawet ty, mój książe. Jesteś moim nieprzyjacielem. Moim kochankiem i nieprzyjacielem jednocześnie.

- Kocham cie! - powiedziałem. - Ale nie mogę cię okłamywać. Nie potrafię w to uwierzyć! Właśnie ta prostota i elegancja sprawia, że to jest błędne!

Szybko przesunęła wzrokiem po ich twarzach. Eryk znów był blisko paniki. Czulem wzbierający gniew Maela.

- Nie ma nikogo, kto by stanął u mojego boku? - zapytała szeptem. - Nikogo, kto by chciał urzeczywistnić ten oszalamiający sen? Nikogo, kto by zrezygnował ze swojego egoistycznego światka? - Jej wzrok spoczął na Pandorze. - Biedna marzycielko, rozpaczająca za swym utraconym człowieczeństwem; nie pragniesz odkupienia?

Pandora spojrzała na nią, jakby dzieliło je nieprzejrzyste szkło.

- Nie gustuję w zadawaniu śmierci - odparła jeszcze bardziej jedwabistym szeptem. - Wystarczy mi widzieć ją w spadających liściach. Nie mogę uwierzyć, że krwawa jatka może przynieść dobre skutki. O to właśnie chodzi, królowo. Świat jest wciąż pełen koszmarów, ale dobrzy ludzie wszędzie je potępiają. Ty chcesz sięgnąć po te metody, ty możesz przywrócić im chwałę i zakończyć dialog. - Uśmiechnęła się smutno. - Na nic ci się nie poruczę. Nie mam nic do zaoferowania.

Akasza nie odpowiedziała. Omiotła spojrzeniem Maela, Eryka, Jesse.

- Akaszo, historia to różaniec niesprawiedliwości - powiedziałem - nikt temu nie zaprzecza. Kiedy jednak proste rozwiązania przyniosły cokolwiek oprócz zła? Odpowiedź znajdujemy tylko w złożoności. Ludzie poprzez złożoność brną ku prawości; to powolny i nieporadny marsz, ale zarazem jedyna droga. Prostota wymaga zbyt wielkich ofiar. Zawsze tak było.

- Tak - dodał Mariusz. - Właśnie. Prostota i brutalność są jednym i tym samym w myśli i w czynie. Twoja propozycja jest brutalna!

- Czy nie ma w was pokory? - zapytała. - Nie ma w was chęci zrozumienia? Jesteście wszyscy tak dumni, tak aroganccy. Chcecie, aby wasz świat pozostał taki sam, tego bowiem żąda wasza chciwość!

- Nie - odparł Mariusz.

- Co takiego uczyniłam, że zawzięliście się na mnie? - zapytała ostro. Popatrzyła na mnie, na Mariusza, wreszcie na Maharet. - Od Lestata oczekiwałam arogancji, banalów i retoryki, nie sprawdzonych idei. Jednak po was spodziewałam się więcej. Och, jakże mnie zawiedliście. Jak możecie odwracać się od

przeznaczenia? Wy, którzy możecie być zbawcami! Jak możecie zaprzeczać temu, co widzieliście?

- Ludzie nie chcą wiedzieć, jacy naprawdę jesteśmy - powiedział Santino. - A kiedy się dowiedzą, powstana przeciwko nam. Zaprzęgną niesmiertelnej krwi.

- Nawet kobiety chcą żyć wiecznie - stwierdziła chłodno Maharet. - Nawet kobiety zabiłyby za to.

- Akaszo, to szalenstwo - dodał Mariusz. - To niewykonalne. Nie stawic oporu to nie do pomyslenia dla zachodniego świata.

Oblicze Akaszy pociemniało z gniewu, lecz nawet ogarnięta furia nie przestała być piękna.

- Zawsze mi się sprzeciwiałas! - powiedziała do Maharet. - Zniszczyłabym cię, gdybym mogła. Unicestwiłabym tych, których kochasz.

Zapadła głęboka cisza. Wyczuwałem lek zebranych, chociaż nikt nie osmielił się poruszyć ani odezwać.

- To ty jesteś arogancka - odparła Maharet, lekko się uśmiechając. - To ty nie nauczyłaś się niczego. To ty nie zmieniłaś się przez sześć tysięcy lat. Twoja dusza wciąż jest prymitywna, podczas gdy śmiertelnicy podążyli do królestw, do których ty nigdy nie dotrzesz. W swojej izolacji sniłaś, jak śnią tysiące śmiertelnych, wolna od wszelkich sprawdzianów i wyzwań. Teraz wylaniaś się ze swojego milczenia, gotowa urzeczywistnić te sny dla świata. Przynosisz je tu, do tego stołu, do garstki bratnich stworzeń, a one się rozwiewają. Nie potrafisz ich obronić. Jak ktokolwiek mógłby je obronić? I ty mówisz nam, że nie przyjmujemy do wiadomości tego, co widzimy!

Powoli uniosła się z krzesła. Lekko pochyliła się do przodu, opierając palce na drewnianym blacie.

- No cóż, powiem ci, co widzimy - kontynuowała. - Sześć tysięcy lat temu, kiedy ludzie wierzyli w duchy, wydarzył się pewien przerażający i nieodwracalny wypadek; był tak okropny jak potwory, które od czasu do czasu rodzą się wśród śmiertelnych, a których natura nie może scierpieć. Ale ty, kurczowo trzymająca się życia, swoich przekonań i królewskich prerogatyw, za nic nie chciałaś przyznać się do pomyłki i jej naprawić. Twoim celem było i jest jej usankcjonowanie, rozwinięcie wielkiej, doskonałej religii. Cóż, w końcu to był wypadek, wypaczenie i nic poza tym. Pomyśl o epokach, które minęły od tamtej mrocznej i złej chwili, pomyśl o innych religiach opartych na czarach, na jakimś objawieniu lub głosie z chmur, opartych na interwencji nadprzyrodzonego, na opowieściach o cudach lub o zmartwychwstaniu śmiertelnego człowieka! Popatrz na efekt twoich religii, które za sprawą irracjonalnych roszczeń zmiotły miliony. Popatrz, do czego one doprowadziły w historii ludzkości. Popatrz na wojny prowadzone w ich imieniu, na przesładowania i masakry. Popatrz choćby na zniewolenie umysłu. Pomyśl o cenie wiary i ślepego zapalu.

A ty opowiadasz nam o dzieciach umierających w krajach Wschodu w imię Allacha, wśród trzaskających karabinów i spadających bomb! Ta wojna, o której mówiłaś, kiedy to jeden mały europejski naród usiłował dokonać eksterminacji innego... W imię jakiej wielkiej duchowej wizji nowego świata to robiono? I co świat z tego zapamiętał? Obozy śmierci, piece, w których spalano tysiące trupów. Idee przepadły!

Byłoby nam trudno zdecydować, co gorsze: religia czy czysta idea. Interwencja nadprzyrodzonego czy eleganckie, proste, abstrakcyjne rozwiązanie! Jedno i drugie skapało świat we krwi, jedno i drugie powaliło ludzi na kolana. Czy nie rozumiesz? To nie człowiek jest wrogiem gatunku ludzkiego, lecz irracjonalność; dusza oddzielona od ciała, od nauki, jaka może udzielić jedno bijące serce lub jedna krwawiąca żyła.

Oskarżasz nas o chciwość. Ach, ona jest naszym zbawieniem, bo dzięki niej wiemy, czym jesteśmy, znamy nasze ograniczenia i grzechy. Ty nigdy nie poznałaś swoich. Jesteś gotowa zacząć to wszystko na nowo, prawda? Wprowadzisz nową religię, zesłesz nowe objawienia, nową falę zabobonów, ofiar i śmierci.

- Kłamiesz - powiedziała Akasza, ledwo tłumiac furie. - Zdradzasz właśnie to piękno, o którym marzę, zdradzasz je, bo brak ci wizji, brak ci marzeń.

- Piękno jest tam, za oknem! - zawołała Maharet. - Nie zasługuje na twoją przemoc! Jesteś tak bezlitosna, że niszczenie życia nic dla ciebie nie znaczy! Zawsze tak było!

Napiecie stało się nie do zniesienia. Cały byłem zły potem i wszędzie wokół widziałem panikę. Tylko młody Daniel wydawał się bez reszty zachwycony. Armand wpatrywał się w Akasze, jakby to wszystko przekraczało jego zdolność pojmowania.

Akasza pasowała się ze sobą w milczeniu. Ponownie odzyskała pewność siebie.

- Kłamiesz, jak zawsze - rzekła z rozpaczną determinacją. - To bez znaczenia, czy będziesz walczyć po mojej stronie. Zrobię to, co zamierzam; przywróce tamten moment sprzed tysięcy lat i odkupię go, to dawne zło, które ty i twoja siostra sprowadziłyście do naszej krainy. Przywróce go i pokaże światu, że stanie się Betlejem nowej ery, a pokój wreszcie zapanuje na ziemi. Nie było nigdy takiego wielkiego dobra, aby nie trzeba było za nie zapłacić ofiarą i odwagą. A jeśli wy wszyscy obrócić się przeciwko mnie, jeśli wszyscy stawicie mi opór, to stworzę potrzebnych mi aniołów z lepszej gliny.

- Nie, nie zrobisz tego - powiedziała Maharet.

- Akaszo, proszę - rzekł Mariusz. - Daj nam czas. Zgódź się tylko zaczekać, rozważyc. Przecież nic nie musi stać się w tej chwili.

- Właśnie - powiedziałem. - Potrzebujemy trochę czasu. Wyjdźmy stąd razem... ty, ja i Mariusz... poza sny i wizje, wyjdźmy na świat.

- Och, jakże mnie obrazasz i lekceważysz - szepnęła. Jej gniew był zwrócony przeciwko Mariuszowi, ale niebawem miał zwrócić się przeciwko niej.

- Jest tak wiele rzeczy, tak wiele miejsc, które chce ci pokazać! Daj nam tylko szansę. Akaszo, przez dwa tysiące lat opiekowałem się tobą, chronilem cię...

- Chroniłeś samego siebie! Chroniłeś źródło swojej mocy, źródło swojego zła!

- Błagam cię - rzekł Mariusz. - Przyjść do ciebie na kolanach. Tylko miesiąc, żeby pójść ze mną, porozmawiać wspólnie, zbadać wszystkie dowody...

- Jacy mali, jacy egoistyczni - szepnęła Akasza. - Przecież macie dług wobec świata, który uczynił was tym, kim jesteście, dług, któremu oddalibyście teraz swoją moc, by przeistoczyć się z diabłów w bogów!

Wtedy spojrzała na mnie. Gniew coraz wyraźniej rysował się na jej twarzy.

- A ty, mój księżu, który wszedłeś do mojej komnaty, jakbym była Śpiąca Królowa, który przywróciłeś mi do życia namietnymi pocałunkami, zastanowisz się jeszcze? Przez wzgląd na moją

miłosc? - Lzy znów stanęły jej w oczach. - Czy też musisz łączyć się z nimi przeciwko mnie? - Ujęła w dłoń moją twarz. - Jak możesz mnie zdradzać? Jak możesz zdradzić taki sen? To gnusne istoty, oszukawcze, pełne złej woli, ale twoje serce jest czyste. Masz odwagę wykraczającą poza pragmatyzm. Ty też masz swoje marzenia!

Nie musiałem odpowiadać. Ona wiedziała. Być może wiedziała to lepiej niż ja. A ja w jej czarnych oczach ujrzałem tylko cierpienie. Ból, niezrozumienie i tęsknotę za mną, która już czuła.

Nagle wydawało się, że nie może się poruszyć ani odezwać. Nie mogłem uczynić nic, by uratować ich oraz siebie. Kochałem ją, ale nie mogłem stanąć u jej boku! Błagałem ją bez słów, aby zrozumiała i wybaczyła.

Jej twarz zamarła, prawie tak, jakby tamte głosy ją pochłonęły. Czuję się tak jak wtedy, gdy stałem przed jej tronem, a ona wpiła we mnie swe spojrzenie.

- Zabije ciebie pierwszego, mój księżu - zapowiedziała, łagodnie pieszcząc palcami moją twarz. - Chcę, żebyś przepadł na zawsze. Nie chcę już nigdy ujrzeć zdrady w twojej twarzy.

- Jeśli go skrzywdzisz - szepnęła Maharet - ruszymy przeciwko tobie jak jeden mąż i jedna niewiasta.

- Ruszycie przeciwko samym sobie! Kiedy skończę z tym, którego kocham, zabije tych, których ty kochasz, a którzy już powinni być martwi. Wymorduje wszystkich. A kto unicestwi mnie?

- Akaszo - szepnął Mariusz. Wstał i ruszył ku niej, ale w mgnieniu oka powaliła go na podłogę. Upadł z krzykiem. Santino pośpieszył mu z pomocą.

Znów popatrzyła na mnie. Zaciśnęła mi dłoń na ramionach, łagodnie, z miłością, jak poprzednio. Przez lzy zobaczyłem jej smutny uśmiech.

- Mój księżu, mój piękny księżu.

Khayman wstał od stołu. Za nim Eryk i Mael, a potem młodzież i na końcu Pandora, która też przeszła na stronę Mariusza.

Akaszka powstała. Noc była tak cicha, że wydawało się, iż las wzdycha za oknem. Oto, do czego doprowadziłem. Myślałem o tym drobnym, migotliwym fragmencie swojego życia, o małych triumfach, małych tragediach, marzeniach o obudzeniu bogini, o dobroci, o sławie.

Czym była zajęta? Czy oceniała ich potęgę? Patrzyła na nich po kolei, a potem na mnie. Była tu obca istota spoglądająca w dół z jakiejś niebotycznej wysokości. A więc nadchodzi ogień, Lestacie. Nie waz się popatrzeć na Gabriele czy Louisa, żeby ona nie podążyła za twoim wzrokiem. Umrzyj pierwszy, jak tchórz, bo wtedy nie będziesz musiał patrzeć na ich umieranie. Najgorsze jest to, że nie dowiesz się, kto w końcu wygra - czy ona zatriumfuje, czy też nie, czy przepadniemy wszyscy. Nie dowiesz się, o co w tym wszystkim chodzi. Co, do diabła, znaczył sen o bliźniaczkach? Jak powstał cały ten świat? Po prostu nigdy się tego nie dowiesz.

Plakałem i ona też płakała; znów była tamta czuła, wrażliwa istota, którą obejmowałem na San Domingo. Ta słabość wcale jej nie zabijała, lecz na pewno unicestwi mnie.

- Lestacie... - szepnęła jakby z niedowierzaniem.

- Nie moge isc za toba - powiedzialem lamiacym sie glosem. - Nie jestesmy aniolami, Akaszo; nie jestesmy bogami. Wiekszosc z nas przede wszystkim pragnie byc ludzmi. To czlowiek stal sie dla nas mitem.

Jej widok sprawial mi rozdzierajacy ból. Pomyslalem o jej krwi plynacej we mnie i o mocach, jakie mi dala. O wspólnej podróży w chmurach i o euforii w haitanskiej wiosce, kiedy kobiety przyszly z plonacymi swieczkami, spiewajac hymny.

- Alez to wlasnie nastapi, mój ukochany - szepnela. - Znajdz w sobie odwage! Masz ja. - Krwawe lzy plynely jej po twarzy. Jej usta drzaly, a gladka skóre na czole pociely idealnie proste zmarszczki sygnalizujace kompletne zalamanie.

Nagle wyprostowala sie, odrywajac ode mnie wzrok. Jej twarz stala sie bez wyrazu i znów nieskazitelnie gladka. Patrzyła ponad naszymi glowami i poczułem, ze zbiera sily, zeby to zrobic, i ze lepiej, by inni szybko wzeli sie do roboty. Pragnalem, zeby jak najszybciej wbili w nia sztylet, i czulem lzy splywajace mi po twarzy.

Stalo sie cos innego. Nie wiadomo skad dolatywal potezny, lagodny dzwiek. Pekalo szklo, masa szkla. Daniel i Jesse zaczeli okazywac podniecenie, a starsi zamarli, wsluchani w odglosy pekajacego szkla. Ktos wchodzil do domu przez jedne z monumentalnych drzwi.

Cofnela sie o krok, ozywiona, jakby miala wizje. Basowy dzwiek wypelnil klatke schodowa za otwartymi drzwiami. Ktos byl juz w dolnym przejsci. Odsunela sie od stolu w kierunku paleniska. Byla smiertelnie wystraszona.

Czy to mozliwe? Czy wiedziala, kto sie zbliza? Czy bala sie, ze przybysz moze dokonac tego, do czego ci nieliczni nie byli zdolni?

Nie, ona juz nie prowadzila takich rozwazan; opuscila ja wszelka odwaga, zostala pokonana, gdyz nie znalazla bratniej duszy, zostala pokonana przez samotnosc! Zaczelo sie od mojego oporu, a oni pogleбили jej stan, po czym zadalem jej jeszcze jeden cios. Teraz zostala sparalizowana przez to glosne echo, przez nieokreslony dzwiek. Wiedziala, kto sie zbliza. Wszyscy to wiedzielismy.

Dzwiek byl coraz silniejszy. Gosc wchodzil po schodach. Swietlik i stare, zelazne pylony wibrowaly przy kazdym ciezkim kroku.

- Kto to jest?! - Nie moglem tego dluzej wytrzymac. Znów ujrzalem obraz, tamten obraz trupa matki i blizniaczek.

- Akaszo! - powiedzial Mariusz. - Daj nam czas, o który prosimy. Wyrzeknij sie tej chwili. To dosc!

- Dosc mimo czego?! - krzyknela ostro, niemal dziko.

- Mimo naszego zycia, Akaszo - powiedzial. - Mimo calego naszego zycia!

Khayman rozesmial sie cicho, ten Khayman, który nie odezwal sie nawet raz.

Kroki rozlegly sie na podescie.

Maharet stala przy otwartych drzwiach, a obok niej Mael. Nawet nie zauwazyłem, kiedy tam podeszli.

Wtedy ja ujrzałem. To te kobiety widziałem, jak przedzierała się przez dżungle, wygrzebywała się spod ziemi, pokonywała długie kilometry nagiej równiny. Druga bliźniaczka ze snów, których nigdy nie rozumiałem! Stała w słabym blasku świetlika, patrząc na Akasze, stojąca jakieś dziesięć metrów przed nią na tle panoramicznego okna i płonącego ognia.

Och, ale przedstawiała sobą widok. Wszystkim zaparło dech w piersiach. Nawet jej włosy były pokryte cienką warstwą ziemi. Bloto - popekane, luszczące się, ze smugami po deszczu - wciąż przylegało do nagich ramion i stóp, jakby była z niego stworzona, jakby była stworzona z ziemi. Z przypominającej maskę twarzy spoglądały bezwiednie oczy w czerwonych obwódkach. Miała na sobie lachman, brudny, porwany koc związany w talii konopnym sznurem.

Jaki impuls sprawił, że się okryła, jaka ludzka delikatność kazała temu żywemu trupowi zatrzymać się i sporządzić sobie to proste odzienie, jakie cierpiące resztki ludzkiego serca?

Wpatrzona w nią Maharet nagle opuściły wszelkie siły, jakby miała pasc na podłogę.

- Mekare! - szepnęła.

Kobieta nie widziała jej ani nie słyszała; wpatrywała się w Akasze oczami błyszczącymi nieustraszona, zwierzęca przebiegłością. Królowa stanęła za stołem, szukając sobie osłony; jej oblicze stwardniało, a z oczu wyjrzała nieskrywana nienawisc.

- Mekare! - krzyknęła Maharet, gwałtownie wyciągając dłonie i usiłując złapać kobietę za ramiona i odwrócić ku sobie.

Prawa ręka kobiety wystrzeliła w bok, odrzucając Maharet daleko w głąb sali, aż pod okno.

Wielka szklana tafla zawibrowała, ale się nie rozbila. Maharet niezdarnie dotknęła jej palcami, a potem z kocia zwinnością rzuciła się w ramiona Eryka, który pospieszył jej z pomocą i instynktownie odciągnął do drzwi. Kobieta z niezmierną siłą odepchnęła stół. Gabriela i Louis szybko schronili się w jednym kącie, a Santino i Armand w przeciwnym, z Maelem, Erykiem i Maharet. Pozostali mogli się tylko cofnąć, a Jesse przesunęła się do drzwi.

Kobieta stała teraz obok Khaymana. Ze zdumieniem ujrzałem na jego twarzy lekki gorzki uśmiech.

- Oto kłątwa, moja królowo - rzekł ostrym głosem, który wypełnił cały pokój.

Kobieta zastygła, słysząc jego słowa, ale się nie odwróciła. Akasza, oświetlona migotliwym światłem paleniska, zadrzała i lzy znów popłynęły jej po policzkach.

- Wszyscy jesteście przeciwko mnie, wszyscy! - powiedziała. - Nikt nie stanie u mego boku! - Popatrzyła na mnie, gdy kobieta ruszyła w jej kierunku.

Jej zablokowane stopy człapały po dywanie, usta miała szeroko otwarte, a dłonie lekko uniesione. Cała jej postawa świadczyła o poczuciu ogromnego zagrożenia. Wtedy znów odezwał się Khayman. Wolał w nieznaną mowę, coraz głośniejszą, aż jego głos przeszedł w ryk. Zrozumiałem tylko skrawki słów.

- Królowo Potępionych... w godzinie największego zagrożenia... powstanie, żeby cię zatrzymać...

Zrozumiałem. To było proroctwo i kłątwa Mekare. Wszyscy obecni o tym wiedzieli, rozumieli, co się stało. To miało związek z tamtym dziwnym, niewytłumaczalnym snem.

- Och, nie, moje dzieci! - wrzasnęła nagle Akasza. - To jeszcze nie koniec!

Czulem, jak zbiera siły; widziałem, jak jej ciało teżeje, jak wypina piers i unosi dłonie z zagiętymi palcami. Uderzyła kobietę, która cofnęła się nieco, ale natychmiast stawiała opór. Także się wyprostowała i z wyciągniętymi rękami rzuciła się ku Akaszy. Stało się to tak szybko, że nie zdołałem podążyć za nią wzrokiem.

Oblepione błotem palce pomknęły ku Akaszy i czarne włosy królowej zasłoniły jej oblicze. Wydała straszliwy krzyk, a potem wykreśliła głowę, uderzając nią o zachodnie okno i roztrzaskując je. Szkło przysnęło w dół kaskada wielkich sztyletów.

Doznałem wstrząsu. Nie mogłem oddychać ani się poruszyć. Osunąłem się na podłogę, tracąc władzę w rękach i nogach. Bezgłowe ciało Akaszy walilo się w dół w chmurze odłamków z rozbitego okna. Krew płynęła po szkle. Kobieta dzierżyła w dłoni odcięta głowę Akaszy! Czarne oczy królowej zamrugwały i zamarły. Usta rozwarły się jakby do kolejnego krzyku.

Potem wszędzie zaczęło gasnąć światło; było to tak, jakby ogień wygasł, a mimo to plonął dalej. Kiedy toczyłem się po dywanie, krzycząc i bezwiednie chwytając go palcami, zobaczyłem przez ciemnoróżową mgłę dalekie płomienie. Próbowałem się unieść. Na próżno. Słyszałem bezgłosne wołanie Mariusza wzywającego moje imię.

Kiedy uniosłem się na obolałych dłoniach i ramionach, zobaczyłem utkwione we mnie oczy Akaszy. Jej głowa leżała niemal w zasięgu moich rąk. Z kikuta szyi chlupała krew. Nagle jej prawe ramię zadygotało konwulsyjnie, uniosło się, opadło z powrotem na podłogę i znów się dzwignęło. Bezwładna dłoń sięgała po głowę!

Mogłem jej pomóc! Mogłem użyć mocy danych mi przez nią, żeby poruszyć ciało i pomóc mu dotrzeć do głowy. W słabym świetle ujrzałem, jak ciało zatoczyło się, zadrzało i opadło niedaleko głowy.

Jednak bliźniaczki były bliżej! Były tuż obok głowy i ciała. Mekare tepo wpatrywała się w nie tymi nieobecnyimi, obwiedzionymi na czerwono oczami. Maharet, jakby łapiąc ostatni oddech, ukleknęła obok siostry nad ciałem Matki. W sali było coraz ciemniej i chłodniej, a twarz Akaszy bladła, jakby gasło wewnątrz niej wszelkie światło.

Powinienem się bac, powinienem czuć grozę, drzałem i dusiłem się od leż. Opanowało mnie jednak przedziwne podniecenie; nagle pojąłem, co widzę.

- To sen - rzekłem. Własny głos dochodził do mnie z daleka. - Widzicie, oto bliźniaczki i ciało Matki! Obraz ze snu!

Krew z głowy Akaszy wsaczała się w dywan; Maharet opadła na podłogę, podpierając się dłońmi, a Mekare też osłabła i pochyliła się nad ciałem, ale to był wciąż ten sam obraz. Wiedziałem, dlaczego go teraz widzę, wiedziałem, co on znaczy!

- Święta stypa! - krzyknął Mariusz. - Serce i mózg, jedna z was... niech je wchłonie. To jedyna szansa.

Tak, to było to. I one o tym wiedziały! Nikt nie musiał im mówić. Wiedziały! Taki był sens snu! Oni wszyscy o tym wiedzieli. Zdałem sobie z tego sprawę, gdy moje oczy się zamykały, gdy pogłębiło się to cudowne wrażenie, to poczucie pełni, czegoś wreszcie zakończonego, czegoś znanego.

Unosiłem się w zupełnej ciemności, jakbym był w ramionach Akaszy, jakbysmy wznosili się do gwiazd. Ouczył mnie głosny trzask. Nie umarłem jeszcze, ale umieram. Gdzie są ci, których kocham?

Nadal walczyć o życie, próbowałem otworzyć oczy, ale wydawało się to niemożliwe. Wtedy ujrzałem je w gestniejącym mroku. Ich rude włosy oświetlał mglisty poblask ognia; jedna trzymała w pokrytych błotem palcach mózg, druga - ociekające krwią serce. Były prawie martwe, miały szkliste oczy, poruszały się wolno, jakby były w wodzie. Akasza nadal wpatrywała się przed siebie z otwartymi ustami, z pękniętej czaszki buchała krew. Mekare uniosła mózg do ust, a Maharet położyła serce na jej drugiej dłoni; Mekare wchłonęła jedno i drugie.

Znowu ciemność; żadnego światła paleniska; żadnego punktu odniesienia; tylko ból, ból przenikający to coś, czym byłem, co nie miało końca, oczu, ust. Ból pulsujący, elektryzujący. W żaden sposób nie mogłem go odepchnąć, walczyć, wtopić się w niego. Czysty ból.

Ruszałem się jednak. Miotalem się po podłodze. Mimo bólu poczułem dywan; czułem, jak wbijam się w niego stopami, jakbym wspinał się na strome zbocze. A potem usłyszałem trzask ognia, poczułem wiatr wiejący przez otwarte okno, wchłonąłem wszystkie słodkie zapachy lasu wpadające do sali. Przeszył mnie gwałtowny wstrząs, ramiona i nogi zadygotały bezwładnie. Potem znieruchomiałem. Ból ustąpił.

Leżałem, łapiąc ustami powietrze, wpatrując się w roziskrzone odbicie ognia w szklanym suficie, czułem, jak płuca napelniają się powietrzem, i zdałem sobie sprawę, że płacze rozdzierająco jak dziecko.

Blizniaczki kleczały odwrócone do nas plecami, objęte ramionami, głowa przy głowie. Ich włosy spleły się, a one pieszczyły się nawzajem łagodnie i czule, jakby porozumiewały się tylko dotykiem.

Nie potrafiłem zdusić łkania. Odwróciłem się, zakryłem twarz dłońmi i po prostu zanosilem się płaczem. Mariusz był blisko mnie. Gabriela także. Chciałem wziąć ją w ramiona. Chciałem powiedzieć to wszystko, co powinienem - że jest już po wszystkim, że przetrwalimy - ale nie mogłem.

Powoli odwróciłem się i jeszcze raz popatrzyłem na twarz Akaszy. Pozostała nie zmieniona, błada i przezroczysta jak szkło! Nawet jej oczy, jej piękne, atramentowo czarne oczy stawały się przezroczyste, jakby były całkowicie pozbawione barwy; jakby dawniej całe były z krwi. Włosy, miękkie i jedwabiste, rozścieliły się pod policzkiem, zaschła krew był lśniaca i rubinowo-czerwona.

Nie mogłem powstrzymać się od płaczu. Nie chciałem. Otworzyłem usta, żeby wypowiedzieć jej imię, i słowo zamarło na wargach. Nie powinienem teraz tego robić. Nigdy nie powinienem. Nie powinienem być wspinać się po tamtych marmurowych stopniach i całować jej twarz w sanktuarium.

Wszyscy wracali do życia. Armand sciskał Daniela i Louisa, którzy wciąż nie mogli utrzymać się na nogach. Pojawił się Khayman z Jesse u boku. Pozostali również mieli się dobrze. Pandora drżała, płacz wykrzywił jej usta, stała ze skulonymi ramionami, jakby było jej zimno.

Powstały także blizniaczki. Maharet obejmowała Mekare, która wpatrywała się przed siebie wzrokiem pozbawionym wyrazu, jak żywy posąg. Wtedy Maharet rzekła:

- Patrzajcie. Oto Królowa Potępionych.

CZESC V

...Swiat na wieki wieków, amen

Niektóre stworzenia rozjasniają się z nadejściem nocy

i smutek w Rembrandta przemieniają.

Ale przeważnie pospiech czasu

to żart; z nas. Cma płomienista

nie może się śmiać. Co za szczęście.

Mity umarli.

...

Stan Rice „Wiersz o wczolgiwaniu się do łóżka; gorycz” z tomu „Tresc dzieła” (1983)

Miami. Miasto wampirów - wrzace, zatłoczone, piękne aż zapiera dech. Tygiel, bazar, arena. Stracenci i chciwi sprzegli się tu w podstępnych konszachtach, tu niebo należy do wszystkich, a plaża ciągnie się w nieskończoność; światła miasta zaciemniają niebo, a morze jest ciepłe jak krew.

Miami. Teren radosnych polowań czartha. To dlatego jesteśmy tutaj, w białej willi Armanda na Nocnej Wyspie, otoczeni wszelkimi możliwymi luksusami i bezbrzeżną południową nocą.

Tam, za wodą, czeka na nas Miami; czekają ofiary: alfonsi, złodzieje, królowie narkotyków i mordercy. Bezimienni; tak wielu równie złych jak ja.

Armand z Mariuszem oddalili się o wschodzie słońca; teraz wrócili i Armand z Santinem grają w salonie w szachy, Mariusz jest pochłonięty swoim ulubionym zajęciem, czyta, usadowiłszy się wygodnie w skórzanym fotelu przy oknie wychodzącym na plażę.

Gabriela nie pojawiła się tego wieczoru, od wyjazdu Jesse często bywa samotna.

Khayman siedzi w gabinecie na dole, rozmawiając z Danielem, który z lubością głoduje, ostrzec sobie apetyt, i chce wiedzieć wszystko o tym, jak to było w starożytnym Milecie, Atenach, Troi. Och, w Troi

przede wszystkim. Ja sam jestem nią zaintrygowany.

Lubie Daniela. Może wyjdzie ze mną później, jeśli zdobędzie się na opuszczenie wyspy, co zrobiłem tylko raz od przybycia. Daniel potrafi śmiać się ze ścieżki, jaką księżyc znaczy na wodzie, lub z ciepłego wodnego pyłu na swojej twarzy. Dla niego wszystko - nawet jej śmierć - jest widowiskiem. Nie można mieć o to do niego pretensji.

Pandora prawie wcale nie odchodzi od telewizora. Mariusz sprawił jej szykowne, nowoczesne ciuchy - satynowe bluzki, wysokie do kolan buty, welwetowe rozcinane spódnice. Nakłada jej bransolety na ramiona i pierścionki na palce, a każdego wieczora czesze jej długie, kasztanowe włosy. Czasem daje jej drobne prezenty, na przykład flakonik perfum, ale jeśli sam ich nie otwiera, leża nie tknięte na stole. Podobnie jak Armand, Pandora wpatruje się bez końca w filmy wideo. Czasem zasiada do fortepianu w pokoju muzycznym i przez krótki czas cicho gra.

Podoba mi się jej gra. Idealnie spokojne wariacje przypominały „Die Kunst der Fuge”. Jednak martwił mnie jej stan. Pozostali ozdrowieli po tym, co zaszło, szybciej, niż mogłem się spodziewać. Ona doznała ciosu, który nadważył jej żywotną część, jeszcze zanim to wszystko się wydarzyło.

Jednakże podobało się jej tu; wiedziałem. Jak mogłoby jej się nie podobać? Wszystkim nam się tu podoba. Nawet Gabrieli.

Białe pokoje pełne wspaniałych persów i intrygujących obrazów - Matisse, Monet, Picasso, Giotto, Gericault. Można by poświęcić sto lat na oglądanie tych dzieł. Armand nieustannie zmienia je, przewiesza, przynosi z piwnicy nowe skarby, wstawia to tu, to tam małe szkice.

Jesse też strasznie się tu podobało, chociaż już wyjechała na spotkanie z Maharet w Rangunie. Przed wyjazdem zjawiała się w moim gabinecie i opowiadała mi swoją wersję zdarzeń, nie ukrywając niczego i prosząc o zmianę nazwisk oraz całkowite pominięcie Talamaski, czego oczywiście nie uczyniłem. Słuchałem w milczeniu, przeczesując jej umysł w poszukiwaniu opuszczanych fragmentów. Następnie przelałem to w komputer, podczas gdy ona przypatrywała się, zamysłona, wpatrzona w ciemnopopielate atlasowe strony, wenecki zegar i zimne kolory Morandiego na ścianie.

Chyba wiedziała, że nie spełni jej prośb. Wiedziała też, że jest to pozbawione znaczenia. Niepodobna, by ktokolwiek uwierzył w istnienie Talamaski - podobnie jak w nasze - pod warunkiem, że nie będzie to Aaron, który kiedyś zadzwonił do Jesse.

Jeśli chodzi o Wielką Rodzinę, to cóż, niepodobna, by jakiś jej członek uznał te książki za coś więcej niż wymysł pisarza doprawiony szczyptą prawdy.

Tak powszechnie osadzono „Wywiad z wampirem” i moją autobiografię. Tego samego należało się więc spodziewać w przypadku „Królowej potępionych”. Tak właśnie powinno być. Nawet ja się z tym zgadzam. Maharet miała rację. Nie ma dla nas miejsca; nie ma miejsca dla Boga ani diabła; niech nadprzyrodzone będzie tylko metafora, bez względu na to, czy mamy do czynienia z sumą w katedrze Świętego Patryka czy z operowym Faustem sprzedającym dusze, czy też z gwiazdą rocka udająca wampira.

* * *

Nikt nie wie, dokąd Maharet zabrala Mekare. Zapewne nawet Eryk tego nie wiedział, chociaż wyjechał

z nimi, obiecując spotkać się z Jesse w Rangunie.

Przed opuszczeniem warowni w Sonomie Maharet zaskoczyła mnie, szepnawszy:

- Niczego nie ukrywaj, kiedy będziesz opowiadał legendę o bliźniaczkach.

To było chyba przyzwolenie, prawda? A może ogromna obojętność. Nie jestem pewien. Nie zwierzałem się nikomu, że pisze książki, te kroniki uwiedzenia i bólu. Poswiecałem jej długie godziny posepnych, bolesnych rozmyślań, rozważając rzecz samotnie w kategoriach rozdziałów, konstrukcji, szlaków przez tajemnice.

Tamtego ostatniego wieczoru Maharet wyglądała światowo, niemniej jednak tajemniczo. Spotkała się ze mną w lesie, przyodziana w czerni z modnym makijażem - zreżna maska z kosmetyków, przemieniająca ją w ponętą śmiertelniczkę, która w prawdziwym świecie napotkać mogły tylko admirujące spojrzenia. Miała niewiarygodnie wąską talię i długie dłonie podkreślone ciasnymi czarnymi rękawiczkami. Niezwykle ostrożnie omijała paprocie i watle drzewka, ona, która mogła usuwać pnie zalegające jej drogę.

Była w San Francisco z Jessica i Gabriela; opowiadała, jak chodziły wąskimi czystymi chodnikami pełnymi ludzi i mijaly wesoło oświetlone domy. Jakże precyzyjny i oszczędny był jej język, jakże niewymuszenie nowoczesny; zupełnie jakby nie była kobietą, której czas się nie imal, a która po raz pierwszy ujrzałem w sali w wierzchołku góry.

Czemu znowu jesteś sam? - zapytała, siadając przy mnie nad małym strumykiem, wijącym się przez gestwiny sekwoi. Czemu nie rozmawiam z innymi, chociaż trochę? Czy wiem, jak bardzo zależało im na mnie i jaka obawa napawała ich mój los?

Wciąż zadają mi te pytania. Nawet Gabriela, która zasadniczo nie zwraca nikomu głowy i nigdy nie rozwodzi się nad niczym. Chciał wiedzieć, kiedy wrócę do zdrowia, kiedy zamierzam opowiedzieć, co się stało, kiedy przestane pisać po całych nocach.

Maharet zapowiedziała, że niebawem znów się spotkamy. Wiosną być może zaprosi nas do swego domu w Burmie. A może zaskoczy nas któregoś wieczoru. Najważniejsze jest jednak to, że nigdy już nie mieliśmy być od siebie odizolowani, posiedliśmy bowiem środki, by się wzajemnie odnajdywać, choćbyśmy włóczyli się nie wiedząc gdzie. Tak, przynajmniej co do tego zasadniczego punktu wszyscy się zgodzili. Nawet Gabriela, samotna wędrowniczka. Nikt nie chciał już zagubić się w czasie.

A Mekare? Czy zobaczymy ją jeszcze? Czy kiedyś usiądzie z nami przy stole? Przemówi do nas językiem gestów i znaków?

Tylko raz ukazała się moim oczom po tamtej straszliwej nocy. Było to zupełnie nieoczekiwane. Wracałem przez las do warowni w łagodnym purpurowym blasku przedświt. Mgła pelzała po ziemi, rzedła nad paprociami i rzadko rozrzuconymi dzikimi kwiatami, bledła całkowicie w górze i znikając. Za jej sprawą gigantyczne pnie świeciły pozornie własnym światłem. Bliźniaczki objęte ramionami szły przez te mgły, wzdłuż koryta strumienia wijącego się między kamieniami; Mekare była w długiej welnianej szacie, równie pięknej jak szata siostry. Włosy, wyszczołkowane i lśniące, opadały jej na ramiona i piersi.

Maharet chyba mówiła coś Mekare do ucha. Nagle Mekare zatrzymała się, by na mnie spojrzeć. Jej zielone oczy rozszerzyły się, a pozbawiona wyrazu twarz w jednej chwili stała się nie wiedzieć czemu przerazająca, przez co smutek smagał mi serce jak palący wiatr. Stałem zauroczony, patrząc na nią, na

nie obie; ból dusił mnie, jakby płuca mi wysychały.

Nie wiem, o czym myślałem; ogarnął mnie ból nie do wytrzymania. Maharet pozdrowiła mnie drobnym, czułym gestem, dając do zrozumienia, że powinienem iść dalej. Nadchodził ranek. Las budził się wokół i nasze cenne chwile uciekały. Ból wreszcie ucichł, opuścił mnie niczym jęk, a ja, odwróciwszy się, zostawiłem go za sobą.

Zerknałem jeszcze raz na dwie postaci oddalające się ku wschodowi, w dół pomarszczonej, srebrnej strugi, jakby nikt nie wstrząsnął szumem wody płynącej nieznużenie pomiędzy rozrzuconymi głazami.

Stary obraz ze snu zatarł się trochę. Kiedy o nim myślę, nie widzę świętej stypy, lecz właśnie te chwile, dwie sylfidy w lesie. Kilka nocy później Maharet opuściła warownię w Sonomie, zabierając ze sobą Mekare.

Byłem zadowolony z ich wyjazdu, znaczyło to bowiem, że i my niebawem wyjedziemy. Nie martwiło mnie, że nigdy więcej nie ujrzę tego domu ani jego okolic. Pobyt tam był dla mnie meką, a pierwsze noce po katastrofie okazały się najgorsze.

Wymowne milczenie innych niezwykle szybko ustąpiło miejsca nie kończącym się analizom, interpretacjom tego, co widzieli i czuli. Jak przeniosło się owo coś? Czy porzuciło tkanki rozszarpywanego mózgu i pomknęło krwiobiegami Mekare, aż natrafiło na bliźniaczy organ? Czy zjedzenie serca miało w ogóle jakieś znaczenie?

Molekularny, nukleoniczny, solitony, protoplazma - efektowne, nowoczesne słówka! Dajcie spokój, jesteśmy wampirami! Rozkoszujemy się krwią żywych, zabijamy i uwielbiamy zabijac, bez względu na to, czy jest nam to potrzebne czy nie.

Nie mogłem znieść tych rozmówek, nie mogłem wytrzymać ich bezsłownej, niemniej jednak obsesyjnej ciekawości: „Jak to z nią było? Co robicie przez te kilka nocy?” A zarazem nie mogłem się od nich oderwać; z pewnością brakowało mi siły woli, by odejść; dygotałem, kiedy byłem z nimi; dygotałem, kiedy byłem sam.

Las był dla mnie zbyt płytki; włóczyłem się kilometrami przez mamucie sekwoje, a potem między karłowatymi debami i po otwartych polach, by powrócić w wilgotny, zwarty drzewostan. Nie dało się uciec od ich głosów. Louis wyznawał, że stracił świadomość podczas tamtych okropnych chwil, Daniel powiedział, że słyszał nasze wołania, lecz niczego nie widział, Jesse, w ramionach Khaymana, był świadkiem wszystkiego.

Jak często rozważali fakt, że Mekare pokonała swojego wroga na ludzki sposób; że nic nie wiedząc o niewidzialnych mocach, zadała cios na ludzka modłę, ale z nieludzka szybkością i siłą.

Czy coś z niej przetrwało w Mekare? Nie przestawiałem tego roztrząsać. Mniejsza już o „poezję nauki”, jak nazwała to Maharet. Chciałem to wiedzieć, a także to, czy jej dusza uwolniła się wreszcie, kiedy wydarło jej mózg.

Czasem budziłem się w tamtej mrocznej, przypominającej plaster miodu piwnicy obitej blachą, podzielonej na niezliczone, pozbawione indywidualnych cech komory, pewien, że spoczywa tuż przy mnie, nie dalej niż centymetry od mojej twarzy. Znowu czułem jej włosy, ucisk jej ramion, widziałem czarny blask jej oczu. Macałem w ciemności; nic, tylko wilgotny ceglany mur.

Leżałem i myślałem o biednej Malej Jenks, która ona mi pokazała, unosząca się wirowym ruchem w

górze. Widziałem różnokolorowe światła otulające Mala Jenks, kiedy po raz ostatni patrzyła z wysokości na ziemię. Jak ten biedny dzieciak zakochany w motocyklach mógłby wymyślić taką wizję? Może w końcu - naprawdę wracamy do domu? Skąd możemy to wiedzieć.

Tak więc pozostajemy nieśmiertelni, wystraszeni, zakotwiczeni w tym, co potrafimy kontrolować. Wszystko zaczyna się na nowo; koło idzie w ruch; jesteśmy niedościgłymi wampirami, bo nie ma innych; stworzył się nowy sabat.

* * *

Opuszcziliśmy warownie w Sonomie jak cyganski tabor. Procesja lśniących czarnych samochodów z zabójczą prędkością przemierzała nocą idealne szosy Ameryki. Właśnie podczas tej długiej jazdy opowiedzieli mi wszystko - spontanicznie, a czasem niechętnie, kiedy rozmawiali ze sobą. Wszystko, co się wydarzyło, było jak mozaika. Nawet kiedy drzemałem na niebieskiej aksamitnej tapicerce, słyszałem ich, widziałem to, co oni widzieli wcześniej.

W dół, do bagiennej krainy południowej Florydy, w dół, do wielkiego dekadentckiego Miami, parodii nieba i piekła zarazem.

Bezwzględnie zamknąłem się w tym małym, ze smakiem urządzonym apartamencie. Sofy, dywan, blade pastelowe malunki Piera Della Francesca, komputer na stole, muzyka Vivaldiego płynąca z głośniczków ukrytych w wytapetowanych ścianach. Prywatne schody do piwnicy, gdzie w wyłożonej stała krypcie czekała trumna: czarny lakier, mosiężne uchwyty, zapalka i ogarek, wysciółka ozdobiona białą koronką.

Zadza krwi, przeraźliwie bolesna, choć krew jest zbyt cenna, niemniej jednak tej zadzy nie można się oprzeć. Tak będzie po wieczność; pragnienie krwi nigdy nie ustąpi. Jest nawet większe niż poprzednio.

Kiedy nie pisałem, kładłem się na szarym brokatowym dywanie, obserwowałem wielkie liście palm i słuchałem głosów z dołu. Louis z całą uprzejmością błagał Jesse, by jeszcze raz opisała mu zjawę Klaudii. A troskliwa Jesse mówiła mu konfidencyjnie:

- Ależ, Louisie, to nie było naprawdę.

Teraz, po wyjeździe Jesse, Gabriela tęskni; dawniej godzinami spacerowały razem po plaży. Chyba nie zamieniły nawet słowa; ale czy można być tego pewnym?

Gabriela coraz częściej sprawiała mi małe radości. Nosila luźno rozpuszczone włosy, bo wie, że takie uwielbiam, i zaglądała do mnie nad ranem. Czasem rzuca mi niespokojne, sondujące spojrzenia.

- Chcesz się stąd wynieść, prawda? - pytam z niepokojem.

- Nie - zaprzecza. - Tu mi się podoba. To miejsce mi odpowiada. - Kiedy nie może znaleźć sobie miejsca, udaje się na pobliskie wyspy. Lubi je, ale nie o nich chce mówić. Coś innego leży jej na sercu i raz prawie to wyraziła.

- Powiedz mi... - przerwała.

- Czy ja kochałem? - zapytałem. - To chciałaś wiedzieć? Tak, kochałem ją.

Wciaz nie potrafie wypowiedziec jej imienia.

* * *

Mael wyjezdza i wraca.

Nie bylo go tydzien; wlasnie wrócił i siedzi na dole, usilujac wciagnac Khaymana do rozmowy. Khayman fascynuje wszystkich. Pierwsze Plemie. Cala tamta moc. Pomyslec, ze chodzil ulicami Troi.

Jego widok jest zawsze zaskakujacy, jesli mozna tak powiedziec.

Zadaje sobie wiele trudu, by przybrac ludzki wyglad. W takim klimacie nie jest to latwe. Gruba odziez zwraca uwage. Czasem smaruje sie ciemna farba - palona siena zmieszana z niewielka iloscia wonnego olejku. Szpecenie takiej urody to czysta zbrodnia; lecz jak inaczej móglby przelizgiwac sie przez tłum ludzi?

Czasem puka do moich drzwi.

- Czy ty w ogóle wychodzisz? - pyta.

Rzuca okiem na stos kartek obok komputera, na czarne litery: Królowa Potepionych. Stoi, pozwalajac mi przesiewac swój umysl w poszukiwaniu wszystkich drobiazgów, na wpól zapomnianych chwil; nie dba o to. Chyba budze jego zdumienie, ale dlaczego, tego nie potrafie sobie wyobrazic. Czego chce ode mnie? Potem usmiecham sie tym wstrzasajaco swiatobliwym usmiechem.

Czasami bierze łódz - czarnego slizgacza Armanda - i dryfuje w zatoce, lezac i patrzac w gwiazdy. Raz Gabriela udala sie z nim i kusilo mnie, by pokonac te odleglosc i podslychac ich intymnej rozmowy. Nie zrobilem tego. Po prostu wydalo mi sie to nieuczciwe.

Czasami mówi, ze obawia sie utraty pamieci; ze nie zdola odnalezc drogi do domu, do nas. Jednak jesli nawet zdarzalo mu sie to w przeszlosci, to powodem byl ból; a teraz przeciez czuje sie szczesliwy. Chce, byśmy wiedzieli, jak bardzo jest szczesliwy z nami wszystkimi.

Wyglada na to, ze oni tam na dole osiagneli porozumienie - ze zawsze tu wróca, bez wzgledu na to, dokad sie udadza. To bedzie dom sabatowy, sanktuarium; nigdy juz nie stanie sie tym, czym byl wczesniej.

Ustalili wiele rzeczy. Nikt nie ma juz nikogo stwarzac i nikt nie ma juz pisac ksiazek, chociaz oczywiscie wiedza, ze wlasnie to robie, ze wyciagam od nich po cichu co tylko sie da i ze nie zamierzam zastosowac sie do zadnych zasad narzuconych mi przez kogokolwiek, jak nie stosowalem sie do nich w przeszlosci.

Czuja ulge, ze Wampir Lestat umarl na kartach gazet, ze pogrom na koncercie ulegl zapomnieniu. Zadnych udokumentowanych wypadków smiertelnych, zadnych powaznych uszkodzen ciala, wszyscy hojnie oplaceni. Kapela otrzymala moja zgode na wszystko i jest w trasie pod stara nazwa.

Zamieszki - krótka epoka cudów - również poszly w zapomnienie, chociaz raczej nie wygladalo na to, by kiedykolwiek udalo sie je satysfakcjonujaco wyjasnic.

Tak, zadnych wiecej objawien, zaklócen, interwencji; taka byla ich kolektywna przysiega. I uprzejmie

prosimy nie zostawiać trupów na widoku.

Wciąż wbijają do głowy roztrzępanemu Danielowi, że nawet w dzikiej, wielkomięjskiej dżungli, takiej jak Miami, trzeba zawsze uprzątnąć resztki posiłku.

Ach, Miami. Znowu je słyszę, odległy krzyk tak wielu zdesperowanych ludzi, dudnienie tych wszystkich machin, wielkich i małych. Wcześniej, kiedy leżałem jak kłoda na dywanie, pozwalałem tym odgłosom siebie opływać. Potrafiłem kierować swoją mocą; przesiewać i skupiać, wzmacniać cały chór różnych dźwięków. Jednakże pozbyłem się jej; nie umiałem wykorzystywać jej z przekonaniem, tak jak nie potrafiłem wykorzystać mojej nowej siły.

Uwielbiam bliskość tego miasta. Uwielbiam jego rozlazłość i wspaniałość, rudery hoteli i wielogwiazdkowe drapacze chmur, upalne wiatry, ohydne zepsucie.

Właśnie słuchałem tej niekończącej się muzyki miasta; tego basowego dudnienia.

- W takim razie dlaczego tam nie popłyniesz?

Mariusz.

Podniosłem głowę znad komputera. Powoli, żeby chociaż troszeczkę go podrażnić, chociaż był najbardziej cierpliwy spośród niesmiertelnych.

Stał na tarasie oparty o framugę drzwi, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i noga założona na nogę. Za nim błyszczały światła miasta. Czy w starożytnym świecie było coś takiego jak ten widok miasta gestego od wieżowców jarzących się ogniem niczym wąskie ruszty staromodnych kuchenek gazowych?

Włosy miał krótko przycięte. Był ubrany w prosty, niemniej jednak elegancki dwudziestowieczny garnitur: luźna marynarka z szarego jedwabiu i spodnie, a czerwonym akcentem (zawsze bowiem miał na sobie coś czerwonego) był ciemny, cienki golf.

- Chcę, żebyś odłożył książkę i dołączył do nas - powiedział. - Siedzisz tu zamknięty już ponad miesiąc.

- Czasem wychodzę. - Lubilem na niego patrzeć, podziwiać neonowy błękit jego oczu.

- Jaki jest cel tej książki? Czy zdradzisz mi chociaż tyle?

Nie odpowiedziałem. Naciskał trochę mocniej, chociaż całkiem uprzejmym tonem.

- Te piosenki i autobiografia, to nie dość?

Usiłowałem zrozumieć, dzięki czemu wygląda tak ujmująco. Może to te drobne zmarszczki, które ożywały wokół jego oczu, te kruche łapki, pojawiające się i znikające, kiedy mówił. Widok jego wielkich oczu był niezwykły.

Skierowałem wzrok na monitor. Miałem przed sobą elektroniczny wizerunek języka. Niebawem miałem skończyć. Oni wszyscy o tym wiedzieli. To dlatego z własnej woli podawali tak dużo informacji; pukali, przychodzili, mówili, a potem wychodzili.

- Po co o tym mówić? - spytałem. - Chcę stworzyć zapis tego, co się wydarzyło. Wiedziałeś o tym, kiedy opowiadałeś mi, jak to było z tobą.

- Tak, ale dla kogo jest ten zapis?

Pomyślałem o wszystkich fanach na widowni, o życiu na świeczniku, a potem o tamtych upiornych chwilach u jej boku, kiedy byłem bogiem bez imienia. Nagle zrobiło mi się zimno, mimo pieszczącego ciepła i powiewu idącego od wody. Czy miała rację, nazywając nas samolubnymi i chciwymi, mówiąc, że chcąc zachowania świata bez zmian dowodzi egoizmu z naszej strony?

- Znasz odpowiedź na to pytanie - rzekł. Podszedł trochę bliżej i położył rękę na oparciu mojego krzesła.

- To było głupie marzenie, prawda? - To pytanie sprawiało ból. - Nigdy nie daloby się go zrealizować, nawet gdybyśmy ogłosili ją boginią i słuchali każdego jej rozkazu?

- To było szalenstwo - powiedział. - Powstrzymano by ją; zniszczono.

Milczałem.

- Świat jej nie chciał - dodał. - Oto, czego nie mogła nigdy pojąć.

- Myślałem, że jednak wiedziała. Nie było dla niej miejsca, nie było sposobu, by świat uznał jej wartość i by stała się w jego oczach tym, za kogo się uważała. Zrozumiała to, kiedy popatrzyła w moje oczy i zobaczyła w nich mur, którego nigdy nie mogłaby obalić. Była ostrożna. Wybierała miejscowości tak prymitywne i niezmienną jak ona sama.

- A zatem, znasz odpowiedź na swoje pytania. Dlaczego więc wciąż je zadajesz? Czemu zamykasz się w sobie ze swoim smutkiem?

Nie odpowiedziałem. Znowu ujrzałem jej oczy. „Dlaczego nie możesz we mnie uwierzyć?”

- Przebaczyłeś mi wszystko? - spytałem.

- Nie można cię winić - rzekł. - Ona czekała, słuchała. Wcześniej czy później coś poruszyłoby w niej wole. Takie niebezpieczeństwo istniało zawsze. Tak naprawdę to, że się obudziła, było zarówno przypadkiem, jak i początkiem. - Westchnął. Znowu usłyszałem w jego głosie gorycz, taką jak w pierwszej nocy po tamtym, kiedy też był pełen smutku. - Zawsze wiedziałem o niebezpieczeństwie - zamruczał. - Może chciałem wierzyć, że jest boginią. Dopóki się nie obudziła. Dopóki się do mnie nie odezwała. Dopóki się nie uśmiechnęła.

Znowu był nieobecny. Myślał o tamtej chwili, zanim runął łódź i przyszpilił go bezbronnego na tak długo. Odsunął się powoli, z wahaniem, a potem wyszedł na taras i spojrzał na plażę. Jakże swobodnie się poruszał. Czy starożytni tak samo opierali łokcie na kamiennej balustradzie?

Wyszedłem za nim. Patrzyłem na drugi brzeg wielkiej wodnej przepaści, na rozmigotane odbicie miejskiego horyzontu.

- Czy wiesz, jak to jest, nie nosić tamtego ciężaru? - szepnął. - Po raz pierwszy wiedzieć, że jestem wolny?

Nie odpowiedziałem. Bez wątpliwości dzieliłem jego odczucia. Niemniej jednak lekłem się o niego, lekłem się, że być może tam była jego kotwica, jak Wielka Rodzina była kotwicą Maharet.

- Nie - odpowiedział szybko, potrzasając głową. - To jest jak cofnięcie klatwy. Budzę się i myślę, że muszę zejść na dół do sanktuarium, muszę zapalić kadzidło, przynieść kwiaty, muszę stanąć przed nimi i mówić do nich, muszę starać się ich pocieszyć, jeśli cierpią. Potem zdaje sobie sprawę, że to już się skończyło. Mogę iść, dokąd chce, i robić, co chce. - Przerwał, zamyslił się, znów popatrzył na światła. - A co z tobą? Czemu ty nie możesz iść, dokąd chcesz? Chciałbym cię zrozumieć.

- Rozumiesz. Zawsze rozumiałeś. - Wzruszyłem ramionami.

- Ploniesz niezadowolaniem. A my nie możemy cię pocieszyć. Potrzeba ci ich miłości. - Wskazał nieznacznym gestem na miasto.

- Pocieszacie mnie - odparłem. - Wszyscy. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym was opuścić, w każdym razie nie na długo. Ale wiesz, kiedy byłem na tamtej scenie w San Francisco... - Nie skończyłem. Po co miałbym o tym mówić. To było spełnienie moich największych marzeń, dopóki nie porwała mnie wielka traba powietrzna.

- Mimo że nigdy ci nie wierzyli? - spytał. - Myśleli, że jesteś zrezygnowanym estradowcem? Magnesem dla tłumów, jak to mówią?

- Znali moje imię! - odparłem. - To mój głos słyszeli. To mnie widzieli nad światłami rampy.

- Tak więc to po to ta książka, „Królowa potępionych” - pokiwał głową.

Nie odpowiedziałem.

- Zejdź do nas. Pozwól nam dotrzymać ci towarzysztwa. Opowiedz nam, co się wydarzyło.

- Widzieliście, co się wydarzyło.

Poczułem jego lekkie zmieszanie, ciekawość, której nie chciał okazać. Nadal mi się przyglądał.

Pomyślałem o Gabrieli, o tym, jak chciała zadać mi pytanie i ugryzła się w język. Wtedy zrozumiałem. Co za głupiec ze mnie, że nie pojąłem tego wcześniej. Chcieli wiedzieć, jakie moce mi przekazała; chcieli wiedzieć, w jakim stopniu jej krew wpłynęła na mnie. A ja trzymałem te sekrety dla siebie, wraz z obrazem trupów rozrzuconych po świątyni Azima, wraz ze wspomnieniem ekstazy towarzyszącej mordowaniu każdego człowieka, który stanął na mojej drodze. A temu wszystkiemu towarzyszyło jeszcze jedno straszne wspomnienie: chwila jej śmierci, kiedy nie użyłem otrzymanej mocy, aby jej pomóc!

Powróciły obsesyjne pytania. Czy widziała mnie leżącego tuż koło niej? Czy wiedziała o tym, że nie przyszedłem jej z pomocą? Czy też jej dusza uleciała, kiedy spadł pierwszy cios?

Mariusz przeniósł wzrok ponad wodę, na łódeczki mknące do portu. Myślał o tym, jak wiele wieków zabrakło mu zdobycie posiadanych mocy. Sama transfuzja krwi nie wystarczyła. Dopiero po tysiącu lat potrafił unieść się ku chmurom, jakby był jedną z nich, bez wiezów i obaw. Myślał o tym, jak bardzo niesmiertelni różnią się między sobą; o tym, że żaden z nich nie wie, jaka moc tkwi w drugim, i być może żaden nie wie, jaka moc tkwi w nim samym.

Był bardzo uprzejmy, ale jeszcze nie mogłem zaufać ani jemu, ani nikomu innemu.

- Sluchaj - powiedzialem. - Pozwól mi jeszcze na troche zaloby. Pozwól mi na tworzenie mrocznych obrazów i zapisywanie słów dla przyjaciół. Później zjawie sie miedzy wami, przylacze sie do was i moze zastosuje sie do zasad. Przynajmniej do niektórych, kto wie? A co zrobicie, jesli sie nie zastosuje, i czy nie pytalem cie juz o to wczesniej?

- Istny potwór z ciebie! - szepnal wyraznie zaskoczony. - Przywodzisz mi na mysl Aleksandra Wielkiego z tej starej anegdotki. Zaplakiwal sie, kiedy zabraklo mu krajów do podbijania. Zapłaczesz sie, kiedy nie bedzie zasad, które mógłbys lamac?

- Ach, przeciez zawsze sa jakies zasady.

Rozesmial sie pod nosem.

- Spal te ksiazke.

- Nie.

Przez chwile patrzyliśmy na siebie, a potem usciskalem go, ciepło i mocno. Usmiechnalem sie. Nie wiedzialem, dlaczego to zrobilem. Byl taki cierpliwy i szczery i zaszla w nim jakas gleboka zmiana, podobnie jak w nas wszystkich. Bylo w nim jednak - jak i we mnie - cos mrocznego i bolesnego.

Mialo to zwiazek z cala walka dobra ze zlem, która pojmul dokladnie tak samo jak ja. To on przed laty nauczyl mnie kryteriów. To on powiedzial, ze po wiecznosc musimy walczyć z tymi pytaniami i ze proste rozwiazanie nie moze nas usatysfakcjonowac.

Usciskalem go tez dlatego, ze go kochalem, chcialem byc blisko niego i nie chcialem go teraz opuszczac, zlego na mnie lub zawiedzonego.

- Bedziesz sie trzymal zasad, prawda? - zapytal nagle. Grozba zmieszala sie z sarkazmem, a moze tez z odrobina uczucia.

- Oczywiscie! - Znów wzruszyłem ramionami. - Przypomnij mi je jednak, bo zapomnialem. Och, nie tworzymy nowych wampirów, nie oddalamy sie bez zawiadomienia, sprzatamy ofiary po wysaniu im krwi.

- Jestes czartem, Lestacie, masz pojecie? Jestes lobuzem.

- Pozwól, ze zadam ci pytanie - powiedzialem. Zwinalem dlon w piesc i lekko stuknalem go w ramie. - Ten twój obraz, „Kuszenie Amadeo”, ten z krypty Talamaski...

- Tak?

- Nie chcialbys go odzyskac?

- Na bogów, nie. To straszna rzecz, naprawde. Mój czarny okres, mozna by rzec. Ale chcialbym, zeby wyciagneli go z tej cholernej piwnicy. Wiesz, do frontowego holu. Do jakiegos przyzwoitego miejsca.

Rozesmialem sie, a on nagle spowaznial. Stal sie podejrzliwy.

- Lestacie! - rzekl ostro.

- Tak, Mariuszu.

- Zostawisz Talamaske w spokoju!

- Oczywiście! - Kolejne wzruszenie ramionami. Kolejny uśmiech. Czemu nie?

- Mówie poważnie, Lestacie. Najpoważniej. Nie wsadzaj nosa w sprawy Talamaski. Rozumiemy się, prawda?

- Mariuszu, ciebie niesłychanie łatwo zrozumieć. Słyszales? Zegar wybija północ. O tej porze zawsze udaje się na małą przechadzkę po Nocnej Wyspie. Masz ochotę się dołączyć?

Nie czekałem na odpowiedź. Wychodząc, usłyszałem jedno z tych jego uroczych, wyrozumiałych westchnień.

Północ. Nocna Wyspa śpiewała. Szedłem zatłoczona galeria. Dzinsowa kurtka, biały podkoszulek, połowa twarzy zakryta wielkimi ciemnymi okularami, dłonie wsunięte w kieszenie dzinsów. Przypatrywałem się zachłannym tłumom wpadającym przez otwarte drzwi, bacznie obserwującym stosy lśniących toreb, jedwabne koszule w plastikowych opakowaniach, szczupłego, czarnego manekina w norkach.

Obok rozmigotanej fontanny, wśród tanecznych pióropuszy miriadów kropli, przysiadła na ławce skulona staruszka trzymająca w drżacej ręce dymiaczy kubeczek kawy. Trudno jej było podnieść go do ust; gdy się uśmiechnąłem, przechodząc obok niej, powiedziała trzesącym się głosem:

- Kiedy jesteś stary, wcale nie potrzebujesz snu.

Z baru rozbrzmiewała cicha, przyciągająca muzyka. Młode byczki walesały się po wypożyczalni wideo; znów zadza krwi! Ochryply hałas i migotania wypożyczalni ustaly, kiedy odwróciłem głowę. Przez drzwi francuskiej restauracji dostrzegłem szybki, uwodzicielski ruch kobiety unoszącej kieliszek szampana i usłyszałem stłumiony wybuch śmiechu. Kino było pełne czarno-białych gigantów mówiących po francusku.

Minęła mnie młoda kobieta; ciemna karnacja, rozłożyste biodra, lekko wydęte usta. Zadza, krwi była coraz silniejsza. Poszedłem dalej, zapędzając ją do klatki. Nie potrzebujesz krwi - powiedziałem sobie w myślach. - Jesteś teraz tak silny jak starsi. - Wciąż ją czułem. Usiadła na kamiennej ławce, nagie kolana sterczały z ciasnej, krótkiej sukienki. Utkwiła we mnie oczy.

Och, Mariusz miał rację, miał rację we wszystkim. Plonałem niezadowolonym, plonałem samotnością. Chciałem poderwać kobietę z tej ławki, wykrzyknąć: „Wiesz, kim jestem?!” Nie, nie myśl o tym, nie wywabiaj jej stąd, nie rób tego, nie zabieraj jej na biały piasek, daleko poza światła galerii, gdzie skały są niebezpieczne i fale rozbijają się gwałtownie w zatoczce.

Myslałem o tym, co ona powiedziała o nas, o naszym egoizmie, naszej chciwości! Poczulem smak krwi na języku. Ktoś niedługo umrze, jeśli będę się ociągał...

Koniec korytarza. Włożyłem klucz w stalowe drzwi między sklepem z chińskimi dywanami wyrabianymi przez małe dziewczynki a trafiką, której właściciel spał wśród holenderskich fajek, zasłoniwszy twarz gazetą.

Milczącym korytarzem ruszyłem prosto w trzewia Willi. Jedno z nich grało na fortepianie. Słuchałem przez długą chwilę. Pandora. Muzyka jak zawsze miała mroczny, słodki posmak, ale był to nie kończący się początek - temat wiecznie sięgał zwyciężenia, które nigdy nie następowało.

Wszedłem na górę do salonu. Ach, można było zgadnąć, że to dom wampirów; ktoś inny mieszkałby przy świetle gwiazd i w blasku z rzadka rozstawionych świec? Świetność marmurów i aksamitów, a za oknem nigdy nie gasnąca luna Miami.

Armand nadal grał w szachy z Khaymanem i przegrywał. Daniel leżał ze słuchawkami na uszach i słuchał Bacha, od czasu do czasu spoglądając na czarno-białą szachownicę, by ocenić sytuację.

Na tarasie stała Gabriela, patrzyła w wodę, zatkanawszy kciuki w tylne kieszenie spodni. Była samotna. Podszedłem do niej, ucałowałem w policzek i popatrzyłem w oczy; a kiedy w końcu zdobyłem jej niechety uśmiech, który był mi tak potrzebny, odwróciłem się i wolno wróciłem do środka.

Mariusz w czarnym skórzanym fotelu czytał gazetę, składając ją niczym dzentelmen w prywatnym klubie.

- Louis wyjechał - powiedział, nie podnosząc wzroku znad gazety.

- Co to znaczy „wyjechał”? - spytałem.

- Do Nowego Orleanu - rzekł Armand wpatrzony w szachownicę. - Do twojego dawnego mieszkania, tego, w którym Jesse widziała Klaudie.

- Samolot czeka - rzucił Mariusz, nadal zatopiony w gazecie.

- Mój kierowca może podwieźć cię na lotnisko - dopowiedział Armand, wciąż skupiony na grze.

- O co wam chodzi? Skąd ta wasza chęć do pomocy? Czemu miałbym lecieć po Louisa?

- Sądzę, że powinieneś sięgnąć go z powrotem - powiedział Mariusz. - Nie powinien przebywać w tym starym mieszkaniu w Nowym Orleanie.

- Mógłbyś się ruszyć i coś zrobić - powiedział Armand. - Zbyt długo już tutaj tkwisz.

- Ach, rozumiem, co za sabat się tu szykuje: rady ze wszystkich stron i wszyscy obserwują się nawzajem kątem oka. A czemu pozwoliliście Louisowi lecieć do Nowego Orleanu? Nie mogliście go zatrzymać?

W Nowym Orleanie wylądowałem o drugiej. Limuzynę zostawiłem na Jackson Square.

Jakie to wszystko było czyste; nowe kocięta i lancuchy na bramie, wyobraźcie sobie, żeby pijaczki nie mogły spać na skwerku, jak robiły to dwadzieścia lat temu. Turysci tłoczyli się na Café du Monde, gdzie mieściły się nadbrzeżne tawerny. urocze, niespokojne lokale, w których nie dało się nie zapłować, a kobiety dorównywały twardości mężczyznom.

Strasznie mi się tam teraz podobało i chyba zawsze tak będzie. Barwy jakos się zachowały i nawet w tym przeklętym zimnym styczniu czuło się niezmienną atmosferę tropików. Miało to jakiś dziwny związek

z płaskimi ulicami, niskimi budynkami, zawsze ruchomym niebem i pochyłymi dachami lśniącymi teraz od kropel lodowatego deszczu.

Z wolna oddalilem się od rzeki, pozwalając wspomnieniom unieść się z chodników; słuchałem ciężkiej, metalicznej muzyki z Rue Bourbon, a potem zawróciłem w spokojny, wilgotny mrok Rue Royale. Ile razy szedłem tą drogą, wracając znad nadbrzeży, opery czy teatru, ile razy zatrzymywałem się dokładnie w tym miejscu, żeby wsunąć klucz w bramę powozową? Ach, ten dom. w którym przeżyłem okres równy ludzkiemu życiu, dom, w którym dwa razy mało nie umarłem.

Ktoś był na górze, w moim starym mieszkaniu. Stapał lekko, a jednak słyszałem trzask klepek. Parterowy sklepik był czysty i ciemny. Za zakratowanymi oknami jak zawsze porcelanowe figurynki, lalki, koronkowe wachlarze. Podniosłem wzrok ku balkonowi z kuta w żelazie balustrada; wyobraziłem sobie tam Klaudie, unosząca się na palcach, patrząca na mnie i zaciskająca małe palce na poręczy. Złote włosy opadają na ramiona, pyszni się długa, fioletowa szarfa. Moja niesmiertelna szesćioletnia piękność. „Lestacie, gdzie się podziewałeś?” To właśnie robił, nieprawdaz? Wyobrażał sobie takie rzeczy.

W ciszy slychac bylo tylko wlaczone telewizory za zielonymi okiennicami i starymi scianami zaroslými bluszczem, glosy zachryple od bourbona: zazarta klótnie mezczyzny i kobiety w glebi domu po drugiej stronie ulicy.

W pobliżu nie było nikogo; tylko świecące bruki, zamknięte sklepy i wielkie niezgrabne samochody stojące przy krawężniku. Deszcz padał bez końca na skosne dachy.

Nikogo, kto by mnie ujrzał, jak cofam się, a potem jednym kocim susem, w starym stylu, sięgam balkonu i spadam cicho na deski. Zerkałem przez brudne szyby francuskich drzwi.

Pustka, podrapane ściany, takie, jakie zostawiła Jesse. Okno zabite deska, jakby ktoś kiedyś usiłował się włamać i został przyłapany; won spalonego drewna zachowana przez te wszystkie lata.

Cicho oderwałem deskę, ale po drugiej stronie był zamek. Czy użyć nowej mocy? Czy zdolam go otworzyć? Czemu myśl o niej, myśl, że w tamtym ostatnim krótkim momencie mogłem jej pomóc, sprawiała mi tyle bólu; myśl, iż mogłem pomóc głowie i ciału zejść się razem, chociaż zamierzała mnie unicestwić, chociaż nie wezwiała mojego imienia.

Popatrzyłem na mały zamek. Obróć się, otwórz - rozkazałem w myślach. Drobnny spazm w mózgu. Stare drzwi wyskoczyły z wypaczonej ościeżnicy, zawiasy jęknęły, jakby wessane od środka.

Był w korytarzu, patrzył przez drzwi pokoju Klaudii.

Kurtkę miał być może trochę krótsza, mniej obszerna niż tamte stare surduty, ale tak bardzo przypominał siebie z poprzedniego stulecia, że mój ból pogłębił się nieznosnie. Przez chwilę nie mogłem się ruszyć. Równie dobrze on mógł być duchem. Miał długie, czarne włosy, gesty i rozwichrzone, jak zawsze w dawnych czasach, a zielone oczy były pełne melancholijnej zadumy.

To idealne dopasowanie do starego kontekstu z pewnością nie było zamierzone. Niemniej jednak był duchem. Był w tym mieszkaniu, w którym Jesse się wystraszyła, w którym pochwyciła stara lodowata atmosfera na zawsze obecna w mojej pamięci.

Tutaj stuknęło szesćdziesiąt lat piekielnej rodzinie. Szesćdziesiąt lat życia Louisa, Klaudii i Lestata.

Czy gdybym się postarał, usłyszałbym klawesyn? - Klaudia gra swojego Haydna, ptaki śpiewają,

ponieważ ten dźwięk zawsze je podniecał, a muzyka wibruje w kryształowych wisiorach zwisających z malowanych abazurów olejnych lamp i w przeszkadzajkach wiszących przy tylnym wyjściu przed kreconymi żelaznymi schodami.

Klaudia. Twarz z medalionu lub z portreciku na porcelanie trzymanego razem z puklem włosów w szufladzie. Jakże nienawidziłaby tego wizerunku, tak niemiłego wizerunku. Klaudia, która zatopiła mi nóż w sercu, obróciła go i patrzyła, jak krew ścieka mi po koszuli. „Umrzyj, ojcze. Położę cie do twojej trumny”.

„Najpierw zabije ciebie, mój księżu”.

Ujrzałem małe śmiertelne dziecko leżące w brudnych pieluchach; poczułem won choroby. Ujrzałem czarnooką królową, nieruchomą na tronie. Całowałem obie te Śpiące Królowy! „Klaudio, Klaudio, obudź się, Klaudio... Tak jest, kochanie, musisz pic, żeby wyzdrowieć”.

„Akaszo!”

Ktoś mnie potrząsał.

- Lestacie - usłyszałem.

Zamet.

- Ach, Louisie, wybac mi. - Czarny, zaniedbany korytarz. Zadygotałem. - Jestem tu, bo bardzo martwiłem się... o ciebie.

- Niepotrzebnie - rzekł taktownie. - To była tylko mała pielgrzymka, którą musiałem odbyć.

Pogladziłem go po twarzy, jakże cieplej od krwi ofiary.

- Jej tutaj nie ma, Louisie - powiedziałem. - Jesse się myliła.

- Tak, na to wygląda.

- My żyjemy wiecznie, ale oni nie powracają.

Przyglądał mi się przez długą chwilę, po czym skinął głową.

- Chodź - powiedział.

Poszliśmy długim korytarzem; nie, nie podobało mi się to wszystko, chciałem stamtąd wyjść. Było to nawiedzone miejsce, ale prawdziwe nawiedzenie to nie zagrożenie przez duchy. To groźba, która wysnuwa się z naszej pamięci. Tu był mój pokój, mój pokój.

Silował się z tylnymi drzwiami, starając się poruszyć stare, zniszczone przez wilgoc skrzydło. Gestem wskazałem mu, żeby wyszedł na werandę, i wtedy pchnąłem je z całej siły. Wypaczyły się.

Jakim smutkiem napawał widok zarosniętego dziedzinca, zrujnowanej fontanny, sypiającej się starej, ceglanej kuchni i cegieł zamieniających się z powrotem w ziemię.

- Jeśli chcesz, doprowadzę to wszystko do porządku, żebyś był zadowolony - powiedziałem mu. -

Wiesz, żeby było jak przedtem.

- Teraz to nieważne - odparł. - Przejdziesz się ze mną trochę?

Oddaliliśmy się kryta droga dla powozów. Gdy się obejrzałem, ujrzałem ją stojącą w białej sukience z niebieską szarfą. Nie patrzyła na mnie. Myślała, że jestem martwy, owinięty w przescieradła, które Louis wcisnął do powozu. Zabierała moje szczatki, by mnie pochować, ale wciąż tam stała i nasze oczy się spotkały.

Poczułem jego szarpnięcie.

- Nie powinniśmy być tu dłużej.

Zamknął porządnie bramy; a potem bardzo powoli jeszcze raz przesunął wzrokiem po oknach, balkonach i wysokich okienkach poddasza. Czy zegnał się z tym wszystkim? Może nie.

Ruszyliśmy razem Rue Ste. Anne, oddalając się od rzeki. Szliśmy w milczeniu, jak zdarzało się nam wiele razy przedtem. Zimno szczypało go trochę w dłonie. Nie lubił wkładać ich do kieszeni, jak robili to współczesni mężczyźni. Uważał to za nieeleganckie.

Deszcz przeszedł w mżawkę.

- Wystraszyłeś mnie trochę - powiedział w końcu. - Kiedy zobaczyłem cię w korytarzu, wydałeś mi się nierealny, a kiedy zwołałem po imieniu, nie odpowiadałeś.

- Dokąd idziemy? - spytałem. Zapiałem kurtkę, nie dlatego, że czułem zimno, ale dlatego, że lubiłem czuć ciepło.

- Jeszcze w jedno miejsce, a potem gdzie sobie zyczysz. Chyba z powrotem do domu sabatowego. Nie mamy wiele czasu. A może zostawiłbyś mnie, żebym poblakał się swoimi ścieżkami? Wróć za kilka nocy.

- Nie moglibyśmy powrócić się razem?

- Oczywiście - rzekł skwapliwie.

Czego, na Boga, chciałem? Spacerowaliśmy, patrząc na stare werandy i solidne okiennice, na ściany, z których odpadał tynk. Mineliśmy upiorne światła Rue Bourbon, a potem zobaczyłem w oddali grube, bielone mury cmentarza pod wezwaniem św. Ludwika.

Czego ja chciałem? Czemu moja dusza była wciąż obolała, podczas gdy wszyscy osiągnęli jakąś równowagę? Nawet Louis; a przecież mieliśmy siebie nawzajem, jak powiedział Mariusz.

Byłem szczęśliwy, idąc z nim tymi starymi ulicami; ale czemu mi to nie wystarczało?

Jeszcze jedna brama do otwarcia. Przyglądałem się, jak wylamuje zamek palcami, a potem weszliśmy do małego miasta białych grobów ze szpiczastymi daszkami, urnami, marmurowymi wejściami i wysoka trawa chrząszcząca pod stopami. Deszcz dodawał blasku każdej płaszczyźnie, a światła miasta wydobywały perłowy połysk z chmur wedrujących cicho nad naszymi głowami.

Próbowałem dojrzec gwiazdy, ale mi się nie udało. Kiedy opuściłem wzrok, zobaczyłem Klaudie;

poczulem dotyk jej reki.

Znów spojrzalem na Louisa i gdy zobaczyłem, że jego oczy tona w dalekich, zamglonych swiatlach, zwinalem sie z bólu. Pogladzilem go po twarzy. Był taki wspaniały.

- Blogoslawniona ciemnosc! - powiedzialem nagle. - Blogoslawniona ciemnosc znów przybyła.

- Tak - rzekl smutno - i panujemy w niej jak zawsze.

Czy to nie mogloby wystarczyc?

Wzial mnie za reke - jaka teraz byla w dotyku? - i poprowadzil waskim przejsciem miedzy najstarszymi, najczigodniejszymi grobowcami; ich dzieje siegaly najstarszych czasów, kiedy to razem wlóczyliśmy sie po bagnach i zywiliśmy sie krwia robotników portowych i rzezimieszków.

Jego grób. Zdalem sobie sprawe, że patrze na jego nazwisko wyryte w marmurze wielkimi, staromodnie pochyłonymi literami.

Louis de Pointe du Lac

1766-1794

Wsparl sie o inny grobowiec, jedna ze swiatynek podobna do jego, z kolumnami wspierajacymi okap dachu.

- Chcialem tylko jeszcze raz go zobaczyc - powiedzial. Dotknal palcem liter.

Poblakly troche od deszczów i slonca, ale kurz i brud uwydatnily je, zaciemniajac kazda litere i cyfre. Czy myslal o tym, jaki byl swiat w tamtych latach?

Ja myslalem o jej marzeniach, jej ogrodzie pokoju, w którym kwiaty wyrastalyby z ziemi przesiaknietej krwia.

- Mozemy wracac do domu - rzekl.

Dom. Usmiechnalem sie. Dotknalem grobów po obu moich bokach, popatrzyłem na lagodna poswiate miasta na zmierzwionych chmurach.

- Nie zamierzasz nas opuscic, prawda? - zapytal nagle glosem pelnym niepokoju.

- Nie - powiedzialem. Zalowalem, że nie moze powiedziec o wszystkich rzeczach, które byly w ksiazce.
- Wiesz, bylismy kochankami, ona i ja, tak prawdziwymi, jak najprawdziwsi smiertelni kochankowie.

- Oczywiscie, że wiem.

Usmiechnalem sie. Pocalowalem go nagle, poruszony jego cieplem, lagodna miekkoscia jego prawie ludzkiej skóry. Boze, jakze nie cierpiałem bieli swoich palców, które moglyby skruszyc go bez zadnego

wysiłku. Ciekawe, czy to wyczuwał. Tak wiele chciałem mu powiedzieć, o tak wiele chciałem go zapytać, ale nie potrafiłem znaleźć odpowiednich słów ani zacząć rozmowy. On zawsze miał tak wiele pytań, a teraz znalazł odpowiedzi, być może lepiej, niż kiedykolwiek pragnął. Jaki wpływ miały na jego duszę? Wpatrywałem się w niego. Jaki był doskonały, gdy stał tak, oczekując uprzejmie i cierpliwie. Nagle wypaliłem jak głupiec:

- Kochasz mnie?

Uśmiechnął się. Och, serce pekało na widok jego twarzy, która nagle złagodniała i rozjaśniła się w uśmiechu.

- Tak.

- Masz ochotę na małą eskapadę? - Serce nagle zaczęło mi walić. To byłoby wspaniałe, gdybyśmy... - Masz ochotę złamać nowe zasady?

- O co ci chodzi? - szepnął.

Zacząłem się po cichu gorączkowo śmiać. Co to było za cudowne uczucie - śmiać się i obserwować subtelne zmiany na jego obliczu. Naprawdę się zmartwił. A ja nie wiedziałem, czy mi się to uda bez niej. A co, jeśli rune jak Ikar?...

- Och, rusz się, Louisie - powiedziałem. - To tylko mała eskapada. Obiecuję, tym razem żadnych planów co do cywilizacji zachodniej ani nawet zwracania uwagi dwóch milionów fanów muzyki rockowej. Myślę o czymś naprawdę skromnym. Czymś, hm... trochę psotnym. I całkiem eleganckim. Przecież przez ostatnie dwa miesiące byłem okropnie grzeczny, nieprawdaz?

- O czym ty mówisz?

- Jesteś ze mną czy nie?

Znow lekko potrząsnął głową, ale to nie było „nie”. Zastanawiał się, przeczesując palcami włosy. Jakie piękne, czarne włosy. To one właśnie zwróciły moją uwagę; a może to były jego zielone oczy? Nie, myślę sobie; to był wyraz twarzy: namietność, niewinność i delikatność sumienia. To mnie po prostu wzięło!

- Kiedy rozpoczyna się ta mała eskapada?

- W tej chwili - powiedziałem. - Masz cztery sekundy na podjęcie decyzji.

- Lestacie, jest prawie świt.

- Tutaj jest prawie świt.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Louisie, oddaj się w moje ręce. Słuchaj, jeśli mi się to nie uda, nie stanie ci się krzywda. No, nie tak straszna. Wchodzisz w to? Decyduj się. Chce wyruszyć.

Nie odzywał się ani słowem. Patrzył na mnie tak, że ledwo mogłem ustać w miejscu.

- Tak czy nie?

- Pewnie bede tego zalowal, ale...

- W takim razie zgoda. - Zacisnalem mocno dlonie na jego ramionach i podnioslem go w góre. Patrzyl na mnie oslupialy. Zrobilem to tak, jakby nic nie wazyl. Postawilem go na ziemi.

-*Mon Dieu* - wyszeptal.

Na co mialem czekac? Gdybym tego nie wypróbował, nigdy bym sie nie dowiedział. Powrócił mroczny, tepy ból; wspomnienie jej, nas wznoszących się razem. Pozwolilem tamtej chwili odpłynąć. Objąłem go w pasie. Teraz w górę - wydałem rozkaz w myślach. Podniosłem prawa reke, ale to było niepotrzebne. Wspinalismy się w górę szybciej niż wiatr.

Cmentarz wirował w dole, drobna rozciągnięta miniatura samego siebie z małymi plamkami bieli rozrzuconymi pod ciemnymi drzewami.

Słyszałem, jak zachłysnął się ze zdumienia.

- Lestacie!

- Obejmij mnie mocno za szyję - powiedziałem. - Oczywiście lecimy na zachód, a potem na północ, mamy do przebycia bardzo długa droga i może gdzieś się zatrzymamy. Tam, dokąd zmierzamy, słońce nie znajdzie przez jakiś czas.

Wiatr był lodowato zimny. Powinienem być przewidzieć, że Louis będzie z tego powodu cierpieć, ale nie po sobie nie pokazał. Wpatrywał się w górę, kiedy przesywaliśmy wielkie pokłady chmur jak śnieżne mgły.

Kiedy ujrzałem gwiazdy, poczułem, jak przytulił się do mnie mocniej. Jego twarz była idealnie gładka i rozanielona. Jeśli nawet lkał, to wiatr unosił jego głos. Wszelki strach, jaki uprzednio czułem, przepadł bez śladu. Był całkiem zagubiony; otaczała nas kupa niebios, a księżyc w pełni świecił na nieskonczone, gestniejące równiny bieli poniżej.

Nie było potrzeby mówić mu, co ma obserwować lub co zapamiętywać. Zawsze to wiedział. Całe lata temu, kiedy zastosowałem wobec niego mroczne czary, nie musiałem mu niczego mówić; sam rozsmakowywał się w najdrobniejszych szczegółach. A później twierdził, iż zaniechałem roli przewodnika. Czyżby nie wiedział, że było to niepotrzebne?

Teraz dryfowałem, mentalnie i fizycznie; czując go przytulonego, lecz pozbawionego ciężaru, jedynie jego czystą istotę, Louisa należącego do mnie i będącego ze mną. Żadnego ciężaru. Drobna część umysłu ustalałem kurs, tak jak ona mnie uczyła, i przy okazji wspominałem wiele rzeczy; na przykład nasze pierwsze spotkanie w nowoorleńskiej tawernie. Był wtedy pijany i kłótniwy. Wywabiałem go na dwór. W ostatniej chwili, kiedy osuwał mi się w ramiona, zamykając oczy, rzekł:

- Kim jesteś?!

Wiedziałem, że wróce po niego przed zachodem słońca, że znajde go, choćbym miał przeszukać całe miasto, chociaż zostawiłem go na wpół martwego na ulicznym bruku. Musiałem go mieć, musiałem. Tak samo jak musiałem mieć wszystko, czego zapragnąłem, i musiałem zrobić wszystko, co chciałem. Na tym polegał mój problem i nic, czego dzięki niej znalazłem - ani cierpienia, ani moc, ani groza - nie mogło tego zmienić.

* * *

Cztery mile do Londynu.

Godzina do zachodu słońca. Leżelismy na trawie, w chłodnym mroku pod debem. Z wielkiej rezydencji w środku parku dochodziło słabe światło. Małe, głęboko osadzone górnokowe okna wydawały się zatrzymywać wszystko w środku. Było tam przytulnie i zachęcająco. Półki zastawione książkami, migotanie ognia w wielu kominkach, dym buchający w zamgloną ciemność.

Od czasu do czasu jakiś samochód przesuwiał się kreta drogą za bramą frontową. Reflektory muskały królewską fasadę starego budynku, odsłaniając gargulce, ciężkie luki nad oknami i lśniące kolatki na masywnych drzwiach wejściowych. Zawsze lubiłem te stare, europejskie domostwa, zajmujące z bliska cały widnokrąg; nic dziwnego, że zapraszają duchy umarłych do powrotu.

Louis usiadł, rozejrzył się wokół, a potem z pośpiechem otrząsał kurtkę z trawy. Spał wiele godzin na pierś wiatru, można by rzec, w miejscach, gdzie odpoczywałem, czekając na obrót Ziemi.

- Gdzie jesteśmy? - szepnął z lekką nutką niepokoju.

- Macierzysty Dom Talamaski pod Londynem - rzekłem. Leżałem na plecach, z rękami pod głową. Światła na strychu. Światła w salonach na pierwszym piętrze. Zastanawiałem się, co będzie największą frajdą?

- Co my tu robimy?

- To eskapada, mówiłem ci.

- Zaczekał. Chyba nie zamierzasz tam wchodzić.

- Nie? Oni mają w piwnicy dziennik Klaudii i obraz Mariusza. Wiesz o tym, prawda? Jesse wam opowiedziała.

- Co zamierzasz? Włamać się i grzebac w piwnicy, aż znajdziesz, czego chcesz?

- Przecież to żadna frajda, no nie? - rozesmiałem się. - Raczej jakaś ponura harówka. Poza tym tak naprawdę nie chce tego dziennika. Niech go sobie mają. Należał do Klaudii. Chce porozmawiać z Dawidem Talbotem, ich przywódcą. Wiesz, to jedyni śmiertelni na świecie, którzy naprawdę w nas wierzą.

Ból ukusił mnie od wewnątrz. Nie zwracaj na niego uwagi. Zaczyna się ubaw.

Przez chwilę Louis był tak wstrząsnęty, że nie mógł odpowiedzieć. To było cudowniejsze, niż sobie wyobrazałem.

- Chyba nie mówisz poważnie - powiedział. Z każdym słowem był coraz bardziej oburzony. - Lestacie, zostaw tych ludzi w spokoju. Oni uważają Jesse za umarłą. Dostali list od jej krewniaczki.

- Tak, oczywiście. Nie będę zmieniał ich poglądów co do tej ponurej sprawy. Czemu miałbym to robić?

Ten człowiek, który przyszedł na koncert... Dawid Talbot, ten starszy z nich... on mnie fascynuje. Chciałbym się dowiedzieć... Ale po co o tym mówić. Czas zajrzeć do niego i się przekonać.

- Lestacie!

- Louisie! - Przedrzeźniałem jego ton. Wstałem i pociągnąłem go za rękę, nie dlatego że potrzebował pomocy, ale dlatego że przeszywał mnie płomiennym wzrokiem, opierał mi się i próbował znaleźć sposób, by mnie kontrolować, co było po prostu stratą czasu.

- Lestacie, Mariusz wpadnie w szal, kiedy się o tym dowie! - rzekł z całą szczerością. Rysy mu się wyostrzyły, a ciemnozielone, przenikliwe oczy gorzały cudownym ogniem. - Kardynałna zasada brzmi...

- Louisie, dzięki tobie cała ta sprawa nabiera nieodpartego uroku! - powiedziałem.

Wzjął mnie za ramię.

- Co z Maharet? To byli przyjaciele Jesse!

- A co ona może mi takiego zrobić? Posłaj Mekarę, żeby rozbila mi głowę jak skorupkę jajka!

- Jesteś naprawdę nie do wytrzymania! - powiedział. - Czy niczego się nie nauczyłeś?!

- Idziesz ze mną czy nie?

- Nie wejdiesz do tego domu!

- Widzisz tamto okno? - Objąłem go w pasie, aby nie mógł się ode mnie uwolnić. - W tym pokoju jest Dawid Talbot. Pisał w swoim dzienniku przez jakąś godzinę. Jest bardzo zaniepokojony. Nie rozumie, co się z nami stało. Wie, że zaszło coś dziwnego, ale nigdy nie zdoła dociec prawdy. A my wejdziemy do jego sypialni przez małe okienko po lewej stronie.

Zaprotestował tylko raz, bardzo słabo, a ja już skupiałem się na oknie, starając się wyobrazić sobie zamek. Ile metrów miałem do pokonania? Poczulem znany spazm i zobaczyłem, jak tam wysoko otwiera się prostokątne górnokształtne szkło. Louis też to ujrzał i wtedy wzmocniłem uścisk i poderwałem się w górę. W jednej chwili byliśmy w środku. Mała komnatka w elzbieciańskim stylu z ciemną boazerią, przyjemnymi stylowymi meblami i ogniem wesoło buzującym na kominku.

Louis był wściekły. Przeszywał mnie wzrokiem, poprawiając strój krótkimi gestami wyrażającymi furie. Podobał mi się ten pokój. Książki Dawida Talbota; jego łóżko.

A sam gospodarz wpatrywał się w nas przez na wpół uchylone drzwi gabinetu. Siedział tam w świetle lampki z zielonym abazurem stojącej na biurku. Miał na sobie dobrze skrojona bonzurka z szarego jedwabiu, przewiązana w pasie. W dłoni trzymał pióro. Był tak nieruchomy jak lesne stworzenie czujące drapieżnika i zamierzające nieuchronnie rzucić się do ucieczki.

Ach, to było naprawdę cudowne!

Przyglądałem mu się przez chwilę; ciemnosiwymi włosy, przejrzyste, czarne oczy, pięknie porysowana zmarszczkami twarz, bardzo wyrazista, techna ciepłem. Inteligencja tego mężczyzny rzucała się w oczy. Wszystko idealnie odpowiadało opisowi Jesse i Khaymana.

Wszedłem do gabinetu.

- Zechcesz mi wybaczyć - powiedziałem. - Winienem zapukać do drzwi frontowych. Ale chciałem, by nasze spotkanie miało charakter ściśle prywatny. Oczywiście wiesz, kim jestem.

Odebrało mu mowę.

Spojrzałem na biurko. Nasze akta, teczki z manilowego papieru z różnymi znajomymi nazwami i starannie zapisanymi nazwiskami: „Teatr Wampirów”, „Armand”, „diabeł Beniamin”. „Jesse”. Jesse. Obok teczki list od Maharet, ciotki Jesse. Informacja o śmierci.

Czekałem, zastanawiając się, czy powinienem zmusić go, by odezwał się pierwszy. Nie należało to do repertuaru moich ulubionych zagran. Przyglądał mi się bardzo pilnie, nieskonczenie bardziej pilnie niż ja jemu. Zapamiętywał szczegóły mojego wyglądu, korzystając z wyuczonych sposobów, służących temu, aby móc po fakcie zaczerpnąć z zasobów pamięci, bez względu na to, jak wielki był szok w trakcie danego przeżycia.

Wysoki, nie przycięzki ani też szczupły. Słuszną budowę ciała. Duże, znakomicie ukształtowane dłonie. Do tego doskonale przystrzyżony, uczesany i ogolony. Iście angielski dżentelmen; wielbiciel tweedów, skóry, ciemnych lasów, herbaty, wilgoci, mrocznego parku za murami i cudownej harmonii panującej w tym domu.

Sprzyjał mu też jego wiek; liczył sobie szesćdziesiątkę. Wiedział rzeczy, o których młodszy ludzie nie mogli mieć pojęcia. Był współczesnym odpowiednikiem Mariusza. Tak naprawdę nie był wcale stary jak na dwudzieste stulecie.

Louis wciąż był w sąsiednim pokoju, ale Talbot wiedział o jego obecności. Spojrzał ku drzwiom, a potem znowu na mnie. Następnie wstał i zupełnie mnie zaskoczył. Wyciągnął dłoń.

- Jak się miewasz? - rzekł.

Rozesmiałem się. Ująłem jego dłoń i wymieniłem z nim meski i uprzejmy uścisk, obserwując jego reakcje, jego zaskoczenie, kiedy poczuł chłód mojego ciała wyzbytego życia w każdym konwencjonalnym znaczeniu tego słowa.

Był wystraszony aż miło, ale był też niesłychanie ciekawy, niesłychanie zaintrygowany.

- Jesse nie umarła, prawda? - zapytał bardzo miłym i grzecznym tonem.

To niesłychane, co Anglicy potrafią zrobić z językiem, ile niuansów kryją ich uprzejme zwroty. To niewatpliwie najdoskonalsi dyplomaci na świecie. Przez chwilę zastanawiałem się, czy są ich gangsterzy. Wyczuwałem w nim wielki smutek po Jesse. Kimże ja byłem, aby lekceważyć rozpacz innej istoty? Spojrzałem na niego z powagą.

- O, tak - powiedziałem. - Nie miej żadnych złudzeń. Jesse nie żyje. - Wytrzymałem jego spojrzenie bez drgnienia; nie mogło być mowy o nieporozumieniu. - Zapomnij o Jesse.

Skinał nieznacznie głową, na moment odwracając wzrok, a potem znów spojrzał na mnie z taką samą jak poprzednio ciekawością.

Zrobiłem małe kółeczko w środku pokoju. Ujrzałem w glebi Louisa, stojącego w cieniu, obok kominka

w sypialni i patrzacego na mnie z nieslychanym zacierzowaniem i nagana. Nie byla to jednak okazja do smiechu. W ogóle nie bylo mi do smiechu. Myslam o czyms, co powiedzial mi Khayman.

- Mam do ciebie pytanie - rzeklem.

- Tak.

- Jestem tu. Pod twoim dachem. Zalózmy, ze kiedy wszedzie slonce, ja udam sie na dól do piwnicy i zapadne tam w nieswiadomosc. Wiesz. - Zrobilem drobny gest. - Co bys zrobil? Zabilbys mnie we snie?

Zastanawial sie nad tym nie dluzej niz dwie sekundy.

- Nie.

- Przeciez wiesz, kim jestem. Nie masz co do tego najmniejszych watpliwosci, prawda? Czemu bys tego nie zrobil?

- Z wielu przyczyn - powiedzial. - Chcialbym sie czegos o tobie dowiedziec. Chcialbym z toba porozmawiac. Nie, nie zabilbym cie. Nic nie mogloby mnie do tego zmusic.

Przygladalem mu sie. Mówil absolutna prawde. Nie przeprowadzal zadnych kalkulacji na ten temat. Po prostu zabicie mnie, istoty tak tajemniczej i starej, uznalby za rzecz przerazajaco haniebna i niegodna.

- Wlasnie tak - powiedzial z drobnym usmieszkiem.

Potrafil czytac w myslach, jednak jego umiejetnosci nie byly wielkie. Czytal tylko powierzchowne mysli.

- Nie badz tego tak pewien - znów odezwal sie z niezwykla uprzejmoscia.

- Drugie pytanie.

- Prosze bardzo. - Byl niezwykle zaintrygowany. Strach rozplynal sie calkowicie.

- Czy chcesz otrzymac Mroczny Dar? Wiesz. Czy chcialbys zostac jednym z nas? - Katem oka widzialem, jak Louis kreci glowa, a potem odwraca sie plecami. - Nie mówie, ze kiedykolwiek bym ci go dal. Najpewniej nie. Ale czy go chcesz? Gdybym byl chetny, przyjalbys go ode mnie?

- Nie.

- Och, daj spokój.

- Nie przyjalbym go i za milion lat. Bóg mi swiadkiem.

- Nie wierzysz w Boga, wiesz o tym.

- To tylko formula. Przekonanie jest szczere.

Uśmiechnalem sie. Mial taka sympatyczna, pelna zycia twarz. A ja czulem niezwykle rozradowanie. Krew szumiala mi w zylach z nowym wigorem. Zastanawialem sie, czy on to wyczuwa; czy choc troche przestalem wygladac jak potwór? Czy pojawily sie te drobne oznaki czlowieczej powierzchownosci, widziane przeze mnie u innych osobników naszego gatunku, kiedy przezywali uniesienie lub byli czymś

zaabsorbowani?

- Nie sadze, by zmiana zdania zajela ci milion lat - powiedzialem. - Tak naprawde nie masz tyle czasu, jesli sie dobrze nad tym zastanowic.

- Nigdy nie zmienie zdania. - Uśmiechnal sie bardzo szczerze. Trzymal w dloniach pióro. Przez krótka chwile bawil sie nim nieswiadomie, po czym znów znieruchomial.

- Nie wierze ci - powiedzialem. Rozejrzałem sie po pokoju; przyjrzałem sie malemu holenderskiemu obrazkowi w lakierowanej ramie: dom w Amsterdamie nad kanalem. Popatrzyłem na szron na oknach. Nie dalo sie za nim nic ujrzec. Nagle ogarnal mnie smutek, tyle ze juz nie tak dokuczliwy jak poprzednio. Byl akceptacja gorzkiej samotnosci, która mnie tu sprowadzila, nieodpartego pragnienia, z którym sie zjawilem, aby stanac w tej malej komnatce i poczuc na sobie jego wzrok; aby uslyszec, jak mówi, ze wiem, kim jestem.

Ogarnela mnie melancholia. Nie mogłem wydobyć z siebie głosu.

- Tak - odezwal sie skromnie. - Naprawde wiem, kim jestes.

Spojrzalem na niego i nagle zebralo mi sie na placz. Doprowadzilo mnie do takiego stanu cieplo panujace w tym pokoju, zapach przedmiotów należących do ludzi, widok zywego czlowieka stojacego za biurkiem. Przelknalem slinę. Nie zamierzalem stracic opanowania, to byloby glupie.

- To naprawde fascynujace - powiedzialem. - Nie zabilbys mnie. I nie chcialbys stac sie kims takim jak ja.

- Zgadza sie.

- Nie. Nie wierze ci - powiedzialem po raz wtóry.

Drobny cien przebiegl mu przez twarz, ale to byl ciekawy cien. To byla obawa, ze dostrzeblem w nim jakas slabosc, której on sam nie byl swiadomy.

Siegnalem po jego pióro.

- Pozwolisz? I kartke papieru?

Podal mi natychmiast jedno i drugie. Siadlem za biurkiem na fotelu gospodarza. Wszystko bylo bez zarzutu - suszka, maly skórzany kubeczek, w którym trzymal pióra, nawet teczki z manilowego papieru. Bez zarzutu jak on sam, przygladajacy mi sie na stojaco, kiedy pisalem.

- To numer telefonu - powiedzialem. Wsunalem mu do reki kawalek kartki. - Paryski numer adwokata, który zna mnie pod prawdziwym nazwiskiem, Lestat de Lioncourt, bedacym, sadze, w twoich aktach? Oczywiscie adwokat nie wie o mnie tego, co ty wiesz, ale moze do mnie dotrzec. A raczej, to ja zawsze jestem z nim w kontakcie.

Nic nie powiedzial, ale popatrzył na swistek i zapamietal numer.

- Zatrzymaj to - powiedzialem. - Kiedy zmienisz zdanie, kiedy zapragniesz zostac niesmiertelnym i bedziesz chetny to wyznac, zadzwon. Wtedy powróce.

Juz miał zaprotestowac. Gestem nakazałem mu milczenie.

- Nigdy nie wiesz, co sie może stać - powiedziałem. Rozsiadłem się wygodnie w fotelu i skrzyżowałem ręce na piersi. - Możesz się przekonać, że cierpisz na śmiertelną chorobę; możesz zostać kaleką po nieszczęśliwym upadku. Może zaczniesz mieć koszmary, w których będziesz trupem, nic nie znaczącym strzępem scierwa. To nieważne. Kiedy zdecydujesz się na to, co mam do zaproponowania, dzwoni. I pamiętaj, proszę, nie twierdź, że ci to dam. Może nigdy tego nie uczynię. Mówię tylko, że kiedy zdecydujesz, że chcesz to mieć, rozpocznie się dialog.

- On już się zaczął.

- Nie, nie zaczął się.

- Nie sądzisz, że powrócisz? - zapytał. - Myślę, że zrobisz to bez względu na mój telefon.

To było kolejne małe zaskoczenie. Poczulem drobne ukłucie ponizenia. Mimo wszystko usmiechałem się do niego. Był bardzo interesującym człowiekiem.

- Ty mocny w gebie angielski draniu - powiedziałem. - Jak śmiesz odzywać się do mnie z takim pobleźaniem? Może powinienem zabić cię od razu.

To mi się udało. Był wstrząsnięty. Ukrywał to całkiem niezłe, ale widziałem, co trzeba. Poza tym wiedziałem, jak przerażający może być mój wygląd, zwłaszcza kiedy się usmiechałem.

Doszedł do siebie zadziwiająco szybko. Złożył swistek i wsunął go do kieszeni.

- Zechciej przyjąć moje przeprosiny - powiedział. - Chciałem rzec, że liczę na twój powrót.

- Zadzwoń. - Przyglądaliśmy się sobie przez długą chwilę. Wreszcie znów usmiechałem się nieznacznie i wstałem, szykując się do odejścia. Rzuciłem okiem na biurko.

- Dlaczego nie mam własnej teczki? - spytałem.

Na chwilę jego twarz straciła wszelki wyraz, a następnie cudownym sposobem znów odzyskał kontenance.

- Przecież masz książkę! - Wskazał Wampira Lestata na półce.

- Och, tak, zgadza się. No cóż, dzięki za przypomnienie. - Zawahałem się. - Ale, wiesz, wydaje mi się, że powinienem mieć własną teczkę.

- Zgadza się z tobą. Natychmiast ją złoże. To była zawsze tylko kwestia... czasu.

Nie mogłem się powstrzymać, żeby się cicho nie rozesmiać. Skloniłem się lekko na pożegnanie, a on z wdziękiem odpowiedział mi tym samym.

Potem przemknąłem obok niego tak szybko, jak tylko potrafiłem, złapałem Louisa, wyskoczyłem natychmiast przez okno i uniosłem się nad ziemią, aż opadłem na pusty odcinek londyńskiej drogi.

Było tu ciemniej i zimniej pod tymi debami zasłaniającymi księżyc. Czulem się cudownie. Nigdzie nie było mi cudowniej niż w całkowitym mroku! Stałem z rękami w kieszeniach, spoglądając z daleka na

mglista aureole wisząca nad Londynem i nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

- Och, to było cudowne, idealne! - powiedziałem, zacierając ręce, a potem złapałem dłonie Louisa, jeszcze zimniejsze niż moje.

Wyraz jego twarzy wprowadził mnie w upojenie. Czulem, że zaraz dostanę prawdziwego ataku śmiechu.

- Jesteś draniem, rozumiesz?! - powiedział. - Jak mogłeś zrobić coś takiego temu biedakowi? Czart z ciebie, Lestacie. Powinieneś zostać przykuty do ściany w lochu!

- Och, daj spokój, Louisie - powiedziałem. Nie potrafiłem przestać się śmiać. - Czego się po mnie spodziewałeś? Poza tym facet jest badaczem zjawisk nadprzyrodzonych. Nie dostanie hysia. Czego wszyscy się po mnie spodziewają? - Objąłem go za ramię. - Daj spokój, chodźmy do Londynu. To długi marsz, ale jest wczesnie. Nigdy nie byłem w Londynie. Wyobrazasz sobie? Chce zobaczyć West End i Mayfair, i Tower, tak, przede wszystkim chodźmy do Tower. Chce nakarmić się w Londynie! Rusz się.

- Lestacie, tu nie ma nic do śmiechu. Mariusz będzie wściekły. Wszyscy będą wściekli!

Mój atak śmiechu osiągnął apogeum. Ruszyliśmy drogą, obierając dobre tempo. Maszerowanie to była prawdziwa frajda. Nic nigdy nie zastąpi tej zwyczajnej czynności, kiedy czuje się ziemię pod stopami, słodka won z pobliskich kominów i wilgotny chłód głębokiej zimy ukrytej w lasach. Och, to było cudowne. A kiedy dotrzemy do Londynu, sprawi się Louisowi przytulne, zimowe palto z futrzanym kołnierzem, aby było mu równie ciepło jak teraz mnie.

- Słyszysz, co mówię do ciebie? - powiedział. - Przeszłość nie nauczyła cię niczego, prawda? Jesteś jeszcze bardziej niepoprawny, niż byłeś!

Znów zacząłem się śmiać, nie mogąc nad sobą zapanować.

Potem, trzeźwiejąc nieco, zacząłem przypominać sobie twarz Dawida Talbota w chwili, w której rzucił mi wyzwanie. No cóż, może miał rację. Wróć. Kto mówi, że nie mogę wrócić i porozmawiać z nim, jeśli mi się zachce? Kto? W takim razie powinienem dać mu troszeczkę czasu, żeby pomyślał o tym numerze telefonu i stracił zimną krew.

Gorycz znów powróciła, a wraz z nią wielki, usypiający smutek, który nagle zagroził mojemu malemu triumfowi. Nie mogłem na to pozwolić. Ta noc była tak piękna. Diatryba Louisa stawała się coraz bardziej zazarta i zabawna.

- Z ciebie diabeł wcielony, Lestacie! - mówił. - Oto twoje prawdziwe oblicze! Diabeł z ciebie jak się patrzy!

- Tak, wiem - powiedziałem, patrząc na niego z rozkosza, widząc, jak gniew dodaje mu życia. - Bardzo lubię słuchać, jak to mówisz, Louisie. Nie mogę się bez tego obejść. Chyba nikt nie potrafiłby powiedzieć tego tak jak ty. No, dalej, powtórz to. Jestem diabłem wcielonym. Powiedz mi, jaki jestem niedobry. Nic nie sprawi mi większej frajdy!

Spis treści

[Królik tragiczny](#)

[Wstęp](#)

[CZESC I](#)

Droga do wampira Lestata

[Rozdział pierwszy](#)

Legenda o bliźniaczkach

[Rozdział drugi](#)

Krótki, szczęśliwy żywot malej Jenks i upiornej bandy

[Rozdział trzeci](#)

Bogini Pandora

[Rozdział czwarty](#)

Opowieść o Danielu, ulubieńcu diabła lub też chłopaku z „Wywiadu z wampirem”

[Rozdział piąty](#)

Khaymanie, mój Khaymanie

[Rozdział szósty](#)

Opowieść o Jesse, wielkiej rodzinie i Talamasce

[CZESC II](#)

Wigilia Wszystkich Świętych

CZESC III

Jak bylo na poczatku, teraz, zawsze...

Rozdzial pierwszy

Opowiesc Lestata - w ramionach bogini

Rozdzial drugi

Opowiesc Mariusza - spotkanie

Rozdzial trzeci

Opowiesc Lestata - Królowa Niebios

Rozdzial czwarty

Rzecz o bliźniaczkach (I)

Rozdzial piaty

Opowiesc Lestata - oto jest cialo moje; oto jest krew moja

Rozdzial szósty

Rzecz o bliźniaczkach (II)

Rozdzial siódmy

Opowiesc Lestata - Królestwo Niebios

Rozdzial ósmy

Rzecz o bliźniaczkach (zakonczenie)

CZESC IV

Królowa Potepionych

CZESC V

...Świat na wieki wieków, amen